

**LEE CHILD**

**UMRZEĆ PRÓBUJĄC**

**Tytuł oryginału: DIE TRYING**

**Tłumaczenie: Paulina Braiter**

postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób prawdziwych, żyjących lub nie, jest całkowicie przypadkowe. Książka jest chroniona polskim i międzynarodowym prawem autorskim. Jakiegokolwiek jej powielanie lub nieautoryzowany użytek jej zawartości jest zabronione bez pisemnej zgody wydawcy lub właściciela praw autorskich.

Gdybym miał wymienić wszystko,  
w czym mi pomogła, powstałaby lista dłuższa  
niż ta książka. Powiem zatem po prostu:  
dla mojej żony Jane. Dziękuję.

Nathana Rubina zabiła odwaga. Nie długotrwała, stanowcza odwaga, dzięki której zdobywa się medale na wojnie, lecz nagły przeblask, oslepiający ułamek sekundy, który sprawia, że człowiek ginie na ulicy.

Wyszedł z domu wcześniej, jak to czynił zawsze sześć dni w tygodniu, pięćdziesiąt tygodni w roku. Skromne śniadanie, odpowiednie dla krępego, pulchnego mężczyzny, który mimo przekroczonej czterdziestki stara się utrzymać formę. Długa wędrówka wyścielanymi wykładziną korytarzami domu nad jeziorem, odpowiedniego dla mężczyzny, który w każdy z trzystu dni pracy zarabia tysiąc dolarów. Kciuk dotyka przycisku otwierającego drzwi garażu, przekręcenie kluczyka uruchamia cichy silnik kosztownego, importowanego samochodu. Płyta ląduje w szczelinie odtwarzacza, wóz skręca tyłem na zwirowy podjazd. Zwolnienie hamulca, cichy szcęk przekładni biegów, naciśnięcie pedału gazu - tak oto rozpoczęła się ostatnia, krótka jazda jego życia.

6.49 rano. Poniedziałek.

Przez całą drogę do pracy miał zielone światła. To właśnie stało się jedną z przyczyn jego zgonu, bo gdy wjechał w osłonięte miej sce za budynkiem, do końca preludium Fugi b-moll Bacha brakowało jeszcze trzydziestu ośmiu sekund. Nathan Rubin wysłuchał jej do ostatniego grzmotu organów. Oznaczało to, że gdy wysiadł z samochodu, trzech mężczyźni znaleźli się dość blisko, by mógł do pewnego stopnia zinterpretować ich działanie. Zerknął na nich zatem, a oni jednocześnie odwrócili wzrok i zmienili kurs, razem, niczym tancerze bądź żołnierze. Nathan Rubin ruszył w stronę budynku, potem jednak zatrzymał się i obejrzał przez ramię. Trzej mężczyźni stali przy jego samochodzie. Sprawdzali drzwi. - Hej! - krzyknął.

Był to krótki uniwersalny okrzyk zdumienia, gniewu i wyzwania, odruchowy dźwięk, jaki wydaje z siebie uczciwy, naiwny obywatel, gdy dzieje się coś niespodziewanego. Instynktowna reakcja, która staje się przyczyną śmierci uczciwego, naiwnego obywatela.

Nathan ruszył z powrotem do wozu. Tamci mieli przewagę trzy do jednego, ale racja była po jego stronie, co sprawiło, że napiął mięśnie w nagłym przypiływie pewności siebie. Maszerował ku nim; czuł się oburzony, sprawny i groźny.

Cóż za złudzenie. Miękki mieszkaniec przedmieścia w żadnym razie nie zdołałby sobie poradzić w podobnej sytuacji. Jego sprawność pochodziła wyłącznie z siłowni, nie miała znaczenia. Twarde mięśnie brzucha poddały się po pierwszym brutalnym ciosie. Twarz skoczyła w przód i w dół, twarde kostki zmiażdżyły wargi i strzaskały zęby. Mocne ręce pochwyciły go i przytrzymały w powietrzu, jakby nic nie ważył. Wyrwano mu z ręki kluczyki, poczuł ogłuszające uderzenie w ucho. Do ust napłynęła mu krew. Wylądował na asfalcie, ciężkie buty zaczęły kopać go w plecy, potem w brzuch, w głowę. Jego umysł spowiła czerń, niczym ekran telewizora w samym środku burzy. Świat po prostu zniknął; zwinął się, tworząc cienką, rozżarzoną linię, a potem zgasł. I tak Nathan umarł z powodu ułamka sekundy szaleńczej odwagi. Ale nie wtedy. Umarł znacznie później, gdy po ułamku sekundy odwagi nastąpiły długie godziny panicznego, dławiącego strachu, a potem ciągnące się w nieskończoność minuty obłąkańczej, rozwrzeszczanej paniki.

\* \* \*

Jacka Reachera ocaliła ostrożność. Ostrożność przywołana przez słabe echo z przeszłości. Miał bogatą przeszłość, a echo pochodziło z jej najgorszej części.

Odслужиł trzynaście lat w wojsku i tylko raz został ranny - nie kulą, lecz odłamkiem kości szczęki sierżanta piechoty morskiej. Stacjonował wówczas w Bejrucie, w bazie amerykańskiej obok lotniska. Na ulicy wybuchła bomba ukryta w ciężarówce. Reacher stał przy bramie, sierżant piechoty morskiej był sto metrów bliżej wybuchu. Nie zostało z niego nic poza owym odłamkiem kości, który uderzył stojącego sto metrów dalej Reachera i niczym pocisk przeszył mu brzuch. Chirurg wojskowy, który zszywał ranę, powiedział później, że Reacher miał szczęście. Prawdziwa kula w jamie brzusznej byłaby jeszcze gorsza. To właśnie echo usłyszał teraz Reacher i bardzo uważał na każde słowo, ponieważ trzynaście lat później stał bez ruchu, a z odległości pięciu centymetrów celowano mu z pistoletu prosto w brzuch.

Pistolet, dziewięćmilimetrowy automat, nowusieńki, naoliwiony, trzymany nisko, wymierzono

wprost w starą bliznę. Facet, który z niego mierzył, chyba wiedział, co robi. Broń była odbezpieczona, lufa nawet nie drgnęła, zero napięcia, palec na spuście gotów do wykonania ruchu. Reacher dostrzegł to natychmiast. Skupił uwagę na owym palcu.

Stał obok kobiety; trzymał ją pod rękę. Nigdy wcześniej jej nie widział. Kobieta wpatrywała się w identyczny dziewięciomilimetrový pistolet, z którego celowano w jej brzuch. Jej napastnik był bardziej spięty niż Reachera. Wydawał się niespokojny, zdenerwowany, jego broń drżała. Miał obgryzione paznokcie. Drobny nerwus. Cała czwórka stała na ulicy, troje niczym posągi, czwarty przestępował lekko z nogi na nogę.

Znajdowali się w Chicago, w centrum miasta, na ruchliwym chodniku, w poniedziałek, ostatni dzień czerwca. Jasne słońce, ładny, słoneczny, letni dzień. Wszystko wydarzyło się w ułamku sekundy, w sposób, którego nie dałoby się przygotować nawet za milion lat. Reacher spacerował ulicą, nigdzie się nie wybierał, nie szedł ani szybko, ani wolno. Miał właśnie minąć wyjście pralni chemicznej, gdy drzwi otwarły mu się tuż przed nosem i na chodnik pod jego stopy wypadła stara, metalowa kula. Reacher uniósł wzrok i ujrzał stojącą w wyjściu kobietę. Niewiele brakowało, a upuściłaby naręczę dziewięciu worków z pralni. Dochodziła trzydziestki - ciemnowłosa, spokojna, ładna, ubrana w dość drogie ciuchy. Coś było nie tak z jej nogą, musiała doznać jakiegoś urazu. Jej dziwna pozycja świadczyła, że cierpi. Popatrzyła na niego prosząco. Odpowiedział spojrzeniem mówiącym: nie ma sprawy i podniósł metalową kulę. Jedną ręką odebrał kobiecie dziewięć worków, drugą wręczył laskę. Torby zarzucił na ramię, czując, jak dziewięć drucianych wieszaków wrzyna mu się w palec. Kobieta wsparła kulę o chodnik i wsunęła przedramię w specjalny wygięty uchwyt. Reacher podał jej rękę, zawahała się, potem skinęła głową zawstydzona, a on ujął ją pod ramię i odczekał chwilę. Wiedział, że pomaga, ale czuł się dziwnie. Odwrócili się razem, by odejść. Reacher sądził, że przejdzie z nią kilka kroków, aż kobieta odzyska panowanie nad sobą, potem wypuści jej rękę i odda ubrania. Kiedy się jednak odwrócił, ujrzał tuż przed sobą dwóch mężczyzn, którzy trzymali w rękach dziewięciomilimetrové pistolety automatyczne.

Cała czwórka zamarła, stając twarzą w twarz, parami, niczym cztery osoby jedzące razem kolację w ciasnej kabinie

w restauracji. Dwaj trzymający broń mężczyźni byli biali, dobrze odżywieni, zachowywali się z lekką, wojskową precyzją. Byli też nieco do siebie podobni - średni wzrost, krótkie brązowe włosy, potężne muskularne dłonie. Wielkie, bezmyślne twarze, nieciekawe, różowe rysy, napięcie w twardych oczach. Nerwowy facecik był niższy, zupełnie jakby większość energii zużywał na zmartwienia. Obaj mężczyźni mieli na sobie koszule w kratę i popelinowe kurtki. Stali tuż obok siebie. Reacher, który znacznie przewyższał wzrostem pozostałą trójkę, mógł rozejrzeć się wokół, patrząc nad ich głowami. Stał jednak zaskoczony, z ubraniami kobiety zarzuconymi na ramię. Kobieta wspierała się na kuli; milczała. Dwaj mężczyźni celowali do nich z broni. Reacherowi wydawało się, że stoją tak bardzo długo, wiedział jednak, że to mylące uczucie. Prawdopodobnie minęło zaledwie półtorej sekundy.

Mężczyzna stojący naprzeciwko Reachera był chyba przywódcą. Spokojnie wodził wzrokiem pomiędzy Reacherem i kobietą. W końcu skinął bronią, wskazując krawężnik.

- Do wozu, suko - polecił. - i ty, dupku.

Mówił z naciskiem, lecz cicho, władczo, praktycznie bez akcentu, może z odrobiną kalifornijskiego. Przy krawężniku czekał na nich samochód - wielki, czarny, drogi wóz. Kierowca pochylał się nad przednimi siedzeniami; wyciągając rękę, starał się zwolnić zamek w drzwiach. Mężczyzna naprzeciw Reachera ponownie skinął bronią. Reacher nawet nie drgnął. Spojrzał w prawo, w lewo i uznał, że ma jeszcze półtorej sekundy, by dokonać wyboru. Dwaj faceci z pistoletami automatycznymi niespecjalnie go martwili. Z powodu prania dysponował wprawdzie tylko jedną wolną ręką, uznał jednak, że bez trudu załatwiłby ich obu. Problemy kryły się obok i za jego plecami. Zerknął w okno pralni, korzystając z niego niczym z lustra. Dwadzieścia metrów dalej chodnikiem przelewał się gęsty tłum. Kilka zbłąkanych pocisków z łatwością znalazłoby cel.

Bez dwóch zdań. Oto problem za jego plecami. Problem obok to nieznana kobieta. Nie miał pojęcia, jak zachowałyby się w takiej sytuacji. Ma niesprawną nogę. Z pewnością zareagowałyby z opóźnieniem, poruszyła się powoli. Nie zamierzał wdawać się w walkę, nie w tym otoczeniu, nie z kimś takim u boku.

Mężczyzna mówiący z lekkim kalifornijskim akcentem wyciągnął rękę i chwycił przegub Reachera, obciążony dziewięcioma workami z praniem. Pociągnął go do samochodu. Palec wskazujący nadal czekał na swoją chwilę; Reacher obserwował go kątem oka. Wypuścił rękę kobiety, podszedł do wozu, cisnął worki na tylne siedzenie i wsunął się za nimi. Kobieta wylądowała obok niego, potem do środka wgramolił się nerwusek i zatrzasnął drzwi. Przywódca wsiadł z przodu, po prawej. Trzasnął drzwiami. Kierowca pchnął dźwignię biegów i samochód potoczył się cicho ulicą.

\* \* \*

Kobieta jęczała z bólu. Reacher domyślił się, że nerwusek wbija jej broń między żebra. Przywódca siedział przekreślony w przednim fotelu. Uzbrojoną w pistolet dłoń opierał na skórzanym zagłówku, celując wprost w pierś Reachera. To był glock 17. Reacher wiedział o nim wszystko. Oceniał prototyp pod kątem przydatności dla swojej jednostki - takie otrzymał zadanie podczas okresu rekonwalescencji w Bejrucie. Glock to niewielka, solidna broń, niecałe dziewiętnaście centymetrów długości, od iglicy po koniec lufy, dostatecznie długa, by zachować celność. Reacher trafiał z niego w pinezki z odległości dwudziestu pięciu metrów. Pistolet ten strzelał całkiem solidnymi pociskami, ponad siedmiogramowymi, które wyrzucał z prędkością ponad tysiąc kilometrów na godzinę. Siedemnaście pocisków w magazynku, stąd nazwa. Był lekki - mimo swej siły rażenia ważył raptem siedemset trzy gramy. Najważniejsze części zrobiono ze stali, resztę z plastiku, czarnego poliwęglanu, jak w kosztownym aparacie fotograficznym. Świetna robota.

Ale Reacher jakoś go nie polubił i uznał, że nie spełnia wyspecjalizowanych wymagań jego jednostki. Zalecił odrzucenie kontraktu i zamiast tego oddał głos na berettę 92F. Beretta, także dziewięćmilimetrowa, była o ćwierć kilo cięższa, trzy centymetry dłuższa, miała o dwa pociski mniej w magazynku, lecz jej siła strzału była o dziesięć procent większa niż w glocku. To się liczyło. A poza tym nie zrobiono jej z plastiku. Reacher wybrał berettę, dowódca jednostki zgodził się z tą opinią i rozesłał ocenę Reachera dalej. Cała armia poparła tę rekomendację. W tym samym tygodniu, w którym go awansowano i przypięto mu do piersi Srebrną Gwiazdę i Purpurowe Serce, armia zamówiła beretty, choć były droższe, a NATO miało świra na punkcie gloc-ków, i choć Reacher, który niedawno opuścił West Point, jako jedyny wypowiedział się w tej kwestii. Potem przydzielono go gdzie indziej, służył na całym świecie i nie miał już styczności z glockiem 17 - aż do tej chwili. Dwanaście lat później mógł się mu przyjrzeć dokładnie i z bliska.

Odwrócił wzrok od broni, skupiając się na trzymającym ją napastniku. Całkiem niezła opalenizna jaśniała tuż przy linii włosów. Widać, że niedawno odwiedził fryzjera. Kierowca miał wysokie, błyszczące czoło, rzadzące włosy zaczesane do tyłu, różową, żywą twarz i uśmiezek typowy dla paskudnych facetów, którzy sądzą, że są przystojni. Ta sama tania koszula z supermarketu, ta sama kurtka, to samo masywne ciało, pewność siebie zabarwiona lekkim zdenerwowaniem. Trzej faceci, wszyscy mieli na oko około trzydziestu, trzydziestu pięciu lat - jeden przywódca, jeden nerwus, jeden spokojny wykonawca. Wszyscy spięci, lecz sprawni, wyraźnie wykonujący misję. Zagadka. Reacher spojrzał ponad lufagloc-ka w oczy przywódcy, tamten jednak pokręcił głową.

- Bez gadania, dupku - rzekł. - Zaczynaj gadać, to cię zastrzelę. Masz moje słowo. Siedź cicho, a może przeżyjesz.

Reacher mu uwierzył. Gość miał twarde oczy, jego usta zaciskały się mocno. Jechali w milczeniu. Po chwili samochód zwolnił i skręcił na wyboisty, betonowy plac. Skierował się za opuszczony budynek przemysłowy. Według szacunków Reachera oddalili się na południe jakieś siedem kilometrów od centrum. Kierowca zatrzymał samochód tak, by jego drzwi znalazły się dokładnie naprzeciwko tylnego wejścia do niewielkiej ciężarówki. Ciężarówka stała samotnie na pustym

parkingu - ford econoline, brudnobiały, nie stary, lecz wyraźnie używany. Napis na boku zamalowano świeżo białą farbą, nie do końca pasującą do reszty karoserii. Reacher się rozejrzył. Cały parking wypełniały śmieci. Dostrzegł porzuconą nieopodal puszkę po farbie i pędzel. W pobliżu nie było nikogo. Pusto. Jeśli ma coś zrobić, to znalazł się we właściwym miejscu, nadeszła też odpowiednia pora. Lecz facet z przodu uśmiechnął się lekko i sięgnął na tył wozu. Lewą ręką złapał Reachera za kołnierz, prawą wbił mu w ucho koniec lufy glocka.

- Siedź spokojnie, dupku - rzucił.

Kierowca wysiadł z samochodu i okrążył maskę. Wyciągnął z kieszeni nowe kluczyki, otworzył tylne drzwi ciężarówki. Reacher siedział bez ruchu. Wetknięcie pistoletu w ucho to nie najlepszy pomysł - jeśli ofiara nagle szarpnie głową i odwróci ją, pistolet się wysunie, omijając czoło. Wówczas nawet szybka reakcja niewiele pomoże. Niewykluczone, że strzelec zdoła przedziurawić zewnętrzną część ucha ofiary, z pewnością rozwali jej też bębenek, ale nie są

to rany śmiertelne. Reacher przez sekundę rozważał swe szanse, a potem nerwus wyciągnął kobietę z wozu i pchnął w stronę ciężarówki. Kuśtykając i podskakując, pokonała krótką odległość dzielącą jedne drzwi do drugich. Reacher obserwował ją kątem oka. Napastnik odebrał jej torebkę i cisnął z powrotem do wozu. Wylądowała u stóp Reachera, uderzając ciężko o grubą wykładzinę. Duża torba z pięknej skóry; w środku coś ciężkiego, metalowego. Tylko jedna metalowa rzecz w torbie kobiety mogłaby wylądować tak ciężko. Z nagłym zainteresowaniem ponownie zerknął na swą towarzyszkę.

Leżała bezwładnie w ciężarówce, wyraźnie przeszkadzała jej boląca noga. A potem przywódca z przodu pociągnął Reachera w bok i przekazał go nerwusowi. Glocka w uchu zastąpił drugi, wbity w bok. Pociągnięto go naprzód, przez parking, na tył ciężarówki, i wepchnięto do środka, gdzie znajdowała się już kobieta. Nerwus pilnował ich obojga, celując z lekko trzęsącego się glocka. Tymczasem przywódca sięgnął do wozu i wyciągnął metalową kulę kobiety. Podszedł do nich i wrzucił ją do środka. Kula z brzękiem rąbnęła o ściankę. Worki z praniem i torebkę pozostawił w samochodzie. Z kieszeni kurtki wyjął kajdanki. Jedną bransoletę zatrzasnął na prawym przegubie kobiety, szarpnął nią w bok, chwycił lewą rękę Reachera i zacisnął kajdanki. Potrząsnął nimi, sprawdzając, czy są dość ciasne. Z głośnym trzaskiem zamknął drzwi ciężarówki z lewej strony. Reacher dostrzegł jeszcze, jak kierowca wylewa coś do samochodu z plastikowych butelek - jasny płyn, silna woń benzyny, jedna butelka z tyłu, jedna z przodu. A potem przywódca zatrzasnął prawe drzwi. Ostatnią rzeczą, jaką ujrzał Reacher, nim spowiła go ciemność, był kierowca wyciągający z kieszeni pudełko zapalek.

Dwa tysiące siedemset dwadzieścia trzy kilometry od Chicago przygotowywano właśnie kwaterę gościnną składającą się z jednego pokoju. Pokoju bardzo niekonwencjonalnie zaprojektowanego, wedle wskazówek niezwykle dokładnego człowieka, który starannie przemyślał każdy szczegół. Wymagało to dość nietypowych przygotowań.

Pomieszczenie przeznaczono do wyraźnie określonych celów, dla konkretnego gościa. Zarówno cel, jak i osoba gościa wymagały wprowadzenia elementów dodatkowych. Skupiono się na pierwszym piętrze istniejącego już budynku. Zleceniodawca wybrał pokój narożny, wyposażony w kilka dużych okien na obu ścianach zewnętrznych. Okna wychodziły na południe i wschód. Stłuczono je i zastąpiono grubymi deskami, przybitymi do framug okiennych. Na zewnątrz deski pomalowano na biało, w kolorze ścian budynku, wewnątrz nikt nie zadał sobie takiego trudu.

Sufit pokoju narożnego zerwano. Budynek był stary, sufit gruby i gipsowy. Wkrótce gips wylądował na podłodze w obłokach duszącego pyłu. Teraz u góry widniała więźba dachowa. Wewnętrzne ściany wyburzono. Niegdyś pokrywały je stare sosnowe boazerie, gładkie, błyszczące. Obecnie zniknęły, odsłaniając konstrukcję budynku

i grubą, starą papę. Zerwano też deski podłogi. Pod masywnymi legarami można było dostrzec zakurzony sufit pokoju poniżej.

Stary gips i deski ze ścian i podłogi wyrzucono przez okna, zanim je zabito. Dwaj mężczyźni

zajmujący się przebudową zgarnęli wszystkie śmieci na jeden duży stos. Potem podjechali ciężarówką i zaczęli ładować je łopatami do środka. Bardzo im zależało, by pozostawić wszystko w należytych porządku. Po raz pierwszy pracowali dla tego zleceniodawcy, który wspominał mętnie o kolejnych projektach, a gdy rozejrzeli się wokół, doszli do wniosku, że istotnie czeka ich tu jeszcze wiele pracy. Nader optymistyczna sytuacja. Trudno o nowe kontrakty, a ten zleceniodawca niespecjalnie przejmował się ceną. Obaj mężczyźni uznali, że w ich interesie leży zrobienie znakomitego pierwszego wrażenia. Szybko i sprawnie ładowali do ciężarówki ostatnie kawały gipsu, gdy nagle pojawił się ich zleceniodawca.

- Skończone? - spytał.

Był potężnym, nalany facetem o wysokim głosie. Na bladych policzkach wykwitły mu dwa rumieńce wielkości drobnych monet. Poruszał się lekko i cicho, niczym człowiek znacznie lżejszy. W sumie ktoś, na kogo ludzie wolą nie patrzeć i komu odpowiadają bardzo szybko.

- Zostało tylko sprzątanie - wyjaśnił pierwszy z robotników. - Gdzie mamy to wyrzucić?

- Pokażę wam - odparł zleceniodawca. - Będziecie musieli pojechać dwa razy. Deski zabierzecie osobno, prawda?

Drugi robotnik przytaknął. Deski miały szerokość czterdziestu pięciu centymetrów, pochodziły z czasów, gdy drwale mogli wybrać dowolne drzewo, i nie było mowy, żeby zmieściły się na pace z resztą gruzu.

Kiedy skończyli ładować gips, pracodawca wcisnął się wraz z nimi do kabiny. Był tak wielki, że zrobiło się ciasno. Wskazał drogę za starym budynkiem.

- Na północ - poleciał - około półtora kilometra. Droga opuszczała miasteczko i wijąc się, pokonywała serię

stromych zakrętów. Pracodawca wskazał pewne miejsce.

- Tutaj - rzekł. - Na sam tył, dobrze?

Odszedł cicho, a robotnicy zaczęli rozładowywać ciężarówkę. Wrócili pod dom, wrzucili na pakę stare sosnowe deski. Ponownie pokonali krętą drogę, rozładowali samochód, zanieśli deski do środka, ułożyli w staranny stos na samym końcu ciemnego miejsca. Nagle z cienia wyłonił się pracodawca. Czekał na nich. Trzymał coś w ręce.

- Skończone - oznajmił pierwszy robotnik. Pracodawca przytaknął.

- Tak jak wy - odparł.

Uniósł rękę. Trzymał w niej pistolet, czarny automat. Pierwszemu z robotników strzelił w głowę; kula uderzyła w czaszkę z ogłuszającym hukiem, rozbryzgując wokół krew, kawałki kości i mózgu. Drugi zamarł ze zgrozy, potem rzucił się do ucieczki. Rozpaczliwie miotał się na boki, szukając schronienia. Zleceniodawca uśmiechnął się. Lubił, kiedy uciekali. Opuścił potężną rękę pod małym kątem. Wystrzelił. Kula trafiła uciekiniera w kolano. Zleceniodawca uśmiechnął się ponownie. Jeszcze lepiej. Lubił, kiedy uciekali, ale jeszcze bardziej, kiedy wili się na ziemi. Długą chwilę stał, słuchając wrzasków mężczyzny, potem podszedł cicho i wycelował starannie w drugie kolano. Jakiś czas patrzył. W końcu znudziła mu się zabawa, wzruszył ramionami i trzecim strzałem trafił robotnika w głowę. Potem położył broń na ziemi i przeturlał zwłoki, póki nie spoczęły równiutko tuż obok rzędu starych desek podłogowych.

Jechali godzinę i trzydzieści trzy minuty. Najpierw powoli w mieście, potem przyspieszyli, utrzymując równe tempo. W sumie jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów. Lecz w hałaśliwym mroku wewnątrz ciężarówka Reacher nie miał pojęcia, w którym kierunku zmierzają.

Był przykuty kajdankami do młodej kobiety o niesprawnej nodze. Przez pierwszych kilka minut wymuszonej znajomości usiłowali usadowić się jak najwygodniej. Pełzali wewnątrz ciężarówka, w końcu usiedli obok siebie na podłodze z wyprostowanymi nogami, oparci o osłonę koła po prawej. Kobieta siedziała tyłem, Reacher przodem. Skute przeguby spoczywały na płaskiej, metalowej osłonie, jak u kochanków siedzących razem w kawiarence.

Z początku milczeli. Długi czas siedzieli w ciszy, oszołomieni. Podstawowy problem stanowił upał

- było południe ostatniego dnia czerwca na Środkowym Zachodzie. Zamknięto ich w metalowym pudle pozbawionym wentylacji. Pęd powietrza na pewno nieco chłodził ciężarówkę, ale to zdecydowanie nie wystarczało.

Reacher siedział w mroku i w martwej, rozpalonej ciszy rozmyślał i planował, tak jak go nauczono. Zachowaj spokój, odpręż się, bądź gotów, nie marnuj energii na bezsensowne domysły, oceniaj. Trzej napastnicy wykazali się pewną sprawnością. Nie mieli może talentu, nie działali z finezją, ale nie popełniali znaczących błędów. Najślabsze ogniwo stanowił nerwus z drugim glockiem. Lecz przywódca rekompensował to z nawiązką. Sprawna trójka, widywał już gorszych. Na razie jednak się nie przejmował, bywał już w większych opalach, w znacznie większych, i to niejednym razem. I przeżył. Toteż na razie się nie martwił.

A potem coś zauważył. Kobieta także się nie martwiła, ona również zachowywała spokój. Po prostu siedziała, kołysząc się, przykuta do jego przegubu, pogrążona w myślach. Może ją także nauczono planować. Zerknął na nią w ciemności i ujrzał, że przygląda mu się uważnie, spokojnie, pytająco, lekko wyniośle, z odrobiną dezaprobaty. Młodzieńcza pewność siebie. Kobieta spojrzała mu prosto w oczy, patrzyła długo. Potem wyciągnęła prawą rękę w kajdankach, szarpiąc przegub Reachera. Mimo wszystko był to jednak zachęcający gest. Reacher wyciągnął prawą dłoń, uściśnił jej rękę. Oboje uśmiechnęli się z ironią na ten formalny gest.

- Holly Johnson - powiedziała kobieta.

Oceniała go starannie. Widział, jak jej wzrok wędruje mu po twarzy. Potem krótka ocena ubrania, znów twarz. Uśmiechnęła się ponownie, krótko, jakby uznała, że zasłużył na uprzejmość.

- Miło mi pana poznać.

Odpowiedział podobnym spojrzeniem. Przyjrzał się jej twarzy-bardzo ładna babka, jakieś dwadzieścia sześć, dwadzieścia siedem lat. Otaksował jej ubranie. W głowie zadźwięczał mu fragment starej piosenki: „Kiecki za sto dolarów, za które nie zapłaciłam”. Czekał na dalszy ciąg, ale ten nie nadszedł, toteż uśmiechnął się i skinął głową.

- Jack Reacher - rzekł. - Wierz mi, Holly, cała przyjemność po mojej stronie.

Trudno im było rozmawiać, bo w ciężarówce panował hałas. Warkot silnika niemal zagłuszał odgłosy dobiegające z drogi. Reacher chętnie posiedziałyby w ciszy, ale nie Holly.

- Muszę się ciebie pozbyć - oznajmiła.

Pewna siebie kobieta, która panuje nad sytuacją. Nie odpowiedział, zerknął tylko na nią i odwrócił wzrok. Oto ciąg dalszy piosenki: „Zimna, zimna kobieta”. Smutny, bolesny tekst, stara piosenka Memphis Slim, ale nie pasowała do niej, ani trochę. To nie była zimna kobieta. Spojrzał ponownie i wzruszył ramionami. Patrzyła na niego, zniecierpliwiona milczeniem.

- Rozumiesz dokładnie, co się stało? - spytała. Obserwował jej twarz, oczy. Patrzyła wprost na niego.

Dostrzegł zdumienie. Sądziła, że ma do czynienia z idiotą, że właściwie nie rozumiał, co zaszło.

- To przecież jasne - powiedział. - Dowody są jednoznaczne.

- Jakie dowody? - spytała. - Wszystko skończyło się w ułamku sekundy.

- Właśnie - przytaknął. - Nie potrzeba nam więcej dowodów. Wiem już wystarczająco dużo.

Przerwał i odprężył się. Następną szansę ucieczki będą mieli na kolejnym przystanku, może dopiero za kilka godzin. Obawiał się, że czeka go długi dzień. Musiał być przygotowany, zachować siły.

- Co wiesz? - spytała kobieta.

Cały czas nie spuszczała z niego wzroku.

- Zostałaś porwana - oznajmił. - Ja znalazłem się tu przypadkiem.

Ciągle na niego patrzyła, nadal pewna siebie, pogrążona w myślach. Wciąż nie wiedziała, czy ma do czynienia z durniem.

- To przecież jasne - powtórzył. - Nie o mnie im chodziło. Nie odpowiedziała, uniosła tylko brew.

- Nikt nie wiedział, że tam będę, nawet ja sam, póki nie znalazłem się na miejscu. A operacja została doskonale zaplanowana. To musiało wymagać czasu i rozpoznania, zgadza się? Trzej



faceci, jeden w samochodzie, dwaj na ulicy, samochód zaparkowany dokładnie naprzeciwko. Nie mieli pojęcia, gdzie będę. Ale bez wątpienia wiedzieli doskonale, gdzie ty będziesz. Nie patrz więc na mnie, jakbym to ja był idiotą. To ty popełniłaś wielki błąd.

- Błąd? - powtórzyła kobieta.

- Masz zbyt regularne nawyki - wyjaśnił Reacher. - Badali twoje zwyczaje, dwa, trzy tygodnie. Weszłaś wprost w pułapkę. Nie spodziewali się nikogo innego, to przecież jasne. Mieli tylko jedne kajdanki.

Uniósł rękę, podnosząc także jej dłoń, by podkreślić swe słowa. Kobieta długą chwilę milczała. Najwyraźniej dokonywała rewizji poglądów na temat towarzysza. Reacher za-kołysał się w rytm poruszeń ciężarówki i posłał jej uśmiech.

- A nie powinnaś popełniać takich błędów - dodał. - Jesteś agentką rządową, prawda? DE A, CIA, FBI, coś w tym stylu. Może chicagowska policja. Nowicjuszka, wciąż oddana służbie i raczej bogata. Zatem albo ktoś porwał cię dla okupu, albo, mimo że jesteś nowa, narobiłaś już komuś problemów. Tak czy inaczej, powinnaś bardziej na siebie uważać.

Popatrzyła na niego, przytaknęła. W ciemności dostrzegł szeroko otwarte oczy. Była pod wrażeniem.

- Dowody? - spytała. Uśmiechnął się ponownie.

- Kilka rzeczy. Twoje pranie. Domyślałam się, że co poniedziałek podczas przerwy na lunch zabierasz do pralni rzeczy z zeszłego tygodnia i odbierasz poprzednie. To oznacza, że musisz dysponować co najmniej piętnastoma, dwudziestoma różnymi strojami. Sądząc po tym, co masz na sobie, nie ubierasz się byle gdzie. Minimum czterysta dolców za kostium. W sumie ciuchy za ponad osiem tysięcy. To właśnie nazywam oznaką średniej zamożności - i zbytnią regularnością nawyków. Przytaknęła powoli.

- Okay - rzekła. - A czemu jestem agentką?

- To łatwe. Grożono ci glockiem<sup>17</sup>, wciągnięto do samochodu, wrzucono do ciężarówki, przykuto do obcego faceta, nie masz pojęcia, gdzie cię zabierają ani dlaczego. Normalna kobieta wpadłaby w panikę, krzyczałaby, szalała ze strachu. Ale nie ty. Ty siedzisz spokojnie, co sugeruje, że przeszłaś szkolenie, a może także oswoiłaś się z niebezpiecznymi sytuacjami. Może również wiesz, że wkrótce zaczną cię szukać jacyś ludzie.

Umilkł. Skinieniem głowy zachęcił go, by mówił dalej.

- Poza tym miałaś w torebce broń. Ciężką, może trzy-dziestkęósemkę, długa lufa. Gdyby to była prywatna spluwa, ktoś taki jak ty wybrałby coś lekkiego, na przykład dwu-dziestkędwójkę. Ale miałaś duży rewolwer, co oznacza, że ci go przydzielono. Czyli jesteś agentką albo gliną.

Kobieta ponownie skinęła głową.

- Czemu jestem nowicjuszką?

- Twój wiek - wyjaśnił Reacher. - Ile masz lat? Dwadzieścia sześć?

- Dwadzieścia siedem.

- Młoda jak na detektywa. College, kilka lat w mundurze. Jak na agentkę FBI, DEA bądź CIA także młoda. Więc cokolwiek robisz, robisz to od niedawna.

Wzruszyła ramionami.

- Okay - zgodziła się. - A oddana pracy? Reacher wskazał lewą ręką, zadźwięczały kajdanki.

- Twój uraz - powiedział. - Wróciłaś do pracy po wypadku, zanim odzyskałaś pełną sprawność. Wciąż korzystasz z kuli. Większość ludzi w takiej sytuacji zostałaby w domu na zwolnieniu.

Uśmiechnęła się.

- Mogłabym być inwalidką - podsunęła. - Taka się urodzić.

Reacher pokręcił głową w mroku.

- To kula szpitalna. Wypożyczyli ci ją na krótko, aż wyzdrowiejesz. Gdyby to było kalectwo, kupiłabyś własną kulę, może nawet tuzin, pomalowała na różne kolory, tak by pasowały do drogich strojów.

Roześmiała się - miły dźwięk pośród stałego, głośnego warkotu silnika i szumu drogi.

- Nieźle, Jacku Reacherze - powiedziała. - Od zeszłej jesieni jestem agentką FBI. Zerwałam ścięgna, grając w piłkę nożną.

- Grasz w piłkę nożną? - spytał Reacher. - Ładnie, Holly Johnson. Jaką zatem jesteś agentką od zeszłej jesieni?

Przez chwilę milczała.

- Zwykłą. Jedną z wielu w chicagowskim biurze. Reacher pokręcił przecząco głową.

- Nie jesteś zwykłą agentką, tylko agentką, która robi coś związanego z kimś, kto chciałby się zemścić. Czym się w takim razie zajmujesz?

Ona także pokręciła głową.

- Nie mogę o tym mówić. Nie z cywilem. Przytaknął. To mu nie przeszkadzało.

- Okay - rzekł.

- Każdy agent robi sobie wrogów.

- Naturalnie - odparł.

- Ja także - dodała.

Zerknął na nią. Osobliwa uwaga, defensywna. Słowa kobiety wyszkolonej, pełnej zapału i gotowej, lecz od jesieni przykutej do biurka.

- Dział finansowy? - zagadnął. Ruch głowy.

- Nie mogę o tym mówić - powtórzyła.

- Ale już zdążyłaś narobić sobie wrogów. Uśmiechnęła się lekko, jednakże uśmiech szybko zniknął z jej twarzy. Umilkła. Sprawiała wrażenie spokojnej, lecz dzięki drżeniu jej ręki Reacher wyczuł, że po raz pierwszy zaczęła się martwić. Trzymała się jednak. i myliła się.

- Nie zamierzają cię zabić - powiedział. - Mogli to zrobić na tamtym parkingu. Po co wciągać cię do tej ciężarówki? No i ta kula.

- Co z nią?

- To nie miałyby sensu. Czemu mieliby wrzucać tu kulę, gdyby zamierzali cię zabić? Jesteś zakładniczką, Holly. Na pewno nie znasz tych ludzi, nigdy wcześniej ich nie widziałaś?

- Nigdy - odparła. - Nie wiem, kim, do diabła, są ani czego ode mnie chcą.

Spojrzał na nią. Była zbyt pewna siebie. Wiedziała więcej, niż mu mówiła. Umilkli, wsłuchiwali się w hałas. Podskakiwali w rytm ruchów ciężarówki. Reacher patrzył w mrok, czuł, że Holly podejmuje decyzję. Ponownie się odwróciła.

- Muszę się ciebie pozbyć - powiedziała raz jeszcze. Zerknął na nią. Odwrócił wzrok i uśmiechnął się szeroko.

- To mi odpowiada, Holly. Im wcześniej, tym lepiej.

- Kiedy ktoś zauważy twoją nieobecność? - zapytała. Na to pytanie wolałby nie odpowiadać. Patrzyła jednak

na niego i czekała. Zastanowił się chwilę i odparł zgodnie z prawdą.

- Nigdy.

- Czemu nie? Kim ty jesteś, Reacher? Popatrzył na nią, wzruszając ramionami.

- Nikim.

Cały czas patrzyła na niego pytająco, może też z irytacją.

- No dobra, jakim nikim?

Usłyszał w głowie Memphis Slim: „Haruję w hucie, w hucie stali”.

- Jestem bramkarzem - oznajmił - w klubie w Chicago.

- Jakim klubie?

- Bluesowym, na South Side. Pewnie go nie znasz. Spojrzała na niego, potrząsając głową.

- Bramkarzem? - powtórzyła. - Nieźle sobie radzisz jak na bramkarza.

- Bramkarze bywają w najdziwniejszych sytuacjach - odparł.

Nie wyglądała na przekonaną. Pochylił się nad zegarkiem, sprawdzając godzinę. Wpół do trzeciej.  
- A ty? Kiedy ktoś zauważy twoje zniknięcie? Zerknęła na własny zegarek i skrzywiła się.  
- Jeszcze trochę - powiedziała. - O piątej po południu mam spotkanie robocze. Wcześniej nic.  
Dopiero za dwie i pół godziny zauważą, że mnie nie ma.

Wewnątrz skorupy pokoju na piętrze powstawała druga skorupa, zbudowana z nowych sosnowych desek, zbitych w zwykły sposób. Zupełnie jakby w środku starego pokoju wypączkował nowy. Lecz nowy pokój miał około trzydziestu centymetrów mniej w każdym wymiarze. Trzydzieści centymetrów krótszy, trzydzieści centymetrów węższy i trzydzieści centymetrów niższy.

Nowe legary były dłuższe od starych o trzydzieści centymetrów. Wznosiły się nad nimi niczym las krótkich drewnianych podpór, gotowych utrzymać nową podłogę. Kolejne podpory czekały na nowe ściany, trzydzieści centymetrów od starych. Nowe ściany miały barwę jasnej żółci świeżego drewna, połyskiwały pośród starych desek koloru dymnego miodu. Stare deski przypominały pradawny szkielet, wewnątrz którego wyrósł nagle nowy, młody.

Całą budowę zajmowali się trzej mężczyźni. Przeskakiwali z legara na legar z lekkością sugerującą wprawę. Wyglądali na doświadczonych fachowców i pracowali szybko. Kontrakt wymagał, by skończyli pracę na czas. Zleceniodawca bardzo to podkreślał. Szybka robota. Trzej stolarze nie narzekali. Zleceniodawca przyjął pierwszą zaproponowaną cenę, rozdmuchaną, z uwzględnionym potężnym marginesem do negocjacji. Facet jednak łyknął pierwszą propozycję; w ogóle nie negocjował. Po prostu skinął głową i polecił im rozpocząć pracę, gdy tylko skończy ekipa remontowa. Niełatwo o tak dobre zlecenia, jeszcze trudniej znaleźć kogoś, kto przyjmie pierwszą cenę, toteż trzej stolarze pracowali radośnie - ciężko, szybko i po godzinach. Bardzo chcieli zrobić dobre pierwsze wrażenie. Kiedy rozglądali się wokół, widzieli szansę na kolejne kontrakty.

Dokładali zatem wszelkich starań. Biegali po schodach, dźwigając narzędzia i świeże drewno. Pracowali na oko, zaznaczając paznokciami miejsca cięć w drewnie. Pistolety do gwoździ i piły chodziły non stop, rozgrzewając się do czerwoności. Ale co chwila przerywali pracę, by zmierzyć odstęp pomiędzy dawną konstrukcją i nową. Zleceniodawca przykładął wielką wagę do rozmiarów. Stara konstrukcja miała piętnaście centymetrów szerokości, nowa dziesięć. Odstęp trzydzieści centymetrów.

- Piętnaście i dziesięć, i trzydzieści - rzekł jeden z nich. - W sumie pięćdziesiąt pięć centymetrów. - Zgadza się? - spytał drugi szefa grupy.

- Idealnie - odparł tamten. - Dokładnie tyle, ile kazał.

Zaplanowana na piątą narada robocza Holly Johnson odbywała się w chicagowskim biurze FBI, w sali konferencyjnej na drugim piętrze. Duże pomieszczenie, ponad dziewięćdziesiąt metrów kwadratowych, niemal w całości wypełniał długi, błyszczący stół, otoczony trzydziestoma krzesłami, po piętnaście z każdej strony. Krzesła były solidne, obite skórą, stół zrobiono z pięknego drewna. Lecz choć meble kojarzyły się raczej z salą narad wielkiej korporacji, cały efekt psuła tania rządowa tapeta i wykładzina. Podłogę pokrywało ponad dziewięćdziesiąt metrów kwadratowych wykładziny i całe dziewięćdziesiąt kosztowało zapewne mniej niż jedno krzesło.

O piątej po południu latem promienie słońca wpadały do środka przez niemal całkowicie oszkloną ścianę. Ludzie wewnątrz mieli wybór. Jeśli usiedli naprzeciw okien, słońce świeciło im prosto w oczy. Musieli je mrużyć i wychodzili z narady z potwornym bólem głowy. Słońce wygrywało też z klimatyzacją, jeśli zatem ktoś usiadł tyłem do okien, wkrótce zaczynał czuć coraz większe gorąco i martwić się, czy o piątej dezodorant nadal działa. Trudny wybór. Lepiej jednak uniknąć bólu głowy, ryzykując przegrzanie, toteż pierwsi przybysze preferowali krzesła po stronie okien.

Pierwszy pojawił się prawnik FBI zajmujący się przestępstwami finansowymi. Przez chwilę stał, oceniając, ile czasu może potrwać narada. Jakies czterdzieści pięć minut, pomyślał, znając Holly. Odwrócił się zatem, próbując ustalić, na które krzesło padnie cień smukłego filara, rozdzielającego na pół przeszkloną ścianę. Smuga cienia ciemniała po lewej stronie trzeciego krzesła. Prawnik

wiedział, że w miarę upływu czasu będzie przesuwając się w stronę szczytu stołu. Zwalił swój stos teczek na blat przed drugim krzesłem, zdjął marynarkę i zajął miejsce, wieszając ją na oparciu. Potem odwrócił się i podszedł do kredensu w kącie, żeby zaparzyć sobie kawę.

Niedługo po nim zjawili się dwaj agenci, pracujący nad sprawami, które mogły łączyć się z problemem rozgryzanym przez Holly Johnson. Skinieniem głowy pozdrowili prawnika, zobaczyli, które miejsce zajął. Wiedzieli, że nie ma sensu wybrzydzać. Pozostałych czternaście krzeseł od strony okna nie różniło się niczym od siebie. Rzucili zatem papiery na najbliższe dwa miejsca i także podeszli do ekspresu.

- Nie ma jej jeszcze? - spytał jeden z nich.

- Cały dzień jej nie widziałem - odparł prawnik.

- Twoja strata, co? - rzucił drugi.

Holly Johnson była nową agentką, miała jednak talent i dzięki temu zyskała sobie sporą popularność. W dawnych czasach Biuro niechętnie zajmowało się biznesmenami, których ścigała Holly. Lecz czasy się zmieniły i pracownicy oddziału w Chicago bardzo w tym zasmakowali. Obecnie biznesmeni z kategorii uczciwych obywateli przeszli do kategorii drani. Agenci mieli dosyć oglądania ich, gdy sami musieli wracać pociągiem do domu. Wysiadali z pociągów na długo przedtem, nim bankierzy i maklerzy znaleźli się na swych kosztownych przedmieściach, cały czas myśleli o kolejnych kredytach hipotecznych, a nawet drugiej pracy. Myśleli też o latach harówki w agencjach detektywistycznych, która ich czeka, by mogli wyżyć z niskiej rządowej emerytury. Tymczasem maklerzy i dyrektorzy siedzieli naprzeciw z zadowolonymi uśmiechami. Kiedy zatem pierwsi zostali uziemieni, Biuro przyjęło to z radością. Gdy po pierwszych i drugich nadeszły kolejne dziesiątki, dwudziestki i setki, zabawa zamieniła się w krwawy sport.

Niestety, była to ciężka praca. Takich ludzi naprawdę trudno przygwoździć. Dlatego właśnie przybycie Holly Johnson okazało się wyjątkowo korzystne. Holly miała talent. Potrafiła spojrzeć na rozliczenie i natychmiast dostrzec, czy coś jest z nim nie tak. Zupełnie jakby umiała wywęszyć każdy kant. Siedziała za biurkiem, przeglądała papiery, lekko przekrzywiając głowę, i myślała. Czasami rozmyślała godzinami, kiedy jednak skończyła, wiedziała, co się dzieje i wyjaśniała to na naradzie. W jej ustach wszystko brzmiało prosto i logicznie, jakby nie istniał nawet cień wątpliwości. Była kobietą, którą czekała wspaniała przyszłość. Sprawiała, że inni agenci czuli się lepiej, kiedy siedzieli wieczorem w pociągu. Dlatego właśnie stała się tak popularna.

Czwarty w sali na drugim piętrze zjawiał się agent wyznaczony do pomocy Holly. Miał załatwiać za nią różne sprawy i nosić rzeczy, póki nie dojdzie do siebie po wypadku na boisku. Nazywał się Milošević - drobnej budowy, słaby akcent z zachodniego wybrzeża. Nie przekroczył jeszcze czterdziestki. Miał na sobie kosztowny garnitur w kolorze khaki, złoto na szyi i na ręce. Kolejny nowicjusz, niedawno przeniesiony do biura w Chicago, bo tam właśnie FBI potrzebowało specjalistów od finansów. Dołączył do kolejki i rozejrzał się po sali.

- Spóźnia się? - spytał.

Prawnik wzruszył ramionami, Milošević odpowiedział podobnym gestem. Lubił Holly Johnson, pracował z nią pięć tygodni, od dnia wypadku podczas meczu piłkarskiego, i cały czas świetnie się bawił.

- Zwykle się nie spóźnia - zauważył.

Piąty przybył Brogan, szef działu Holly, Irlandczyk z Bostonu, który długie lata spędził w Kalifornii. W średnim wieku, ale bliżej niż dalej młodości, ciemne włosy, czerwona irlandzka twarz. Twardziel, starannie ubrany w kosztowną jedwabną marynarkę. Ambitny. Zjawiał się w Chicago w tym samym czasie co Milošević. Był wkurzony, że nie trafił do Nowego Jorku. Nie mógł się doczekać awansu. Istniała teoria, że pojawienie się Holly w tym dziale zwiększa jego szansę.

- Jeszcze nie przyszła? - spytał. Pozostali czterej wzruszyli ramionami.

- Skopię jej tyłek - rzucił Brogan.

Przed zgłoszeniem się do FBI Holly pracowała jako analityk giełdowy na Wall Street. Nikt nie wiedział dokładnie, czemu zdecydowała się na zmianę. Miała jakieś kontakty na górze, miała też znanego ojca, toteż część ludzi przypuszczała, że po prostu chciała mu zaimponować. Nikt nie wiedział na pewno, czy jej się udało, ale powszechnie uważano, że stary powinien być pod wrażeniem. W tym samym roku co Holly do FBI zgłosiło się dziesięć tysięcy kandydatów, a ona znalazła się na czele listy czterystu osób, którym się udało. Spełniała wszystkie kryteria i to z nawiązką. Biuro szukało absolwentów college'ów w dziedzinie księgowości bądź prawa, albo też innych, mniej popularnych specjalności, którzy mają za sobą co najmniej trzy lata doświadczenia zawodowego. Holly spełniała te warunki. Miała dyplom księgowości z Yale, magisterium z Harvardu i do tego trzy lata

na Wall Street. Jak burza przeszła przez testy na inteligencję i oceny zdolności. Kompletnie oczarowała trzech agentów, którzy prowadzili z nią rozmowę kwalifikacyjną.

Jej przeszłość i kontakty okazały się bez skazy - nic dziwnego, zważywszy na wzmiankowane znajomości na górze -toteż trafiła do akademii FBI w Quantico, a tam poważnie wzięła się do rzeczy. Była sprawna i silna, nauczyła się strzelać, śpiewająco zaliczyła test z reakcji przywódczych, zdobyła najwyższy wynik w symulowanych strzelaninach w Hogan's Alley. Przynajmniej wszystkim jednak miała właściwe podejście. Zrobiła dwie rzeczy naraz. Po pierwsze, z entuzjazmem przyjęła etykę Biura za własną. Każdy widział od razu, że ma do czynienia z kobietą, która będzie żyła i umierała dla FBI. Po drugie jednak, uczyniła to w sposób pozwalający uniknąć jakiegokolwiek pozerstwa. Wszystko, co robiła, robiła z właściwym sobie drwiącym poczuciem humoru, które sprawiało, że ludzie nie mogli jej nienawidzić. Zamiast tego ją kochali. Bez cienia wątpliwości Biuro zdobyło sobie w jej osobie potężny atut. Szefowie posłali ją zatem do Chicago i czekali na efekty.

\* \* \*

Ostatnimi osobami, które pojawiły się w sali na drugim piętrze, była grupa mężczyzn. Trzynastu agentów i agent dowodzący, McGrath. Cała trzynastka zebrała się wokół szefa, który po drodze dokonywał analizy dalszego postępowania. Towarzysze spijali każde słowo z jego ust. McGrath był ich idolem. Oto człowiek, który trafił na szczyt, a potem wrócił z powrotem do akcji. Spędził trzy lata w Budynku Hoovera jako zastępca dyrektora FBI, po czym poprosił o degradację i obniżenie pensji oraz powrót do pracy dochodzeniowej. Decyzja ta kosztowała go dziesięć tysięcy rocznie, dzięki niej jednak odzyskał spokój

umysłu, zyskał także dogłębny szacunek i ślepe oddanie agentów, z którymi pracował.

Agent kierujący biurem lokalnym, takim jak chicagowskie, przypomina kapitana wielkiego krążownika. Teoretycznie ma nad sobą dowódców, przebywają oni jednak tysiąc kilometrów dalej, w Waszyngtonie, ich nadzór jest więc iluzoryczny. Agent dowodzący jest prawdziwy, ma władzę niemal równą boskiej. Tak pracownicy biura w Chicago traktowali McGratha, a on nie czynił niczego, by to zmienić. Trzymał się na uboczu, był jednak otwarty. Dbał o swoją prywatność, ale sprawiał, że jego ludzie wiedzieli, iż zrobi dla nich wszystko. Był niskim, przysadzistym mężczyzną kipiącym energią i rozsiewającym wokół aury pewności siebie. Sama jego obecność sprawiała, że wszyscy pracowali lepiej. Na imię miał Paul, ale wszyscy mówili na niego Mack.

Zaczekał, aż agenci usiądą, dziesięciu tyłem do okien, trzem zaś słońce świeciło prosto w oczy. Potem podniósł krzesło i postawił je u szczytu stołu, dla Holly. Przeszedł na drugą stronę, przesunął kolejne i usiadł naprzeciwko, bokiem do słońca. Powoli zaczynał się niepokoić.

- Gdzie ona jest? - spytał. - Brogan?

Szef działu wzruszył ramionami i uniosł bezradnie ręce.

- Z tego, co wiem, powinna już tu być.

- Może zostawiła wiadomość? - naciskał McGrath. -

Milošević?

Milošević, pozostałych piętnastu agentów i prawnik biura pokręcili głowami. McGrath niepokoił się coraz bardziej. Każdy człowiek ma swój wzór zachowań, pewien rytm, behawioralny odcisk

palca. Holly spóźniła się zaledwie minutę czy dwie, lecz to tak do niej nie pasowało, że w jego głowie rozbrzmiały dzwonki alarmowe. W ciągu ośmiu miesięcy nie spóźniła się ani razu, nigdy. Inni ludzie przychodzili na spotkania pięć minut później i nikogo to nie dziwiło, bo pasowało do ich wzoru. Ale nie Holly. Trzy minuty po piątej McGrath wpatrywał się w puste krzesło i już wiedział, że coś się stało. Wstał w ciszy, podszedł do kredensu. Obok ekspresu stał telefon. McGrath podniósł słuchawkę i wybrał numer swego biura.

- Dzwoniła Holly Johnson? - zapytał sekretarkę.

- Nie, Mack.

Nacisnął widelki, wystukał numer recepcji dwa piętra niżej.

- Są wiadomości od Holly Johnson? - spytał agenta dyżurnego.

- Nie, szefie - odrzekł agent. - Nie widziałem jej. McGrath ponownie się rozłączył i wywołał główną centralę.

- Dzwoniła Holly Johnson?

- Nie, proszę pana - odparła operatorka. Przyciskając ramieniem słuchawkę, gestem poprosił o długopis i kartkę. Potem znów odezwał się do operatorki:

- Podaj mi, proszę, jej numer pagera i komórkę, dobrze?

W słuchawce zatrzeszczało. McGrath zapisał oba numery, rozłączył się, wybrał pierwszy. Pager. Odpowiedział długi, niski sygnał świadczący o tym, że urządzenie wyłączone. Potem McGrath spróbował zadzwonić na komórkę. Usłyszał elektroniczny pisk i nagrany kobiecy głos, informujący, że połączenie nie może zostać zrealizowane. Odłożył słuchawkę i rozejrzał się po sali. Było dziesięć po piątej w poniedziałek.

6

O wpół do siódmej, według zegarka Reachera, pasażerowie ciężarówki poczuli, że coś się zmienia. Od sześciu godzin i czterdziestu minut jechali ze stałą prędkością, jakichs dziewięćdziesięciu-dziewięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Tymczasem upał osiągnął szczyt i zaczął ustępować. Reacher, zgrzany i zmęczony, kołysał się i podskakiwał w ciemności, oddzielony od Holly Johnson osłoną koła. W głowie odliczał odległość, dopasowując ją do mapy. Uznał, że w sumie pokonali jakieś sześćset dwadzieścia kilometrów. Nie wiedział jednak, w którą stronę. Jeśli jechali na wschód, zostawili już za sobą Indianę i właśnie opuszczali Ohio, przekraczając granice Pensylwanii bądź Wirginii Zachodniej. Jeżeli podążali na południe, zostawili za sobą Illinois i dotarli do Missouri bądź Kentucky, albo nawet (jeśli nie docenił ich prędkości) Tennessee. Gdyby posuwali się na zachód, znajdowaliby się w Iowa. Mogli też zatoczyć pętlę wokół jeziora i skierować się na północ przez Michigan albo wprost na północny zachód, wówczas zbliżaliby się do Minneapolis.

Dokądś jednak dotarli, bo ciężarówka zaczęła zwalniać. Nagle gwałtownie szarpnęła w prawo - zjazd z autostrady. Usłyszeli zgrzyt zmienianych biegów i łoskot towarzyszący jeździe po nierównej powierzchni. Kula Holly z brzękiem turlała się po karbowanej metalowej podłodze. Ciężarówka ze skowytem pokonywała kolejne wzniesienia, zatrzymywała się na niewidocznych skrzyżowaniach, przyspieszała, ostro hamowała, gwałtownie skręciła w lewo, a potem przez piętnaście minut jechała powoli po prostej, wyboistej drodze.

- Tereny rolnicze - zauważył Reacher.

- Niewątpliwie - przytaknęła Holly. - Ale gdzie?

Reacher jedynie wzruszył ramionami w mroku. Ciężarówka zwolniła jeszcze bardziej i skręciła w prawo. Powierzchnia drogi się pogorszyła. Podskakując, pokonali jakieś sto pięćdziesiąt metrów i w końcu się zatrzymali. Usłyszeli trzask drzwi kabiny. Silnik wciąż pracował, drzwi zamknęły się z hukiem. Reacher usłyszał, jak ktoś otwiera duże wrota. Ciężarówka powoli potoczyła się naprzód. Odgłos silnika odbijał się echem od metalowych ścian. Znowu zgrzyt drzwi, echo stało się głośniejsze. A potem silnik zgasł i echa ucichły.

- Jesteśmy w jakiejś stodole - powiedział Reacher. - Właśnie zamknęli drzwi.

Holly niecierpliwie skinęła głową.

- Wiem - mruknęła. - W oborze, czuję to.

Do uszu Reachera dobiegły odgłosy cichej rozmowy, następnie kroków zmierzających do drzwi ciężarówki, szcęk klucza, zgrzyt obracanej klamki. Wnętrze zalała oślepiająca fala światła. Reacher zamrugał, niemal oślepiony elektrycznym blaskiem. Ponad głową Holly ujrzał trzech mężczyzn, dwa glocki i strzelbę.

- Wychodzić - polecił przywódca.

Wciąż skuci razem, wygramolili się z wozu. Nie było to łatwe. Oboje zeszywnieli po długiej jeździe, byli poobijani, ich mięśnie protestowały. Sześć bitych godzin dawało się we znaki. Kolano Holly w ogóle odmówiło posłuszeństwa. Reacher wrócił po jej kulę.

- Zostaw ją tam, dupku - rzucił przywódca. W jego głosie dzwięczała irytacja i zmęczenie. Reacher posłał mu przeciągłe spojrzenie i wzruszył ramionami. Holly zeszywniała, próbując przenieść ciężar ciała na chorą nogę. Jęknęła z bólu i poddała się. Zerknęła obojętnie na Reachera, jakby miała do czynienia z pniem drzewa, i wyciągnęła wolną lewą rękę, obejmując jego kark. Tylko w ten sposób mogła ustać prosto. - Wybacz, proszę - mruknęła.

Przywódca machnął w lewo glockiem. Znajdowali się w dużej oborze. Nie było w niej co prawda krów, ale sądząc po smrodzie, od niedawna. Ciężarówka parkowała na środku, po obu bokach ciągnęły się boksy dla bydła, przestronne, zbudowane z zespawanych rur z galwanizowanej stali. Reacher przekręcił się, ujął przegub Holly i oboje podskakując i potykając się, ruszyli do boks wskazanego przez mężczyznę z glockiem. Holly chwyciła metalową poręcz i zarumieniła się lekko.

- Przepraszam - mruknęła ponownie. Reacher skinął głową, czekał. Kierowca trzymający w dłoni strzelbę pilnował więźniów, podczas gdy przywódca gdzieś odszedł. Pociągnął wielkie wrota i wyszedł na zewnątrz. Reacher dostrzegł przez moment ciemniejące niebo, pochmurne. Brakowało wskazówek co do tego, gdzie się znaleźli.

Przywódcy nie było przez pięć minut. W oborze panowała cisza. Pozostali dwaj porywacze stali bez ruchu, trzymając broń w pogotowiu. Nerwus z glockiem spoglądał wprost w twarz Reachera, kierowca ze strzelbą przyglądał się piersiom Holly i uśmiechał krzywo. Nikt się nie odezwał. W końcu przywódca wrócił. W dłoni niósł drugie kajdanki i dwa kawałki ciężkiego łańcucha.

- Popelniacie wielki błąd - oznajmiła Holly. - Jestem agentką FBI.

- Wiem o tym, suko - odparł. - A teraz się zamknij.

- To poważne przestępstwo - nie ustępowała Holly.

- Wiem o tym, suko - powtórzył tamten - i kazałem ci się zamknąć. Jeszcze jedno słowo, a strzelę gościowi w głowę. Wówczas spędzisz noc przykuta do trupa.

Zaczekał, póki nie skinęła głową. Potem kierowca zajął pozycję za nimi, przywódca rozpiął kajdanki i uwolnił ich ręce. Jeden z łańcuchów zarzucił na rurę. Wolne końce przypiął do drugiej bransolety kajdanek zwisających z lewej ręki Reachera. Pociągnął i szarpnął, sprawdzając, czy wszystko trzyma. Następnie zawlókł Holly dwa boksy dalej i za pomocą nowego łańcucha i kajdanek ją także przykuł do rury, siedem metrów od Reachera. Jej kolano odmówiło posłuszeństwa; upadła ciężko, jęcząc z bólu, wprost na brudną słomę. Porywacz to zignorował. Wrócił do Reachera i stanął tuż przed nim.

- Kim ty właściwie jesteś, dupku? - spytał.

Reacher nie odpowiedział. Wiedział, że kluczyki do kajdanek tkwią w kieszeni przywódcy. Wiedział, że skręcenie mu karku łańcuchem wiszącym z przegubu zajęłoby mu półtorej sekundy. Ale pozostali dwaj znajdowali się poza jego zasięgiem. Jeden glock, jedna strzelba. Za daleko, by je złapać, nim zdąży się uwolnić, za blisko, by ryzykować. Miał do czynienia z całkiem sprawną trójką przeciwników. Zatem jedynie wzruszył ramionami, spoglądając na słomę leżącą u stóp. Lepiła się od łajna.

- Zadałem ci pytanie - rzucił tamten.

Reacher uniósł wzrok. Kątem oka dostrzegł, jak nerwus unosi wyżej glocka.

- Zadałem ci pytanie, dupku - powtórzył cicho przywódca.

Glock nerwusa przesunął się naprzód i zamarł na wysokości ramienia, celując wprost w głowę Reachera. Lufa drżała lekko, zataczając niewielkie kółka, lecz prawdopodobnie nie dość, by tamten spudłował. Nie z tak bliska. Reacher poszukał wzrokiem kierowcy. Mężczyzna ze strzelbą oderwał wzrok od piersi Holly. Uniósł broń do biodra, celując w stronę Reachera. W ręku miał ithakę 37, dwunastkę, wersję pięcio-strzałową, z kolbą pistoletową. Załadował właśnie pocisk; zgrzyt mechanizmu odbił się głośnym echem w oborze. Po chwili echo zamarło i znów nastąpiła cisza. Reacher dostrzegł, że cyngiel porusza się, pokonując pierwszy milimetr swej krótkiej trasy.

- Nazwisko? - spytał przywódca.

Kolejny milimetr. Gdyby strzelba wypaliła pod tym kątem, Reacher straciłby obie nogi i większą część brzucha.

- Nazwisko? - spytał po raz drugi przywódca. Dwunastka nie zabiłaby go od razu, ale wykrawiłby się

na śmierć na brudną słomę. Przerwana tętnica udowa - konałby minutę, może półtorej. W tych okolicznościach nie było sensu zatajać nazwiska.

- Jack Reacher - powiedział.

Przywódca przytaknął z zadowoleniem, jakby odniósł pierwsze zwycięstwo.

- Znasz tę sukę? - spytał. Reacher zerknął na Holly.

- Lepiej niż większość ludzi. Przez ostatnich sześć godzin byłem do niej przykuty.

- Mądrała z ciebie, co, dupku? Reacher pokręcił głową.

- Jestem tylko przypadkowym przechodniem - odparł. - Nigdy przedtem jej nie widziałem.

- Pracujesz w FBI? - spytał mężczyzna. Reacher ponownie pokręcił głową.

- Jestem bramkarzem w klubie w Chicago.

- Na pewno, dupku? Skinienie głowy.

- Na pewno - powiedział Reacher. - Dostateczny ze mnie mądrała, żebym pamiętał, jak zarabiam na życie.

Przez długą chwilę wszyscy milczeli. Napięcie rosło. W końcu nerwus z glockiem zmienił pozycję, kierowca opuścił strzelbę tak, że celowała w zasłaną słomą podłogę. Odwrócił głowę, znów koncentrując się na piersiach Holly. Przywódca przytaknął.

- W porządku, dupku - rzucił. - Zachowuj się, a przeżyjesz. To samo dotyczy suki. Nikomu nic się nie stanie, przynajmniej na razie.

Trzej mężczyźni zawrócili i razem wyszli z obory. Nim zamknęli drzwi, Reacher ponownie dostrzegł niebo, ciemniejsze, wciąż zachmurzone. Ani śladu gwiazd, żadnych wskazówek. Sprawdził łańcuch - bezpiecznie przypięty z jednej strony do kajdanek, z drugiej okrążający rurę, długi na jakieś dwa metry. Słyszał, że Holly robi to samo - naciąga łańcuch, sprawdzając, w jakim promieniu może się poruszać.

- Zechciałbyś odwrócić wzrok? - zawołała.

- Czemu? - odkrzyknął.

Krótką ciszą, w końcu westchnieniem, pełne wstydu i irytacji.

- Naprawdę musisz pytać? Przez sześć godzin siedzieliśmy w ciężarówce. Nie było tam łazienki.

- Idziesz do sąsiedniego boksu? Owszem - przytaknęła.

)« W porządku - rzekł. - Ty idź w prawo, a ja w lewo. Nie będę patrzył, jeśli i ty nie zaczniesz podglądać.

\* \* \*

Po godzinie trzech porywacze wrócili do obory, niosąc jedzenie - dla obojga gulasz wieprzowy w metalowej menażce, składający się głównie z krwistych kawałków steków i mnóstwa niedogotowanych marchewek. Kimkolwiek byli, gotowanie nie należało do ich specjalności. Wręczyli także obojgu więźniom emaliowane kubki pełne słabej kawy. Potem wsiedli do ciężarówki, uruchomili silnik i wyjechali z obory. Zgasili światło. Reacher przez moment ujrzał



rozciągającą się za drzwiami mroczną pustkę. Potem zatrzasnęli wrota i zamknęli na klucz, pozostawiając więźniów w ciszy i ciemności.

- Stacja benzynowa! - zawołała Holly. - Zatankują na resztę drogi. Nie mogli tego zrobić, gdy siedzieliśmy w środku. Bali się, że zaczniemy walić w ścianę i wzywać pomocy. Reacher przytaknął i dokończył kawę. Dokładnie oblizał widelec, odgiął jeden z ząbków pod kątem prostym i naciskając paznokciem kciuka, zakrzywił sam czubek, tworząc haczyk. Za jego pomocą rozpiął kajdanki. Zabrało mu to w sumie osiemnaście sekund. Rzucił kajdanki i łańcuch na ziemię, podszedł do Holly, pochylił się i uwolnił jej przegub. Dwanaście sekund. Pomógł dziewczynie wstać.

- Bramkarz, co? - rzuciła.

- Zgadza się - odparł. - Rozejrzyjmy się.

- Nie mogę chodzić - powiedziała. - Moja kula została w ciężarówce.

Reacher kiwnął głową. Holly oparta o kratę obserwowała go ze swego boksu. Szybko zwiedził wielką, pustą oborę. Zbudowano ją solidnie, z metalu, tego samego, z którego zrobiono kraty boksów. Ogromne wrota były zamknięte od zewnątrz. Pewnie na stalową kłódkę. Poradziłby z nią sobie, gdyby miał ją w rękach. Ale niestety, był w środku, a ona na zewnątrz.

Ściany z metalowych płyt, długich na dziesięć metrów, wysokich na metr, łączyły ze sobą i z betonową podłogą mocno przyśrubowane kątowniki z metalu. Każdy odstawał od powierzchni na jakieś piętnaście centymetrów. Przypominało to olbrzymią drabinę ze stopniami co metr.

Reacher wdrapał się na górę, szybko podciągając się z jednego kątownika na drugi. Wyjście czekało na samym szczycie, siedem płyt od ziemi, siedem metrów. Między ścianą a ukośnym metalowym dachem pozostała szczelina wentylacyjna szeroka na jakieś czterdzieści pięć centymetrów. Człowiek mógł przycisnąć się przez nią bokiem, poziomo, niczym staroświecki skoczek wzwyż. Zawisnąć na rękach i zeskoczyć na ziemię.

On mógł to zrobić, ale nie Holly Johnson. Nie zdołałaby nawet podejść do ściany, nie dałaby się rady wdrapać i z całą pewnością nie zeskoczyłaby na ziemię z takiej wysokości. Nie przy zerwanych ścięgnach.

- Dalej! - zawołała do niego. - Wynoś się stąd, natychmiast!

Puścił jej słowa mimo uszu, wyglądając przez szczelinę w mrok. Okap mocno ograniczał widok. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, widział pustą przestrzeń. Zszedł i sprawdził kolejne trzy ściany. Za drugą rozciągała się pustka, podobnie jak za pierwszą. Z trzeciej widać było dom, białe gonty, światła w dwóch oknach. Po czwartej stronie obory ujrzał rolniczą drogę, jakieś sto pięćdziesiąt metrów do szosy, a dalej pustkę. W dali rozbłysły samotne światła, mrugały i podskakiwały. Rosły w oczach, zbliżały się. Ciężarówka wracała.

- Widzisz, gdzie jesteśmy? - zawołała Holly.

- Nie mam pojęcia - odkrzyknął Reacher. - Tereny rolnicze. To może być wszędzie. Gdzie hoduje się krowy i uprawia pola?

- Widzisz pagórki - spytała Holly - czy płaski teren?

- Nie wiem. Jest za ciemno. Może lekko pofałdowany.

- To może być Pensylwania - doszła do wniosku Holly. - Mają tam wzgórza i krowy.

Reacher zsunął się z czwartej ściany i wrócił do jej boksu.

- Na miłość boską, zjeżdżaj stąd. Podnieś alarm. Pokręcił głową. Usłyszał odgłos silnika diesla; ciężarówka skręcała na podjazd.

- To nie najlepszy wybór - rzekł. Holly patrzyła na niego.

- A kto ci daje jakiś wybór? Ja tu rozkazuję. Jesteś cywilem. Pracuję w FBI i rozkazuję ci uciekać w bezpieczne miejsce.

Reacher jedynie wzruszył ramionami, stojąc bez ruchu.

- Rozkazuję ci, słyszysz? - powtórzyła Holly. - Posłuchasz mnie?

Reacher pokręcił głową.

- Nie - rzucił.

Spojrzała na niego gniewnie - a potem nadjechała ciężarówka. Usłyszeli ryk diesla i jęk resorów na wyboistej drodze. Reacher zamknął kajdanki Holly, biegiem wrócił do własnego boksu. Trzask drzwi samochodu, kroki na betonie. Reacher przykuł swój przegub do kraty i rozgiął widelec. Kiedy drzwi obory się otworzyły i rozbłysło światło, siedział spokojnie na słomie.

Materiał, którym wypełniono pięćdziesięciopięciocen-tymetrową przestrzeń pomiędzy starymi ścianami zewnętrznymi i nowymi wewnętrznymi przywieziono z magazynu otwartą ciężarówką. W sumie była go tona, co wymagało czterech nawrotów. Każdym kolejnym ładunkiem starannie zajmowała się grupa złożona z ośmiu ochotników. Pracowali razem niczym staroświecka ekipa strażaków podających sobie wiadro. Każde pudło przekazywali z rąk do rąk, do budynku, po schodach, na piętro. Ustawiali je w korytarzu przed przebudowanym narożnym pokojem. Trzej robotnicy otwierali kolejne pudła i zanosili materiał do środka. Następnie układali go ostrożnie w szerokiej przestrzeni pomiędzy ścianami. Wówczas prowadzący rozładunek zwykle odpoczywali chwilę, wdzięczni za krótką przerwę.

Cały proces zabrał większą część popołudnia. Sprawiała to zarówno ilość materiału, jak i ostrożność, z jaką go przenoszono. Ośmiu ochotników pożegnało się, gdy ostatni, czwarty ładunek trafił na górę. Siedmiu wróciło do jadalni, ósmy przeciągnął się w ostatnich promieniach popołudniowego słońca i odszedł w drugą stronę. Taki miał nawyk. Cztery, pięć razy na tydzień wyprawiał się na długi, samotny spacer, zwłaszcza po ciężkiej pracy. Ponoć w ten sposób odpoczywał.

Leniwym spacerkiem dotarł do lasu i skierował się ścieżką na zachód. Wokół panowała cisza. Po ośmiuset metrach mężczyzna zatrzymał się i znów przeciągnął. Pod pretekstem rozruszania zmęczonych mięśni i kręgosłupa rozejrzał się dokładnie. Potem skręcił ze ścieżki i gwałtownie przyspieszył kroku. Wymijając drzewa, zatoczył pętlę, kierując się na zachód, a potem na północ. Zmierzał wprost do jednego szczególnego drzewa. Wśród igieł pod jego pniem leżał duży płaski kamień. Mężczyzna zatrzymał się, nasłuchiwał chwilę, następnie pochylił się i dźwignął głaz. Pod nim tkwiło coś prostokątnego, zawiniętego w naoliwioną szmatkę. Rozwinął pakunek - mały, ręczny nadajnik. Wyciągnął krótką antenę, nacisnął guzik i czekał. A potem zaczął szeptać z podnieceniem, przekazując długą wiadomość.

\* \* \*

Kiedy w starym budynku znów zapanował spokój, zleceniodawca pojawił się z nowymi, osobliwymi instrukcjami. Trzej robotnicy nie zadawali pytań, słuchali uważnie. Facet miał prawo do dziwacznych życzeń. Nowe polecenia oznaczały, że musieli parę rzeczy zrobić na nowo. W tych okolicznościach to nie problem. Nawet lepiej, bo zleceniodawca zaproponował im solidną premię. Cieśle pracowali szybko. Całe zadanie zabrało im mniej czasu, niż sądzili. Nim jednak skończyli, zapadł wieczór. Najmłodszy został z tyłu, pakował narzędzia i zwijał kable. Szef zespołu i jego towarzysz pojechali w ciemności na północ i zaparkowali dokładnie tam, gdzie polecił im zleceniodawca. Wysiedli z furgonetki i czekali w milczeniu. - Tutaj! - zawołał zleceniodawca. - Na samym końcu. Weszli do środka. Wewnątrz panowała ciemność, on czekał już na nich gdzieś wśród cieni.

- Przydadzą się wam deski? - spytał. i Ujrzeni przed sobą stos starych sosnowych desek. • - To solidne drewno - dodał. - Może dacie radę je wykorzystać, coś jak recykling. No nie?

Obok desek na ziemi leżało coś jeszcze. Coś dziwnego. Dwaj cieśle przyglądali się w ciszy. Dziwne, skulone kształty. Patrzyli na nie, a potem spojrzeli po sobie i odwrócili się gwałtownie. Zleceniodawca uśmiechnął się do nich, unosząc czarny pistolet.

\* \* \*

Agent FBI obsługujący samotną stację satelitarną miał dość rozumu, by pojąć, że to coś ważnego. Nie wiedział dokładnie dlaczego, ale ich tajny informator nie zaryzykowałby przekazania

wiadomości radiowej bez istotnego powodu. Wprowadził zatem szczegóły do komputera FBI. Jego raport powędrował po sieci i trafił do potężnych komputerów na parterze siedziby głównej FBI, Budynku Hoovera w Waszyngtonie. Komputery w Budynku Hoovera przetwarzają więcej nowych raportów dziennie niż dzień liczy sobie sekund. Trzeba było zatem dłuższej chwili, by właściwy program przeskanował treść, wybierając słowa kluczowe. Kiedy to uczynił, zapisał raport w pamięci i czekał.

W tym samym momencie system zarejestrował wiadomość z biura FBI w Chicago. Jego szef, agent McGrath, meldował, że stracił jednego ze swoich ludzi. Agentka Holly Johnson zaginęła. Ostatnio widziano ją o dwunastej czasu Chicago. Obecne położenie nieznane. Próby nawiązania kontaktu nie przyniosły rezultatu. A ponieważ Holly Johnson była szczególną osobą, wiadomość opatrzone dodatkowym kodem tajności, który sprawił, że nie trafiła na każdy terminal w budynku, lecz wprost na samą górę, do biura dyrektora.

\* \* \*

Dyrektor FBI zakończył naradę budżetową tuż przed wpół do ósmej wieczór. Wrócił do swego gabinetu i sprawdził wiadomości. Nazywał się Harland Webster, pracował w Biurze od trzydziestu sześciu lat. Został mu jeszcze rok na stanowisku dyrektora, potem emerytura. Nie szukał zatem kłopotów, znalazł je jednak na ekranie monitora. Otworzył raport, przeczytał go dwukrotnie, westchnął głośno.

- Kurwa - rzucił. - Kurwa, kurwa, kurwa.

Raport od McGratha w Chicago nie był najgorszą wiadomością, jaką Webster dostał w ciągu swej trzydziestosześcioletniej kariery. Ale prawie. Nacisnął interkom na biurku, odpowiedziała sekretarka.

- Połącz mnie z McGrathem w Chicago - polecił.

- Czeka na linii - oznajmiła - od dłuższego czasu. Webster mruknął pod nosem i nacisnął guzik. Uruchoił

głośnik telefonu i odchylił się w fotelu.

- Mack? - spytał. - Co się dzieje?

Z głośnika dobiegł wyraźny głos McGratha.

- Cześć, szefie. Nic nie wiemy. Przynajmniej na razie. Może za wcześnie się martwimy, ale miałem złe przeczucie, kiedy nie pokazała się na naradzie. Wiesz, jak to jest.

- Jasne, Mack - odparł Webster. - Może zamęczysz mi w głowie jakimiś faktami.

- Nie mamy żadnych faktów - przyznał McGrath. - Nie zjawiała się na naradzie o piątej. Wydało mi się to dziwne. Nikt nie dostał żadnej wiadomości. Jej pager i telefon komórkowy nie działają. Popytałem tu i ówdzie. Po raz ostatni widziano ją około dwunastej.

- Była dziś rano w biurze?

- Cały ranek.

- Miała umówione spotkania przed piątą?

- W kalendarzu niczego nie znalazłem. Nie wiem, co i gdzie robiła.

- Chryste, Mack - westchnął Webster. - Miałaś się nią opiekować, trzymać ją z dala od kłopotów.

- Podczas przerwy na lunch? Co do diabła mogłem zrobić?

W gabinecie dyrektora zapadła cisza. Przerzywał ją jedynie cichy pomruk w głośniku telefonu. Webster zabębnił palcami o blat biurka.

- Nad czym pracowała? - spytał.

- Zapomnij - odparł McGrath. - Możemy założyć, że żaden podejrzany nie ma z tym nic wspólnego. W jej przypadku to nie miałoby sensu.

Webster skinął głową.

- Zgadza się, w jej przypadku nie. Co jeszcze mamy?

- Była ranna - powiedział McGrath. - Zerwała ścięgna w kolanie, grając w piłkę. Pomyśleliśmy, że może upadła, coś jej się pogorszyło, wylądowała na pogotowiu. W tej chwili sprawdzamy szpitale.

Webster mruknął pod nosem.

- Albo też jest jakiś facet, o którym nam nie wiadomo - dodał McGrath. - Może są gdzieś razem w hotelu i się pieprzą.

- Przez sześć godzin? - spytał Webster. - Chciałbym mieć tyle szczęścia.

Znów cisza. Nagle Webster się wyprostował.

- W porządku, Mack - rzucił. - Wiesz, co masz robić. I wiesz, czego nie robić. Zwłaszcza w takiej sytuacji. Bądź w kontakcie. Muszę iść do Pentagonu. Wrócę za godzinę. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebował.

Webster przerwał połączenie i ponownie wywołał sekretarkę, żeby wezwała jego wóz. Potem ruszył do prywatnej

windy i zjechał na podziemny parking. Kierowca już czekał. Razem ruszyli do kuloodpornej limuzyny dyrektora.

- Do Pentagonu - polecił Webster.

\* \* \*

Ruch nie był nawet taki zły jak na poniedziałkowy, czerwcowy wieczór. Pokonanie czterech kilometrów zabrało około jedenastu minut. Przez cały ten czas Webster dzwonił z komórki w różne miejsca, położone tak blisko, że prawdopodobnie wystarczyłoby, żeby krzyknął przez okno. A potem wielki samochód zatrzymał się przed Bramą Rzeczną Pentagonu. Podeszedł do nich pełniący wartę żołnierz piechoty morskiej. Webster wyłączył telefon i otworzył okno, by dokonać rytuału identyfikacji.

- Dyrektor FBI do szefa połączonych sztabów. Wartownik zaszalutował i gestem pozwolił im jechać.

Webster podniósł okno, czekając, aż się zatrzymają. Potem wysiadł i skręcił w drzwi służbowe. Szybko dotarł do gabinetu szefa. Jego sekretarka już czekała.

- Proszę wejść - powiedziała. - Generał zjawi się za chwilę.

Webster wmaszerował do gabinetu i czekał na stojąco. Wyglądał przez okno. Widok był wspaniały, choć zabarwiony osobliwie metalicznie - okno zrobiono z półprzepuszczalnego, kuloodpornego mylaru. Wychodziło na zewnątrz budynku tuż obok Bramy Recznej, dlatego wymagało ochrony. Webster widział swój samochód i czekającego obok kierowcę. Za nim rozciągała się panorama stojącego po drugiej stronie Potomacu Kapitolu. W ostatnich promieniach zachodzącego słońca dostrzegł odległe żaglówki. Niezły gabinet, pomyślał. Lepszy niż mój.

Spotkanie z szefem połączonych sztabów stanowiło dla dyrektora FBI pewien problem. Oto dyplomatyczna osobliwość. Spotkanie, w którym nie istnieje sztywna hierarchia. Kto właściwie nad kim górował? Obaj byli urzędnikami mianowanymi przez prezydenta. Obu od szefa państwa dzielił jeden pośrednik, sekretarz obrony bądź prokurator generalny. Szef połączonych sztabów to najwyższe wojskowe stanowisko w kraju. Dyrektor FBI - najwyższe stanowisko policyjne. Obaj znaleźli się na samym szczycie swoich hierarchii - ale która sięgała wyżej? Websterowi nie dawało to spokoju. Sam przed sobą musiał przyznać, iż dzieje się tak, bo mimo wszystko to on stoi niżej. Kontrolował budżet wysokości dwóch miliardów dolarów, miał pod sobą około dwudziestu pięciu tysięcy ludzi. Szef połączonych sztabów dysponował budżetem dwustu miliardów i blisko milionem ludzi. Dwoma milionami, jeśli dodać Gwardię Narodową i oddziały rezerwy. Szef odwiedzał Gabinet Ovalny mniej więcej raz w tygodniu, Webster, jeśli miał szczęście, trafiał tam dwa razy w roku. Nic dziwnego, że facet ma lepszy gabinet.

Sam szef połączonych sztabów także był imponującą postacią. Czterogwiazdkowy generał, niezwykle szybko awansował. Przybył znikąd, wspinał się w wojskowej hierarchii w takim tempie, że krawiec ledwo nadążał naszywać mu na mundur kolejne baretki. Mógłby załamać się pod ciężarem własnych medali. A potem porwano go do Waszyngtonu, a on podbił to miejsce, jakby stanowiło kolejny cel wojskowy. Webster usłyszał poruszenie w przedpokoju i odwrócił się, by powitać właściciela gabinetu.

- Dzień dobry, generale - rzekł.

Szef połączonych sztabów niedbale skinął ręką i uśmiechnął się szeroko.

- Chce pan kupić parę pocisków? - spytał. Webster spojrział na niego ze zdumieniem.

- A sprzedaje pan? Jakie pociski?

Jego rozmówca pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Żartowałem - rzekł. - Ograniczenia traktatowe. Rosjanie pozbyli się bazy bombowców na Syberii, więc my musimy teraz zrezygnować z rakiet, które w nią celowały. Takie mamy zobowiązania, musimy grać uczciwie. Te większe sprzedajemy Izraelowi. Pozostało nam jednak kilkaset małych, stingerów, ziemia-powietrze. Mamy je na zbyciu. Czasem myślę, że powinniśmy sprzedać je handlarzom narkotyków. Wszystko inne i tak dostają, kiedy tylko zechcą. Są uzbrojeni lepiej od nas.

Generał, nie przestając mówić, podszedł do fotela i usiadł. Webster przytaknął. Widział, jak prezydent postępuje podobnie. Opowiada dowcip, lekką anegdotę, żeby przełamać lody, oswoić rozmówcę. Generał odchylił się i uśmiechnął.

- Co mogę dla pana zrobić, dyrektorze? - spytał.

- Dostaliśmy raport z Chicago - oznajmił Webster. - Pańska córka zaginęła.

8

W Chicago salę na drugim piętrze zamieniono do północy w centrum dowodzenia. Cały wieczór roilo się tam od techników FBI, którzy zakładali linie telefoniczne i instalowali terminale komputerowe, ustawione w rzędzie na długim stole konferencyjnym. Teraz, o dwunastej, w sali było ciemno, chłodno i cicho. Za szklaną ścianą wszystko spowijała głęboka czerń. Nikt nie musiał starać się zająć miejsca po lepszej stronie stołu.

Żaden z uczestników narady nie wrócił do domu. Na obitych skórą krzesłach wciąż siedziało siedemnastu agentów. Nawet prawnik pozostał na miejscu. Bez specjalnego powodu; po prostu, podobnie jak pozostali, czuł się odpowiedzialny - na wszystkich trzech poziomach. Biuro dba o swoich ludzi, to poziom pierwszy. Biuro w Chicago dba o Holly Johnson, to poziom drugi; nie tylko z powodu jej kontaktów. Tu chodziło o coś więcej. Holly to Holly. I pozostał jeszcze poziom trzeci. Jeśli McGrath czegoś chce, dostaje to. Skoro McGrath martwił się o Holly, to wszyscy się martwili i musieli się martwić, póki jej nie znajdą. Całej i zdrowej. Zatem nadal siedzieli i czekali, denerwując się w milczeniu, póki w drzwiach nie stanął roześmiany McGrath. Głośno wpadł do środka, paląc z zapalem papierosa, jakby zależało od tego jego życie.

- Mam dobre wieści, ludzie. Słuchajcie, słuchajcie! - zawołał.

Przemknął się na szczyt stołu. Wszystkie szepty umilkły. Osiemnaścioro par oczu obserwowało każdy jego ruch.

- Znaleźliśmy ją - oznajmił. - Znaleźliśmy ją, jasne? Jest cała i zdrowa. Koniec paniki. Wszyscy możemy odпочać.

Osiemnaście głosów przemówiło jednocześnie, zadając te same naglące pytania. McGrath uniósł ręce niczym polityk na wiecu, nakazując, by się ucisz yli.

- Jest w szpitalu - powiedział. - Oto, co się stało. Jej chirurg niespodziewanie dowiedział się, że dzisiaj ma okienko. Zadzwo nił do niej, pojechała natychmiast, zabrali ją wprost na oddział operacyjny. Czuje się dobrze, dochodzi do siebie i strasznie jej głupio z powodu całego tego zamieszania.

Osiemnaście głosów znów przemówiło i McGrath pozwolił im wyrazić ulgę. Potem raz jeszcze uniósł ręce.

- A zatem możemy przestać panikować - powtórzył z uśmiechem.

Głosy poweselały, dźwięczała w nich wyraźna ulga.

- No, ludzie, czas wracać do domów - oświadczył McGrath. - Jutro zwykły dzień pracy, ale dzięki, że tu byliście. Dla mnie i dla Holly. To dla niej wiele znaczy. Brogan i Milošević, zostańcie chwilę. Zastąpicie ją do końca tygodnia, przydzielę wam obowiązki. A co do reszty, dobranoc, panowie.

Śpijcie dobrze i raz jeszcze dziękuję.

Piętnastu agentów i prawnik uśmiechnęło się i wstało, ziewając. Weszło gawędząc, opuścili salę, pozostawiając McGratha, Brogana i Miloševicza siedzących samotnie przy stole z dala od siebie. W nagłej ciszy McGrath podszedł do drzwi, zamknął je delikatnie, odwrócił się i popatrzył na pozostałych.

- To wszystko bzdury - oznajmił - i jestem pewien, że obaj to odgadliście.

Brogan i Milošević wpatrywali się w niego w milczeniu.

- Zadzwoił do mnie Webster - ciągnął McGrath. - Na pewno domyślacie się czemu. Waszyngton mocno się zaangażował. Dostają tam szalu. Porwanie VIP-a, jasne. Webster odpowiada za sprawę osobiście. Życzy sobie absolutnej dyskrecji i minimalnej liczby ludzi. Chce, żeby wszyscy zostawili sprawę oprócz mnie i dwuosobowego zespołu. Sam mogę go sobie dobrać. Wybrałem was, bo znacie ją najlepiej. W sumie zatem jest nas trzech. Podlegamy bezpośrednio Websterowi, z nikim nie rozmawiamy. Jasne?

Brogan spojrział na niego i skinął głową. Milošević także. Wiedzieli, że są oczywistymi kandydatami. Lecz niezależnie od przyczyn fakt, iż McGrath kogoś wybrał, stanowił ogromny zaszczyt. Zdawali sobie z tego sprawę. A także z tego, że McGrath dobrze wie, iż oni wiedzą. Ponownie zatem skinęli głowami - energicznie, stanowczo. Na długą chwilę w sali zapadła cisza. Dym z papierosa McGratha szybował powoli w górę w stojącym powietrzu. Zegar na ścianie wskazywał wpół do pierwszej w nocy.

- W porządku - powiedział wreszcie Brogan. - Co teraz?

- Teraz? Pracujemy całą noc - odparł McGrath. - Dzień i noc, póki jej nie znajdziemy.

Przyjrzał się obu mężczyznom, ponownie analizując swój wybór. Dobry zespół, pomyślał, świetne połączenie. Brogan był starszy, bardziej opanowany, pesymista. Szczupły mężczyzna o uporządkowanym podejściu do pracy, doprawionym dostateczną dawką wyobraźni, by dobrze spisywał się w swej roli. W życiu prywatnym chaos, dziewczyna, parę byłych żon kosztujących mnóstwo pieniędzy i zmartwień.

Nigdy jednak nie wpływało to na jego pracę. Milošević był młodszy, lubił zabłysnąć, rzadziej kierował się intuicją, ale pozostawał solidnym agentem. Zawsze u czyjegoś boku, co niekoniecznie musi stanowić wadę. Miał słabość do wielkich, drogich wozów z napędem na cztery koła. Lecz każdy potrzebuje prywatnego hobby. Obaj mieli spory staż w Biurze. Mnóstwo mil na liczniku i skalpów u pasa. Obaj oddani pracy, nie uskarżali się na żadne trudności ani nadgodziny. Ani też na pensje, co wyróżniało ich spośród innych. Zgrany zespół. Nowi w Chicago, lecz to śledztwo z pewnością wyjdzie poza to miasto. McGrath nie wątpił w to ani przez moment.

- Milo, musisz wyśledzić każdy jej ruch - polecił. - Każdy krok, każdą minutę od dwunastej.

Milošević krótko skinął głową, jakby w myślach zajmował się już tym problemem.

- Brogan, pogrzeb w przeszłości. Musimy znaleźć jakiś powód.

Brogan przytaknął ponuro, świadom, iż powód może stanowić początek i koniec rozgrywki.

- Zaczynamy od starego? - spytał.

- Jasne - odparł McGrath. - Sam bym tak zrobił.

- W porządku, co najpierw?

- Twój wybór - rzekł McGrath. - Sam decyduj.

\* \* \*

Dwa tysiące siedemset dwadzieścia trzy kilometry dalej zapadała właśnie kolejna ważka decyzja. Decyzja dotycząca trzeciego stolarza. Zleceniodawca wrócił do białego budynku ciężarówką szefa ekipy. Trzeci cieśla skończył już pakować narzędzia. Na widok wozu postąpił krok naprzód, potem zatrzymał się zaskoczony, ujrawszy potężną postać za kierownicą. Czekał, niepewny, podczas gdy zleceniodawca zaparkował przy krawężniku i dźwignął się z fotela.

- W porządku? - spytał.

- Gdzie chłopaki?

- Coś ich zatrzymało - odparł zleceniodawca. - Jakiś drobiazg.

- Problemy?

Cieśla umilkł, bo myślał o swej części zarobku. Małej, owszem, bo był najmłodszy w zespole, ale nawet niewielka część akurat tej zapłaty to więcej gotówki, niż oglądał od bardzo dawna.

- Ma pan może piłę? - spytał zleceniodawca. Cieśla jedynie spojrzał na niego.

- No tak, głupie pytanie. Jest pan przecież cieślą, a ja pytam, czy ma pan piłę. Proszę mi pokazać swoją najlepszą piłę.

Robotnik przez chwilę stał bez ruchu, potem przykucnął i ze stosu narzędzi wyciągnął piłę mechaniczną, potężną i paskudną - matowy metal, zębata, okrągła tarcza, wszystko pokryte świeżymi trocinami.

- Ostra? - dopytywał się zleceniodawca. - Nadaje się do przecinania twardych materiałów?

Cieśla przytaknął.

- Sprawdza się - rzekł ostrożnie.

- W porządku, oto co zrobimy - oznajmił zleceniodawca. - Potrzebna nam demonstracja.

-Piły?

Pokoju - wyjaśnił tamten. - Pokoju? - powtórzył cieśla.

- Ponoć nikt nie zdoła się z niego wydostać - oznajmił zleceniodawca. - O to przecież chodziło, zgadza się? - «• Pan go zaprojektował.

- Ale wyście go zbudowali, czy nie tak? O to właśnie chodzi. Potrzebujemy próby, demonstracji świadczącej, że pokój spełnia swoje zadanie.

- Zgoda. Jak to zrobimy?

- Wejdiesz tam - polecił zleceniodawca - i zobaczysz, czy zdołasz wydostać się do rana. To ty budowałeś ten pokój, znasz wszystkie słabe punkty. Jeśli ktokolwiek zdoła się z niego wydostać, to właśnie ty. Czy nie mam racji?

Jego towarzysz długą chwilę milczał, próbując zrozumieć.

- A jeśli mi się uda? - zapytał w końcu. Zleceniodawca wzruszył ramionami.

- Wówczas nie dostaniesz zapłaty, bo źle się spisałeś. Cieśla znów umilkł, zastanawiając się, czy zleceniodawca żartuje.

- Dostrzegasz skazę na mojej logice? Myślisz sobie w tej chwili, że w twoim najlepszym interesie leży po prostu przesiedzieć całą noc na tyłku, a rano powiedzieć: nie, proszę pana, nie dałem rady się wydostać, nie ma siły.

Cieśla roześmiał się krótko, nerwowo.

- Coś w tym stylu - przyznał.

- Potrzebujesz zatem zachęty - oświadczył zleceniodawca - rozumiesz? Żebyśmy mieli pewność, że naprawdę się postarasz.

Cieśla uniósł wzrok i zerknął ku zabitym deskami oknom pokoju na piętrze. Kiedy znów spojrzał przed siebie, ujrzał tkwiący w dłoni zleceniodawcy matowo czarny pistolet.

- W ciężarówce jest worek - oznajmił zleceniodawca. -Przynieś go, dobrze?

Robotnik jedynie rozejrzał się oszołomiony. Jego rozmówca wycelował mu w głowę.

- Przynieś worek - powtórzył cicho.

Na pace nic nie leżało. Na siedzeniu pasażera spoczywał brezentowy worek, zwinięty w paczkę, długą na jakieś czterdzieści pięć centymetrów. Był ciężki, w dotyku przypominał wydobyty z zamrażarki na targu połącz wieprzowego mięsa.

- Otwórz - polecił zleceniodawca. - Zajrzyj do środka. Cieśla rozwinął brezent. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał, był

palec, śnieżnobiały, bo wyciekła z niego cała krew. Na skórze wyraźnie odcinały się żółte odciski od narzędzi.

- Teraz zamknę cię w pokoju - oznajmił zleceniodawca. - Jeśli nie wyjdiesz do rana, zrobię z tobą to samo. I załatwię to twoją własną, cholerną piłą, bo moja już się stępiła.

Reacher leżał spokojnie na brudnej słomie w swym boksie obory. Nie spał, lecz jego ciało wyłączyło się, osiągając stan, który niemal przypominał sen. Wszystkie mięśnie się rozluźniły, oddychał równo i powoli. Zamknął oczy, bo w oborze panowała ciemność, zatem i tak nie miał czego oglądać. Lecz jego umysł pozostawał w pełni sprawny. Myśli nie pędziły naprzód, poruszały się w spokojnym tempie, pełne owej szczególnej nocnej intensywności, gdy nic nie zakłóca ich biegu.

.Reacher robił dwie rzeczy jednocześnie. Po pierwsze, liczył czas. Odkąd po raz ostatni zerknął na zegarek, minęły niemal dwie godziny. Wiedział jednak, która jest godzina, z dokładnością do dwudziestu sekund. To stara umiejętność, efekt wielu długich, nocnych czuwań na służbie. Gdy człowiek czeka, by coś się wydarzyło, zamyka ciało niczym letni domek zimą i pozwala umysłowi dopasować się do miarowego rytmu upływających sekund. Przypomina to nieco chwilowe zatrzymanie w ruchu. Pozwala oszczędzać energię i odbiera podświadomości odpowiedzialność za utrzymywanie bicia serca, przekazując ją ukrytemu w ciele zegarowi. Dzięki temu tworzy się przestrzeń, spokojna, mroczna przestrzeń, w której można rozmyślać. Umysł trwa dość przytomny, by być gotowym na wszystko, co tylko się wydarzy.

Przy okazji człowiek zawsze wie, która dokładnie jest godzina.

Drugą rzeczą, jaką robił Reacher, były zabawy w myślowe obliczenia. Mnożył w pamięci duże liczby. Miał trzydzieści siedem lat i osiem miesięcy, co do dnia. Trzydzieści siedem razy trzysta sześćdziesiąt pięć to trzynaście tysięcy pięćset pięć. Dodać do tego dwanaście dni za dwanaście lat przestępnych, to daje trzynaście tysięcy pięćset siedemnaście. Osiem miesięcy, licząc od urodzin w październiku aż po ten dzień w czerwcu, to dwieście czterdzieści trzy dni. W sumie trzynaście tysięcy siedemset sześćdziesiąt dni, odkąd przyszedł na świat. Trzynaście tysięcy siedemset sześćdziesiąt dni, trzynaście tysięcy siedemset sześćdziesiąt nocy. Starał się umieścić tę akurat noc na nieskończonej skali. Wedle tego, jak jest okropna.

To prawda, nie była to najlepsza noc, jaką przeżył, ale też zdecydowanie nie najgorsza. Z całą pewnością. Z pierwszych czterech lat swego życia niewiele pamiętał. To pozostawiało około dwunastu tysięcy trzystu nocy. Ta szczególna mieściła się zapewne w górnej jednej trzeciej. Nie wysilając się specjalnie, potrafił wymienić tysiące nocy gorszych niż obecna. Dziś było mu ciepło, wygodnie, nie był ranny, nic mu nie groziło i został nakarmiony. Może nie najlepiej, ale bardziej z powodu braku umiejętności kucharskich porywaczy niż ich złej woli. Fizycznie nie miał powodów do narzekań.

Psychicznie, o, to zupełnie inna sprawa. Czuł się zawieszony w próżni, równie nieprzeniknionej jak ciemność na zewnątrz obory. Jego problem stanowił całkowity brak informacji. Reacher nie należał do ludzi, którzy czują się źle, kiedy brak im pełnych danych. Jako syn oficera piechoty morskiej od urodzenia żył w wojsku. Przywykł do zamieszania i nieprzewidywanych wydarzeń. Ale w tej chwili niczym nie dysponował.

Nie wiedział, gdzie jest. Nie wiadomo, przypadkiem czy świadomie, trzech porywaczy w żaden sposób nie zdradzili, dokąd się wybierają. Nie miał nic, czego mógłby się uchwycić. Dodatkowy problem stanowił fakt, że wojskowe życie sprawiło, iż z owych trzynastu tysięcy siedmiuset sześćdziesięciu dni zaledwie niecałą jedną piątą spędził w granicach Stanów Zjednoczonych. Był w równym stopniu Amerykaninem jak prezydent, ale większość swego życia mieszkał i służył za granicą, na całym świecie. Byłe siedmiolatek przewyższał go znajomością ojczystego kraju, toteż Reacher nie potrafił rozszyfrować subtelnego rytmu, zapachów, odgłosów Ameryki tak dobrze, jak tego pragnął. Możliwe, że ktoś inny zdołałby przeanalizować niewidoczne rysy niewidzialnego krajobrazu, smak i zapach powietrza, temperaturę nocy i oznajmić: tak, jestem w tym czy tamtym stanie. Może, ale nie on. To go irytowało.

Poza tym nie wiedział, kim są porywaczy ani o co im chodzi. Jakie mają zamiary. Gdy tylko mógł,



obserwował ich uważnie. Trudno było wyciągnąć wnioski, bo dowody przeczyły same sobie. Trzech mężczyzn, dość młodych, pomiędzy trzydzieści a trzydzieści pięć lat, sprawnych, wyszkolonych do skutecznego współdziałania. Zachowywali się trochę jak żołnierze, ale nie do końca. Byli zorganizowani, lecz nie oficjalni. Ich wygląd wręcz krzyczał: amatorzy.

Byli bowiem zbyt porządni. Wszyscy mieli nowe ubrania, zwykłe sklepowe kurtki i koszule, świeżo przycięte włosy, broń nowiusienką, prosto z pudełka, nowiutkie glocki, nową strzelbę wciąż ze śladami sklepowego natłuszczenia. Wszystko to oznaczało, że nie ma do czynienia z zawodowcami. Bo zawodowcy robią coś takiego co dzień, nieważne, czy należą do sił specjalnych, CIA, FBI, czy policji, po prostu wykonują swoją pracę. Noszą robocze stroje, używają broni otrzymanej z przydziału rok, dwa lata wcześniej, wypróbowanej broni, której mogą ufać, podrapanej, poobijanej. To ich narzędzie. Jeśli zetkniemy ze sobą trzech zawodowców, na koszuli jednego z pewnością dostrzeżemy ślady wczorajszej pizzy, drugi akurat się nie ogoli, trzeci włoży okropne stare portki, z których kumple naśmiewają się za jego plecami. Możliwe, że od czasu do czasu dostrzeżemy też nową marynarkę, błyszczący pistolet, nowe buty, ale prawdopodobieństwo, iż trzech pracujących zawodowców pokażą się razem w takim stanie jest tak znikome, że wręcz absurdalne.

Do tego zdradzało ich zachowanie. Sprawni, lecz nerwowi, spięci, wrogo nastawieni, nieuprzejmi. Mieli szkolenie, lecz brakowało im praktyki, doświadczenia. Przeciwczyli wszystkie teorie i starczyło im inteligencji, by uniknąć podstawowych błędów, ale nie wyrobili w sobie nawyków profesjonalistów. Co oznaczało, iż ma do czynienia z amatorami, którzy porwali niedoświadczoną agentkę FBI. Dlaczego? Jak, u licha, mogła się komukolwiek narazić? Reacher nie miał pojęcia, a sama agentka FBI milczała. Kolejny czynnik, którego nie potrafił zrozumieć, ale nie najważniejszy. Najważniejsze pytanie brzmiało: co, u diabła, on sam wciąż jeszcze tu robi?

Nie dziwił go fakt, że w ogóle został porwany. Ot, zrządzenie losu. Przypadek sprawił, że znalazł się obok Holly Johnson właśnie w chwili, gdy tamci zaatakowali. Nie ma sprawy, doskonale znał takie zrządzenia losu. Składa się z nich całe życie, choć ludzie usiłują udawać, że jest inaczej. Nigdy nie tracił czasu na rozważania, jak mogłyby potoczyć się jego losy, gdyby coś wyglądało inaczej. To jasne, gdyby pojawił się na owej chicagowskiej ulicy minutę później bądź minutę wcześniej, wyminałby pralnię chemiczną i w ogóle nie słyszał o całej sprawie. Ale tak się nie stało. Zdziałał przypadek i Reacher nie zamierzał tracić czasu na zastanawianie się, co by było gdyby. Musiał jednak zrozumieć, dlaczego wciąż tu jest, mimo iż według zegara w jego głowie upłynęło ponad czternaście godzin. Miał dwie niepewne i jedną stuprocentową okazję ucieczki. Już wtedy, na ulicy, mógł się uwolnić. Prawdopodobnie. Bał się jednak, że w strzelaninie zginą niewinni przechodnie. Później, na opuszczonym placu, gdy wsiadali do białej ciężarówki, prawdopodobnie zdołaliby uciec. Prawdopodobnie. Za każdym razem było trzech na jednego, ale trzech amatorów przeciw niemu to ryzyko, które spokojnie mógł zaakceptować.

No i z całą pewnością mógł się wydostać z obory, choćby w godzinę po powrocie tamtych ze stacji benzynowej. Mógł znów zdjąć kajdanki, wdrapać się na ścianę, zeskoczyć na ziemię i zwiąć. Spokojnie podbiec do drogi, odejść i zniknąć. Czemu tego nie zrobił?

Leżał bez ruchu w nieprzeniknionej ciemności i nagle zrozumiał. To Holly go zatrzymała. Nie uciekł, bo nie chciał ryzykować. Trzej porywacze mogli wpaść w panikę, zabić ją i uciec. Reacher nie chciał, by tak się stało. Holly była inteligentną kobietą, bystrą, niecierpliwą, pewną siebie. Twardzielka. Do tego atrakcyjna, na własny, nieśmiały, niewymuszony sposób. Ciemne włosy, szczupła, tryskająca inteligencją i energią. Piękne oczy. Reacher miał słabość do oczu. Jedno spojrzenie i został trafiony.

Ale to nie jej oczy sprawiły, że został. Nie wygląd, inteligencja czy osobowość, lecz kolano. Dlatego nie uciekł. Zaimponowała mu jej odwaga i godność. Sposób, w jaki ta ładna i odważna kobieta znosiła ból, sprawił, że zakwalifikował ją jako kogoś w swoim typie. Radziła sobie, i to całkiem niezłe. Nie narzekała, nie prosiła go o pomoc. A ponieważ o nią nie prosiła, miała ją otrzymać.

O wpół do szóstej rano agent FBI Brogan siedział samotnie w sali konferencyjnej na drugim piętrze i dzwonił ze świeżo zainstalowanego telefonu do swojej dziewczyny. Wpół do szóstej rano to nie najlepsza pora na przeprosiny za wczorajszą niedoszłą randkę. Lecz Brogan miał mnóstwo spraw na głowie i spodziewał się, że wkrótce będzie jeszcze bardziej zajęty. Zadzwoił zatem, obudził ją, poinformował, że coś się stało i zapewne nie zjawi się przez resztę tygodnia. Była zaspana i zirytowana, kazała mu powtarzać wszystko dwa razy. Następnie zinterpretowała jego słowa jako tchórzliwy wstęp do zerwania. Teraz to Brogan się wściekł. Mówił przecież, że Biuro ma zawsze pierwszeństwo, chyba rozumiała. Nie są to najbardziej dyplomatyczne słowa, jakie można powiedzieć zaspanej, zirytowanej kobiecie o wpół do szóstej rano. Pokłócili się i Brogan przygnębiony odwiesił słuchawkę.

Jego partner, Milošević, siedział samotnie w swoim boksie. On także wyglądał na zmartwionego. Jego problem stanowił brak wyobraźni, największa słabość agenta. McGrath polecił mu sprawdzić wszystkie ruchy Holly Johnson od wczorajszego południa. Lecz Milošević niczego nie zdołał ustalić. Widział ją, jak wychodziła z budynku FBI wsparta na zakrzywionym uchwycie szpitalnej kuli. Tylko tyle. Potem obraz mętniał i znikał. Milošević rozmyślał całą noc, nie zdołał jednak wpaść na żaden pomysł.

Za dwadzieścia szóstą poszedł do łazienki, zaparzył kolejny kubek kawy. Wciąż czuł się marnie. Wrócił do biurka, usiadł i długi czas tkwił bez ruchu zatopiony w myślach. Potem zerknął na ciężki złoty zegarek. Sprawdził godzinę, uśmiechnął się. Poczuł się lepiej. Zastanawiał się jeszcze chwilę. Ponownie sprawdził czas, skinął głową. Teraz mógł już powiedzieć McGrathowi, dokąd wczoraj o dwunastej

wybrała się Holly Johnson.

\* \* \*

Dwa tysiące siedemset dwadzieścia trzy kilometry dalej w zamkniętym pokoju zapanowała panika. Pierwszych kilka godzin cieśla przetrwał w stanie szoku, który odebrał mu wszelkie siły i energię. Pozwolił, by zleceniodawca wciągnął go po schodach i zamknął w pozbawionym okien pomieszczeniu. Otepienie i szok sprawiły, że zmarnował mnóstwo cennego czasu. Po prostu siedział i patrzył w przestrzeń. Potem ogarnął go szalony optymizm, pewność, że wszystko to jest jedynie kiepskim, upiornym dowcipem. W ten sposób stracił kolejnych kilka godzin. W końcu jednak, jak wszyscy więźniowie zamknięci samotnie, zrozpaczony i bezbronny, nad ranem wpadł w panikę.

Zmarnowawszy połowę czasu, rzucił się do działania. Wiedział jednak, że to beznadziejne. Co za straszliwa ironia. Ciężko pracowali, przygotowując ten pokój. Zrobili wszystko jak należy. Przed oczami tańczyły im banknoty dolarowe. Nie oszczędzali niczego, rezygnując ze wszystkich zwyczajowych, oszczędnościowych sztuczek. Wszystkie deski były proste, ciasno przylegały do siebie, każdy gwóźdź wbity do końca. Brak okien, solidne drzwi. Beznadziejna sprawa. Przez godzinę miotał się po pokoju niczym

szaleniec. Przesuwał szorstkimi palcami po każdym skrawku powierzchni podłogi, ścian, sufitu. Ich najlepsza robota. W końcu skulił się w kącie, wbił wzrok we własne dłonie i zapłakał.

\* \* \*

- Pralnia chemiczna - oznajmił McGrath. - Tam poszła. Siedział w sali konferencyjnej na drugim piętrze, u szczytu

stołu. Była siódma rano, wtorkowy ranek. McGrath otwierał właśnie świeżą paczkę papierosów.

- Naprawdę? - spytał Brogan. - Do pralni? McGrath przytaknął.

- Powiedz mu, Milo - polecił. Milošević się uśmiechnął.

- Właśnie sobie przypomniałem. Pracowałem z nią od pięciu tygodni, odkąd rozwalila kolano. W

każdy poniedziałek, w porze lunchu zanosila pranie do pralni i odbierala rzeczy z zeszlego tygodnia. Nie ma powodow, by wczoraj postapila inaczej.

- W porzadku - zgodzil sie Brogan. - Do jakiej pralni? Miloševic pokrecil glowa.

- Nie wiem - przyznal. - Zawsze chodzila sama. Proponowalem, ze zalatwie to za nia, ale w kazdy kolejny poniedzialek odmawiala. Nie przeszkadzalo jej, poki pomagalem jej w sprawach Biura, ale nie zamierzala pozwolic, zebym zalatwial za nia pranie. To bardzo niezalezna dziewczyna.

- Ale poszla pieszo? - dopytywal sie McGrath.

- Zgadza sie. Zawsze chodzila pieszo. Osiem, dziewiec strojow na wieszakach. Mozemy zatem bezpiecznie zalozyc, ze to niedaleko.

Brogan skinal glowa, usmiechnal sie. Mieli jakis trop. i Scignal z polki ksiazke telefoniczna i otworzil na literze P. - to o jakiej odleglosci mowimy? - spytal.

McGrath wzruszil ramionami.

- Dwadzieścia minut tam, dwadzieścia z powrotem. To chyba maksimum. Niemożliwe, by w ciągu dwudziestu minut, idąc o kulach, przeszła więcej niż pół kilometra. Weźmy zatem kwadrat o boku kilometra, wokół tego budynku. Co nam to daje?

Brogan rozwinął mapę samochodową. Posługując się skalą z boku, rozstawił palce na odległość kilometra, nakreślił kwadrat w gąszczu ulic. Potem zaczął przerzucać kartki książki telefonicznej, zakreślając ołówkiem kolejne nazwy. Przeliczył je.

- Dwadzieścia jeden zakładów. McGrath spojrzal na niego ze zdumieniem.

- Dwadzieścia jeden? Jesteś pewien?

Brogan przytaknął, przesunął książkę po lśniącym drewnianym blacie.

- Dwadzieścia jeden - powtórzył. - Najwyraźniej ludzie w tym mieście lubią mieć czyste ubrania.

- Okay - rzucił McGrath - dwadzieścia jeden zakładów.

W drogę, chłopcy.

Brogan wziął dziesięć adresów, Miloševic jedenaście. McGrath wręczył im duże, kolorowe odbitki zdjęcia Holly z akt. Następnie pożegnał ich skinieniem głowy i zaczął czekać w samotności, na krześle u szczytu stołu konferencyjnego, obok rzędu telefonów. Patrząc w przestrzeń i paląc papierosy, wystukiwał końcem ołówka cichy, niespokojny rytm.

\* \* \*

Cieśla usłyszał pierwsze odgłosy znacznie wcześniej, niż oczekiwał. Nie miał zegarka, brakowało też okien, był jednak pewien, że ranek jeszcze nie nadszedł. Została mu godzina, może dwie. Ale coś słyszał. Na zewnątrz kręcili się ludzie. Wstrzymał oddech, nasłuchując. Trzy, cztery osoby. Ponownie okrążył pokój, sparaliżowany niezdecydowaniem. Powinien walić w ściany, kopać świeże deski. Wiedział o tym, ale niczego nie zrobił. Bo wiedział też, że to beznadziejne, a w głębi duszy czuł, że musi zachować się cicho. Był tego pewien, absolutnie pewien. Jeśli będzie cicho, może

zostawią go w spokoju. Może zapomną, że tu jest.

\* \* \*

To Miloševic znalazł właściwe miejsce, siódme na liście jedenastu zakładów. Właścicielka właśnie otwierała. Była za dwadzieścia ósma. Niewielki zakład, lecz elegancki, nie-przeznaczony dla ubogich klientów. W oknie wisiały reklamy czyszczenia specjalistycznego. Właścicielka, Koreanka, stała za ladą. Miloševic pokazał jej odznakę FBI i położył na blacie zdjęcie Holly.

- Widziała pani kiedyś tę kobietę? - spytał. Koreanka spojrzala uprzejmie na zdjęcie, wyraźnie skupiona. Ręce splotła za plecami.

- Jasne - stwierdziła. - To panna Johnson. Przychodzi tu co poniedzialek.

Miloševic postapil krok naprzod, pochylil sie, zblizajac do niej twarz.

- Była tu wczoraj?

Kobieta zastanowila sie i przytaknela.

- Jasne. Jak juz mowilam, przychodzi w kazdy poniedzialek.

- O której?

- W porze lunchu, zawsze w porze lunchu.

- Około dwunastej? - dopytywał się. - Wpół do pierwszej, mniej więcej?

- Jasne - przytaknęła kobieta. - w porze lunchu, - w poniedziałek.

- W porządku, wróćmy do wczoraj - powiedział Milošević. - Co się stało?

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Nic się nie stało. Przyszła, zabrała rzeczy, zapłaciła, zostawiła nowe ubrania.

- Ktoś jej towarzyszył?

- Nikt jej nie towarzyszył - odparła kobieta. - Nigdy nikt jej nie towarzyszy.

- W którą stronę poszła?

Kobieta wskazała w kierunku budynku FBI.

- Przyszła stamtąd - oznajmiła.

- Nie pytałem, skąd przyszła, tylko gdzie się skierowała po wyjściu.

Kobieta się zawahała.

- Nie widziałam, zabrałam jej rzeczy na zaplecze. Słyszałam otwierane drzwi, ale nie widziałam, dokąd poszła.

Byłam z tyłu.

- Po prostu je pani zabrała i pobiegła na zaplecze, zanim klientka zdążyła wyjść?

Kobieta skuliła się, jakby oskarżono ją o poważną nieuprzejmość.

- Nie biegłam - oznajmiła. - Panna Johnson szła wolno, ma chorą nogę, tak. Pomyślałam, że nie powinnam na nią patrzeć, że mogłaby czuć się zakłopotana. Zaniósłam jej rzeczy na zaplecze, żeby nie myślała, że się na nią gapię.

Milošević przytaknął, przekrzywił głowę, spoglądając w sufit. Ujrzał kamerę wideo zamontowaną wysoko nad ladą.

- Co to? - spytał.

Koreanka odwróciła się i podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

- Ochrona - oznajmiła. - Towarzystwo ubezpieczeniowe kazało to założyć.

- Jasne, że działa. Towarzystwo ubezpieczeniowe każe, żeby działała.

- Cały czas? - dopytywał się Milošević. Kobieta przytaknęła i zachichotała.

- Jasne, że tak. W tej chwili też działa. Jest pan na taśmie. Milošević zerknął na zegarek.

- Potrzebna mi wczorajsza taśma - oświadczył. - Natychmiast.

Kobieta znów się zawahała. Milošević po raz drugi wyciągnął odznakę.

- To śledztwo FBI. Sprawa federalna. Potrzebna mi ta taśma, natychmiast.

Kobieta przytaknęła i uniosła rękę, każąc mu czekać. Zniknęła za drzwiami prowadzącymi na zaplecze. Po długiej chwili pojawiła się ponownie, w obłoku ostrej chemicznej woni. W ręku niosła kasetę wideo.

- Odda mi ją pan, dobrze? - poprosiła. - Towarzystwo ubezpieczeniowe każe je przechowywać przez miesiąc.

\* \* \*

Milošević skierował się wprost do biura. O wpół do dziewiątej grupa techników FBI kręciła się w sali konferencyjnej, podłączając do rzędu monitorów ustawionych na środku stołu zwykły magnetowid. Mieli jakiś problem z bezpiecznikiem. Niezbędny kabel okazał się za krótki, musieli więc przesunąć komputer, by ustawić magnetowid bliżej środka stołu. W końcu szef techników wręczył McGrathowi pilota.

- Proszę, szefie - oznajmił.

McGrath odprawił ich. Trzech agentów zebrało się przed ekranem, czekając aż pojawi się obraz. Monitory stały naprzeciw ściany okien, toteż cała trójka siedziała tyłem do szyb. Lecz o tej porze nie groziło im przegrzanie. W tej chwili promienie słońca atakowały drugą stronę budynku.

\* \* \*

To samo słońce wisiało na niebie nad białym budynkiem dwa tysiące siedemset dwadzieścia trzy kilometry od Chicago. Cieśla wiedział, że weszło. Słyszał ciche poskrzypywanie starych, rozgrzewających się desek. Z dołu, z ulicy dobiegały go stłumione głosy. Oto ludzie zaczynają nowy dzień.

Stracił wszystkie paznokcie. Znalazł szczelinę w miejscu niedokładnego zbiccia dwóch desek. Wcisnął w nią paznokcie i z całych sił próbował podważyć. Złamały się jeden po drugim; deska ani drgnęła. Cieśla ponownie skulił się w kącie, zwinął na podłodze. Zaczął ssąć pokrwawione palce. Miał teraz usta wysmarowane krwią, jak umorusane dziecko.

Usłyszał kroki na schodach. Jakiś potężny człowiek lekko się poruszał. Kroki zamarły przed drzwiami, szczęknął zamek, drzwi się otworzyły. Spojrzał na niego zleceniodawca. Nalana twarz, dwie czerwone plamki płonące wysoko na policzkach.

- Wciąż tu jesteś.

Cieśla był jak sparaliżowany. Nie mógł się ruszyć ani odezwać.

- Nie udało ci się - dodał zleceniodawca.

W pokoju zaległa cisza, przerywana jedynie cichym skrzypieniem drewna.

- Co teraz zrobimy? - spytał tamten.

Cieśla jedynie patrzył na niego tępo, ani drgnął. Nagle zleceniodawca uśmiechnął się promiennie, przyjaźnie, jakby coś go zdumiało.

- Myślisz, że mówiłem serio? - spytał łagodnie. Cieśla zamrugał, potem niemal niedostrzegalnie, z nadzieją pokręcił głową.

- Słyszysz cokolwiek? - spytał zleceniodawca.

Cieśla wyteżył słuch. Słyszał jedynie ciche skrzypienie drewna, śpiew leśnych ptaków, zwykle odgłosy poranka.

- Pan tylko żartował? - wychrypiał.

Głos zamarł mu w gardle. Ulga, nadzieja i przerażenie sprawiły, że język nie mógł poruszyć się w ustach.

- Słuchaj - polecił zleceniodawca.

Cieśla słuchał. Deski skrzypiały cicho, ptaki śpiewały, ciepły wietrzyk szumiał. Poza tym do jego uszu nie dobiegł żaden dźwięk, cisza. I wtedy usłyszał szczęk, potem skowyt, z początku niski, wznoszący się ku znajomemu głośnemu wyciu. Natychmiast rozpoznał ów dźwięk, odgłos uruchamianej wielkiej piły mechanicznej.

- I jak, myślisz, że mówiłem poważnie? - krzyknął zleceniodawca.

11

Holly Johnson była lekko zawiedziona oceną wartości jej garderoby, przedstawioną przez Reachera. Reacher oznajmił, że na jego oko ma jakieś piętnaście, dwadzieścia kostiumów i strojów. Czteryście dolarów za sztukę, w sumie koło ośmiu tysięcy. W istocie jednak miała w szafie trzydzieści cztery kostiumy. Przez trzy lata pracowała na Wall Street. Same buty kosztowały osiem tysięcy. Czteryście dolarów wydawała na bluzkę, a i to wówczas, gdy rozsądek nakazał jej odrobinę oszczędności.

Lubiła Armaniego. Miała czternaście wiosennych kostiumów tego projektanta. Wiosenne stroje z Mediolanu świetnie nadawały się do noszenia latem w Chicago. Może w sierpniowe upały sięgała czasem po sukienkę od Moschino, ale czerwiec, lipiec i przy odrobinie szczęścia wrzesień należały do Armaniego. Najbardziej lubiła ciemnobrzozkwiniowe odcienie, które kupiła podczas ostatniego

roku pracy w biurze maklerskim. Tajemnicze włoskie połączenie różnych jedwabi, skrojone i uszyte przez ludzi, których przodkowie od setek lat kroili najlepsze materiały. Wystarczy, by spojrzeli na tkaninę, przygotowali odpowiedni wykrój i strój nabierał cudownych, miękkich kształtów. Potem wstawiali go do sklepu, finansistka z Wall Street zakochiwała się w kostiumie, kupowała go i nosiła jeszcze w dwa lata później,

gdy pracowała już w FBI i gdy pewnego dnia porwano ją z ulicy w Chicago. Po bezsennej nocy spędzonej na brudnej słomie w oborze wciąż miała na sobie ten sam kostium, lecz w tym momencie nie poznałby go nawet Armani.

Trzej porywacze wrócili ciężarówką i ustawili ją na betonie pośrodku obory. Potem zamknęli drzwi i wrota i zniknęli. Holly domyśliła się, że przenocowali w domu. Reacher spał spokojnie w swym boksie, przykuty do kraty, podczas gdy ona wierciła się na słomianej ściółce. Cały czas o nim myślała.

Odpowiadała za jego bezpieczeństwo. Był niewinnym przechodniem przypadkiem wmieszanym w jej sprawę. Nieważne, co ją czeka, najpierw musi się nim zająć. To jej obowiązek. Reacher był dla niej brzemieniem, a do tego kłamał. Holly wiedziała z absolutną pewnością, że nie ma do czynienia z bramkarzem z klubu bluesowego. Orientowała się także, kim przypuszczalnie jest. Rodzina Johnso-nów była od dawna związana z wojskiem. Z powodu swego ojca Holly całe życie spędziła w bazach wojskowych, aż do chwili wstąpienia na Yale. Dobrze знаła wojsko i żołnierzy. Potrafiła ich rozpoznać i natychmiast zorientowała się, że Reacher to żołnierz. Zachowywał się jak żołnierz, wyglądał jak żołnierz i tak reagował. Możliwe, że bramkarz potrafiłby otwierać zamki i wdrapywać się na ściany niczym małpa. Gdyby jednak to robił, czyniłby to w sposób niefachowy, w przychylnie odwagi, zdyszany. Wprawne oko dostrzegłoby to natychmiast. Nie zachowywałby się tak, jakby czynności te stanowiły coś naturalnego. Reacher był człowiekiem spokojnym, cichym, sprawnym, odprężonym, najwyraźniej świetnie wyszkolonym, tak że zachowywał niemal nadludzki spokój. Jakies dziesięć lat starszy od niej, ale przed czterdziestką. Metr dziewięćdziesiąt dwa

wzrostu, potężny, ponad sto kilo wagi, niebieskie oczy, rzędzące jasne włosy. Dostatecznie rosły, by pracować jako bramkarz, dostatecznie stary, by zdobyć doświadczenie. Jasne, ale niewątpliwie był żołnierzem. Żołnierz udający bramkarza. Tylko dlaczego?

Holly nie miała pojęcia. Po prostu leżała niewygodnie, nasłuchując spokojnego oddechu towarzysza, który leżał siedem metrów dalej. Nieważne, bramkarz czy żołnierz, dziesięć lat starszy czy nie, odpowiadała za jego bezpieczeństwo. Nie mogła zasnąć, zbyt zajęta rozmyślaniami. Do tego bolało ją kolano. O wpół do dziewiątej, według jej zegarka, usłyszała, jak się budzi. Drobną zmianą rytmu oddechu.

- Dzień dobry, Reacher - zawołała.

- Dzień dobry, Holly - odparł. - Wracają.

Wciąż było cicho, lecz po długiej chwili usłyszała dobiegające z zewnątrz kroki. Wspina się jak małpa, ma słuch jak nietoperz, pomyślała. Też mi bramkarz.

- Wszystko w porządku? - zawołał Reacher. Milczała. To ona odpowiadała za jego zdrowie, nie na odwrót. Usłyszała szcęk klucza w zamku. Drzwi uniosły się i wnętrze obory załała struga światła. Holly dostrzegła pustą zieloną przestrzeń na zewnątrz. Może to Pensylwania, pomyślała. Trzej porywacze weszli do środka, zamykając za sobą wrota.

- Wstawaj, suko - polecił przywódca.

Nawet nie drgnęła. Nagle ogarnęła ją gwałtowna odraza. Nie chciała znaleźć się z powrotem w ciężarówce. Było tam za ciemno, zbyt niewygodnie, zbyt duszno. Nie wiedziała, czy zdoła znieść jeszcze jeden dzień jazdy, kołysania, podskoków, niewiedzy, gdzie, do diabła, ją wiozą, kto i dlaczego. Odruchowo chwyciła metalową poręcz i przytrzymała się jej, napinając mięśnie, jakby zamierzała stawić opór. Przywódca stał bez ruchu. Wyciągnął glocka, spojrział na nią z góry.

- Możemy to załatwić na dwa sposoby - rzekł. - Łatwy albo trudny.

Nie odpowiedziała. Po prostu siedziała na słomianej podściółce, trzymając się mocno kraty.

Paskudny kierowca zrobił trzy kroki naprzód, z uśmiechem patrząc na jej piersi. Jego spojrzenie sprawiało, że czuła się naga. Budził w niej wstęt.

- Wybieraj, suko - dodał przywódca.

Nagle usłyszała, jak Reacher poruszył się w swoim boksie.

- Nie, wybór należy do was - zawołał. - Potrzeba nam nieco wzajemności i współpracy. Chwytasz? Chcesz, żebyśmy wrócili do ciężarówki, musisz sprawić, by się nam to opłaciło.

Jego głos brzmiał cicho, spokojnie. Holly spojrzała na niego. Siedział bez ruchu, skuty, bezbronny, naprzeciw gotowego do strzału automatu. Całkowicie bezradny, wedle wszelkich znanych definicji tego słowa. Wobec trzech wrogo nastawionych przeciwników.

- Chcemy dostać śniadanie - ciągnął Reacher - grzanki z dżemem winogronowym i kawę, tylko mocniejszą niż wczorajsze siki. Dobrze? Dobra kawa to podstawa. Musicie to zrozumieć. A potem wrzucicie do ciężarówki parę materacy, jeden duży, drugi mniejszy. Zróbcie nam z nich sofę, wtedy wsiądziemy.

Zapadła przejmująca cisza. Holly wodziła wzrokiem od jednego mężczyzny do drugiego. Reacher obserwował przywódcę spokojnym, beznamiętnym wzrokiem. Jego niebieskie oczy nawet nie mrugnęły. Przywódca wpatrywał się w niego. Powietrze aż wibrowało od skrywanego napięcia.

Kierowca oderwał wzrok od jej ciała, także patrzył na Re-achera. W jego oczach dostrzegła błysk gniewu. W końcu przywódca odwrócił się gwałtownie i skinieniem głowy wezwał podwładnych. Razem wyszli z obory. Holly usłyszała odgłos zamykanych drzwi.

- Jadasz grzanki? - spytał Reacher. Brakowało jej tchu, by odpowiedzieć.

- Kiedy je przyniosą, odeślij - polecił. - Każ zrobić sobie nowe. Powiedz, że są za słabo spieczone albo za bardzo przypalone. Czy coś w tym stylu.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - zapytała.

- To psychologia - wyjaśnił Reacher. - Musimy ustalić naszą dominację. W takich sytuacjach to bardzo ważne.

Popatrzyła na niego bez słowa.

- Po prostu to zrób, dobrze - rzekł spokojnie.

I zrobiła. Nerwus przyniósł jej grzankę. Doskonałą, a jednak ją odesłała. Spojrzała na talerz z pogardą zwykle zarezerwowaną dla kiepsko sporządzonych bilansów i oznajmiła, że chleb jest zbyt spieczony. Stała wyniośle, opierając cały ciężar ciała na jednej stopie. Wyglądała okropnie. Jej brzoskwiniowy kostium od Armaniego pokrywała słoma i grudki łąjna. Zdołała jednak wykrzesać z siebie dość pogardy, by zastraszyć przeciwnika, który wrócił do kuchni i przyrządził nowe śniadanie.

Znalazł się także dzbanek mocnej kawy. Holly i Reacher jedli w ciszy, pobrzękując łańcuchami, podczas gdy pozostali dwaj porywacze wciągnęli do obory materace, jeden podwójny, jeden zwykły. Wrzucili je do ciężarówki; większy ułożyli na podłodze, mniejszy postawili pod kątem prostym, oparty o ścianę. Patrząc na nich, Holly poczuła się znacznie lepiej. Nagle uświadomiła sobie, na kogo miała zadziałać psychologia Reachera. Nie tylko na trzech porywaczy, ale także na nią. Nie chciał, żeby podjęła walkę, bo wiedział, że przegra. Zaryzykował, aby nie dopuścić do beznadziejnej konfrontacji. Odkrycie to zdumiało Holly. Chryste Panie, pomyślała, facetowi wszystko się pokręciło. To on próbuje się mną opiekować.

- Powiecie nam, jak się nazywacie? - spytał spokojnie Reacher. - Spędzimy ze sobą trochę czasu, więc równie dobrze możemy zachowywać się jak ludzie cywilizowani.

Holly dostrzegła, że przywódca dziwnie na niego spojrzał. Nie odpowiedział.

- Widzieliśmy wasze twarze - ciągnął Reacher. - Dodatkowa informacja niczego nie zmieni. Równie dobrze możemy się dogadać.

Przywódca zastanowił się chwilę, w końcu przytaknął.

- Loder - rzekł.

Nerwusek przestąpił z nogi na nogę.

- Stevie.

Reacher skinął głową. Paskudny kierowca uświadomił sobie nagle, że cała czwórka patrzy na niego. Skulił się.

- Nie zamierzam mówić, jak się nazywam - oznajmił. - Niby czemu miałbym to robić?

- I wyjaśnijmy sobie od razu - dodał Loder. - Cywilizowani tak, ale nie jesteśmy przyjaciółmi.

Przez chwilę celował z glocka wprost w głowę Reachera. I Jego twarz niczego nie wyrażała. Nie jesteśmy przyjaciółmi. Reacher przytaknął lekkim, ostrożnym ruchem. Zostawili na podłodze talerze po grzankach i puste kubki. Loder rozpiął kajdanki. Spotkali się na środku obory. Dwa glocki i strzelba śledziły każdy ich krok. Kierowca wykrzywił się złośliwie. Reacher spojrzał mu prosto w oczy, przykucnął i podniósł Holly, jakby w ogóle nic nie ważyła. Przeniósł ją dziesięć kroków do ciężarówki, łagodnie postawił w środku. Razem wgramolili się na zaimprovizowaną sofę i usiedli wygodnie.

Tylne drzwi ciężarówki trzasnęły głośno. Szczęknął zamek. Holly usłyszała dźwięk otwieranych wrót obory. Silnik wozu zaskoczył z głośnym warkotem. Wyjechali na dwór i pokonali sto pięćdziesiąt metrów wyboistego podjazdu. Potem skręcili w prawo i piętnaście minut jechali naprzód z miarową prędkością.

- Nie jesteśmy w Pensylwanii - oznajmiła Holly. - Za proste drogi, zbyt płaskie.

Reacher jedynie wzruszył ramionami w mroku.

- Nie jesteśmy też już skuci - dodał. - Psychologia.

12

Co to jest, do diabła? - warknął agent McGrath. Nacisnął przycisk pilota i cofnął taśmę. Potem przycisnął odtwarzanie. Obraz na ekranach nic nie znaczył. Wypełniały je podskakujące chaotycznie zygzaki i biały migoczący śnieg.

- Co się, do diabła, dzieje? - spytał ponownie. Brogan podszedł bliżej, pokręcił głową. Milošević także

się zbliżył. To on przyniósł taśmę, dlatego czuł się za nią osobiście odpowiedzialny. McGrath cofnął po raz trzeci i znów spróbował. Z tym samym skutkiem - chaotyczna mieszanina niepowiązanych ze sobą pojedynczych obrazów.

- Ściągnijcie tu cholernego technika! - krzyknął. Milošević skorzystał z telefonu stojącego na kredensie

obok ekspresu do kawy. Zadzwoił na górę, do techniki. Po minucie zjawił się szef działu technicznego. Ton głosu agenta ponaglił go do pośpiechu bardziej, niż mogłyby to sprawić jakiegokolwiek słowa.

- Na tej pieprzonej taśmie nic nie widać - poinformował go McGrath.

Technik odebrał mu pilota. Posługiwał się nim z tą samą mieszaniną fachowości i ostrożności, jaka wyróżnia wszystkich inżynierów i mechaników całego świata. Doskonale sobie radzą ze złożonym sprzętem, lecz muszą pamiętać, że każdy egzemplarz ma własne cechy charakterystyczne. Przyjrzał się przyciskom i kciukiem mocno nacisnął przewijanie. Taśma cofnęła się do początku. Technik nacisnął odtwarzanie i przez chwilę przyglądał się strumieniowi obrazów błyskających w śniegu na ekranie.

- Możesz to naprawić? - spytał McGrath.

Tamtę zatrzymał taśmę, ponownie cofnął, pokręcił głową.

- Nie jest zepsuta - oznajmił. - Tak właśnie powinna działać. Typowy tani sprzęt. Kamera nagrywa jedną klatkę co jakieś dziesięć sekund, tylko jedną klatkę, tworząc sekwencję zdjęć.

- Czemu? - dopytywał się McGrath.

- To proste i tanie - wyjaśnił technik. - W ten sposób na jednej taśmie można zmieścić cały dzień. Niewiele kosztuje i nie trzeba pamiętać, by co trzy godziny zmienić kasetę. Robi się to rano, a przy założeniu, że napad trwa dłużej niż dziesięć sekund, kamera przynajmniej raz zarejestruje twarz przestępcy.



- W porządku - rzucił niecierpliwie McGrath. - W takim razie jak to obejrzyć?

Tym razem technik posłużył się dwoma palcami, jednocześnie naciskając odtwarzanie i pauzę. Na ekranie pojawił się idealny, czarno-biały obraz, przedstawiający pusty zakład. W dolnym lewym rogu widniała poniedziałkowa data i godzina. 7.35 rano. Mężczyzna wręczył McGrathowi pilota, wskazując niewielki przycisk.

- Widzi pan? Przeglądanie poklatkowe. Proszę nacisnąć i taśma przeskoczy do następnego ujęcia. Zwykle używa się tego do oglądania sportu, hokeja, widać, jak krążek wpada w siatkę, albo do filmów porno, żeby obejrzyć szczegóły. Lecz w tego typu systemie każde naciśnięcie przesuwa taśmę do przodu o dziesięć sekund, do następnej klatki. Jasne?

McGrath uspokoił się, przytaknął.

- A czemu czarno-białe?

- Tania kamera - powtórzył technik. - W sumie to bardzo tani system. Zamontowali go tylko dlatego, że tak kazała firma ubezpieczeniowa.

Podał McGrathowi pilota i skierował się w stronę drzwi.

- Jeśli będziecie czegoś potrzebowali, dajcie znać - zawołał.

Nikt nie odpowiedział, bo wszyscy wpatrywali się w ekran. McGrath zaczął wędrówkę poprzez taśmę. Za każdym razem, gdy naciskał guzik, przez ekran przepływało szerokie pasmo białego śniegu, odsłaniając nowy obraz. Ten sam kąt widzenia, te same odcienie szarości. Lecz za każdym razem zegar na dole przeskakiwał o dziesięć sekund. W trzeciej klatce za ladą pojawiła się kobieta. Milošević dotknął palcem ekranu.

- To właśnie z nią rozmawiałem - oznajmił. McGrath przytaknął.

- Szeroki kąt widzenia, widać wszystko, od tego, co za ladą, aż po ulicę.

- Obiektyw szerokokątny - zgodził się Brogan. - Coś jak rybie oczko. Właściciel widzi wszystko, wchodzących i wychodzących klientów. A także to, czy pracownik majstruje przy kasie.

McGrath ponownie skinął głową i wrócił do przeglądania filmu z poniedziałkowego ranka. Co dziesięć sekund. Klienci pojawiali się i znikali. Kobieta za ladą przeskakiwała z boku na bok, przynosząc i odbierając pranie, przyjmując zapłatę. Na zewnątrz pojawiały się i znikwały samochody.

- Proszę przewinąć do dwunastej - poprosił Milošević. - To za długo trwa.

McGrath przytaknął i zaczął majstrować przy pilocie. Taśma zaszumiała, nacisnął stop, odtwarzanie i pauzę, i otrzymał obraz z czwartej po południu.

- Cholera - zaklął.

Kilka razy cofał i przewijał, w końcu trafił na jedenastą czterdzieści trzy i pięćdziesiąt sekund.

- Bliżej już nie będzie - rzekł.

Nie spuszczał palca z przycisku przeglądania poklatkowego. Biały śnieg nieustannie przemykał przez ekran. Sto pięćdziesiąt siedem klatek później McGrath zatrzymał obraz.

- Jest - rzucił.

Milošević i Brogan pochyłili się naprzód, patrząc uważnie. W rogu ekranu widać było Holly Johnson. Stała na zewnątrz, na chodniku, z kulą w jednej ręce, w drugiej trzymała ubrania na wieszakach. Jednym palcem otwierała drzwi. W dolnym lewym rogu widniała godzina: dziesięć minut i dziesięć sekund po dwunastej.

- Dobra - mruknął cicho McGrath. - Zobaczmy. Nacisnął guzik. Holly przeskoczyła na środek pralni. Nawet na zamglonej szarej stopklatce widać było, że nie porusza się wprawnie. McGrath ponownie nacisnął przycisk. Fala śniegu i Holly znalazła się przy ladzie. W dziesięć sekund później obok niej pojawiła się Koreanka. Jeszcze dziesięć sekund i Holly odwinęła rąbek jednej ze spódnic, pokazując coś kobiecie, prawdopodobnie jakąś plamę. Dwie kobiety pozostały w tej pozycji parę minut, dokładnie dwanaście klatek, poruszając się lekko. Potem Koreanka zniknęła, zabierając ubrania. Przez pięć klatek Holly stała samotnie. Pięćdziesiąt sekund. W drugiej klatce po lewej, za jej plecami

pojawił się samochód i pozostał przez następne trzy klatki, zaparkowany przy krawężniku. Następnie Koreanka wróciła, dźwigając naręcze czystych strojów w plastikowych torbach. Zastygła, układając je na ladzie. Dziesięć sekund później zerwała z wieszaków pięć karteczek. Po następnych dziesięciu sekundach ułożyła obok kasy kolejne cztery.

- Dziewięć kostiumów - powiedział McGrath.

- Zgadza się - potwierdził Milošević. - Pięć do pracy, od poniedziałku do piątku, i cztery na wieczór, no nie?

- A weekendy? - wtrącił Brogan. - Może pięć do pracy, dwa na wieczór i dwa na weekend?

- W weekendy pewnie wkłada dzinsy i koszulkę - nie zgodził się Milošević. - Po prostu wrzuca je do pralki.

- Na miłość boską, jakie to ma znaczenie? - przerwał McGrath.

Nacisnął przycisk, palce Koreanki zamarły na klawiszach kasy. Następne dwie klatki pokazywały Holly płacącą gotówką i przyjmującą kilka dolarów reszty.

- Ile ją to wszystko kosztuje? - zastanawiał się głośno Brogan.

- Dziewięć strojów? - odparł Milošević. - Prawie pięćdziesiąt doliczając tygodniowo, to pewne. Widziałem tamtejszy cennik. Pranie specjalistyczne, łagodnie działające chemikalia i tak dalej.

Na następnej klatce Holly kierowała się w stronę drzwi po lewej. Widać też było czubek głowy Koreanki, która zmierzała na zaplecze. Godzina dwunasta piętnaście. McGrath pochylił się wraz z krzesłem, tak że jego twarz znalazła się trzydzieści centymetrów od lśniącego monitora.

- No dobra - rzekł. - Gdzie teraz pójdziesz, Holly?

W lewej ręce trzymała dziewięć upranych kostiumów, unosząc je niezgrabnie, aby nie wlokły się po podłodze. Prawy łokieć wsunęła w zakrzywiony metalowy uchwyt kuli, lecz lewą dłoń miała wolną. Na następnej klatce widać było, jak wyciąga rękę, aby pchnąć drzwi. McGrath ponownie nacisnął guzik.

- Chryste Panie! - krzyknął.

Milošević sapał głośno, Brogan wzdrygnął się oszołomiony. Nie było wątpliwości, co widzą. Nieznany mężczyzna atakował Holly Johnson. Był wysoki i masywny. Jedną ręką chwycił jej kulę, drugą pranie. Cienia wątpliwości. Wyciągnął obie ręce i odebrał jej kulę i rzeczy. Kamera uchwyciła to dokładnie przez szklane drzwi. Trzej agenci wpatrywali się w niego. W sali konferencyjnej zapadła cisza. Potem McGrath znów nacisnął przycisk. Czas przeskoczył o dziesięć sekund. Kolejny cichy jęk. Wszyscy trzej wstrzymali oddech. Holly Johnson otoczyła nagle trójka mężczyzn. Do wysokiego faceta, który zaatakował ją pierwszy, dołączyli jeszcze dwaj. Wielkolud zarzucił sobie na ramię pranie Holly. Trzymał ją za rękę, patrzył wprost w okno sklepu, jakby wiedział, że wisi tam kamera. Pozostali dwaj stali naprzeciwko Holly.

- Grozili jej bronią! - krzyknął McGrath. - Sukinsyn, spójrzcie tylko!

Znów nacisnął przycisk. Smuga śniegu zniknęła u dołu ekranu i obraz ustabilizował się, osiągając idealną ostrość. Dwaj nowi mężczyźni podnosili prawe ręce pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Widać było napięte mięśnie ramion.

- Samochód - rzucił Milošević. - Chcą ją wciągnąć do samochodu.

Za plecami Holly i trójki mężczyzn stał samochód, który zaparkował tam czternaście klatek wcześniej. Po prostu czekał przy krawężniku. McGrath przeskoczył do następnego ujęcia. Pasma białego śniegu zniknęło. Mała grupka ludzi na ekranie przesunęła się w bok o parę metrów. Wysoki mężczyzna, który pierwszy zaatakował Holly, wsiadał na tylne siedzenie wozu. Jeden z nowych przybyszów wpychał za nim Holly, drugi otwierał przednie drzwi od strony pasażera. Przez szybę wewnątrz samochodu widać było wyraźnie czwartego mężczyznę siedzącego za kierownicą.

McGrath znów nacisnął przycisk. Zasłona śniegu opadła, ulica opustoszała, samochód zniknął, jakby w ogóle go tam nie było.

Musimy pomówić - oznajmiła Holly. - No to mów - odparł Reacher.

Leżeli wyciągnięci na materacach w ciemnym wnętrzu ciężarówki, lekko kołysząc się i podskakując. Niewątpliwie jechali autostradą. Po piętnastu minutach powolnej jazdy prostą drogą samochód zwolnił, zatrzymał się na chwilę, potem skręcił w lewo i stale przyspieszając, ruszył w górę. Lekki skręt, gdy zmieniał pasy, przyspieszenie i szybka jazda naprzód. Jakieś dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Trwało to sporo czasu i mieli wrażenie, że może potrwać całą wieczność.

W zamkniętej ciężarówce temperatura zaczęła rosnać. Było już bardzo ciepło. Reacher zdjął koszulę. Na szczęście noc w oborze wychłodziła wnętrze i liczył na to, że dopóki będą jechać naprzód, w środku da się wytrzymać. Problemy pojawią się podczas dłuższego postoju. Wówczas paka rozgrzeje się niczym piec, jeszcze bardziej niż wczoraj.

Mniejszy materac stał na dłuższej krawędzi, oparty o przednią ścianę części bagażowej, duży ułożono płasko na podłodze, tak by tworzyły zaimprovizowaną sofę. Lecz kąt prosty pomiędzy siedzeniem i oparciem sprawiał, że nie było im zbyt wygodnie. Reacher przesunął duży materac do przodu, ciągnąc Holly jak na sankach, i ułożył mniejszy obok.

Teraz dysponowali wyściełanym, płaskim łóżem, dwa i pół na dwa metry. Leżeli na wznak, z głowami obok siebie, tak by móc rozmawiać, i ciałami tworzącymi wielką literę V, łagodnie kołysząc się w rytm jazdy.

- Powinieneś być zrobić, co ci kazałam - oznajmiła Holly - i uciec.

Nie odpowiedział.

- Stanowisz dla mnie ciężar - ciągnęła - rozumiesz? Mam dość na głowie, a teraz na dodatek muszę się o ciebie martwić.

Nadal milczał. Leżeli, kołysząc się w ciemności. W jej włosach czuł woń wczorajszego szamponu.

- Od tej pory musisz robić, co ci każę - podjęła. - Słuchasz? Nie mogę sobie pozwolić na to, by się tobą martwić.

Odwrócił głowę i spojrzał na nią z bliska. Martwiła się

o niego. To go zaskoczyło, wręcz nim wstrząsnęło. Czuł się jak pasażer pociągu, który stoi obok drugiego pociągu na ruchliwej stacji. Nagle jego wagon rusza, nabiera prędkości

i wtedy pasażer gwałtownie pojmuje, że to nie jego pociąg jedzie, lecz ten drugi. Jego pociąg wciąż stoi. Niewłaściwy punkt odniesienia. Reacher sądził, że to jego pociąg się porusza, ona, że jej.

- Nie potrzebuję twojej pomocy - dodała Holly. - Mam już wszelką możliwą pomoc. Wiesz, jak działa Biuro? Wiesz, co jest największym przestępstwem na świecie? Nie zamach bombowy, akt terrorystyczny, napad. Największa zbrodnia na świecie to atak na pracowników Biura. Biuro dba o swoich ludzi.

Reacher jakiś czas milczał, w końcu się uśmiechnął.

- No to nic nam nie grozi - rzekł. - Po prostu będziemy tu leżeć i wkrótce do środka wpadnie cała kupa agentów, by nas uratować.

- Ufam moim ludziom - powiedziała Holly.

W ciężarówce znów zapadła cisza. Przez kilka minut oboje milczeli. Reacher obliczał w głowie odległość. Ponad siedemset kilometrów od Chicago, na wschód, zachód, północ lub południe. Holly jęknęła nagle i rękami przesunęła nogę.

- Boli? - spytał.

- Kiedy się przekręci - wyjaśniła. - Kiedy leży prosto, jest lepiej.

- W którą stronę jedziemy?

- Będziesz robił to, co ci każę? - spytała.

- Jest cieplej czy zimniej? - naciskał. - Czy raczej tak samo?

Wzruszyła ramionami.

- Trudno orzec - oznajmiła. - A czemu?

- Gdybyśmy jechali na północ bądź południe, powinno robić się cieplej albo zimniej - wyjaśnił. - Na wschodzie i zachodzie temperatura powinna pozostawać bez zmian.

- Mnie się wydaje, że jest taka sama - powiedziała. - Ale trudno to stwierdzić tu, w środku.

- Autostrada chyba jest pusta - ciągnął Reacher. - Nie zmieniamy pasów, żeby kogoś wyprzedzić. Nie zwalniamy. Po prostu jedziemy naprzód.

- I co z tego?

- To może znaczyć, że nie kierujemy się na wschód. Jest tam bariera, prawda? Od Cleveland, przez Pittsburgh do Baltimore. Coś w rodzaju granicy, duży ruch, pełno ludzi. Mamy wtorek, około jedenastej rano. Zbyt pusta droga jak na wschód.

Holly przytaknęła.

- Jedziemy więc na północ, zachód albo południe - zgodziła się.

- W kradzionej ciężarówce - dodał. - Niebezpiecznie.

- Kradzionej? Skąd wiesz?

- Bo samochód także był kradziony.

- Skąd wiesz? - powtórzyła.

- Bo go spalili - wyjaśnił.

Holly obróciła głowę i popatrzyła wprost na niego.

- Zastanów się - dodał. - Pomyśl o ich planie. Przyjechali do Chicago własnym wozem, zapewne jakiś czas temu. Śledzili cię kilka tygodni, najpewniej trzy.

- Trzy tygodnie? Sądzisz, że przez trzy tygodnie mnie obserwowali?

- Prawdopodobnie trzy - odparł. - Chodziłaś do pralni co poniedziałek. Raz w tygodniu. Potrzebowali czasu, żeby ustalić prawidłowość. I nie mogli cię porwać własnym samochodem, zbyt łatwo go wysledzić. Poza tym pewnie miał okna i tak dalej, nie nadawał się do przewozu ofiary porwania. Przypuszczalnie ukradli tę ciężarówkę w Chicago. Pewnie wczoraj rano. Zamalowali napis na boku. Zauważyłaś plamę świeżej białej farby, niepasującej do reszty? Zamaskowali ciężarówkę, może też zmienili tablice. Nadal jednak pozostawała gorącym towarem, a mieli w niej uciec. Nie mogli zatem ryzykować i pojawić się nią na miejscu. Poza tym ludzie wsiadający do ciężarówki wyglądaliby dziwnie. Samochód jest lepszy. Dlatego ukradli czarny wóz. Przesiedli się na śmietniku, spalili czarny samochód i zniknęli.

Holly wzruszyła ramionami i skrzywiła się.

- To nie dowodzi, że cokolwiek ukradli - zauważyła.

- Owszem, dowodzi - nie zgodził się Reacher. - Kto kupiłby nowy samochód ze skórzanymi siedzeniami, wiedząc, że go spali? Zamiast tego wybraliby jakiegoś gruchota.

Niechętnie przytaknęła.

- Kim są ci ludzie? - mruknęła bardziej do siebie niż do Reachera.

- To amatorzy - odparł. - Wciąż popełniają błędy.

- Na przykład?

- Spalenie to głupota, zwraca uwagę. Myślą, że działają sprytnie, ale nic z tego. Prawdopodobnie spalili też swój pierwszy wóz. Założę się, że zrobili to w pobliżu miejsca, w którym ukradli czarny.

- To brzmi sprytnie - wtrąciła Holly.

- Policjanci zwracają uwagę na spalone samochody. Znajdą czarny samochód, dowiedzą się, skąd go skradziono, dotrą tam i znajdą ich poprzedni wóz. Pewnie wciąż się dymi. Ci ludzie zostawiają ślad, Holly. Powinni zaparkować oba wozy na długoterminowym parkingu przy lotnisku O'Hare. Mogłyby stać tam rok, nim ktokolwiek by coś zauważył. Albo po prostu zostawić je gdzieś na ulicy, otwarte, z kluczykami w stacyjkach. Dwie minuty później dwóch mieszkańców slumsów miałoby już nowe kółka. Gliniarze nigdy by ich nie znaleźli. Tak właśnie zaciera się ślady. Spalenie to niezła frajda i wydaje się czymś ostatecznym, w istocie jednak jest głupotą.

Holly odwróciła się, wbijając wzrok w rozgrzany metalowy dach. Cały czas zadawała sobie to

samo pytanie. Kim, do diabła, jest ten facet?

14

Tym razem McGrath nie wezwał szefa techników na drugie piętro. Sam poprowadził atak na jego laboratorium na piątym, trzymając w dłoni kasetę. Wpadł do środka i oczyścił kawałek blatu najbliższego stołu. Złożył na nim kasetę, jakby zrobiono ją z najczystszej złota. Tamten podbiegł bliżej i przyjrzał się jej.

- Potrzebuję zdjęć - oznajmił McGrath.

Technik zabrał kasetę i zaniósł ją do rzędu magnetowidów w kącie. Przerzucił parę przełączników. Na trzech ekranach pojawił się biały śnieg.

- Nie mów absolutnie nikomu o tym, co za chwilę zobaczysz. Okay? - rzucił McGrath.

- Okay - przytaknął tamten. - Czego szukam?

- Ostatnich pięciu klatek - wyjaśnił McGrath. - To powinno wystarczyć.

Szef techników nie używał pilota. Naciskał guziki na tablicy kontrolnej magnetowidu. Taśma cofnęła się, ukazując w odwróconej kolejności historię porwania Holly Johnson.

- Chryste - mruknął.

Zatrzymał na klatce pokazującej Holly odwracającą się od lady. Zaczął powoli przesuwając taśmę naprzód. Holly skoczyła pod drzwi, stanęła twarzą w twarz z wysokim porywaczem, potem spojrzała w lufy pistoletów i wsiadła do samochodu. Ponownie cofnął, powtarzając całą sekwencję. Potem jeszcze raz.

- Chryste.

- Tylko nie zniszcz taśmy - upomniał go McGrath. - Chcę mieć wielkie odbitki tych pięciu klatek. Mnóstwo egzemplarzy.

Szef techników powoli skinął głową.

- Od ręki możesz dostać wydruki laserowe.

Nacisnął parę guzików, pstryknął kolejnymi przełącznikami. Potem odskoczył, włączył komputer na biurku po drugiej stronie pomieszczenia. Na monitorze pojawiła się Holly odchodząca od lady. Wywołał kilka rozwijanych menu.

- W porządku - rzekł. - Zgrywam to na twardego dysku jako plik graficzny.

Śmignął z powrotem do magnetowidów i przesunął taśmę o jedną klatkę. Wrócił do biurka. Komputer uchwycił obraz Holly szykującej się do otwarcia drzwi. Technik powtórzył proces jeszcze trzykrotnie. Następnie wydrukował zawartość pięciu plików na najszybszej drukarce laserowej. McGrath stał nad nią i chwycił kolejne kartki, gdy tylko wpadały do pojemnika.

- Nieźle - pochwalił. - Wolę papier niż obraz wideo. Czuję, że naprawdę istnieje.

Szef techników spojrzał na niego dziwnie i obejrzał się przez ramię.

- Niezła rozdzielczość - mruknął.

- Chcę mieć powiększenia - zadysponował McGrath.

- Teraz, kiedy pliki są już w komputerze, nie ma sprawy. Dlatego właśnie komputer jest lepszy niż papier.

Usiadł i otworzył plik z czwartym zdjęciem. Na ekranie przesunął się obraz Holly i trzech porywaczy zebranych na

chodniku. Technik kliknął myszką i nakreślił ciasny prostokąt wokół ich głów. Kliknął ponownie. Na monitorze pokazało się duże zbliżenie. Wysoki facet spoglądał na nich wprost z ekranu. Kolejni dwaj zostali uchwyceni pod kątem. Patrzyli na Holly.

Technik nacisnął guzik wydruku, po czym wywołał piąty obraz. Najechał myszką na interesujący go obszar, zakreślił niewielki prostokąt wokół siedzącego w samochodzie kierowcy. To zdjęcie także wydrukował. McGrath podniósł nowe kartki.

- Świetnie - rzucił. - Lepszych i tak nie zdobędziemy. Szkoda, że twój komputer nie może sprawić, by wszyscy spojrzeli w kamerę.

- Może - poprawił go szef techników.

- Może? - spytał McGrath. - Jak?

- No, w pewnym sensie - wyjaśnił tamten. Stuknął palcem w powiększenie twarzy Holly. - Załóżmy, że chcielibyśmy otrzymać portret en face. Poprosilibyśmy, aby stanęła przed kamerą i spojrzała prosto w obiektyw. A gdyby z jakiejś przyczyny nie mogła się ruszyć, co byśmy zrobili? Moglibyśmy przesunąć kamerę, zgadza się? Proszę sobie wyobrazić, że wdrapał się pan na ładę, zdjął ze ściany kamerę i przeniósł ją na dół, naokoło, tak by znalazła się naprzeciw Holly. Wówczas ujrzałby ją pan enface. Mam rację?

- Tak - odrzekł McGrath.

- Oto, co robimy: przeliczamy - ciągnął technik. - Przeliczamy wszystko tak, jakbyśmy hipotetycznie przenieśli kamerę tuż przed Holly. O ile musielibyśmy ją przesunąć? Powiedzmy, metr osiemdziesiąt w dół, trzy metry w lewo, zwrot o jakieś czterdzieści stopni, i znalazłaby się dokładnie naprzeciwko. Wprowadzamy te liczby do programu.

Komputer dokonuje symulacji i rysuje nam obrazek, właśnie tak, jakbyśmy przestawili prawdziwą kamerę.

- Można tak zrobić? - spytał z niedowierzaniem McGrath. - I działa?

- No, ma ograniczenia - przyznał technik. Postukał palcem w podobiznę najbliższego strzelca. - Na przykład ten facet stoi bokiem. Komputer bez problemów pokaże nam zdjęcie en face, ale co do wyglądu drógiej połowy twarzy, musi zgadywać. Zaprogramowano go tak, by założył, że droga strona wygląda podobnie do pierwszej, uwzględniając odrobinę asymetrii. Jeśli jednak brakuje mu ucha albo ma wielką bliznę, komputer tego nie pokaże.

- Dobra - rzucił McGrath. - Czego ci trzeba?

Szef techników wywołał dużą podobiznę całej grupy i zaczął kolejno wskazywać krótkim, grubym palcem.

- Pomiarów. Postarajcie się wykonać je jak najdokładniej. Muszę znać pozycję kamery względem wejścia i poziomu chodnika. Muszę dysponować ogniskową obiektywu. Potrzebuję też zdjęcia Holly z akt do porównania. Jej wygląd znamy przecież doskonale. Posłuży nam jako wzorzec. Jeśli ona będzie wyglądała jak trzeba, to tamci również, zakładając, że wszyscy mają dwoje uszu i tak dalej, jak mówiłem. Przynieście mi też płytkę z podłogi pralni i jeden z fartuchów, które nosi ta kobieta.

- Po co? - spytał McGrath.

- Żebym mógł rozszyfrować szarości na filmie - wyjaśnił technik. - Wówczas dostaniecie zdjęcia w kolorze.

\* \* \*

Dowódca wybrał z porannego oddziału karnego sześć kobiet, wyłącznie tych o największej liczbie nagan i upomnień, bo czekające je zadanie było trudne i nieprzyjemne. Ustawił je na baczność i wyprostował swe potężne cielsko. Odczekał chwilę, by sprawdzić, która pierwsza odwróci wzrok. Kiedy upewnił się, że żadna nie śmie tego /robić, wyjaśnił, co je czeka. Krew rozbryznęła się po całym pokoju, uniesiona gwałtowną siłą kręcącego się ostrza. Wszędzie wokół leżały odłamki kości. Dowódca kazał im nagrzać wody w kuchni i przynieść ją na miejsce w wiadrach. Poleciał też pobrać z magazynu szczotki, ścierki i środki odkażające. Oznajmił, że mają dwie godziny. Potem pokój ma wyglądać idealnie czysto. Każda zwłoka oznacza kolejne nagany.

\* \* \*

Zdobycie danych zabrało dwie godziny. Milošević i Bro-gan razem odwiedzili pralnię chemiczną. Zamknęli zakład i zaczęli miotać się w środku niczym kontrolerzy. Nakreślili plan, dokładny co do milimetra. Zdjęli ze ściany kamerę i zabrali ją ze sobą. Zerwali podłogę i zarekwirowali płytki. Odebrali też Koreance dwa fartuchy. Dodatkowo wzięli ze ściany dwa plakaty, bo uznali, że mogłyby pomóc w ustalaniu kolorów. Na piątym piętrze budynku FBI szef techników przez kolejne dwie godziny wprowadzał dane. Następnie przeprowadził test, wykorzystując wizerunek

Holly Johnson do dokładnego nastrojenia programu.

- I co pan powie? - spytał McGratha.

McGrath przyjrzał się uważnie portretowi Holly enface, potem podał go towarzyszom. Milošević dostał go ostatni, on właśnie najdłużej oglądał zdjęcie. Zakrył fragmenty dłonią i zmarszczył brwi.

- Wygląda na nim za chudo - oznajmił. - Mam wrażenie, że z prawą dolną ćwiartką jest coś nie tak, jakby brakowało jej szerokości.

- Zgadza się - potwierdził McGrath - jej szczeka wygląda przez to dziwnie.

Szef techników wywołał menu i poprawił kilka liczb. Ponownie przeprowadził test. Zaszumiała drukarka laserowa. W pojemniku wylądowała sztywna kartka papieru.

- Już lepiej - pochwalił McGrath. - Nos też się zgadza.

- A kolor? W porządku? - dopytywał się technik.

- Jej kostium powinien mieć ciemniejszy odcień brzoskwini - wtrącił Milošević. - Znam go, to włoski projekt.

Technik wywołał paletę barw.

- Pokaż mi - polecił. Milošević wskazał odcień.

- Coś bardziej w tym stylu.

Ponownie przeprowadzili test. Twardy dysk zaszumiał, drukarka ożyła.

- Tak lepiej - powiedział Milošević. - Ubranie się zgadza, kolor włosów także.

- Dobra - mruknął technik. Zapisał na dysku wszystkie parametry. - Bierzmy się do pracy.

FBI nigdy nie stosuje nowinek technicznych. Jego pracownicy przedkładają nad nie sprzęt, który zdążył już sprawdzić się w działaniu. Zatem komputer szefa techników był nieco wolniejszy niż maszyny w sypialniach bogatych dzieciaków z Chicago, ale nie aż tak wolny. Po czterdziestu minutach McGrath trzymał już w rękach pięć wydruków - cztery zdjęcia porywaczy oraz zbliżenie przedniej połowy samochodu. Wszystkie kolorowe, wyostrzone i wygładzone. McGrath uznał je za najlepsze zdjęcia, jakie oglądał w życiu.

- Dzięki - rzekł. - Są świetne. Od dawna nikt nie spisał się tu lepiej. Ale nie wspominaj o nich nikomu. To absolutna tajemnica, jasne?

Klepnął technika w ramię, a ten natychmiast się rozpromienił. Czuł się teraz jak najważniejsza osoba w całym budynku.

\* \* \*

Sześć kobiet pracowało ciężko i skończyło tuż przed upływem dwóch godzin. Największy problem stanowiły wąziutkie szczeliny pomiędzy deskami. Były ciasne, lecz nie tak, by nie wsiąkała w nie krew. Natomiast szczotką nie dawało się sięgnąć w głąb szpar. Kobiety musiały więc zalewać je wodą i osuszać ścierkami. Deski powoli nabierały mokro-brązowej barwy. Kobiety modliły się, by po wyschnięciu żadna się nie wypaczyła. Dwie z nich zwymiotowały, co jeszcze przysporzyło im pracy. Ale zdążyły na czas, tuż przed inspekcją dowódcy. Stały sztywno na baczność na mokrej podłodze i czekały, podczas gdy on wszystko sprawdzał. Mokre deski trzeszczały pod jego ciężarem. Potem pogratulował im dokładności i polecił, by w ciągu następnych dwóch godzin usunęły plamy z korytarza i schodów, po których wleczono ciało.

\* \* \*

Samochód stanowił najłatwiejszy element układanki. Szybko go zidentyfikowano: lexus, czterodrzwiowy, nowy model (wzór na metalowym kółku pozwalał wyznaczyć dokładną datę produkcji), kolor - czarny bądź ciemnoszary, nie da się stwierdzić z całą pewnością. Komputerowy proces kolorowania okazał się bardzo skuteczny, ale nie na tyle, by w stu procentach określić barwę ciemnego samochodu stojącego w jasnym słońcu.

- Skradziony? - spytał Milošević. McGrath przytaknął.

- Niemal na pewno - rzekł. - Sprawdź to, dobra?

Wahania wartości jena sprawiły, że cena nowego czterodrzwiowego lexusa spadła gdzieś do poziomu rocznych zarobków Miloševicza. Agent wiedział zatem dokładnie, które okręgi warto

sprawdzić, a które sobie darować. Nie

zawracał sobie głowy dzielnicami na południe od obwodnicy. Zaczął dzwonić do policjantów w Chicago, a także wszystkich posterunków na północnym wybrzeżu, aż po Lakę Forest.

Tuż przed południem trafił, choć w zasadzie nie tego szukał. Nie znalazł skradzionego lexusa, lecz lexusa zaginionego. Posterunek policji w Wilmette poinformował go, że przed siódmą w poniedziałek rano tamtejszy dentysta wyjechał nowiutkim lexusem do pracy i zaparkował obok firmy. Krę-garz pracujący w sąsiednim gabinecie widział, jak tamten skręca na podjazd. Lecz dentysta nigdy nie dotarł do budynku. Asystentka zadzwoniła do jego żony, żona na policję w Wilmette. Gliniarze przyjęli raport i nie interesowali się więcej sprawą. Nie był to pierwszy przypadek znikającego męża, o jakim słyszeli. Powiedzieli Miloševiczowi, iż ów małżonek nazywał się Rubin, a samochód był czarny - nowy odcień czerni z płatkami miki sprawiającymi, że lakier połyskuje w słońcu. Zrobione na zamówienie tablice rejestracyjne miały napis ORTHO1.

Miloševic przerwał rozmowę, odłożył słuchawkę i telefon natychmiast rozdzwonił się ponownie. Straż pożarna z Chicago donosiła, że jedna z jednostek została wezwana do pożaru samochodu. Tłusty dym z płonącego pojazdu przesłaniał widoczność na jednym z pasów lotniska Meigs Field. Gdy tuż przed pierwszą w poniedziałek wóz strażacki dotarł na opuszczony parking przemysłowy, zastał tam płonącego czarnego lexusa. Strażacy uznali, że wóz spalił się już do metalu i nie grozi im kolejna fala dymu, toteż oszczędzili pianę, czekając, by zgasł sam. Miloševic zapisał miejsce zdarzenia, rozłączył się i pobiegł do McGratha, prosząc o instrukcje.

- Sprawdź to - polecił szef.

Miloševic skinał głową. Lubił pracę w dochodzeniówce. Dzięki niej mógł się przejechać swoim nowiutkim fordem explorerem. Wolał go od zdezolowanych samochodów FBI, a Biuro chętnie zgadzało się na użycie prywatnego samochodu, bo nigdy nie występował o zwrot kosztów benzyny. Pojechał zatem na południe wielkim, błyszczącym wozem o napędzie na cztery koła, szybko pokonując osiem kilometrów. Bez problemów znalazł wrak lexusa, zaparkowany ukośnie na wyboistym betonie na tyłach opuszczonego budynku przemysłowego. Opony spłonęły, wóz stał na felgach, nadal jednak dało się odczytać tablicę rejestracyjną: ORTHO1. Miloševic zaczął grzebać w popiele wewnątrz, wciąż lekko ciepłym. Potem wyciągnął ze stacyjki trzpień spalonego klucza i otworzył bagażnik. Cofnął się gwałtownie cztery kroki i zwymiotował na beton. Dłuższą chwilę wstrząsały nim torsje. Złany potem wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy, uruchomił go i połączył się z McGrathem w siedzibie FBI.

- Znalazłem dentystę - oznajmił.

- Gdzie? - spytał McGrath.

- W pieprzonym bagażniku - rzekł Miloševic - upieczonego na śmierć. Wygląda na to, że kiedy zaczął się pożar, on wciąż żył.

- Chryste. Związek ze sprawą?

- Niewątpliwie.

- Jesteś pewien? - dopytywał się McGrath.

- Bez dwóch zdań - stwierdził Miloševic. - Znalazłem też inne rzeczy. Spalone, ale łatwe do rozpoznania. Trzy-dziesiątkę, a obok coś, co przypomina metalowy zawias, może stanowić część kobiecej torebki. Monety, oprawkę od szminki, metalowe części telefonu komórkowego i pagera, a na podłodze leży dziewięć drucianych wieszaków, takich, jakich używa się w pralniach.

- Chryste - jęknął ponownie McGrath. - Wnioski?

- Ukradli lexusa w Wilmette. Może dentysta przyłapał ich na gorącym uczynku. Rzucił się na nich, oni go ogłuszyli i wsadzili do bagażnika, a potem spalili wraz z resztą dowodów.

- Cholera - mruknął McGrath. - Ale gdzie jest Holly? Masz jakieś pomysły?

- Zabrali ją na Meigs Field - podsunął Miloševic. - To tylko kilometr dalej. Porzucili samochód, a ją wsadzili do prywatnego samolotu. To właśnie zrobili, Mack. Zabrali ją stąd samolotem. Czterech facetów zdolnych do spalenia kogoś żywcem. I trzymają ją gdzieś, może nawet milion kilometrów stąd.



Biała ciężarówka jechała spokojnie naprzód. Kolejna godzina, jakieś sto kilometrów. Zegar wewnątrz głowy Re-achera przeskoczył z jedenastej na dwunastą. Gdzieś w jego umyśle pojawiły się pierwsze oznaki niepokoju. Porwano ich niemal dobieg temu, prawie dwadzieścia cztery godziny. Ze wstępnej fazy przeszli już do środkowej, i zero postępów. Poza tym było mu niewygodnie, powietrze wewnątrz wozu wręcz parzyło. Oboje nadal leżeli na wznak na rozpalonym materacu, zetknięci głowami. Posłanie z końskiego włosia było gorące. Ciemne włosy Holly, wilgotne od potu, rozsypały się wokół. Dotykały lewego nagiego ramienia Reachera.

- Czy to dlatego, że jestem kobietą? - spytała, wyraźnie spięta. - Czy może dlatego, że jestem młodsza od ciebie? Albo jedno i drugie?

- Co dlaczego? - odpowiedział pytaniem Reacher, zachowując czujność.

- Uważasz, że powinieneś się mną opiekować. Martwisz się o mnie, bo jestem młodą kobietą, prawda? Sądzisz, że potrzebuję pomocy starszego mężczyzny.

Reacher poruszył się lekko, ale w istocie nie miał zamiaru zmieniać pozycji. Może i była niewygodna, ale nie taka zła. Odpowiadał mu zwłaszcza dotyk włosów Holly na ramieniu. Oto jego życie w pigułce. Cokolwiek się działo, zawsze pojawiały się drobne elementy rekompensujące niedogodności.

- I co? - dodała.

- Tu nie chodzi o płęć, Holly - zapewnił - ani wiek. Mimo wszystko potrzebujesz pomocy, zgadza się?

- I zupełnym przypadkiem jestem młodszą kobietą, a ty starszym mężczyzną. Dlatego to ty masz kwalifikacje, by mi jej udzielić. Inaczej by być nie mogło. Tak?

Wciąż leżąc, pokręcił głową.

- To nie kwestia płci - powtórzył - ani wieku. Mam kwalifikacje, boje mam, i tyle. Po prostu próbuję ci pomóc.

- Tylko głupio ryzykujesz. Na miłość boską, naciskanie ich i robienie sobie z nich wrogów to nie najlepsza metoda. Przez ciebie oboje zginieemy.

- Bzdura - mruknął. - Muszą widzieć w nas ludzi, nie towar.

- Kto tak twierdzi? - warknęła. - Kto nagle zrobił ci ekspertem?

Reacher wzruszył ramionami.

- Pozwól, że o coś cię spytam - powiedział. - Gdyby sytuacja wyglądała odwrotnie, zostawiłabyś mnie wtedy, w oborze?

Zastanowiła się chwilę.

- Oczywiście, że tak.

Uśmiechnął się. Możliwe, że mówiła prawdę. Spodobała mu się.

- Dobra, następnym razem, kiedy mi każesz, odejdę bez żadnych protestów.

Długi czas Holly milczała.

- Dobrze - rzekła w końcu. - Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to tak zrób.

Znów wzruszył ramionami, przysunął się centymetr bliżej.

- To ryzykowne - powiedział. - Jeśli ucieknę, mogą zechcieć załatwić cię i zniknąć.

- Zaryzykuję - odparła. - Za to mi płacą.

- Kim oni są? - spytał Reacher. - I o co im chodzi?

- Nie mam pojęcia.

Powiedziała to za szybko. Reacher zrozumiał, że ona wie.

- Chodziło im o ciebie, zgadza się? Albo dlatego, że interesujesz ich osobiście, albo dlatego, że chcieli dostać w ręce dowolnego agenta FBI, a ty im się akurat nawinęłaś. Ilu jest agentów FBI?

- Biuro zatrudnia dwadzieścia pięć tysięcy osób - oznajmiła Holly. - Dziesięć tysięcy z nich to agenci.

- W porządku, zatem chodziło im o ciebie. Jeden na dziesięć tysięcy to zbyt duży zbieg okoliczności. To nie jest przypadkowe porwanie.

Odwróciła wzrok, zerknęła na nią.

- Dlaczego, Holly? - spytał.

Wzruszyła ramionami i pokręciła głową.

- Nie wiem.

Za szybko. Znow na nią spojrział. W jej głosie dźwięczała pewność, lecz w odpowiedzi usłyszał ukrytą defensywną

- Nie wiem - powtórzyła. - Podejrzewam, że pomylili mnie z kimś innym z Biura.

Reacher roześmiał się i przekręcił głowę. Jego twarz dotknęła włosów dziewczyny.

- Żartujesz sobie, Holly Johnson. Nie należysz do kobiet, które można pomylić z kimś innym. Poza tym, obserwowali cię przez trzy tygodnie, dostatecznie długo, by cię poznać.

Uśmiechnęła się ironicznie. Nie do niego, tylko do metalowego sufitu.

- Nie zapomina się kogoś takiego? - rzuciła. - Tak jasne.

- Wątpisz w to? - odparł Reacher. - Jesteś najładniejszą osobą, jaką widziałem w tym tygodniu.

- Dzięki, Reacher, jest wtorek. Zobaczyłeś mnie w poniedziałek. Też mi komplement.

- Ale chwytasz, o co mi chodzi.

Usiadła, prostując plecy niczym baletnica. Oburącz przesunęła nogę na bok. Oparła się na łokciu. Zgarnęła włosy za ucho i popatrzyła na niego z góry.

- Zupełnie nie mogę cię rozgryźć - oznajmiła. Reacher odpowiedział spojrzeniem, wzruszył ramionami.

- Jeśli masz jakieś pytania, zadaj je. Zdecydowanie popieram wolność słowa.

- Dobra. Oto pierwsze pytanie. Kim ty, do diabła, jesteś? Znow wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

- Jack Reacher, brak drugiego imienia. Trzydzieści siedem lat i osiem miesięcy, stan wolny, bramkarz w klubie w Chicago.

- To bzdura.

- Bzdura - powtórzył. - Która część? Moje nazwisko, wiek, stan cywilny czy zawód?

- Zawód - wyjaśniła. - Nie jesteś bramkarzem.

- Nie? W takim razie kim?

- Jesteś żołnierzem. Służysz w wojsku. \*

- Naprawdę?

- To oczywiście - ciągnęła Holly. - Mój tato służy w wojsku. Całe życie spędziłam w bazach wojskowych. Wszyscy ludzie, których widywałam, póki nie skończyłam osiemnastu lat, służyli w wojsku. Wiem, jak wyglądają żołnierze, wiem, jak się zachowują. Byłam pewna, że jesteś jednym z nich. A potem zdjęłeś koszulę i zyskałam potwierdzenie.

Reacher uśmiechnął się szeroko.

- Czemu? Czy to tak bardzo męski, żołnierski wyczyn? Holly także się uśmiechnęła, pokręciła głową. Jej włosy

rozsywały się; odgarnęła je z powrotem za ucho, zakrzywiając palec niczym mały, biały haczyk.

- Ta blizna na brzuchu. Paskudne szwy. To z pewnością robota chirurga wojskowego. Jakiś szpital polowy, wszystko trwało pewnie z półtorej minuty. Gdyby cywilny lekarz założył takie szwy, do końca życia nie wypłaciliby się z odszkodowań.

Reacher przesunął palcem po pokrytej bliznami skórze. Szwy wyglądały niczym plan skomplikowanych węzłów kolejowych.

- Był wtedy zajęty - rzekł. - Uważam, że zważywszy na okoliczności, spał się całkiem nieźle. To się zdarzyło w Bejrucie, a ja nie byłem najciężej ranny. Po prostu powoli wykrwawiałem się na śmierć.

- Czyli mam rację? - spytała Holly. - Jesteś żołnierzem? Reacher uśmiechnął się i znow potrząsnął

głową.

- Jestem bramkarzem, tak jak mówiłem. Knajpa blueso-wa w South Side. Powinnaś tam kiedyś zajrzeć. Jest znacznie lepsza niż lokale dla turystów.

Holly powiodła wzrokiem od wielkiej blizny ku twarzy Reachera. Zaciśnęła wargi i powoli pokręciła głową. Reacher ustąpił.

, - Wcześniej byłem żołnierzem - dodał. - Do cywila przeszedłem czternaście miesięcy temu.

~ W jakiej jednostce?

- W żandarmerii wojskowej.

Holly skrzywiła się w udanym grymasie.

- Najgorsi z najgorszych - powiedziała. - Nikt was nie lubi.

- Powiedz mi coś, czego nie wiem,

- To wiele wyjaśnia - ciągnęła Holly. - W żandarmerii przechodzą specjalistyczne szkolenie.

Wygląda więc na to, że istotnie masz kwalifikacje. Do diabła, powinienś mi być powiedzieć! Teraz będę musiała przeprosić cię za to, co mówiłam.

Reacher milczał.

- Gdzie stacjonowałeś? - chciała wiedzieć.

- Na całym świecie. W Europie, na Bliskim Wschodzie, Dalekim Wschodzie. W końcu zaczynałem się gubić, gdzie jest góra, a gdzie dół.

- Stopień?

- Major.

- Medale? - naciskała. Wzruszył ramionami.

- Całe mnóstwo. Wiesz, jak to jest. Oczywiście, medale za służbę, a także Srebrna Gwiazda, dwie Brązowe, Purpurowe Serce z Bejrutu, odznaczenia za kampanie w Panamie, Grenadzie, za Pustynną Tarczę i Pustynną Burzę.

- Srebrna Gwiazda. Za co?

- Za Bejrut. Wyciągnąłem kilku chłopaków z bunkra.

- I wtedy zostałeś ranny? Stąd ta blizna i Purpurowe Serce?

- Byłem już ranny. Zranili mnie, zanim tam wszedłem. Chyba to właśnie najbardziej im zaimponowało.

- Bohater, co? Uśmiechnął się i zaprzeczył.

- Wcale nie. Niczego nie czułem, w ogóle nie myślałem. Byłem zbyt wstrząśnięty. Nie wiedziałem nawet, że mnie

trafili. Gdybym wiedział, zemdlałbym na miejscu. Z brzucha wisiało mi jelito, wyglądało paskudnie, jaskraworóżowe i takie mokre.

Przez chwilę Holly milczała. Ciężarówka jechała naprzód. Kolejnych trzydzieści kilometrów, na północ, południe lub zachód. Prawdopodobnie.

- Długo służyłeś? - zapytała Holly.

- Całe życie. Ojciec był oficerem piechoty morskiej. Zwiedził cały świat. W Korei ożenił się z Francuzką. Urodziłem się w Berlinie. Dopiero w wieku dziewięciu lat po raz pierwszy odwiedziłem Stany. W pięć minut później przenieśli nas na Filipiny. I tak dalej, i tak dalej. Mój najdłuższy pobyt w jednym miejscu to cztery lata spędzone w West Point. Potem się zaciągnąłem i wszystko zaczęło się od nowa. Dookoła świata.

- Gdzie jest teraz twoja rodzina?

- Nie żyje. Ojciec zmarł, ile to już... dziesięć lat temu. Matka dwa lata później. Pogrzebałem z nią Srebrną Gwiazdę. To ona tak naprawdę ją zdobyła. Cały czas powtarzała: rób to, co trzeba. Milion razy dziennie, z mocnym francuskim akcentem.

- Bracia i siostry?

- Miałem brata. Zmarł w zeszłym roku. Z tego, co mi wiadomo, jestem ostatnim Reacherem na ziemi.

- Kiedy przeszedłeś do cywila?

- W kwietniu zeszłego roku. Czternaście miesięcy temu.

- Czemu? - pytała Holly. Reacher wzruszył ramionami.

- Chyba po prostu przestało mnie to interesować. Zaczęły się cięcia budżetowe, które sprawiły, że armia wydała się zbędna. Jeśli nie potrzebowali największych i najlepszych, nie potrzebowali też mnie. Nie chciałem stać się częścią czegoś małego, nieważnego. Dlatego odszedłem. Niezły ze mnie arogant, prawda? Roześmiała się.

- I zostałeś bramkarzem. Od udekorowanego majora do bramkarza. Czyż to nie deklasaacja?

- To nie tak - tłumaczył. - Nie zamierzałem zostać bramkarzem. Nie planowałem nowej kariery zawodowej. To posada tymczasowa. W Chicago zjawiłem się w piątek, w środę zamierzałem ruszać dalej. Myślałem, czy nie wybrać się do Wisconsin, ponoć o tej porze roku jest tam bardzo ładnie.

- Od piątku do środy? - spytała Holly. - Nie potrafisz usiedzieć na miejscu czy co?

- Chyba tak - odparł. - Przez trzydzieści sześć lat zawsze trafiałem tam, gdzie ktoś mi kazał. To było bardzo zorganizowane życie. I przypuszczam, że teraz je odreagowuję. Uwielbiam wyjeżdżać, kiedy mam na to ochotę. To przypomina narkotyki. Odkąd wyszedłem z wojska, najdłużej usiedziałem w jednym miejscu dziesięć dni, zeszłej jesieni w Georgii. Dziesięć dni z czternastu miesięcy. Poza tym cały czas byłem w drodze.

- I zarabiałeś na życie jako bramkarz w klubach?

- To nietypowa decyzja. W ogóle nie lubię pracować. Żyję z odprawy. Ale przyjechałem do Chicago z piosenkarzem. A potem poszło szybko. Spytali, czy chciałbym popilnować drzwi w klubie, w którym miał śpiewać.

- Co zatem robisz, skoro nie pracujesz?

- Oglądam różne rzeczy. Musisz pamiętać, że jestem trzy-dziesięcioletnim Amerykaninem, lecz tak naprawdę nigdy nie przebywałem dłużej w Ameryce. Wjechałaś na szczyt Empire State Building?

- Oczywiście.

- Ja nie - powiedział. - Dopiero w zeszłym roku. Byłaś w muzeach waszyngtońskich?

- Jasne.

- Ja nie - powtórzył. - Dopiero w zeszłym roku. I tak dalej i dalej. Boston, Nowy Jork, Waszyngton, Chicago, Nowy Orlean, Mount Rushmore, Golden Gate, Niagara. Jestem niczym turysta, nadrabiam stracony czas.

- Ze mną jest odwrotnie - mruknęła Holly. - Lubię wyjeżdżać za granicę.

Reacher wzruszył ramionami.

- Zagranicę już widziałem. Sześć kontynentów. Teraz zamierzam zostać tutaj.

- Ja widziałam Stany - odparła. - Mój tato cały czas podróżował, ale my mieszkaliśmy tutaj, jeśli nie liczyć dwóch wyjazdów do Niemiec.

Reacher przytaknął. Cofnął się w pamięci do czasów, które spędził w Niemczech, jako mężczyzna i chłopiec. W sumie było to wiele lat.

- To w Europie polubiłaś piłkę nożną?

- Zgadza się. Tam naprawdę za nią szaleją. Kiedyś stacjonowaliśmy pod Monachium. Wiesz gdzie? Byłam wtedy mała, miałam jakieś jedenaście lat. Tato dostał bilety na wielki mecz w Rotterdamie, w Holandii. Puchar Europy. Bayern Monachium grał wtedy z drużyną angielską, Aston Villa. Słyszałaś o niej?

Reacher skinął głową.

- Są z Birmingham. Stacjonowałem kiedyś niedaleko Oxfordu, jakąś godzinę drogi.

- Nienawidziłam Niemców - ciągnęła Holly. - Byli tacy aroganccy, tacy pewni siebie, święcie przekonani, że zmiażdżą Anglików. Nie chciałam tego oglądać. Ale musiałam, rozumiesz? Protokół NATO. Gdybym odmówiła, wybuchłby wielki skandal. Poszliśmy więc i Brytyjczycy dokopali Niemcom. Niemcy byli

wściekli, a ja zachwycona. Do tego ci goście z Aston Villi okazali się strasznie przystojni. Od tego dnia pokochałam piłkę nożną. Wciąż ją kocham.

Reacher przytaknął. Sam także lubił czasem obejrzeć mecz piłki nożnej, trzeba jednak było przywykać do niej stopniowo i najlepiej od dzieciństwa. Wyglądała swobodnie, w istocie jednak była grą niezwykle techniczną, pełną ukrytych atrakcji. Z łatwością zrozumiał, że młoda dziewczyna, przebywająca jakiś czas w Europie, mogła dać się uwieść. Szalona noc w Rotterdamie w blasku reflektorów. Początkową niechęć i oburzenie zastępuje stopniowo hipnotyczna fascynacja poruszeniami białej piłki na zielonej trawie, a potem miłość do gry. Lecz jej słowa sprawiły, że w głowie Reache-ra rozdzwięczał się dzwonek alarmowy. Gdyby jedenastoletnia córka amerykańskiego żołnierza odmówiła pójścia na mecz, doszłoby do skandalu w NATO. Czy tak właśnie powiedziała?

- Kim był twój ojciec? - spytał głośno. - Wygląda na to, że kimś bardzo ważnym.

Wzruszyła ramionami, nie odpowiedziała. Reacher obserwował ją uważnie. Kolejny dzwonek alarmowy.

- Holly, kim, do diabła, jest twój ojciec? - powtórzył z naciskiem.

Upór wcześniej dzwiczący w jej głosie pojawił się także na twarzy. Milczała.

- Kim, Holly? - naciskał Reacher.

Odwróciła wzrok i przemówiła do metalowej ściany ciężarówki. Ciche słowa niemal zginęły w hałasie silnika.

- To generał Johnson - oznajmiła cicho. - W owym czasie był dowódcą w Europie. Znasz go?

Reacher milczał. Generał Johnson. Holly Johnson. Ojciec i córka.

- Spotkałem go kiedyś - powiedział w końcu. - Ale tu nie o to chodzi, prawda?

Posłała mu wściekle spojrzenie.

- Dlaczego? O co dokładnie chodzi?

- To jest powód. Twój ojciec to najważniejszy wojskowy w Ameryce. Dlatego właśnie cię porwali. Holly, na miłość boską, im nie chodzi o Holly Johnson, agentkę FBI. Cała sprawa z FBI jest wyłącznie przypadkiem. Ich cel to córka generała Johnsona.

Holly popatrzyła na niego, jakby właśnie uderzył ją w twarz.

- Dlaczego? Czemu, do diabła, każdy od razu zakłada, że wszystko, co mnie spotyka, dzieje się z powodu tego, kim jest mój cholerny ojciec?

McGrath zabrał ze sobą Brogana. Spotkali się z Miloševiczem na lotnisku Meigs Field w Chicago. Mieli przy sobie cztery zdjęcia komputerowe i fotografię Holly Johnson. Oczekiwali całkowitej współpracy personelu lotniska. I słusznie. Jeśli ma się do czynienia z trzema nakręconymi agentami FBI, którzy boją się o losy koleżanki, trudno jest zareagować czym innym niż całkowitą współpracą.

Meigs Field było niedużym lotniskiem towarowym, położonym tuż nad jeziorem, obok plaży przy Dwunastej Ulicy, z trzech stron otoczonym wodą, próbującym przeżyć w olbrzymim cieniu lotniska O'Hare. Miało znakomitą księgowość i bardzo sprawny personel - nie po to, by móc odpowiadać bez wahania na pytania FBI, lecz by utrzymać się na rynku i zarabiać na życie pod nosem jednego z największych konkurentów na świecie. Lecz jego księgi i sprawność obsługi okazały się teraz bardzo pomocne. McGrath już po trzydziestu sekundach zrozumiał, że zmierza w ślepią uliczkę.

Obsługa lotniska Meigs Field była pewna, że nikt z nich w życiu nie widział Holly Johnson ani któregośkolwiek z czterech porywaczy. Z całą pewnością nie w poniedziałek, około pierwszej w południe. Wszyscy pracownicy zgodnie to potwierdzali. Nie przesadzali, po prostu byli pewni ową spokojną pewnością siebie ludzi, którzy przez cały dzień pracy bez wahania wykonują swoje obowiązki i wysyłają małe samoloty na najruchliwsze trasy powietrzne świata.

Po chwili stało się jasne, że z Meigs Field nie wystartował żaden podejrzany samolot. A już na pewno nie między dwunastą a piętnastą. Dokumenty świadczyły o tym niezbicie. Trzej agenci

zniknęli równie szybko, jak się pojawili. Obsługa wieży pożegnała ich i zapomniała o ich istnieniu, nim zdążyli wsiąść do czekających na niewielkim parkingu samochodów.

- W porządku, wracamy do punktu wyjścia - rzucił McGrath. - Wyjedźcie sprawdzić, co z tym dentystą z Wilmette. Ja mam do załatwienia parę spraw, muszę też zadzwonić do Webstera. W Waszyngtonie pewnie dostają szalu.

\* \* \*

Dwa tysiące siedemset dwadzieścia trzy kilometry od Meigs Field młody mężczyzna w dresie niecierpliwie czekał na instrukcje. Był dobrym agentem, świetnie wyszkolonym, lecz brakowało mu doświadczenia w inwigilacji. Popyt na agentów działających pod przykrywką cały czas rósł, Biuro z trudem zapełniało kolejne stanowiska, toteż wykorzystywało ludzi takich jak on, niedoświadczonych. Uznał jednak, że poradzi sobie, póki będzie stale pamiętał, że nie zna wszystkich odpowiedzi. Nie miał z tym problemów. Zawsze chętnie prosił o wskazówki, był ostrożny - i był realistą. Szybko pojął, iż obecna sytuacja całkowicie go przerasta. Wszystko zmieniało się na gorsze i nie wątpił, że wkrótce dojdzie do wybuchu. Nie wiedział jednak jakiego. Po prostu miał przeczucie. Ufał swoim przeczuciom - w wystarczającym stopniu, by zatrzymać się i zawrócić, nim dotarł do swego wyjątkowego drzewa. Dysząc ciężko, zmienił zdanie i ruszył z powrotem tam, skąd przybył.

Webster czekał na telefon McGratha, nie było co do tego wątpliwości. McGrath natychmiast dostał połączenie, zupełnie jakby szef siedział w swym wielkim gabinecie, niecierpliwie wpatrując się w milczący aparat.

- Jakież postępy, Mack? - spytał.

- Owszem, niewielkie. Wiemy dokładnie, co się stało. Wszystko zarejestrowała kamera w pralni chemicznej. Holly weszła do środka o dwunastej dziesięć, wyszła o dwunastej piętnaście. Porwała ją czterech facetów - trzech na ulicy, jeden w samochodzie.

- A potem? - spytał Webster.

- Przyjechali skradzionym samochodem - ciągnął McGrath. - Wygląda na to, że wcześniej zabili właściciela. Przewieźli ją osiem kilometrów na południe. Podpalili wóz wraz z właścicielem zamkniętym w bagażniku. Spalili go żywcem. Był dentystą, nazywał się Rubin. Jeszcze nie wiemy, co zrobili z Holly.

W Waszyngtonie Harland Webster milczał długą chwilę.

- Czy warto przeszukać okolicę? - spytał w końcu.

Teraz to McGrath umilkł, niepewny, co oznaczają te słowa. Czy Webster chciał szukać kryjówki, czy kolejnych zwłok?

- Instynkt podpowiada mi, że nie - powiedział wreszcie. - Musieli wiedzieć, że moglibyśmy to zrobić. Podejrzewam, że gdzieś ją przewieźli, pewnie nawet daleko.

W słuchawce znów zapadła cisza. McGrath niemal słyszał, jak Webster myśli intensywnie.

- Zgadzasz się z tobą, przewieźli ją. Ale czym? Autem, samolotem?

- Nie samolotem - powiedział McGrath. - Wczoraj sprawdziliśmy wszystkie loty pasażerskie, dziś prywatne lotnisko. Nic.

- A helikopter? - naciskał Webster. - Tajna operacja, jeden skok?

- Nie w Chicago, szefie. Nie obok O'Hare. Mają tu więcej radarów niż nasi chłopcy z lotnictwa. Gdyby zjawił się nieautoryzowany helikopter, wiedzielibyśmy o tym.

- Okay - zgodził się Webster. - Ale musimy nad tym zapanować. Porwanie i zabójstwo, Mack. To nie wygląda dobrze. Podejrzewasz, że mieli drugi skradziony wóz? Spotkali się gdzieś z pierwszym?

- Prawdopodobnie - przytaknął McGrath. - Właśnie to sprawdzamy.

- Orientujesz się, kto to mógł być?

-Nie. Mamy całkiem niezłe zdjęcia z kamery, wyostrzone komputerowo. Zaraz ci je prześlemy. Czterech mężczyzn, białych, między trzydziestką a czterdziestką. Trzej z nich podobni: przeciętni,

porządni, krótkie włosy. Czwarty jest bardzo wysoki, komputer twierdzi, że ma około metra dziesięćdziesięciu dwóch. Chyba przywódca. To on zaatakował pierwszy.

- Jakież przeczucia co do motywu?

- Nie mam pojęcia - przyznał McGrath. Znow cisza.

- W porządku - rzekł w końcu Webster. - Pilnujesz wszystkiego?

- Jak tylko mogę. Wiemy tylko my trzej.

- Kogo do tego ściągnąłeś?

- Brogana i Miloševicza.

- Dobrzy są? - spytał Webster.

McGrath mruknął w odpowiedzi. Czy wybrałby ich, gdyby byli niedobrzy?

- Nieźle znają Holly - oznajmił. - Nadają się.

- Nudy i marudy? - naciskał Webster. - Czy porządni jak kiedyś?

- Nigdy nie słyszałem, by się skarżyli na cokolwiek. Robią, co do nich należy, załatwiają swoje. Nie narzekają na zarobki.

Webster roześmiał się cicho.

- Moglibyśmy ich sklonować?

Po kilku sekundach wesołość zniknęła, lecz McGrath docenił tę próbę podtrzymania morale.

- A ty, jak sobie radzisz? - spytał.

- Pod jakim względem, Mack? - spytał znow poważny Webster.

- Ze starym. Siedzi ci na głowie?

- Który, Mack?

- Generał.

- Jeszcze nie - powiedział Webster. - Zadzwoił dziś rano, ale był uprzejmy. Tak zwykle jest. Rodzice przez pierwszy dzień czy dwa zwykle zachowują spokój. Potem zaczynają się denerwować. Generał Johnson będzie taki sam. To ważniak, ale w głębi duszy ludzie nie różnią się od siebie. Prawda?

- Prawda - przyznał McGrath. - Jeśli będzie chciał poznać wieści z pierwszej ręki, niech do mnie zadzwoni. To może pomóc.

- Dobra, Mack, dzięki - rzucił Webster. - Myślę jednak, że przynajmniej na razie powinniśmy ukryć sprawę z dentystą. Przez nią sytuacja wygląda gorzej. Tymczasem przyślij mi to, co masz. Nasi ludzie zaraz się tym zajmą. I nie martw się, uwolnimy ją. Biuro opiekuje się swoimi ludźmi, prawda? Zawsze i do końca.

Dwaj szefowie FBI pozwolili, by kłamstwo rozplynęło się w ciszy, po czym jednocześnie odłożyli słuchawki.

\* \* \*

Młody mężczyzna wyszedł z lasu i stanął twarzą w twarz z dowódcą. Miał dość rozumu, by energicznie zsalutować

i nie ukrywać zdenerwowania. Było to jednak zdenerwowanie jakie każdy żołnierz okazuje wobec swojego szefa. Nic

więcej, nic podejrzanego. Stał na baczność, czekając, aż tamten odezwie się pierwszy.

- Mam dla ciebie pracę - oznajmił dowódca. - Jesteś młody, zgadza się? Dobrze sobie radzisz z całą tą pieprzoną techniką?

Młody mężczyzna przytaknął ostrożnie.

- Zwykle udaje mi się coś wymyślić. Dowódca także skinął głową.

- Mamy nową zabawkę, skaner sprawdzający częstotliwości radiowe. Chcę, żebyś pełnił przy nim straż.

Krew młodego mężczyzny zastygła w żyłach.

- Dlaczego, proszę pana? - spytał. - Myśli pan, że ktoś korzysta z nadajnika?

- To możliwe. Nikomu nie ufam, podejrzewam wszystkich. Nigdy nie dość ostrożności, nie w tej chwili. Trzeba zadbać o wszystkie szczegóły. Wiesz, co mówią? Geniusz kryje się w szczegółach.

Prawda?

Młody mężczyzna przełknął ślinę i przytaknął.

- Przygotuj wszystko - polecił dowódca. - Będziecie pracować na zmiany, dwie warty, szesnaście godzin dziennie. W tej chwili musimy zachować stałą czujność.

Dowódca odwrócił się na pięcie. Młody mężczyzna skinął głową i wypuścił powietrze z płuc. Odruchowo obejrzał się w kierunku, w którym rosło jego wyjątkowe drzewo, i pobłogosławił swoje przeczucia.

\* \* #

Milošević zawiózł Brogana na północ swym nowym wozem. Po drodze zatrzymali się na poczcie w Wilmette, by Brogan mógł wysłać dwa czeki z alimentami. Następnie zaczęli szukać budynku, w którym mieścił się gabinet nieżyjącego mężczyzny. Na parkingu czekał na nich miejscowy policjant. Wcale nie czuł się winny z tego powodu, że nie nadał wcześniej biegu sprawie, mimo meldunku złożonego przez żonę dentysty. Milošević zaczął mu czynić wyrzuty, zupełnie jakby gość osobiście odpowiadał za porwanie Holly Johnson.

- Wielu mężów znika - odparł policjant. - Coś takiego wciąż się dzieje. To w końcu Wilmette. Tutejsi faceci są tacy sami jak inni, tyle że mają dość pieniędzy, by czasem zrealizować swoje plany. Co jeszcze mógłbym powiedzieć?

Milošević nie okazał zrozumienia. Policjant popełnił dwa kolejne błędy. Po pierwsze założył, że FBI znalazło się u niego z powodu morderstwa dentysty. Po drugie, bardziej zależało mu na własnym tyłku niż na odkryciu czterech zabójców, którzy porwali z ulicy Holly Johnson. Milošević tracił już cierpliwość, wtedy jednak jego rozmówca się zrehabilitował.

- Co w ogóle odbija tym ludziom? Skąd to palenie samochodów? Jakiś dupek spalił samochód nad jeziorem. Będziemy musieli go wywieźć. Miejscowi zaczynają się awanturować.

- Gdzie dokładnie? - spytał Milošević.

Policjant wzruszył ramionami. Bardzo mu zależało, by odpowiedzieć precyzyjnie.

- Na brzegu, przy skrzyżowaniu Sheridan Road, tuż przy parku Waszyngtona. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Nie w Wilmette.

Milošević i Brogan wybrali się, by to sprawdzić. Podążyli za policjantem jadącym błyszczącym radiowozem. Dowiózł ich na miejsce. To nie był zwykły samochód, tylko furgonetka, dziesięcioletni dodge. Brak tablic rejestracyjnych, obłana benzyna i niemal całkowicie wypalona.

- To się zdarzyło wczoraj - oznajmił policjant. - Pożar zauważono około wpół do ósmej rano. Ludzie dojeżdżający do pracy wciąż do nas wydzwaniali.

Okrażył wrak, przyglądając mu się uważnie.

- Nie jest stąd - dodał. - Tak przynajmniej przypuszczam.

- Czemu nie? - chciał wiedzieć Milošević.

- Ma dziesięć lat. Tu w okolicy znajdzie się kilka furgonetek, ale to zabawki. No wiecie, wielkie V8, mnóstwo chromu. Takiego starocia nikt nie wpuściłby na swój podjazd.

- A ogrodnicy? - wtrącił Brogan. - Czyściciele basenów, ktoś w tym stylu?

- Czemu mieliby spalić swój wóz? - spytał policjant. - Gdyby musieli go wymienić, oddaliby w rozliczeniu. Nikt nie pali czegoś, co jest warte pieniędzy.

Milošević zastanowił się chwilę, w końcu przytaknął.

- Dobra - rzekł. - Ta sprawa należy do nas. Śledztwo federalne. Jak najszybciej przyślemy tu ciężarówkę. Tymczasem proszę jej pilnować. I na miłość boską, dokładnie, niech nikt się tu nie zbliża.

- Dlaczego? - zapytał policjant.

Milošević spojrział na niego, jakby miał do czynienia z kretyńcem.

- To ich furgonetka - wyjaśnił. - Porzucili ją tutaj i ukradli lexusa, by wykorzystać go do porwania.

Policjant z Wilmette spojrział na podnieconą twarz Miloševicza. Odwrócił wzrok i przyjrzał się spalonej furgonetce. Przez chwilę zastanawiał się, jakim cudem czterech facetów zmieściłoby się na niewielkiej ławce dodge'a. Milczał jednak. Nie chciał ryzykować kolejnych drwin. Po prostu



skinął głową.

17

Holly siedziała na materacu. Zdrową nogę zgięła w kolanie i oparła na nim podbródek. Druga, niesprawna, leżała wyprostowana. Reacher siedział obok, pochylony naprzód, zaniepokojony. Jedną ręką podpierał się, walcząc z kołysaniem ciężarówki, drugą przeczesywał włosy.

- A twoja matka? - spytał.

- Miałaś może słynnego ojca? - odpowiedziała pytaniem Holly.

Reacher pokręcił głową.

- Raczej nie, choć faceci z oddziału go znali.

- Nie wiesz zatem, jak to jest. Wszystko, co robisz, dzieje się z powodu twojego ojca. W szkole dostawałam najlepsze stopnie. Skończyłam Yale i Harvard, pracowałam na Wall Street, ale nie ja to robiłam, tylko ta dziwaczna, obca osoba, córka generała Johnsona. To samo w Biurze. Wszyscy zakładają, że udało mi się dzięki ojcu i odkąd zaczęłam pracę, połowa ludzi jest dla mnie wyjątkowo miła, a druga wyjątkowo surowa, żeby dowieść, że się mnie nie boją.

Reacher przytaknął, pomyślał chwilę. On sam poradził sobie lepiej niż jego ojciec; brnął naprzód w tradycyjny sposób, pozostawiając starszaka w tyle. Znał jednak facetów mających słynnych rodziców, synów wielkich żołnierzy, nawet wnuków. Nieważne, jak jasno płonęli, ich światło gasło w blasku przodków.

- No dobra, jest ciężko - przyznał - i przez resztę życia możesz próbować ignorować ten fakt. W tej chwili jednak musimy się nim zająć. To jak otwarcie puszkii Pandory.

Holly skinęła głową, westchnęła. Reacher zerknął na nią w półmroku.

- Jak szybko się domyśliłaś? Wzruszyła ramionami.

- Chyba natychmiast. Tak jak ci mówiłam, to nawyk. Każdy zakłada, że wszystko, co się dzieje, dzieje się z powodu mego ojca. Ja także.

- To dzięki, że mi powiedziałaś.

Oboje umilkli. Powietrze było ciężkie, duszące, upał jakby połączył się z nieustannym rykiem silnika. Ciemność, temperatura i dźwięk tworzyły wewnątrz ciężarówki gęstą zupę. Reacher miał wrażenie, że w niej tonie. Ale to niepewność wykańczała go najbardziej. Wiele razy spędzał po trzydzieści godzin w samolotach transportowych, w gorszych warunkach niż obecnie. Wówczas jednak brakowało owego nowego, nieznanego wymiaru, niepewności.

- A twoja matka? - spytał ponownie. Holly pokręciła głową.

- Umarła. Miałam dwadzieścia lat, byłam w szkole. Jakiś paskudny rak.

- Przykro mi - urwał nerwowo. - Bracia, siostry? Ponowne przeczenie.

- Tylko ja. Przytaknął niechętnie.

- Tego się obawiałem - rzekł. - Miałem nadzieję, że może tu chodzi o coś innego. Na przykład twoja matka jest sędzią, albo masz brata czy siostrę w Kongresie.

- Zapomnij - rzuciła. - Jestem tylko ja, ja i tato. Tu chodzi o tatę.

- Ale o co dokładnie? - nie ustępował Reacher. - Co chcą przez to osiągnąć, do diabła? Okup? Nie ma mowy. Twój stary to szycha, ale jest tylko żołnierzem. Całe życie wspinał się coraz wyżej, owszem, szybciej niż inni, ale znam siatkę płac w armii. Żyłem według niej przez trzynaście lat i raczej się nie wzbogaciłem. On także. Nie aż tak, by ktokolwiek mógł myśleć o okupie. Gdyby porywacze pragnęli dostać pieniądze za czyjąś córkę, w samym Chicago znaleźliby milion lepszych kandydatek.

Holly przytaknęła.

- Tu chodzi o wpływy. Ojciec odpowiada za dwa miliony ludzi i dwieście miliardów dolarów rocznie. Wpływy jak cholera, zgadzasz się?

Reacher pokręcił głową.

- Nie. W tym właśnie problem. Nie widzę, co by to miało dać.

Ukląkł i podczołgał się naprzód na materacu.

- Co ty wyprawiasz? - spytała Holly.

- Musimy z nimi pogadać, zanim dotrzemy na miejsce.

Podniósł wielką pięść i zaczął z całych sił tłuc w ściankę, dokładnie w miejscu, gdzie, jak uznał, musi siedzieć kierowca. Walił tak, aż osiągnął to, czego pragnął. Trochę to trwało, ściśle biorąc kilka minut. Ręka zdążyła go rozboleć. W końcu jednak ciężarówka zjechała z autostrady i zaczęła zwalniać. Poczul, jak przednie koła zagłębiają się w żwir. Zadziałały hamulce. Reacher opadł na ścianę. Siła rozpędu przycisnęła go do metalu. Holly przeturlała się po materacu. Jęknęła z bólu, gdy jej kolano wygięło się gwałtownie.

- Zjechaliśmy z drogi - oznajmił Reacher - na pustkowiu.

- Popelniasz wielki błąd, Reacher - mruknęła Holly.

W odpowiedzi wzruszył ramionami. Ujął jej dłoń, pomagając usiąść, póki nie oparła się o ściankę. Potem przesunął się i podczołgał naprzód między nią i drzwiami. Usłyszał trzech mężczyzn wysiadających z kabiny, trzask drzwi, kroki na żwirze. Dwaj zbliżali się z prawej, jeden z lewej. Szczęk klucza wsuwanego do zamka, zgrzyt przekręcanej klamki.

Drzwi po lewej uchyliły się odrobinę. Pierwszą rzeczą, jaką ujrzeli więźniowie, był wylot lufy strzelby. Za nim Reacher dostrzegł nic nieznaczący skrawek nieba, jaskrawy błękit, małe, białe obłoczki. Mogli być wszędzie na półkuli północnej. Drugi w ciężarówce pojawił się glock 17. Potem ręka, mankiet bawełnianej koszuli. Glock nie poruszał się nawet na milimetr. Loder.

- Oby to było coś ważnego, suko - warknął.

Wrogość w głosie, olbrzymie napięcie.

- Musimy porozmawiać - zawołał Reacher.

W wąskiej szczelinie pojawił się drugi glock, trząsł się lekko.

- O czym porozmawiać, dupku? - krzyknął Loder.

Reacher wsłuchał się w dźwięczące w jego głosie zdenerwowanie. Patrzył, jak drugi glock drży, kreśląc w powietrzu niewielkie zygzaki.

- To się nie uda - oznajmił. - Ktokolwiek wam rozkazuje, nie myśli logicznie. Może uznał, że to sprytne posunięcie, ale się pomylił. W ten sposób niczego nie osiągniecie. Jedyne wpędzicie się w poważne kłopoty.

Na zewnątrz zapadła cisza. Trwała zaledwie sekundę, lecz wystarczyła, by Reacher pojął, iż Holly miała rację. Zrozumiał, że popełnił wielki błąd. Nieruchomy glock zniknął, strzelba podskoczyła, jakby właśnie zmieniła właściciela. Reacher rzucił się naprzód, przyciskając Holly do materaca.

Lufa strzelby się uniosła. Tuż przed ogłuszającym wybuchem Reacher usłyszał cichy szczęk spustu. Strzelba wypaliła wprost w dach. W metalu pojawiło się mnóstwo małych otworków, małych, błękitnych, jaśniejących punkcików. Śrut z grzechotem opadł na ziemię niczym metalowy grad. A potem odgłos strzału ucichł, pozostawiając ich czasowo ogłuszonych.

Reacher wyczuł, że zatrzaśnięto drzwi. Skrawek jasnego nieba zniknął, ciężarówka zakołysała się, gdy trzej porywacze wrócili do kabiny. Wóz zadrżał, potężny silnik ożył, ciężarówka skoczyła do przodu i w lewo. Wrócili na autostradę.

\* \* \*

Pierwszą rzeczą, jaką Reacher usłyszał, gdy odzyskał słuch, był cichy świst powietrza wlatującego do środka przez setkę otworów w dachu. Z czasem świst stawał się coraz głośniejszy - setka wysokich gwizdów, mieszczących się w obrębie kilku półtonów, przekrzykujących się i zawodzących niczym stado szalonych ptaków.

- To wariactwo - powiedziała Holly.

- Moje czy ich? - spytał.

Przepraszająco skinął głową. Odpowiedziała tym samym gestem i dźwignęła się na materacu. Oburącz wyprostowała kolano. Przez dziury w dachu do środka wpadało światło, dość, by Reacher mógł wyraźnie ujrzeć twarz Holly, odczytać jej wyraz, dostrzec grymas bólu. Zupełnie jakby jej oczy przez moment przesłoniła kurtyna, a potem znów się uniosła. Ukląkł i zgarnął z materaca

kulki śrutu. Z chrzęstem odtoczyły się na bok po metalowej podłodze.

- Teraz już musisz uciec - oznajmiła. - Wkrótce cię zabiją.

Pasemka w jej włosach połyskiwały w nikłym świetle.

- Mówię poważnie - dodała. - Niezależnie od twoich kwalifikacji, nie mogę pozwolić, byś został.

- Wiem, że nie możesz - odparł.

Za pomocą koszuli zgarnął żwir na stosik przy drzwiach, potem poprawił materace i położył się na wznak; ruch ciężarówka łagodnie go kołysała. Przez chwilę wpatrywał się w otwory w metalowym dachu. Przypominały mapę odległej galaktyki.

- Ojciec zrobi wszystko, by mnie uwolnić.

Teraz rozmawiało im się trudniej. Do skowytu silnika i odgłosów z drogi dołączyły wysokie świsty z góry. Pełne spektrum dźwięków. Holly leżała obok Reachera. Przysunęła głowę do jego głowy. Jej włosy rozsypały się wokół, musnęły mu policzek, opadły na szyję. Poruszyła biodrami, prostując nogę. Między nimi pozostało trochę przestrzeni. Wciąż tworzyli przyzwoite V, nieco jednak ciaśniejsze niż przedtem.

- Ale co właściwie może zrobić? - spytał Reacher. - Wyjaśnij mi.

- Z pewnością czegoś zażądają - oznajmiła. - No wiesz, zrób to czy tamto albo załatwimy twoją córeczkę.

Mówiła wolno, jej głos drżał lekko. Reacher wsunął rękę w przestrzeń między nimi, znalazł jej dłoń. Ujął i uściśnął łagodnie.

- To nie ma sensu. Zastanów się. Czym zajmuje się twój ojciec? Wprowadza w życie plany długoterminowe i odpowiada za gotowość armii. Ale plany to dzieło Kongresu i prezydenta. Gdyby więc szef połączonych sztabów próbował im się sprzeciwić, po prostu by go wymienili, zwłaszcza gdyby wiedzieli, iż ktoś wywiera na niego podobny nacisk.

- A co z gotowością?

- To samo. Twój ojciec to jedynie przewodniczący komitetu, w którym zasiadają poszczególni szefowie sztabu: armii, marynarki, lotnictwa, piechoty morskiej. Gdyby wszyscy śpiewali na inną nutę niż twój ojciec, to mimo jego kontaktów na górze wkrótce by się zorientowali. Po prostu by go wymienili, całkowicie usunęli z równania.

Holly odwróciła głowę. Spojrzała wprost na niego.

- Jesteś pewien? Przypuśćmy, że ci faceci pracują dla Iraku czy kogoś w tym stylu. Może Saddam znów chce zająć Kuwejt, ale nie życzy sobie kolejnej Pustynnej Burzy. Kazał więc mnie porwać, by mój ojciec powiedział: przykro mi, nie da się tego zrobić, z różnych wymyślonych powodów.

Reacher wzruszył ramionami.

- Już w twoich słowach kryje się odpowiedź. Powody musiałyby być wymyślone. Prawda jest taka, że w razie potrzeby moglibyśmy znów zorganizować Pustynną Burzę. To żaden problem i wszyscy o tym wiedzą. Gdyby zatem twój ojciec zaczął zaprzeczać, wszyscy zorientowaliby się, że gada bzdury, i zrozumieliby dlaczego. Po prostu by go odsunęli. Armia rządzi się surowymi zasadami, Holly. Nie ma w niej miejsca na sentymenty. Jeśli o to właśnie chodzi tym ludziom, to tylko tracą czas. To się nie uda.

Długą chwilę Holly milczała.

- To może pragną zemsty - rzekła powoli. - Może ktoś chce go ukarać za jakieś wydarzenia z przeszłości. Może zabiorą mnie do Iraku, chcą, by przeprosił za Pustynną Burzę albo Panamę, Grenadę, mnóstwo innych rzeczy.

Reacher leżał na wznak, kołysząc się razem z ciężarówką. Na twarzy czuł podmuch wpadającego do środka powietrza. Uświadomił sobie, że w ciężarówce zrobiło się chłodniej. Niewykluczone, że sprawiła to nowa wentylacja albo jego nastrój.

- Zbyt skomplikowane - rzucił. - Jedynie bardzo sprawny analityk mógłby obwiniać za to szefa połączonych sztabów. Istnieje wiele znacznie bardziej oczywistych celów, bardziej znanych ludzi. Prezydent, sekretarz obrony, ludzie ze służb zagranicznych, generałowie. Gdyby Bagdad pragnął publicznego poniżenia, wybraliby kogoś znanego ich ludziom, nie biurokratę z Pentagonu.

- O co więc tu, do diabła, chodzi? - spytała Holly. Reacher ponownie wzruszył ramionami.  
- W ostatecznym rachunku o nic. Po prostu nie wszystko przemyśleli. Dlatego właśnie są tacy niebezpieczni. Sprawni, ale głupi.

\* \* \*

Ciężarówka niestrudzenie parła naprzód. Kolejnych sześć godzin. Kolejnych pięćset czterdzieści kilometrów, wedle obliczeń Reachera. Wewnątrz ciężarówki zrobiło się chłodniej, lecz Reacher nie próbował już ocenić kierunku, posługując się temperaturą. Otwory w dachu uniemożliwiły podobne kalkulacje. Polegał zatem wyłącznie na rozumowaniu. W sumie tysiąc czterysta kilometrów od Chicago, i to nie na wschód. To pozostawiało mnóstwo możliwości. Dokonał w głowie szybkiego przeglądu mapy. Mogli być w Georgii, Alabamie, Missisipi, Luizjanie, a także Teksasie, Okla-homie, południowo-zachodniej części Kansas. Zapewne nie dalej na zachód. Na myślowej mapie Reachera pojawiały się tam odcienie brązu, oznaczające wschodnie stoki gór, a ciężarówka wciąż jechała po terenie płaskim. Może to Nebraska, Dakota Południowa, może niedługo, po raz drugi w życiu, przejedzie obok Mount Rushmore, i dalej, za Min-neapolis, w głąb Dakoty Północnej. Tysiąc czterysta kilometrów od Chicago, olbrzymi łuk przecinający kontynent.

\* \* \*

Od kilku godzin nie widzieli już światła wpadającego wcześniej do środka przez dziury po śrucie, gdy wreszcie

ciężarówka zwolniła i skręciła w prawo, pod górę. Holly poruszyła się, odwróciła głowę i spojrzała wprost na Reache-ra. W jej wzroku kryło się nieme pytanie. Reacher wzruszył ramionami, czekał. Ciężarówka przystanęła, po czym znów skręciła w prawo. Jakiś czas jechała prosto drogą, potem zjechała w lewo, w prawo i znowu prosto, tyle że wolniej. Reacher usiadł, znalazł koszulę, włożył ją. Holly także usiadła.

- Kolejna kryjówka - oznajmiła. - Dobrze zaplanowali tę operację, Reacher.

Tym razem znaleźli się na końskiej farmie. Samochód pokonał wyboisty podjazd, zawrócił i cofnął się. Reacher usłyszał, jak jeden z porywaczy wysiada. Trzasnęły drzwi, ciężarówka wtoczyła się tyłem do następnego budynku. Odgłosy silnika odbiły się echem od ścian. Holly poczuła woń koni, silnik umilkł. Pozostali dwaj mężczyźni wysiedli. Reacher usłyszał, jak zbierają się z tyłu wozu. Klucz wsuwany w zamek, zgrzyt otwieranych drzwi. Przez szczelinę do środka wsunęła się strzelba. Tym razem nie celowała w górę, tylko naprzód.

- Wychodzić - poleciał Loder. - Suka pierwsza, sama. Holly zamarła, potem wzruszyła ramionami i przesunęła

się na materacu. Drzwi otwarły się szeroko, dwie pary rąk pochwyciły dziewczynę i wywlokły na zewnątrz. W drzwiach stanął kierowca, celował ze strzelby wprost w Reachera. Jego palec spoczywał na spuście.

- No, zrób coś, dupku - rzucił. - Proszę, daj mi jakiś pretekst.

Reacher patrzył na niego bez słowa i czekał pięć długich minut. W końcu strzelba przesunęła się naprzód, obok pojawił się glock. Loder skinął ręką, Reacher ruszył powoli naprzód w stronę dwóch łuf. Loder pochylił się, zatrzasnął na jego przegubie kajdanki. Łańcuch owinał wokół drugiej bransolety, którą zamknął. Szarpiąc za kajdanki, wyciągnął Reachera z ciężarówki. Znajdowali się w drewnianej stajni, znacznie mniejszej niż obora z poprzedniego wieczoru i znacznie starszej, dziele innego pokolenia rolników. Po obu stronach przejścia znajdowały się boksy dla koni. Podłogę wyłożono kamienną kostką, zieloną od mchu.

Przejście było dość szerokie, by mógł się w nim zmieścić koń, ale nie ciężarówka. Stała tuż za drzwiami, nad jej dachem Reacher ujrzał skrawek nieba, wielkiego, ciemnego nieba. Mogli znajdować się wszędzie. Poprowadzono go, niczym konia, brukowanym przejściem. Loder trzymał łańcuch, Stevie szedł z boku, obok Reachera, wbijając mu glocka w skroń. Z tyłu maszerował kierowca. Wylot lufy strzelby przyciskał mocno do nerki więźnia. Każdy krok oznaczał kolejne dźgnięcie. Zatrzymali się przy ostatnim boksie, najdalszym od wejścia. Holly czekała przykuta w pomieszczeniu naprzeciwko. Na prawym przegubie miała kajdanki. Drugi koniec łańcucha

zamocowano do żelaznego pierścienia, osadzonego w ścianie stajni.

Mężczyźni z bronią się rozstąpili. Loder wepchnął Reachera do boks. Kluczem otworzył bransoletę, przewłókł łańcuch przez żelazny pierścień przybity do ściennych desek. Okręcił jeszcze dwukrotnie i ponownie zatrzasnął bransoletę. Potrząsnął i szarpnął, sprawdzając, czy trzyma.

- Materace - powiedział Reacher. - Przynieście nam materace z ciężarówki.

Loder pokręcił głową, ale kierowca uśmiechnął się i przytaknął.

- Dobra - rzekł. - Niezły pomysł, dupku.

Zniknął wewnątrz ciężarówki i wyciągnął z niej większy materac. Mocując się, przewłókł go aż na koniec pomieszczenia i wepchnął do boks Holly, dociskając kopniakiem.

- Suka dostanie materac - oznajmił - ty nie. Wybuchnął śmiechem, pozostali mu zawtórowali.

Razem

odeszli w stronę wejścia. Kierowca wyprowadził ciężarówkę na dwór. Ciężkie drzwi zatrzasnęły się głośno. Reacher usłyszał opadającą z zewnątrz belkę mocującą oraz szcęk kolejnego łańcucha i kłódki. Zerknął na Holly, potem popatrzył w dół na wilgotną kamienną podłogę.

\* \* \*

Siedział w kucki, wciśnięty w kąt między drewnianymi ściankami. Czekał, aż tamci trzej wrócą z obiadem. Zjawili się po godzinie, przynosząc glocka, strzelbę i jedną metalową menażkę. Kierowca odebrał ją Steviemu i wręczył Holly. Przez chwilę stał, patrząc na nią lubieżnie, potem odwrócił się w stronę Reachera i wycelował w niego ze strzelby.

- Suka zje - rzekł - ty nie.

Reacher nie wstał, jedynie wzruszył ramionami w półmroku.

- Przeboleję to jakoś - oznajmił.

Nikt mu nie odpowiedział - po prostu zawrócili i odeszli, zamykając za sobą ciężkie drewniane drzwi. Belka wylądowała na miejscu, kłódka także. Reacher przez chwilę nasłuchiwał oddalających się kroków, po czym zwrócił się do Holly.

- Co to jest? - spytał.

Ona także wzruszyła ramionami.

- Jakiś cienki gulasz albo może gęsta zupa. Coś w tym stylu. Chcesz trochę?

- Dali ci widelec?

- Nie, łyżkę.

- Cholera - westchnął - pieprzoną łyżką nic nie zdziałam.

- Chcesz trochę? - powtórzyła.

- A sięgniesz?

Przez jakiś czas jadła w milczeniu, potem sięgnęła naprzód. Jedną ręką trzymała się łańcucha, drugą popychała metalową miskę. Potem odwróciła się, zdrową stopą pchnęła obiad jeszcze dalej po kamiennej podłodze. Reacher podciągnął się ku niej stopami naprzód, tak daleko, jak pozwalał łańcuch. Miał nadzieję, że jeśli zdoła wyciągnąć się dość daleko, uda mu się zahaczyć stopą miskę i pociągnąć. Ale nic z tego. Miał metr dziewięćdziesiąt dwa wzrostu i najdłuższe ręce, jakie kiedykolwiek oglądał wojskowy krawiec. Mimo wszystko jednak zabrakło mu ponad metra. Wraz z Holly leżeli wyciągnięci, tworząc idealną linię prostą, lecz miska wciąż pozostawała poza jego zasięgiem.

- Daj sobie spokój - zdecydował. - Zabierz ją, póki jeszcze możesz.

Holly zahaczyła miskę stopą i pociągnęła.

- Przykro mi, będziesz głodny.

- Przeżyję - odparł. - Pewnie i tak smakuje okropnie.

- Owszem - przyznała - to gówno, jak karma dla psa. Reacher patrzył na nią w ciemności. Nagle ogarnął go

niepokój.

\* \* \*

Holly z przeproszącą miną położyła się na materacu i spokojnie zasnęła. Reacher jednak wciąż

czuwał, i to nie z powodu kamiennej podłogi. Była zimna, wilgotna i twarda, a kostki wyboiste, ale nie to mu przeszkadzało. Czekał na coś. Odliczał w głowie minuty i czekał. Zgadywał, że to zdarzy się około trzeciej, może czwartej nad ranem. Kiedy brakuje już cierpliwości, a wola oporu słabnie. Długie czekanie. Trzydzieści tysięcy siedemset sześćdziesiąta pierwsza noc jego życia, mieszcząca się w grupie jednej trzeciej najgorszych nocy. Leżał, czuwał i czekał, aż coś się wydarzy.

Coś złego. Coś, czemu być może nie zdoła zapobiec. Zbliżało się, był tego pewien. Dostrzegł znaki. Leżał i czekał, odliczając minuty. Trzy godziny, może cztery.

Zaczął się po trzech godzinach i trzydziestu czterech minutach. Bezimienny kierowca wrócił do stajni, rozbudzony i sam. Reacher usłyszał miękkie kroki na ścieżce, szcęk kłódki i łańcucha, zgrzyt przesuwanej belki. Drzwi otworzyły się cicho, do środka wpadły promienie jasnego księżyca. Kierowca przekroczył próg. Reacher dostrzegł przez moment świńską, różową twarz. Nieproszony gość ruszył naprzód szybkim krokiem. W rękę nie trzymał broni.

- Widzę cię - powiedział cicho Reacher. - Zawróć albo już jesteś trupem.

Tamten zatrzymał się naprzeciwko. Nie był kompletnym kretynem, pozostawał poza zasięgiem więźnia. Jego jasne oczy powędrowały od kajdanek na przegubie Reachera, wzdłuż łańcucha, aż do żelaznego pierścienia przybitego do ściany. W końcu się uśmiechnął.

- Patrz sobie, jeśli chcesz, widownia mi nie przeszkadza. Poza tym, może czegoś się nauczysz.

Holly poruszyła się i ocknęła. Uniosła głowę i rozejrzała się wokół, mrugając w ciemności.

- Co się dzieje? - spytała.

Kierowca odwrócił się ku niej. Reacher nie widział już jego twarzy, spoglądała w przeciwną stronę. Dostrzegł jednak twarz Holly.

- Zabawimy się trochę, suko - oznajmił kierowca - tylko ty i ja. A twój przyjaciel, dupek, może sobie popatrzeć i nauczyć się tego i owego.

Opuścił ręce do pasa i rozpiął klamrę. Holly wpatrywała się w niego. Podniosła się, by usiąść.

- Chyba żartujesz - rzekła. - Jeśli się zbliżysz, zabiję cię.

- Nie zrobisz tego, nie ma mowy. W końcu dałem ci przecież materac i tak dalej. Wszystko po to, by było nam wygodnie.

Reacher wstał w swym boksie. Jego kajdanki zabrzęczały głośno w nocnej ciszy.

- Zabiję cię! - krzyknął. - Jeśli ją tkniesz, już jesteś trupem.

Powiedział to raz, a potem drugi, ale tamten zupełnie go nie słuchał. Jakby był głuchy. Reachera ogarnął nagły, przejmujący strach. Jeśli tamten go nie posłucha, nic nie zdoła zrobić. Potrząsnął łańcuchem, który zadźwięczał donośnie. Nic z tego, kierowca kompletnie go ignorował.

- Jeśli się do mnie zbliżysz, zabiję cię - oznajmiła Holly.

Noga wyraźnie ją spowalniała. Ugrzęzła więc w niewygodnej pozycji, próbując wstać. Kierowca wpadł do boksu, podniósł stopę i rąbnął nią w kolano dziewczyny. Holly krzyknęła z bólu, opadła na ziemię i zwinęła się w kłębek.

- Rób, co ci każe, suko - powiedział mężczyzna. - Dokładnie to, co ci każe, albo już nigdy nie będziesz chodzić.

Krzyk Holly załamał się w szloch. Kierowca cofnął nogę i starannie kopnął ją w kolano, jakby próbował strzelić gola z przeciwnej strony boiska. Dziewczyna znów krzyknęła.

- Jesteś trupem! - wrzasnął Reacher.

Kierowca odwrócił się i spojrzał na niego, uśmiechając się szeroko.

- Zamknij gębę - polecił. - Jeszcze jedno słowo, a suka mocniej oberwie, obiecuje.

Końcówki paska wisały swobodnie. Kierowca zacisnął dłonie i oparł pięści na biodrach. Jego szeroka, chamska twarz promieniała. Włosy miał napuszone, jakby przed chwilą umył je i zaczesał do góry. Odwrócił głowę i przez ramię spytał Holly.

- Masz coś pod tym kostiumem?

Holly nie odpowiedziała. W stajni zapadła cisza. Kierowca odwrócił się ku niej. Reacher widział, że jego towarzyszka śledzi każde poruszenie tamtego.

- Zadałem ci pytanie, suko. Masz ochotę na kolejnego kopniaka?

- Nie - odpowiedziała. Dyszała ciężko, walcząc z bólem. Kierowca rozpiął rozporek. W ciszy usłyszeli wyraźnie odgłos zamka, głośny nawet na tle trzech ciężkich oddechów.

- Widzisz? - spytał kierowca. - Wiesz, co to jest?

- Tak jakby - odparła Holly cicho. - Trochę przypomina penisa, ale jest mniejsze.

Przez chwilę patrzył na nią tępo, potem ryknął z wściekłości i wpadł do boksu, zamachując się nogą. Holly odskoczyła, krótka masywna noga mężczyzny śmignęła naprzód, nie trafiając w cel. Na moment stracił równowagę. Oczy dziewczyny zwęziły się, błysnęły triumfalnie. Cofnęła się i z całej siły rąbnęła łokciem w brzuch napastnika. Zrobiła to jak należy, wykorzystując siłę rozpędu i całą swą masę, jakby zamierzała złamać mu kręgosłup. Trafiła bezbłędnie. Kierowca jęknął i poleciał w tył.

Reacher krzyknął z podziwu i ulgi. Pomyślał: sam nie zrobiłbym tego lepiej, mała. Napastnik oddychał z trudem. Reacher widział jego twarz, wykrzywioną w grymasie bólu. Holly sapnęła zwycięsko, gramoląc się za nim na kolanach. Celowała wprost w krocze. Reacher myślami dodawał jej sił. Rzuciła się naprzód. Tamten odwrócił się i cios trafił w udo. Holly uwzględniła to w swoich planach. Zasłonił się, odkrywając gardło. Reacher dostrzegł to, Holly także. Wycelowała łokieć, morderczy cios zadany pod ostrym kątem. Cios, który oderwałby mu głowę. Zamachnęła się i wtedy jej łańcuch szczęknął i szarpnął ją w tył.

Na twarzy Reachera zastąpił złośliwy uśmiech. Kierowca wycofał się chwiejnie. Przez chwilę stał, dysząc i odzyskując siły. Potem wyprostował się, wyżej podciągnął pasek. Holly stała naprzeciw niego, unosząc jedną rękę. Łańcuch naciągał się wyraźnie, wibrując od tłumionego napięcia mięśni.

-- Lubię, jak walczą - wydyszał kierowca. - To dodaje smaczku zabawie. Uważaj jednak, by zachować na potem trochę energii. Nie chcę, żebyś leżała jak kłoda.

Holly posłała mu gniewne spojrzenie, oddychała głośno i czuła, jak przepelniała ją agresja. Dysponowała jednak tylko jedną ręką. Mężczyzna ponownie wszedł do boksu. Holly zadała ostry cios, szybki, niski. Tamten odskoczył w lewo i zablokował. Nie mogła poprawić kolejnym uderzeniem, miała uwięzioną rękę. Kopnął ją w brzuch. Zrobiła unik, kopnął ponownie i nadział się na łokieć, który trafił wprost w ucho. Ciosowi jednak brakowało siły z powodu niedogodnej pozycji Holly, która straciła równowagę. Kierowca podszedł bliżej i kopnął dziewczynę w brzuch. Upadła. Ponowny kopniak trafił w kolano. Reacher usłyszał trzask. Kierowca stał nad nią, ciężko oddychając.

- Zadałem ci pytanie, suko.

Holly śmiertelnie pobladła, cała drżała, skręcała się na materacu z ręką wyciągniętą do tyłu, zachłystując się boleśnie. Reacher ujrzał jej twarz w blasku księżyca.

- Czekam, suko - rzucił tamten.

Reacher ponownie dostrzegł oblicze Holly. Ujrzał, że została pokonana. Nie miała już siły walczyć.

- Chcesz kolejnego kopniaka? - spytał kierowca. W stajni zapadła cisza.

- Czekam na odpowiedź.

Reacher obserwował wszystko, czekał. Wciąż cisza, jedynie oddechy trzech osób dyszących w mroku. W końcu Holly odezwała się cicho.

- Jak brzmiało pytanie? Napastnik uśmiechnął się do niej.

- Masz coś pod tym kostiumem? Holly skinęła głową. Milczała.

- No dobra, co?

- Bieliznę - odparła niemal szeptem. Kierowca przytknął dłoń do ucha.

- Nie słyszę, suko.

- Mam na sobie bieliznę, sukinsynu - odparła głośnie. Napastnik pokręcił głową.

- Brzydki - powiedział. - Musisz mnie za to przeprosić.

- Pieprz się - warknęła Holly.

- Znów cię kopnę w kolano. Jeśli to zrobię, przez resztę życia będziesz poruszać się o lasce, suko.

Holly odwróciła wzrok.

- Twój wybór, suko.

Kierowca uniósł stopę. Holly wbiła wzrok w materac.

- No dobrze, przepraszam. Przykro mi. Tamten przytaknął radośnie.

- Opisz mi swoją bieliznę, tylko ze szczegółami. Wzruszyła ramionami i odwróciła głowę, przemawiając do drewnianej ściany.

- Stanik i majtki Victoria's Secret, kolor ciemna brzoskwinia.

- Skąpe? - chciał wiedzieć kierowca.

Ponownie wzruszyła ramionami z nieszczęśliwą miną, jakby wiedziała dokładnie, jakie będzie następne pytanie.

- Chyba tak.

- Chcesz mi je pokazać?

-Nie.

Kierowca postąpił krok naprzód.

- Wolisz następnego kopniaka?

Holly milczała. Kierowca znów przyłożył dłoń do ucha.

- Nie słyszę, suko.

- Jak brzmiało pytanie? - wymamrotała Holly.

- Chcesz kolejnego kopniaka? Holly pokręciła głową. -Nie.

- Okay - rzekł. - Pokaż mi bieliznę, a nie dostaniesz.

Uniósł stopę, Holly podniosła rękę, sięgając do najwyższego guzika kostiumu. Reacher ją obserwował. Guzików było pięć. W myślach błagał ją, by rozpiniała je powoli, rytmicznie. Potrzebował tego, bardzo potrzebował. Wolno i rytmicznie, Holly, powtarzał w duchu. Oburącz mocno chwycił łańcuch, metr od żelaznego pierścienia w ścianie. Powoli zaciskał palce.

Holly rozpięła pierwszy guzik. Reacher odliczył: raz. Kierowca pochylił się z szyderczym uśmiechem. Jej dłoń opadła ku kolejnemu guzikowi. Reacher znów wzmocnił uchwyt. Holly rozpięła drugi guzik. Reacher odliczył: dwa. Ręka przesunęła się w dół, do trzeciego. Reacher odwrócił się twarzą do ściany, odetchnął głęboko. Przekręcił głowę, patrząc przez ramię. Holly rozpięła trzeci guzik. Ujrzał jej piersi w ciemnobrzoskwiniowym biustonoszu, skąpym i koronkowym. Kierowca przestąpił z nogi na nogę. Reacher odliczył: trzy. Do końca wypuścił powietrze. Dłoń Holly opadła ku czwartemu guzikowi. Reacher zaczerpnął powietrza w płuca; był to najgłębszy oddech jego życia. Zacisnął ręce na łańcuchu tak mocno, że kostki zbieleły. Holly rozpięła czwarty guzik. Reacher odliczył: cztery. Jej ręka opadła, zawahała się ułamek sekundy. Czekala. Rozpięła piąty guzik. Kierowca jęknął cicho, nie spuszczać z niej oka. Reacher skoczył naprzód, rąbnął stopą w ścianę tuż pod żelaznym pierścieniem i całym ciężarem szarpnął w drugą stronę. Sto dziesięć kilo gwałtownej furii, uwolnione w jednej eksplozji. Ze ściany posypały się odłamki wilgotnego drewna. Stare deski ustąpiły. Śruby wyskoczyły z drewna. Reacher poleciał do tyłu. Zerwał się na nogi, pobrząkując gniewnie łańcuchem.

- Pięć! - krzyknął.

Chwycił kierowcę za rękę i cisnął go do swego boks, wprost na ścianę. Tamten rąbnął w deski i skulił się niczym połamana lalka. Potykając się, ruszył naprzód. Reacher kopnął go w brzuch. Kierowca zgiał się wpół, siła kopnięcia oderwała go od ziemi. Runął twarzą na kamienną podłogę. Reacher złożył na pół łańcuch, zamachnął się, celując zaimprovizowanym metalowym biczem wprost w głowę tamtego. Żelazny pierścień zataczał kręgi niczym stara średniowieczna broń. Lecz w ostatniej sekundzie Reacher zmienił zdanie. Wyszarpnął łańcuch, zmieniając trajektorię i pozwalając, by uderzył w kamienie posadzki, krzesząc iskry. Sam natomiast chwycił kierowcę jedną ręką za kołnierz, drugą za włosy. Przeniósł go na drugą stronę, na materac Holly. Wbił paskudną gębę w miękkie podłoże i naciskał, póki tamten nie wyzionął ducha. Kierowca walczył, szarpał się, lecz Reacher oparł jedynie olbrzymią dłoń na jego potylicy i czekał cierpliwie, aż umrze.

\* \* \*



Holly patrzyła na trupa. Reacher siedział obok niej, dysząc. Był wykończony, oszołomiony po wybuchu siły, który pozwolił mu wyrwać ze ściany żelazny pierścień. Zupełnie jakby w ułamku sekundy zdołał zgromadzić cały zapas adrenaliny. Zegar w jego głowie eksplodował i zatrzymał się. Reacher nie miał pojęcia, jak długo tak siedzieli. W końcu otrząsnął się i z trudem dźwignął na nogi. Wywłócił ciało i zostawił je w przejściu, w pobliżu otwartych drzwi. Potem wrócił, przykucnął obok Holly. Na palcach miał siniaki, pamiątkę po rozpaczliwym uchwycie. Zmusił się jednak do zachowania delikatności. Ostrożnie zapiął wszystkie guziki, kolejno od dołu do góry. Holly oddychała płytko. Nagle zarzuciła mu rękę na szyję i przywarła do niego, dysząc mu w koszulę.

Obejmowali się tak długą chwilę. W końcu poczuł, jak furia ją opuszcza. Usiedli obok siebie na materacu, patrząc w mrok. Holly odwróciła się do Reachera, kładąc drobną dłoń na jego rękę.

- Teraz jestem ci coś winna.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Wierz mi.

- Potrzebowałam pomocy - oznajmiła cicho. - Wcześniej oszukiwałam samą siebie.

Reacher odwrócił dłoń, zaciskając ją na jej palcach.

- Bzdura, Holly - powiedział łagodnie. - Od czasu do czasu każdy z nas potrzebuje pomocy. Nie rób sobie wyrzutów. Gdybyś była w pełni sprawna, zmiażdżyłabyś go. Dobrze widziałem. Dysponowałaś tylko jedną ręką i jedną nogą, a niemal ci się udało. To przez kolano, przy takim bólu człowiek nie ma szans. Wierz mi, wiem jak to jest. Po wypadku w Bejrucie przez większą część roku nie zdołałbym odebrać cukierka małemu dziecku.

Uśmiechnęła się lekko i ucisnęła mu rękę. Zegar w głowie Reachera ruszył naprzód. Zbliżał się świt.

W środę rano, o siódmej dwadzieścia, według czasu wschodniego, generał Johnson wyszedł z Pentagonu. Nie miał na sobie munduru, lecz lekki garnitur. Szedł pieszo. Zwykle wolał poruszać się właśnie w ten sposób. Mimo wczesnej pory w Waszyngtonie panował już upał, w powietrzu wisiała wilgoć. Generał maszerował jednak szybkim krokiem, lekko machając rękami. Wysoko unosił głowę i oddychał ciężko.

Szedł na północ zapiaszczonym poboczem bulwaru Jerzego Waszyngtona, mijając po lewej wielki cmentarz. Przeciął Park Johnsona i most Arlington Memorial, potem okrążył pomnik Lincoln, minął Mur Wietnamski i skręcił w prawo, w Constitution Avenue, zostawiając po prawej Reflecting Pool. Przed sobą miał pomnik Waszyngtona. Przeszedł obok Muzeum Historii Amerykańskiej, Muzeum Historii Naturalnej, skręcił w lewo, w Dziewiątą Ulicę. Dokładnie sześć kilometrów w pogodny ranek - ot, szybki godzinny spacer przez centrum jednej z największych metropolii świata, wśród pomników przyciągających chmary turystów. On jednak nie dostrzegł niczego, gdyż mgiełka przesłaniała mu wzrok.

Przeciął Pennsylvania Avenue i głównymi drzwiami wma-szerował do Budynku Hoovera. Położył dłonie na ladzie recepcji.

- Szef połączonych sztabów - oznajmił. - Do dyrektora.

Jego dłonie pozostawiły na blacie z laminatu dwie wilgotne plamy. Dostrzegł je agent, który przyszedł, by zaprowadzić gościa na górę. W windzie Johnson milczał. Harand Webster czekał na niego w drzwiach swego prywatnego gabinetu. Johnson pozdrowił go skinieniem głowy. Webster odsunął się, gestem zapraszając go do środka. W gabinecie panował mrok. Ściany wyłożono mahoniową boazerią, rolety były zasunięte. Johnson usiadł w skórzanym fotelu. Webster zajął miejsce za biurkiem.

- Nie chcę wchodzić panu w paradę - zaczął Johnson. Spojrzał na Webstera. Webster przez moment zastanawiał

się, rozszyfrowując znaczenie tego zdania. W końcu ostrożnie skinął głową.

- Rozmawiał pan z prezydentem? - spytał. Johnson przytaknął.

- Rozumie pan chyba, dlaczego tak zrobiłem.

- Naturalnie - zapewnił Webster. - W takich sytuacjach nikt nie powinien przejmować się protokołem. Dzwonił pan czy poszedł osobiście?

- Poszedłem - odparł Johnson. - Odwiedziłem go parę razy. Odbyliśmy kilka długich rozmów.

Sam na sam, pomyślał Webster. Kilka długich rozmów. Jest gorzej, niż sądziłem, ale to zrozumiałe.

- I? - naciskał.

Johnson wzruszył ramionami.

- Oznajmił, że powierzył panu pełne dowodzenie akcją. Webster przytaknął.

- Porwanie - rzekł - to sprawa dla Biura, niezależnie od ofiary.

Johnson powoli skinął głową. - Akceptuję to - stwierdził. - Na razie.

- Ale denerwuje się pan. Proszę mi wierzyć, generale, wszyscy się denerwujemy.

Johnson ponownie przytaknął, a potem zadał pytanie, dla którego pokonał pieszko sześć kilometrów.

- Jakież postępy?

Webster wzruszył ramionami.

- Mamy drugi pełny dzień. I wcale mi się to nie podoba. Umilkł. Drugi dzień porwania to pewna granica. Nie ma

już szans na szybkie rozwiązanie sprawy. Sytuacja zaczyna się pogarszać. Śledztwo wydłuża się, komplikuje, rośnie niebezpieczeństwo grożące ofierze. Najlepiej, gdy sprawę porwania rozwiąże się pierwszego dnia. W drugim dniu wszystko staje się trudniejsze, szanse maleją.

- Jakież postępy? - powtórzył Johnson.

Webster odwrócił wzrok. Drugiego dnia porywacze nawiązują kontakt, tak podpowiada doświadczenie FBI. Drugiego dnia zdenerwowani detektywi, sfrustrowani faktem, że pierwszy, najlepszy dzień minął, siedzą i czekają z rozpaczliwą nadzieją, że tamci zadzwonią. Jeśli nie odezwą się drugiego dnia, istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie odezwą się w ogóle.

- Mógłbym cokolwiek zrobić? - spytał Johnson. Webster skinął głową.

- Owszem, podać jakiś powód. Kto mógłby tak panu grozić? Johnson pokręcił głową. Od poniedziałkowego wieczoru zadawał sobie to samo pytanie.

- Nikt.

- Powinien mi pan powiedzieć - naciskał Webster. - Jeśli istnieje jakiś sekret, coś, co pan ukrywa, proszę to wyznać. To ważne dla Holly.

- Wiem - odparł Johnson. - Ale niczego nie ma, niczego. Webster skinął głową. Wierzył mu, bo wiedział, że to prawda. Przejrzał całą teczkę Johnsona, prowadzoną przez FBI.

Był to obszerny dokument. Rozpoczynał się od krótkich biografii pradziadków ze strony matki. Pochodzili z małego europejskiego państewka, które już nie istniało.

- Czy Holly coś grozi? - spytał cicho Johnson.

Na ostatnich stronachteczki zrelacjonowano śmierć żony Johnsona. Całkowite zaskoczenie, złośliwy nowotwór, sześć tygodni od początku do końca. Sporządzona w tajemnicy na zamówienie Biura opinia psychiatryczna głosiła, że staruszek wytrzyma porwanie córki. Diagnoza okazała się słuszna. Gdyby jednak stracił dziecko, nie trzeba być psychiatrą, aby zrozumieć, że nie zniósłby tego dobrze. Webster ponownie skinął głową, zmuszając się, by w jego głosie zabrzmiała kojąca pewność.

- Nic jej nie będzie.

- Jak daleko się posunęliśmy? - zapytał Johnson.

- Czterech mężczyzn - oznajmił Webster. - Mamy ich furgonetkę, porzucili ją przed porwaniem, spalili. Znaleźliśmy ją na północ od Chicago. W tej chwili przesyłają ją samolotem do Quantico. Nasi ludzie wszystko sprawdzą.

- Chcą znaleźć jakieś wskazówki? Przecież porywacze ją spalili?

Webster wzruszył ramionami.

- Podpalenie to głupota. Ogień niewiele może ukryć, w każdym razie nie przed naszymi ludźmi.

Dzięki ciężarówce trafimy do nich.

- A wtedy co? - chciał wiedzieć Johnson. Webster raz jeszcze wruszył ramionami.

- Wtedy odbijemy pańską córkę. Grupa specjalizująca się w uwalnianiu zakładników czeka w gotowości. Pięćdziesięciu agentów, najlepszych na świecie specjalistów od takich zadań. Teraz czekają obok helikopterów. Odbijemy ją i zajmujemy się gośćmi, którzy ją porwali.

W ciemnym gabinecie zapadła krótka cisza.

- Zajmiecie się? - powtórzył Johnson. - Co to znaczy? Webster rozejrzał się po własnym pokoju i zniżył głos.

Trzydzieści sześć lat nawyków robi swoje.

- Zasady postępowania - oznajmił. - Tak ważna sprawa powiązana z polityką oznacza brak dostępu dla mediów. Zero nagłaśniania, nie możemy na to pozwolić. Jeśli coś takiego trafi do telewizji, każdy świr w kraju spróbuje powtórzyć ten wyczyn. Wchodzimy zatem dyskretnie. Może dojść do strzelaniny, to nieuniknione w takiej sytuacji. Drobne straty tu i ówdzie.

Johnson przytaknął powoli.

- Zamierza pan ich sprzątnąć? - zapytał spokojnie.

Webster jedynie spojrzał na niego z neutralną miną. Psycholodzy biura sugerowali, iż oczekiwanie krwawej zemsty pomaga zachować samokontrolę - zwłaszcza ludziom nawykłym do bezpośredniego działania, jak inni agenci czy wojskowi.

- Zasady postępowania - powtórzył. - Moje zasady. A, jak powiedział szef, osobiście dowodzę całą akcją.

\* \* \*

Zwężloną furgonetkę przeniesiono na aluminiową platformę i zamocowano nylonowymi linami. Należący do lotnictwa chinook z donośnym łoskotem przybył na miejsce z garnizonu przy lotnisku O'Hare. Teraz zawisł nad furgonetką. Wir powietrza wzburzył powierzchnię jeziora. Helikopter spuścił łańcuch i uniósł furgonetkę. Zawrócił nad jeziorem i z pochylonym przodem, rycząc silnikiem, skierował się z powrotem na zachód, na O'Hare. Wkrótce postawił swój ładunek tuż przed otwartym dziobem samolotu transportowego Galaxy. Załoga z sił powietrznych dźwignęła do środka platformę. Drzwi ładowni zamknęły się i cztery minuty później galaxy zaczął już kołować. Po kolejnych czterech minutach był w powietrzu, kierując się na wschód, w stronę Waszyngtonu. Minęły cztery godziny i z rykiem

przeleciał nad stolicą, zmiierzając w stronę bazy lotniczej Andrews. Kiedy tylko wylądował, kolejny pożyczony chinook wystartował i zawisł w powietrzu. Galaxy podkołował do rękawa. Obsługa lotniska wylądowała furgonetkę. Chinook zszedł niżej, dźwignął ją w powietrze i poleciał na południe, wzdłuż autostrady międzystanowej nr 95, w głąb stanu Wirginia, całe siedemdziesiąt kilometrów, aż do Quantico. Ostrożnie posadził spaloną furgonetkę na asfalcie przed laboratorium badania pojazdów. Technicy Biura wybiegli na zewnątrz. Białe fartuchy łopotwały, porywane gwałtownymi prądami powietrza wytworzonymi przez wirnik helikoptera. Technicy wciągnęli platformę do środka przez podnoszone drzwi. Zdjęli z niej wrak i umieścili go na środku dużej komory. Zapalili lampy łukowe, ustawiając je w prowizoryczny krąg wokół zdobyczy. Przez moment stali bez ruchu. Wyglądali jak grupa patologów, szykujących się do sekcji zwłok.

\* \* \*

Generał Johnson wracał tą samą drogą. Przeszedł już Dziewiątą Ulicę, mijając Muzeum Historii Naturalnej i Muzeum Historii Amerykańskiej, kiedy jego usta zastygły w pełnym napięcia grymasie zdziwienia. Oddychał ciężko. Przeszedł wzdłuż stawu, czuł ucisk w gardle i mdłości. Skręcił w lewo, w Constitution Avenue, i po chwili znalazł się pod Murem Wietnamskim. Tam przystanął. W pobliżu kręcił się spory tłum, jak zawsze oszołomiony i milczący. Spojrzał na niego, a potem na swoją sylwetkę odbitą w czarnej granitowej płycie. Nie wyróżniał się, miał na sobie lekki szary garnitur. Wszystko w porządku. Pozwolił zatem na to, by oczy zaszyły mu łzami. Ruszył naprzód, odwrócił się i usiadł pod murem, szlochał i płakał, z plecami przyciśniętymi do złotych liter, układających się w imiona i nazwiska chłopców, którzy polegli trzydzieści lat temu.

Reacher zebrał w dłoni łańcuch i w mroku przedświtów wymknął się ze stajni. Przeszedł dwadzieścia kroków, przystanął. Wolność. Otaczał go nieskończony przestwór świeżego, nocnego powietrza. Nic go nie ograniczało, ale nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Stajnia stała samotnie pięćdziesiąt metrów od grupki podobnie wiekowych budynków. Dostrzegł dom, kilka mniejszych szop i otwartą budowlę. Wewnątrz parkowała nowa furgonetka, obok niej stał traktor, a dalej znajoma ciężarówka, upiornie biała w blasku księżyca. Reacher ruszył w jej stronę wyboistą drogą. Przednie drzwi były zamknięte, tylne także. Biegiem wrócił do stajni i przeszukał kieszenie nieżyjącego kierowcy. Nic, oprócz klucza do kłódki. Ani śladu kluczyków.

Pobiegł z powrotem, ściskając w dłoni łańcuch, tak by nie brzęczał. Minał prowizoryczny garaż i uważnie obejrzał dom, okrążając go dookoła. Przednie drzwi były zamknięte, tylne również, a za nimi czekał pies. Reacher usłyszał, jak porusza się we śnie - cichy, senny warkot. Odszedł szybko.

W połowie drogi między domem i stajnią zatrzymał się i rozejrzał. Skupił wzrok na rozległym horyzoncie i okręcił się dookoła w mroku. Rozległe pustkowia, płaskie, nieskończone, bez cech charakterystycznych. W wilgotnym nocnym

powietrzu unosiła się woń roślin wzrastających na milionach akrów. Na wschodzie dostrzegł pierwszą bladą lunę poranka. Wzruszył ramionami i wrócił do środka. Holly dźwignęła się na łokciu, patrząc na niego pytająco.

- Mamy problem - oznajmił Reacher. - Klucze do kajdanek są w domu, podobnie kluczyki do ciężarówki. Nie mogę po nie wejść, bo mają psa. Zacznie szczeleć i wszystkich obudzi. W środku jest więcej osób, nie tylko tamci dwaj. To normalna, działająca farma, mają furgonetkę i traktor. W środku może być nawet czterech, pięciu uzbrojonych ludzi. Kiedy pieprzony pies zaszczele, załatwi mnie. I zaczyna świtać.

- Rzeczywiście - przyznała Holly - mnóstwo problemów.

- Zgadza się - rzekł. - Nie możemy zdobyć pojazdu, nie możemy po prostu odejść, bo jesteś przykuta i nie dasz rady iść pieszo. A poza tym znajdujemy się milion kilometrów od najbliższego miasta.

- Gdzie właściwie jesteśmy? Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Chcę zobaczyć - oznajmiła. - Chcę zobaczyć świat. Mam już dosyć stałego zamknięcia. Mógłbyś zdjąć mi łańcuch?

Reacher wsunął się za nią i obejrzał żelazny pierścień tkwiący w ścianie. Po tej stronie deski wyglądały solidniej. Były twardsze. Potrząsnął pierścieniem i zrozumiał, że to beznadziejne. Holly przytaknęła niechętnie.

- Zaczekamy - oznajmiła. - Zaczekamy na lepszą sposobność.

Reacher pospieszył z powrotem do środkowych boksów. Sprawdził ściany. Nisko. Tam, gdzie były najwilgotniejsze i zbudowano je z najdłuższych desek, zaczął stukać i kopać. Wybrał jedno miejsce, mocno nacisnął stopą. Deska ustąpiła lekko, zardzewiały gwóźdź wysunął się i powstała szczelina. Reacher zaczął ją poszerzać. Poluzował następną deskę i jeszcze kolejną. Po chwili dysponował kłapą, przez którą zdołałby się przedostać. Pobiegł z powrotem na środek, rzucił swobodny koniec łańcucha na brzuch martwego kierowcy. Pogrzebał w kieszeni spodni, znalazł klucz od kłódki. Chwycił go w zęby. Schylił się i podniósł trupa wraz z łańcuchem, po czym wyniósł przez otwarte drzwi.

Niósł ciężar jakieś dwadzieścia pięć metrów, oddalając się od domu. Potem postawił trupa, podtrzymując go pod ramię, jakby tańczył z pijaną partnerką. Pochylił się naprzód i zarzucił sobie zwłoki na ramię. Jedną dłonią chwycił łańcuch i pomaszerował drogą.

Szedł szybko jakieś dwadzieścia minut. Prawie dwa kilometry, aż do szosy. Tam skręcił w lewo i znów ruszył naprzód. Teren wymarzony do hodowli koni. Po obu stronach szosy ciągnęły się drewniane ogrodzenia, a za nimi nieskończone płaskie łąki - chłodne i wilgotne w nocnym powietrzu. Od czasu do czasu w mroku ciemniały kępy drzew. Droga była wąska, prosta i

wyboista.

Wyszedł na środek. Potem skręcił na trawiaste pobocze, znalazł rów biegnący u stóp ogrodzenia. Obrócił się powoli z martwym kierowcą na ramieniu. Niczego nie dostrzegł. Znajdował się dwa kilometry od farmy. Od następnej mogło go dzielić nawet dwieście. Pochylił się i cisnął zwłoki do rowu. Trup przeleciał przez długą trawę i wylądował twarzą do dołu, w błocie. Reacher odwrócił się i biegiem pokonał trasę powrotną. Niebo na wschodzie jaśniało coraz bardziej.

Skręcił w drogę gruntową. W oknach farmy paliły się światła. Popędził w stronę stajni, od zewnątrz zatrzęsął ciężkie, drewniane drzwi, podniósł belkę, umieścił na miejscu, zamknął kłódkę. Odbiegł z powrotem i cisnął klucz daleko

w pole. Na horyzoncie płonęły pierwsze łuny świtu. Biegiem okrążył stajnię, znalazł miejsce, w którym poluzował deski. Najpierw przepchnął łańcuch, potem przecisnął ramiona i wczołgał się do środka. Pchnął deski na miejsce i zamaskował je, jak umiał najlepiej. Wrócił na środek i stanął pochyłony, dysząc ciężko.

- Załatwione - oznajmił. - Nigdy go nie znajdą.

Podniósł metalową miskę z resztkami zimnej zupy. Zaczął przeszukiwać swój boks, zbierając wszystkie wyrwane gwoździe. Zgromadził też jak najwięcej odłamków drewna. Wrzucił je do zupy, a potem wcisnął z powrotem w otwory w deskach. Wrócił do boksu Holly, odstawił miskę na ziemię, łyżkę zatrzymał. Umieścił gwoździe w otworach u podstawy żelaznego pierścienia, wiszącego na końcu łańcucha. Wcisnął je głębiej w pozlepiane drzazgi, dopychając grzbietem łyżki. Ustawił się tak, by łańcuch wisiał prosto, spoczywając na kamiennej podłodze. Minimalny nacisk na kruchą konstrukcję.

Odrzucił łyżkę Holly, która chwyciła ją jedną ręką i umieściła z powrotem w misce. Potem skulił się, przytykając ucho do desek. Ktoś wypuścił psa. Reacher słyszał, jak zwierzę węszy. A potem usłyszał też ludzi, kroki na drodze. Biegiem zbliżyły się do drzwi stajni. Ktoś potrząsnął belką, zrezygnował. Rozległy się krzyki. Tamci raz po raz powtarzali czyjeś imię. Szczelina otaczająca drzwi stajni jaśniała coraz bardziej. Deski trzeszczały, słońce wynurzyło się zza horyzontu i ogrzewało wilgotne drewno.

Kroki powróciły do drzwi. Szczęknęła kłódkę, zabrzączał łańcuch, belka upadła na ziemię, drzwi otworzyły się z jękiem. Do środka wszedł Loder. W dłoni trzymał glocka, na jego twarzy malowało się napięcie i zdenerwowanie. Zatrzymał się tuż za progiem, patrząc z gniewną miną na zmianę na Reachera i Holly. W jego oczach płonął zimny ogień. Nagle za jego plecami pojawił się nerwusek, Stevie. W rękach ścisnął strzelbę kierowcy. Uśmiechał się. Przecisnął się obok Lodera i pobiegł naprzód brukowanym przejściem. Uniósł strzelbę, celując wprost w Reachera. Loder podążył za nim. Stevie załadował pocisk do komory. Reacher przesunął stopę w lewo, tak by zasłonić żelazny pierścień.

- O co chodzi? - spytał.

- O ciebie, dupku - oznajmił Loder. - Sytuacja uległa zmianie. Brakuje nam człowieka, zatem właśnie stałeś się zbędny.

W chwili gdy Stevie pociągnął za spust, Reacher rzucił się już na podłogę. Wylądował płasko na twardych kamieniach w momencie, gdy strzelba zagrzmiała i boks eksplodował. W powietrzu zaroiło się od odłamków wilgotnego drewna i drobinek prochu. Deska z żelaznym pierścieniem wypadła ze strzaskanej ściany, łańcuch z brzękiem runął na podłogę. Reacher przeturlał się i uniósł wzrok. Stevie uniósł pionowo strzelbę i przeladował. Opuścił lufę, wycelował ponownie.

- Czekaj! - krzyknęła Holly.

Stevie zerknął na nią; trudno było tego nie zrobić.

- Nie bądź durniem! - wrzasnęła. - Co, do diabła, wyprawiasz? Nie macie na to czasu.

Loder odwrócił się ku niej.

- On uciekł, prawda? - ciągnęła Holly. - Wasz kierowca, to właśnie się stało. Przestraszył się i zwiął. Musicie zatem ruszać dalej, nie macie na to czasu.

Loder patrzył na nią bez słowa.

- W tej chwili wciąż macie przewagę, ale jeśli go zastrzelicie, w pół godziny zjedzie się tu miejscowa policja. Musicie ruszać.

Reacher gapił się na nią z podłogi. Była wspaniała. Ściągała na siebie ich uwagę, ratowała mu życie.

- Jest was dwóch, nas także dwoje - dodała z napięciem. - Chyba sobie poradzicie.

W stajni zapadła cisza. W powietrzu wirowały drobinki kurzu i prochu. Wreszcie Loder cofnął się o krok, nie spuszczać wzroku z nich obojga. Nie opuszczał też pistoletu. Reacher dostrzegł wyraźny zawód na twarzy Steviego. Wstał powoli, wyciągając łańcuch ze stosu drewnianych odłamków. Żelazny pierścień wypadł ze strzaskanej deski i z brzękiem wylądował na kamieniach.

- Suka ma rację - oznajmił Loder. - Poradzimy sobie.

Skinieniem głowy wskazał Steviemu wyjście, a ten pobiegł do drzwi. Loder odwrócił się, wyciągnął klucz i otworzył kajdanki Holly. Odrzucił je na materac. Ciężar łańcucha sprawił, że metalowa bransoleta zsunęła się na ziemię i z głośnym, metalicznym brzękiem wylądowała na kamieniach.

- No dobra, dupku. Tylko szybko - warknął Loder - zanim zmienię zdanie.

Reacher zebrał własny łańcuch w dłoń, schylił się i podniósł Holly pod kolanami i ramionami. Usłyszeli odgłos uruchamianego silnika. Ciężarówka cofnęła się w stronę wejścia, zatrzymała. Reacher wniósł Holly do środka, położył, a potem wdrapał się za nią. Loder zatrzaskał drzwi, pozostawiając ich w ciemności.

\* \* \*

- Teraz ja jestem ci coś winien - powiedział cicho Reacher.

Holly jedynie lekceważąco machnęła ręką. Zawstydzila go. Reacher przyglądał się jej uważnie. Podobała mu się. Ona sama, jej twarz. Przypomniła sobie bladeść dziewczyny, wyraz niesmaku, gdy drwił z niej obleśny kierowca, pożerający wzrokiem jej piersi. A potem obraz zniknął, zastąpiony innym. Uśmiechnięty Stevie, strzelający do przykutego do ściany Reachera. Loder, który oznajmia, iż sytuacja uległa zmianie.

Wszystko się zmieniło, on także. Leżał i czuł, jak w jego wnętrzu wzbiera dawny gniew. Zimny, bezlitosny gniew. Nieopanowany. Popelnili błąd, z widza przekształcili go we wroga. To poważny błąd. Otworzyli zakazane drzwi, nie mając pojęcia, co zza nich wyskoczy. Był teraz niczym tykająca bomba, wieszona coraz dalej i dalej w głąb ich terytorium. Czuł falę gniewu i napawał się nią, smakował ją i gromadził na później.

\* \* \*

Teraz w ciężarówce pozostał tylko jeden materac, szeroki zaledwie na metr, a Stevie kiepsko sobie radził za kierownicą. Reacher i Holly leżeli ciasno przyciśnięci do siebie. Na lewym przegubie Reachera nadal wisiała bransoleta kajdanek wraz z łańcuchem. Prawą ręką otaczał ramiona Holly. Trzymał ją mocno, mocniej niż musiał.

- Jak daleko jeszcze? - spytała.

- Dotrzemy na miejsce przed zmrokiem - odparł cicho. - Nie zabrali twojego łańcucha, to oznacza, że nie planują już postojów.

Przez chwilę milczała.

- Nie wiem, czy się cieszyć, czy martwić - rzekła w końcu. - Nienawidzę tej ciężarówki, ale nie wiem, czy chcę dotrzeć na miejsce.

Reacher przytaknął.

- To zmniejsza nasze szanse. Podstawowa zasada brzmi: uciekaj, póki jesteś w ruchu, potem wszystko staje się trudniejsze.

Kołysanie ciężarówki świadczyło o tym, że wciąż jechali autostradą. Lecz albo teren się zmienił, albo Stevie nie umiał sobie poradzić z ciężkim pojazdem, albo też jedno i drugie, bo cały czas rzucało nimi gwałtownie. Kierowca za późno skręcał i hamował ostro, szarpiąc całym pojazdem, jakby nieustannie zmagając się z kierownicą.

Holly kilka razy poleciała wprost na Reachera. W końcu przyciągnął ją do siebie i objął mocno.

Odruchowo przywarła do niego. Poczuł, jak się zawahała, zupełnie jakby uświadomiła sobie, że nie przemyślała tego, co robi. Ale w końcu uznała, że zostanie tam, gdzie jest.

- Dobrze się czujesz? - spytała. - Zabiłeś człowieka. Reacher milczał długą chwilę.

- Nie pierwszego - rzekł w końcu. - I właśnie uznałem, że nie ostatniego.

Odwróciła głowę, by przemówić, w tym samym momencie co on. Ciężarówka szarpnęła gwałtownie w lewo. Ich usta dzieliły zaledwie dwa centymetry. Ciężarówka zarzuciła ponownie i pocałowali się. Z początku lekko, z wahaniem. Reacher poczuł na swych wargach miękkie usta, nowy nieznanym smak, zapach, dotyk. Potem jednak pocałunek stał się mocniejszy i nagle ciężarówka zaczęła pokonywać serię ostrych zakrętów, a oni zapomnieli o pocałunkach, jedynie obejmowali się mocno, próbując nie spaść z materaca na metalową, żebrowaną podłogę.

To Brogan dokonał przełomu w Chicago. Tego ranka trzeci przeszedł obok puszek z białą farbą na porzuconym parkingu przemysłowym, ale pierwszy zrozumiał jej znaczenie.

- Ciężarówka, którą ukradli, była biała - oznajmił. - Na boku miała napis, zamalowali go. To musiało tak wyglądać. Puszka została na miejscu razem z pędzlem. Trzy metry od lexusa. Chyba logiczne, że zaparkowali lexusa tuż obok ciężarówki. Zatem puszka także stała obok niej.

- Jaką farbą? - spytał McGrath.

- Zwykłą, domową- wyjaśnił Brogan. - Litrowa puszka, pięciocentymetrowy pędzel. Wciąż z nalepką ze sklepu, a na trzonku zostały odciski palców.

McGrath uśmiechnął się i skinął głową.

- Dobra - rzucił. - Do roboty.

\* \* \*

Brogan wybrał się do sklepu, którego nazwa widniała na metce. Zabrał ze sobą komputerowe zdjęcia porywaczy. Sklepek okazał się niedużym rodzinnym interesem, znajdował się dwieście metrów od opuszczonego parkingu. Za ladą stała tęga starsza kobieta o bystrym umyśle. Natychmiast rozpoznała na zdjęciu mężczyznę, którego kamera w pralni uchwyciła za kierownicą lexusa. Oznajmiła, że około dziesiątej rano w poniedziałek kupił u niej farbę i pędzel. Na dowód otworzyła z brzękiem staroświecką szufladkę i wyciągnęła zwitek kasowych paragonów. Siedem dziewięćdziesiąt osiem za farbę, pięć dziewięćdziesiąt osiem za pędzel plus podatek, czarno na białym.

- Zapłacił gotówką - dodała.

- Macie tu system wideo? - spytał Brogan.

- Nie.

- Nie wymaga tego towarzystwo ubezpieczeniowe? Tęga kobieta uśmiechnęła się lekko.

- Nie jesteśmy ubezpieczeni - oznajmiła.

; Potem pochyliła się i spod lady wyciągnęła dubeltówkę.

- A przynajmniej nie przez towarzystwo ubezpieczeniowe - dodała.

Brogan spojrział na broń. Był pewien, że lufa łamie przepisy o minimalnej długości, ale nie zamierzał przejmować się podobnymi drobiazgami. Nie w tej chwili.

- W porządku - powiedział. - Powodzenia.

\* \* \*

W Chicago i okolicach mieszka ponad siedem milionów ludzi, do których należy ponad dziesięć milionów pojazdów. Lecz w ciągu dwudziestu czterech godzin pomiędzy sobotą i poniedziałkiem doniesiono o tylko jednej kradzieży białej ciężarówki - fordą econoline, należącego do elektryka z South Side. Towarzystwo ubezpieczeniowe kazało mu opróżnić na noc ciężarówkę i chować narzędzia w warsztacie. Polisa nie obejmowała niczego, co zostało w wozie. Tak brzmiała zasada. Męcząca. Lecz w poniedziałkowy ranek, gdy właściciel zjawił się w pracy i odkrył, że ciężarówka

zniknęła, zasada nagle wydała mu się logiczna. Zgłosił kradzież agentowi ubezpieczeniowemu i policji, ale nie spodziewał się, że ktokolwiek się tym zajmie. Zaimponował mu zatem fakt, że czterdzieści osiem godzin później w jego domu zjawili się dwóch agentów FBI zadających mnóstwo pytań, na które należało bezzwłocznie odpowiedzieć.

\* \* \*

- W porządku - oznajmił McGrath. - Wiemy, czego szukamy. Białe econoline, ślady nowej farby na bokach. Znamy rejestrację, teraz musimy wiedzieć, gdzie szukać. Jakiś pomysł?

- Minęło czterdzieści osiem godzin - odparł Brogan. - Zakładając średnią prędkość dziewięćdziesiąt na godzinę, otrzymujemy maksymalny zasięg około czterech i pół tysiąca kilometrów. Na miłość boską, to oznacza praktycznie cały kontynent.

- Jesteś zbytnim pesymistą - wtrącił Milošević. - Prawdopodobnie robili postoje na noc. Powiedzmy sześć godzin jazdy w poniedziałek, może dziesięć we wtorek. Jak dotąd koło czterech dziennie, w sumie dwadzieścia godzin. To daje jakieś tysiąc osiemset kilometrów.

- Igła w stogu siana - mruknął Brogan. McGrath wzruszył ramionami.

- Zatem znajdziemy stóg, wtedy będziemy mogli się zabrać do szukania igły. Powiedzmy maksymalnie dwa i pół tysiąca kilometrów. Jak to wygląda?

Brogan wyciągnął ze stosu materiałów na stole atlas drogowy, otworzył na początku, na mapie ukazującej cały kraj. Kolejne stany tworzyły barwną mozaikę na kartce. Sprawdził skalę i zakreślił paznokciem krąg.

- Wszędzie poza Kalifornią - oświadczył. - Połowa stanu Waszyngton, połowa Oregonu, bez Kalifornii. Poza tym wszystko inne, jakiś trylion kilometrów kwadratowych.

W sali zapadła przygnębiająca cisza.

- Od stanu Waszyngton oddzielają nas góry - zauważył McGrath. - Założmy więc, że jeszcze tam nie dotarli. Ani

do Oregonu, ani do Kalifornii, ani na Alaskę czy Hawaje. To już coś. Zostało tylko czterdzieści pięć stanów. Do roboty.

- Może uciekli do Kanady? - podrzucił Brogan. - Albo Meksyku, albo wsiedli na łódź czy pokład samolotu.

Milošević wzruszył ramionami i odebrał mu atlas.

- Jesteś zbytnim pesymistą - powtórzył.

- Igła w pieprzonym stogu siana - odparł Brogan.

\* \* \*

Trzy piętra nad nimi specjaliści od zdejmowania odcisków palców zajmowali się pędzlem, który przyniósł Brogan. Użyto go tylko raz, zrobił to jednak ktoś bardzo nieporządny. Farba zlepiała włosie, strużki spłynęły na metalową nasadkę łączącą pędzel z drewnianą rączką. Poszukiwany pozostawił odcisk kciuka na spodniej części nasadki oraz palca wskazującego i środkowego na górnej. Prawdopodobnie oznaczało to mężczyznę w średnim wieku, sięgającego w górę i malującego płaską powierzchnię na poziomie głowy, może nieco wyżej. Z trzonkiem skierowanym ku dołowi. Ford econoline miał niemal dokładnie metr dziewięćdziesiąt pięć wysokości. Wszelkie napisy powinny znajdować się jakieś metr siedemdziesiąt nad ziemią. Komputer nie potrafił obliczyć wzrostu porywacza, ponieważ siedział on w lexusie za kierownicą. Sądząc po śladach na pędzlu, porywacz musiał mieć jakieś metr siedemdziesiąt, metr siedemdziesiąt dwa. Wyciągał rękę w górę, zamalowując napis, nieco ponad poziomem własnych oczu. Naciskał mocno pędzel, poruszając nim niedbale. Z pewnością efekt musiał wyglądać dość prymitywnie.

Mokra farba doskonale zachowuje odciski palców i technicy wiedzieli, że nie będą mieli specjalnych kłopotów. Lecz na wszelki wypadek zastosowali wszystkie możliwe procedury, od fluoroskopii po tradycyjny szary proszek. Otrzymali trzy i pół wyraźnego odcisku, kciuk i pierwsze dwa palce prawej dłoni, a także dodatkowo boczną połówkę małego palca. Wyostrzyli obraz w komputerze i wysłali odciski w wersji cyfrowej do Budynku Hoovera w Waszyngtonie. Dodali kod



polecający wielkiej bazie danych, by wyszukiwanie odbyło się z maksymalną szybkością.

\* \* \*

W laboratoriach w Quantico myśliwi podzielili się na dwie grupy. Spaloną furgonetkę dosłownie rozdarto na strzępy. Połowa zespołu badała najdrobniejsze ślady wyróżniające akurat ten pojazd. Druga połowa grzebała we fragmentarycznych rejestrach producentów, poszukując nawet najślabszych ech historii budowy i sprzedaży wozu.

To był dodge, dziesięcioletni, zbudowany w Chicago. Numer podwozia i kod obudowy silnika pozostały oryginalne. Numery te pozwalały producentowi zidentyfikować partię towaru. Furgonetka zjechała z taśmy produkcyjnej w kwietniu, została załadowana do wagonu i przywieziona do Kalifornii. Stamtąd dostarczono ją do placówki w Moja-ve. Dealer zapłacił rachunek w kwietniu. Producent nie miał pojęcia, co działo się dalej.

Przedstawicielstwo w Mojave zbankrutowało dwa lata później. Wykupili je nowi właściciele, całą księgowość prowadzili w komputerze. Dawne księgi, sprzed zmiany własności, przechowywali w archiwum. Nie co dzień w małym salonie sprzedaży samochodów na skraju pustyni dzwoni telefon z akademii FBI w Quantico. Istniało duże prawdopodobieństwo, że zareagują szybko. Kierownik podjął się, że poszuka informacji i oddzwoni.

Sama furgonetka spaliła się niemal doszczętnie. Wszystkie miękkie materiały zniknęły. Podobnie tablice rejestracyjne. Wewnątrz nie pozostało nic interesującego, żadnych żetonów z mostów ani tuneli czy nalepek na szyby. Jedynie błoto. Technicy rozcięli oba błotniki, wygięte blachy nad zużytymi oponami i zanieśli je ostrożnie do działu analiz materiałowych. Każdy pojazd prowadzi własną kronikę zapisywaną warstwami błota na podwoziu. Geolodzy z Biura zdejmowali kolejne warstwy, sprawdzając, gdzie przebywała furgonetka i skąd przyjechała.

Ogień dokładnie zapiekł warstwy błota. Część miększych kryształów zeszkliła się, lecz warstwy pozostały wyraźne. Zewnętrzne były cienkie, geolodzy uznali, iż pochodziły z długiej jazdy przez kontynent. Pod nimi widniały ślady odpowiadające kilku latom pomieszanych cząstek skalnych. Ta akurat mieszanina okazała się bardzo ciekawa. Nietypowe połączenie piasków powinno ułatwić odnalezienie miejsca pochodzenia. Pod tą warstwą widniała jeszcze grubsza pozostałość pustynnego piasku. Geolodzy natychmiast zgodzili się, że furgonetka rozpoczęła swą karierę w pobliżu

pustyni Mojave.

\* \*

Wszystkie posterunki policji w czterdziestu pięciu stanach otrzymały opis i numery rejestracyjne skradzionego białego econoline. Każdy policjant pozostający na służbie, w całym kraju, dostał rozkaz szukania tego pojazdu, zaparkowanego bądź w ruchu, spalonego, ukrytego czy porzuconego. Przez krótki czas w środę biały econoline był najbardziej poszukiwanym pojazdem na świecie.

McGrath siedział u szczytu stołu w ciszy sali konferencyjnej, paląc papierosa. Czekał. Nie odczuwał zbytniego optymizmu. Jeśli ciężarówkę zaparkowano i ukryto, zapewne nigdy jej nie znajdą. Zbyt duże terytorium, mogła zniknąć w każdym zamkniętym garażu, budynku czy stodole. Jeśli wciąż

dokądś jechała, szanse nieco rosły. Pierwsze pytanie jego życia brzmiało teraz: czy po czterdziestu ośmiu godzinach porywacze dotarli już do celu, czy wciąż do niego zmierzają.

\* \* \*

Dwie godziny po rozpoczęciu cierpliwych poszukiwań baza odcisków palców przekazała nazwisko: Peter Wayne Bell. Idealna zgodność, prawa ręka, kciuk i pierwsze dwa palce. Komputer uznał prawdopodobieństwo właściwej identyfikacji częściowego odcisku małego palca za bardzo wysokie.

- Trzydzieści jeden lat - odczytał Brogan. - Pochodzi z Mojave, w Kalifornii. Dwa wyroki za wykroczenia seksualne, trzy lata temu oskarżony o podwójny gwałt, nie został skazany. Ofiary spędziły trzy miesiące w szpitalu. Bell dostał alibi od trzech przyjaciół, ofiary nie mogły go

zidentyfikować, były zbyt wstrząśnięte brutalnym pobiciem.

- Miły gość - wtrącił McGrath. Milošević skinął głową.

- I ma Holly - rzekł. - Z tyłu ciężarówki.

McGrath nie odpowiedział. W tym momencie zadzwonił telefon. Starszy agent podniósł słuchawkę, wysłuchał krótkiego, urywanego zdania. Siedział bez ruchu. Brogan i Milošević ujrzeli, jak jego twarz promienieje. Wyglądał jak człowiek, którego ulubione drużyny tego samego dnia zdobyły puchar w baseballu, futbolu, koszykówce i hokeju, syn z wyróżnieniem ukończył studia na Harvardzie, a akcje kopalni złota gwałtownie zwyżkowały.

- Arizona! - krzyknął. - Jest w Arizonie, jedźcie na północ autostradą US 60.

\* \* \*

Stary funkcjonariusz w radiowozie policji stanu Arizona zauważył białą furgonetkę gwałtownie zmieniającą pasy

na ostrych zakrętach autostrady US 60 wiodącej z miasteczka Globe, sto dwadzieścia kilometrów na wschód od Phoenix. Podjechał bliżej i odczytał rejestrację. Dostrzegł z tyłu niebieski owal i napis econoline. Włączył mikrofon i zameldował się. I wtedy świat oszalał. Kazano mu bez względu na wszystko trzymać się ciężarówki, poinformowano, że wkrótce zjawia się helikoptery z Phoenix i Flagstaff, a także z Albuquerque w Nowym Meksyku. Wszystkie dostępne jednostki z południa miały go dogonić. Z przodu Gwardia Narodowa przygotowuje blokadę. W ciągu dwudziestu minut otrzyma większe wsparcie, niż śmiał kiedykolwiek marzyć. Do tej pory, dodano, jest najważniejszym

policjantem w całej Ameryce.

\* \* \*

Kierownik przedstawicielstwa Dodge'a w Mojave w stanie Kalifornia zadzwonił do Quantico po niecałej godzinie. Sprawdził magazyn i wyciągnął rejestry sprzedaży sprzed dziesięciu lat, prowadzone przez poprzednich właścicieli. Furgonetka została sprzedana hodowcy cytrusów z Kendall, leżącego osiemdziesiąt pięć kilometrów na południe od Mojave, w maju tamtego roku. Przez pierwsze cztery lata właściciel zjawiał się regularnie, aby dokonać przeglądu i sprawdzić emisję spalin. Potem nigdy więcej go nie widzieli. Kupił wóz na raty, rozłożone na cztery lata. Nazywał

się Dutch Borken.

\* \* \*

Pół godziny później skradziony econoline znajdował się czterdzieści osiem kilometrów dalej na południe na autostradzie US 60 w Arizonie i stanowił czubek długiego wachlarza pięćdziesięciu pojazdów jadących za nim. W górze wisiało pięć helikopterów. Siedemnaście kilometrów dalej na północ autostrada została zablokowana. Na chodniku czekało kolejnych czterdzieści pojazdów, tworzących zgrabny trójkąt. Całą operacją kierował agent z biura FBI w Phoenix. Działania koordynował agent dowodzący z biura FBI w Phoenix. Siedział w pierwszym helikopterze, spoglądając przez przejrzyste, pustynne powietrze na dach ciężarówki. Na głowie miał słuchawki z mikrofonem. Cały czas mówił.

- W porządku, ludzie - rzekł. - Wkraczamy do akcji, natychmiast. Już, już, już!

Pierwszy helikopter wzniósł się i skręcił, dwa inne zniżyły lot. Zawisły tuż przed ciężarówką, nisko, po obu stronach, dotrzymując jej tempa. Radiowozy rozjechały się na całą szerokość autostrady. Wszystkie jednocześnie zapaliły światła i włączyły syreny. Trzeci helikopter zawrócił i zaczął lecieć tyłem, tuż przed ciężarówką, niecałe trzy metry nad ziemią. Jego światła migają, rotor młócił powietrze. Drugi pilot rozpoczął serię wyraźnych gestów. Szeroko rozłożył ręce dłońmi na zewnątrz, jakby osobiście chciał zatrzymać ciężarówkę. A potem wszystkie syreny umilkły i olbrzymi głośnik z przodu helikoptera ożył. Głos drugiego pilota przemówił z niego groteskowo wzmocniony, tak bardzo, że wszelkie zakłócenia przestały się liczyć. Wyraźnie go było słychać ponad rykiem silnika i łoskotem śmigła.

- Agenci federalni! - krzyczał głos. - Rozkazujemy wam natychmiast się zatrzymać. Powtarzam:

rozkazujemy natychmiast zatrzymać pojazd.

Ciężarówka jechała dalej. Helikopter tuż przed nią kołysał się w powietrzu. Potem znów znieruchomiał, jeszcze bliżej maski, lecąc do tyłu, niecałe trzy metry od niej.

- Jesteście otoczeni! - krzyknął drugi pilot z głośnika. - Za sobą macie stu policjantów, droga jest zamknięta. Nie macie wyjścia, musicie zwolnić i zatrzymać się. Zróbcie to, w tej chwili.

Radiowozy znów jednocześnie włączyły syreny, dwa z nich zablokowały ciężarówkę po bokach. Teraz otaczał ją pierścień policyjny. Długą chwilę pędziła naprzód, potem zaczęła zwalniać. Za nią fala radiowozów gwałtownie włączyła hamulce. Helikoptery uniosły się, utrzymując tempo. Ciężarówka znów zwolniła. Radiowozy zbliżyły się, po dwa z każdej strony. Drzwi w drzwi, błotnik w błotnik. W końcu ciężarówka się zatrzymała. Helikoptery zawisły w górze. Pierwsze radiowozy wyprzedziły samochód i stanęły zaledwie kilka centymetrów od jego maski. Wszędzie wokół z wozów wyskakiwali policjanci. Dosłownie się od nich roilo. Nawet w łoskocie silników helikopterów słyszać było szcęk

zamków strzelb i stu odbezpieczanych rewolwerów.

\* \* \*

W Chicago McGrath nie słyszał strzelb i rewolwerów, słyszał natomiast głos agenta z Phoenix, który krzyczał przez radio. Dźwięki z mikrofonu w helikopterze trafiały wprost do Waszyngtonu i wylewały się, trzeszcząc z głośnika ustawionego na długim drewnianym stole. Agent ani na moment nie milkł, podniecony. Wygłaszał jednocześnie rozkazy do swej grupy i nieustanny komentarz opisujący to, co dzieje się na drodze w dół. McGrath siedział, zaciskając spoczone zimne dłonie i wbijając wzrok w głośnik, jakby pragnął zamienić go spojrzeniem w kryształową kulę i ujrzeć, co dzieje się na drodze.

- Przystaje, przystaje - mówił agent w helikopterze. - Zatrzymał się, stoi na drodze, jest otoczony. Wstrzymać ogień, czekajcie na mój znak. Nie wychodzą, otwórzcie drzwi. Do diabła, otwórzcie drzwi i wyciągnijcie ich. Okay, dwóch facetów z przodu, dwóch facetów, jeden kierowca, jeden pasażer. Wychodzą, są na zewnątrz, zabezpieczyć ich. Zamknijcie ich w radiowozie. Kluczyki, otwórzcie tył, ale

uwaga, jest tam jeszcze dwóch. Dobra, idziemy do tyłu. Obchodzimy samochód. Drzwi są zamknięte. Próbuujemy klucz. Wiecie co, na boku wciąż jest napis, wciąż jest napis: Bright Spark Electrics. Zdawało mi się, że miał być zamalowany, zamaskowany. Czy nie?

W Chicago, w sali konferencyjnej na drugim piętrze zapadła śmiertelna cisza. McGrath pobladł, Milošević spojrział na niego, Brogan spokojnie wyglądał przez okno.

- I dlaczego jedzie na północ? - spytał McGrath. - Z powrotem w stronę Chicago?

Trzeszczący głos wciąż im towarzyszył. Odwrócili głowy, nasłuchując. Słyszeli łoskot śmigła w tle i pełen napięcia głos.

- Tylne drzwi są otwarte - meldował agent. - Drzwi są otwarte, otwarte. Wchodzimy. Ze środka wychodzą ludzie. Wychodzą. Co to jest, do diabła? W środku są ich dziesiątki, może dwudziestu. Wszyscy wychodzą, wciąż wysiadają. Dwadzieścia albo trzydzieści osób. Co się tu dzieje?

Agent urwał, Najwyraźniej słuchał meldunku z dołu. McGrath, Brogan i Milošević wpatrywali się w syczący głośnik. Długi czas milczał. Słyszeli jedynie ciężki oddech agenta i łoskot rotoru oraz biały szum. W końcu głos powrócił.

- Cholera - rzekł. - Cholera, Waszyngton, jesteście tam? Słuchacie? Wiecie, co właśnie zrobiliśmy? Wiecie, gdzie nas wysłaliście? Złapaliśmy ładunek imigrantów. Trzydziestu nielegalnych z Meksyku. Prosto z granicy, jadą do Chicago. Mówią, że mają tam załatwioną pracę.

21

Biały econoline jechał dalej. Poruszał się szybciej niż wcześniej, ale też zostawił za sobą serię zakrętów. Ostatnie szarpnięcie i znów pędził prosto. Wewnątrz zrobiło się głośniejsze. Sprawił to połączony skowyt silnika i świst wiatru w dziesiątkach otworów w dachu.

Reacher i Holly leżeli przytuleni na materacu, na wznak, wpatrując się w górę. Każdy otwór stanowił jasny punkcik światła - nie niebieski, tylko tak jasny, że nie dostrzegali w nim barwy. Oślepiające plamy w mroku, istne przeciwieństwo: absolutne światło w absolutnej ciemności otaczającego je metalu. Światło, przeciwieństwo ciemności. Ciemność, nieobecność światła. Pozytyw i negatyw. Ostre kontrasty na metalowym dachu.

- Chcę zobaczyć niebo - mruknęła Holly.

W ciężarówce było ciepło, ale nie gorąco jak przez poprzednie dni. Wpadające do środka powietrze rozwiązało ów problem, utrzymując temperaturę na znośnym poziomie. Było jednak wystarczająco ciepło, by Reacher zdjął koszulę. Zwinął ją w kłębek i wsunął sobie pod głowę.

- Chcę zobaczyć całe niebo - ciągnęła Holly. - Nie tylko kawałeczki.

Reacher nie odpowiedział. Liczył otwory. !:; - Która godzina? - spytała Holly.

- Sto trzysta - odparł Reacher.

Holly odwróciła głowę i spojrzała na niego. -Co?

- Sto trzysta dziur w dachu - wyjaśnił.

- Świetnie - mruknęła. - Która godzina?

- Wpół do czwartej czasu środkowoamerykańskiego. Przynęła się bliżej, przenosząc ciężar na bok. Jej głowa

spoczęła na prawym ramieniu Reachera, noga opierała się o jego nogę. Uda oplatały jego udo.

- Mamy środę, tak?

- Środę - potwierdził.

Była fizycznie bliżej niego niż wiele kobiet przed nią. Smukła i atletyczna, twarda, a jednocześnie miękka. Młoda, pachnąca. Jego umysł odpływał, miłe uczucie. Odrobinę brakowało mu tchu, nie okłamywał się jednak. Wiedział, czemu leżała tak blisko. Robiła to, by pozwolić odpocząć bolącemu kolanu i nie sturlać się z materaca na podłogę.

-- Pięćdziesiąt jeden godzin - oznajmiła. - Pięćdziesiąt jeden godzin nie widziałam nieba.

Sto trzysta to liczba pierwsza. Nie da się jej otrzymać, mnożąc przez siebie inne liczby. Sto dwanaście, owszem. Pięćdziesiąt sześć razy dwa, dwadzieścia osiem razy cztery, czternaście razy osiem. Sto czternaście także. Pięćdziesiąt siedem razy dwa, dziewiętnaście razy sześć, trzydzieści osiem razy trzy. Ale sto trzysta to liczba pierwsza, nie ma dzielników. Można ją otrzymać jedynie mnożąc sto trzysta przez jeden. Albo strzelając na oślep w głąb ciężarówki.

- Reacher, zaczynam się martwić - powiedziała Holly. Pięćdziesiąt jeden godzin. Pięćdziesiąt jeden nie jest liczbą

pierwszą. Można ją otrzymać mnożąc siedemnaście przez trzy. Trzy dziesiątki to trzydzieści, trzy siódemki dwadzieścia jeden, trzydzieści i dwadzieścia jeden daje pięćdziesiąt jeden. Nie jest to liczba pierwsza, ma dzielniki. Podciągnął lewą ręką ciężki łańcuch i mocno objął Holly.

- Wszystko będzie dobrze - rzekł. - Nie zrobią ci krzywdy. Chcą cię za coś wymienić. Będą o ciebie dbać.

Poczuł, jak w milczeniu kręci głową. Tylko jeden ruch, ale bardzo stanowczy.

- Nie martwię się o siebie, tylko o ciebie. Kto właściwie mógłby cokolwiek zaoferować za ciebie?

Reacher nie odpowiedział. Nic sensownego nie przyszło mu do głowy. Holly przywarła do niego ciaśniej, czuł jej rzęsy, które muskały mu skórę na piersi, gdy mrugała. Ciężarówka pędziła dalej. Kierowca zmuszał wóz do jazdy powyżej optymalnej szybkości.

- No i trochę się martwię.

- Ty się mną zaopiekujesz - powiedział - a ja zaopiekuję się tobą.

- Nie proszę cię o to.

- Wiem.

- Nie mogę ci na to pozwolić - dodała.

- Nie zdołasz mnie powstrzymać - odparł. - Teraz tu chodzi także o mnie. Sami do tego doprowadzili. Chcieli mnie zastrzelić. Mam pewną zasadę, Holly. Kiedy ktoś mnie atakuje, czyni

to na własne ryzyko. Staram się zachować cierpliwość. Kiedyś w podstawówce miałem nauczycielkę, chyba na Filipinach, bo zawsze nosiła wielki, biały kapelusz, więc musiało być gorąco. Od dziecka przerastałem o głowę resztę klasy i ta nauczycielka zawsze powtarzała: zanim wpadniesz w złość, Reacher, policz do dziesięciu. Teraz policzyłem znacznie dalej niż do dziesięciu. Znacznie dalej. Musisz się z tym pogodzić. Na dobre czy złe, tkwimy w tym razem.

Umilkli. Ciężarówka jechała naprzód.

- Reacher - zagadnęła Holly.

- Co?

- Obejmij mnie.

- Już cię obejmuję - przypomniał. Uścisnął ją łagodnie, podkreślając słowa.

- Reacher - powtórzyła. - Tak?

- Chciałbyś mnie pocałować? Wtedy czuję się lepiej. Odwrócił głowę i uśmiechnął się do niej w ciemności.

- Mnie też nie sprawia to przykrości - rzekł.

Osiem godzin przy stu dziesięciu do stu dwudziestu kilometrach na godzinę. Gdzieś między ośmiuset pięćdziesięcioma a dziewięciuset pięćdziesięcioma kilometrami. Tyle przejechali, według szacunków Reachera. Powoli zaczynał mieć pojęcie, gdzie mogli się znaleźć.

- Jesteśmy gdzieś, gdzie zniesiono limity szybkości - oznajmił.

Holly przeciągnęła się i ziewnęła.

- Co takiego?

- Jedziemy szybko. Jakies sto dwadzieścia na godzinę, wiele godzin. Loder jest ostrożny, nie pozwoliłby Steviemu na taką prędkość, gdyby mogli nas za to zatrzymać. Czyli jesteśmy w stanie, w którym podniesiono ograniczenie albo zniesiono je w ogóle. W jakich stanach to zrobili?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pewności. Chyba głównie na zachodzie. Reacher przytaknął. Zakreślił łuk na myślowej mapie.

- Nie pojechalibyśmy na wschód, już to ustaliliśmy. Przypuszczam zatem, że jesteśmy w Teksasie, Nowym Meksyku, Kolorado, Wyoming albo Montanie. Może nawet w Idaho, Utah, Nevadzie bądź Arizonie. Na pewno jeszcze nie w Kalifornii.

Ciężarówka trochę zwolniła, usłyszeli zmianę pracy silnika. Po chwili rozległ się szcęk. Kierowca z piątego biegu zszedł na czwarty.

- Góry - mruknęła Holly.

To było coś więcej niż wzgórze, więcej niż wzniesienie. Miarowa, nieustająca wspinaczka. Autostrada w górach, zaprojektowana tak, by jechało się możliwie najłatwiej. Lecz każdy kilometr oznaczał kilkadziesiąt metrów wysokości. Reacher czuł szarpnięcia, gdy ciężarówka zjeżdżała na bok, wymijając wolniejsze pojazdy. Niewiele, ale kilka owszem. Cały czas pozostawała na czwartym biegu. Kierowca dociskał gaz, pędząc w górę. Potem przechodził na piąty bieg i znowu na czwarty. Dalej i dalej.

- Może zabraknie nam benzyny - mruknęła z nadzieją Holly.

- To diesel, nie silnik benzynowy - odparł Reacher. - Znam takie z wojska. Ma bak na trzydzieści pięć galonów. Diesel zużywa przeciętnie galon na czterdzieści, czterdzieści trzy kilometry przy stałej prędkości. Starczy na prawie półtora tysiąca kilometrów.

- Czyli do granicy Stanów - dodała Holly.

\* \* \*

Jechali dalej. Ciężarówka z rykiem pokonywała kolejne wzniesienia. Potem zjechała z autostrady. Zapadła noc, jasne punkciki w górze pociemniały i wreszcie zniknęły całkowicie, ciemniejsze niż sam dach. Pozytyw i negatyw. Poczuli szarpnięcia. Ciężarówka zjechała na prawo z drogi. Opony zaryły się w żwir przy ostrym skręcie. Potem rozpoczęła się chaotyczna mieszanina zakrętów, postojów i szarpnięć. Wyboista droga to opadała, to wspinała się ostro. Silnik ciężarówki zawodził na niskim biegu. Były chwile spokojnej jazdy lekko krętymi drogami; na przemian złe i dobre

nawierzchnie - kostka, żwir pod kołami, wyboje. Re-acher wyobrażał sobie promienie reflektorów tańczące w mroku przed nimi.

Ciężarówka zwolniła i niemal się zatrzymała. Skręciła w prawo, pokonując z hurgotem drewniany most. Potem pisnęły hamulce i wóz zaczął podskakiwać na wyboistej drodze. Poruszał się wolno, jęcząc i trzęsąc się, zupełnie jakby jechali korytem wyschniętej rzeki. Wąski, kamienisty szlak. Najwyraźniej ostatni etap podróży. Reacher przeczuwał, że niedługo znajdą się u celu. Kierowca prowadził dużo spokojniej niż wcześniej. Opuściło go napięcie. Docierał do domu.

Lecz ostatni etap trwał bardzo długo. Sprawiała to niewielka prędkość i bardzo zła nawierzchnia drogi. Spod opon strzelał żwir i kamienie. Koła zakopywały się w piachu. Ciężarówka przez czterdzieści minut parła naprzód. Pięćdziesiąt minut. Reacher zmarzł, usiadł i strzepnął koszulę, nałożył ją. Godzina na wybojach. Przy tej prędkości jakieś dwadzieścia pięć, trzydzieści kilometrów.

I wreszcie dotarli na miejsce. Samochód po raz ostatni szarpnął, przetoczył się kilka metrów i zatrzymał. Silnik ucichł. Zapadła porażająca cisza. Reacher słyszał jedynie otaczającą ich rozległą pustkę. Silnik trzeszczał cicho. Dwaj mężczyźni z przodu siedzieli bez ruchu, oddychając ciężko. Potem wysiedli, drzwi otworzyły się, sprężyny siedzeń jęknęły. Usłyszał kroki na żwirze, trzask drzwi, ogłuszający metaliczny odgłos. Obaj porywacze ruszyli na tył. Reacher słyszał cichy brzęk kluczy kołyszających się w dłoni kierowcy.

Klucz wsunął się do zamka, szczęknął zatrzask, klamka obróciła się i drzwi się otworzyły. Loder podparł je metalowym drążkiem. Potem otworzył drugie skrzydło, zamocował, machnął na nich glockiem. Reacher pomógł Holly

przejść po żebrowanej podłodze. Wysiadł pierwszy, łańcuch zaczepiony u przegubu opadł z brzękiem na ziemię. Reacher podniósł Holly i postawił obok siebie. Stali razem oparci o podest ciężarówki i rozglądali się wokół.

Holly chciała zobaczyć niebo. Teraz stała pod najrozleglejszym niebem, jakie Reacher kiedykolwiek oglądał. Ciemnogranatowe, prawie czarne i nieskończone. Wielkie niczym cała planeta. Na firmamencie lśniły setki miliardów jasnych gwiazd, odległych, lecz nienaturalnie wyraźnych, sięgających do granic wszechświata. Olbrzymie nocne niebo, ciągnące się bez końca.

Stali na leśnej polanie. Reacher czuł w powietrzu ciężki zapach sosen, ostry, wyrazisty, świeży. Otaczała ich zbita, czarna masa drzew porastających strome zbocza gór. Polana pośród górskiego lasu. Wielka, nieskończenie ciemna, cicha. Po prawej stronie Reacher dostrzegł niewyraźne czarne kształty budynków, długich, niskich chat. Drewniane budowle przycupnęły w ciemności.

Na skraju polany, pośród najbliższych drzew, czekali ludzie. Ich także widział Reacher, jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób stojących bez ruchu, w milczeniu, ubranych w ciemne stroje. Mieli przyciemnione twarze, pokryte nocnym kamuflażem. W czerni jaśniały białka oczu. Wszyscy byli uzbrojeni, zauważył karabiny i pistolety maszynowe przewieszane niedbale przez ramiona. Mieli też psy, kilka dużych psów na grubych, skórzanych smyczach.

Wśród zebranych Reacher dostrzegł również dzieci. Stały wraz z resztą grupy; milczały, patrzyły przed siebie wielkimi, zaspanymi oczami. Zbiły się w gromadkę za plecami dorosłych, skulone ze strachu i oszołomienia. Śpiące dzieci obudzone w środku nocy, by były świadkami ważnego wydarzenia.

Loder odwrócił się powoli dookoła i gestem przywołał milczących ludzi. Machnął szeroko ręką niczym mistrz ceremonii w cyrku.

- Mamy ją! - krzyknął, zakłócając ciszę. - Mamy federalną sukę.

Jego głos odbił się echem od odległych górskich zboczy.

- Gdzie my, do diabła, jesteśmy? - spytała Holly. Loder odwrócił się i uśmiechnął szeroko.

- U nas, suko - powiedział cicho. - W miejscu, do którego twoi federalni kumple nigdy nie dotrą.

- Dlaczego nie? - dopytywała się Holly. - Gdzie my jesteśmy?

- Trudno ci to będzie zrozumieć - rzekł Loder.

- Dlaczego? Gdzieś przecież dojechaliśmy. Gdzieś w Stanach?

Loder pokręcił głową.

-Nie-rzucił.

Holly spojrzała na niego nic nie pojmującym wzrokiem.

- Kanada?

Znów pokręcił głową.

- Nie Kanada, suko.

Holly rozejrzała się, wodząc wzrokiem po drzewach i wzniesieniach. Zerknęła w górę na olbrzymie nocne niebo. Zadrżała, czując nagły chłód.

- To przecież nie Meksyk - zauważyła. Porywacz uniósł obie ręce w znaczącym geście.

- To całkiem nowy kraj - oznajmił.

22

W środę wieczór atmosfera w biurze FBI w Chicago przypominała nastrój panujący w zakładzie pogrzebowym. W pewnym sensie istotnie czuli się jak na pogrzebie, ponieważ stracili wszelkie nadzieje na szybkie uwolnienie Holly. McGrath wiedział, że największe szanse ma w ciągu pierwszych dni. Teraz te dni minęły. Jeśli Holly wciąż żyła, była więźniem gdzieś na kontynencie północnoamerykańskim, a on nie miał żadnej możliwości dowiedzieć się gdzie, póki nie odezwą się porywacze. A jak dotąd, choć minęło niemal sześćdziesiąt godzin, porywacze milczeli.

Siedział u szczytu długiego stołu w sali konferencyjnej na drugim piętrze. Palił papierosa. W pokoju panowało milczenie. Milošević siedział tyłem do okien. Popołudniowe słońce przygasło, schowało się za horyzont i zniknęło. Zapadł zmrok. Temperatura powietrza w sali najpierw wzrosła, potem opadła do przyjemnego wieczornego poziomu. Lecz obaj mężczyźni czuli jedynie chłód kłęski. Prawie nie unieśli głów, gdy do środka wmaszerował Brogan. W rękę trzymał plik wydruków komputerowych. Nie uśmiechał się, ale sprawiał wrażenie zadowolonego.

- Masz coś? - spytał McGrath.

Brogan krótko skinął głową i usiadł. Rozdzielił wydruki na cztery grupki i zaczął demonstrować je kolejno.

- Quantico - oznajmił. - Oni coś mają. A także baza danych w Waszyngtonie. Ścisłe mówiąc, trzy różne rzeczy. A ja mam pomysł.

Rozłożył papiery i uniósł wzrok.

- Posłuchajcie - rzekł. - Grafitowy granit, intruzje krystaliczne, rogowiec, łupki, gnejsy, osady metamorficzne, kwarcyty, kryształy kwarcu, czerwony spongowiec, czerwone triasowe piaski, kwaśne skały wulkaniczne, skałań, zielony chloryt, syderyt, pył kamienny, piasek i szlam. Wiecie, co to jest?

McGrath i Milošević wzruszyli ramionami i pokręcili głowami.

- Geologia- oznajmił Brogan. - Ludzie z Quantico sprawdzili ciężarówkę. Geolodzy z działu analiz materiałowych zbadali osad pod błotnikami. Ustalili jego skład oraz gdzie przebywała ciężarówka. Małe odłamki skał i piasek przyczepione do metalu. Coś w rodzaju geologicznego odcisku palca.

- No dobra. W takim razie gdzie była? - spytał McGrath.

- Najpierw w Kalifornii - oświadczył Brogan. - Dziesięć lat temu kupił ją hodowca cytrusów, Dutch Borken z Moja-ve. Tyle dowiedzieliśmy się od producenta. Jak dotąd nie ma to nic wspólnego z geologią. Potem, jak twierdzą naukowcy, parę lat spędziła w Montanie. A później przyjechali nią tutaj, północną trasą, przez Dakotę Północną, Minnesotę i Wisconsin.

- Są tego pewni? - dopytywał się McGrath.

- Ten osad to jak rejestr kierowcy, tyle że zapisany nie piórem na papierze, lecz w błocie na podwoziu.

- Kim jest Dutch Borken? - chciał wiedzieć McGrath. - Ma coś wspólnego ze sprawą?

Brogan pokręcił głową.

- Nie. Dutch Borken nie żyje. -, - Kiedy zmarł?

- Parę lat temu. Pożyczył pieniądze, farma zbankrutowała, bank wystąpił o egzekucję. Borken wsadził sobie w usta lufę dwunastki i rozwalił czaszkę po całej Kalifornii.

- I co dalej?

- Jego syn ukradł ciężarówkę - oświadczył Brogan. - Teoretycznie rzecz biorąc, należała do banku. Syn nią odjechał i nigdy więcej go nie widziano. Bank zgłosił sprawę, miejscowi gliniarze szukali wozu, ale nie znaleźli. Nie jest zarejestrowany. Departament pojazdów mechanicznych nic o nim nie wie. Policja zrezygnowała. Kogo w końcu obchodzi stary, zdezelowany gruchot? Przypuszczam, że młody Borken ukradł ją i wyjechał do Montany. Ciężarówka niewątpliwie spędziła dwa lata w Montanie. Naukowcy są tego absolutnie pewni.

- Mamy coś na tego Borkena? - spytał McGrath. Brogan przytaknął, uniósł kolejny plik papierów.

- Całe mnóstwo. Jest go pełno w naszej bazie danych, jak mrówek na pikniku. Nazywa się Beau Borken, trzydzieści pięć lat, metr osiemdziesiąt wzrostu, dwieście kilo wagi. Spory gość. Ekstremalny prawicowiec, paranoik, obecnie przywódca milicji. Stuprocentowy fanatyk. Ma powiązania z innymi prawicowymi grupami. Pierwszy podejrzany w napadzie na północy Kalifornii. Zaatakowano samochód pancerny wiozący dwadzieścia milionów w obligacjach na okaziciela. Kierowca zginął. Policja podejrzewała udział milicji, bo napastnicy ubrani byli w stroje przypominające mundury. Grupa Borkena pasowała idealnie, ale oskarżenie upadło. W aktach nie zapisano dlaczego. Poza tym, i to najlepsze, przed tym wszystkim Beau Borken był jednym z gości, którzy zapewnili Peterowi Wayne'owi Bellowi alibi po oskarżeniu o gwałt. Wspólnikiem kogoś, kto uczestniczył w porwaniu.

Milošević uniósł wzrok.

- I ma swoją bazę w Montanie?

Brogan przytaknął.

- Możemy z dużą dokładnością określić miejsce. Naukowcy z Quantico wskazują kilka dolin w południowo-zachodnim krańcu Montany.

- Potrafią tak dokładnie określić okolice? - wtrącił z niedowierzaniem Milošević.

Brogan ponownie skinął głową.

- Zadzwoiłem do nich. Oznajmili, że osad znaleziony na podwoziu jest charakterystyczny dla pewnego rodzaju terenów. Mówili coś o bardzo starych skałach poruszonych przez lodowce jakiś milion lat temu, które leżą tam bliżej powierzchni, niż powinny, połączone ze zwykłymi osadami skalnymi, wciąż dość starymi, lecz młodszymi niż tamte. Chwytnie? Nietypowa mieszanka. Spytałem, skąd mają pewność. Odparli, że po prostu ją rozpoznali, tak jak ja rozpoznałbym swoją matkę z odległości dwudziestu metrów na chodniku. Mówią, że ślady pochodzą z jednej z paru polo-dowcowych dolin, biegnących z północy na południe na północnym zachodzie Montany, w miejscu, w którym wielkie lodowce spływały z Kanady. Znaleźli też ślady kruszcu z piaskowca, bardzo nietypowego. Służba leśna wysypuje nim tamtejsze drogi.

- W porządku - rzucił McGrath. - Zatem nasi ludzie kilka lat spędzili w Montanie. Ale czy na pewno tam wrócili?

Brogan podniósł trzeci z czterech plików papierów. Rozłożył mapę i uśmiechnął się po raz pierwszy od poniedziałku.

- Może się założymy? Spójrzcie na mapę. Bezpośrednia trasa z Chicago do granicy Montany prowadzi przez Dakotę Północną. Zgadza się? Tamtejszy farmer wybrał się dziś rano na spacer. I zgadnijcie, co znalazł w przydrożnym rowie?

- Co? - spytał McGrath.

- Trupa - odparł Brogan. - W rowie na końskich równinach, na pustkowiu. Oczywiście, farmer zadzwonił na policję, tamci zdjęli odciski palców trupa i komputer podał jego nazwisko.

- Jakie nazwisko? - naciskał McGrath.

- Peter Wayne Bell - oznajmił Brogan. - Ten sam, który odjechał z Holly.

- On nie żyje? Jak?



- Nie wiadomo - rzekł Brogan. - Może doszło do kłótni. Ten facet, Bell, miał mózg w spodniach, to wiemy. Może dobierał się do Holly. Może Holly go załatwiła. Ale przyłóż linijkę do mapy i spójrz. Wracali do Montany, to pewne. Nie ma innej możliwości.

- Ale czym? - zastanawiał się głośno McGrath. - Nie białą ciężarówką.

- Tak, białą ciężarówką - nie zgodził się Brogan.

- Nie zaginęło nic poza tym fordem.

Brogan pokręcił głową, podniósł czwarty plik papierów.

- Mój nowy pomysł - oświadczył. - Sprawdziłem, czy Rubin wynajął ciężarówkę.

- Kto? - wtrącił McGrath.

- Rubin, nieżyjący dentysta. Sprawdziłem, czy wynajął ciężarówkę.

McGrath spojrział na niego.

- Dlaczego martwy dentysta miałby wynajmować ciężarówkę?

- On nie - wyjaśnił Brogan. - Pomyślałem, że może tamci ją wynajęli, wykorzystując kartę kredytową dentysty, po

tym jak go porwali. To ma sens. Czemu mieliby ryzykować kradzież, skoro mogliby wynająć samochód, posługując się skradzionymi kartami kredytowymi, prawem jazdy, i tak dalej? Zacząłem dzwonić po ludziach i zgadza się. Chicago-You-Drive, firma z South Side, wynajęła w poniedziałek rano, około dziewiątej forda econoline niejakiemu doktorowi Rubinowi. Spytałem, czy zdjęcie z prawa jazdy pasowało do wynajmującego. Odparli, że nie sprawdzili, nie obchodzi ich to, jeśli tylko karta nie jest zablokowana. Zapytałem, jakiego koloru był econoline. Odparli, że wszystkie ich ciężarówki są białe. A napis na boku? Jasne. ChicagoYou-Dri-ve, zielone litery na wysokości głowy. McGrath przytaknął.

- Dzwonię do Harlanda Webstera - oświadczył. - Chcę lecieć do Montany.

\* \* \*

- Najpierw do Dakoty Północnej - polecił Webster.

- Dlaczego? - spytał McGrath. W słuchawce zapadła cisza.

- Działajmy krok po kroku. Musimy sprawdzić całą tę sprawę z Peterem Wayne'em Bellem. Wpadnij najpierw do Dakoty Północnej. Dobra?

- Jesteś pewien, szefie?

- Cierpliwa harówka u podstaw - powiedział Webster. -Tylko to nam pomoże. Sprawdzamy wszystkie poszlaki. Zgadza się? Jak dotąd to działa. Twój chłopak, Brogan, nieźle się spisał. Podoba mi się.

- Więc bierzmy się do dzieła, szefie, i ruszajmy do Montany.

- Nie ma się co spieszyć. Najpierw musimy zdobyć jak najwięcej informacji. Kto, gdzie, dlaczego? Tego właśnie musimy się dowiedzieć, Mack.

- Wiemy kto i gdzie - odparł McGrath. - Ten gość, Beau Borken, w Montanie. To przecież jasne. Kolejna chwila ciszy.

- Może - przyznał Webster. - A dlaczego?

McGrath przycisnął słuchawkę ramieniem do ucha i zapalił kolejnego papierosa.

- Nie mam pojęcia - rzekł z wahaniem.

- Obejrzelismy zdjęcia - oświadczył Webster. - Posłałem je do wydziału behawioralnego, żeby pokazać psychologom.

- I?

- Nie wiem. Tamci ludzie to kupa spryciarzy, ale ile można się dowiedzieć z jednego pieprzonego zdjęcia?

- Jakieś wnioski? - naciskał McGrath.

- Owszem. Uznali, że trzech z nich tworzy jedną grupę, a ten wielki facet działa osobno. Tamci trzej wyglądali niemal identycznie, zauważyłeś? To samo wychowanie, podobny wygląd, może te same geny. Mogli być nawet spokrewnieni. Bell pochodził z Kalifornii, Mojave, zgadza się? Beau

Borken również. Nasi ludzie uznali, że cała trójka pochodzi z tego samego miejsca. Z zachodniego wybrzeża. Ale dryblas jest inny. Inny strój, inna postawa, inna budowa. Antropolodzy z Quantico uważają, że ma cudzoziemskie korzenie, przynajmniej częściowo lub w drugim pokoleniu. Jasne włosy, niebieskie oczy, specyficzny układ twarzy. Może to Europejczyk? Poza tym jest wielki. Nie napompany jak po siłowni, po prostu wielki od urodzenia.

- I co z tego? - spytał McGrath. - Do czego doszli?

- Może to Europejczyk - powtórzył Webster. - Wielki twardziel z Europy. Obawiają się, że to może terrorysta albo najemnik. Sprawdzają za granicą.

- Terrorysta? Najemnik? Ale dlaczego?

- Właśnie o to chodzi - oznajmił Webster. - Musimy skupić się na kwestii czemu. Jeśli to naprawdę terrorysta, jaki ma cel, kto go zatrudnił, kto kieruje całą akcją? Czy milicja Borkena wynajęła go, by im pomógł, czy może odwrotnie? Może to on dowodzi, on najął milicję Borkena, bo potrzebował miejscowych wykonawców w Stanach?

- Co tu się, do diabła, dzieje? - westchnął McGrath.

- Przylatuję na O'Hare - poinformował go Webster. -Przejmuję operację. W tak ważnej sprawie muszę to zrobić. Tego oczekuje stary.

- Który stary? - spytał kwaśno McGrath.

- Nieważne. Obaj - odparł Webster.

\* \* \*

Wieczorem, sześć godzin po fiasku z Meksykanami w ciężarówce w Arizonie, Brogan wyjechał na lotnisko O'Hare. McGrath siedział obok niego na przednim fotelu, Milošević z tyłu. Nikt się nie odzywał. Brogan zaparkował należącego do biura forda na asfaltowym parkingu lotniska wojskowego, tuż za ogrodzeniem. Siedzieli w wozie, czekając na przybycie należącego do FBI leara z Andrews. Wylądował po dwudziestu minutach. Widzieli, jak kołuje w ich stronę i zatrzymuje się, pochwycony w strumienie światła z lotniskowych reflektorów. Silniki zawyły po raz ostatni, drzwi otworzyły się, opadły schody. W wejściu pojawił się Harland Webster. Rozejrzał się dookoła, dostrzegł ich i wezwał gestem do siebie. Szybko, nagłoco. Powtórzył go dwukrotnie.

Cała trójka wsiadła do niewielkiego samolotu. Stopnie uniosły się, drzwi zamknęły z sykiem. Webster poprowadził ich naprzód, do grupki foteli po obu stronach wielkiego stołu. Usiedli. McGrath i Brogan naprzeciw Webstera i Miloševicza. Zapięli pasy, lear znów zaczął krążyć. Skręcił na pas i czekał, drżąc i wibrując. Potem potoczył się naprzód, przyspieszając na długim, betonowym pasie. Nagle wzniósł się w powietrze, przechylił na północny zachód i przyspieszył, osiągając prędkość przelotową.

- W porządku, przyjrzyjmy się temu - polecił Webster. Córka szefa połączonych sztabów została porwana przez grupę terrorystów powiązanych z zagranicą. Zamierzają postawić mu żądania. Żądania natury wojskowej.

McGrath pokręcił głową.

- To bzdura - rzekł. - Coś takiego nie mogłoby się udać. Po prostu by go zastąpili. Mało to starych żołnierzy, którzy chętnie zasiedliby na swych tłustych tyłkach w Pentagonie?

Brogan ostrożnie skinął głową.

- Racja, szefie - przyznał. - To nie ma sensu. Webster zgodził się z nimi.

- Właśnie. Co nam zatem pozostaje?

Nikt nie odpowiedział. Żaden z nich nie chciał wymówić tego słowa.

\* \*

Lear ścigał się z zachodzącym słońcem, zmierzając na zachód. W końcu wylądował w Fargo, w Dakocie Północnej. Na lotnisku czekał już agent z biura w Minneapolis. Obecność Brogana i Miloševicza nie poruszyła go, był też zbyt dumny, by dać po sobie znać, że zaimponowało mu przybycie szefa z Chicago. Nie zdołał jednak ukryć zdenerwowania przed spotkaniem z Harlandem Websterem. Cały spięty, usilnie starał się zachowywać ze wszech miar profesjonalnie.

- Znaleźliśmy ich kryjówkę - oznajmił. - Zatrzymali się tam wczoraj, po czym ruszyli dalej. To jasne. Niecałe dwa kilometry od miejsca, gdzie znaleziono ciało.

Zawiózł ich na północny zachód. Po dwóch godzinach jazdy w milczeniu, gdy samochód pełzył niczym owad pośród rozległych ciemnych połaci chmielu, pszenicy, fasoli i owsa, skręcili w prawo i w blasku reflektorów ujrzeli niekończącą się przestrzeń traw, a nad nią ciemnoszare niebo. Słońce zniknęło już za horyzontem. Miejscowy agent pokonał kolejne zakręty i zatrzymał się obok ogrodzenia rancza. Gdzieś dalej płot niknął w mroku, lecz w świetle reflektorów dostrzegli przeciągniętą między drzewami taśmę policyjną i radiowóz oraz wóz koronera, czekające dwadzieścia metrów dalej.

- Tu właśnie znaleziono zwłoki - oznajmił agent. Zapalił latarkę. Niewiele było do oglądania. Jedynie rów

między asfaltem i ogrodzeniem, zarośnięty trawą, zgniecioną na odcinku dziesięciu metrów. Ciało zniknęło, lecz lekarz sądowy wciąż czekał z raportem.

- Osobliwy przypadek - oznajmił. - Ofiara została uduszona, to pewne. Wepchnięto jej twarz w coś miękkiego i przytrzymano. Na całej twarzy i gałkach ocznych pozostały wybroczyny. Małe, punktowe, jakie powstają w efekcie asfiksji.

McGrath wzruszył ramionami.

- Co w tym takiego dziwnego? Gdybym tylko miał okazję, sam bym go zadusił.

- Przed i po - oznajmił lekarz. - Przed śmiercią ślady niezwykłej przemocy. Na moje oko rzucono go na ścianę, może bok ciężarówka. Pęknięty tył czaszki, trzy zębra. Potem kopnięto go w brzuch. Z wnętrzości pozostała miazga, zupa. Potworna przemoc, straszna siła. Ktokolwiek to zrobił, nie chciałbym, by wściekł się na mnie.

- A po? - dopytywał się McGrath.

- Ciało zostało przeniesione, pomieszane plamy opadowe. Zupełnie jakby ktoś pobił go, udusił, zostawił na godzinę, potem zmienił zdanie, przeniósł ciało i wyrzucił tutaj.

Webster, McGrath i Brogan pokiwali głowami. Milošević bez słowa wpatrywał się w głąb rowu. Zebrali się na poboczu i długą chwilę stali w ciszy, spoglądając w mrok. Potem wrócili do samochodu.

- Dziękuję, doktorze - rzekł Webster. - Dobra robota. Lekarz skinął głową. Trzasnęły drzwi wozu. Miejscowy

agent uruchomił silnik i ruszył naprzód, na zachód, tam gdzie zniknęło słońce.

- Dryblas kieruje operacją - oznajmił Webster. - To chyba jasne. Wynajął tych trzech do pomocy. Peter Wayne Bell przekroczył granice, zaczął przystawiać się do Holly. Bezradna okaleczona kobieta, młoda i ładna. To dla takiego zwierzaka zbyt wielka pokusa. Zgadza się?

- Zgadza - przytaknął Brogan. - Ale dryblas to zawodowiec. Najemnik, terrorysta czy coś w tym stylu. Zaczepianie więźniarki nie mieściło się w jego planie. Wpadł więc w złość i załatwił Bella, narzucając dyscyplinę pozostałym.

Webster skinął głową.

- Tak musiało być. Tylko dryblas mógł to zrobić. Częściowo dlatego, że to szef, a zatem ma władzę, a częściowo, ponieważ jest dość potężny i silny, by zadać tak rozległe obrażenia.

- On ją chroni? - spytał McGrath.

- Ochrania swoją inwestycję - odparł kwaśno Webster

- Może zatem nic jej nie jest.

Nikt nie odpowiedział. Samochód ostro skręcił w lewo i zaczął podskakiwać na wybojach. Światła reflektorów zatańczyły na niewielkim skupisku drewnianych budynków.

- To ich przystanek - oznajmił miejscowy agent. - Stara końska farma.

- Zamieszкана? - chciał wiedzieć McGrath.

- Owszem, do wczoraj. Dziś nie zastaliśmy nikogo.

Zatrzymał się przed stajnią. Cała piątka wysiadła w ciemność. Drzwi budynku stały otworem. Miejscowy agent zaczekał przy samochodzie. Webster, McGrath, Brogan i Milošević weszli do

środką, wymachując latarkami. Wewnątrz było ciemno i wilgotno. Kamienna podłoga zieleniła się od mchu. Po obu stronach znajdowały się końskie boksy. Szli naprzód, aż na koniec. Boks po lewej został kompletnie zrujnowany strzałem z dubeltówki, tylna ściana rozpadła się na kawałki. Wszędzie wokół leżały przegniłe, spróchniałe kawałki desek.

W boksie po lewej ujrzeli materac. Leżał krzywo na omszałych kamieniach. Przez żelazny pierścień osadzony w ścianie przewleczono łańcuch. Pierścień umieszczono tu sto lat temu. Wówczas służył do pętania koni, lecz zeszłej nocy uwiązano do niego kobietę łańcuchem przymocowanym do przegubu. Webster przykucnął, podniósł błyszczące, chromowane kajdanki, przyczepione do ostatniego ogniwa. Brogan ukląkł, zebrał z materaca długie, ciemne włosy. Potem dołączył do Miloševicza. Zaczęli kolejno przeszukiwać inne boksy. McGrath obserwował ich uważnie. Po chwili wyszedł ze stajni. Odwrócił się na zachód, patrząc w miejsce, w którym słońce zniknęło za horyzontem. Stał tam i patrzył w nieskończoną ciemność, jakby miał nadzieję, że jeśli będzie to robił dostatecznie długo, zdoła sięgnąć wzrokiem osiemset kilometrów dalej i ujrzeć Holly.

23

Nikt nie mógł widzieć Holly, ponieważ była sama, zamknięta w przygotowanym dla niej więzieniu. Cztery milczące kobiety, ubrane w szarozielone stroje maskujące, z nocnym kamuflażem na twarzach i wiszącą na ramionach bronią, zabrały ją z polany. Każdemu ich krokowi towarzyszył brzęk wiszących u pasa ładownic. Odciągnęły ją od Reachera i powlokły w mrok, między drzewa, pomiędzy szeregami syczących, plujących, drwiących ludzi. Potem nastąpiło półtora kilometra bolesnej wędrówki po kamienistej ścieżce. W końcu wyszły z lasu i dotarły do dużego białego budynku. Kobiety cały czas milczały, jedynie prowadziły ją, popychały po schodach na pierwsze piętro. Tam otworzyły nowe, solidne drzwi i pchnęły ją stopień w górę, do pokoju. Stopień miał ponad trzydzieści centymetrów wysokości, ponieważ podłoga wewnątrz wznosiła się nad poziom korytarza. Holly wgramoliła się na górę. Za sobą usłyszała huk zatraskiwanych drzwi i zgrzyt klucza w zamku.

Pokój nie miał okien. Oświetlała go żarówka osłonięta metalową kratą, zalewając wnętrze ostrym, żółtym światłem. Wszystkie ściany, podłogę i sufit zrobiono z nowych, sosnowych desek, niewykończonych, pachnących mocno żywicą. Po drugiej stronie pomieszczenia stało łóżko, prosta żelazna rama, cienki, zgnieciony materac. Przypominało wojskową

będkę więzienną pryczę. Na łóżku czekały dwa komplety ubrań. Dwie pary spodni wojskowych, dwie koszule. Szarozielone, tak jak stroje czterech milczących kobiet. Pokuśtykała i dotknęła ich - stare i znoszone, lecz czyste, wyprasowane, kanty spodni ostre jak brzytwa.

Holly odwróciła się i dokładnie obejrzała pokój. Nie był mały, jakieś dwadzieścia metrów kwadratowych, wyczuła jednak, iż jest mniejszy, niż powinien. Miał dziwne proporcje. Zauważyła podniesioną podłogę, wyższą o ponad trzydzieści centymetrów niż na korytarzu. Domyśliła się, że ściany i sufit także zostały przesunięte. Pokuśtykała do jednej z nich i postukała w nowe deski. Odpowiedział głuchy odgłos. Wolna przestrzeń. Ktoś zbudował prostą, drewnianą klatkę wewnątrz większego pomieszczenia. I zrobił to dobrze; nowe deski siedziały prosto i ciasno, lecz w wąziutkich szparach pozostała wilgoć. Holly przyglądała się jej chwilę. Pociągnęła nosem, zadrżała. W pokoju pachniało strachem.

Jeden kąt odgrodzono. W prostej ukośnej ścianie działowej widniały drzwi. Podeszła do nich i otworzyła. Łazienka. Toaleta, umywalka, kosz na śmieci wyłożony nowym, foliowym workiem, i prysznic nad wanną. Tania, biała, ceramiczna wanna, ale nowusieńka, starannie zamontowana. Równiutkie kafelki. Na półce czekały mydło i szampon. Holly oparła się o framugę, długą chwilę wpatrywała się w prysznic. W końcu zrzuciła brudny kostium od Armaniego, zwinęła w kłębek i cisnęła do kosza. Odkręciła wodę i weszła pod prysznic. Trzy razy umyła włosy. Starannie wyszorowała obolałe ciało. Stała tak niemal godzinę.

Potem z powrotem pakuwała do łóżka, wybrała jeden znoszony komplet ubrań. Pasował idealnie. Położyła się na łóżku, patrzyła w sosnowy sufit i nasłuchiwała w ciszy. Po raz pierwszy od ponad szesnastu godzin była sama.

\* \* \*

Reacher nie był sam. Wciąż stał na polanie, siedem metrów od białego eonoline, przykuty do drzewa, pod strażą sześciu milczących mężczyzn uzbrojonych w pistolety maszynowe. Po polanie biegały psy. Reacher opierał się o szorstką korę, obserwując strażników. Było mu zimno, czuł żywicę sosnową klejącą się do cienkiej koszuli. Strażnicy zachowywali ostrożność, stali w szeregu dwa metry dalej, celując do niego z broni. W wysmarowanych kamuflażem twarzach lśniły białka oczu. Mieli na sobie oliwkowe stroje maskujące. Na ramionach jaśniały półkoliste naszywki. W ciemności Reacher nie zdołał ich odczytać.

Cała szóstka miała około czterdziestki. Byli szczupli, brodaci. Dobrze radzili sobie z bronią. Czujni, milczący, przyzwyczajeni do nocnej służby. Reacher dostrzegł to od razu. Wyglądali jak niedobitki niewielkiego plutonu piechoty. Jakby dwadzieścia lat temu jako młodych rekrutów posłano ich do lasu na nocny patrol i nigdy nie odwołano.

Na dźwięk zbliżających się z tyłu kroków mężczyźni stanęli na baczność. W nocnej ciszy każdy odgłos wydawał się groteskowo głośny. Chrząst żwiru pod podeszwami butów, uderzenia dłoni o kolby. Reacher zerknął na polanę. Ujrzał zbliżającego się siódmego człowieka. Młodszy, jakieś trzydzieści pięć lat, wysoki, gładko ogolony. Twarz miał czystą, mundur odprasowany, błyszczące, wysokie buty. Te same półkoliste naszywki na ramionach. Oficer.

Szóstka czterdziestolatków cofnęła się i zaszutowała. Przybysz stanął obok Reachera. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, wybrał jednego, zapalił i nie gasząc zapalniczki, oświetlił twarz więźnia. Znad tańczącego płomienia spoglądały beznamiętne oczy. Reacher odpowiedział spojrzeniem. Tamten miał małą głowę, szerokie ramiona, wąską, znamionującą twardość twarz, pokrytą przedwczesnymi zmarszczkami i bruzdami. Ostre cienie sprawiły, że wydawał się pozbawiony warg. W miejscu ust ziała wąska szczelina. Zimne oczy płonęły pod wysokim czołem. Krótkie włosy, ostrzyżone najeża, właśnie zaczynały odrastać. Mężczyzna patrzył na Reachera, po chwili zgasił zapalniczkę, przesunął dłonią po głowie. W nieruchomym nocnym powietrzu Reacher usłyszał ostry szelest poruszonych krótkich włosów.

- Jestem Dell Fowler- przedstawił się tamten. - Tutejszy szef sztabu.

Miał cichy głos i akcent z zachodniego wybrzeża. Reacher popatrzył na niego i powoli skinął głową.

- Zechcesz powiedzieć mi, czym szefem sztabu jesteś? - spytał.

- Loder ci nie wyjaśnił? - zapytał Fowler.

- Loder nie wyjaśnił niczego - odparł Reacher. - Miał pełne ręce roboty z dowiezieniem nas tutaj.

Fowler przytaknął, uśmiechnął się lodowato.

- Loder to idiota - rzekł. - Popęłnił pięć poważnych błędów. Ty jesteś jednym z nich. Teraz tkwi po uszy w gównie, podobnie jak ty.

Gestem wezwał jednego ze strażników, który wystąpił naprzód i podał mu klucz. Strażnik czekał z gotową do strzału bronią. Fowler odpiął łańcuch, który z brzękiem opadł na ziemię. Metal uderzył o drewno - donośny odgłos w nocnej ciszy. Jeden z psów podbiegł bliżej i zaczął węszyć, między drzewami poruszali się ludzie. Reacher odsunął się od drzewa, poruszył ręką, przywracając krążenie w zdętwiałej dłoni. Cała szóstka ruszyła naprzód, groźnie unosząc broń. Reacher wpatrywał się w wyloty luf.

Fowler chwycił go za rękę i odwrócił. Ponownie skuł mu ręce za plecami. Skinął głową. Dwaj strażnicy zniknęli pośród drzew, trzeci wbił lufę pistoletu w plecy Reachera. Czwarty zajął pozycję z tyłu, dwaj szli z przodu. Fowler maszerował obok, trzymając Reachera za łokieć. Poprowadzili go do małej, drewnianej chaty po przeciwnej stronie polany. Gdy wyszli spomiędzy drzew, zrobiło się jaśniej i Reacher zdołał odczytać napis na naszywkach Fowlera. Brzmiał on: Milicja Montany.

- To jest Montana? - spytał. - Loder nazwał ją całkiem nowym krajem.

Fowler wzruszył ramionami, nie zwalniając kroku.

- Pospieszył się - rzekł. - W tej chwili to nadal Montana. Dotarli do chaty. Idący na czele strażnicy otworzyli drzwi,

z wnętrza wylała się struga żółtego światła. Mężczyzna, który wbijał broń w plecy Reachera, skierował go do środka. Przy drugiej ścianie stał Loder ze skutymi rękami. Strzegł go kolejny szczupły, brodaty facet, uzbrojony w pistolet maszynowy. Wyglądał nieco młodziej od pozostałych. Miał starannie przystrzyżoną brodę, czoło przecinała mu wyraźna, pozioma blizna.

Fowler podszedł do prostego drewnianego biurka, usiadł za nim, wskazał krzesło. Reacher zajął miejsce, a sześciu żołnierzy nie spuszczało z niego wzroku. Fowler obserwował go chwilę, potem przeniósł uwagę na Loder. Reacher podążył wzrokiem za jego spojrzeniem. Kiedy spotkali się po raz pierwszy w poniedziałek, Loder sprawiał wrażenie człowieka spokojnego, pewnego siebie, kompetentnego. Teraz to wszystko zniknęło. Dosłownie trząsł się ze strachu. Kajdanki za jego plecami brzęczały głośno. Patrząc na niego, Reacher pomyślał: oto facet, który śmiertelnie boi się swoich przełożonych.

- A zatem pięć błędów - powiedział Fowler.

Wciąż mówił cicho, bez wahania, spokojnie, z pewnością siebie człowieka, który nie wątpi we własną władzę. Reacher słuchał, jak ostatnie słowa zamierają w ciszy. Za jego plecami poskrzypywały buty.

- Dołożyłem wszelkich starań - odparł Loder. - W końcu ją dostarczyłem, prawda?

Jego głos brzmiał prosząco, błagalnie. Głos człowieka, który wie, że ma poważne kłopoty, choć nie do końca rozumie dlaczego.

- Dostarczyłem ją, prawda? - powtórzył.

- Wyłącznie cudem - odparł Fowler. - Wywołałeś wiele zamieszania. Ludzie musieli rzucać swoją pracę, by zniweczyć skutki twojej niekompetencji.

- Co zrobiłem nie tak? - spytał Loder.

Odepchnął się od ściany i znalazł w polu widzenia Re-achera. Zerknął na niego rozpaczliwie, jakby prosił o potwierdzenie swych słów.

- Pięć błędów - oznajmił ponownie Fowler. - Po pierwsze, spaliłeś furgonetkę. Po drugie, spaliłeś samochód. To zbyt widoczne. Czemu od razu nie zamieściłeś ogłoszenia w pieprzonej gazecie?

Loder nie odpowiedział. Jego usta poruszały się, lecz nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

- Po trzecie, zwinąłeś tego gościa - dodał Fowler. Loder ponownie spojrział na Reachera i gwałtownie pokręcił głową.

- To nikt, zero. Nikt nie zauważył jego zniknięcia.

- Mimo wszystko trzeba było zaczekać. A po czwarte, straciłeś Petera. Co dokładnie się z nim stało?

Loder wzruszył ramionami.

- Nie wiem - przyznał.

- Przestraszył się - wyjaśnił Fowler. - Popełniłeś tak wiele błędów, że się przeraził i uciekł. Oto, co się stało. Masz inne wyjaśnienie?

Loder patrzył na niego tępo.

- I po piąte, zabiłeś cholernego dentystę. Z pewnością tego nie przeoczą. To miała być operacja militarna, polityczna, a ty dodałeś nowy element.

- Jakiego dentystę? - wtrącił Reacher.

Fowler zerknął na niego i uśmiechnął się przyzwalająco, jakby Reacher stanowił widownię, dzięki której mógł jeszcze bardziej poniżyć Loder.

- Ukradli samochód dentyście - wyjaśnił. - Tamten ich przyłapał. Powinni byli zaczekać, aż odejdzie.

- Wszedł nam w drogę - jęknął Loder. - Przecież nie mogliśmy go zabrać.

- Mnie zabraliście - zauważył Reacher.

Loder popatrzył na niego, jakby miał do czynienia z kretyńcem.

- To był Żyd. Nie mamy tu miejsca dla Żydów.

Reacher rozejrzył się po pomieszczeniu. Ponownie odczytał naszywki na ramionach strażników. Milicja Montany, milicja Montany, milicja Montany. Powoli skinął głową. Całkiem nowy kraj.

- Gdzie zabraliście Holly? - spytał Fowlera.

Fowler puścił jego pytanie mimo uszu. Wciąż zajmował się Loderem.

- Jutro zostaniesz osądzony - oznajmił. - Przez specjalny trybunał, pod kierownictwem dowódcy. Zarzut: stworzenie zagrożenia dla misji. Ja będę oskarżał.

- Gdzie jest Holly? - nie ustępował Reacher.

Fowler wzruszył ramionami. Popatrzył na niego chłodno.

- Niedaleko. Nie martw się o nią.

Potem spojrzął nad głową Reachera i przemówił do strażników.

- Loder na podłogę - polecił.

Loder nie stawiał oporu. Pozwolił, by młodszy strażnik z blizną go przytrzymał. Najbliższy z wartowników odwrócił w rękę broń i rąbnął go kolbą w brzuch. Reacher usłyszał, jak z tamtego ze świstem ulatuje powietrze. Młodszy mężczyzna upuścił Lodera i przeszedł nad nim. Wymaszerował z chaty, spełniwszy swój obowiązek. Drzwi zatrasnęły się za nim i Fowler odwrócił się do Reachera.

- Teraz pomówmy o tobie.

Nadal przemawiał cicho, z pewnością siebie. Swobodnie. Nietrudno jednak czuć się swobodnie, gdy jest się zaszytym na pustkowiu, a sześciu uzbrojonych podwładnych otacza siedzącego na krześle, skutego rozmówcę. Rozmówcę, który właśnie był świadkiem pokazu brutalnej siły. Reacher wzruszył ramionami.

- Ale o czym? - rzekł. - Znasz moje nazwisko. Podałem je Loderowi, bez wątpienia ci je powtórzył. I raczej nie popełnił błędu. Niewiele mam do powiedzenia.

Zapadła cisza. Fowler zastanawiał się chwilę, w końcu przytaknął.

- Ta decyzja należy do dowódcy - oznajmił.

\* \* \*

To prysznic ostatecznie ją przekonał. Stał się podstawą dalszych wniosków. Niektórych dobrych, innych złych. Nowiu-sieńka łazienka, tanio, lecz starannie wyposażona, w stylu, który z pewnością wybrałaby prosta, lecz pełna godności kobieta mieszkająca w taniej przyczepie. Ta łazienka wiele mówiła.

Oznaczała, że Holly jest zakładniczką, która ma być przetrzymywana długo, lecz z pewnym szacunkiem. Cenną monetą przetargową. Jej wygoda i bezpieczeństwo nie stanowiły elementu negocjacji. Zostały uznane za coś oczywistego. Więźniarka o wysokiej pozycji - z powodu swej wartości, z powodu tego, kim jest.

Choć nie, nie kim jest. Kim jest jej ojciec. To powiązania czyniły ją cenną. Miała siedzieć zamknięta w tym klaustro-fobicznym, przepelnionym strachem pomieszczeniu i być czyjąś córką. Siedzieć i czekać, podczas gdy inni ludzie rozważają jej wartość na wszelkie możliwe sposoby. Podejmują działania, nieco uspokojeni faktem, że ma do dyspozycji własny prysznic.

Zsunęła się z łóżka. Do diabła z tym, pomyślała. Nie będzie tu siedzieć i czekać na wynik negocjacji. Poczwała, że wzbiera w niej gniew. Opanowała go i przekształciła w żelazną determinację. Pokuśtykała do drzwi i po raz dwudziesty nacisnęła klamkę. Nagle usłyszała kroki na schodach. Zbliżyły się korytarzem i zatrzymały przy drzwiach. W zamku szczęknął klucz. Klamka poruszyła się w dłoni Holly, która cofnęła się o krok. Ktoś otworzył drzwi.

Reacher wpadł do środka pchnięty przez kilka zamaskowanych postaci. Jedna z nich gwałtownie zatrasnęła drzwi. Holly usłyszała zgrzyt zamka i oddalające się kroki. Pozostał tylko Reacher, który stał bez ruchu i rozglądał się wokół.

- Wygląda na to, że mamy zamieszkać razem - oznajmił. Spojrzała na niego.

- Spodziewali się tylko jednego gościa - dodał.

Nie odpowiedziała. Patrzyła jedynie, jak wzrokiem omiata pokój. Jego oczy dostrzegały wszystko, ściany, podłogę, sufit. Odwrócił się i zajął do łazienki, skinął głową. Stał naprzeciw niej, najwyraźniej na coś czekał. Holly zastanawiała się gorączkowo, co i jak ma powiedzieć.

- Tylko jedno łóżko - rzekła w końcu.

Próbowała sprawić, by słowa te niosły głębsze znaczenie. Jakby kryła się w nich długa przemowa, starannie przemyślane argumenty. Chciała powiedzieć: dobra, w ciężarówce byliśmy blisko. Dobra, pocałowaliśmy się. Dwa razy. Za pierwszym razem samo wyszło. Za drugim poprosiłam cię, bo szukałam pociechy i otuchy. Teraz jednak rozdzielono nas na parę godzin. Dostatecznie długo, żebym poczuła się głupio z powodu tego, co zrobiliśmy. Chciała, by trzy słowa przekazały mu to wszystko. Przyglądała mu się uważnie, czekając na reakcję.

- Jest ktoś inny, prawda? - spytał Reacher.

Dostrzegła, że potraktował to jak żart. Rzucił od niechcenia uwagę, która miała oznaczać, że się z nią zgadza, że rozumie i pozwala, by oboje mogli się wycofać, nie tracąc twarzy. Holly jednak się nie uśmiechnęła. Zamiast tego skinęła głową.

- Tak, jest ktoś. Co mogę powiedzieć? Gdyby było inaczej, może zmieścilibyśmy się razem.

Wygląda na zawiedzionego, pomyślała.

- Prawdę mówiąc, pewnie bym tego chciała - dodała. - Ale jest ktoś. Przykro mi, to nie byłby dobry pomysł.

Widziała na jego twarzy rozczarowanie i poczuła, że musi dodać coś jeszcze.

- Przykro mi - powtórzyła. - Nie żebym nie chciała.

Obserwowała go, jedynie wzruszył ramionami. Zrozumiała, że pomyślał sobie: to nie koniec świata. A potem: choć tak się czuję. Zarumieniła się. Poczuła absurdalną wdzięczność. Postanowiła zmienić temat.

- Co się tam dzieje? Powiedzieli ci cokolwiek?

- Kim jest ten szczęściarz? - spytał Reacher.

- Taki jeden - odparła. - Co się tam dzieje? Jego oczy się zamglily. Spojrzał wprost na nią.

- Prawdziwy szczęściarz - rzekł.

- Nawet nie wie.

- Że zniknęłaś? Pokręciła głową.

- Że to do niego czuję.

; Patrzył na nią bez słowa. Przez długą chwilę oboje milczeli. W końcu Holly znów usłyszała pospieszne kroki na zewnątrz budynku. Potem w wejściu, na schodach. Kroki zatrzymały się przed drzwiami, szcękniętą kluczem i drzwi się otworzyły. Do środka wpadło sześciu strażników z sześcioma pistoletami maszynowymi. Krzywiąc się boleśnie, cofnęła się o krok. Oni jednak całkowicie ją zignorowali.

- Dowódca jest gotów cię przyjąć, Reacher - oznajmił jeden ze strażników.

Gestem polecił mu się odwrócić. Zatrzasnął mu kajdanki na przegubach i zacisnął je mocno. Szturchnięciem lufy wypchnął go za drzwi i na korytarz. Drzwi trzasnęły i zamknęły się za grupką mężczyzn.

\* \* \*

Fowler zdjął słuchawki i zatrzymał magnetofon. - Masz coś? - spytał dowódca.

- Nie - odparł Fowler. - Mówiła, że mają tylko jedno łóżko. On wydawał się wkurzony, jakby chciał dobrać się jej do majtek. Więc powiedziała mu, że ma innego chłopaka.

- Tego nie wiedziałem - mruknął dowódca. - Powiedziała kogo?

Fowler pokręcił głową.

- Ale działa dobrze?

- Bez zarzutu - odrzekł Fowler.

Mężczyźni poprowadzili Reachera schodami i na dwór, w noc, z powrotem drogą, którą już przebył. Półtora kilometra kamienistą ścieżką. Pierwszy strażnik trzymał go za łokieć i niemal biegł, ciągnąc go za sobą. Reszta używała luf broni niczym pałek, popychając go i szturchając. Całą



odległość pokonali w piętnaście minut. Przebiegli przez polanę, dotarli do niewielkiej drewnianej chaty i brutalnie wepchnęli Reachera do środka.

Loder wciąż leżał na podłodze, lecz za prostym drewnianym biurkiem siedział ktoś nowy. Dowódca. Reacher nie miał co do tego wątpliwości. Naprawdę niezwykły człowiek - jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu, około dwustu kilo wagi. Na oko może trzydzieści pięć lat. Gęste włosy, tak jasne, że niemal białe, krótko przystrzyżone po bokach i zaczesane do tyłu na czubku głowy niczym u niemieckiego uczniaka. Gładka, różowa twarz, potężna i nalana. Jaskrawoczerwone punkciki wielkości drobnych monet wysoko na policzkach, Małe, bezbarwne oczka, jasne szparki pomiędzy tłustymi policzkami i białymi brwiami. Wilgotne, czerwone wargi, ściągnięte w linię nad podbródkiem dość mocnym, by zachować kształt mimo zwałów tłuszczu.

Na sobie miał olbrzymi czarny mundur, idealnie odprasowaną koszulę o wojskowym kroju. Brakowało mu insygniów, poza tymi samymi półkolistymi naszywkami, które mieli pozostali. Szeroki skórzany pas lśnił niczym lustro. Czarne bryczesy, szerokie u góry, były wsunięte w wysokie czarne buty, dorównujące połyskiem pasowi.

- Wejdz i usiądź - powiedział cicho.

Jeden ze strażników pchnął Reachera w stronę znajomego już krzesła. Reacher usiadł, przygniatając ręce za plecami. Strażnicy stali na baczność, nie ważąc się odetchnąć i patrząc tępo w przestrzeń.

- Nazywam się Beau Borken - oznajmił grubas. - Jestem tu dowódcą.

Głos miał wysoki. Reacher wpatrywał się w niego i wyczuł aurę otaczającą go niczym poświata. Aurę absolutnej władzy.

- Muszę podjąć decyzję. Chcę, żebyś mi w tym pomógł - rzekł Borken.

Reacher uświadomił sobie, że odwraca wzrok, jakby blask go oślepił. Zmusił się do powolnego poruszenia głową i spojrzenia wprost w wielką, białą twarz.

- Jaką decyzję? - spytał.

- Czy będziesz żyć - odparł Borken. - Czy też powinieneś umrzeć.

\* \* \*

Holly odsunęła boczną ściankę obudowy wanny. Wiedziała, że hydraulicy często zostawiają tam śmieci - skrawki rur, kawałki drewna, nawet narzędzia, zużyte brzeszczoty, pogięte klucze. Coś, co jeszcze może się przydać. W kolejnych mieszkaniach znajdowała tam najróżniejsze rzeczy. Tu jednak nie było niczego. Położyła się na ziemi, macając głęboko. Pusto.

Podłoga pod wanną także była solidna. Rury znikwały w dopasowanych otworach. Fachowa robota. Możliwe, że zdołałaby wsunąć dźwignię tuż obok szerokiej rury, biegnącej z toalety. Gdyby miała łom, mogłaby obluźować deskę. W pokoju jednak nie dostrzegła niczego takiego, ani żadnego materiału, który po odpowiedniej obróbce mógłby zastąpić to narzędzie. Drażek na ręcznik zrobiono z plastiku, który złamałby się i pękł. Poza tym nic nie widziała. Usiadła na podłodze, czując nagły przyptyw zawodu. I wtedy usłyszała kroki za drzwiami. Tym razem były ciche, stłumione. Ktoś zbliżał się ostrożnie, ukradkiem, wyraźnie nieoficjalnie. Wstała powoli, wyszła z łazienki i zamknęła drzwi, by ukryć rozmontowaną ściankę. Pokuśtykała do łóżka. Zamek szcęknął i drzwi się otworzyły.

Do środka wszedł młody mężczyzna, ubrany w strój maskujący, z twarzą pokrytą czarnym kamuflażem. Przez środek czoła biegła jaskrawa, czerwona, pozioma blizna. Na ramieniu wisiał pistolet maszynowy. Mężczyzna odwrócił się i cichutko zamknął drzwi. Potem popatrzył na nią, unosząc palec do ust.

Holly wpatrywała się w niego bez słowa, czując wzbierający gniew. Tym razem nie była przykuta do ściany, tym razem napastnik umrze. Uśmiechnęła się, dostrzegając logikę całej sytuacji. Łazienka ją uratuje. Była ważną więźniarką, traktowaną z szacunkiem i uznaniem. Ktoś wszedł i próbował ją napaść, a ona go zabiła. Nie będą mogli mieć o to pretensji, prawda?

Lecz mężczyzna z blizną jedynie unosił palec do ust. Skinieniem głowy wskazał łazienkę, podkradł się do niej cichutko, pchnął drzwi, gestem wezwał Holly, która pokuśtykała za nim. Mężczyzna

zerknął na ściankę leżącą na podłodze i pokręcił głową. Odkręcił kurek prysznic, krople zaczęły bębnić o dno pustej wanny.

- Mają tu mikrofony - powiedział. - Podłuchują.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - spytała. Przykucnęła z powrotem, zakładając ściankę.

- To nic nie da. Stąd nie ma wyjścia.

- Musi być. Przybysz pokręcił głową.

- Przeprowadzili próbę - powiedział. - Dowódca umieścił tu jednego z facetów, którzy zbudowali ten pokój. Powiedział, że jeśli nie wyjdzie, obetnie mu rękę. Zakładam zatem, że bardzo się starał.

- I co się stało? - spytała. Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Dowódca obciął mu rękę.

- Kim ty, do diabła, jesteś? - powtórzyła.

- FBI - odparł mężczyzna. - Anty terroryści. Inwigilacja. Będę cię musiał stąd wydostać.

- Jak?

- Jutro - oznajmił. - Zdobędę dzipa. Będziemy musieli uciekać sami. Nie mogę wezwać pomocy, skanują wszystkie częstotliwości. Zabierzemy dzipa, pojedziemy na południe. Może się uda.

- A co z Reacherem? Gdzie go zabrali?

- Zapomnij o nim - powiedział przybysz. - Do rana będzie trupem.

Holly pokręciła głową.

- Bez niego nie idę.

\* \* \*

- Loder mnie zirytował - oznajmił Beau Borken. Reacher wzruszył ramionami, zerknął w dół. Loder siedział

bokiem^ skulony, wciśnięty w kąt między podłogą i ścianą.

- Czy ciebie także? - spytał Borken. Reacher nie odpowiedział.

- Chciałbyś go kopnąć?

Reacher milczał. Wiedział, dokąd prowadzi ta gierka. Gdyby odparł „tak”, musiałby zranić tamtego. W sumie nie miał nic przeciw temu, ale wolał to zrobić na własnych zasadach. Gdyby powiedział „nie”, Borken nazwałby go tchórzem pozbawionym szacunku dla własnej osoby i poczucia elementarnej sprawiedliwości. Gra, w której nie mógłby wygrać. Milczał zatem. Już setki razy wcześniej stosował podobną taktykę. W razie wątpliwości trzymać głowę na kłódkę.

- W twarz? - pytał Borken. - Może w jaja?

Loder patrzył na Reachera. Jego twarz miała dziwny wyraz. Nagle Reacher zrozumiał i oczy rozszerzyły mu się ze

zdumienia. Loder błagał, by go skopać, żeby Borken tego nie zrobił.

- Loder, połóż się - polecił Borken.

Tamten odepchnął biodra od ściany, jego ramiona opadły na podłogę. Odpychał się dalej, aż leżał płasko na wznak. Borken wezwał najbliższego strażnika.

- W twarz - polecił.

» Strażnik podeszedł bliżej, podeszwą przekręcił na bok głowę Lodera, tak że tamten patrzył wprost na nich. Potem cofnął się i kopnął. Potężny cios ciężkiego buta. Głowa Lodera odskoczyła do tyłu i z hukiem uderzyła o ścianę. Z nosa popłynęła krew. Przez długą chwilę Borken patrzył z zainteresowaniem, potem odwrócił się do Reachera.

- Loder to jeden z moich najstarszych przyjaciół - oświadczył.

Reacher nie odpowiedział.

- Nasuwają się dwa pytania, prawda? Pytanie pierwsze: czemu narzucam tak surową dyscyplinę nawet najstarszym przyjaciołom? I pytanie drugie: jeśli tak traktuję przyjaciół, jak, do diabła, traktuję wrogów?

Reacher milczał. W razie wątpliwości trzymać głowę na kłódkę.

- Wrogów traktuję znacznie gorzej - ciągnął Borken. - Do tego stopnia gorzej, że wolałbyś o tym nie myśleć. Naprawdę, wierz mi. A czemu jestem tak surowy? Bo zaledwie dwa dni dzielą nas od wyjątkowego wydarzenia historycznego. Stanie się coś, co odmieni świat. Nakreśliliśmy już plany,

rozpoczęliśmy działanie. Muszę zatem zachować jeszcze większą ostrożność niż zwykle. Mój stary przyjaciel Loder padł ofiarą sił historii. Podobnie niestety ty.

Reacher milczał. Spuścił wzrok, obserwując Lodera. Nieprzytomny, oddychał ciężko przez połamany nos.

- Masz jakąś wartość jako zakładnik? - spytał Borken.

. Reacher zastanowił się chwilę. Milczał. Borken uśmiechnął się, patrząc mu w twarz. Jego czerwone wargi rozchyliły się, ukazując drobne, białe zęby.

- Tak też sądziłem. Co więc mam zrobić z człowiekiem, który nie ma dla mnie wartości jako zakładnik, w chwili wielkiego wydarzenia historycznego?

Reacher nie odzywał się, tylko patrzył, powoli przesuwając ciężar ciała naprzód.

- Sądzisz, że też cię skopie? - spytał Borken. Reacher napiął nogi, gotów do skoku.

- Spokojnie, ciebie nie. Gdy nadejdzie czas, dostaniesz kulkę w tył głowy. Nie jestem głupi, wiesz? Mam oczy i mózg. Ile masz wzrostu? Metr dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt dwa? Sto dziesięć kilo? Silny i sprawny. A teraz napinasz mięśnie, gotów do skoku. Z pewnością przeszedłeś szkolenie. Nie jesteś jednak bokserem, bo nigdy nie miałeś złamanego nosa. Bokser wagi ciężkiej z nietkniętym nosem musiałby dysponować niewiarygodnym talentem; z pewnością widzielibyśmy twoje zdjęcie w gazetach. Jesteś osiłkiem. Pewnie służyłeś w wojsku, zgadza się? Muszę zatem zachować ostrożność. Obejdzie się bez kopniaków, po prostu kulka.

Strażnicy jak za dotknięciem różdżki unieśli broń. Sześć palców dotknęło sześciu spustów.

- Byłeś kiedyś skazany? - spytał Borken.

Reacher wzruszył ramionami i odezwał się po raz pierwszy.

;- Nie.

- Wzorowy obywatel?

Ponowne wzruszenie ramion. - Chyba tak - rzekł Reacher

Borken przytaknął.

- Pomyślę nad tym - oświadczył. - Jutro rano dowiesz się: życie czy śmierć. Zgoda?

Podniósł potężną rękę i pstryknął palcami. Pięciu z sześciu strażników się poruszyło. Dwóch podeszło do drzwi i otworło je, trzeci wyszedł na dwór. Pozostali dwaj czekali. Borken wstał, zdumiewająco zgrabnie jak na mężczyznę tych rozmiarów, i wyszedł zza biurka. Drewniana podłoga skrzypiała pod jego ciężarem. Czterech czekających strażników ruszyło za nim. Wyszedł w noc i zniknął w mroku, nie oglądając się za siebie.

\* \* \*

Przeszedł przez polanę, kierując się do drugiej chaty. Tam czekał na niego Fowler ze słuchawkami w dłoni.

- Myślę, że ktoś tam wszedł - oznajmił. -- Myślisz? - spytał Borken.

- Odkręciła prysznic - wyjaśnił Fowler. - To musiał być ktoś, kto wie o mikrofonach. Nie potrzebowała kolejnego prysznic. Dopiero co się kąpała. Ktoś wszedł do środka i odkręcił prysznic, by zagłuszyć rozmowę.

- Kto? - chciał wiedzieć Borken. Fowler potrząsnął głową.

- Nie wiem kto. Ale mogę spróbować się dowiedzieć. Borken przytaknął.

- Tak, możesz - rzekł. - Możesz spróbować się dowiedzieć.

\* \* \*

W chacie mieszkalnej mężczyźni i kobiety pracowali w mroku, czyszcząc broń. Wieści o Loderze rozeszły się szybko, wszyscy wiedzieli już o trybunale i znali prawdopodobny wyrok. Każdy z nich mógł zostać wybrany do sześciuosobowego plutonu egzekucyjnego. Jeśli w ogóle będzie taki pluton. Większość ludzi uznała, że tak. Wymierzając karę oficerowi takiemu jak Loder, dowódca mógł ograniczyć się do plutonu egzekucyjnego. Pewnie nie zrobi nic gorszego. Czyścili zatem broń i kładli gotową i załadowaną obok łóżek.

Ci z nich, którzy otrzymali dość upomnień, by znaleźć się w jutrzejszej karnej kompanii, próbowali się przespać. Jeśli dowódca nie ograniczy się do plutonu egzekucyjnego, może czekać ich wiele

pracy. Paskudnej, nieprzyjemnej pracy. A nawet gdyby Loderowi się upiekło, wciąż jeszcze pozostawał ten drugi. Wielki gość, przywieziony z federalną suką. Marne szanse, by przeżył do śniadania. Nie pamiętali, kiedy ostatni raz zabłąkany przybysz dożył południa.

\* \* \*

Holly Johnson miała jedną zasadę, wpojona jej niczym motto rodzinne. Długie szkolenie w Quantico ugruntowało ją jeszcze bardziej. To zasada stanowiąca podsumowanie tysięcy lat historii wojskowej i setek pracy policyjnej. Brzmi ona: licz na najlepsze, ale szykuj się na najgorsze. Holly nie miała powodów, by nie wierzyć, że jutro, gdy tylko nowy sprzymierzeniec zdoła załatwić dzipa, opuści to miejsce. Ostatecznie mężczyzna był wyszkolonym agentem, podobnie jak ona. Wiedziała, że gdyby zamienili się rolami, bez problemów by go stąd wydostała. Toteż wystarczyło siedzieć i czekać. Ale nie. Liczyła na najlepsze, ale szykowałą się na najgorsze.

, Zrezygnowała z łazienki. Stamtąd nie ma wyjścia. Teraz Sprawdzała pokój. Kawalek po kawaleczku. Nowe deski, ciasno przybito do poprzecznych belek, na wszystkich sześciu powierzchniach. Ta świadomość doprowadzała ją do szału. Calowe sosnowe deski, najstarsza technika świata,

stosowana od dziesięciu tysięcy lat, a ona nie mogła znaleźć wyjścia. Samotna kobieta pozbawiona narzędzi równie dobrze mogłaby próbować przebić płytę pancerną.

Skupiła się zatem na narzędziach. Zupełnie jakby osobiście przeżywała przyspieszony proces darwinowskiej ewolucji. Mały zeszły z drzew i zrobiły sobie narzędzia. Zwróciła uwagę na łóżko. Materac nie mógł przydać się do niczego. Był cienki, zgnieciony, pozbawiony metalowych sprężyn. Rama wydawała się bardziej obiecująca. Skręcono ją ciasno z żelaznych rurek i kątowników. Gdyby zdołała ją rozmontować, mogłaby przykręcić jeden z kątowników do najdłuższej rurki. Wówczas dysponowałaby dwumetrowym łomem. Lecz wszystkie śruby zamalowano. Holly miała silne ręce, ale nie mogła poruszyć żadnej z nich. Kaleczyła jedynie palce, które ślizgały się bezradnie.

\* \* \*

Strażnicy zabrali Lodera i Reacher został sam, zamknięty z ostatnim wartownikiem. Tamten usiadł za biurkiem i położył broń na drewnianym blacie. Wylot lufy celował wprost w siedzącego na krześle więźnia. Reacher wciąż miał ręce skute za plecami. Musiał podjąć jakąś decyzję. Po pierwsze, nie zamierzał siedzieć tak całą noc. Spojrzał spokojnie na strażnika, wstał i opuścił ręce. Przycisnął pierś do ud, przesunął dłonie pod stopami. Potem usiadł, wyprostował się i zmusił do uśmiechu, z dłońmi na kolanach.

- Długie ręce - rzekł. - Przydają się.

Strażnik przytaknął powoli. Miał świdrujące oczka, które jednak sprawiały wrażenie niewinnych, osadzone w wąskiej twarzy, połyskujące nad rozłożystą brodą pośród smug farby maskującej.

- Jak się nazywasz? - spytał Reacher.

Tamten zawałał się, poruszył na krześle. Reacher widział, że dobre wychowanie każe mu odpowiedzieć, lecz przeszkadzają względy taktyczne. Nadal uśmiechał się z przymusem.

- Ja jestem Reacher - ciągnął. - Znasz moje nazwisko. A ty masz jakieś? Skoro spędzimy razem noc, równie dobrze możemy zachowywać się jak ludzie cywilizowani.

Strażnik znów przytaknął, powoli. Potem wzruszył ramionami.

- Ray - powiedział.

- Ray? - powtórzył Reacher. - To imię czy nazwisko?

- Nazwisko. Joseph Ray. Reacher skinął głową.

- W porządku, panie Ray. Miło mi pana poznać.

- Mów mi Joe - odparł Joseph Ray.

Reacher znów zmusił się do uśmiechu. Przełamał pierwsze lody. Zupełnie jakby prowadził przesłuchanie. Robił to tysiąc razy, lecz nigdy z tej strony biurka. To nie on nosił kajdanki.

- Musisz mi trochę pomóc, Joe - stwierdził. - Potrzebuję informacji. Nie wiem, gdzie jestem, dlaczego ani kim wy jesteście. Mógłbyś trochę mi podpowiedzieć.

Ray patrzył na niego, jakby nie wiedział, od czego zacząć. Potem rozejrzał się po pokoju, niepewny, czy w ogóle wolno mu coś powiedzieć.

- Gdzie dokładnie jesteście? - naciskał Reacher. - Tyle chyba możesz powiedzieć, prawda?

- W Montanie - rzucił Ray. Reacher przytaknął.

- Dobra. Gdzie w Montanie?

- W pobliżu miasteczka Yorke. To stara, górnicza osada, praktycznie porzucona.

Reacher znów skinął głową.

- W porządku. Co tu robicie?

- Budujemy bastion - oznajmił Ray. - Miejsce oporu.

- Po co?

Ray wzruszył ramionami. Mało wygadany. Z początku milczał, potem pochylił się naprzód i zaczął recytować coś w rodzaju mantry. Reacher miał wrażenie, że tamten ćwiczył to wiele razy albo też wiele razy wysłuchiwał tych samych słów.

- Przybyliśmy tu, by wyzwolić się z tyranii Ameryki. Musimy nakreślić własne granice i powiedzieć, że tu będzie inaczej.

- Inaczej? To znaczy? - spytał Reacher.

- Musimy odzyskać Amerykę, kawałek po kawałku - ciągnął Ray. - Zbudować miejsce, w którym biały człowiek może żyć swobodnie, nie nękanym przez nikogo, w spokoju, pewny swej wolności i prawa.

- Myślisz, że wam się to uda?

- Kiedyś już tak było - wyjaśnił Ray. - W tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym roku. Ludzie powiedzieli: wystarczy. Powiedzieli: pragniemy lepszego kraju. A teraz my mówimy to samo. Mówimy, że chcemy odzyskać swój kraj. I odzyskamy, ponieważ działamy wspólnie. Tu, w górach, były kiedyś dziesiątki podobnych oddziałów milicji. Wszyscy pragnęli tego samego, ale działali osobno. Beau postanowił ich zjednoczyć. Teraz połączyliśmy siły i odzyskamy nasz kraj. Zaczynamy tutaj i teraz.

Reacher przytaknął. Zerknął w prawo, na ciemną plamę w miejscu, gdzie krew z nosa Lodera wsiąknęła w deski.

- Ot tak? A głosowania, demokracja i tym podobne? Powinniście usunąć niewłaściwych ludzi i zagłosować na nowych.

Ray uśmiechnął się ze smutkiem i pokręcił głową.

- Głosujemy od dwustu dwudziestu lat i cały czas jest gorzej. Rządu nie interesują nasze głosy. Odebrał nam całą władzę. Oddał nasz kraj. Wiesz, gdzie naprawdę mieści się rząd tego państwa?

Reacher wzruszył ramionami.

- W Waszyngtonie, no nie?

- Nieprawda - odrzekł Ray. - W Nowym Jorku. W budynku Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zastanawiałeś się kiedyś, czemu ONZ mieści się tak blisko Wall Street? To dlatego, że oni właśnie rządzą. ONZ i banki. Rządzą całym światem. Ameryka jest tylko jego częścią. Prezydent ma jeden głos w wielkiej radzie. Dlatego właśnie głosowanie na nic się zdaje. Sądziś, że ONZ i banki światowe obchodzą nasze głosy?

- Jesteś tego pewien?

Ray zaczął potakiwać gwałtownie.

- Jasne, że jestem. Widziałem, jak to działa. Jak myślisz, czemu posyłamy miliardy dolarów Rosjanom, mimo że w Ameryce także mamy biednych? Sądziś, że to wolny wybór rządu amerykańskiego? Wysyłamy je, bo każe nam to robić rząd światowy. Wiesz, że mają tu obozy, setki obozów w całym kraju? Większość dla wojsk ONZ, zagranicznych oddziałów czekających, by wkroczyć w razie kłopotów. A czterdzieści trzy z nich to obozy koncentracyjne. Tam właśnie nas umieszczają, jeśli zaczniemy głosić prawdę.

- Jesteś pewien? - powtórzył Reacher.

- Jasne, że tak - odparł ponownie Ray. - Beau ma dokumenty, dowody. Są rzeczy, w które byś nie

uwierzył. Wiesz, że wprowadzono tajne prawo federalne? Wszystkim dzieciom urodzonym w szpitalach wszczepia się pod skórę kod, mikrochipy. Kiedy zabierają je po urodzeniu, to nie po to, żeby zważyć i umyć, lecz by wszczepić mikrochip. Wkrótce wszyscy mieszkańcy będą widoczni dla tajnych satelitów. Myślisz, że prom kosmiczny służy do doświadczeń naukowych, że rząd światowy zatwierdziłby wydatki na coś takiego? Wolne żarty. Prom kosmiczny wynosi na orbitę satelity szpiegowskie.

- Żartujesz, prawda? Ray potrząsnął głową.

- Ależ nie. Beau ma dokumenty. Istnieje inne tajne prawo. Pewien gość z Detroit przesłał papiery do Beau. Od osiemdziesiątego piątego roku każdy samochód zbudowany w Ameryce wyposażono w tajny nadajnik radiowy, by satelity mogły go namierzyć. Od chwili gdy kupujesz samochód, ekrany radarowe w budynku ONZ śledzą każdy twój ruch. W każdej chwili dnia i nocy. Cudzoziemskie wojska przechodzą szkolenie w Ameryce, szykując się do oficjalnego przejęcia władzy. Wiesz, czemu wysyłamy tak dużo pieniędzy do Izraela? Nie dlatego, że obchodzi nas los Żydów. Bo niby dlaczego? Wysyłamy je, bo tam właśnie ONZ szkoli tajną światową armię. To ich poligon doświadczalny. Jak myślisz, czemu ONZ nie powstrzymuje Żydów przed atakami na inne kraje? Bo to ONZ wydaje rozkazy. Szykuje ich do przejęcia władzy nad światem. W bazach lotniczych w Stanach w tej chwili czekają trzy tysiące gotowych do działania czarnych helikopterów bez żadnych oznakowań.

- Jesteś pewien? - raz jeszcze powtórzył Reacher. Starał się, by w jego głosie brzmiała nutka sceptycyzmu, ale i troska. - Nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- To najlepszy dowód, no nie?

- Dlaczego?

- Jasna sprawa - rzekł Ray. - Myślisz, że rząd światowy pozwoli mediom na dostęp do tych informacji? Rząd światowy kontroluje media, kieruje nimi. Logiczne zatem, że jeśli czegoś nie ma w mediach, to znaczy, że to prawda. Media przekazują bezpieczne informacje, resztę zachowują w tajemnicy. Wierz mi, to wszystko prawda. Mówię ci, Beau ma dokumenty. Wiedziałeś, że każda tablica na autostradzie w Stanach ma z tyłu tajny znak? Sam się przekonaj. Znak pozwalający obcej armii odnaleźć drogę. Szykują się do przejęcia władzy. Dlatego potrzebujemy własnego bastionu.

- Myślisz, że was zaatakują? - spytał Reacher.

- Bez wątplenia, ruszą wprost na nas.

- I myślisz, że zdołacie się obronić? Kilku gości w miasteczku w Montanie?

Joe Ray pokręcił głową.

- Nie kilku. Jest nas setka.

- Setka ludzi przeciwko rządowi światowemu? Ray znów pokręcił przecząco głową.

- Możemy się bronić. Beau to mądry przywódca. Wybrał świetne miejsce. Jesteśmy w dolinie. Sto kilometrów z północy na południe. Sto kilometrów ze wschodu na zachód. Na północy graniczymy z Kanadą.

Machnął ręką w powietrzu nad poziomem oczu, z lewa na prawo, w udanym ciosie karate, podkreślając swe słowa. Reacher przytaknął. Dobrze znał granicę kanadyjską. Ray uniósł drugą rękę, pokazując lewy skraj niewidocznej mapy.

- Rzeka Rabbit - oznajmił. - To nasza zachodnia granica. Szeroka, rwąca rzeka. Bez mostów.

Przesunął rękę wyznaczając granicę Kanady i zakreślił w powietrzu niewielki krąg, jakby przecierał szybę.

- Rezerwat. Lasy, widziałeś je? Osiemdziesiąt pięć kilometrów ze wschodu na zachód. Gęsta, dziewicza puszcza pozbawiona przejść. Idealna wschodnia granica.

- A południe? - spytał Reacher.

Ray machnął ręką na wysokości piersi.

- Wąwóz. Naturalna zapora przeciwczołgowa. Wierz mi, znam się na czołgach. Nie da się go przebyć. Jest tylko jedna droga, jeden szlak, jeden drewniany most.

Reacher przytaknął. Pamiętał białą ciężarówkę przejeżdżającą przez drewnianą, trzeszczącą

konstrukcję.

- Most zostanie wysadzony - oznajmił Ray. - Koniec trasy.

- A droga? - spytał Reacher.

- To samo. Wysadzimy most i jesteśmy bezpieczni. W tej chwili ludzie zakładają ładunki.

Reacher powoli skinął głową. Myślał o ataku powietrznym, artylerii, pociskach raketowych, inteligentnych bombach, infiltracji przez siły specjalne, wojskach powietrznych, spadochroniarzach. Myślał o oddziałach SEALs, budujących most przez rzekę, piechocie morskiej pokonującej wąwóz, o oddziałach NATO atakujących z Kanady.

- A Holly? - spytał. - Po co wam ona?

Ray się uśmiechnął. Pośród gęstwiny brody rozbłysły białe zęby.

- To tajna broń Beau - wyjaśnił. - Zastanów się. Rząd światowy użyje jej starego. To on poprowadzi atak. Dlatego właśnie go mianowali. Sądziś, że sam prezydent wybiera takich ludzi? Wolne żarty. Stary Johnson to człowiek rządu światowego. Czeka tylko na tajny rozkaz, by wkroczyć do akcji. Ale gdy tu dotrze, co zobaczy?

- Co? - wtrącił Reacher.

- Przyjdzie z południa, prawda? Pierwszy budynek, na jaki się natknie, to stary sąd na południowo-wschodnim skraju miasta. Byłeś tam. Holly umieszczono na piętrze. Zauważyłeś, że pokój jest nowy? Specjalne pomieszczenie, podwójne ściany. Pięćdziesiąt trzy centymetry odstępu między nimi. Całą tą wolną przestrzeń wypełniono dynamitem i ładunkami wybuchowymi ze starych magazynów kopalnianych. Pierwszy pocisk wyrzuci córeczkę starego Johnsona na orbitę.

. Reacher raz jeszcze powoli skinął głową. Ray spojrzał na niego.

- Nie prosimy o wiele. Sto kilometrów na sto kilometrów, to ile? Dziesięć tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi.

- Ale dlaczego teraz? Skąd ten pośpiech?

- Którego mamy dzisiaj? - spytał Ray. Reacher wzruszył ramionami.

- Początek lipca.

- Drugi lipca - poprawił Ray. - Jeszcze dwa dni.

- Do czego?

- Do Dnia Niepodległości - wyjaśnił Ray. - Czwartego lipca.

- I co z tego? - chciał wiedzieć Reacher.

- Ogłaszamy niepodległość. Pojutrze. Wówczas narodzi się całkiem nowy naród. Dlatego właśnie nas zaatakują. Wolność dla zwykłych ludzi? To się nie mieści w ich planach.

południowy zachód do Kalifornii. McGrath ponownie nalegał, by polecili wprost do Monterey, lecz Webster zdecydował inaczej. Krok po kroku, taką kierował się zasadą. Teraz zatem mieli sprawdzić przeszłość Beau Borkena w Kalifornii, a potem w bazie lotniczej w Peterson w Kolorado spotkać się z generałem Johnsonem. McGrath był jedynym pracownikiem Biura, który potrafił nawrzeszczyć na Webstera i zrobił to, lecz spór nie oznacza wygranej. Toteż lecieli w tej chwili do Mojave. McGrath, Webster, Brogan i Milošević siedzieli w gorącej, dusznej kabinie przemęczenia, zdenerwowani i ponurzy.

- Potrzebuję wszystkich dostępnych wiadomości - oznajmił Webster. - Przekazali mi kierowanie sprawą, a z takimi ludźmi nie mogę uciekać się do ogólników.

McGrath spojrzał na niego wściekle, myśląc: nie prowadź swych idiotycznych politycznych gier, tu chodzi o życie Holly, Webster. Niczego jednak nie powiedział. Siedział w milczeniu, aż niewielki samolot zaczął opadać w stronę lotniska na skraju pustyni.

Wylądowali tuż po drugiej nad ranem czasu zachodniego wybrzeża. Sześć biur w Mojave czekał na nich na pustym

parkingu. Przyjechał własnym samochodem. Ruszyli na południe przez uśpione miasto.

- Borkenowie pochodzą z Kendall - oznajmił. - To małe miasteczko osiemdziesiąt pięć kilometrów

stad, rolnicze. Uprawiają tam głównie cytrusy. Jednoosobowy posterunek policji. Szeryf już na nas czeka.

- Wie coś? - spytał McGrath.

Agent za kierownicą wzruszył ramionami.

- Może? To w końcu małe miasto.

Pokonanie osiemdziesięciu pięciu kilometrów nocą na pustej drodze z prędkością stu czterdziestu kilometrów na godzinę zabrało im nieco ponad trzydzieści siedem minut. Kendall było niewielkim skupiskiem budynków pośrodku morza sadów. Stacja benzynowa, sklep, centrum farmerskie i niski cementowy budynek ze sterzącym z dachu gąszczem anten. Na podjeździe czekał czystutki czarno-biały radiowóz z napisem: Szeryf okręgowy z Kendall. W jednym z okien płonęło samotne światło.

Pięciu agentów przeciągnęło się i ziewnęło w suchym nocnym powietrzu, po czym rządkiem wmaszerowało do budynku. Szeryf okręgu Kendall okazał się mężczyzną około sześćdziesiątki, siwym, masywnym. Sprawiał wrażenie godnego zaufania. Webster gestem polecił mu usiąść. McGrath położył na blacie cztery błyszczące zdjęcia.

- Zna ich pan? - spytał.

Szeryf podsunął fotki bliżej i obejrzał kolejno. Następnie podniósł i ułożył w innej kolejności, wykładając na blat niczym wielkie, kolorowe karty. W końcu skinął głową, sięgnął w dół, otworzył szufladę. Wyjął trzy grube teczki. Wsunął pod trzy zdjęcia. Stuknął grubym palcem w pierwszą twarz.

- Peter Wayne Bell, chłopak z Mojave, ale często tu bywał. Niezbyt miły gość, pewnie już wiecie.

Skinieniem głowy wskazał monitor stojący w rogu biurka. Widniała na nim karta z narodowej bazy danych o przestępstwach. Raport policjantów z Dakoty Północnej dotyczący zwłok odnalezionych w rowie. Tożsamość i przeszłość.

Szeryf poruszył ręką i wskazał następne zdjęcie, mężczyzny z pistoletem, który wepchnął Holly Johnson na tylne siedzenie lexusa.

- Steven Stewart, nazywali go Stevie albo Mały Stevie. Syn farmera, niski poziom oleju w głowie, jeśli wiecie, co mam na myśli. Raczej nerwus.

- Co ma w aktach? - spytał Webster. Szeryf wzruszył ramionami.

- Nic poważnego, był po prostu za głupi i to wszystko. Jeśli grupka dzieciaków wybrała się gdzieś, by nabroić, kto został na miejscu, kiedy się tam zjawiłem? Mały Stevie. Zamykałem go kilkanaście razy, ale nigdy nie był zamieszany w nic poważniejszego.

McGrath przytaknął. Wskazał zdjęcie porywacza, który wsiadł do lexusa z przodu.

- A ten?

Szeryf przesunął palec, położył go na zdjęciu, przy szyi porywacza.

- Tony Loder, znacznie cięższy przypadek. Bystrzejszy niż Stevie, ale głupszy niż wy czyja. Dam wam akta, może nie zaczną się wam śnić po nich koszmary, ale z pewnością nie uspokoją waszych skołatanych nerwów.

- A ten dryblas? - spytał Webster.

Szeryf znów przesunął palec i pokręcił siwą głową.

- Nigdy go nie widziałem. To pewne. Zapamiętałbym kogoś takiego.

- Sądzimy, że może to cudzoziemiec. Europejczyk? Może ma akcent? Z czymś się to panu kojarzy? Szeryf cały czas kręcił głową.

- Nigdy wcześniej go nie widziałem. Pamiętałbym - powtórzył.

-No dobra - wtrącił McGrath. - Bell, Mały Stevie Stewart, Tony Loder i tajemniczy facet. Gdzie do tego wszystkiego pasują Borkenowie?

Szeryf wzruszył ramionami.

- Stary Dutch Borken nigdy nigdzie nie pasował - oznajmił. - W tym właśnie problem. Służył w Wietnamie, w piechocie. Niedługo potem sprowadził się tutaj. Przywiózł ze sobą ładną żonę i tłustego, dziesięcioletniego syna. Zaczął hodować cytrusy. Przez dłuższy czas dobrze mu się



wiodło. Był dziwnym facetem, samotnikiem. Rzadko go widywałem. Ale chyba odpowiadało mu takie życie. A potem jego żona zachorowała i umarła. Chłopak zaczął zachowywać się dziwnie, rynek się załamał, zyski spadły, hodowcy kolejno występowali do banku o pożyczki. Oprocentowanie rosło, ceny ziemi malały, zabezpieczenia znikły, woda do nawadniania pól podrożała i wszyscy kolejno zaczęli bankrutować. Borken przyjął to źle, wsadził sobie do ust lufę.

•(^Webster przytaknął.

- Tłusty, dziesięcioletni synek to Beau Borken? - spytał.

! Szeryf skinął głową.

- Beau Borken - odparł. - Bardzo dziwny chłopak. Bardzo bystry, ale cierpiał na obsesję.

- Na jakim punkcie? - wtrącił McGrath.

- W okolicy zaczęli pokazywać się Meksykanie - wyjaśnił szeryf. - Tania siła robocza. Młody Beau był temu przeciwny. Zaczął wrzeszczeć, że Kendall musi pozostać biały. Dołączył do nacjonalistów.

Był zatem rasistą? - dopytywał się McGrath.

- Z początku. Potem zajął się teoriami spiskowymi. Zaczął mówić o tym, że rząd kontrolują Żydzi albo ONZ, czy może jedno i drugie. Czy jeszcze ktoś inny. Rząd składa się wyłącznie z komunistów, którzy pragną podbić świat, mają tajne plany i tak dalej. Wielkie spiski skierowane przeciw wszystkim, a zwłaszcza przeciw niemu. Banki kontrolowane przez rząd czy może rząd kontrolowany przez banki. Banki pod władzą komunistów, zmierzające do zniszczenia Ameryki. Uznał, że bank pożyczył jego ojcu pieniądze tylko po to, by w odpowiednim czasie go wysiedlić i przekazać farmę Meksykanom, Murzynom albo komuś w tym stylu. Cały czas wygadywał podobne głupoty.

- I co się stało? - chciał wiedzieć Webster.

- No cóż, oczywiście skończyło się na tym, że bank istotnie go wysiedlił. W końcu Borken nie spłacał pożyczki. Lecz nie przekazali ziemi Meksykanom. Sprzedali ją wielkiemu koncernowi. Temu samemu, do którego należy wszystko wokół. Koncern z kolei należy do funduszy powierniczych, co oznacza, że my także jesteśmy jego właścicielami. A my nie jesteśmy komunistami, Meksykanami czy kimś takim.

- Lecz chłopak twierdził, że śmierć jego ojca to wynik spisku? - wtrącił Brogan.

- O tak - przytaknął szeryf. - Tak naprawdę jednak to Beau osobiście załatwił staruszka. Podejrzewam, że stary Dutch zdołałby znieść wszystko poza faktem, że jego jedynak okazał się skończonym świrem. Okrutny, samolubny, dziwny chłopak. Dlatego właśnie ojciec strzelił sobie w usta. Tak przynajmniej uważam.

- Dokąd zatem przeniósł się Beau? - zapytał Webster.

- Do Montany - odparł szeryf. - Tak przynajmniej słyszałem. Zaangażował się w ekstremalnie prawicowy ruch,

milicję. Zdobył sobie pozycję lidera. Oznajmił, że biały człowiek musi stawić opór i podjąć walkę.

- A inni poszli za nim? - spytał Brogan.

- Z całą pewnością ta trójka. Dryblasza nigdy nie widziałem. Lecz Mały Stevie, Loder i Peter Bell wielbili Beau niczym małe, bezwolne roboty. Razem tam pojechali. Mieli trochę gotówki, zabrali z domu Borkenów wszystko, co tylko zdołali unieść, i ruszyli na północ. Postanowili kupić tam tanią ziemię, by móc się bronić. No wiecie. Choć nie potrafię powiedzieć, przed kim. Bo z tego, co słyszałem, tam nikogo nie ma. A jeśli nawet, to wyłącznie biali.

- Co jest w jego teczce? - zainteresował się Webster. Szeryf pokręcił głową.

- Praktycznie nic. Beau jest za sprytny, by dać się przyłapać na czymś nielegalnym.

- Ale - naciskał McGrath - coś robi, tylko nie został przyłapany.

Szeryf przytaknął.

- Napad na samochód pancerny - rzekł. - Gdzieś na północy stanu. Słyszałem o tym. Nie zdołali go z tym powiązać. Mówiłem, jest sprytny.

- Coś jeszcze powinniśmy wiedzieć? - spytał Webster.

Szeryf zastanawiał się chwilę, w końcu skinął głową.

-Był jeszcze piąty -oznajmił. -Niejaki Odell Fowler. Z pewnością znajdzie się gdzieś w pobliżu Beau. Założę się, o co chcecie. Jeśli Loder, Stevie i Bell gdzieś nabroili, to Borken i Fowler z pewnością siedzą w cieniu, pociągając za sznurki.

- Coś jeszcze? - powtórzył Webster.

Na początku był jeszcze szósty, chłopak nazwiskiem Pac-ker. Szóstka przyjaciół, zawsze razem. Lecz Packer poznał pewną Meksykankę, nic nie poradził, po prostu się zakochał. Beau kazał mu z nią zerwać. Pokłócili się, i to ostro. Pewnego dnia Packer zniknął, a Beau przyjął to spokojnie, z uśmiechem. Znaleźliśmy Packera w zaroślach, przybitego do wielkiego, drewnianego krzyża. Ukrzyżowanego. Nie żył od paru dni.

- I myśli pan, że to zrobił Borken? - rzucił Brogan.

- Nie mogłem tego udowodnić - odparł szeryf. - Ale jestem pewien. I z pewnością namówił pozostałych, by mu pomogli. To urodzony przywódca. Wiercie mi, potrafi przekonać każdego.

\* \* \*

Z Kendall do Mojave jechało się osiemdziesiąt pięć kilometrów samochodem. Z Mojave do bazy lotniczej Peterson w Kolorado leciało się kolejnych tysiąc czterysta kilometrów learem. Trzy godziny podróży. Od początku do końca. Wylądowali w chwili, gdy w górach zaczęło świtać. Większość ludzi chętnie by zapłaciła, by móc zobaczyć coś takiego, lecz czterech agentów FBI w ogóle nie zwróciło na to uwagi. Nastął czwartek, trzeci lipca, czwarty dzień kryzysu. Pozbawieni odpoczynku, niedożywieni, koncentrowali się wyłącznie na swym zadaniu.

Generał Johnson nie mógł ich powitać osobiście. Przebywał gdzie indziej w olbrzymiej bazie, witał właśnie powracające nocne patrole. Jego adiutant zaszalutował Webstero-wi, uścisnął dłonie pozostałej trójce i zaprowadził ich do małej salki przeznaczonej na ich wyłączny użytek. Na stole leżało wielkie zdjęcie, czarno-białe, ostre. Przedstawiało krajobraz przypominający powierzchnię księżyca.

- To Anadyr, na Syberii - oznajmił adiutant. - Zdjęcie satelitarne. W zeszłym roku mieściła się tam wielka baza lotnictwa. Baza bombowców przenoszących broń jądrową. Maszyny startujące stamtąd mogły zniszczyć nasze silosy raketowe w Utah. Traktat o redukcji uzbrojenia wymagał zniszczenia bazy. W zeszłym tygodniu Rosjanie ją wysadzili.

Czterech agentów pochyliło się, przyglądając się uważniej. Na zdjęciu nie dostrzegli ani śladu dzieła ludzkich rąk. Wyłącznie upiorne kraterzy.

- Wygląda na to, że nie tylko wysadzili - zauważył McGrath. - Lecz podeszli do sprawy z prawdziwym entuzjazmem.

- No i co? - wtrącił Webster.

Adiutant wyjął z teczki mapę. Rozłożył ją i okrążył stół. Mapa przedstawiała fragment świata: wschodnią Azję, zachodnie Stany Zjednoczone, masyw Alaski. Pośrodku biegun północny. Adiutant rozłożył kciuk i palec wskazujący, mierząc odległość od Syberii na południowy wschód do Utah.

- Anadyr był tam - rzekł. - Utah mamy tutaj. Rzecz jasna wiedzieliśmy wszystko o bazie bombowców, dysponowaliśmy też środkami zaradczymi. Między innymi wielkimi bazami raketowymi na Alasce, o tu, i łańcuchem czterech mniejszych jednostek ziemia-powietrze położonych z północy na południe na odcinku z Anadyru do Utah. Są tutaj, tutaj, tutaj i tutaj. Na granicy Montany i Idaho.

Agenci zlekceważyli czerwone punkciki w Idaho. Przyjrzeni się jednak uważniej tym w Montanie.

- Co to za bazy? - spytał Webster. Adiutant wzruszył ramionami.

- Raczej tymczasowe - odparł. - Poskładano je do kupy w latach sześćdziesiątych i odtąd po prostu są. Szczerze mówiąc, nie spodziewaliśmy się, że z nich skorzystamy. Pociski na Alasce wystarczały aż nadto. Wszystko by zestrzeliły. Ale wiecie, jak było, prawda. Nie istniało coś takiego jak za dobre przygotowanie.

- Jaką mieli broń? - zapytał McGrath.

- W każdej jednostce baterie patriotów - wyjaśnił wojskowy. - Zabraliśmy je stamtąd jakiś czas temu i sprzedaliśmy

Izraelowi. Pozostały tylko stingery, rakiety wyrzucane z ręcznych wyrzutni, będące na wyposażeniu piechoty. Webster spojrzął na niego.

- Stingery? Zamierzaliście zestrzelić rosyjskie bombowce stingerami?

Adiutant przytaknął ze zdecydowaną miną.

- Czemu nie? Nie zapominajcie, te bazy stanowiły wyłącznie dekorację. Nic nie miało przedostać się przez Alaskę. Lecz stingery by zadziałały. Dostarczyliśmy ich tysiące do Afganistanu, a mudżahedini zestrzelili setki rosyjskich samolotów. No, głównie helikopterów, ale zasada jest ta sama. Samona-prowadzanie to samonaprowadzanie, nieważne, czy raketę wyrzuci się z ciężarówki, czy z ramienia żołnierza.

- I co teraz? - dopytywał się Webster.

- Zamykamy bazy. Dlatego właśnie generał tu przyjechał. Ściągamy sprzęt i personel do Peterson, odbędą się uroczystości. No wiecie, koniec ery i tak dalej.

- Gdzie są te bazy? - chciał wiedzieć McGrath. - Te w Montanie, dokładnie.

Adiutant przyciągnął bliżej mapę i coś sprawdził.

- Najdalej wysunięta na południe ukryta jest na terenach rolniczych, w pobliżu Missouri. Północna w dolinie, jakieś siedemdziesiąt kilometrów od granicy kanadyjskiej, w pobliżu miasteczka Yorke. A co, to jakiś problem?

McGrath wzruszył ramionami.

- Jeszcze nie wiemy.

\* \* \*

Adiutant pokazał im, gdzie dostaną śniadanie, i zostawił, by mogli w spokoju zaczekać na generała. Johnson pojawił się po jajecznicę, lecz przed tostami. Zostawili je zatem nietknięte i wrócili razem do swej salki. Generał nie przypominał eleganckiego mężczyzny, z którym Webster rozmawiał w poniedziałek wieczór. Wczesna godzina i trzydniowe napięcie odjęły mu dziesięć kilo i dodały dwadzieścia lat. Twarz miał bladą, oczy przekrwione, wyglądał jak człowiek stojący w obliczu klęski.

- Co wiemy? - spytał.

- Chyba większość - odparł Webster. - W tej chwili nasze założenie operacyjne brzmi następująco. Pańska córka została porwana przez grupę milicji z Montany. Znamy mniej więcej ich lokalizację, są gdzieś w dolinach na północnym zachodzie.

Johnson przytaknął powoli.

- Odzywali się? - spytał. Webster pokręcił głową.

- Jeszcze nie.

- To jaki mieli powód? Czego chcą? Webster ponownie pokręcił głową.

- Na razie nie wiemy.

- Kim oni są? - nie ustępował generał. McGrath otworzył kopertę.

- Dysponujemy czterema nazwiskami. Trzej z nich to bezpośredni porywacze. Mamy też solidne dowody na to, kto kieruje tą grupą milicji. Niejaki Beau Borken. Słyszał pan kiedyś to nazwisko?

- Borken? - powtórzył Johnson. Pokręcił przecząco głową. - Nic mi to nie mówi.

- W porządku - ciągnął McGrath. - A ten? Nazywa się Peter Bell.

McGrath wręczył Johnsonowi komputerowe zdjęcie Bella za kierownicą lexusa. Johnson przyglądał mu się długo, w końcu uniósł wzrok. - Nie żyje - dodał McGrath. - Nie wrócił do Montany.

- Świetnie - mruknął Johnson.

McGrath podał mu kolejne zdjęcie.

- Steven Stewart?

Johnson tak samo uważnie obejrzał fotografię, pokręcił jednak głową.

- Nigdy go nie widziałem.

- Tony Loder?

Generał wpatrywał się chwilę w twarz Lodera.

- Nie.

- Ci trzej i Borken pochodzą z Kalifornii. Być może uczestniczy w tym jeszcze jeden człowiek, Odell Fowler. Słyszał pan to nazwisko?

Johnson potrząsnął głową.

- I jeszcze ten - dodał McGrath. - Nie wiemy, kim on jest.

Podał generałowi zdjęcie wysokiego mężczyzny. Johnson zerknął na nie, odwrócił wzrok, a potem popatrzył raz jeszcze.

- Zna pan go? - spytał McGrath. Johnson wzruszył ramionami.

- Jest jakby znajomy. Może kiedyś go widziałem.

- Niedawno? Johnson zaprzeczył.

- Nie niedawno. Zapewne bardzo dawno temu.

- Wojskowy? - wtrącił Webster.

- Prawdopodobnie - powtórzył Johnson. - Większość ludzi, których spotykam, to wojskowi.

Jego adiutant pochylił się i spojrział na zdjęcie.

- Mnie z niczym się nie kojarzy - powiedział. - Ale powinniśmy przesłać je faksem do Pentagonu. Jeśli to żołnierz, może gdzieś znajdzie się ktoś, kto z nim służył.

Johnson pokręcił przecząco głową.

- Prześlijcie je do żandarmerii wojskowej. To w końcu przestępca, prawda? Może już wcześniej miał kłopoty, podczas służby. Ktoś na pewno go zapamiętał.

25

Przyszli po niego godzinę po świcie. Drzemał na twardym krześle, z rękami skutymi na kolanach. Joseph Ray, w pełni rozbudzony, pełnił wartę naprzeciwko. Przez większą część nocy Reacher rozmyślał o dynamicie, starym dynamicie pozostawionym w opuszczonej kopalni. Wyobrażał sobie, że trzyma w dłoni laskę dynamitu, czuje jego ciężar. Próbował obliczyć objętość wolnej przestrzeni pomiędzy ścianami pokoju Holly. Wyobrażał ją sobie wypchaną starym dynamitem. Starym dynamitem rozkładającym się, wypacającym nitroglicerynę, niestabilnym. Mniej więcej tona niestabilnego, starego dynamitu otaczająca Holly. Dość trwała, by nie wybuchnąć od zwykłego poruszenia, lecz w razie uderzenia zabłąkanego pocisku artyleryjskiego albo kuli, czy nawet mocnego stuknięcia młotkiem... i Nagle na zewnątrz rozległ się tupot nóg. Grupa ludzi zatrzymała się przed chatą, drzwi otwały się gwałtownie. Reacher odwrócił głowę i ujrzał sześciu strażników. Pierwszy wpadł do środka, pociągnął więźnia za rękę i wywlókł na zewnątrz. Reacher oślepiony blaskiem jasnego, porannego słońca, znalazł się naprzeciw pięciu mężczyzn, ustawionych w szeregu, z uniesionymi pistoletami maszynowymi. Dostrzegł stroje maskujące, brody. Stał tak, mrużąc oczy. Szturchnięciami luf strażnicy wepchnęli go między siebie i ruszyli szybkim krokiem na drugą stronę polany do wąskiej ścieżki prowadzącej w głąb lasu.

Po pięćdziesięciu metrach Reacher ujrzał kolejną polanę. Niewielki, niedokładnie oczyszczony prostokąt. Dwie budowle z sosnowych i cedrowych desek, obie pozbawione okien. Strażnicy zatrzymali go. Pierwszy z nich wskazał kolbą budynek po lewej.

- Chata dowodzenia - oznajmił. Następnie wskazał w prawo.

- Chata kar - dodał. - Tej próbujemy unikać.

Szóstka mężczyzn zaśmiała się z pewnością siebie elitarnego oddziału. Pierwszy strażnik zastukał do drzwi chaty dowodzenia. Odczekał sekundę i otworzył. Pozostali wepchnęli Reachera do środka, wbijając mu lufy w kręgosłup.

W chacie płonęło oślepiające światło. Blask żarówek mieszał się z zielonymi promieniami słońca przenikającymi przez omszały świetlik w dachu. W środku stało proste dębowe biurko i krzesła do kompletu oraz wielkie okrągłe fotele. Reacher oglądał takie w starych filmach opowiadających o

redakcjach gazet i wiejskich bankach. Na ścianach wisiały jedynie flagi -za biurkiem wielka czerwona swastyka, na pozostałych ścianach podobne motywy w czerni i bieli. Do tablicy naprzeciwko przypięto szczegółową mapę stanu Montana. Niewielką, północno-zachodnią część odkreślono grubą, czarną kreską. Na gołej podłodze piętrzyły się stosy broszur i podręczników. Jeden z nich nosił tytuł „Suche nie znaczy niesmaczne” i ponoć uczył konserwować żywność na wypadek oblężenia. Inny instruował partyzantów, jak wykolejać pociągi pasażerskie. W głębi stała błyszcząca mahoniowa biblioteczka, w swej elegancji niepasująca do reszty sprzętów, pełna książek. Smuga światła, padająca z otwartych drzwi, oświetliła płócienne grzbiety i złote tytuły. Standardowe traktaty o sztuce wojny, tłumaczenia z niemieckiego i japońskiego. Cała półka tekstów dotyczących Pearl Harbor. Reacher także je studiował, gdzie indziej i dawno temu.

Stał bez ruchu. Za biurkiem siedział Borken. W blasku żarówek jego włosy wydawały się tak jasne, że wręcz białe. Czarny mundur przybrał odcień szarości. Borken w milczeniu wpatrywał się w więźnia, w końcu gestem wskazał mu fotel, a strażników odesłał na dwór.

Reacher usiadł ciężko. Odczuwał wszechogarniające zmęczenie i ostry ból w żołądku. Smak adrenaliny w ustach. Strażnicy, głośno tupiąc, wymaszerowali na zewnątrz i zamknęli za sobą drzwi. Borken sięgnął na dół, wysunął szufladę biurka, wyjął z niej stary rewolwer i z donośnym brzękiem położył na blacie.

- Podjąłem już decyzję - oznajmił - co do tego, czy będziesz żył, czy umrzesz.

Wskazał ręką stary rewolwer.

- Wiesz, co to jest?

Reacher zerknął na broń i skinął głową.

- Kolt marshall - odparł. Borken przytaknął.

- Jasne jak słońce. To oryginalny kolt marshall z tysiąc osiemset siedemdziesiątego trzeciego roku. Właśnie takiego używała kawaleria Stanów Zjednoczonych. Moja osobista broń.

Podniósł pistolet prawą ręką i zważył w dłoni.

- Wiesz, jaką amunicją strzela? Reacher ponownie skinął głową.

- Czterdziestkamipiątkami - rzekł. - Sześć strzałów.

- Trafiony, zatopiony - rzucił Borken. - Sześć czterdzie-stekpiątek, trzysta metrów na sekundę, z osiemnastocenty-metrowej lufy. Wiesz, co te pociski by z tobą zrobiły?

Reacher wzruszył ramionami.

- Zależy, czyby we mnie trafiły.

Borken przez moment patrzył na niego tępo, potem uśmiechnął się szeroko. Wilgotne usta wygięły się w górę, tłuste policzki niemal całkowicie zasłoniły oczy.

- Trafiłyby - powiedział. - Gdybym to ja strzelał, trafiłyby. Reacher raz jeszcze wzruszył ramionami.

- Z tej odległości, może.

- Z dowolnej odległości, z tej, z piętnastu metrów, pięćdziesięciu. Gdybym to ja strzelał, trafiłyby.

- Podnieś prawą rękę - polecił Reacher.

Borken znów przez moment patrzył na niego nic nie rozumiejącym wzrokiem. Potem odłożył broń i uniósł wielką, białą dłoń. Jakby machał do dalekiego znajomego albo składał przysięgę.

- Bzdura - powiedział Reacher.

- Bzdura? - powtórzył Borken.

- Jasne. To dość celna broń, ale nie najlepsza na świecie. Aby trafić w człowieka z pięćdziesięciu metrów, musiałbyś ćwiczyć jak wariat. A nie ćwiczyłeś.

- Nie? - rzucił Borken.

- Nie - potwierdził Reacher. - Obejrzyj go sobie. Zaprojektowany w latach tysiąc osiemset siedemdziesiątych. Widziałeś stare zdjęcia? W tamtych czasach ludzie byli mniejsi. Drobnii, chudzi faceci, świeży imigranci z Europy. Dzieci czasów głodu. Mali ludzie, małe dłonie. Przyjrzyj się kolbie, mocno zakrzywiona. Stanowczo za mała dla ciebie. Kiedy ty ją chwytasz, twoja dłoń

przypomina kiść bananów. Do tego kolbę zrobiono ze studwudziestoletniego drewna orzechowego, twardego jak gładz, i krawędź i fragment tuż pod kurkiem uderzałyby cię w rękę przy każdym odrzucie. Gdybyś często używał tej broni, miałbyś widoczny z daleka nagniotek między kciukiem i palcem wskazującym. Ale go nie masz, więc nie mów, że ćwiczyłeś z tą bronią, i nie mów, że strzelasz celnie bez ćwiczenia.

Borken przyglądał mu się przenikliwie, potem się uśmiechnął. Wilgotne wargi rozchyliły się lekko, oczy zmieniły się w wąskie szparki. Otworzył drugą szufladę i wyciągnął kolejną broń, sig-sauera dziewięć milimetrów, liczącego jakieś pięć lat, używanego, lecz w doskonałym stanie. Wielka, kanciasta kolba przeznaczona dla wielkiej dłoni.

- Skłamałem - wyznał. - To jest moja osobista broń. I wiem coś jeszcze. Wiem, że podjąłem właściwą decyzję.

Zawiesił głos, czekając, by Reacher spytał, jaka to decyzja. Reacher jednak milczał, zaciskając usta. Nie zamierzał pytać o nic, nawet gdyby miało to być ostatnie zdanie, jakie wypowie w życiu.

- Jesteśmy tu bardzo poważni - oznajmił Borken. - Śmiertelnie poważni. To nie zabawa i postępujemy słusznie.

Znów urwał, dając Reacherowi szansę pytania, co właściwie robią. Ale Reacher się nie odezwał. Siedział, patrząc w przestrzeń.

- Ameryką rządzą despoty. Dyktatorzy kontrolowani zza granicy przez naszych wrogów. Nasz obecny prezydent to członek rządu światowego, który w sekrecie kieruje naszym życiem. System federalny stanowi jedynie zasłonę dymną. W istocie chodzi o całkowitą kontrolę. Zamierzają nas rozbroić i zniewolić. Już zaczęli, powiedzmy to sobie otwarcie.

Urwał, znów podniósł stary rewolwer. Reacher ujrzał, jak sprawdza swój uchwyt na kolbie. Poczł charyzmę tego człowieka. Coś kazało mu słuchać owego miękkiego, hipnotycznego głosu.

- Stosują dwie podstawowe metody - powiedział Borken. - Pierwsza to próba rozbrojenia ludności cywilnej. Druga poprawka gwarantuje nam prawo do posiadania broni, oni jednak zamierzają ją zmienić. Prawna kontrola, cała ta gadanina o przestępczości, zabójstwach, wojnach gangów. Wszystko to służy rozbrojeniu zwykłych ludzi, takich jak ty i ja. A gdy już nas rozbroją, będą z nami mogli robić, co tylko zechcą, prawda? Dlatego właśnie ten punkt znalazł się w konstytucji. Nasi przodkowie byli mądrzy. Wiedzieli, że rząd można kontrolować tylko wtedy, gdy umożliwi się ludziom pokonanie go zbrojnie.

Urwał. Reacher wpatrywał się w wiszącą nad jego głową swastykę.

- Druga metoda to zniszczenie drobnej przedsiębiorczości. To moja osobista teoria, nie słyszy się o tym w ruchu. Ale ja zorientowałem się, co się święci. Dzięki temu lepiej rozumiem sytuację.

Odczekał chwilę, lecz Reacher nadal milczał, odwracając wzrok.

- To przecież oczywiste - podjął Borken. - Rząd światowy to w gruncie rzeczy rząd komunistyczny. Nie życzy sobie silnego sektora drobnej przedsiębiorczości, a to właśnie można znaleźć w Ameryce. Miliony ludzi, ciężko pracujących i zarabiających na życie. Zbyt wielu, by można ich było, ot tak, po prostu wymordować. Trzeba zatem zmniejszyć ich liczbę. Rządowi federalnemu polecono zniszczyć drobnych przedsiębiorców. Władze wprowadziły najróżniejsze przepisy, podatki, prawa rujnujące i ograniczające rynek, mające rzucić właścicieli firm na kolana. Następnie polecili bankom podsuwać atrakcyjne kredyty, a gdy tylko atrament na umowach wysechł, zaczęli podnosić oprocentowanie i znów ograniczać rynek, i tak do chwili, gdy tamci się w końcu poddadzą i ogłoszą bankructwo. Wtedy odbierają im majątki. Jeden kandydat do krematorium mniej, gdy nadejdzie czas.

Reacher zerknął na niego, milczał.

- Wierz mi - rzekł Borken - to jak wcześniejsze rozwiązanie problemu pozbywania się ciał. Jeśli teraz zniszczą klasę średnią, nie będą musieli budować aż tylu obozów koncentracyjnych.

Reacher patrzył mu prosto w oczy, zupełnie jakby spoglądał w jaskrawe światło. Tłuste, czerwone wargi rozciągnęły się w pobłażliwym uśmiechu.

- Mówiłem już, rozumiemy to znacznie lepiej niż inni. Przewidzieliśmy, że tak się stanie. Po co innego powstał Bank Rezerw Federalnych? To klucz do wszystkiego. Ameryka była krajem zbudowanym na fundamencie przedsiębiorczości. Kiedy kontroluje się przedsiębiorców, kontroluje się cały kraj. Jak można ich kontrolować? Przez banki. A banki? Należy stworzyć bzdurny system rezerw federalnych, wydawać im polecenia. Oto klucz. Rząd światowy kieruje wszystkim poprzez Bank Rezerw. Widziałem, jak to jest.

Oczy miał szeroko otwarte, błyszczące, bezbarwne.

- Widziałem, co zrobili z moim ojcem! - krzyknął. - Niech spoczywa w spokoju. To oni doprowadzili go do bankructwa.

Reacher odwrócił wzrok. Wzruszył ramionami, spoglądając w kąt pomieszczenia. Milczał. Próbował w pamięci odtworzyć kolejność tytułów książek w pięknej mahoniowej bibliotece Borkena. Sztuka wojenna, od starożytnych Chin przez Włochy okresu renesansu aż po Pearl Harbor. Skupił się na tytułach, próbując oprzeć się charyzmie Borkena.

- Poważnie podchodzimy do sprawy - ciągnął Borken. - Być może patrzysz na mnie i myślisz, że jestem despotą, przywódcą kultu czy kimś takim. Świat chętnie przylepiłby mi podobną etykietkę. Ale nie. Jestem dobrym przywódcą, temu nie zaprzeczę. Natchnionym. Możesz mnie nazwać inteligentnym, byстрыm, nie będę się spierał. Ale nie muszę taki być, moi ludzie nie potrzebują zachęty, nie potrzebują kierownictwa. Potrzebują wskazówek i dyscypliny. Nie daj się jednak zwieść, nikogo nie zmuszam. Nie popełnij podstawowego błędu, nie doceniając ich determinacji, pragnienia zmian na lepsze.

Reacher milczał. Wciąż koncentrował myśli na książkach, przeglądając w pamięci wydarzenia grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku oglądane z punktu widzenia Japończyków.

- Nie jesteśmy przestępcami - mówił Borken. - Kiedy rząd schodzi na złą drogę, tylko najlepsi mają dość odwagi, by mu się przeciwstawić. A może sądzisz, że powinniśmy jak owce dać się powieść na rzeź.

Reacher zaryzykował kolejne spojrzenie, więcej, odezwał się.

- Jesteście dość wybredni - zauważył - jeśli chodzi o to, kogo przyjąć.

Borken wzruszył ramionami.

- Swoją trzyma się swego - odparł. - Tak przecież działa natura. Czarni ludzie mają do dyspozycji całą Afrykę, biali ten kraj.

- A żydowscy dentyści? - spytał Reacher. - Gdzie jest ich miejsce?

Borken ponownie wzruszył ramionami.

- To był błąd - przyznał. - Loder powinien był zaczekać, aż tamten się oddali. Ale błędy się zdarzają.

- Powinien też był zaczekać, aż ja się oddalę - dodał Reacher.

Borken przytaknął.

- Zgadza się - rzekł. - Dla ciebie tak byłoby lepiej. Ale tego nie zrobił i oto tu jesteś.

- Tylko dlatego, że jestem biały?

- Nie lekceważ tego - odparł Borken. - Białym nie pozostało już zbyt wiele praw.

Reacher spojrzał na niego, rozejrzał się po jasnym, przepelnionym nienawiścią pomieszczeniu.

- Zgłębiałem zjawisko tyranii - oznajmił Borken - i to, jak z nią walczyć. Pierwsza zasada brzmi: należy podjąć decyzję, żyć wolno czy umrzeć, i trzymać się jej. Żyć wolno albo umrzeć. Druga zasada: nie dać sobą kierować, podnieść głowę, stawić opór, stworzyć system, nauczyć się go nienawidzić, a potem zacząć działać. Ale jak? Odważni ludzie podejmują walkę z wrogiem, odpierają ataki. Zgadza się?

Reacher wzruszył ramionami, nie odpowiedział.

- Odważni ludzie odpowiadają atakiem na atak - ciągnął Borken. - Lecz ci, którym oprócz odwagi nie brak sprytu, zachowują się inaczej. Oni atakują pierwsi, z wyprzedzeniem, zadają pierwszy cios. Uderzają w chwili, gdy wróg niczego się nie spodziewa, w miejsce, gdzie czuje się

bezpieczny. To właśnie tu robimy. Zadajemy pierwszy cios. To ich wojna, ale my zaatakujemy pierwsi. Dostaną to, czego nie oczekują. Zniweczymy ich plany.

Reacher zerknął na biblioteczkę. Pięć tysięcy stron klasycznych tekstów, a wszystkie powtarzały to samo. Nie rób tego, czego po tobie oczekują.

- Idź, spójrz na mapę - polecił Borken.

Reacher wysunął przed siebie skute rękę i dźwignął się niezgrabnie z fotela. Podszedł do mapy Montany. W lewym górnym rogu dostrzegł Yorke, w samym środku zakreślonego na czarno fragmentu. Sprawdził skalę, przyjrzał się odcieniom i granicom. Rzeka, o której wspominał Joseph Ray, leżała pięćdziesiąt kilometrów na zachód, po drugiej stronie wysokich gór. Gruba, niebieska kreska biegnąca w dół mapy. Na północy pokazano olbrzymie brązowe szczyty, aż do Kanady. Jedyna droga biegła na północ przez Yorke i kończyła się w opuszczonej kopalni. Przez gęsty las na wschodzie prowadziło kilka krętych ścieżek. Na północy linie łączyły się, pokazując olbrzymi wąwóz ciągnący się ze wschodu na zachód.

- Obejrzyj ten teren, Reacher. Co ci to mówi?

Reacher posłuchał. Mapa mówiła wyraźnie, że nie zdoła się wydostać. Nie pieszo, nie z Holly. Na wschodzie i północy pustkowia, których przemierzenie wymaga tygodni ciężkiego marszu. Na zachodzie i południu naturalne bariery. Teren czynił z tego miejsca lepsze więzienie, niż mogłyby to sprawić druty kolczaste czy pola minowe. Kiedyś, po głą-sności, Reacher trafił na Syberię, gdzie sprawdzał stare opowieści o zaginionych w akcji żołnierzach z czasów wojny w Korei. Gułagi były zupełnie otwarte, bez drutów, bez parkanów. Spytał gospodarzy, gdzie są ogrodzenia. Rosjanie wskazali mu kilometry śnieżnych pustkowi i odparli: to są ogrodzenia, nie ma dokąd uciec. Ponownie spojrzął na mapę. Teren stanowił barierę. Ucieczka wymagałaby zdobycia pojazdu i mnóstwa szczęścia.

- Nie mogą się tu dostać - oznajmił Borken. - Jesteśmy nieosiągalni, nie zdołają nas powstrzymać i nie mogą. Byłoby to prawdziwie dziejowym kataklizmem. Przypuśćmy, że „czerwone kurtki” w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym roku położyłyby kres rewolucji amerykańskiej.

Reacher rozejrzał się po ciasnym, drewnianym pomieszczeniu i zadrzał.

- To nie jest rewolucja amerykańska.

- Czyżby? - spytał Borken. - A czym się różni? Oni pragnęli wolności, pragnęli wyrwać się spod rządów tyranów. My także.

- Jesteście mordercami - przypomniał Reacher.

- Tamci z tysiąc siedemset siedemdziesiątego szóstego roku również - odparował Borken. - Zabijali ludzi. System nazwał to morderstwem. - Jesteście rasistami - upierał się Reacher.

- Tak samo było w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym. Jefferson i jego niewolnicy. Oni wiedzieli, że czarni są niższą rasą. Wtedy byli dokładnie tacy sami jak my, ale później stali się nowymi „czerwonymi kurtkami”. Powoli, z upływem czasu. Teraz musimy przywrócić dawne zasady. Żyć wolno bądź umrzeć, Reacher. To szlachetny cel. Zawsze był szlachetny, nie sądzisz?

Pochylił się naprzód. Jego masywne ciało wspierało się ciężko o dębowy blat. Ręce miał uniesione, bezbarwne oczy lśniły.

- Lecz w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym popełnili kilka błędów. Studiowałem historię. Gdyby obie strony zachowały się rozsądnie, można było uniknąć wojny. A wojny zawsze należy unikać. Zgodzisz się chyba?

Reacher wzruszył ramionami.

- Niekoniecznie.

- Cóż, ty pomożesz nam jej uniknąć. Tak właśnie brzmi moja decyzja. Zostaniesz moim wysłannikiem.

- Twoim czym?

- Jesteś niezależny - powiedział Borken. - Nie jesteś jednym z nas, nie masz w tym żadnego interesu. Amerykanin taki jak oni, wzorowy obywatel, bez wyroków. Inteligentny, bystry człowiek. Zauważasz mnóstwo rzeczy, posłuchają cię.



- Co takiego?

- Jesteśmy tu dobrze zorganizowani, gotowi do przyjęcia państwowości. Musisz to zrozumieć. Mamy własną armię, skarbiec, rezerwy finansowe, system prawny, demokrację. Dziś jeszcze pokażę ci to wszystko. Pokażę ci społeczeństwo gotowe do osiągnięcia niepodległości, gotowe, by żyć wolno bądź umrzeć. Zaledwie dzień dzieli nas od tego celu. A potem odeślę cię na południe, do Ameryki. Powiesz im, jak mocna jest nasza pozycja, jak beznadziejne ich starania. Reacher patrzył na niego bez słowa.

- I powiesz im też o Holly - dodał cicho Borken. - Zamkniętej w jej specjalnym pokoju. Powiesz o mej tajnej broni, mojej polisie ubezpieczeniowej.

- Jesteś szalony - odparł Reacher.

W chacie zapadała cisza, porażająca cisza.

- Dlaczego? - szepnął Borken. - Czemu jestem szalony?

Powiedz.

- Nie myślisz logicznie - wyjaśnił Reacher. - Nie rozumiesz? Holly się nie liczy. Prezydent w jednej chwili może zastąpić Johnsona kimś innym. Zmiażdżą cię jak robaka, a Holly będzie tylko jeszcze jedną ofiarą. Powinieneś odesłać ją razem ze mną.

Borken z radosnym uśmiechem pokręcił olbrzymią głową.

- Nie - oznajmił. - To się nie stanie. Holly jest czymś więcej niż tylko córką swojego ojca. Nie mówiła ci o tym?

Reacher patrzył na niego. Borken zerknął na zegarek.

- Czas ruszać - rzekł. - Czas, byś obejrzał nasz system prawny w działaniu.

\* \* \*

Holly usłyszała ciche kroki za drzwiami i zsunęła się z łóżka. Szczęknął zamek. Do środka wszedł ostrożnie młody żołnierz z blizną na czole. Unosił palec do ust. Holly przytaknęła, pokiwała do łazienki i odkręciła prysznic. Krople wody zaczęły bębnić hałaśliwie w metalową wannę. Młody żołnierz podążył za nią i zamknął drzwi.

- Możemy robić to tylko raz dziennie - szepnęła Holly. - Jeśli zbyt często usłyszą prysznic, zaczną coś podejrzewać.

- Jej towarzysz skinął głową.

- Uciekniemy dziś wieczór - rzekł. - Rano nie da rady. Wszyscy pełnimy służbę na procesie Lodera. Przyjdę po zmierzchu, będę miał dżipa. Uciekniemy w ciemności na południe. Ryzykowne, ale się uda.

- Nie bez Reachera - oznajmiła Holly. Młody człowiek pokręcił głową.

- Tego nie mogę obiecać. Jest teraz u Borkena, Bóg wie, co się z nim stanie.

- Nie ucieknę bez niego - upierała się Holly. Rozmówca spojrział na nią nerwowo.

- Dobra - powiedział. - Spróbuję.

Otworzył łazienkę i wykradł się na zewnątrz. Holly odprowadziła go wzrokiem, zakręciła prysznic. Długo patrzyła w stronę drzwi.

\*\*\*

Tym razem wybrał dłuższą trasę na północ i zachód, zatoczył pętlę. Podobnie w drodze powrotnej przez las. Wartownik, którego Fowler ukrył wśród drzew pięć metrów od ścieżki, nawet go nie dostrzegł, natomiast ten głębiej w lesie, owszem. Kątem oka zauważył mundur maskujący wśród zarośli. Odwrócił się szybko, ale za późno, by rozpoznać twarz. Wzruszył ramionami, zastanawiając się chwilę. W końcu postanowił, że zachowa to dla siebie. Lepiej zignorować wszystko, niż zameldować, że nie zdołał rozpoznać intruza. > I tak młody człowiek z blizną pokonał szybkim krokiem resztę trasy i znalazł się z powrotem w swej chacie, dwie minuty przedtem, nim miał odeskortować swego dowódcę na \$» przesłuchanie.

W blasku dnia budynek sądu na południowo-wschodnim skraju opuszczonej osady Yorke wyglądał tak samo jak setka innych, które Reacher oglądał w małych amerykańskich miastach. Zbudowany na początku wieku, duży, biały, ozdobny, z kolumnami. Dostatecznie solidny, by nie brakło mu stosownej powagi, lecz jednocześnie dość lekki, aby zachować urodę. Z dachu budynku wyrastała elegancka wieżyczka z pięknym zegarem, prawdopodobnie opłaconym z publicznej zbiórki dawno zapomnianego pokolenia. Ona także niezbyt różniła się od innych. Miała jednak bardziej stromy dach i była nieco cięższa. Zapewne tak właśnie buduje się w północnej Montanie. Na tym dachu przez całą zimę mogły spoczywać setki ton śniegu.

Teraz jednak był poranek trzeciego lipca i na dachu nie pozostał nawet ślad śniegu. Po półtorakilometrowym marszu w rannym słońcu Reacher nieco się zgrzał. Borken poszedł samotnie przodem. Reachera podczas marszu przez las otaczała ta sama szóstka strażników. Nie zdjęto mu kajdanek. Razem pokonali stopnie wiodące do budynku i weszli do środka. Cały parter stanowiła jedna wielka sala podzielona jedynie kolumnami dźwigającymi pierwsze piętro. Ściany pokryto szerokimi, gładkimi deskami z wielkich sosnowych pni. Wiekowe drewno pociemniało ze starości i od stałego czyszczenia, a cała boazeria sprawiała wrażenie prostej i surowej. Nie dostrzegł żadnych wolnych miejsc. Na wszystkich ławkach tłoczyli się ludzie. Wszędzie morze zielonych mundurów maskujących. Mężczyźni i kobiety siedzieli sztywno wyprostowani, między kolanami trzymali idealnie pionowo karabiny. Czekali. Zauważył też dzieci, milczące, oszołomione. Reachera poprowadzono naprzód, do osobnego stołu. Czekał tam już Fowler wraz ze Steviem. Gestem wskazał krzesło, Reacher usiadł, strażnicy stanęli za jego plecami. Minutę później podwójne drzwi otwały się szeroko i do środka wmaszerował Beau Borken, kierując się do ławy sędziowskiej. Stara podłoga trzeszczała pod jego ciężarem. Wszyscy obecni, prócz Reachera, wstali, stanęli na baczność i zaszalutowali jak na niesłyszalny rozkaz. Borken wciąż miał na sobie czarny mundur, pas, wysokie buty. Dodał do niego jedynie kburę z sig-sauerem. W dłoni trzymał cienką, oprawną w skórę książkę. Towarzyszyło mu sześciu uzbrojonych mężczyzn idących w luźnej formacji. Zajęli miejsca przed ławą i wyprężyli się sztywno na baczność, patrząc naprzód tępym wzrokiem. Ludzie znów usiedli. Reacher zerknął w górę, na sufit, zastanawiając się, gdzie jest południowo-wschodni narożnik. Drzwi otwały się ponownie, tłum wstrzymał oddech. Do sali wepchnięto Lodera. Otaczało go sześciu strażników. Popychany więzień został doprowadzony do stołu naprzeciw Fowlera. Stołu oskarżonego. Strażnicy stanęli za plecami Lodera i zmusili go, by zajął miejsce, kładąc mu dłonie na ramionach. Twarz miał bladą, przerażoną. Pokrywała ją zaschnięta krew ze złamanego nosa i pękniętych warg. Borken spojrział na niego i usiadł ciężko w fotelu sędziego, kładąc wielkie ręce na stole dłońmi do góry. Rozejrzał się po cichej sali i przemówił.

- Wszyscy wiemy, dlaczego tu jesteśmy. \* \* \*

Holly czuła, że w pomieszczeniu pod nią zebrał się wielki tłum, czuła ciche drżenie wielkiej grupy ludzi czekających w napięciu. Nie przestała jednak pracować. Nie miała powodów sądzić, że agent FBI zawiedzie, ale mimo wszystko zamierzała się przygotować. Na wszelki wypadek.

Poszukiwania narzędzia doprowadziły ją w końcu do tego, które przywiozła ze sobą - metalowej kuli. Dwuipółcenty-metrowa aluminiowa rura z uchwytem i oparciem na łokieć. Rura była za szeroka, a metal za miękki, by sprawdzić się w roli łomu. Holly jednak uświadomiła sobie, że gdyby zdjęła gumową końcówkę, otwarty koniec rurki mógłby posłużyć za prowizoryczny klucz. Może zdołałaby przygiąć go do kształtu śrub, którymi skręceno łóżko, a następnie zgiąć w pół całą kulę i otrzymać potrzebne narzędzie.

Najpierw jednak musiała zdrapać grubą warstwę farby pokrywającą śruby. Gładka i śliska, dodatkowo mocowała je do ramy łóżka. Holly zaczęła zdierać górne warstwy ostrą krawędzią uchwytu oparcia pod łokieć. Drapała w miejscach łączeń, aż ujrzała błyszczący metal. Wpadła na nowy pomysł. Zaczęła kuśtykać między pokojem a łazienką, nosząc w rękach ręcznik namoczony w gorącej wodzie. Przyciskała go mocno do śrub, pozwalając, by pod wpływem gorąca metal rozszerzył się i zaczął potrzaskiwać. Może w takiej sytuacji miękkie aluminium kuli okaże się na

tyle mocne, by  
wykonać swe zadanie.

\* \* \*

- Lekkomysłne narażenie misji - oznajmił Beau Borken.

Głos miał niski, hipnotyczny. W pokoju zapadła cisza. Strażnicy przed stołem sędziowskim patrzyli naprzód, strażnik z tyłu spoglądał na Reachera. Był to młody człowiek o krótko przyszyżonej brodzie i czole przeciętym blizną. Reacher widział go poprzedniej nocy obok Lodera. Teraz tamten przyglądał mu się ciekawie.

Borken uniósł cienki tomik w skórzanej oprawie i powoli zakreślił nim w powietrzu łuk, z lewa na prawo, jakby trzymał w dłoni reflektor i pragnął omieść jasnym światłem całą salę.

- Konstytucja Stanów Zjednoczonych - rzekł. - Często brutalnie nadużywana, nadal jednak pozostaje największym traktatem politycznym w dziejach ludzkości. Wzorem dla naszej konstytucji.

Zaczął przewracać kartki. W ciszy szelest papieru wydawał się bardzo głośny. W końcu Borken zaczął czytać.

- Ustawa praw obywatelskich. Piąta poprawka głosi, że nikogo nie można oskarżyć o zbrodnię zagrożoną karą główną bez obecności ławy przysięgłych, chyba że w razie zagrożenia wojennego w sądach polowych. Piąta poprawka głosi, że nikogo nie można pozbawić życia bądź wolności bez sprawiedliwego procesu. Szósta dodaje, że oskarżony ma prawo do szybkiego publicznego procesu przed miejscową ławą przysięgłych. Ma też prawo do zasięgnięcia porady.

Borken wstał, rozejrzał się po sali, uniósł książkę.

- Ta książka mówi nam, jak postępować. Potrzebujemy zatem ławy przysięgłych. Nie piszą tu, jak licznej. Uważam, że trzy osoby wystarczą. Ochotnicy?

W powietrze wzniósł się las rąk. Borken wskazał losowo trzy osoby. Trzej mężczyźni wystąpili naprzód, oparli o ścianę karabiny i zajęli miejsca przysięgłych. Borken obrócił się w fotelu i przemówił do nich.

- Panowie, to sprawa militarna w czasach zagrożenia publicznego. Zgadzą się?

Przysięgli przytaknęli. Borken odwrócił się i popatrzył na siedzącego samotnie Lodera.

- Zapewniono ci poradę? - spytał. - Proponujesz mi prawnika?

Głos Lodera brzmiał ochryple, nosowo. Borken pokręcił głową.

- Nie mamy tu prawników. Prawnicy to najgorsza rzecz, jaka spotkała resztę Ameryki. Nie potrzebujemy ich tutaj, nie chcemy. Prawa obywatelskie nie mówią nic o prawnikach, tylko o poradzie. Porada czyli rada. Tak głosi słownik. Dostałeś już radę, potrzebujesz jej?

- A masz dla mnie jakąś? - spytał Loder. Borken przytaknął, uśmiechnął się lodowato.

- Przyznaj się do winy.

Loder jedynie pokręcił głową, spuścił wzrok.

- Dobrze - rzekł Borken. - Zapewniono ci radę, ale nie zamierzasz się przyznać.

Loder przytaknął, Borken ponownie zajrzał do książki. Wrócił do początku.

- Deklaracja niepodległości. Naród ma prawo zmieniać bądź odwołać stary rząd i stworzyć nowy w takiej postaci, jaka zapewni mu szczęście i bezpieczeństwo.

Urwał, przebiegł wzrokiem po twarzach tłumu.

- Wszyscy rozumiecie, co to znaczy? - spytał. - Stare prawa odeszły, teraz mamy nowe. Nowe zasady postępowania. Odrzucamy dwieście lat błędów, wracamy do początku. To pierwsza rozprawa wedle nowych zasad. Lepszych zasad. Zasad bliższych prawdziwemu prawu. Wolno nam to uczynić. Postępujemy słusznie.

W tłumie rozległy się szepty. Reacher nie dosłyszał w nich ani śladu niezadowolenia. Borken zahipnotyzował wszystkich słuchaczy, którzy kąpali się w jego blasku niczym gady w promieniach słońca. Skinął głową na Fowlera, który wstał i odwrócił się do przysięgłych.

- Oto fakty - oznajmił. - Dowódca wysłał Lodera z bardzo ważną misją dotyczącą naszej

przyszłości. Loder spisał się źle. Nie było go zaledwie pięć dni, lecz w tym czasie popełnił pięć poważnych błędów. Błędów, które mogły zniweczyć cały plan. A dokładniej, pozostawił ślad, paląc dwa samochody. Następnie źle wyliczył czas dwóch operacji i porwał dodatkowo dwóch cywilów. A w końcu pozwolił, by Peter Bell zdezerterował. Pięć poważnych błędów.

Fowler zawiesił głos. Reacher spojrział na niego z napięciem.

- Wzywam świadka - rzekł Fowler. - Stevie Stewart.

Mały Stevie wstał szybko. Fowler skinieniem głowy wskazał mu stare miejsce dla świadków, nieco poniżej ławy sędziowskiej. Borken pochylił się naprzód, wręczył Steviemu czarną książkę. Reacher nie widział jej tytułu, lecz z pewnością nie była to Biblia. Chyba że ktoś zaczął wydawać Biblie ze swastykami na okładce.

- Przysięgasz mówić prawdę? - spytał Borken. Stevie przytaknął.

- Tak, proszę pana.

Odłożył książkę i odwrócił się do Fowlera, gotów na pierwsze pytanie.

- Pięć błędów, które wymieniłem - rzekł Fowler. - Widziałeś, jak Loder je popełniał?

Stevie ponownie skinął głową.

- Tak - powiedział.

- Był za nie odpowiedzialny?

- Jasne. Cały czas odgrywał wielkiego szefa.

Fowler polecił Steviemu wrócić na miejsce. W sali zapadła cisza. Borken uśmiechnął się do przysięgłych, zerkając na Lodera.

- Masz coś na swoją obronę? - spytał cicho.

Sposób, w jaki to powiedział, jasno dawał do zrozumienia, że nawet myśl, iż ktoś mógłby próbować bronić się przed podobnymi zarzutami, jest absurdalna. Tłum milczał. Czekał. Borken obserwował zebranych. Wszystkie pary oczu wpatrywały się w tył głowy Lodera.

- Masz coś na swoją obronę? - spytał znowu Borken. Loder patrzył wprost przed siebie, nie odpowiedział. Borken zwrócił się w stronę przysięgłych, spojrział na trzech mężczyzn siedzących na starych, wytartych ławach. W jego wzroku kryło się pytanie. Przez moment naradzali się szeptem. Potem pierwszy z lewej wstał.

- Winny - oznajmił. - Z całą pewnością winny. Borken z satysfakcją skinął głową.

- Dziękuję, panowie - rzekł.

Tłum zaszemrał. Borken uciszył go wzrokiem.

- Teraz muszę wydać wyrok - oznajmił. - Jak wielu z was wie, Loder to mój stary znajomy. Znamy się od dawna. Przyjaźniliśmy się w dzieciństwie. A przyjaźń wiele dla mnie znaczy.

Zawiesił głos i spojrział w dół na Lodera.

- Lecz inne rzeczy znaczą jeszcze więcej - dodał. - Właściwe wykonywanie obowiązków. Moja odpowiedzialność wobec nowo powstającego narodu. Czasami musi ona stać wyżej niż inne wartości drogie naszemu sercu.

Zebrani milczeli, wstrzymywali oddech. Borken długą chwilę siedział bez ruchu. W końcu zerknął nad głowę Lodera na strażników i uczynił nieznaczny gest. Strażnicy chwycili Lodera za łokcie i dźwignęli z miejsca. Ustawieni w ciasny krąg, wyprowadzili skazańca z sali. Borken wstał, powiódł wzrokiem po tłumie. Potem odwrócił się, podszedł do drzwi i zniknął. Zebrani zaszurali nogami i pospieszyli za nim.

Reacher ujrzał, jak strażnicy prowadzą Lodera w stronę masztu na trawniku przed sądem. Borken maszerował za nimi. Strażnicy dotarli na miejsce, mocno pchnęli Lodera twarzą do masztu. Pociągnęli go za ręce tak, że przywarł do pala, obejmując go, z twarzą wtuloną w brudnobiałą farbę. Borken stanął za nim, wyjął z kabury sig-sauera, odbezpieczył, wsunął nabój do komory. Wepchnął lufę w kark Lodera i wystrzelił. W powietrzu uniosła się chmura różowej krwi. Donośny huk strzału odbił się echem od pobliskich gór.

Nazywa się Jack Reacher - oznajmił Webster. - To był dobry pomysł, generale - odezwał się McGrath. - Chyba faktycznie go pamiętali.

);! Johnson przytaknął. - Żandarmeria wojskowa ma świetne archiwa. Nadal przebywali w zaanektowanym przez nich pomieszczeniu w bazie sił powietrznych Peterson. Była dziesiąta rano w czwartek, trzeciego lipca. Z faksu wysuwała się właśnie długa odpowiedź na ich pytanie. W archiwum natychmiast rozpoznano twarz na fotografii. Z faksu wypływała długa historia służby, wprost z komputera w Pentagonie.

- Teraz go pan sobie przypomina? - spytał Brogan.

- Reachera? - powtórzył Johnson. - Nie wiem. Co zrobił?

Webster i adiutant generała tłoczyli się przy faksie, czytając na bieżąco przesyłany tekst. Przekreślili go właściwą stroną do góry i oddalali się powoli, by papierowa wstęga nie opadała na ziemię.

- Co zrobił? - spytał z naciskiem McGrath.

- Nic - odparł Webster.

- Nic? - upewnił się McGrath. - Dlaczego mającego akta, skoro niczego nie zrobił?

- Był jednym z nich - wyjaśnił Webster. - Major Jack Reacher, żandarmeria wojskowa.

Adiutant przebiegał wzrokiem przez długą wstęgę papieru.

- Srebrna Gwiazda - odczytał. - Dwie brązowe, Purpurowe Serce, wspaniała przeszłość, generale. Na miłość boską, to bohater.

McGrath otworzył swą kopertę i wyjął oryginalne zdjęcia z porwania, czarno-białe, niepowiększone, ziarniste. Wybrał pierwsze, na którym widać było Reachera. Chwytał właśnie kulę Holly i wrywał jej pranie. McGrath przesunął zdjęcie po stole.

- Niezły bohater.

Johnson nachylił się nad fotografią. McGrath dołączył do niej następną, na której Reacher ścisnął rękę Holly, zatrzymując ją w ciasnym kręgu napastników. Johnson uniósł zdjęcie, wpatrywał się w nie długo. McGrath nie był pewien, czy patrzy na Reachera, czy na córkę.

- Trzydzieści siedem lat - czytał adiutant generała. - Zrezygnował ze służby czternaście miesięcy temu. West Point, trzynast lat służby, bohaterskie czyny w Bejrucie, na samym początku. Generale, dziesięć lat temu wręczył mu pan Brązową Gwiazdę. Wspaniały przebieg służby. To jedyny żołnierz spoza piechoty morskiej w dziejach, który wygrał Wimbledon.

Webster uniósł wzrok.

- W tenisa? - spytał. Adiutant uśmiechnął się lekko.

- Nie ten Wimbledon - wyjaśnił. - Inny. Szkoła snajperów piechoty morskiej organizuje co roku konkurs. Puchar Wimbledonu. Konkurs snajperów, otwarty dla wszystkich, ale zawsze wygrywa go jakiś marines. Oprócz jednego razu, gdy zwyciężył Reacher.

- Czemu zatem nie służył jako snajper? - spytał McGrath.

Adiutant wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Widzę tu mnóstwo zagadek. Na przykład, czemu w ogóle odszedł ze służby. Ktoś taki powinien dotrzeć na sam szczyt.

Johnson trzymał zdjęcia w obu rękach i przyglądał im się uważnie.

- Dlaczego więc odszedł? - spytał Brogan. - Miał jakieś kłopoty?

Adiutant pokręcił głową, przebiegł wzrokiem wydruk.

- Tu nic nie ma, żadnych powodów. Mieliśmy wtedy cięcia budżetowe, ale zamierzaliśmy się pozbyć tych najgorszych, nie kogoś takiego.

Johnson przełożył fotografie, jakby szukał w nich czegoś nowego.

- Czy ktokolwiek dobrze go znał? - wtrącił Milošević. - Ktoś, z kim moglibyśmy porozmawiać?

- Możemy odszukać jego dawnego dowódcę - odparł adiutant. - Ale to może zabrać nawet dzień.

- Zróbcie to - polecił Webster. - Potrzebujemy informacji. Wszystko może się przydać.

Johnson odłożył zdjęcia i oddał je McGrathowi.

- Musiał zejść na złą drogę - rzekł. - Czasami to się zdarza. Dobrzy ludzie stają się źli. Sam to widziałem. To ogromny problem.

McGrath odwrócił leżące na blacie zdjęcie i spojrzał na nie.

- Nie żartuje pan. Johnson popatrzył na niego.

- Mogę zatrzymać to jedno? - spytał. - Pierwsze? McGrath pokręcił głową.

- Nie - uciął. - Jeśli chce pan mieć zdjęcie, sam je dla pana zrobię. Będzie pan- na nim z córką przed nagrobkiem z nazwiskiem tego dupka.

27

Czterej ludzie odciągali na bok zwłoki Lodera. Tłum rozchodził się w milczeniu. Reacher pozostał na stopniach sądu jedynie w towarzystwie sześciu strażników i Fowlera. Fowler w końcu rozpiął mu kajdanki. Reacher poruszał rękami, przeciągał się. Był skuty całą noc i rano. Zesztywniałe mięśnie bolały. Na przegubach pozostały czerwone ślady w miejscach, gdzie wpijał się w nie twardy metal.

- Papierosa? - spytał Fowler.

Wyciągnął ku niemu paczkę w przyjaznym geście. Reacher pokręcił głową.

- Chcę się widzieć z Holly - rzekł.

Fowler już miał odmówić. Zastanowił się jednak i przytaknął.

- Zgoda, dobry pomysł. Zabierz ją na spacer, porozmawiaj, spytaj, jak ją traktujemy. Z pewnością cię o to zapytają, to dla nich bardzo ważne. Nie chcemy, żeby odnieśli mylne wrażenie.

Reacher czekał na dole schodów. Słońce poblądło, jego promienie osłabły. Na północy z ziemi wznosiły się smużki mgły. Lecz część nieba pozostała jasna i błękitna. Po pięciu minutach Fowler przyprowadził Holly. Szła wolno, w miarowym rytmie. Każdemu stąpięciu zdrowej nogi towarzyszył stukot kuli. Tuż za drzwiami zatrzymała się na szczycie schodów.

- Jedno pytanie, Reacher - zawołał Fowler. - Jak daleko zdołasz uciec w pół godziny, dźwigając na plecach sześćdziesiąt kilo?

Reacher wzruszył ramionami.

- Pewnie nie dość daleko. Fowler przytaknął.

- Zgadza się, nie dość daleko. Jeśli nie będzie jej tutaj za pół godziny, zaczniemy was szukać, w promieniu trzech i pół kilometra.

Reacher zastanowił się, skinął głową. W pół godziny, dźwigając na plecach sześćdziesiąt kilo, zdołałby pokonać biegiem więcej niż trzy i pół kilometra. Trzy i pół kilometra to bardzo pesymistyczny szacunek. Przypomniał sobie jednak mapę na ścianie chaty Borkena. Ukształtowanie terenu. Gdzie właściwie miałyby uciec? Demonstracyjnie spojrzał na zegarek. Fowler odszedł, znikając za zrujnowanym magistratem. Strażnicy zsunęli z ramion karabiny, wyraźnie się odprężyli. Holly przyglądała włosy, odwróciła twarz do słońca.

- Dasz radę się przejść? - spytał Reacher.

- Byle powoli.

Ruszyła na północ, środkiem opustoszałej ulicy. Reacher szedł obok. Oczekali, póki nie zniknęli z oczu strażnikom, zerknęli na siebie, a potem objęli się mocno. Reacher uniósł Holly w powietrze, kula z brzękiem upadła na ziemię. Holly oplotła go mocno rękami, ukrywając twarz w jego ramieniu.

- Dostaję tam szału - szepnęła.

- Mam złe wieści - odparł.

- Jakże?

- Mieli kogoś w Chicago - oznajmił. Spojrzała na niego.

- Nie było ich tylko pięć dni. To słowa Fowlera podczas rozprawy. Mówił, że Lodera nie było zaledwie pięć dni.

- Co z tego?

- To znaczy, że nie mieli czasu, żeby cię obserwować. Nie śledzili cię. Ktoś im powiedział, gdzie będziesz i kiedy. Mieli pomoc, Holly.

Krew odpłynęła z jej twarzy, zastąpił ją szok.

- Pięć dni, jesteś pewien?

Reacher przytaknął. Holly umilkła, zastanawiała się gorączkowo.

- Kto wiedział? - spytał. - Kto wiedział, gdzie będziesz o dwunastej w poniedziałek?

Współlokatorka, przyjaciel?

Desperacko zerknęła na wszystkie strony, przeglądając w myślach kolejne możliwości.

- Nikt - odparła w końcu.

- Byłaś kiedyś śledzona?

Bezradnie wzruszyła ramionami. Reacher widział, że bardzo chciała powiedzieć: tak, byłam śledzona. Bo wiedział, że odmowa oznaczała dla niej coś znacznie gorszego.

- Byłaś? - spytał ponownie.

- Nie - przyznała cicho. - Przez takiego frajera? Zapomnij. Natychmiast bym ich zauważyła. A poza tym musieliby cały dzień czekać przed siedzibą FBI. Ktoś z pewnością by ich dostrzegł.

- Czyli?

- Nie miałam stałej przerwy na lunch. Przesuwała się czasem o parę godzin. Nigdy nie była regularna.

- Czyli? - powtórzył. Spojrzała na niego.

- Czyli mieli kogoś wewnątrz, w biurze. Tak musiało być. Nie ma innej możliwości. Ktoś w biurze zobaczył, że wychodzę, i dał im znać.

Reacher nie odpowiedział, widział rozpacz malującą się na jej twarzy.

- Kret w Chicago - dodała. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu. - W FBI. Nie ma innego wyjścia. Cholera, nie mogę uwierzyć.

Potem uśmiechnęła się krótko, z goryczą.

- A my mamy tu swojego kreta - dodała. - Co za ironia. Ujawnił się przede mną. Młody facet z dużą blizną na czole. Pracuje dla FBI. Mówi, że mamy ludzi w większości podobnych grupiek. Na wszelki wypadek dobrze zamaskowanych. Postanowił się ujawnić, gdy umieścili w moich ścianach dynamit.

Popatrzył na nią.

- Wiesz o dynamicie? Skrzywiła się i skinęła głową.

- Nic dziwnego, że dostajesz tam szału. Nagle w jego oczach rozbłysła panika.

- Z kim kontaktuje się ten człowiek? - spytał z napięciem.

- Z naszym biurem w Butte - odparła Holly. - To mała placówka, tylko jeden agent. Kontaktują się przez radio, ma nadajnik ukryty w lesie. Ale teraz z niego nie korzysta. Mówi, że sprawdzają częstotliwości.

Reacher zadrżał.

- Ile czasu trzeba, by kret z Chicago zawiadomił o nim swoich szefów?

Holly pobladła.

- Pewnie niewiele. Gdy tylko ktoś się zorientuje, dokąd nas zawieźli. Chicago zacznie grzebać w komputerach w poszukiwaniu meldunków z Montany. Jego raporty będą na samej górze. Chryste, Reacher, musisz dotrzeć do niego pierwszy. Musisz go ostrzec. Nazywa się Jackson.

Zawrócili i ruszyli pospiesznie na południe poprzez widmowe miasto.

- Mówi, że może mnie stąd wywieźć - dodała Holly. - Dziś wieczorem, dżipem.

Reacher przytaknął ponuro.

- Jedź z nim - polecił.

- Nie bez ciebie.

- Mnie i tak odeślą. Mam być ich wysłannikiem. Zawiadomić ludzi, że to beznadziejna sprawa.

- I pojedziesz? - spytała. Pokręcił głową.

- Nie, jeśli zdołam coś na to poradzić. Nie bez ciebie.

- Powinieneś - upierała się. - O mnie się nie martw. Ponownie pokręcił głową.

- Martwię się o ciebie.

- Po prostu jedź. Zapomnij o mnie, wydostań się stąd. Wzruszył ramionami, milczał.

- Wynoś się stąd, jeśli tylko będziesz miał szansę Reacher. Mówię serio.

Wyglądała poważnie, jej oczy błyszczały gniewnie.

- Tylko jeśli ty uciekniesz pierwsza - powiedział w końcu. - Zostanę tu, póki tu będziesz. Nie mam zamiaru zostawić cię samej z tymi wariatami.

- Ale nie możesz tego zrobić - upierała się. - Jeśli zniknę, wpadną w szal, to wszystko zmieni.

Spojrzał na nią, usłyszał głos Borkena: jest kimś więcej niż jego córką.

- Dlaczego, Holly? Czemu to wszystko zmieni? Kim ty, do diabła, jesteś?

Nie odpowiedziała, odwróciła wzrok. Przed nimi pojawił się Fowler. Nadchodził z północy, palił papierosa. Podszedł do nich i zatrzymał się tuż obok. Wyciągnął paczkę.

- Papierosa? - spytał.

Holly wbiła wzrok w ziemię. Reacher pokręcił głową.

- Powiedziała ci? - spytał Fowler. - O domowych wygodach?

Strażnicy stali na baczność, tworząc rodzaj gwardii honorowej na stopniach sądu. Fowler podprowadził do nich Holly. Jeden mężczyzna zniknął z nią za drzwiami. Już w wejściu obróciła się i zerknęła na Reachera, który pokiwał głową, próbując rzec: do zobaczenia później. A potem zniknęła.

\* \* \*

- A teraz czas na zwiedzanie - oznajmił Fowler. - Trzymaj się blisko mnie, rozkaz Beau. Możesz jednak pytać o wszystko. Okay?

Reacher zerknął na niego i skinął głową. Spojrzał na sześciu strażników, zszedł na dół, przystanął. Popatrzył na maszt ustawiony dokładnie pośrodku pozostałości pięknego trawnika przed budynkiem. Podszedł do niego i zatrzymał się w kałuży krwi Lodera. Powiódł dookoła wzrokiem.

Miasto Yorke było praktycznie martwe i wyglądało, jakby umarło już jakiś czas temu. A i wcześniej raczej nie tętniło życiem.

Droga wiodła z północy na południe. Po obu stronach wznosiły się cztery wyraźne kwartały budynków, dwa po stronie wschodniej, dwa po zachodniej. Sąd zajmował praktycznie cały południowo-wschodni kwartał. Naprzeciwko niego stało coś, co przypominało siedzibę rady miejskiej. Zachodnia strona ulicy była wyższa, grunt tutaj się podnosił. Fundamenty gmachu rady znajdowały się na poziomie pierwszego piętra sądu. Obie budowle wzniesiono w podobnym stylu, lecz pierwsza popadła w ruinę mniej więcej przed trzydziestu laty. Farba obłaziła płatami, spod tynku wystawały

elementy konstrukcyjne. W oknach nie pozostała ani jedna szyba. Niegdyś trawniki powróciły do pierwotnego górskiego stanu i porosły gęstymi krzakami. Na samym środku stało niegdyś ozdobne drzewo, uschło jednak dawno temu i teraz z ziemi sterczał jedynie pień wysoki na jakieś dwa metry, przypominający słup egzekucyjny.

Północne kwartały składały się z rzędów poszarzałych, zabitych deskami sklepów. Niegdyś za wysokimi, ozdobnymi frontonami kryły się proste, przysadziste budynki. Lecz po latach zaniedbania frontony przybrały tę samą brudno-brązową barwę co kanciaste drewniane konstrukcje za nimi. Szyldy nad drzwiami tak wyblakły, że stały się nieczytelne. Na chodnikach nie było ludzi, brakowało odgłosów silników czy śladów ruchu. Nic. Widmowe miasto. Zupełnie jak porzucone miasteczko z Dzikiego Zachodu.

- Kiedyś była to górnicza osada - oznajmił Fowler. - Wydobywano tu głównie ołów, ale też miedź, znalazło się również parę żył srebra. Tutejsi zarobili sporo grosza.

- I co się stało? - spytał Reacher. Fowler wzruszył ramionami.

- A co się dzieje z innymi miastami górniczymi? Wyczerpały się złoża, ot co. Pięćdziesiąt lat temu ludzie rejestrowali działki jak szaleni w starym budynku rady, kłócili się o nie w starym sądzie. Przy ulicy stały też knajpy, banki i sklepy. Potem jednak zamiast metalu zaczęli wydobywać



piasek. Wynieśli się stąd, pozostawiając to wszystko.

Fowler rozglądał się po ponurej okolicy, Reacher podążał wzrokiem za jego spojrzeniem. Następnie podniósł oczy, przyglądając się olbrzymim górcom wyrastającym na horyzoncie. Masywnym i obojętnym, wciąż ośnieżonym, mimo że nastał już trzeci lipca. Na przełęczach wisiały mgły snujące się pośród gęstych świerków i sosen. Fowler ruszył naprzód. Reacher podążył za nim ścieżką skręcającą stromo na północny zachód za zrujnowanym budynkiem rady. Strażnicy maszerowali w rzędzie za nimi. Uświadomił sobie, iż tą właśnie ścieżką podążył dwukrotnie zeszłej nocy, potykając się w ciemnościach. Po stu metrach znaleźli się między drzewami. Ścieżka biegła w górę przez las. W zielonym blasku dnia szło się łatwiej. Mniej więcej po półtora kilometra wędrówki pokonali zaledwie połowę jej długości i znaleźli się na polanie, na której wczoraj zatrzymała się biała ciężarówka. Czekał tu niewielki oddział straży, uzbrojony, wzorcowo umundurowany. Ciężarówki jednak nie było, zabrano ją.

- Nazywamy to miejsce Bastionem - oznajmił Fowler. - To pierwsze akry, które tu kupiliśmy.

W świetle dnia wszystko wyglądało inaczej. Bastion był wielką, starannie utrzymaną polaną pośród gęstych drzew, przycupniętą w zagłębieniu zbocza sto metrów nad miastem. Nie stworzyła go ludzka ręka, lecz osuwające się z bieguna wielkie lodowce milion lat temu. Na północy i zachodzie wznosiły się góry, wyrastające wprost ku niebu. Reacher znów ujrzał śnieg pokrywający wysokie wąwozy. Skoro leżał tu w lipcu, to najpewniej nigdy nie topniał.

Położone na południowym wschodzie miasto było ledwo widoczne pomiędzy pniami drzew, w miejscu, gdzie wycięto drogę- Reacher dostrzegł w dole zrujnowany budynek rady i biały sąd, maleńkie niczym modele. Wprost na południu zbocze opadało i znikało w gęstym lesie. Między drzewami ziały strome wąwozy. Reacher patrzył na nie w milczeniu. Fowler wskazał ręką.

- Niektóre z nich mają trzydzieści metrów głębokości. Pełno w nich jeleni i owiec górskich. Mamy tu też niedźwiedzie, kilku ludzi widziało pumy, słysząc je w nocy, gdy robi się cicho.

Reacher przytaknął i wytrzymał słuch. Cisza była oszałamiająca, próbował odgadnąć, o ile głębsza staje się nocą. Fowler odwrócił się, pokazując tu i ówdzie ręką.

- Oto, co zbudowaliśmy, jak dotąd.

Reacher ponownie skinął głową. Na polanie stało dziesięć budynków, wszystkie duże, użytkowe, wzniesione z drewna i płyt paździerzowych, oparte na solidnych betonowych fundamentach. Do każdego doprowadzono prąd z biegnącego między nimi grubego kabla.

- Zasilanie pociągnęliśmy z miasta - wyjaśnił Fowler. - Półtora kilometra kabla. Mamy też wodę bieżącą, z czystego górskiego jeziora. Sami kładliśmy plastikowe rury.

Reacher dostrzegł chatę, w której siedział zamknięty większość nocy. Była mniejsza od pozostałych.

- Chata administracyjna - powiedział Fowler.

Na dachu jednego z budynków sterczała antena, wysoka na jakieś dwadzieścia metrów. Krótkofalówka. Reacher dostrzegł też cieńszy kabel podpięty do grubej linii zasilającej. Znikał w tej samej chacie i już z niej nie wychodził.

- Macie tu telefon? - spytał. - Zastrzeżony, prawda? Wskazał ręką. Fowler podążył za nią wzrokiem.

- Linia telefoniczna? Biegnie z Yorke razem z zasilaniem, ale nie mamy telefonu. Rząd światowy mógłby nas podsłuchiwać.

Gestem wezwał Reachera i razem ruszyli do chaty z anteną, do której prowadziła linia. Przepisnęli się przez wąskie drzwi, Fowler rozłożył ręce w dumnym geście.

- Chata łączności - oznajmił.

Ciemne wnętrze miało jakieś sześć na trzy i pół metra. Dyżur pełnili tu dwaj mężczyźni. Jeden kucnął nad magnetofonem, słuchając czegoś przez słuchawki. Drugi powoli przekręcał pokrętło skanera radiowego. Przy obu dłuższych ścianach ustawiono prymitywne drewniane biurka, przymocowane na stałe. Reacher uniósł wzrok i ujrzał kabel telefoniczny przebiegający przez wywiercony w ścianie otwór. Podłączono go do modemu, a ten z kolei do dwóch włączonych

domowych komputerów.

- Internet obywatelski - oznajmił Fowler.

Drugi kabel omijał komputery i zasilał faks, który mruczał bezustannie, wypływając z siebie powoli wstęgę papieru.

- Patriotyczna sieć faksowa - wyjaśnił Fowler. Reacher skinął głową, podszedł bliżej. Faks ustawiono

na blacie, obok kolejnego komputera i dużej krótkofalówki.

- Media cieni - mówił Fowler. - Dzięki nim dowiadujemy się prawdy o tym, co dzieje się w Ameryce. Z innego źródła jej nie poznamy.

Reacher po raz ostatni rozejrzał się wokół, wzruszył ramionami.

- Jestem głodny - rzekł. - Tak brzmi prawda. Nie jadłem obiadu ani śniadania. Mógłbym gdzieś napić się kawy?

Fowler popatrzył na niego i uśmiechnął się szeroko.

- Jasne. W mesie podajemy posiłki przez całą dobę. Za kogo nas masz? Bandę dzikusów?

Odprawił sześciu strażników i ponownie wezwał gestem Reachera. Kantyna mieściła się obok chaty łączności. Była od niej cztery razy większa, dwa razy dłuższa i dwa razy szersza. Na jej dachu ustawiono solidny komin z jasnego galwanizowanego metalu. Wewnątrz Reacher ujrzał proste stoły na koziołkach, ustawione w równe szeregi, oraz zwykłe ławy wepchnięte pod spód. W powietrzu unosiła się woń starego jedzenia i kurzu, jak w każdym miejscu, w którym bywa sporo ludzi.

W środku pracowały trzy kobiety, sprzątały ze stołów. Wszystkie wyglądały podobnie. Oliwkowe mundury, długie czyste włosy, twarze bez makijażu, czerwone dłonie, brak biżuterii. Kiedy Fowler i Reacher weszli do środka, kobiety przystały, przerwały pracę i obserwowały ich czujnie. Reacher rozpoznał jedną z nich z sądu, powitała go ostrożnym skinieniem głowy. Fowler wystąpił naprzód.

- Nasz gość nie jadł śniadania - oznajmił. Ostrożna kobieta znów przytaknęła.

- Jasne - odparła. - Co mogę podać?

- Cokolwiek - powiedział Reacher. - Byle tylko z kawą.

- Pięć minut.

Kobieta wraz ze swymi towarzyszkami zniknęła za drzwiami urządzonej na tyłach kuchni. Fowler usiadł przy stole, Reacher zajął miejsce naprzeciwko.

- Trzy razy dziennie jada się tu posiłki - poinformował go Fowler. - Przez resztę czasu, głównie popołudniami i wieczorami, spotykają się tu członkowie społeczności. Beau staje na stole i mówi o tym, o czym powinni wiedzieć.

- Gdzie jest teraz?

- Zobaczysz go, nim odjedziesz - zapewnił Fowler. - Możesz na to liczyć.

Reacher przytaknął powoli i przez niewielkie okno spojrzął w stronę gór. Z tego miejsca sięgał wzrokiem dalej, jakieś osiemdziesiąt kilometrów. Szczyty wznosiły się nieruchomo w powietrzu pomiędzy niebem i ziemią. Cisza wciąż oszałamiała.

- Gdzie są wszyscy? - spytał.

- Pracują i uczą się.

- Pracują? Nad czym?

- Rozbudowują umocnienia na południu - wyjaśnił Fowler. - W paru miejscach wąwozy są dość płytkie. Mogłyby

pokonać je czołgi. Wiesz, jak buduje się zaporę przeciw-czołgową w lesie?

Reacher odpowiedział pustym spojrzeniem. Doskonale wiedział. Każdy student West Point, który potrafi czytać, to wie. Nie miał jednak zamiaru pokazać Fowlerowi zakresu swojej wiedzy. Patrzył zatem na niego bez słowa.

- Rąbiesz drzewa - zapalił się Fowler. - Wycinasz co piąte bądź szóste i zostawiasz pniem w stronę przeciwnika. Tutejsze drzewa to w większości sosny. Ich gałęzie rosną trochę w górę. Rozumiesz?

Po ścięciu rozchodzą się niczym klin. Czołg najjeżdża na koniec pnia, próbuje go popychać. Ale gałęzie zaczepiają się o pozostałe kłody. Wkrótce czołg próbuje pchać przed sobą dwa, trzy drzewa. Potem cztery, pięć. To niemożliwe. Nawet największe abramsy nie dadzą Sobie rady. Silnik o mocy 1500 koni mechanicznych, 63 tony masy, a i tak nie przepchnie takiego ciężaru. Nawet gdyby sprowadzili tu wielkie czołgi rosyjskie, nie poradzą sobie. To właśnie jest zapora przeciwczołgowa, Reacher. Zasieki. Przeciwko naszym wrogom wykorzystujemy moce przyrody- Nie przedostaną się przez drzewa, to pewne. Sowieci Użyli czegoś podobnego przeciw Hitlerowi pod Kurskiem w czasie drugiej wojny światowej. To stary komunistyczny podstęp. Teraz wykorzystamy go przeciw nim. - A piechota? - spytał Reacher. - Czołgi nie przybędą same. Będzie z nimi piechota. Pójdą naprzód i wysadzą drzewa.

Fowler uśmiechnął się szeroko.

- Będą próbować. A potem przestaną. Pięćdziesiąt metrów na północ od umocnień mamy gniazdo karabinów maszynowych. Rozwalimy ich na kawałki.

Ostrożna kobieta powróciła z kuchni, dźwigając tacę. Postawiła ją na stole przed Reacherem. Jajka, bekon, smażone ziemniaki, fasolka. Wszystko na metalowym talerzu. Duży, metalowy kubek pełen parującej kawy. Pełna zastawa.

- Smacznego - powiedziała.

- Dziękuję - odparł Reacher.

- Ja nie dostanę kawy? - spytał Fowler. Ostrożna kobieta machnęła ręką.

- Proszę się obsłużyć.

Fowler próbował wymienić porozumiewawcze spojrzenie z Reacherem. Wstał. Reacher nadal patrzył tępo przed siebie. Fowler poszedł do kuchni i zniknął za drzwiami. Kobieta odprowadziła go wzrokiem, położyła dłoń na ramieniu Reachera.

- Muszę z tobą pomówić - szepnęła. - Znajdź mnie dziś po zgaszeniu świateł. Spotkamy się przy drzwiach kuchni, dobrze?

- Porozmawiaj teraz - odszepnął Reacher. - Wtedy może mnie już nie być.

- Musisz nam pomóc...

W tym momencie Fowler ponownie przekroczył próg. Kobieta zamknęła oczy z przerażenia, wyprostowała się i odeszła szybkim krokiem.

\* \* \*

Każdą z dłuższych rur ramy łóżka zamocowano sześcioma śrubami. Dwie z nich podtrzymywały siatkę, na której spoczywał materac. Do tego dwie na każdym końcu mocowały rurki do kątowników z nogami. Holly bardzo długo oglądała całą konstrukcję. Zauważyła coś, co mogło ulepszyć jej plan. Mogła zostawić z jednej strony kątownik, sterczałyby niczym sztywny hak pod kątem prostym. To lepsze niż odkręcenie go i wepchnięcie w otwartą końcówkę rurki. Trwalsze.

Nadal jednak oznaczało to sześć śrub, bo musiała odkręcić nogę od kątownika. Ulepszenie, ale nie skrót. Pracowała szybko. Nie miała powodów wątpić w słowo Jack-sona, ale szanse powodzenia właśnie się zmniejszyły i to dramatycznie.

\* \* \*

Obok kantyny stały sypialnie - cztery duże budynki utrzymane w idealnym porządku i puste. Dwa przeznaczono na baraki dla samotnych mężczyzn i kobiet, pozostałe dwa podzielono płytami paździerzowymi. Mieszkały tam rodziny. Dorośli w parach w małych pomieszczeniach za ściankami, dzieci w dużej sali wspólnej. Po bokach ustawiono w równych rzędach metalowe dziecięce łóżka oraz małe szafki u ich stóp. Ani śladu rysunków na ścianach czy zabawek. Jedyłą ozdobę stanowił plakat pamiątkowy z Waszyngtonu. Zdjęcie lotnicze zrobione w słoneczny, wiosenny dzień, przedstawiało Biały Dom po prawej, panoramę miasta i Ka-pitol po lewej. Oprawiono je w plastik. Tekst reklamowy zasłonięto papierem, na którym ręcznie wypisano nowy: Oto twój wróg.

- Gdzie są teraz dzieci? - spytał Reacher.  
- W szkole - wyjaśnił Fowler. - Zimą korzystają z kantyny, latem uczą się w lesie.  
; - Czego się uczą?

Fowler wzruszył ramionami.

- Wszystkiego, czego potrzebują.

- Kto decyduje, czego potrzebują?

- Beau - wyjaśnił Fowler. - On decyduje o wszystkim.

- Co zatem według niego powinny wiedzieć?

- Dokładnie wszystko przemyślał - rzekł Fowler. - Niezbędna wiedza sprowadza się do znajomości Biblii, konstytucji, historii, ćwiczeń fizycznych, ciesielki, polowań, broni.

- Kto ich tego uczy?

- Kobiety.

- Dzieci są tu szczęśliwe? - spytał Reacher. Fowler znów wzruszył ramionami.

- Nie są tu po to, by być szczęśliwe. Są tu po to, by przetrwać.

Następna chata była pusta. Stał w niej jedynie kolejny terminal komputerowy na biurku w kącie. Reacher dostrzegł wielką blokadę klawiatury.

- Można to nazwać naszym skarbcem - oznajmił Fowler. - Fundusze przechowujemy na Kajmanach. Jeśli potrzebujemy pieniędzy, korzystamy z komputera i wysyłamy je, dokąd zechcemy.

- Ile macie? - zainteresował się Reacher. Fowler uśmiechnął się konspiracyjnie.

- Całe mnóstwo. Dwadzieścia milionów w obligacjach na okaziciela minus to, co już wydaliśmy. Ale sporo jeszcze zostało. Nie martw się o nasze fundusze.

- Kradzione?

Fowler z uśmiechem pokręcił głową.

- Przechwycone z rąk nieprzyjaciela. Dwadzieścia milionów. W ostatnich dwóch budynkach mieściły się magazyny.

Jeden stał w rzędzie z najdalszą sypialnią. Fowler poprowadził Reachera do bliższego. Wypełniały go zapasy. Wzdłuż jednej ściany stały olbrzymie plastikowe beczki pełne wody.

- Bandaże, broń i prowiant - powiedział Fowler. - Oto motto Beau. Wcześniej czy później dojdzie do oblężenia, to pewne. I chyba oczywiste, co najpierw zrobi rząd. Wystrzeli do jeziora, z którego czerpiemy wodę, pociski z bronią biologiczną. Magazynujemy zatem wodę pitną. Dwadzieścia cztery tysiące galonów, to nasz priorytet. Do tego prowiant

w puszkach, wystarczy na dwa lata. Za mało, jeśli dołączy do nas dużo ludzi, ale dobry początek.

Magazyn pękał w szwach. Jedno pomieszczenie od podłogi po sufit wypełniały ubrania, znajome oliwkowe mundury, kurtki maskujące, wysokie buty. Wyprane i wyprasowane w pralni wojskowej, spakowane i sprzedawane w hurcie.

- Chcesz coś? - spytał Fowler.

Reacher już miał odmówić, zerknął jednak na to, co ma na sobie. Nosił ten sam strój od poniedziałku rano. Trzy pełne dni. Już w chwili wyjścia ciuchy nie były najlepsze, a upływający czas nie dodał im urody.

- Okay - rzekł.

Największe rozmiary leżały na dole. Fowler napiął się, szarpnął i wyciągnął parę spodni, koszulę, kurtkę. Reacher zignorował błyszczące buty, wolał własne. Rozebrał się i przeskakując z nogi na nogę na gołej drewnianej podłodze naciągnął nowy strój, zapiął guziki koszuli, włożył kurtkę. Pasowała nieźle. Nawet nie zerknął w lustro. Wiedział, jak wygląda w mundurze. Spędził w nim dość czasu.

Na regale przy drzwiach zgromadzono leki i opatrunki. Zestawy pierwszej pomocy, plazmę, antybiotyki, bandaże. Wszystko logicznie rozmieszczone, tak by był do nich łatwy dostęp. Staranne stosiki, dość miejsca między nimi. Borken najwidoczniej nauczył swych ludzi sięgać do zapasów i zapewniać pierwszą pomoc.

- Prowiant i bandaż - powtórzył Reacher. - A broń? Fowler skinął głową w stronę najdalszego budynku.

- To nasza zbrojownia, pokażę ci.

Zbrojownia była większa niż pierwszy magazyn. Zamknięta na potężny zamek. Mieściło się w niej więcej broni, niż Reacher widział od bardzo, bardzo dawna. Setki karabinów zwykłych i maszynowych ustawiono w równych rzędach.

W powietrzu unosiła się ciężka woń świeżego smaru. Stosy pudeł z amunicją, od podłogi aż po sufit. Znajome drewniane skrzynie pełne granatów, całe półki pistoletów. Wyłącznie broń dla piechoty. Ale i tak niezwykle imponująca kolekcja.

\* \* \*

Odkręcenie dwóch śrub mocujących siatkę okazało się najłatwiejsze. Były mniejsze niż pozostałe. Cały ciężar spoczywał na dużych, spajających całą ramę, na której leżała siatka. Podtrzymujące ją śruby nie były konieczne, bez nich łóżko spisywałoby się równie dobrze.

Holly zdrapała farbę do gołego metalu. Rozgrzała główki śrub ręcznikiem. Potem ściągnęła z kuli gumową końcówkę, wygięła aluminiową rurkę, tworząc owal. Palcami przygięła go do kształtu śruby. Za pomocą rączki obróciła kulę niczym wielki klucz. Aluminium ześliznęło się z nakrętki. Holly zaklęła cicho. Zgniotła je mocniej. Jednocześnie obróciła rękę i kulę. Śruba się poruszyła.

\* \* \*

Z kręgu drewnianych budynków na północ wiodła zwykła ścieżka. Fowler poprowadził nią Reachera. Wkrótce znaleźli się na strzelnicy - długiej, płaskiej polanie starannie oczyszczonej z drzew i krzaków. W tej chwili panowała tu cisza. Polana miała zaledwie dwadzieścia metrów szerokości, ale ponad osiemset długości. W jednym końcu ułożono maty, na których leżeli strzelcy. W dali Reacher dostrzegł cele, ruszył ku nim powolnym krokiem. Wyglądały jak standardowe wojskowe sylwetki ze sklejki, przedstawiające biegnących bądź przycupniętych żołnierzy. Niezmienione od czasów drugiej wojny światowej. Prymitywny obrazek przedstawiał niemieckiego żołnierza w szerokim hełmie, z paskudnie wykrzywioną twarzą. Kiedy jednak Reacher podszedł bliżej, spostrzegł pewne modyfikacje. Na piersiach celów żółtą farbą wymalowano nowe odznaki. Na każdej z nich widniały trzy litery. Cztery cele: FBI. Cztery inne: ATF. Cele rozrzucono na dużej przestrzeni, od trzystu do osiemset metrów od mat. Najbliższe były podziurawione jak sita.

; - Każdy musi trafiać z odległości trzystu metrów - wyjaśnił Fowler. - To wymóg obywatelstwa.

Reacher wzruszył ramionami. Nie zaimponowało mu to. Trzysta metrów to łatwizna. Szedł dalej. Cele na czterystu metrach były nieźle uszkodzone, na pięciuset znacznie mniej. Przy sześciuset Reacher naliczył osiemnaście trafień, przy siedmiuset siedem. Przy pełnych osiemset zaledwie dwa.

- Od jak dawna stoją tu te cele? - spytał. Fowler wzruszył ramionami. ) - Miesiąc - rzekł - może dwa. Wciąż się uczymy. - I powinniście - zauważył Reacher - pewnie, spodziewamy się strzelać z daleka - odparł Fowler. Beau przypuszcza, że siły ONZ zaatakują nocą, będą myśleć, że śpimy. Może nawet zdołają do pewnego stopnia sforsować nasze umocnienia. Na jakiś kilometr. Osobiście w to wątpię, ale Beau jest naprawdę ostrożny, i to na nim spoczywa odpowiedzialność. Nasza taktyka polega na nocnych manewrach flankujących. Mamy otoczyć żołnierzy wroga w lesie i skosić ich strzałami z bardzo bliska. Szkolenie idzie dobrze. Poruszamy się szybko i cicho w ciemności. Nie potrzebujemy świateł, nie robimy hałasu.

Reacher powiódł wzrokiem po lesie. Przypomniał sobie olbrzymi zapas amunicji, a także przechwałki Borkena. Niezdobyta twierdza. Pomyślał o problemach armii walczącej z fanatycznymi partyzantami na trudnym terenie. Żadna twierdza nie jest niezdobyta, lecz tutaj padłoby wielu ludzi.

- Dziś rano - powiedział Fowler. - Mam nadzieję, że nie byłeś zbyt poruszony.

Reacher jedynie spojrział na niego.

- Tym, co spotkało Lodera - dodał Fowler.

Reacher wzruszył ramionami, myśląc: oszczędziliście mi roboty.

- Potrzebna nam surowa dyscyplina - ciągnął Fowler.
- Wszystkie nowe narody przechodzą podobną fazę. Surowe prawa, twarda dyscyplina. Beau studiował historię. W tej chwili to bardzo ważne. Ale potrafi poruszyć człowieka.
- To ty powinieneś się niepokoić - odezwał się Reacher.
- Słyszałeś o Józefie Stalinie?

Fowler przytaknął.

- Sowiecki dyktator - rzekł.
- Zgadza się. On też to robił.
- Co takiego?
- Eliminował potencjalnych rywali, posługując się sfabrykowanymi zarzutami.

Fowler pokręcił głową.

- Zarzuty były słuszne. Loder popełnił błędy. Reacher wzruszył ramionami.
- Nie do końca - rzucił. - Spisał się całkiem nieźle. Fowler odwrócił wzrok.
- Ty będziesz następny - dodał Reacher. - Powinieneś bardzo uważać. Wcześniej czy później dowiesz się, że popełniłeś błąd.
- Znamy się od bardzo dawna - powiedział Fowler. - Beau ija.
- Tak samo było z Beau i Loderem. Zgadza się? Stevie-mu nic nie grozi, nie jest niebezpieczny. Za głupi. Ale ty powinieneś uważać, bo będziesz następny.

} Fowler nie odpowiedział, ponownie odwrócił wzrok. Razem wrócili na koniec trawiastej polany i pomaszerowali kolejną ścieżką na północ. Zeszli z niej raz, przepuszczając długą kolumnę maszerujących parami dzieci, chłopców i dziewczynek. Na ich czele szła kobieta w mundurze. Pochód zamykała druga. Dzieci miały na sobie przerobione mundury, w prawych rękach niosły wysokie laski. Dziewczynki miały proste, długie włosy. Chłopców ostrzyżono niedbale „pod garnek”. Reacher zatrzymał się i odprowadził wzrokiem dzieci. Wszystkie patrzyły wprost przed siebie, żadne nie zaryzykowało choćby zerknięcia w bok.

Nowa ścieżka biegła w górę, przez wąskie pasmo drzew na płaską polanę pięćdziesiąt na pięćdziesiąt metrów. Grunt wyrównano tu sztucznie. Na skraju polany rozmieszczono w równych rzędach polne kamienie pomalowane na biało. Wokół było pusto.

- Nasz plac apelowy - oznajmił kwaśno Fowler.

Reacher skinął głową, wodząc wzrokiem dookoła. Na północy i zachodzie wysokie góry, na wschodzie gęsta dziewicza puszcza, na południu ponad miastem i drzewami dostrzegał głębokie skalne wąwozy. Zimny wiatr uniósł jego nową kurtkę, szarpnął koszulę. Reacher zadrżał.

\* \* \*

Z większymi śrubami szło o wiele trudniej. Musiała zeszkrobać grubszą warstwę farby i by poruszyć nakrętkę, użyć większej siły. Im mocniej naciskała, tym łatwiej koniec kuli zsuwał się ze śruby. Holly zdjęła but i posługując się nim niczym młotkiem, wygięła odpowiednio aluminiową rurkę, by ściśle przylegała do nakrętki. Potem ścisnęła ją palcami z taką siłą, że ścięgna przedramienia napięły się sztywno niczym liny. Po twarzy spływały jej strużki potu. Zaczęła napierać na kulę, wstrzymując oddech, czekając, co ustąpi pierwsze: uchwyt jej palców czy śruba.

\* \* \*

Wiatr szarpiący koszulą Reachera przyniósł mu także ciche echo nowych dźwięków. Reacher zerknął na Fowlera, po czym odwrócił się w stronę zachodniego skraju placu apelowego. Słyszał ludzi poruszających się między drzewami, biegnących przez las.

Wypadli spomiędzy drzew, sześciu strażników w szeregu, karabiny automatyczne, stroje maskujące, brody. Ta sama szóstka, która rankiem stała przed ławą sędziowską. Osobista gwardia Borkena. Reacher przebiegł wzrokiem po ich twarzach. Młody mężczyzna z blizną biegł na końcu, po lewej. Jackson, agent FBI. Strażnicy zatrzymali się, skreśli i ruszyli biegiem po płaskim gruncie w stronę Reachera. Kiedy się zbliżyli, Fowler cofnął się, pozostawiając go samego niczym samotny

cel. Piątka mężczyzn rozsypała się, tworząc luźny łuk. Pięć karabinów wycelowało w pierś Reachera. Szósty strażnik podszedł do Fowlera. Nie zasalutował, lecz jego postawa wyrażała stosowny szacunek.

- Beau chce się z nim widzieć - oznajmił. - To coś bardzo pilnego.

Fowler skinął głową.

- Zabierzcie go - rzekł. - I tak zaczynał mnie już wkurzać.

Szturchnięciami łuf mężczyźni skierowali Reachera między siebie. Razem ruszyli na południe przez wąskie pasmo drzew. Szli szybko. Minęli strzelnicę i ścieżką skierowali się z powrotem w stronę Bastionu. Skręcili na zachód, mijając zbrojownię, i dalej maszerowali przez las, do chaty dowodzenia. Reacher wydłużył krok, przyspieszył. Odrobinę wysunął się naprzód, pozwolił, by jego stopa zahaczyła o korzeń i upadł ciężko na kamienie. Pierwszy dopadł go Jack-son. Reacher dostrzegł czoło i bliznę. Mężczyzna chwycił go za rękę.

- Kret w Chicago - szepnął Reacher.

- Wstawaj, dupku! - wrzasnął Jackson.

- Ukryj się, uciekaj dziś wieczór - wyszeptał Reacher. - Bądź bardzo ostrożny. Okay?

Jackson zerknął na niego i odpowiedział, lekko ściskając mu ramię. Następnie szarpnięciem postawił go na nogi i pchnął ścieżką na mniejszą polanę. Beau Borken czekał w drzwiach swojej chaty ubrany w wielki, obwisły strój maskujący, brudny i wymięty, zupełnie jakby cały dzień ciężko pracował fizycznie. Przyglądał się chwilę Reacherowi.

- Widzę, że dostałeś nowe ubranie - zauważył. Reacher przytaknął.

- Przepraszam za mój wygląd. Miałem ciężki dzień.

- Fowler mi powiedział - odparł Reacher. - Budowaliście zapory.

- Zapory? - powtórzył Borken. - Jasne.

Nagle umilkł. Reacher ujrzał, jak jego wielkie dłonie zaciskają się i otwierają.

- Twoja misja została odwołana - powiedział cicho Borken.

- Naprawdę? - spytał Reacher. - Dlaczego?

Borken wyprostował się i podszedł bliżej. Reacher cały czas wpatrywał się w jego płonące oczy, toteż cios całkowicie go zaskoczył. Borken uderzył go w brzuch. Wielka, twarda pięść dwustukilogramowego mężczyzny. Reacher runął na ziemię jak ścięte drzewo, a Borken kopnął go z całych sił w plecy.

28

Nazywa się Jackson - oznajmił Webster. - Od jak dawna tam jest? - spytał Milošević.

- Prawie rok.

Jedenasta rano, czwartek trzeciego lipca w bazie Pe-terson. Szef działu w Quantico przysłał faksem materiały z Andrews, używając bezpiecznej linii. Maszyna ledwie nadązała z wypluwaniem kolejnych kartek. Milošević i Brogan zbierali je i podawali Websterowi i McGrathowi do analizy. Po drugiej stronie stołu generał Johnson wraz z adiutantem oglądali mapę południowo-zachodniej części Montany.

- Macie swoich ludzi we wszystkich tych grupach? - spytał Johnson.

Webster pokręcił głową i uśmiechnął się.

- Nie we wszystkich - rzekł. - Zbyt wiele grup, za mało ludzi. Po prostu nam się poszczęściło.

- Nie wiedziałem, że mamy tam kogoś - zauważył Brogan.

Webster nadal się uśmiechał.

- Większość ludzi nie wie mnóstwa rzeczy. Tak jest bezpieczniej.

- I co mówi ten Jackson? - dopytywał się Brogan.

- Wspominał o Holly? - wtrącił Johnson.

- Mówił, o co w tym wszystkim w ogóle chodzi? - to Milošević.

Webster głośno wypuścił powietrze i machnął ręką w stronę stosika faksów. McGrath przeglądał je

w skupieniu, rozdzielając kartki na dwie części. Jedna dotyczyła spraw rutynowych, druga ważnych informacji. Rutynowa była dużo większa, ważne informacje skape.

- Analiza, Mack - rzucił Webster. McGrath wzruszył ramionami.

- Do pewnego etapu wszystko w normie - stwierdził. Johnson spojrział na niego ze zdumieniem.

- W normie? - powtórzył. Webster przytaknął.

- To norma - wyjaśnił. - Mamy podobne grupy w całym kraju. Dlatego właśnie nie możemy obserwować wszystkich. Po prostu jest ich za dużo. Podczas ostatniego spisu naliczyliśmy ponad czterysta we wszystkich pięćdziesięciu stanach. Większość to świry i amatorzy. Niektórych jednak uważamy za całkiem poważnych terrorystów antyrządowych.

- A ci? - chciał wiedzieć Johnson. McGrath spojrział na niego.

- Ci są śmiertelnie poważni. Setka ludzi ukrytych w lesie. Doskonale uzbrojeni, świetnie zorganizowani, samowystarczalni i dysponujący znacznymi funduszami. Jackson donosił o oszustwach pocztowych, fałszywych przelewach, fałszowaniu pieniędzy na niewielką skalę. Prawdopodobnie dokonywali także napadów z bronią w rękę. Podejrzewamy, że ukradli dwadzieścia milionów dolarów w obligacjach na okaziciela podczas ataku na samochód pancerny na północy Kalifornii. I oczywiście, sprzedają też innym świram kasety wideo, książki i podręczniki za zaliczeniem pocztowym. To w tej chwili kwitujący przemysł. Naturalnie, nie płacą żadnych podatków, nie rejestrują samochodów, nic takiego. Zero kosztów.

- Praktycznie rzecz biorąc, kontrolują cały okręg Yorke - dodał Webster.

- Jak to możliwe? - spytał Johnson.

- Bo nikt inny się nim nie interesuje - wyjaśnił Webster. - Był pan tam kiedyś? Ja nie. Jackson mówi, że całe to miejsce jest opuszczone. Wszyscy wynieśli się stamtąd dawno temu. Pozostała zaledwie garstka obywateli rozrzucona na pustkowiach pomiędzy podupadłymi ranczami i opuszczonymi kopalniami. Staruszkowie. Brak działających władz. Borken po prostu przyszedł na gotowe.

- Nazywa to eksperymentem - uzupełnił McGrath. - Prototypem nowego narodu.

Johnson przytaknął, oszołomiony.

-AcozHolly?

Webster uporządkował kartki, położył na nich dłonie.

- Nie wspomina o niej. Ostatnio odzywał się w poniedziałek, w dniu, gdy ją porwano. Budowali wtedy więzienie. Musimy założyć, że przeznaczone dla niej.

- On składa meldunki? - wtrącił Brogan. - Przez radio? Webster przytaknął.

- W lesie ma ukryty nadajnik. Kiedy tylko może, odchodzi i melduje się. Dlatego nie mamy regularnych raportów. Zwykle odzywa się raz w tygodniu. Jest raczej niedoświadczony. Polecono mu zachować ostrożność. Zakładamy, że go obserwują. Nowy, wspaniały świat, bez dwóch zdań.

- Możemy się z nim skontaktować? - spytał Milošević.

- Żartujesz chyba. Musimy siedzieć i czekać.

- Komu podlega? - zainteresował się Brogan.

- Miejscowemu agentowi z Butte w Montanie.

-Cw takim razie robimy? - chciał wiedzieć Johnson. Webster wzruszył ramionami. W pomieszczeniu zapadła cisza.

- W tej chwili nic. Musimy znać stanowisko góry.

Wszyscy milczeli. Webster spojrział z napięciem na Johnsona, jak jeden agent rządowy na drugiego. Jego spojrzenie mówiło: wiesz, jak to jest. Johnson patrzył na niego długą chwilę, bez wyrazu. Potem jego głowa poruszyła się lekko, niemal niedostrzegalnie, potakując. Jakby mówił: na razie wiem, jak to jest.

Adiutant Johnsona odkaslnął.

- Na północ od Yorke mamy swoje rakiety - stwierdził. - Teraz nasi ludzie przewożą sprzęt na południe, wracają tutaj. Dwudziestu trepów, sto stingerów, pięć ciężarówek. W każdej chwili mogą zjawić się w Yorke. Możemy ich wykorzystać?



Brogan pokręcił głową.

- To wbrew prawu. Wojsko nie może uczestniczyć w operacjach policyjnych.

Webster puścił te słowa mimo uszu i czekał, patrząc na Johnsona. To byli jego ludzie, a Holly była jego córką. Lepiej, by sam generał udzielił odpowiedzi. Po chwili ciszy Johnson pokręcił głową.

- Nie - powiedział. - Potrzebujemy czasu, musimy opracować plan.

Adiutant szeroko rozłożył ręce.

- Mamy plan - rzekł. - Mamy też bezpośredni kontakt radiowy. Powinniśmy to zrobić, generale.

- To wbrew prawu - upierał się Brogan.

Johnson nie odpowiedział. Zastanawiał się gorączkowo. McGrath przerzucił plik papierów i wyciągnął kartkę, na której wspomniano o dynamicie w ścianach więzienia Holly. Położył ją drukiem do dołu na lśniącym blacie. Lecz Johnson ponownie pokręcił głową.

- Nie - powtórzył. - Dwudziestu ludzi przeciwko stu. Nie szkolono ich do walki bezpośredniej, to nie piechota, a stingery w niczym nie pomogą. Zakładam, że ci terroryści nie dysponują własnymi samolotami. Nie, zaczekamy. Sprowadźcie tu oddział raketowy, jak najszybciej. Chwilowo nie przeprowadzimy żadnej akcji zaczepnej.

Adiutant wzruszył ramionami. McGrath wsunął raport z powrotem w środek stosu. Webster rozejrzał się dookoła i lekko klepnął dłońmi o blat.

- Wracam do Waszyngtonu - oznajmił. - Muszę poznać stanowisko góry.

Johnson wzruszył ramionami, wiedział, że niczego nie zaczną bez wyprawy do Waszyngtonu. Webster odwrócił się do McGratha.

- Wy trzej ruszajcie do Butte - polecił. - Zainstalujcie się w tamtejszym biurze. Jeśli Jackson się odezwie, poinformujcie go o wszystkim.

- Możemy was tam przewieźć helikopterem - wtrącił adiutant.

- Potrzebujemy też informacji - dodał Webster. - Czy lotnictwo mogłoby posłać nad Yorke samoloty szpiegowskie?

Johnson przytaknął.

- Będą tam - rzekł. - Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Obraz prześlemy wprost do Butte. Zobaczycie wszystko, nawet pierdzącego szczura.

- I nie interweniujemy - dodał Webster. - Przynajmniej na razie.

29

Dokładnie w chwili, gdy ustąpiła szósta śruba, Holly usłyszała kroki na korytarzu. Lekkie; to nie był Jackson. Nie mężczyzna, nawet najostrożniejszy. Kobieta. Kroki zatrzymały się przed drzwiami. Chwila ciszy. Holly umieściła długą rurkę na miejscu. Szczęk klucza wsuwanego w zamek. Materac wylądował na swej siatce. Holly zakryła go kocem. Chwila ciszy. Drzwi się otwarły. Do środka weszła kobieta. Wyglądała jak one wszystkie - biała, szczupła, długie proste włosy, silna, wyrazista twarz. Brak makijażu czy ozdób. Czerwone ręce. Dźwigała tacę zakrytą białą ściereczką. Nie miała broni.

] - Lunch - oznajmiła.

; Holly skinęła głową. Serce waliło jej jak młot. Kobieta [Stała w progu z tacą w dłoniach, rozglądając się po pokoju przyglądając uważnie nowym sosnowym ścianom.

- Gdzie mam to postawić? - spytała. - Na łóżku? Holly pokręciła głową.

- Na podłodze.

Kobieta pochyliła się i ustawiła tacę na podłodze.

- Chyba przydałby ci się stół - zauważyła. - I krzesło. Holly zerknęła łakomie na sztuce, myśląc: narzędzia.

- Chcesz, żeby przynieśli ci krzesło? - spytała kobieta.

- Nie - odparła Holly.

- No, mnie też by się przydało - odpowiedziała tamta. - Muszę zaczekać, patrzeć, jak jesz,

dopilnować, żebyś nie ukradła sztucców.

Holly przytaknęła od niechcienia i okrążyła kobietę, spoglądając ukradkiem na otwarte drzwi. Kobieta zauważyła to i uśmiechnęła się szeroko.

- Nie ma gdzie uciec - stwierdziła. - Jesteśmy bardzo daleko od innych miast, a wokół ciągnie się bardzo niebezpieczny teren. Idąc na północ, po jakichś dwóch tygodniach dotarłabyś do Kanady, gdybyś po drodze znalazła dość korzonków, jagód i robaków, by się wyżywić. Na zachodzie musiałabyś przepłynąć rzekę. Na wschodzie zabłądziłabyś w lesie albo pożarłby cię niedźwiedź. A nawet gdyby ci się udało, od Montany dzieliłby cię miesiąc marszu. Na południu po prostu byśmy cię zastrzelili. Na granicy roi się od wart. Nie masz szans.

- Zablokowaliście drogę? - spytała Holly. Kobieta uśmiechnęła się.

- Wysadziliśmy most. Nie ma już drogi. Już nie.

- Kiedy? Przecież tu przyjechaliśmy.

- Przed chwilą. Nie słyszałaś? Pewnie nie. Nie przy takich ścianach.

- To jak odeślcie Reachera? Miał przekazać jakąś wiadomość.

Kobieta uśmiechnęła się ponownie.

- Ten plan uległ zmianie - oznajmiła. - Misja została odwołana. Nie wyjedzie.

- Czemu nie?

Kobieta popatrzyła wprost na nią.

- Dowiedzieliśmy się, co się stało z Peterem Bellem - powiedziała.

Holly umilkła.

- Reacher go zabił - ciągnęła tamta. - Uduślił. W Dakocie Północnej. Właśnie dostaliśmy informację. Ale przypuszczam, że ty doskonale o wszystkim wiesz.

[, Holly przyglądała jej się w milczeniu, myśląc: Reacher ma kłopoty. Ujrzała go oczyma duszy, skutego i samotnego.

- Skąd wiecie? - spytała cicho. Kobieta wzruszyła ramionami.

- Mamy wielu przyjaciół.

Holly cały czas patrzyła na nią. Kret, pomyślała. Wiedzą, że byliśmy w Dakocie Północnej. Wystarczy mapa i linijka, by ustalić, gdzie jesteśmy teraz. Ujrzała klawiatury komputerowe i nazwisko Jacksona na dziesiątkach ekranów.

;/ - Co się stanie z Reacherem? - spytała. - Życie za życie, takie mamy prawo. Dotyczy wszystkich, także twojego przyjaciela Reachera. - Ale co się z nim stanie? - nie ustępowała Holly. Kobieta zaśmiała się.

- Nietrudno zgadnąć. A może i trudno. Wątpię, by było coś prostego.

Holly pokręciła głową. - To była samoobrona - oznajmiła. - Tamten facet próbował mnie zgwałcić. Kobieta posłała jej pogardliwe spojrzenie.

- I to ma być samoobrona? Przecież jego nie chciał zgwałcić, prawda? A zresztą i tak pewnie sama się o to prosiłaś.

- Co takiego?

- Kręciłaś tyłkiem - dodała kobieta. - Znamy was, suki z wielkich miast. Biedny Peter, nie miał szans.

Holly patrzyła na nią bez słowa. Potem obejrzała się na drzwi.

- Gdzie jest teraz Reacher?

- Nie mam pojęcia - odparła kobieta. - Pewnie przykuty do jakiegoś drzewa.

Nagle wyszczerzyła zęby w szerokim uśmiechu.

- Ale wiem, gdzie będzie - rzuciła. - Na placu apelowym. To tam załatwiamy podobne sprawy. Mamy rozkaz zgłosić się tam i oglądać wszystko.

Holly jeszcze chwilę patrzyła na nią, przełknęła ślinę i skinęła głową.

- Pomożesz mi z łóżkiem? - spytała. - Coś jest nie tak. Kobieta zawahała się i podeszła bliżej.

- Co jest nie tak?

Holly odrzuciła koc i ściągnęła na podłogę materac.

- Śruby się poluzowały.

- Gdzie?

- Tutaj - oznajmiła Holly. Obiema rękami chwyciła długą rurkę, gwałtownie ją uniosła, okręciła się na pięcie i niczym tępą włócznią dźgnęła kobietę w bok głowy. Kątownik uderzył ją niczym metalowa pięść. Skóra pękła. Niewielki prostokąt kości wbił się głęboko w mózg. Kobieta odbiła się od materaca i martwa runęła na ziemię. Holly ostrożnie przeszła nad tacą z jedzeniem i spokojnie pokuśtykała w stronę otwartych drzwi.

30

Harland Webster znalazł się z powrotem w Budynku Hoovera o trzeciej po południu w czwartek, według czasu wschodniego wybrzeża. Skierował się wprost do swojego gabinetu. Sprawdził wiadomości. Następnie wezwał sekretarkę.

- Samochód - polecił.

Prywatną windą zjechał do garażu. Kierowca już czekał. Razem ruszyli do limuzyny i wsiedli do środka.

- Biały Dom - rzucił Webster.

- Ma pan spotkanie z prezydentem? - spytał zaskoczony kierowca.

Webster skrzywił się, wbijając wzrok w kark tamtego. Nie miał spotkania z prezydentem, nieczęsto się z nim widywał i nie życzył sobie, by mu o tym przypominano. A zwłaszcza żeby robił to cholerny kierowca, zdumiony, że istnieje taka możliwość.

-Z prokurator generalną - odparł. - W tej chwili jest W Białym Domu.

Kierowca przytaknął w milczeniu, przeklinając swój długi język. Jechał gładko, spokojnie. Budynek Hoovera od Białego Domu dzieli dokładnie tysiąc sześćset metrów, nieco ponad półtora kilometra - nie dość, by licznik wielkiej limuzyny w ogóle zareagował. Szybciej dałoby się pokonać

tę odległość pieszo. I taniej, bo odpalenie zimnego silnika V8 i jazda pancerną limuzyną zużywały mnóstwo paliwa. Lecz dyrektor nie mógł poruszać się pieszo. Teoretycznie mógłby zostać zamordowany. W istocie w całym mieście rozpoznałoby go pewnie z osiem osób. Ot, kolejny urzędnik z Waszyngtonu, w szarym garniturze i stonowanym krawacie. Anonimowy. Kolejny powód, dla którego stary Webster

wciąż się wścieka, pomyślał kierowca.

\* \* \*

Webster doskonale znał panią prokurator generalną. Była jego szefem, lecz znajomość nie wzięła się z osobistych spotkań, lecz z informacji, które zebrało Biuro przed powołaniem jej na to stanowisko. Webster prawdopodobnie wiedział o niej więcej niż ktokolwiek inny na świecie. Jej rodzice, przyjaciele, dawni koledzy znali ją, każdy na swój sposób. Lecz to Webster zebrał wszystko razem. Tylko on dysponował całościowym obrazem. Zgromadzone akta zajmowały tyle miejsca co krótka powieść. Nie było w nich nic, co mogłoby wzbudzić niechęć szefa FBI. Prawniczka, na początku kariery nieco radykalna, po latach prowadziła całkiem sporą praktykę; w końcu została sędzią. Nigdy nie wkurzała zbyt stróżów prawa, nie rzucała im kłód pod nogi na każdym kroku. Idealna kandydatka. Bez problemów przeszła kolejne etapy zatwierdzania. Okazała się też dobrą szefową i świetnym sprzymierzeńcem. Nazywała się Ruth Rosen. Webster miał z nią tylko jeden problem: była o dwanaście lat młodsza, bardzo ładna i znacznie bardziej znana niż on. Umówili się na czwartą. Zastał Rosen samą w niewielkim pokoju, oddalonym o dwa piętra i ośmiu agentów tajnych służb od Gabinetu Ovalnego. Powitała go zmęczonym uśmiechem i nagłym gestem smukłej dłoni.

- Holly? - spytała.

Przytaknął. Powtórzył jej wszystko, niczego nie ukrywając. Słuchała uważnie, stopniowo błędąc i mocno zaciskając usta.

- Jesteśmy absolutnie pewni, że tam ją trzymają? - spytała. Ponownie skinął głową.

- Jeśli tylko możemy być czegoś pewni.

- W porządku - rzekła. - Zaczekaj tu, dobrze?

Wyszła z pokoju. Webster czekał. Dziesięć minut, dwadzieścia, pół godziny. Zaczął krążyć po gabinecie, wyglądać przez okno. Otworzył drzwi i wyjrzał na korytarz. Jeden z agentów spojrział na niego, postąpił krok naprzód. Webster pokręcił głową w odpowiedzi na niezadane pytanie i znów zamknął drzwi. Usiadł w fotelu i czekał.

Ruth Rosen wróciła po godzinie. Przekroczyła próg i zamknęła za sobą drzwi. A potem zatrzymała się metr dalej. Była blada, oddychała ciężko, wyglądała na wstrząśniętą. Milczała i Webster zrozumiał, że ma poważny problem.

- Co się stało? - spytał.

- Wyłączyli mnie - oznajmiła. -Co?

- Wyłączyli mnie ze sprawy. Podobno źle zareagowałam. Od tej pory zajmuje się nią Dexter.

- Dexter? - powtórzył Webster. Dexter był szefem personelu Białego Domu. Polityk ze starej szkoły, twardy jak gład. I równie sentymentalny. Lecz to dzięki niemu prezydent zasiadał dziś w Gabinetcie Owalnym, zdobywszy znaczącą przewagę głosów.

- Bardzo mi przykro, Harlandzie - powiedziała Ruth Rosen. - Będzie tu za minutę.

Webster przytaknął z kwaśną miną. Prokurator generalna odwróciła się i zniknęła, pozostawiając go samego.

\* \* \*

Stosunki łączące resztę FBI z biurem w Butte w stanie Montana przypominają nieco stosunki pomiędzy Moskwą i Syberią. To standardowy dowcip w Biurze. Jeśli spieprzysz sprawę, jutro trafisz do Butte. Stanowiło to coś w rodzaju zesłania. Podobnie agenci KGB, którzy popadli w niełaskę, trafiali do zabitych deskami dziur na Syberii.

Lecz w ów czwartek trzeciego lipca dla McGratha, Miloševicza i Brogana biuro FBI w Butte stało się centrum wszechświata. Najbardziej pożądanym miejscem na świecie. Żaden z nich nie był tu nigdy wcześniej ani w interesach, ani dla przyjemności; żadnemu nawet nie przyszło do głowy, by się tu wybrać. Obecnie jednak wyglądali z helikoptera wojskowego niczym dzieci w drodze do Disneylan-du. Patrzyli w dół, zerkając na północny zachód, gdzie pod woalem mgiełki krył się okręg Yorke.

Agent z Butte był sprawnym weteranem FBI. Wciąż nie mógł dojść do siebie po osobistej rozmowie z Harlandem Websterem wprost z Budynku Hoovera. Polecono mu przewieźć trzech agentów z Chicago do swego biura, po drodze przekazać im wszystkie informacje, zainstalować na miejscu, wynająć parę dżipów, a potem wynieść się stamtąd i czekać na wiadomość. Czekał zatem na lotnisku okręgu Silver Bow, na którym wylądował brudny, czarny helikopter wojskowy. Po chwili agenci znaleźli się już w rządowym buic-ku, pędzącym na północ, do miasta.

- Odległości są tu ogromne - oznajmił miejscowy agent, zwracając się do McGratha. - Nie zapominajcie o tym. Od Yorke wciąż dzieli nas czterysta kilometrów. Przy naszych drogach to minimum cztery godziny. Osobiście wezwałbym parę jednostek i przeniósł się znacznie bliżej. Jeśli zostanieie tutaj, niewiele to zmieni. Zwłaszcza gdyby sytuacja gwałtownie się pogorszyła. McGrath przytaknął. - Jackson się odzywał? - spytał. - Ostatni raz w poniedziałek - odparł agent. - Zawiadomił o dynamicie.

- Następnym razem ma rozmawiać ze mną - oświadczył McGrath.

Agent z Butte skinął głową. Jedną ręką przytrzymał kierownicę, drugą zaczął grzebać w kieszeni. Wyciągnął niewielki odbiornik radiowy. McGrath odebrał mu go i włożył do własnej kieszeni.

- Bardzo proszę. Ja mam urlop. Rozkaz Webstera. Nie Cieszcie się jednak, Jackson rzadko się odzywa. Jest bardzo Ostrożny.

Miejscowe biuro FBI okazało się w istocie jednym pomieszczeniem na pierwszym piętrze piętrowego budynku administracji - biurko, dwa krzesła, komputer, wielka mapa Monta-ny na

ścianie, mnóstwo szafek i dzwoniący telefon. McGrath podniósł słuchawkę, posłuchał chwilę i mruknął. Rozłączył się, czekając, by miejscowy agent zrozumiał aluzję.

- Dobra, już mnie nie ma - stwierdził tamten. - Firma z Silver Bow sprowadzi wam parę dziptów. Potrzebujecie czegoś jeszcze?

- Prywatności - rzucił Brogan.

Starszy agent przytaknął i rozejrzał się po biurze. Potem zniknął.

- Lotnictwo wysłało parę samolotów szpiegowskich -oznajmił McGrath. - Wkrótce dostarczą nam sprzęt satelitarny. Przyjeżdża też generał i jego adiutant. Wygląda na to, że zostaną naszymi gośćmi. Raczej nie mogłem się sprzeciwić, prawda?

Milošević oglądał uważnie mapę na ścianie.

- Nawet nie powinieneś - odpowiedział. - Będziemy potrzebowali pomocy. Widzieliście kiedyś gorszy teren?

McGrath i Brogan dołączyli do niego. Palec Miloševicza spoczywał na Yorke, otoczonym plamami brązu i jadowitej zieleni.

- Tysiąc dwieście kilometrów kwadratowych - mruknął Milošević. - Jedna droga, jeden szlak pieszy.

- Wybrali dobre miejsce - dodał Brogan.

# \* #

- Rozmawiałem z prezydentem -oznajmił Dexter. Urwał, prostując się w fotelu. Webster patrzył na niego

bez słowa. Co innego, do diabła, mógł robić? Pielić grządki w ogrodzie różanym? Dexter odpowiedział mu przeciągłym spojrzeniem. Był drobny, suchy, opalony, wychudzony - człowiek, który w każdej chwili każdego dnia musi spoglądać na wszystko pod każdym możliwym kątem.

- I? - naciskał Webster.

- W tym kraju mamy sześćdziesiąt sześć milionów prywatnych właścicieli broni.

- I co z tego?

- Nasi analitycy uważają, że łączą ich wspólne sympatie - dodał Dexter.

- Jacy analitycy? Jakie sympatie?

- Przeprowadziliśmy ankietę. Nie dostałeś wyniku? Jeden dorosły na pięciu w razie konieczności gotów byłby wystąpić z bronią przeciw rządowi.

- I co z tego? - powtórzył Webster.

- Kolejna ankieta - ciągnął Dexter. - Proste pytanie. Odpowiedzi miały być instynktowne, prosto z serca. Kto ma rację: rząd czy milicje?

§- Dwanaście milionów Amerykanów stanęło po stronie milicji. Webster popatrzył na niego w milczeniu, czekając na ciąg dalszy.

- Co oznacza - podjął Dexter - gdzieś pomiędzy dwunastoma i sześćdziesięcioma sześcioma milionami wyborców.

- I co z nimi?

- A gdzie oni są? Nie znajdziesz zbyt wielu z nich w Waszyngtonie, Nowym Jorku, Bostonie czy Los Angeles. To mało reprezentatywna próbka. W niektórych miejscach stanowią oni niewielką mniejszość, ot, grupkę świrów. Lecz na innym obszarze to większość. A jeszcze gdzie indziej są normą, Harlandzie.

- No i?

- W niektórych miejscach kontrolują całe okręgi, a nawet stany.

Webster milczał.

- Na miłość boską, Dexterze - rzekł w końcu. - Tu nie chodzi o politykę. Tu chodzi o Holly.

Dexter rozejrzał się po niewielkim pomieszczeniu w Białym Domu. Ściany pokryto farbą w subtelnym odcieniu złamanej bieli. Malowano je na ten sam subtelny odcień co kilka lat, gdy w budynku pojawiał się nowy prezydent. De-xter uśmiechnął się z miną konesera.

- Na nieszczęście wszystko zahacza o politykę.

- Tu chodzi o Holly - powtórzył Webster. Dexter lekko pokręcił głową.

- Nie, tu chodzi o emocje. Pomyśl o niewinnych, naładowanych emocjami słowach takich jak: patrioci, ruch oporu, miazdzyć, podziemie, walka, ciemiezca, jednostka, zaufanie, bunt, rewolta, rewolucja, prawo. Słowa te mają w sobie pewien majestat, nie sądzisz? Zwłaszcza w Ameryce.

Webster nie ustępował.

- Nie ma nic majestatycznego w porywaniu kobiet - oznajmił. - Nic majestatycznego w nielegalnej broni, nielegalnych armiach, skradzionym dynamicie. To nie polityka.

Dexter znów niemal niedostrzegalnie potrząsnął głową.

- Pewne sprawy szybko stają się polityką. Pomyśl o Ruby Ridge, pomyśl o Waco, Harlandzie. To też nie była polityka, prawda? Ale wkrótce się w nią zmieniła. Naraziliśmy się wówczas jakimś sześćdziesięciu sześciu milionom wyborców. I postąpiliśmy naprawdę głupio. Ci ludzie oczekują gwałtownej reakcji, bo taka reakcja wywołuje publiczne wzburzenie i zyskuje im zwolenników. A my daliśmy im taką właśnie reakcję. Podsyciliśmy ich ogień. Wyglądało to, jakby wielki, potężny rząd zmiażdżył drobnych, bezradnych obywateli.

W pokoju zapadła cisza.

- Badania opinii wskazują, że musimy zmienić nasze podejście do tych spraw - podjął Dexter. - I próbujemy to zrobić. Naprawdę próbujemy. Jak by to teraz wyglądało, gdyby Biały Dom przestał próbować tylko dlatego, że tu chodzi o Holly? W tej chwili, tuż przed czwartym lipca? Nic nie rozumiesz? Zastanów się, Harlandzie! Pomyśl o reakcji, pomyśl o takich słowach jak: mściwi, samolubni, zemsta, osobiste. Właśnie takich słowach, Harlandzie. Pomyśl, co takie słowa oznaczałyby dla naszej popularności.

Webster patrzył na niego. Miał wrażenie, że białe ściany walą mu się na głowę.

- Na miłość boską, tu chodzi o Holly, nie o badania popularności ! A co z generałem? Czy prezydent powiedział mu to samo?

Dexter pokręcił głową.

- Ja mu to powiedziałem. Osobiście, dziesiątki razy. Dzwonił tu co godzina.

Prezydent nie odbiera już telefonów Johnsona, pomyślał Webster. Dexter nieźle go ustawił. - Dexter wzruszył ramionami.

- Myślę, że rozumie samą zasadę, lecz oczywiście jego osąd trudno w tej chwili nazwać bezstronnym. Nie jest zachwycony.

Webster umilkł, zastanawiając się gorączkowo. Był dostatecznie przebiegłym biurokrata, by wiedzieć, że jeśli nie da się kogoś pokonać, należy do niego dołączyć. Zmusić się do myślenia tak jak tamci.

- Ale uwolnienie jej mogłoby wam pomóc - rzekł. - I to bardzo. Wyglądałoby dobrze. Twardzi, zdecydowani, lojalni, rozsądni. To mogłoby zwiększyć popularność.

Dexter przytaknął.

- Całkowicie się z tobą zgadzam, lecz istnieje ryzyko. Wielkie ryzyko. Szybkie zwycięstwo? Świetnie! Ale schrza-niona akcja to klęska. Mamy więc wielkie ryzyko, a stawką jest mnóstwo głosów. Wątpię, czy w tej chwili zdołalibyście odnieść szybkie zwycięstwo. Nie jesteście gotowi. Na razie stawiałbym raczej na klęskę.

Webster wbił w niego wzrok.

- Hej, bez urazy, Harlandzie. Płacą mi za to, żebym tak myślał. Rozumiesz?

- Co właściwie usiłujesz mi powiedzieć? - spytał Webster. - Muszę jak najszybciej posłać na miejsce jednostkę antyterrorystyczną.

- Nie - odparł Dexter.

- Nie? - powtórzył z niedowierzaniem Webster. Dexter pokręcił głową.

- Odmawiam zgody. Przynajmniej na razie. Webster milczał.

- Muszę mieć jasne stanowisko.

W pokoju zapadła cisza, a potem Dexter przemówił do plamy na białej ścianie, metr od krzesła Webstera.

- Nadal będziesz osobiście dowodził całą operacją. Jutro zaczyna się świąteczny weekend. W poniedziałek przyjdź, żeby ze mną pomówić. Jeśli nadal będziemy mieli problem.

- W tej chwili mamy problem - podkreślił Webster. - I rozmawiam z tobą.

Dexter ponownie pokręcił głową.

- Nie, nie rozmawiasz. Nie spotkaliśmy się dzisiaj, nie rozmawiałem też z prezydentem. O niczym nie wiemy. Opowiedz nam o tym w poniedziałek, Harlandzie. Jeśli nadal będziemy mieli problem.

Webster siedział bez ruchu. Był inteligentnym człowiekiem, lecz nie potrafił pojąć, czy właśnie wręczono mu wymarzony prezent, czy pigułkę trucizny.

\* \* \*

Johnson i jego adiutant zjawili się w Butte w godzinę później, w ten sam sposób, helikopterem należącym do lotnictwa z bazy Peterson, na lotnisku okręgu Silver Bow. Tuż przed lądowaniem zadzwonili. Milošević odebrał telefon i wyjechał po nich dwuletnim dżipem Grand Cherokee, dostarczonym przez miejscowego dealera. Podczas jazdy do miasta nikt się nie odzywał. Milošević prowadził, dwaj wojskowi pochylali się nad mapami i planami z wielkiej skórzanej aktówki adiutanta. Podawali je sobie z rąk do rąk, kiwając głowami, jakby nie potrzebowali dodatkowych uwag.

W pomieszczeniu na piętrze budynku administracji zapanował tłok. Pięciu mężczyzn, dwa krzesła. Jedyne okno wychodziło na południowy wschód, na ulicę, w złą stronę. Cała piątka odruchowo oglądała się na pusty mur naprzeciwko. Za tym murem, czterysta kilometrów dalej, znajdowała się Holly.

- Musimy się tam przenieść - oznajmił generał Johnson. Jego adiutant przytaknął.

- Nie ma sensu tu tkwić - dodał.

McGrath podjął decyzję. Przyrzekł sobie, że nie będzie się spierał z tymi ludźmi. Jego agentka była córką Johnsona. Doskonale rozumiał, co tamten czuje. Nie ma sensu marnować czasu i energii, udowadniając, że to on jest szefem. Poza tym potrzebował pomocy starszka.

- Musimy się dzielić wszystkim, co mamy, przynajmniej na razie - oznajmił.

Zapadła krótka cisza. Generał powoli skinął głową. Dość dobrze znał Waszyngton, by rozszyfrować ukryte znaczenie owych słów.

- W tej chwili nie dysponuję wieloma środkami - odparł. - To świąteczny weekend. Siedemdziesiąt pięć procent armii Stanów Zjednoczonych jest na przepustce.

Cisza. Tym razem to McGrath musiał rozszyfrować ukryty przekaz. Skinął głową.

- Nie ma pan uprawnień do odwołania przepustek? Generał pokręcił przecząco głową.

- Przed chwilą rozmawiałem z Dexterem, a Dexter z prezydentem. Uważają, że należy wszystko odłożyć do poniedziałku.

Nikt nie odpowiedział. Córce generała groziło śmiertelne niebezpieczeństwo, a prezydencki chłopiec na posyłki zabawiał się w polityczne gierki.

- Webster usłyszał to samo - oznajmił McGrath. - Nie może tu nawet przysłać grupy antyterrorystycznej. Na razie jesteśmy sami, tylko nas trzech.

Generał przytaknął. Przesłanie było jasne. Niczego nie ukrywamy, dobrze wiemy, jakie to poniżające, i doceniamy swoją szczerłość.

- Odrobina przygotowań jednak nie zaszkodzi - powiedział generał. - Obywatele od dawna podejrzewają, że wojsko lubi tajne manewry. Mają rację. Zamierzam wykorzystać kilka prywatnych kontaktów. Pan Dexter się o tym nie dowie.

Napięcie panujące w pokoju zelzało. McGrath spojrział pytająco na Johnsona.

- Ruchoma jednostka dowodzenia już tu jedzie - dodał generał.

Wziął od adiutanta mapę i rozłożył ją na biurku.

- Spotkamy się w tym miejscu - rzekł.

Jego palec wskazywał punkt na północny zachód od ostatniego miasta w Montanie przed Yorke. Szeroki zakręt na drodze prowadzącej do miasteczka, jakieś dziesięć kilometrów przed mostem nad wąwozem.

- Załatwiłem też ciężarówki ze sprzętem satelitarnym. Po dotarciu na miejsce zorganizujemy punkt dowodzenia i zablokujemy drogę za nami.

McGrath bez słowa wpatrywał się w mapę. Wiedział, że zgoda oznacza przekazanie pełnej władzy nad operacją wojsku. Wiedział też, że sprzeciw byłby w istocie wyłącznie żalosną gierką, popisem siły. Tu chodziło o życie jego agentki i córki tego człowieka. I nagle dostrzegł, że palec generała spoczywa centymetr od znacznie lepszego miejsca. Nieco dalej na północ droga zwężała się gwałtownie na prostym odcinku, skąd byłby doskonały widok na północ i południe. Wyższy teren, lepsze miejsce na blokadę, na punkt dowodzenia. Zdumiewające, że generał go nie zauważył. I nagle ogarnęła go fala wdzięczności. Generał zauważył to miejsce, dał jednak wolną rękę McGrathowi. Czekał, by on je wskazał. Pozostawiał miejsce na negocjacje. Nie pragnął całkowitej władzy.

- Wolałbym to miejsce.

Postukał ołówkiem w wybrany przez siebie punkt. Generał udał, że przygląda mu się uważnie, a jego adiutant udał zaskoczonego.

- Dobry wybór - oznajmił generał. - Zmienimy punkt zborny.

McGrath się uśmiechnął. Doskonale wiedział, że ciężarówki zmierzają właśnie w to miejsce. Prawdopodobnie już tam są. Generał uśmiechnął się szeroko. Zakończyli rytualny taniec władzy.

- Co przekazują nam samoloty szpiegowskie? - spytał Brogan.

- Wszystko - odrzekł adiutant generała. - Zaczekajcie, aż zobaczycie te zdjęcia. Ich kamery są niewiarygodnie dokładne.

- To mi się nie podoba - mruknął McGrath. - Tamci z pewnością się zdenerwują.

Adiutant pokręcił głową.

- Nawet nie będą o nich wiedzieć. Mamy na miejscu dwa, lecące w linii prostej ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód, na pułapie jedenastu tysięcy metrów. Na ziemi nikt ich nie zauważy.

- To przecież jedenaście kilometrów - wtrącił Brogan. - Jak z takiej wysokości mogą cokolwiek zobaczyć?

- Mają dobry sprzęt - wyjaśnił adiutant. - Jedenaście kilometrów to pestka. Z takiej wysokości pokażą paczkę papierosów leżącą na chodniku. Wszystko działa automatycznie. Pilot naciska guzik i kamera zaczyna śledzić to, co powinna. Celuje w wybrane miejsce na ziemi, przekazując przez satelitę dokładny obraz. Potem samolot zawraca, kamera obraca się i powtarza cały proces.

- Nie wykryją ich? - spytał McGrath.

- Wyglądają jak samoloty pasażerskie - odparł adiutant. - Człowiek uniesie wzrok, zobaczy słaby ślad pary na niebie i pomyśli, że to kolejny rejs TWA. Nie będzie podejrzewał, że to lotnictwo sprawdza, czy dziś rano wyczyścił sobie buty.

- Z wysokości jedenastu kilometrów widać włosy na głowach ludzi - dodał Johnson. - Myśleliście, że na co wydajemy pieniądze z budżetu obrony, na opylanie pól?

McGrath skinął głową. Czuł się nagi. Chwilowo nie miał nic do zaoferowania poza dwuletnimi wynajętymi dżipami, czekającymi na chodniku.

- Przygotowujemy profil tego gościa, Borkena - rzekł. - Psychiatrzy w Quantico właśnie nad nim ślęczą.

- Znaleźliśmy dawnego dowódcę Jacka Reachera - powiedział Johnson. - Pracuje za biurkiem w Pentagonie. Wkrótce do nas dołączy. Powie, co trzeba.

McGrath przytaknął.

- Przezorny zawsze ubezpieczony - mruknął. Zadzwoił telefon. Adiutant Johnsona, który stał najbliżej, podniósł słuchawkę.

- Kiedy wyruszamy? - spytał Brogan.

McGrath zauważył, że agent zadał to pytanie Johnsonowi.

- Myślę, że natychmiast. Lotnictwo dostarczy nas na miejsce. To nam oszczędzi sześciu godzin jazdy. Zgadza się?



Adiutant odwiesił słuchawkę. Wyglądał, jakby ktoś kopnął go w brzuch.  
- Jednostka raketowa - oznajmił. - Straciliśmy kontakt radiowy. Na północ od Yorke.

31

Holly przystanąła na korytarzu i uśmiechnęła się. Kobieta zostawiła swoją broń opartą o ścianę obok drzwi. Stąd właśnie chwila przerwy, nim tamta weszła do środka. Wsunęła klucz w zamek, postawiła tacę na podłodze, zdjęła z ramienia broń, oparła o ścianę, podniosła tacę i w końcu otworzyła drzwi.

Holly zamieniła żelazną rurkę na pistolet. Nigdy wcześniej z takiego nie strzelała i wcale nie miała ochoty. Był to niewielki pistolet maszynowy Ingram MAC 10. Wojsko już dawno z niego zrezygnowało i miało powody. Grupa Holly w Quantico naśmiewała się z niego, nazywając go bronią do budki telefonicznej. Był tak niecelny, że trzeba by stanąć z celem w jednej budce, by mieć pewność, że się trafi. Ponury dowcip. Poza tym strzelał stanowczo zbyt szybko. Tysiąc pocisków na minutę. Jedno dotknięcie spustu wystarczyło, by opróżnić magazynek.

Mimo wszystko był jednak lepszą bronią niż kawałek starej żelaznej ramy łóżka. Holly sprawdziła magazynek -pełny. Trzydzieści pocisków, czysta komora. Lekko nacisnęła spust, patrząc, jak działa mechanizm. Broń sprawowała się idealnie - jak na ten model. Holly z powrotem włożyła magazynek, wyprostowała brezentowy pasek i zarzuciła go sobie na ramię. Odbezpieczyła broń, zaciśnęła

dłoń na kolbie, mocno oparła się na kuli i ruszyła w stronę schodów.

Tuż przed nimi zatrzymała się, nasłuchując uważnie. Nic, cisza. Zaczęła schodzić, powoli, stopień za stopniem, trzymając przed sobą ingrama. Na dole znów odczekała chwilę, wyteżając słuch. Nic. Przeszła przez hol i dotarła do drzwi. Otworzyła je ostrożnie, wyjrzała na zewnątrz. Ulica była pusta i szeroka; wyglądała niczym wielkomiejski bulwar. Aby dotrzeć do bezpiecznego miejsca po drugiej stronie, Holly potrzebowała kilku minut na otwartej przestrzeni, minut, podczas których będzie widać ją wyraźnie z góry. Oceniała odległość, odetchnęła głośno i zaciśnęła palce na uchwycie kuli. Wysunęła ingrama naprzód. Ponownie odetchnęła głęboko i ruszyła chwiejnie przed siebie. Mocno uderzała kulą

o ziemię, skakała naprzód na zdrowej nodze, a lufa ingrama zataczała łuk od lewej do prawej i z powrotem.

Holly rzuciła się na pagórek przed zrujnowanym budynkiem rady miejskiej. Jak najszybciej ruszyła na północ, dookoła i za niego, i zaczęła przebijać się przez gęste krzaki. W końcu znalazła się w lesie, równoległe do głównego traktu, lecz trzydzieści metrów od niego. Oparła się o pień drzewa i zgięła wpool, dysząc z wyczerpania, strachu i podniecenia.

To było to. Do tego właśnie prowadziło całe jej życie. Słyszała w głowie wojenne opowieści ojca - dzungle Wietnamu, śmiertelny strach przed wrogiem czającym się w zielonym poszyciu, poczucie zwycięstwa towarzyszące każdemu bezpiecznemu krokowi, każdemu zyskanemu metrowi. Ujrzała twarze twardych, milczących mężczyzn, których poznała w dzieciństwie w bazach wojskowych, i instruktorów w Quantico. Znów poczuła rozczarowanie, jak wtedy gdy przydzielono jej bezpieczne biurko w Chicago. Takie szkolenie zmarnowane z powodu tego, kim była. Teraz

wszystko się zmieniło. Wyprostowała się, odetchnęła głęboko, i jeszcze raz. Odezwały się w niej geny przodków. Wcześniej uważała je za niechcianych intruzów, teraz były jej przyjaciółmi. Córka swojego ojca. O tak.

\* \* \*

Reacher stał przykuty do pnia trzydziestometrowej sosny. Wąską ścieżką zaciągnięto go do Bastionu. Aż kipiał z wściekłości. Od czasów dzieciństwa nie dostał takiego lania. Furia zagłuszała ból i zaćmiewała myśli. Życie za życie, powiedział tłuszcioch. Reacher leżał wówczas skręcony na podłodze; słowa te nic dla niego nie znaczyły.

Teraz jednak zyskały znaczenie. Powróciły do niego, kiedy tak stał i czekał. Wokół siebie widział

mężczyzn i kobiety. Podchodzili do niego, uśmiechali się. Pamiętał podobne uśmiechy z bardzo dawnych czasów. Tak samo uśmiechały się znudzone dzieci, mieszkające w zamkniętych bazach wojskowych, gdy usłyszały, że do miasta przyjeżdża cyrk.

\* \* \*

Holly zastanawiała się gorączkowo. Musiała odgadnąć, gdzie jest Reacher i gdzie znajduje się plac apelowy, a potem dotrzeć w pół drogi pomiędzy tymi dwoma nieznanymi miejscami i urządzić zasadzkę. Wiedziała, że grunt podnosi się stromo w stronę polany, na której stoją chaty. Pamiętała, jak sprowadzano ją w dół, do budynku sądu. Odgadła, że plac apelowy musi być duży i płaski, co oznaczało, że leży jeszcze wyżej, na północnym zachodzie, w niecce między szczytami. W pewnej odległości od chat. Ruszyła lasem w górę zbocza.

Starła się odgadnąć, którądy biegnie główna ścieżka. Co kilka metrów przystawała i spoglądała na południe, obracała się w lewo i prawo w poszukiwaniu przerwy w leśnym sklepieniu, miejsca, w którym wycięto drzewa. W ten sposób mogła poznać, którądy trzeba iść. Trzymała się równolegle do ścieżki, trzydzieści, czterdzieści metrów na północ, i przeciskała z trudem między solidnymi gałęziami odrastającymi na boki od pni. Cały czas szła stromo pod górę. To była trudna wędrówka. Holly wykorzystywała swoją kulę tak jak flisak drąg, wbijając ją mocno w ziemię i podciągając się na niej.

W pewnym sensie kolano okazało się pomocne. Sprawilo, że wspinała się powoli i ostrożnie. Ciszej. Wiedziała, jak się to robi. Nie z Quantico, ze starych opowieści z Wietnamu. W akademii skupiano się na walce w mieście. Biuro nauczyło ją, jak się skradać ulicą bądź w ciemnym budynku. Wspomnienia z lasu znajdowały się we wcześniejszych warstwach pamięci.

\* \* \*

Część ludzi podchodziła i odchodziła, lecz niektórzy zostawali. Po kwadransie wokół Reachera utworzył się szeroki pierścień liczący piętnaście, szesnaście osób, głównie mężczyzn. Utrzymywali dystans, niczym gapie na miejscu wypadku, za niewidoczną linią policyjną. Patrzyli na niego w milczeniu, ich twarze nie zdradzały niczego. Odpowiedział spojrzeniem. Jego wzrok na kilkanaście sekund zatrzymywał się na każdej kolejnej twarzy. Ręce unosił możliwie wysoko za plecami. Chciał, by nogi zachowały zdolność manewru, na wypadek gdyby komuś z nich zachciało się wcześniej rozpocząć zabawę.

\* \* \*

Pierwszego wartownika wyczuła węchem, nim jeszcze go ujrzała. Szedł z wiatrem w jej stronę; palił papierosa. Woń tytoniu i brudnego munduru dotarła do niej pierwsza. Holly bezszelestnie odsunęła się w prawo, zataczając szeroki krąg. Odczekała chwilę. Wartownik odszedł na dół i zniknął.

Drugi wartownik ją usłyszał. Wyczuła to. Zatrzymał się, i nadstawiał uszu. Stała nieruchomo, zastanawiając się gorączkowo. Nie chciała użyć ingrama, był zbyt niecelny, z pewnością by nie trafiła, a hałas ściągnąłby wroga. Pochyliła się i podniosła z ziemi dwa małe kamyki. Stara sztuczka, o której opowiadano jej w dzieciństwie. Cisnęła pierwszy kamyczek dwadzieścia metrów w lewo. Zaczekała moment i rzuciła drugi dziesięć metrów dalej. Wartownik pomyślał, że coś oddala się powoli w lewo. Usłyszała, jak skręca w tamtą stronę. Ona skręciła w prawo. Kolejny szeroki łuk i naprzód, w górę niekończącego się zbocza. \* \* \*

\* Fowler przecisnął się przez niewielki krąg widzów. Stał naprzeciw Reachera i wbił w niego twarde spojrzenie. Z tłumu wyłoniło się sześciu strażników. Pięciu celowało do Reachera z karabinów, szósty trzymał w dłoni kawałek łańcucha.-Fowler odsunął się. Pięć luf jednocześnie wbiło się w brzuch więźnia. Reacher spojrzał na nie. Broń była odbezpieczona, ustawiona na ogień ciągły.

- Czas na nas - oznajmił Fowler.

Zniknął za grubym pniem. Reacher poczuł, że zdjęto mu kajdanki. Pochylił się naprzód, lufy cofnęły się, ustępując jednocześnie. Ponownie założono mu kajdanki. Tym razem zamocowano do nich łańcuch. Fowler chwycił za niego i powłókł Reachera przez Bastion. Pięciu strażników

maszerowało tyłem, cały czas celowali do niego, trzymając lufy w odległości trzydziestu centymetrów. Ludzie stworzyli na polanie ciasny kordon. Gdy przechodził, syczeli i mamrotali. A potem rozbiegli się i popędzili naprzód, w stronę placu apelowego.

\* \* \*

Trzeci wartownik ją złapał. Musiała wdrapać się na wysoki skalny występ, a z powodu bolącego kolana mogła to

zrobić jedynie tyłem. Usiadła na skale jak na krześle. Zdrową nogą i kulą zaczęła się podierać i po kawałeczku posuwać w górę. W końcu dotarła na szczyt. Przeturlała się na plecy, dysząc z wysiłku. A gdy dźwignęła się z ziemi, stanęła twarzą w twarz z wartownikiem.

Przez ułamek sekundy zdrętwiała, zaskoczona i wstrząśnięta. On nie. Stał na szczycie zbocza, obserwując każdy etap jej bolesnej wędrówki. Nie był zatem zaskoczony, ale okazał się zbyt wolny. Mając do czynienia z przeciwnikiem takim jak Holly, powinien był zareagować szybko. Powinien być gotowy. Zanim cokolwiek zrobił, zaatakowała go. Działała automatycznie, bez namysłu, tak jak nauczono ją na szkoleniu. Zwinęła dłoń w pięść i mocno uderzyła przeciwnika w krocze. Mężczyzna zgiął się wpół. Holly lewą ręką złapała go za gardło, a prawym łokciem rąbnęła w plecy. Poczowała, jak kręgi pękają. Jego ciało opadło bezwładnie. Zaciśnęła dłonie na jego głowie i z całych sił przekręciła ją najpierw w jedną, potem w drugą stronę, przerywając rdzeń kręgowy. Obróciła się i zrzuciła go na dół. Trup potoczył się po zboczu. W tym momencie Holly zakłęła z goryczą. Powinna była zabrać jego karabin. Był wart tyle co dziesięć ingramów, ale nie ma mowy, by zdołała po niego zejść. I tak straciła zbyt wiele czasu.

\* \* \*

Na placu apelowym zebrało się mnóstwo ludzi. Wszyscy stali w równych szeregach. Reacher szacował, że jest ich koło setki, mężczyźni i kobiety, wszyscy w mundurach, uzbrojeni. W sumie dysponowali potężną siłą ognia. Każdy z nich miał na lewym ramieniu albo karabin automatyczny, albo karabin maszynowy. I dodatkowo za pasem pistolet automatyczny. A także zapasowe magazynki i granaty. Wielu z nich wysmarowało sobie twarze nocną farbą maskującą.

Mundury pochodziły z wojskowego demobilu. Kurtki maskujące, spodnie, buty, czapki. Reacher oglądał podobne wcześniej w magazynie, lecz każdy mundur miał też elementy dodatkowe. Na rękawach kurtek widniały nowiusieńkie naszywki z czerwono-brązowego jedwabiu z eleganckim napisem: Milicja Montany. Na oliwkowej taśmie nad kieszenią na piersi wypisano nazwiska właścicieli. U niektórych Reacher dostrzegł na kieszeniach metalowe, chromowe gwiazdki, zapewne oznaczające stopnie.

Beau Borken stał na odwróconej drewnianej skrzyni na zachodnim skraju placu, zwrócony plecami do lasu. Jego

masywne cielsko wznosiło się ponad szeregi oddanych żołnierzy. Ujrzał Fowlera, Reachera i strażników wynurzających się spomiędzy drzew. - Baczość! - krzyknął.

Rozległ się szelest. To setka członków milicji stanęła na baczość. Reacher poczuł niesioną z wiatrem woń brezentu i płótna, zapach stu mundurów z demobilu. Borken machnął tłustą łapą i Fowler szarpnął łańcuch, ciągnąc Reachera przed zebrany tłum. Strażnicy chwycili go za ramiona, odwrócili i ustawili tak, że stał samotnie po lewej stronie skrzynki naprzeciw zebranych.

- Wszyscy wiemy, dlaczego tu jesteśmy! - wykrzyknął

Borken.

\* \* \*

Holly nie miała pojęcia, jak daleko zaszła. Wydawało jej się, że pokonała kilkanaście kilometrów. Setki metrów w górę. Wciąż jednak znajdowała się głęboko w lesie. Od głównej ścieżki dzieliło ją czterdzieści metrów. Liczyła w myślach upływające minuty. Zaczynała ogarniać ją panika. Mocniej ścisnęła w ręce kulę i jak najszybciej ruszyła na północny zachód.

Nagle ujrzała przed sobą budynek - drewnianą chatę, widoczną pośród drzew. Poszycie zniknęło, zastąpione kamiennym łupkiem. Holly podkraśniała się na skraj lasu i przystanąła, wyteżając słuch. Słyszała jednak tylko własny oddech. Chwyciła kulę, uniosła ingrama, pokuśtykała do chaty i

okrażała ją. Była na polanie, na którą przywieziono ich zeszłej nocy. Szeroka, kolista przestrzeń wysypana kamieniami. Wokół stały chaty, puste, ciche. Na polanie panowała cisza. Holly wynurzyła się zza chaty, pokuśtykała na środek placu, obracając się na kuli i zataczając szerokie łuki ingra-mem. Sprawdziła wszystkie drzewa. Nic. Nikogo.

Ujrzała dwie ścieżki. Jedną biegnącą na zachód, drugą, szerszą, prowadzącą na północ. Wybrała północną i z powrotem ukryła się między drzewami. Zapomniała o dyskrecji i jak najszybciej pomaszerowała naprzód.

\* \* \*

- Wszyscy wiemy, dlaczego tu jesteśmy! - krzyknął ponownie Borken.

Znów zaszurały nogi. W tłumie rozległy się szepty. Re-acher przebiegł wzrokiem po twarzach. W pierwszym rzędzie ujrzał Steviego. Na jego kieszeni połyskiwała chromowa gwiazdka. Mały Stevie był oficerem. Obok niego dostrzegł Josepha Raya. Nagle uświadomił sobie, że nie ma Jacksona, nigdzie nie widział czoła przeciętego blizną. Sprawdził ponownie, rozglądając się wokół. Ani śladu. Zacisnął zęby, powstrzymując uśmiech. Jackson wciąż się ukrywa. Holly nadal ma szansę.

\* \* \*

Dostrzegła go, gdy wyjrzała spomiędzy drzew. Zobaczyła, jak stoi obok Borkena. Ręce miał skute za plecami, przebiegał wzrokiem tłum. Jego twarz niczego nie wyrażała. Usłyszała, jak Borken mówi: wszyscy wiemy, dlaczego tu

jesteśmy. I pomyślała: tak, wiem, czemu tu jestem, dokładnie wiem, czemu tu jestem. Obejrzała się w prawo i w lewo. Setka ludzi, karabiny, pistolety maszynowe, broń krótka, granaty. Borken na skrzyni z uniesionymi rękami, bezradny Reacher obok. Holly stała wśród drzew, serce tłukło jej się w piersi. W końcu odetchnęła głęboko. Przetawiała ingra-ma na pojedyncze strzały i wypaliła w powietrze. Wypadła spomiędzy drzew, strzeliła ponownie i jeszcze raz. Trzy strzały, trzy kule; w magazynku pozostało dwadzieścia siedem. Przełączyła ingrama z powrotem na pełny ogień automatyczny i zagłębiła się w tłum, który ustępował przed nią w rytm powolnych, groźnych ruchów trzymającej broń dłoni.

Była tylko samotną kobietą wędrującą powoli przez tłum złożony ze stu ludzi. Rozstępowali się przed nią czujnie, a potem zdejmowali broń, odbezpieczali i celowali w jej plecy. Fala głośnych mechanicznych szczęków podążała za nią niczym powolny przyptyw. Nim dotarła do pierwszych szeregów, z tyłu każde jej poruszenie śledziła setka luf.

- Nie strzelać! - krzyknął Borken. - To rozkaz. Niech nikt nie waży się strzelić!

Zeskoczył ze skrzynki. Jego twarz zdradzała panikę. Szeroko uniośł ręce, tańcząc desperacko wokół niej, osłaniając ją własnym, potężnym cielskiem. Nikt nie wystrzelił. Holly odkuśtykała na bok i odwróciła się, stając naprzeciw zebranych.

- Co ty, do diabła, robisz?! - wrzasnął Borken. - Myślisz, że zdołasz z tej spluwy zastrzelić sto osób?

Holly pokręciła głową.

- Nie - powiedziała cicho.

Odwróciła ingrama i przycisnęła go do piersi.

- Ale siebie, owszem - dodała.

Tłum umilkł. Nawet oddechy zebranych na placu ludzi rozpląnęły się w ogłuszającej górskiej ciszy. Wszyscy wpatrywali się w Holly, która trzymała odwróconego ingra-ma, przyciskając sobie lufę tuż nad sercem. Napięty kciuk spoczywał na spuście. Nalana twarz Borkena błyszczała od tłustego potu. Cały trząsał się i dygotał, podskakując obok skrzynki i patrząc na Holly w oszołomieniu. Spojrzała na niego spokojnie.

- Jestem zakładniczką. Zgadza się? - powiedziała. - Ważną dla nich i dla was z powodu tego, kim jestem. Dla wielu coś znacząc. Oczekujesz, że moi krewni i współpracownicy coś zrobią, by utrzymać mnie przy życiu. No to teraz twoja kolej. Pomówmy o tym, co ty gotów jesteś zrobić, by utrzymać mnie przy życiu.

Borken ujrzał, jak Holly zerka na Reachera.

- Ty nie rozumiesz! - wrzasnął. W jego głosie zadźwięczał strach. - Nie zamierzam go zabić. On będzie żył, sytuacja uległa zmianie.

- Jakiej zmianie? - spytała spokojnie.

- Złagodziłem mu wyrok - oświadczył Borken, nadal na granicy paniki. - Po to się tu zebraliśmy, właśnie to miałem ogłosić. Wiemy, kim jest, dopiero co się dowiedzieliśmy, dostaliśmy informację. Służył w wojsku. Major Jack Reacher jest bohaterem, odznaczonym Srebrną gwiazdą. ! - I co z tego? - Uratował grupę żołnierzy piechoty morskiej - ciągnął z napięciem Borken. - W Bejrucie. Zwykłych żołnierzy, wyciągnął ich z płonącego bunkra. Oni nigdy nas nie zaatakują, póki tu jest. Nigdy. Zamierzam więc wykorzystać go jako zakładnika. Stanowi świetne ubezpieczenie przeciw piechocie morskiej. Potrzebuję go!

Holly patrzyła na niego bez słowa, Reacher także.

- Zmieniam mu wyrok - dodał Borken. - Pięć lat karnej kompanii. To wszystko, nic poza tym. Bez dyskusji. Potrzebuję go żywego.

Patrzył na nią z uśmiechem komiwojażera, jakby właśnie rozwiązał problem. Holly wodziła wzrokiem od niego do Reachera, który z kolei obserwował tłum. Ludzie nie przyjęli tego dobrze. Cyrk odjechał przed występem. Reacher miał wrażenie, że wszyscy postąpili krok naprzód, jakby sprawdzali, jak daleko sięgnie władza Borkena. Holly zerknęła na niego, w jej oczach krył się lęk. Skinęła głową, lekko, niemal niedostrzegalnie. Cokolwiek się stanie, ona będzie bezpieczna. To, kim była, chroniło ją niczym niewidzialny, czarodziejski płaszcz.

Reacher przytaknął. Nie odwracając się, ocenił odległość dzielącą go od najbliższych drzew. Jakies siedem metrów. Pchnąć Fowlera na przedni szereg ludzi, szarpnąć łańcuch, rzucić się biegiem. Może zdąży, nim ktokolwiek zdoła wycelować. Siedem metrów. Start z miejsca. Dodatkowy rozpęd zyskany dzięki odepchnięciu Fowlera. Cztery, może pięć kroków. Może trzy sekundy, może cztery. Wśród drzew miałby szansę uniknąć pocisków. Wyobraził sobie, jak kule uderzają o pnie po obu stronach, a on biegnie i uskakuje. Las to najlepszy przyjaciel uciekiniera. Trzeba wiele szczęścia, by trafić do człowieka biegnącego wśród drzew. Przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę. Poczul, jak jego ścięgna mocno się napinają, a we krwi rośnie poziom adrenaliny. Ucieczka albo walka. Wówczas jednak Borken ponownie uniósł ręce, rozkładając je niczym anielskie skrzydła. Całą moc swych niezwykłych oczu skierował na własnych ludzi.

- Podjąłem już decyzję! - krzyknął. - Rozumiecie? Zapadła długa cisza. Trwała kilka sekund, w końcu uniosła się setka głów.

- Tak jest! - wykrzyknęła setka głosów.

- Rozumiecie? - powtórzył. - Tak jest!

- Pięć lat karnej kompanii! - krzyknął Borken. - Ale tylko wówczas, gdy zdoła dowieść, kim jest. Poinformowano nas, że to jedyny człowiek spoza piechoty morskiej, który zwyciężył w ich konkursie snajperów. Podobno potrafi z odległości tysiąca metrów umieścić sześć pocisków w srebrnej dolarówce. Zmierzę się z nim zatem. Osiemset metrów. Jeśli wygra, będzie żył, jeśli przegra, umrze. Rozumiecie?

Sto głów uniosło się jednocześnie.

- Tak jest! - wrzasnęło sto głosów.

Ludzie znów zaczęli szeptać między sobą. Tym razem w ich głosach brzmiała ciekawość. Reacher uśmiechnął się w duchu. Sprytnie posunięcie, pomyślał. Pragnęli widowiska i Borken zamierzał im je urządzić. Fowler wypuścił wstrzymywane dotąd powietrze, wyjął z kieszeni klucz. Pochylił się i rozpiął kajdanki. Łańcuch upadł na ziemię. Reacher odetchnął, roztarł przeguby.

Następnie Fowler podszedł do Holly, przeciskając się przez zgromadzonych ludzi. Stał naprzeciw niej. Holly

czekała długą chwilę. Zerknęła na Borkena, który skinął głową.

- Masz moje słowo - oznajmił z udawaną godnością. Chwilowo nie było go stać na więcej.

Holly spojrzała na Reachera, który wzruszył ramionami i pokiwał głową. Odpowiedziała tym samym, odwróciła wzrok. Zabezpieczyła ingrama, zsunęła pasek z ramienia. Z szerokim

uśmiechem odrzuciła broń na ziemię. Fowler pochylił się szybko do jej stóp. Borken uciszył tłum, unosząc ręce.

- Na strzelnicę! - wykrzyknął. - Tylko bez przepycha-nek. Rozejść się.

Holly pokuśtykała do Reachera i zaczęła iść obok niego.

- Zwyciężyłeś w Wimbledonie? - spytała cicho. Przytaknął.

- Więc dasz radę wygrać i teraz? Ponownie pokiwał głową.

- Z zawiązanymi oczami.

- To na pewno dobry pomysł? - naciskała. - Tacy ludzie bardzo nie lubią przegrywać.

Reacher wzruszył ramionami.

- Pragnie wielkiego widowiska i dostanie je - rzekł. - Jest teraz wstrząśnięty. Ty zaczęłaś. Chcę jeszcze bardziej zbić go z pantałyku. Na dłuższą metę to nam się przyda.

- Uważaj na siebie - szepnęła.

- Patrz i ucz się - odparł Reacher.

\* \* \*

Na najdalszym skraju strzelnicy ustawiono dwie nowe tarcze. Przeznaczona dla Borkena stała po lewej. Na piersi celu wypisano ATF. Tarcza Reachera, po prawej, miała plaketkę z napisem FBI. Kilka osób odciągnęło maty, jeszcze zwiększając dystans. Reacher oszacował, że od celu dzieli go osiemset trzydzieści metrów. Całkiem nieźle. Cholernie daleko.

Ludzie Borkena ustawili się w półokręgu, za matami i obok nich. Bliższe cele odrzucono w krzaki, by oczyścić drogę. Niektórzy mieli lornetki połowe. Skierowali je na drugą stronę. Powoli hałas ucichł. Wszyscy czekali w napięciu.

Fowler wybrał się samotnie do zbrojowni na polanie poniżej. Po chwili wrócił. W obu rękach dźwigał karabiny - jeden dla Borkena, drugi dla Reachera. Identyczne. Każdy z nich kosztował tyle, co mały rodzinny samochód. Karabiny barrett, model 90. Długie na ponad metr, ważące ponad dziesięć kilo, samopowtarzalne, wystrzeliwiają pociski o średnicy dwanaście com a siedem milimetrów. Bardziej przypominały armatki niż zwykły karabin.

- Po jednym magazynku - oznajmił Borken. - Sześć strzałów.

Reacher wziął karabin i położył go na ziemi u swych stóp. Mały Stevie polecił ludziom cofnąć się poza materace. Borken sprawdził swoją broń, wysunął nóżki, włożył magazynek i delikatnie ustawił broń na macie.

- Ja strzelam pierwszy - powiedział.

Opadł na kolana i powoli ułożył swe ciężkie cielsko za karabinem. Przysunął do siebie lufę i przywarł do niej. Przesunął nóżki odrobinę w lewo, własny tyłek nieco w prawo. Szczęknął zamkiem, opadł jeszcze niżej. Przycisnął policzek do kolby i przyłożył oko do celownika optycznego. Joseph Ray wystąpił z tłumu i zaofiarował Reacherowi swoją lornetkę. Reacher podziękował w milczeniu, uniósł szkła. Palec Borkena zacisnął się na spuście. Pierwszy strzał.

Konstrukcja barretta sprawia, że gazy wylotowe kierują się w dół i na boki. Z maty wleciała chmura kurzu, karabin podskoczył z hukiem. Dźwięk odbił się falą od drzew i w sekundę później powrócił wzmocniony górskim echem. Sto par oczu powędrowało w stronę celu. Reacher uniósł lornetkę i skupił się na miejscu osiemset trzydzieści metrów dalej.

Pudło. Cel pozostał nietknięty. Borken zerknął przez lunetkę, skrzywił się. Przywarł do ziemi, czekając, aż kurz opadnie. Reacher go obserwował. Borken po prostu czekał, oddychał spokojnie, odprężony. Potem ponownie ugiął palec. Wystrzelił po raz drugi. Karabin podskoczył, huknął, dym znów wzbil się z ziemi. Reacher uniósł lornetkę. Trafienie. W prawym ramieniu celu ziała poszarpana dziura.

W tłumie rozległ się pomruk. Ludzie kolejno podawali sobie lornetki. Szepty wznosiły się i opadały. Kurz zniknął. Borken wystrzelił ponownie. Zbyt szybko. Wciąż się ruszał. Reacher patrzył, jak popełnia błąd. Nie musiał nawet sprawdzać celu, wiedział, że pocisk powędrował Panu Bogu w okno.

Tłum zaszeptał. Borken spojrział gniewnie przez celownik. Reacher patrzył, jak tamten robi

wszystko źle. Jego spokój zniknął, ramiona się napięły. Wystrzelił po raz czwarty. Reacher oddał lornetkę stojącemu niedaleko Jo-sephowi Rayowi. Nie musiał patrzeć. Wiedział, że Borken nie trafi już ani razu. W tym stanie spudłowałby nawet na czterysta metrów, na dwieście, na drugą stronę zatłoczonego pokoju.

Borken wystrzelił piątą, a potem szóstą kulę. Wstał powoli, podniósł wielki karabin i zerkając w lornetkę, sprawdził to, o czym wszyscy doskonale już wiedzieli.

- Jedno trafienie - oznajmił.

Opuścił lufę i popatrzył na Reachera.

- Twoja kolej - rzekł. - Życie albo śmierć.

Reacher przytaknął. Fowler podał mu magazynek. Reacher kciukiem sprawdził sprężynę, nacisnął pierwszy pocisk i poczuł, jak powraca gładko. Kule były błyszczące, wypolerowane ręcznie, snajperskie. Schylił się i dźwignął ciężki karabin. Trzymając go poziomo, wsunął magazynek na miejsce - nie demonstracyjnie, tak jak uczynił to Borken, lecz naciskając łagodnie środkiem dłoni.

Powoli otworzył nóżki. Zabezpieczył każdą z nich. Spojrzał na drugą stronę strzelnicy, położył karabin na materacu. Przykucnął obok i legł na ziemi jednym płynnym ruchem. Leżał niczym nieboszczyk, z rękami uniesionymi ku broni. Miał ochotę leżeć tak bardzo długo. Był zmęczony, śmiertelnie zmęczony. W końcu jednak poruszył się i oparł lekko policzek o kolbę. Przesunął ją bliżej prawego ramienia. Lewą dłoń położył pod lufą, tak że palce spoczywały tuż pod celownikiem, prawą skierował powoli w stronę spustu. Przysunął prawe oko do lunety. Wypuścił z płuc powietrze.

Przy strzelaniu z karabinu snajperskiego na daleką odległość dochodzi do połączenia wielu czynników. Zaczyna się od chemii, później do akcji wkracza mechanika i planowanie, optyka, geofizyka, meteorologia. A nad tym wszystkim stoi ludzka biologia.

Chemia ma związek z wybuchami. Proch umieszczony w pocisku, w tylnej części łuski, musi wybuchnąć idealnie, przewidywalnie, natychmiast, z ogromną siłą. Musi wyrzucić pocisk z lufy z maksymalną szybkością. Dwunastomilimetrowa kula z komory tego modelu barretta waży odrobinę ponad pięćdziesiąt sześć gramów. W jednej minucie spoczywa nieruchomo, po tysięcznej sekundzie opuszcza lufę z prędkością niemal trzech tysięcy dwustu kilometrów na

godzinę. Proch musi wybuchnąć szybko, całkowicie i mocno. To trudny problem chemiczny. Zważywszy na niewielki ciężar wszystkiego, taki wybuch musi być najlepszym wybuchem na świecie.

Potem na jakiś czas wszystkim zaczyna rządzić mechanika. Pocisk musi być wykonany idealnie, najlepsza możliwa jakość, niemal jak klejnot. Musi mieć idealną masę i wielkość. Zachować doskonale okrągły, opływowy kształt. Musi znieść gwałtowną rotację wewnątrz gwintowanej lufy i obracając się, lecieć w powietrzu, ani odrobinę nie zbaczając z toru.

Lufa o odpowiedniej średnicy musi być prosta. Na nic się nie zda, jeśli poprzedni strzał rozgrzał ją i wypaczył jej kształt. Musi stanowić idealny kawałek metalu, dostatecznie ciężki, by pozostał nieruchomy i wygłuszył drobne wibracje zamka, spustu i iglicy. Dlatego właśnie barrett, który Reacher trzymał teraz w rękach, kosztuje tyle co tani samochód. I dlatego lewa dłoń Reachera spoczywała lekko na górze karabinu. Wytlumiał pozostałości wibracji.

Optyka także odgrywa wielką rolę. Prawe oko Reachera spoglądało z odległości dwóch i pół centymetra w dal przez lunetę Leupold & Stevens. To doskonały instrument. Widział w nim cel otoczony siatką cieniutkich linii, wytrawionych w szkłe. Reacher patrzył na niego w skupieniu, potem lekko opuścił kolbę. Ujrzał, jak cel znika. W okularze pojawiło się niebo. Ponownie wypuścił powietrze z płuc, patrząc w przestrzeń.

Geofizyka robi swoje. Światło porusza się po linii prostej, lecz na dobrą sprawę tylko ono. Pociski zachowują się inaczej, jak obiekty fizyczne, posłuszne prawom przyrody. Podążają w zgodzie z krzywizną Ziemi. Osiemset trzydzieści metrów to duża odległość. Pocisk wylatuje z lufy, wznosi się ponad linię wzroku, potem przechodzi przez nią i opada, kreśląc doskonałą krzywą. Tak jak powierzchnia kuli ziemskiej.

Tyle że krzywa nie jest doskonała, ponieważ gdy tylko pocisk opuści lufę, już w pierwszej milisekundzie do głosu dochodzi siła grawitacji, ciągnąca go w dół niczym mała, uparta ręka. Pocisk nie może jej zignorować. To tylko pięćdziesięciosześcioramowa kulka ołowiu w miedzianym płaszczu, poruszająca się z prędkością niemal trzech tysięcy dwustu kilometrów na godzinę. Lecz grawitacja i tak robi swoje. Z początku lekko, wkrótce jednak ingeruje coraz śmielej. Tarcie. Od pierwszej milisekundy lotu tarcie powietrza spowalnia pocisk, sprawiając, że siła grawitacji ma coraz więcej do powiedzenia. Tarcie i grawitacja działają razem, próbując ściągnąć pocisk na ziemię.

Należy zatem celować wysoko, ponad trzy metry nad cel. I już po ośmiuset trzydziestu metrach krzywizna ziemi i siła grawitacji sprowadzą pocisk dokładnie tam, gdzie chcemy.

Tyle że nie celuje się wprost nad cel, ponieważ to oznaczałoby zignorowanie meteorologii. Pociski lecą przez powietrze, a powietrze się porusza. Bardzo rzadko się zdarza, by stało. Powietrze rusza się tak czy inaczej. W lewo bądź w prawo, w górę, dół, czy też w jakimś pośrednim kierunku. Reacher obserwował liście na drzewach, zwrócił uwagę na spokojny wietrzyk wiejący z północy. Suche powietrze, poruszające się wolno z prawa na lewo. Zamierzał zatem celować około dwóch i pół metra w prawo i trzy i pół metra nad miejsce, w którym zamierzał umieścić kulę. Wystrzelił i pozwoli, by natura skierowała pocisk w dół i w lewo.

Na drodze stała mu już tylko ludzka biologia. Snajperzy to także ludzie, a ludzie to tylko kawałki drżącego, dygoczącego ciała i mięśni. Serce bije niczym olbrzymia pompa. Płuca wciągają i wypuszczają z siebie potężne masy powietrza. Każdy nerw i mięsień drży, kipiąc niewidoczną energią. Nikt nigdy nie trwa całkowicie w bezruchu. Nawet najspokojniejszy człowiek wibruje jak szalony. Powiedzmy, że muszkę od iglicy oddziela metr. Jeśli muszka przesunie się nawet odrobinę, osiemset trzydzieści metrów później pocisk wyminie cel o osiemset trzydzieści odrobin. Każdy błąd rośnie w postępie geometrycznym. Jeżeli zatem wibracje strzelającego przesuną muszkę o setną część cala, pocisk minie cel w odległości ośmiu i trzech dziesiątych cali. Czyli niemal dwudziestu centymetrów. Mniej więcej o szerokość ludzkiej głowy.

Technika Reachera polegała zatem na czekaniu. Patrzył przez celownik, póki oddech nie stał się regularny, a serce nie zwolniło. Potem powoli naciskał palcem na spust. Znowu czekał. Liczył uderzenia serca. Raz-i-dwa-i-trzy-i-cztery. Czekał, aż rytm zwolni, i strzelał pomiędzy uderzeniami, w chwili gdy wibracje stawały się możliwie najslabsze.

Czekał. Powoli wypuścił powietrze, spokojnie, długo. Jego serce uderzyło raz. Drugi. Wystrzelił. Kolba uderzyła go w ramię. Oczy przysłonił obłok pyłu z maty. Donośny huk strzału odbił się echem od zboczy gór i powrócił wraz z falą szeptów z tłumu. Pudło. Zatrzymana w biegu, przycupnięta sylwetka z napisem FBI na piersi pozostała nietknięta.

Reacher pozwolił, by kurz opadł. Sprawdził drzewa. Wiatr Się nie zmienił. Odetchnął głęboko, czekając, aż serce zwolni i. Wystrzelił ponownie. Wielki karabin podskoczył i huknął. W powietrze wzbil się kurz. Tłum patrzył i szeptał. Kolejne pudło.

Już dwa. Reacher oddychał spokojnie. Wystrzelił. Pudło. I znowu kolejne. Odczekał bardzo długo. Wyczuł własny rytm, strzelił po raz piąty. Nie trafił. Tłum szeptał coraz głośniejsze. Borken podszedł bliżej.

- Wszystko zależy od ostatniego strzału. - Uśmiechnął się szeroko.

Reacher nie odpowiedział. Nie mógł się dekoncentrować. Zakłócenie oddechu, skurcze mięśni, płuc, gardła. Wszystko to mogło okazać się śmiertelnie groźne. Czekał. Jego serce uderzyło. I znowu. Wystrzelił szósty pocisk. Nie trafił. Opuścił lunetkę, patrząc na tarczę. Nietknięta.

Borken wpatrywał się w niego. W jego oczach kryło się pytanie. Reacher dźwignął się na kolana, podniósł karabin, wyjął pusty magazynek, zabezpieczył broń. Przesunął palcem po lekkim graverunku na kolbie. Złożył nóżki i odłożył ciepły karabin na matę. Wstał, wzruszając ramionami. Borken wciąż na niego patrzył. Zerknął na Fowlera. Fowler uczynił to samo, wyraźnie zaskoczony. Widzieli człowieka, który strzela, walcząc o życie, i za każdym razem pudłuje.

- Znałeś zasady - powiedział cicho Borken.



Reacher stał bez ruchu, ignorując go całkowicie. Uniósł wzrok ku niebu i dostrzegł dwa jasne ślady pary. Drobne, kredowe kreski na tablicy stratosfery.

- Chwileczkę! - krzyknął głośno Joseph Ray.

Wystąpił naprzód z tłumu, cały spięty, nadęty własną ważnością. Widać było wyraźnie, że ma coś do powiedzenia. Był jednym z nielicznych ludzi w Bastionie dysponujących prawdziwym wojskowym doświadczeniem i szczyił się tym, że dostrzega rzeczy, które inni przeoczyli. Sądził, że daje mu to przewagę, sprawia, że staje się użyteczny.

Przyjrzał się uważnie macie i położył dokładnie w tym samym miejscu, w którym wcześniej leżał Reacher. Spojrzał w stronę tarcz, przymknął jedno oko i zaczął patrzeć przez lornetkę jak przez teleskop. Skupił się na dyktowej sylwetce. Odrobinę przesunął wzrok i spojrzał tuż ponad ramieniem celu. Przez chwilę patrzył w dal, potem skinął głową.

- Chodźcie - rzucił.

Wstał i zaczął biec na drugą stronę strzelnicy. Fowler poszedł za nim. Po ośmiuset trzydziestu metrach Ray minął tarczę, nawet na nią nie patrząc. Biegł dalej. Fowler również. Pięćdziesiąt metrów, sto. Ray opadł na kolana, obejrzał się. Ustawił na jednej linii z tarczą i matą widoczną w oddali. Odwrócił się i wskazał w przód, całą ręką, palcem wyprostowanym niczym lufa karabinu. Ponownie wstał i przeszedł pięćdziesiąt metrów, kierując się do jednego wybranego drzewa.

Była to samotna srebrna brzoza. Osierocone drzewko w świecie wysokich sosen. Pień miała wykrecony, jakby w walce o światło i powietrze, najpierw w jedną stronę, potem w drugą, szerokości co najwyżej dwudziestu centymetrów. Metr osiemdziesiąt nad ziemią widniało w niej sześć dziur po pociskach. Wielkich, świeżych, ponadcentymetrowych dziur. Trzy z nich tworzyły prostą, pionową linię, wysoką na jakieś piętnaście centymetrów. Pozostałe trzy luźną krzywą z prawej, biegnącą od górnego otworu, cofającą się ku środkowi i z powrotem. Joseph Ray przyglądał im się uważnie i nagle uświadomił sobie, co oznaczają. Uśmiechnął się szeroko. Sześć otworów tworzyło na białej korze dużą literę B. Litera zajmowała obszar mniej więcej piętnaście na dwanaście centymetrów. Podobnie jak twarz tłustego mężczyzny.

Fowler przepchnął się obok Raya, odwrócił i oparł o pień. Stał i przycisnął tył głowy do otworów. Uniósł lornetkę i popatrzył w kierunku mat. Stał ponad sto pięćdziesiąt metrów poza wyznaczonym celem. Cel od maty dzieliło ponad osiemset metrów. Szybko policzył w głowie.

- Tysiąc metrów - westchnął.

Fowler i Joseph Ray jednocześnie ruszyli z powrotem. Ray stawiał długie kroki, po metrze. Fowler liczył. Dziewięćset dziewięćdziesiąt kroków. Dziewięćset dziewięćdziesiąt metrów. Borken ukląkł na macie, skorzystał z lornetki Raya. Zamknął jedno oko, patrząc w dal. Ledwie dostrzegał białe drzewo. Reacher widział, jak tamten próbuje nie okazywać zdumienia i pomyślał sobie: chciałeś wielkiego widowiska, to proszę. Podoba ci się, tłusciuchu?

- Dobra - mruknął Borken. - Zobaczmy, jaki sprytny będziesz teraz.

\* \* \*

Pięciu strażników, którzy wcześniej z Jacksonem tworzyli szóstkę, ustawiło się w szereg. Wystąpili naprzód i zajęli pozycje wokół Reachera i Holly. Tłum zaczął cicho się rozchodzić. Stopy z chrzęstem kroczyły po kamienistej ziemi. A potem chrzęst ucichł. Na strzelnicy zapadła cisza.

Fowler schylił się i podniósł karabiny. Zważył każdy z nich w dłoni i odszedł między drzewa. Pięciu strażników jednocześnie uderzyło rękami o kolby, szykując broń.

- W porządku - powtórzył Borken. - Kara. Odwrócił się do Holly.

- Ty także - dodał. - Na to nie jesteś zbyt cenna. Możesz mu pomóc. Musi wykonać dla mnie pewne zadanie.

Strażnicy ruszyli naprzód, popychając przed sobą Reachera i Holly. Borken stąpił na przedzie, powoli prowadząc ich poprzez las do Bastionu i dalej, ścieżką na polanę z chatami. Zatrzymali się tam. Dwóch strażników odeszło do magazynów. Wrócili po pięciu minutach. Broń mieli na ramionach. Pierwszy w lewej dłoni dźwigał szpadel o długim stylisku, w prawej łom. Drugi dwie oliwkowe koszule mundurowe. Borken odebrał mu je i odwrócił się do Reachera i Holly.

- Zdejmijcie koszule - polecił. - Załóżcie te. Holly popatrzyła na niego pytająco.  
- Dlaczego? Borken się uśmiechnął.  
- To część gry - oznajmił. - Jeśli nie wrócicie przed zmierzchem, wypuścimy psy. Na starych koszulach został wasz zapach.

Holly pokręciła głową.

- Nie rozbiorę się - rzekła.

Borken przez chwilę na nią patrzył. W końcu przytaknął.

- Odwrócimy się - ustąpił. - Ale masz tylko jedną szansę. Jeśli sama tego nie zrobisz, chłopcy ci pomogą.

Wydał rozkaz. Pięciu strażników odeszło kilka kroków i zwróciło twarze w stronę drzew. Borken zaczekał, aż Re-acher także to zrobi, po czym obrócił się na pięcie, patrząc w niebo.

- W porządku - rzucił. - Tylko szybko.

Mężczyźni usłyszeli odgłos rozpinanych guzików, szelest bawełny. Stara koszula opadła na ziemię, zastąpiła ją nowa. Ciche stukanie paznokci, uderzających o guziki.

- Gotowe - mruknęła Holly.

Reacher zdjął kurtkę i koszulę. Zadrżał, czując powiew górskiego wiatru. Odebrał Borkenowi nową koszulę, naciągnął na siebie. Zarzucił kurtkę na ramię. Borken pokiwał głową. Strażnik wręczył Reacherowi szpadel i łom. Borken wskazał ręką w stronę lasu.

- Idźcie dokładnie na zachód, sto metrów - polecił. - Potem na północ, kolejnych sto. Kiedy dotrzecie na miejsce, będziecie wiedzieć, co macie zrobić.

Holly popatrzyła na Reachera, on na nią. Skinął głową.

Razem ruszyli w las, kierując się na zachód.

\* \* \*

Po trzydziestu metrach, gdy tylko strażnicy zniknęli im z oczu, Holly przystanąła. Oparła mocno kulę o ziemię i zaczęła, aż Reacher odwróci się i dołączy do niej.

- Borken - powiedziała. - Wiem, kim jest. Widziałam jego nazwisko w naszych aktach. Podejrzewali go o napad gdzieś w północnej Kalifornii. Dwadzieścia milionów dolarów w obligacjach na okaziciela. Podczas napadu zginął kierowca samochodu pancernego. Sprawę badało biuro w Sa-cramento, ale nie zdobyli dowodu.

Reacher skinął głową.

- Zrobił to - stwierdził. - To pewne. Fowler sam się do tego przyznał. Mówił, że mają na Kajmanach dwadzieścia milionów zdobytych na wrogu.

Holly się skrzywiła.

- To wyjaśnia kreta w Chicago - rzekła. - Skoro Borken ma w banku dwadzieścia milionów, stać go na sporą łapówkę.

Reacher przytaknął powoli.

- Znasz kogoś, kto przyjąłby łapówkę? - spytał.

Wzruszyła ramionami.

- Wszyscy narzekają na swoje pensje.

- Nie - zaprotestował Reacher. - Pomyśl o kimś, kto nie narzeka. Ktokolwiek dostaje kasę od Borkena, nie martwi się już o pieniądze.

Znów wzruszyła ramionami.

- Niektórzy nie marudzą. Po prostu znoszą to jakoś. Na przykład ja. Ale ja pewnie jestem inna.

Popatrzył na nią i znów ruszył naprzód.

- Jesteś inna - powtórzył. - Bez dwóch zdań. Powiedział to spokojnie, z namysłem. Przeszli dziesięć

metrów. Maszerował wolniej niż zwykle, ona kuśtykała z boku.

Reacher zatopił się w myślach. Ponownie usłyszał w głowie wysoki głos Borkena. Jest kimś więcej niż jego córką. Słyszał jej słowa: czemu, do diabła, wszyscy zakładają, że wszystko, co mnie spotyka, dzieje się z powodu tego, kim jest mój cholerny ojciec? A potem znów się zatrzymał i

popatrzył wprost na nią.

- Kim ty jesteś, Holly?

- Wiesz, kim jestem - odparła. Potrząsnął przecząco głową.

- Nie, nie wiem - powiedział. - Z początku sądziłem, że jesteś zwykłą kobietą. Potem byłaś Holly Johnson. Potem agentką FBI. Potem córką generała Johnsona. A potem Bor-ken powiedział mi, że jesteś kimś więcej. Jest kimś więcej niż jego córką. Po tym numerze, który wycięłaś, o mało nie zesrał się w gacie. Uważa cię za super-hiper zakładniczkę, Holly. Więc kim jeszcze, do diabła, jesteś?

Spojrzała na niego i westchnęła.

- To długa historia - rzekła. - Zaczęła się dwadzieścia osiem lat temu. Mojego ojca tymczasowo przeniesiono do Waszyngtonu i przydzielono do personelu Białego Domu. Robili to kiedyś z bardzo obiecującymi oficerami. Zaprzyjaźnił się z innym facetem, analitykiem politycznym, który chciał zostać kongresmanem. Moja matka była w ciąży ze mną, jego żona też była w ciąży. Poprosił moich rodziców, żeby zostali chrzestnymi. Mój ojciec mu się zrewanżował. I tak tamten gość trzymał mnie do chrztu.

- I co?

- Tamten facet chciał zrobić karierę. I zrobił - ciągnęła Holly. - Wciąż jest w Waszyngtonie. Pewnie na niego głosowałeś. To prezydent.

\* \* \*

Reacher szedł naprzód oszołomiony. Cały czas zerkał na Holly, która z dzielną miną próbowała dotrzymać mu kroku. Sto metrów od chaty kar dostrzegli wystającą z ziemi skałę, nieporośniętą drzewami. Skręcili i ruszyli na północ wśród poruszanych wietrzykiem drzew.

- Dokąd idziemy? - spytała Holly. W jej głosie brzmiała troska.

Reacher zatrzymał się nagle. Wiedział, dokąd idą. Odpowiedź niósł wiejący im w twarz wiatr. Ogarnął go nagły chłód, po skórze przebiegł dreszcz. Spojrzał na narzędzia trzymane w rękach, jakby nigdy wcześniej nie oglądał niczego podobnego.

- Zostań tutaj - polecił. Pokręciła głową.

- Nie - rzekła. - Idę z tobą.

- Proszę, Holly, zostań tu. Proszę.

Ton jego głosu zaskoczył ją, ale nadal z uporem kręciła głową.

- Idę z tobą - powtórzyła.

Spojrzał na nią przeciągle. Ruszyli naprzód. Zmuszał się do spokojnego marszu. Coraz bliżej. Pięćdziesiąt metrów. Każdy krok wymagał wysiłku woli. Sześćdziesiąt. Reacher miał ochotę zawrócić i uciec. Biec i nigdy się nie zatrzymać. Rzucić się do dzikiej rzeki i wydostać stąd. Siedemdziesiąt metrów. Przystanął.

- Zostań tu, Holly - poprosił raz jeszcze. - Zostań.

- Dlaczego?

- Nie musisz tego oglądać - odparł z nieszczęśliwą miną.

Raz jeszcze potrząsnęła głową i podjęła wędrówkę. Dogonił ją. Na długo przedtem, nim ujrzeli swój cel, wyczuli jego woń. Słabą, słodką, niemożliwą do zapomnienia. Jeden z najpospolitszych i najokropniejszych zapachów w długiej, okrutnej historii ludzkości. Woń świeżej ludzkiej krwi. Dwadzieścia kroków po tym, jak ją poczuli, usłyszeli szaleńcze bzyczenie miliona much.

Jackson wisiał ukrzyżowany pomiędzy dwiema młodymi sosnami. Rozciągnięte na boki ręce przybito do drzew poprzez dłonie i przeguby. Zmuszono go, aby stanął na palcach i przybito stopy gwoźdźmi do podstaw pali. Był nagi, okaleczony. Umierał długo. Reacher nie miał co do tego wątpliwości.

Stał bez ruchu, patrząc na skłębioną masę błyszczących błękitnych much. Holly upuściła kulę, pobladła. Dziewczyna osunęła się na kolana i zwymiotowała. Odwróciła się gwałtownie, padając na ziemię. Chwyliła na oslep leśną ściółkę. Odwróciła głowę i krzyknęła głośno w rozbzycanej leśnej ciszy. Krzyczała i płakała.

Reacher obserwował muchy. Jego oczy nie miały wyrazu. Twarz pozostała obojętna. Jedyne maleńki mięsień podskakujący w kącie szczęki zdradzał poruszenie. Stał tak kilka minut. Holly umilkła, leżała na ziemi obok niego. Odrzucił łom, powiesił kurtkę na niskiej gałęzi, podszedł do trupa i zaczął kopać.

Kopał z cichą furią. Z całych sił wbijał szpadel w ziemię. Oстрыmi uderzeniami przecinał korzenie drzew. Kiedy natrafiał na kamienie, wyciągał je i odrzucał na stos. Holly usiadła i patrzyła na niego, na błyszczące oczy w kamiennej twarzy, napięte mięśnie ramion. Śledziła bezlitosny rytm poruszeń szpadla. Milczała.

Praca go rozgrzała. Muchy zainteresowały się spoconym ciałem. Pozostawiły zwłoki Jacksona i zaczęły krążyć wokół głowy Reachera. On jednak je zignorował. Dysząc gniewnie, wbijał się na sześć stóp pod ziemię. Potem oparł szpadel o drzewo, otarł twarz rękawem. Nic nie mówił. Wziął łom i podszedł bliżej do zwłok. Odgonił muchy. Wyciągnął gwoździe z lewej ręki. Trup Jacksona opadł naprzód. Muchy wzbiły się w górę, tworząc gniewny obłok. Reacher podszedł do prawej ręki, wyciągnął gwoździe. Ciało runęło twarzą w dziurę. Szybko pozbył się gwoździ ze stóp i trup zniknął w grobie. Powietrze wokół było ciemne od much, bzy-czących ogłuszająco. Reacher zsunął się do dziury, wyprostował zwłoki, splótł im ręce na piersi.

Wygramolił się z dołu i bez namysłu sięgnął po szpadel. Zaczął zasypywać ciało. Pracował bez chwili przerwy. Muchy zniknęły. Reacher pracował dalej. Zostało zbyt dużo ziemi. Kiedy skończył, wznosiła się wysoko, jak na każdym grobie. Ubił ją mocno, tworząc zgrabny wzgórek. Odrzucił szpadel. Pochylił się, zebrał kamienie, ułożył je wokół kopczyka. Największy umieścił na szczycie, niczym kamień nagrobny.

A potem stanął bez ruchu, dysząc jak dzikus, wymazany potem i ziemią. Holly go obserwowała. W końcu odezwała się, po raz pierwszy od godziny.

- Powinniśmy zmówić modlitwę? - spytała. Reacher pokręcił głową.

- Za późno już na to - odparł cicho.

- Dobrze się czujesz?

- Kto jest kretem? - spytał w odpowiedzi.

- Nie wiem.

- To się zastanów - rzucił gniewnie. Posłała mu wściekle spojrzenie.

- Myślisz, że tego nie robiłam? Jak sądzisz, czym się zajmowałam przez ostatnią godzinę?

- Więc kto to jest, do diabła? - W jego głosie nadal dźwię-czała wściekłość.

Holly umilkła. Przez moment siedziała cicho.

- To może być każdy - stwierdziła. - W Chicago jest stu agentów.

Siedziała na ziemi, drobna, nieszczęśliwa, pokonana. Ufała swoim ludziom, sama mu to powiedziała. Przepeniała ją naiwna wiara. Ufam moim ludziom, mówiła. Re-acher poczuł, jak ogarnia go nagła fala tkliwości. Opłynęła go, zalała. Nie litość, troska, a jedynie czułość wobec dobrego człowieka, osoby, której nowy, wspaniały świat zaczyna nagle walić się w gruzy. Patrzył na nią z nadzieją, że to wyczuje. Odpowiedziała mu spojrzeniem. W jej oczach kręciły się łzy.

Wyciągnął ręce, ujęła je. Dźwignął ją z ziemi i objął. Podniósł, przycisnął mocno. Jej piersi napierały na jego pierś. Czuł łzy na szyi.

A potem ręce Holly ujęły jego głowę, przyciągając ją bliżej. Uniosła twarz i pocałowała go. Całowała go gniewnie, namiętnie w usta, obejmując ramionami szyję. Czuł jej szalony oddech. Ukląkł, położył ją łagodnie na miękkiej ziemi. Jej dłonie zaczęły szarpać guziki koszuli Reachera. Rozpiął jej ubranie.

Kochali się nadzy na ściółce, namiętnie, gwałtownie, zachłannie, jakby w ten sposób rzucali wyzwanie śmierci.

A potem legli obok siebie, dysząc, objęci, patrząc w słońce przenikające przez gałęzie.

\* \* \*

Reacher gładził jej włosy. Czuł, jak jej oddech zwalnia. Bardzo długo obejmował ją w milczeniu, patrząc, jak drobinki kurzu tańczą w promieniu słońca nad jej głową.

- Kto znał twoje plany na poniedziałek? - spytał cicho.

Zastanowiła się. Nie odpowiedziała.

- A kto z nich nie wiedział wtedy o Jacksonie? - dodał. Brak odpowiedzi.

- I któremu nie brak pieniędzy? - dodał. Brak odpowiedzi.

- Kto jest nowy? - ciągnął. - Który z nich mógł gdzieś wcześniej zbliżyć się do Beau Borkena? Kiedyś w przeszłości? Może zajmował się śledztwem w sprawie napadu w Kalifornii?

Zadrżała mu w ramionach.

- Cztery pytania, Holly - rzekł. - Kto pasuje? Zaczęła przeglądać w myślach wszystkie ewentualności,

dokonywać procesu eliminacji. Algorytm. Przepuściła przez niego sto nazwisk. Pierwsze pytanie wyeliminowało większość z nich. Drugie kilka następnych. Trzecie garstkę. To czwarte okazało się decydujące. Ponownie zadrżała.

- Są tylko dwie możliwości - oznajmiła.

33

Milošević i Brogan siedzieli obok siebie, przypięci pasami do tylnego siedzenia należącego do lotnictwa helikoptera. McGrath, Johnson i adiutant generała stłoczyli się w środkowym rzędzie. Załoga siedziała z przodu. Wystartowali z Silver Bow i skierowali się na północny zachód, ponad miastem Butte, z dziobem w dół, lecąc nisko, jak najszybciej. Helikopter, stary Bell z nowym silnikiem, leciał z prędkością dwustu kilometrów na godzinę, co oznaczało, że w środku panował potężny hałas. McGrath i Johnson wrzeszczeli do swoich mikrofonów, aby w ogóle dało się ich zrozumieć.

McGratha połączono z Budynkiem Hoovera. Próbował porozmawiać z Harlandem Websterem. Jedną ręką osłaniał mikrofon, drugą przyciskał słuchawkę do ucha. Mówił o jednostce raketowej. Nie miał pojęcia, czy Webster w ogóle go słyszy. Cały czas powtarzał swoją wiadomość, jak najgłośniej potrafił. W końcu wyłączył mikrofon i zdarł z głowy słuchawkę. Cisnął je naprzód do drugiego pilota.

Johnson rozmawiał z bazą Peterson. Jednostka nie nawiązała ponownie kontaktu radiowego. Generał zażądał jedynie, by za dwie godziny bezpieczną naziemną linią podano mu wprost do ruchomego centrum dowodzenia najnowsze wiadomości. Nie zdołał odszyfrować odpowiedzi. On także zdjął słuchawkę i spojrzał pytająco na McGratha, który wzruszył ramionami. Helikopter z łoskotem pędził naprzód.

\* \* \*

Harland Webster wsłuchiwał się w potworny huk. Nagle łoskot ucichł. W nagłej ciszy swego gabinetu dyrektor odwiesił słuchawkę. Pochylił się naprzód i wywołał sekretarkę.

- Samochód - rzucił.

Poszedł do windy i zjechał do garażu. Kierowca otworzył przed nim drzwi limuzyny.

- Biały Dom - polecił Webster.

Tym razem kierowca milczał. Po prostu zapalił silnik i wyjechał z garażu, dołączając do popołudniowego ruchu. W ciszy pokonali tysiąc sześćset metrów. Webstera skierowano do tego samego pokoju o ścianach w barwie złamanej bieli. Zaczekał kwadrans. W końcu zjawił się Dexter, wyraźnie niezadowolony z faktu, że widzi go tak szybko.

- Ukradli pociski - oznajmił Webster.

- Jakie pociski? - spytał Dexter.

Webster dokładnie wszystko opisał. Dexter słuchał. Nie kiwał głową, nie zadawał żadnych pytań, nie reagował. Po prostu kazał mu czekać.

\* \* \*

Należący do lotnictwa bell usiadł na zwirowym zakręcie, dwieście metrów na południe od miejsca, w którym droga wiodąca do Yorke zwęzłała się i prostowała, znikając między wzgórzami. Pilot nie gasił silnika. Pięciu pasażerów, schylając się, kolejno wybiegło z helikoptera i oddaliło się na bezpieczną odległość. Na drodze czekały już pojazdy - grupka samochodów wojskowych, rozrzuconych na asfalcie. Jeden z nich powoli zawracał. Skręcił w wolną przestrzeń między skalnymi ścianami i wyprostował się, coraz bardziej się zbliżał. W końcu zwolnił, przystając pięćdziesiąt metrów dalej. Generał Johnson wystąpił naprzód. Samochód ruszył ku niemu - nowy chevrolet pomalowany matową, zielono-oliwkową farbą. Na masce i bokach wypisano białe litery. Ze środka wysiadł oficer. Zasalutował generałowi, okrążył samochód i otworzył drzwi. Pięciu mężczyzn wcisnęło się do środka. Wóz ponownie zawrócił i potoczył się dwieście metrów na północ, do reszty zgrupowania.

- Centrum dowodzenia już jedzie, panie generale - oznajmił oficer. - Powinno tu być w ciągu czterdziestu minut. Ciężarówka ze sprzętem satelitarnym godzinę później. Proponuję, aby zaczął pan w samochodzie, na zewnątrz robi się zimno.

- Jakies wieści od jednostki raketowej? - spytał Johnson. Oficer pokręcił głową w półmroku.

- Brak - rzekł.

\* \* \*

Webster czekał prawie godzinę. W końcu uchyliły się drzwi małego, białego pokoju. Stał w nich agent służb specjalnych w niebieskim garniturze. Skręcony kabel biegł spod kołnierzyka do słuchawki.

- Proszę ze mną - powiedział.

Webster wstał. Tamten uniósł rękę i przemówił do mankieta. Webster podążył za nim cichym korytarzem do małej, powolnej windy, która zabrała ich na parter. Razem pokonali kolejny cichy korytarz i zatrzymali się przed białymi drzwiami. Agent zapukał raz i otworzył je.

Prezydent siedział za biurkiem. Odwrócony w obrotowym fotelu, wyglądał przez kuloodporne okna na spowity w ciemność ogród. Dexter siedział z boku. Żaden z nich nie poprosił Webstera, by usiadł. Prezydent nawet się nie odwrócił. Gdy tylko usłyszał szcęk zamykanych drzwi, zaczął mówić.

- Przypuścimy, że jestem sędzią- rzekł. - I przypuścimy, że ty jako policjant przychodzisz do mnie po nakaz.

Webster widział twarz prezydenta odbitą w grubym szkłe - różową plamę na tle czerni.

- Dobrze, panie prezydencie, przypuścimy.

- Co właściwie masz? - spytał prezydent. - I czego nie masz? Nie wiesz nawet na pewno, czy Holly tam jest. Dysponujesz agentem, który tego nie potwierdził. Zgadujesz, to wszystko. A te pociski? Wojsko straciło kontakt radiowy. To może być tymczasowe. Może istnieć wiele powodów. Twój tajny agent o tym nie wspominał.

- Może mieć pewne problemy - wyjaśnił Webster. - Kazano mu też zachować ostrożność. Nie zgłasza się, by przekazywać stałe relacje. W końcu pracuje tajnie. Nie może po prostu zniknąć w lesie, kiedy tylko zechce.

Prezydent skinął głową. Różowa plama na szkłe poruszyła się w górę i w dół. Wyrażała współczucie.

- My to rozumiemy, Harlandzie, naprawdę. Ale musimy zakładać, że w sprawach takiej wagi dołoży wszelkich starań, nieprawdaż? A jednak się nie odezwał. Nie dostaliśmy od ciebie nic. Nic poza domysłami.

Webster rozłożył ręce i przemówił wprost do tyłu głowy prezydenta.

- To naprawdę wielka sprawa - przekonywał. - Oni się zbroją, wzięli zakładniczkę. Mówią o secesji.

Prezydent przytaknął.

- Nie rozumiesz, że w tym właśnie kryje się problem? Gdybyśmy mieli do czynienia z trzema świrami w leśnej chacie, uzbrojonymi w bombę, natychmiast byśmy was posłali. Ale nie. To może

stać się największym kryzysem konstytucyjnym od roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego. - A zatem zgadza się pan ze mną - powiedział Webster. Traktuje ich pan poważnie.

Prezydent pokręcił głową ze smutkiem, jakby nie zdziwiło go zbyt, że Webster nie pojmuje. - Nie - oznajmił. - Nie traktujemy ich poważnie. I to właśnie utrudnia całą sprawę. To banda oszołomów, wszędzie dostrzegających spiski, konspiracje, gadających o niepodległości dla swego skrawka bezwartościowej ziemi. Pytanie jednak brzmi: jak ma na to zareagować dojrzałe państwo demokratyczne? Czy mamy ich wszystkich zmasakrować, Harlandzie? Czy tak właśnie reaguje dojrzałe Państwo? Atakując całą potęgą grupę oszołomionych, niemądrych obywateli? Od dziesiątków lat potępiamy Rosjan właśnie za takie zachowanie. Czy teraz mamy postąpić podobnie?

\* - To przestępcy, panie prezydencie - przypomniał Webster. - Istotnie - zgodził się cierpliwie prezydent. - Fałszują pieniądze, mają nielegalną broń, nie płacą podatków federalnych, są rasistami, może nawet napadli na samochód pancerny. Ale to tylko szczegóły, Harlandzie. Przede wszystkim mamy do czynienia z niezadowolonymi obywatelami. Jak mamy na to zareagować? Zachęcamy, by we wschodniej Europie niezadowoleni obywatele podnieśli głowy i bronili swojej państwowości. Jak zatem mamy się obejść z własnymi niezadowolonymi obywatelami, Harlandzie? Wypowiedzieć im wojnę?

Webster zacisnął zęby. Czuł się dziwnie oderwany od rzeczywistości. Jakby grube dywany, spokojna w kolorycie farba na ścianach i obcy zapach w powietrzu Gabinetu Ovalnego napierały na niego, dławily.

- To przestępcy - powtórzył. Tylko tyle potrafił powiedzieć.

Prezydent skinął głową. Na jego twarzy nadal malowało się współczucie.

- Istotnie - zgodził się ponownie. - Ale spójrz na to z szerszej perspektywy, Harlandzie. Przyjrzyj się ich głównemu występkowi. Ich główny występki to nienawiść do rządu. Jeśli za to potraktujemy ich surowo, może dojść do kryzysu. Jak mówiliśmy, około sześćdziesięciu milionów Amerykanów gotowych jest przekroczyć tę granicę. Administracja doskonale zdaje sobie z tego sprawę, Harlandzie. I ma zamiar działać bardzo rozważnie.

- Ale co z Holly? - nie ustępował Webster. - Nie możecie po prostu jej poświęcić.

Zapadła długa cisza. Prezydent cały czas nie odwracał głowy.

- Nie mogę zareagować właśnie z jej powodu - rzekł w końcu cicho. - Nie mogę sobie pozwolić na osobistą reakcję. Nie rozumiesz? Osobista, ambicjonalna, gniewna reakcja byłaby błędem, poważnym błędem. Muszę czekać, myśleć. Rozmawiałem z generałem. Rozmawialiśmy całymi godzinami. Szczerze mówiąc, Harlandzie, jest na mnie wkurzony. I znów szczerze, nie mam mu tego za złe. To mój najstarszy przyjaciel. Jest na mnie wściekły, więc nie gadaj mi tu o poświęceniu, Harlandzie, bo poświęcenie wiąże się nierozdzielnie z tym gabinetem, z tym stanowiskiem. Musisz przedkładać większe dobro ponad przyjaźń czy własne interesy. Cały czas, nieustannie. Na tym właśnie polega bycie prezydentem.

W gabinecie znów zapadła cisza.

- Co zatem chce mi pan powiedzieć, panie prezydencie? - spytał Webster.

- Milczenie.

- Niczego nie mówię - odparł prezydent. - Tylko tyle. Osobiście kierujesz całą operacją. Przyjdź w poniedziałek rano do pana Dextera, jeśli nadal będziemy mieli problem.

\* \* \*

Nikt nie czekał w samochodzie. Byli na to zbyt niespokojni. Wysiedli, nie zważając na chłód górskiego powietrza. Bez celu krążyli wokół. Johnson i jego adiutant odeszli na północ wraz z kierowcą, by obejrzeć miejsce, w którym miał stanąć posterunek dowodzenia. McGrath, Brogan i Milošević trzymali się z boku. McGrath palił papierosa, zatopiony w myślach. Od czasu do czasu wracał do wojskowego che-vroleta, by skorzystać z telefonu. Dzwonił do policji stanowej Montany, elektrowni, firmy telefonicznej, służb leśnych.

Brogan i Milošević poszli spacerkiem na północ i ujrzeli samochód pancerny, nie czołg, lecz wóz

służący do przewozu ludzi. W pobliżu czekał oficer, który wyjechał im na spotkanie, oraz ośmiu żołnierzy - wielkich, milczących mężczyzn, którzy rozbijali namioty na poboczu wśród kamieni. Brogan i Milošević pozdrowili ich skinieniem dłoni i zawrócili. Dołączyli do McGratha. Czekali. Po czterdziestu minutach usłyszeli pierwszy cichy odgłos potężnych silników Diesla. Stopniowo hałas stawał się coraz głośniejszy. Po chwili ciężarówki wynurzyły się zza zakrętu. Niewielki konwój potężnych pojazdów, unoszących się wysoko na przesadnej wielkości kołach i podwoziach. Wielkie opony, ogromne osie. Z rykiem podjechały bliżej, poruszając się wolno na niskim biegu. Oficer z samochodu wybiegł im na spotkanie. Wskazał miejsce, gdzie mają się zatrzymać. Minęły go z łoskotem silników i zatrzymały się parami tam, gdzie prosty odcinek drogi zagłębiał się pomiędzy skały.

W sumie było ich cztery. Czarno-zielony kamuflaż, siatka maskująca na bokach, wypisane ręcznie białe numery i wielkie białe pojedyncze gwiazdy. Pierwsze dwie ciężarówki były całe najeżone antenami i niewielkimi talerzami. Tyłne przywoziły naczepy mieszkalne. Każdy z samochodów miał po bokach podnośniki hydrauliczne. Kierowcy opuścili je, przenosząc ciężar naczep z opon na metalowe wsporniki spoczywające na zakrzywionej powierzchni drogi. A potem silniki zgasły. Donośny łomot diesli rozpląnął się w leśnej ciszy.

Czterej kierowcy zeskoczyli na ziemię, pobiegli na tył ciężarówek, otworzyli drzwi, sięgnęli do środka i rozłożyli krótkie aluminiowe drabinki. Uruchomili wewnętrzne zasilanie i cztery wnętrza rozjaśniło zielonkawe światło. Kierowcy wrócili na zewnątrz, stanęli w szeregu i zasalutowali oficerowi.

- Wszystko gotowe - oznajmił pierwszy. Oficer przytaknął, wskazał ręką chevroleta.

- Wróćcie tym samochodem - polecił. - I zapamiętajcie, że kiedykolwiek tu byliście.

Pierwszy kierowca znów zasalutował.

- Zrozumiałem - rzekł.

Kierowcy ruszyli w stronę chevroleta. Ich kroki głośno chrzęściły w ciszy. Wsiadli do wozu, włączyli silnik, zawrócili i zniknęli na południu.

\* \* \*

Po powrocie do gabinetu Webster zastał na biurku profil Borkena. Czekał też na niego gość. W zielonym mundurze pod płaszczem khaki. Jakies sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć lat. Stalowszara szczecina na części czaszki, sfatygowana brązowa aktówka pod pachą. Równie zniszczony brezentowy pokrowiec na garnitur na podłodze.

- Słyszałem, że chciał pan ze mną mówić - oznajmił przybysz. - Generał Garber. Przez kilka lat byłem dowódcą Jacka Reachera.

Webster skinął głową.

- Jadę do Montany - oznajmił. - Możemy porozmawiać na miejscu.

- Przewidzieliśmy to - oznajmił Garber. - Jeśli Biuro może dostarczyć nas do Kalispell, lotnictwo załatwi resztę drogi helikopterem.

§ Webster ponownie przytaknął. Nacisnął przycisk interkonu, wywołał sekretarkę. Nie było jej już.

- Cholera - mruknął.

- Mój kierowca czeka - dodał Garber. - Zawiezie nas do Andrews.

; Webster zadzwonił z samochodu. Należący do FBI Lear już czekał. Dwadzieścia minut po opuszczeniu Białego Domu Webster znów był w powietrzu. Leciał na zachód, nad centrum. Zastanawiał się, czy prezydent przez swe grube, kuloodporne szyby słyszy ryk silników samolotu.

W godzinę po zainstalowaniu centrum dowodzenia na miejscu zjawili się technicy lotnictwa i ciężarówki ze sprzętem satelitarnym. Ten konwój składał się tylko z dwóch pojazdów. Pierwszy przypominał dwa poprzednie - wielki, wysoki, kanciasty, hydrauliczne podnośniki po bokach, krótka aluminiowa drabinka. Druga ciężarówka ciągnęła długą, płaską przyczepę, na której na



wielkim, skomplikowanym mechanizmie zamontowano olbrzymi talerz satelitarny. Kiedy tylko zatrzymała się na drodze, mechanizm zadziałał i antena uniosła się, namierzając samoloty krążące jedenaście kilometrów wyżej na ciemniejszym niebie. Delikatne układy elektroniczne analizowały napływające sygnały. Z cichym szumem silnika antena zaczęła się poruszać, zataczając delikatny łuk, zbyt wolno, by mogło to wykryć ludzkie oko. Technicy wyciągnęli z podwozia kabel grubości pnia młodego drzewka, podłączyli go do gniazda w drugiej ciężarówce. Następnie zniknęli w środku i uruchomili monitory i rejestratory.

McGrath podjechał wraz z żołnierzami pojazdem pancernym półtora kilometra na południe. Na drodze czekał już radiowóz należący do policji stanowej Montany. Policjant naradził się z McGrathem. Potem otworzył bagażnik, wyciągnął z niego pudło czerwonych chorągiewek sygnalizacyjnych i zestaw tymczasowych znaków drogowych. Żołnierze pobiegli na południe. Umieścili chorągiewki po obu stronach znaku z napisem: Uwaga, droga wyłączona z ruchu. Wrócili na północ. Na środku szosy ustawili trzy chorągiewki wraz z napisem: Most nieczynny. Pięćdziesiąt metrów dalej, na północ zablokowali całą szerokość drogi kolejnymi chorągiewkami. Za nimi rozwiesili znaki: Droga zamknięta. Gdy policjant pokonał slalomem przeszkody i zniknął na południu, żołnierze wyjęli z pojazdu siekiery i zaczęli rąbać drzewa. Pojazd pancerny przeciągał je i popychał na środek drogi, z rykiem silnika i piskiem opon, układając pnie tak, by tworzyły zygzak. Nadal można było między nimi przejechać, lecz bardzo wolno i ostrożnie. Dwaj żołnierze zajęli posterunki na poboczach, pozostała szóstka wróciła na północ z McGrathem.

Johnson czekał już w wozie dowodzenia. Rozmawiał przez radio z Peterson. Nie miał dobrych wieści. Jednostka raketowa od ponad ośmiu godzin nie nawiązywała kontaktu. Johnson kierował się pewną zasadą, wynikającą z gorzkich doświadczeń w wietnamskiej dżungli. Głosiła ona: jeśli na ponad osiem godzin tracisz kontakt radiowy z jednostką, możesz ją uznać za straconą.

Webster i Garber nie rozmawiali w samolocie. Była to decyzja Webstera. Doświadczenie biurokratyczne podpowiadało mu, że cokolwiek usłyszy od Garbera, po dołączeniu do reszty będzie musiał wysłuchać tego ponownie. Siedział zatem cicho w hałaśliwym odrzutowcu, zagłębiając się w lekturze profilu Borkena, dostarczonego z Quantico. Garber patrzył na niego pytająco, lecz Webster nie zwracał na niego uwagi. Jeśli teraz wyjaśni mu wszystko, później i tak będzie musiał zrobić to ponownie w obecności McGratha i Johnsona.

Wieczór w Kalispell był zimny i pochmurny. Atakowani falami hałasu przebyli krótką drogę dzielącą ich od wojskowego bella. Garber przedstawił się drugiemu pilotowi, który opuścił na asfalt krótką drabinkę. Obaj pasażerowie weszli do środka i usiedli na wskazanych miejscach. Drugi pilot, gestykulując, polecił im zapiąć pasy i poinformował, że lot potrwa około dwudziestu pięciu minut. Webster przytaknął, nasłuchując łoskotu rotoru startującego helikoptera.

\* \* \*

Generał Johnson skończył właśnie kolejną, długą rozmowę z Waszyngtonem, gdy usłyszał ryk silnika bella. Stał w drzwiach posterunku dowodzenia, patrząc, jak helikopter siada na żwirowej drodze, dwieście metrów dalej. Ujrzał dwie postaci, wyskakujące z niego i przykucające na ziemi. Śmigłowiec wystartował, zawrócił i zniknął na południu.

Generał wyszedł przybyłym na spotkanie. Skinieniem głowy pozdrowił Garbera i pociągnął Webstera na bok.

- I co? - spytał.

Webster pokręcił głową.

- Bez zmian - oznajmił. - Biały Dom gra na zwłokę. A wy?

- Nic - odparł Johnson.

Webster przytaknął, nie musiał mówić nic więcej. - Co tu mamy?

- Z tego, co wiadomo Białemu Domowi, nic - odrzekł generał. - W powietrzu krążą dwa samoloty szpiegowskie. Oficjalnie uczestniczą w ćwiczeniach. Mamy ośmiu żołnierzy piechoty morskiej, samochód pancerny, także w ramach ćwiczeń. Ich dowódcy wiedzą, gdzie są, ale nie mają pojęcia

po co. I nie zadają pytań.

- Zablokowaliście drogę? - chciał wiedzieć Webster. Johnson przytaknął.

- Jesteśmy zdani tylko na siebie.

34

Reacher i Holly siedzieli samotnie w lesie, oparci o dwie złączone sosny, patrząc na wzgórek na grobie Johnso-na. Siedzieli tak i czekali. W końcu popołudniowe światło zaczęło gasnąć. Milczeli. W lesie zrobiło się chłodniej. Nadeszła pora podjęcia decyzji.

- Wracamy - powiedziała Holly.

Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie faktu. W głosie dziewczyny brzmiała rezygnacja. Reacher nie odpowiedział, oddychał cicho, patrząc w przestrzeń, zatopiony w myślach. Raz jeszcze powracał wspomnieniami do jej smaku i zapachu włosów i oczu, ust, tego, jak poruszała się pod nim, silna, gibka, zachłanna.

- Już zmierzcha - dodała.

- Jeszcze nie - odparł.

- Musimy - przypomniała. - Inaczej wypuszczą psy. Nie odpowiedział, po prostu tkwił bez ruchu, zapatrzony w dal.

- Nie mamy dokąd uciec.

Przytaknął powoli i wstał. Przeciągnął się, sapnął, czując skurcz znużonych mięśni. Pomógł Holly podnieść się z ziemi, zdjął z gałęzi kurtkę, naciągnął ją. Zostawił łom i łopatę obok grobu.

- Uciekniemy dziś w nocy - oznajmił. - Jutro rano bomba wybuchnie. Dzień Niepodległości.

- Jasne, ale jak? - spytała.

- Jeszcze nie wiem.

- Nie ryzykuj dla mnie.

- Jesteś tego warta.

- Z powodu tego, kim jestem? Przytaknął.

- Z powodu tego, kim jesteś - powtórzył. - Nie, kim jest twój ojciec czy twój pieprzony ojciec chrzestny. A przy okazji nie, nie głosowałem na niego.

Holly wspięła się na palce i pocałowała go w usta.

- Uważaj na siebie, Reacher - szepnęła.

- Po prostu bądź gotowa - poprosił. - Może o północy.

Przytaknęła. Możliwie szybkim krokiem pokonali sto metrów na południe, aż do skały. Tam skręcili. Po kolejnych stu metrach znaleźli się na polanie. Czekają już tam na nich pięciu strażników, uzbrojonych w cztery strzelby. Pośrodku stał Joseph Ray. Dowodził oddziałem. W rękę trzymał glocka 17.

- Ona wraca do swego pokoju - oznajmił. - Ty do chaty kar.

Strażnicy ustawili się w szyku. Dwaj po obu stronach Holly. Jej oczy rozbłyły. Mężczyźni nawet nie próbowali ująć jej za łokcie. Po prostu szli wolno, dotrzymując jej kroku. Holly odwróciła się, zerknęła na Reachera.

- Zobaczymy się później, Holly - zawołał.

- Ja bym się nie zakładał, pani Johnson - wtrącił Joseph Ray, wybuchając śmiechem.

Odeskortował Reachera do drzwi chaty kar. Wyjął z kieszeni klucz i przekręcił w zamku. Wepchnął więźnia do środka, unosząc pistolet. Potem zatrzasnął za sobą drzwi i zamknął na klucz.

Chata kar wielkością i kształtem przypominała chatę dowodzenia Borkena. W środku była jednak kompletnie pusta. Nagie ściany, brak okien, żarówki osłonięte grubymi metalowymi kratami. Z jednej strony na podłodze wymalowano idealny żółty kwadrat, jakieś trzydzieści na trzydzieści centymetrów. Tylko on wyróżniał się w monotonnym wnętrzu.

- Stań na kwadracie - polecił Ray.

Reacher przytaknął. Znał tę procedurę. Przymusowe stanie na baczność, godzinami, bez ruchu. To bardzo skuteczna kara. Od czasu do czasu o niej słyszał, a raz widział rezultaty. Po pierwszych kilku godzinach ofiara zaczyna odczuwać ból. Najpierw kręgosłupa, potem w górę, od łydek. Drugiego, trzeciego dnia puchną kostki, pękają naczynia, kości udowe przebijają się w górę, załamuje się szyja.

- Stawaj - rzucił Ray.

Reacher przeszedł do kąta i pochylił się, demonstracyjnie zmiatając dłonią kurz z podłogi. Odwrócił się i usiadł delikatnie, usadowiony wygodnie pomiędzy dwiema ścianami. Wyciągnął nogi, splótł ręce za głowę, skrzyżował stopy i uśmiechnął się.

- Musisz stać na kwadracie - powtórzył Ray.

Reacher przyjrzał mu się uważnie. Wierz mi, znam się na czołgach - powiedział wcześniej Ray. A zatem był żołnierzem. Zwykłym szeregowym w jednostce zmotoryzowanej, pewnie ładowniczym, może kierowcą.

- Wstań - polecił tamten.

Kiedy żołnierz dostaje zadanie, czego boi się najbardziej? Tego, że oficer opieprzy go, jeśli mu się nie uda.

- Wstawaj, do diabła! - warknął Ray.

Albo więc mu się udaje, albo też ukrywa prawdę. Żaden żołnierz w dziejach nie poszedł wprost do oficera i nie oznajmił: nie zdołałem tego zrobić.

- Mówię ci, żebyś wstał, Reacher-powiedział cicho Ray.

Jeśli mu się nie uda, utrzymuje to w tajemnicy. Tak jest znacznie lepiej.

- Chcesz, żebym wstał? - spytał Reacher. - Tak, wstawaj.

Reacher pokręcił głową.

- Będziesz musiał mnie zmusić, Joe.

Ray się zastanawiał. Nie szło mu to najlepiej. Język ciała zdradzał kolejne etapy rozumowania. Najpierw glock uniósł się, potem opadł. Strzał do więźnia stanowiłby przyznanie się do porażki. Równie dobrze mógłby rzec: nie poradziłem sobie. Potem zerknął na własne dłonie, spojrzął na Reache-ra, odwrócił wzrok, odrzucając możliwość walki wręcz. Stał bez ruchu, wyraźnie niezdecydowany.

- Gdzie służyłeś? - spytał Reacher. Ray wzruszył ramionami.

- Tu i tam - odparł.

- Na przykład, w jakim tu i tam?

- Dwa razy byłem w Niemczech, uczestniczyłem też w Pustynnej Burzy.

- Kierowca?

- Ładowniczy. Reacher skinął głową.

- Świetnie się spisaliście, chłopcy - powiedział. - Ja też walczyłem w Pustynnej Burzy. Widziałem, co zrobiliście.

Ray przytaknął. Połknął haczyk, zgodnie z przypuszczeniem Reachera. Jeśli nie możesz kogoś pokonać, dołącz do niego. Ray przesunął się lekko na lewo i usiadł na podłodze, tyłem do drzwi, z glockiem na udzie.

- Rozwaliliśmy ich na strzepy - rzekł, kiwając głową.

- Zgadza się - odparł Reacher. - Dokopaliście im pierwsza klasa. A zatem byłeś w Niemczech i na pustyni. Podobało ci się tam?

- Nie bardzo.

- Podobał ci się ich system? - ciągnął Reacher.

- Jaki system?

- Rząd - wyjaśnił Reacher. - Ich prawa, swobody, te sprawy.

Ray spojrzął na niego zdumiony.

- W ogóle ich nie zauważyłem. Nie zwracałem uwagi.

- Skąd zatem wiesz, że są lepsze niż nasze? - dopytywał się Reacher.

- A kto twierdzi, że są lepsze?

- Ty - wyjaśnił Reacher. - Wczoraj opowiadałeś mi, jak źle jest w Ameryce. W takim razie gdzieś musi być lepiej, prawda?

Ray pokręcił głową.

- Nie powiedziałem tego - upierał się.

:: - No to jest czy nie jest? - naciskał Reacher.

- Nie wiem - przyznał Ray. - Pewnie tak. W Ameryce dzieje się wiele złego.

Reacher skinął głową.

- Wiele, zgadzam się. Ale powiem ci coś. W Ameryce jest lepiej niż gdziekolwiek indziej. Wiem, bo już byłem gdziekolwiek indziej. Tam wszędzie jest gorzej, znacznie gorzej. W Ameryce mnóstwo rzeczy idzie nie tak, ale gdzie indziej jeszcze więcej. Powinniście się nad tym zastanowić.

Ray spojrział w mrok.

- Myślisz, że się mylimy? Reacher przytaknął.

- Ja to wiem, na pewno. Wszystko, co mi opowiadałeś, to bzdury. Wszystko. To się nie dzieje naprawdę.

- Ależ tak - nie zgodził się Ray. - Beau tak twierdzi.

- Zastanów się, Joe. Byłeś w wojsku, widziałeś, jak to działa. Myślisz, że ci goście potrafiliby wszystko zorganizować i utrzymać w sekrecie? Dostałeś kiedyś od nich parę butów, które by pasowały? Ray się roześmiał.

- W życiu - przyznał.

- Zgadza się - ciągnął Reacher. - Jeśli zatem nie potrafisz zorganizować nawet zwykłych butów, to co dopiero z całą resztą, o której opowiada Beau? Nadajniki ukryte w nowych samochodach? Myślisz, że Detroit by sobie poradziło? Cały czas musieliby je naprawiać, boby nie działały. Lubisz hazard, Joe?

- Dlaczego?

- Jakie są szanse tego, że mogliby zorganizować potężny spisek i utrzymywać go w tajemnicy całymi latami?

Twarz Raya rozjaśnił powolny uśmiech i Reacher zrozumiał, że przegrywa. Zupełnie jakby gadał do ściany, próbował nauczyć małpę czytać.

- Ale oni nie utrzymali wszystkiego w tajemnicy - oznajmił triumfalnie Ray. - Bo przecież się dowiedzieliśmy. Mówiłem ci, Beau ma dowody. Ma dokumenty, to wcale nie tajemnica. Dlatego właśnie tu jesteśmy. Beau ma rację, bez dwóch zdań. To spryciarz.

Reacher przymknął oczy, westchnął.

- Lepiej, żeby tak było - rzekł. - Potrzebuje sprytu.

- To spryciarz - powtórzył Ray. - I ma coś jeszcze. Autorytet. Potrafi nas zjednoczyć. Działało tu kilka grup. Ich przywódcy odeszli, zrezygnowali. Ich ludzie dołączyli do Beau, bo mu ufają. To mądry facet, Reacher, i tylko on nam został. Nie zdołasz nikogo przekonać, zapomnij o tym. My go kochamy i ufamy mu. Wiemy, że zrobi to, co najlepsze.

- A co z Jacksonem? - spytał Reacher. - Myślisz, że Beau postąpił w tej sprawie właściwie?

Ray wzruszył ramionami.

- Jackson był szpiegiem. Takie rzeczy się zdarzają. Beau studiował historię. Tak samo było w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym, prawda? „Czerwone kurtki” miały swoich szpiegów. Wieszaliśmy ich wtedy, tak jak dziś. Na wschodzie wiele starszych pań ma przed domami stare dęby, słynące z tego, że kiedyś wieszano na nich szpiegów „czerwonych kurtek”. Niektóre każą sobie płacić półtora dolca za obejrzenie takiego dębu. Wiem, kiedyś tam byłem.

- O której gasicie tu światła?

- O dziesiątej - odparł Ray. - A czemu?

Reacher umilkł, patrząc na niego przenikliwie. Raz jeszcze przeanalizował w myślach całą

rozmowę. Przyglądał się szczupłej, ruchliwej twarzy Raya. Spoglądał w jego szalone oczy, płonące pod masywnym czołem.

- Muszę gdzieś pójść po ciszy nocnej - oznajmił. Ray się roześmiał.

- I myślisz, że ci pozwolę? Reacher przytaknął.

- Jeśli chcesz przeżyć.

Ray uniósł pistolet i wycelował jedną ręką w głowę Reachera.

- To ja mam tu broń - przypomniał.

- Nie pożyczysz dość długo, by nacisnąć spust.

- Spust jest tutaj. Ty siedzisz znacznie dalej. Reacher uciszył go machnięciem ręki. Pochylił się naprzód

i zaczął mówić cicho.

- Nie powinienem ci tego zdradzać, ale uprzedzono nas, że możemy spotkać ludzi inteligentniejszych niż większość i wolno nam wyjaśnić im parę rzeczy, jeśli wymagają tego okoliczności operacyjne.

- Jakie okoliczności? - spytał Ray. - Jakie rzeczy?

- Miałaś rację - oświadczył Reacher. - Większość rzeczy, o których mówiłeś, to prawda. Jest kilka drobnych nieścisłości, ale od czasu do czasu staramy się szerzyć dezinformację.

- O czym ty mówisz? Reacher zniżył głos do szeptu.

- Należę do armii światowej - oznajmił. - Dowodzę pierwszą falą. W lesie ukrywa się pięć tysięcy żołnierzy ONZ, głównie Rosjan, trochę Chińczyków. Obserwujemy was przez satelity. W tej chwili w tę chatę wycelowano kamerę rentgenowską. W twoją głowę celuje promień lasera, część technologii kosmicznej.

- Żartujesz - mruknął Ray.

Reacher pokręcił głową ze śmiertelnie poważną miną.

- Miałaś rację co do mikrochipów - dodał. - Spójrz. Wstał powoli i podciągnął koszulę, odwracając się lekko,

by Ray mógł dostrzec wielką bliznę na jego brzuchu.

- Większy niż modele współczesne. Najnowsze wszczepia się praktycznie bez śladu. To te, którymi znakujemy dzieci. Ale stare działają równie dobrze. Satelity cały czas wiedzą, gdzie jestem. Tak jak mówiłeś. Jeśli zaczniesz naciskać spust, laser zdmuchnie ci głowę.

Oczy Raya płonęły. Odwrócił wzrok od blizny Reachera i spojrzał nerwowo w górę.

- Suis pas americain - powiedział Reacher. - Suis un soldatfrançais, agent du gouvernement mondial depuisplu-sieurs annees, parti en mission clandestine ily a dewc mois. Ilfaut evaluer l'element du risque que votre bande represent par id.

Reacher mówił, jak potrafił najszybciej. W sumie wysławiał się jak wykształcona paryżanka. Tak jak jego nieżyjąca matka. Ray powoli skinął głową.

- Jesteś cudzoziemcem? - spytał.

- Francuzem - odrzekł Reacher. - Tworzymy brygady międzynarodowe. Jestem tu po to, by sprawdzić, jakie stanowicie dla nas zagrożenie.

- Widziałem, jak strzelasz. Sam to zauważyłem. Tysiąc metrów.

- Kierował mną satelita - improwizował Reacher. - Już mówiłem, technologia kosmiczna, przez mikrochip. Wszyscy umiemy tak strzelać. Trafiamy do celu z odległości trzech kilometrów.

- Chryste. - Ray westchnął.

- O dziesiątej muszę znaleźć się na dworze, to procedura bezpieczeństwa. Masz tu żonę?

Ray przytaknął.

- A dzieci? - ciągnął Reacher. - Któreś z tych dzieci to twoje?

Ray ponownie skinął głową.

- Jasne. Dwóch chłopaków.

- Jeśli nie wyjdę do dziesiątej, wszyscy zginą. Jeżeli mnie złapią, całe to miejsce zostanie spalone. Nie możemy pozwolić, aby ktoś przechwycił mój mikrochip. Mówiłem, że i tak nie zrozumiecie,

jak działa, ale mój dowódca twierdził, że część was może okazać się inteligentniejsza, niż sądziłem. Wygląda na to, że miał rację.

Ray z dumą skinął głową. Reacher spojrzał na zegarek.

- W tej chwili jest wpół do ósmej. Zgadza się? Teraz się prześpię, dwie i pół godziny. Satelita obudzi mnie dokładnie o dziesiątej. Poczekaj, a sam zobaczysz.

Położył się na podłogę, podkładając rękę pod głowę. Nastawił budzik w głowie na za dwie dziesiąta, myśląc do siebie: tylko mnie dziś nie zawieź.

35

Absolutnie w to nie wierzę - oznajmił generał Garber. - On w tym uczestniczy - odparł Webster. - To całkowicie pewne. Mamy zdjęcia, jasne jak słońce. Garber pokręcił głową. - Awansowano mnie na porucznika czterdzieści lat temu

- rzekł. - Teraz jestem trzygwiazdkowym generałem. Dowodziłem tysiącami ludzi, dziesiątkami tysięcy. Większość poznałem całkiem dobrze. A z nich wszystkich Jack Reacher to najmniej prawdopodobny kandydat do czegoś takiego.

Garber siedział sztywno wyprostowany przy stole w ruchomym ośrodku dowodzenia. Zdjął płaszcz przeciwdeszczowy, odsłaniając starą, wymiętą kurtkę mundurową. Ozdabiały ją pamiątki po całym życiu spędzonym w armii

- wstążki, baretki. Oto kurtka należąca do człowieka, który spędził czterdzieści lat na służbie i nigdy nie popełnił błędu.

Johnson obserwował go uważnie. Porośnięta siwą szczecina głowa generała tkwiła nieruchomo. Oczy miał spokojne. Ręce spoczywały wygodnie na stole. Mówił cicho, lecz stanowczo, bez cienia wątpliwości. Zupełnie jakby kazano mu bronić hipotezy, że niebo jest niebieskie, a trawa zielona.

- Pokaż generałowi zdjęcia, Mack - poprosił Webster.

McGrath przytaknął, otworzył kopertę. Przesunął po blacie cztery odbitki. Garber podniósł je kolejno, przechylając tak, by pochwyciły zielone światło padające z sufitu. Johnson nie spuszczał wzroku z jego oczu. Czekał na błysk zwątpienia, rezygnacji. Nie doczekał się. - Można je różnie interpretować - oznajmił Garber.

Nadal mówił spokojnie. Johnson słyszał w jego głosie lojalność oficera broniącego ulubionego podwładnego, Webster McGrath-policjanta wyrażającego wątpliwość. Uznali, że czterdzieści lat służby daje mu prawo do przedstawienia własnego zdania.

- Interpretować? Jak? - spytał Webster.

- Cztery wyrwane chwile z dłuższej sekwencji - wyjaśnił Garber. - Być może opowiadają nam niewłaściwą historię. Webster pochylił się, wskazując pierwsze zdjęcie.

- Wyrzywa jej rzeczy - stwierdził. - Widać to wyraźnie, generale.

Garber pokręcił głową. W pomieszczeniu zapadła cisza. Słyszeli jedynie elektroniczny pomruk zebranego w ciężarówce sprzętu. Johnson dostrzegł w końcu błysk zwątpienia, lecz nie w oczach Garbera, lecz McGratha. W tym momencie zadźwięczał metal. Brogan wspiął się na drabinkę i wsadził głowę do ciężarówki.

- Mamy taśmy, szefie. Przeglądaliśmy materiały zarejestrowane wcześniej przez samoloty. Powinniście to zobaczyć.

Zeskoczył na ziemię. Czterej mężczyźni popatrzyli po sobie i wstali. Przez moment ogarnął ich wieczorny chłód, a potem znaleźli się w ciężarówce nasłuchu satelitarnego. Czekał już na nich Milošević, w samej koszuli z podwiniętymi rękawami, skąpany w błękitnym blasku padającym z szeregu monitorów. Cofnął jedną z taśm i nacisnął przycisk. Na czterech ekranach pojawił się idealnie wyraźny obraz małego miasta. Jakość była zdumiewająca. Przypominało to film, tyle że nakręcony nie z perspektywy poziomej, a z idealnie pionowej.

- Yorke - oznajmił Milošević. - Na dole widać stary budynek sądu. A teraz patrzcie.

Nacisnął przewijanie, obserwując licznik. Po chwili puścił przycisk i ponownie włączył odtwarzanie.

- Dwa kilometry dalej - rzekł. - Kamera skierowana na północny zachód. Mają tam plac apelowy i strzelnicę.

Kamera odjechała, ukazując rozległą panoramę okolicy. Na południu ujrzeli dwie polany, na których zbudowano chaty, na północy płaski plac apelowy. Pomiędzy nimi w poszyciu ziała długa, wąska blizna, długa na jakieś osiemset metrów, szeroka na dwadzieścia. Kamera na moment znieruchomiała, by ustalić skalę. Potem skupiła się na tłumie zebrany w wschodnim końcu strzelnicy. Powiększenie - niewielka grupka ludzi na brązowych matach. Wyraźnie ujrzeli czterech mężczyzn i jedną kobietę. Generał Johnson wstrzymał oddech, patrząc na córkę.

- Kiedy to było? - spytał.

- Kilka godzin temu - odparł Milošević. - Żyje, nic jej nie jest.

Zatrzymał film i cztery razy postukał paznokciem w ekran.

- Reacher - oznajmił. - Stevie Stewart. Przypuszczamy, że ten to Odell Fowler, a ten grubas to Beau Borken. Pasuje do zdjęcia w aktach w Kalifornii.

Znow puścił film. Kamera spoglądająca z wysokości jedenastu kilometrów nadal obserwowała grupkę ludzi. Borken położył się na ziemi, znieruchomiał. Nagle spod lufy jego karabinu wzleciał obłoczek kurzu.

- Strzelają na trochę ponad osiemset metrów - wyjaśnił Milošević. - To pewnie jakieś zawody.

Patrzyli, jak Borken strzela jeszcze pięć razy, a potem Reacher sięga po karabin.

- To barrett - zauważył Garber.

Reacher położył się nieruchomo. Wystrzelił sześć razy w równych odstępach. Tłum zaczął krążyć wokół. Po chwili Reacher zniknął im z oczu pośród drzew na południu.

- No dobra - wtrącił Webster. - Jak pan to zinterpretuje, generale Garber?

Garber wzruszył ramionami. Jego twarz wyrażała upór.

- Jest jednym z nich, nie ma co do tego wątpliwości - ciągnął Webster. - Widział pan jego strój? Był w mundurze, popisywał się na strzelnicy. Czy daliby mu mundur i karabin do zabawy, gdyby nie był jednym z nich?

Johnson cofnął taśmę i zatrzymał. Długą chwilę przyglądał się widocznej na ekranie Holly. Potem wyszedł z naczepy, obrócił głowę i zawołał Webstera.

- Dyrektorze, musimy wziąć się do pracy. Chcę z wyprzedzeniem opracować plan awaryjny. Lepiej bądźmy przygotowani na wszystko.

Webster podążył za nim. Brogan i Milošević zostali przy konsoli wideo. McGrath obserwował Garbera, który siedział zapatrzony w pusty monitor.

- Nadal w to nie wierzę - rzekł generał.

Odwrócił się i ujrzął obserwującego go McGratha. Skinieniem głowy pokazał mu wyjście. Przez chwilę obaj szli obok siebie w milczeniu, w mroku.

- Nie potrafię tego dowieść - powiedział Garber. - Ale Reacher jest po naszej stronie. Gwarantuję to osobiście.

- Nie wygląda na to - odparł McGrath. - Klasyczny typ, idealnie pasuje do standardowego profilu. Bezrobotny były

wojskowy, niezadowolony, zagubiony, samotne dzieciństwo, prawdopodobnie pełen pretensji do świata. Garber pokręcił głową.

- Ależ on taki nie jest. Nie pasuje do niego nic poza bezrobotnym byłym wojskowym. Był świetnym oficerem, najlepszym, jakiego miałem. Popelniacie ogromny błąd.

McGrath dostrzegł wyraz twarzy Garbera.

- A zatem bezwarunkowo mu pan ufa? Garber przytaknął z ponurą miną.

- Powierzyłbym mu własne życie. Nie wiem, czemu tam jest, ale zaręczam, że jest czysty i zrobi wszystko, co potrzeba. Albo będzie próbował - do śmierci.

\* \* \*

Dokładnie dziesięć kilometrów dalej na północ Holly zawierzyła temu samemu instynktowi. Zabrali jej rozkręcone łóżko. Leżała na ziemi na cienkim materacu. W ramach kary odebrali jej też mydło, szampon i ręcznik. Pozostawili natomiast nietkniętą kałużę krwi nieżyjącej kobiety. Wciąż tam była, metr od prowizorycznego legowiska Holly. Holly domyślała się, że obecność krwi miała ją zastraszyć. Pomylili się. Tylko dodała jej sił. Z radością patrzyła, jak krew zasycha i czernieje. Myślała o Jacksonie i patrzyła na plamę niczym na kleks Rorschacha, mówiący: wychodzisz z cienia, Holly.

\* \* \*

Webster i Johnson opracowali całkiem prosty plan awaryjny. Opierał się on na geografii. Tej samej geografii, która, jak przypuszczali, skusiła Borkena do wyboru akurat Yorke. Podobnie jak wszystkie plany oparte na geografii i ten stworzono za pomocą map. I jak wszystkie takie plany, był równie dobry jak sama mapa. A ta, jak większość innych, okazała się nieaktualna.

Przy planowaniu korzystali z dużej mapy Montany. Większość widocznych na niej informacji była prawdziwa. Właściwie oddano główne cechy terenu. Wyraźnie też widzieli zachodnią przeszkodę.

- Zakładamy, że rzeki nie da się przebyć? - spytał Webster.

- Zgadza się - przytaknął Johnson. - Właśnie przechodzi najwyższa fala wiosennych roztopów. Do poniedziałku niczego nie zdziałamy. Dopiero wtedy możemy dostać sprzęt.

Drogi na mapie oznaczono kolorem czerwonym. Wyglądało to, jakby ktoś przyłożył do papieru prawą dłoń. Małe miasteczka Kalispell i Whitefish spoczywały pośrodku. Drogi rozbiegały się na zewnątrz niczym cztery palce i kciuk. Palec wskazujący wiodł do miasteczka Eureka na granicy kanadyjskiej. Kciuk na północny zachód przez Yorke, do starych kopalni. Ów kciuk odcięto teraz przy pierwszym stawie.

- Zakładają, że przybędziecie drogą - powiedział Johnson. - Ale tego nie zrobicie. Skręcicie na wschód do Eureka i dotrzecie tam przez las.

Przesunął ołówek w dół kciuka i przez wierzch dłoni, z powrotem do palca wskazującego, zatrzymując się w Euce. Od Yorke oddzielało ją osiemdziesiąt pięć kilometrów lasu. Na mapie symbolizowała go wielka zielona plama, długa i szeroka. Wiedzieli, co oznacza. Więcej, widzieli to wokół siebie. Cały teren, łącznie ze zboczami gór, porastała dziewicza puszcza. W większości miejsc roślinność była tak gęsta, że dorosły człowiek ledwie mógł przecisnąć się między pniami. Lecz zielona plama na wschód od Yorke oznaczała lasy państwowe. Przecinała ją sieć cieniutkich nitek - szlaków służby leśnej.

- W ciągu czterech godzin mogę tu ściągnąć moich ludzi - oznajmił Webster. - Jednostkę antyterrorystyczną specjalizującą się w odbijaniu zakładników. Jeśli trzeba, uczynię to z własnej inicjatywy.

Johnson skinął głową.

- Przejdą wprost przez las - rzekł. - Może nawet zdołają przejechać.

Webster przytaknął.

-Zadzwoniliśmy do służb leśnych. Przywiozą nam szczegółowe plany.

- Doskonale - mruknął Johnson. - Jeśli sytuacja się pogorszy, wezwiesz swoją grupę, wyślesz ich wprost do Eureka. Narobimy zamieszania na południowej flance, a oni przebiją się prosto ze wschodu.

Webster ponownie przytaknął. Mieli gotowy plan awaryjny, lecz później w przyczepie zjawił się członek państwowej służby leśnej. McGrath wraz z Miloševiczem i Broga-nem wprowadzili go do środka po krótkiej aluminiowej drabince. Webster przedstawił wszystkich zebranych, a Johnson zaczął zadawać pytania. Strażnik leśny niemal natychmiast pokręcił głową.

- Te szlaki nie istnieją - oznajmił. - Przynajmniej większość.

Johnson wskazał na mapę.

- Przecież są tutaj.

Strażnik wzruszył ramionami. Pod pachą trzymał grubą księgę planów topograficznych. Otworzył ją na właściwej stronie, położył na mapie. Skala była znacznie większa, ale od razu dostrzegli, że



sieć szlaków ma zupełnie inny kształt.

- Kartografowie wiedzą, że są tu szlaki, ale rysują je na chybił trafił.

- Okay - mruknął Johnson. - Skorzystamy z pańskich map. Strażnik pokręcił głową.

- One też nie są aktualne. Kiedyś pokazywały wszystko jak należy, ale teraz już nie. Od lat zamykamy większość tych szlaków. Musieliśmy to zrobić, żeby powstrzymać myśliwych polujących na niedźwiedzie. Obrońcy środowiska nas zmusili. Większość wylotów zablokowaliśmy, nawożąc buldożerami tony ziemi. Inne zawaliliśmy drzewami. Do tej pory są już pewnie całkowicie zarośnięte.

- No dobra, które zostały zamknięte? - spytał Webster. Odwrócił plan i zaczął go pilnie studiować.

- Nie wiemy - wyjaśnił strażnik. - Nie prowadzimy aktualnych zapisów. Po prostu wysyłaliśmy buldożery. Często zdarzało się, że robotnicy zamykali niewłaściwe szlaki, bo było bliżej. Albo nic nie robili, bo tak było łatwiej. Jeden wielki bałagan.

- Czy zatem istnieje jakieś przejście? - chciał wiedzieć Johnson.

Jego rozmówca wzruszył ramionami.

- Może - odparł. - Może nie. Trzeba by sprawdzić poszczególne miejsca. To mogłoby potrwać parę miesięcy. Jeśli uda wam się przejść, zapiszcie jak i dajcie nam znać, dobrze?

Johnson patrzył na niego bez słowa.

~ Wyjaśnijmy to sobie - powiedział. - Jest pan z pieprzonej służby leśnej i chce pan, żebyśmy my powiedzieli wam, którądy biegną wasze szlaki?

Tamten przytaknął.

- Coś w tym stylu. Jak już mówiłem, mamy bardzo kiepskie archiwa. Uznaliśmy, że nikogo to nie obchodzi.

Adiutant generała odprowadził strażnika aż do blokady. W pojeździe dowodzenia zapadła cisza. McGrath, Brogan i Milošević oglądali mapę.

- My nie możemy przejść, oni także - mruknął McGrath. - Mamy ich w potrzasku. Musimy to jakoś wykorzystać.

- Jak? - spytał Webster.

- Kontrola - wyjaśnił McGrath. - Kontrolujemy już drogę. Możemy też przejąć zasilanie i linie telefoniczne. Wszystko biegnie wzdłuż drogi. Osobne odgałęzienia do Kalispell. Powinniśmy przeciąć linię telefoniczną, tak by kończyła się tutaj, w tym pojeździe. Wtedy będą mieli łączność wyłącznie z nami. I z nikim innym. Wówczas oznajmimy im, że mamy w ręku ich zasilanie. Zagrozimy, że je odetniemy, jeśli nie zaczną negocjować.

- Chce pan prowadzić negocjacje? - wtrącił Johnson.

- Chcę opóźnić ich działanie, dopóki Biały Dom nie podejmie decyzji.

Webster skinął głową.

- W porządku, zrobmy to. Zadzwoń do firmy telefonicznej i każ podciągnąć tu linię.

- Już to zrobiłem - odrzekł McGrath. - Będą tu wcześniej rano.

Webster ziewnął, zerknął na zegarek, wezwał gestem Miloševicza i Brogana.

- Powinniśmy spać na zmianę - oświadczył. - Wy dwaj będziecie pierwsi. Podzielimy się na dwie grupy, po cztery godziny.

Agenci potwierdzili bez słowa. Wydawali się zadowoleni z takiego układu.

- Do zobaczenia później - rzucił McGrath. - Śpijcie dobrze.

Wyszli z przyczepy, cicho zamykając drzwi. Johnson nadal ślęczał nad mapą. Obracał ją i przekręcał na białce.

- Nie mogą załatwić telefonów szybciej? - spytał. - Na przykład jeszcze dzisiaj?

Webster zastanowił się, przytaknął. Wiedział, że pięćdziesiąt procent zwycięskiej bitwy to utrzymanie harmonijnej struktury dowodzenia.

- Zadzwoń jeszcze raz, Mack - polecił. - Powiedz, że muszą to zrobić już.

McGrath zadzwonił. Skorzystał z telefonu stojącego obok łokcia. Przeprowadził krótką rozmowę, którą zakończył, parszcząc śmiechem.

- Wysyłają speców od awarii. To potrwa parę godzin, ale dostaniemy rachunek. Kazałem im go posłać do Budynku Hoovera. Facet spytał, gdzie to jest.

Wstał i zaczekał w drzwiach. Johnson i Webster pozostali przy stole. Pochylili się razem nad mapą, oglądając południowy wąwóz. Powstał milion lat temu, gdy ziemia pękła pod ciężarem dziesiątków tysięcy ton lodu. Mieli nadzieję, że chociaż w tym wypadku mapa odpowiada rzeczywistości.

36

Reacher obudził się za dwie dziesiąta. Tak jak zawsze, błyskawicznie, niedostrzegalnie, bez zmiany oddechu. Poczul rękę podłożoną pod głowę. Odrobinę uchylił powieki. Po drugiej stronie chaty kar Joseph Ray wciąż siedział oparty o drzwi. Glock leżał obok na podłodze. Ray zerkał właśnie na zegarek.

Reacher odliczył w głowie dziewięćdziesiąt sekund. Ray wodził wzrokiem pomiędzy dachem chaty i tarczą zegarka. Nagle spojrzał na Reachera, który właśnie w tym momencie jednym płynnym ruchem podniósł się z ziemi, przyciskając dłoń do ucha, jakby słuchał tajnego przekazu. Oczy Raya otworzyły się szeroko. Reacher skinął głową; wstał.

- W porządku - rzekł. - Otwórz drzwi, Joe.

Ray wyjął z kieszeni klucz. Przekręcił go w zamku. Drzwi uchyliły się powoli.

- Chcesz wziąć glocka? - spytał.

Wyciągnął do niego pistolet kolbą naprzód. W jego oczach Reacher dostrzegł napięcie. Uśmiechnął się; nie oczekiwał niczego innego. Ray był głupi, ale nie aż tak głupi. Miał dwie godziny na przetrwanie całej historyjki. Oto ostatnia próba. Gdyby Reacher wziął pistolet, oznaczałoby to, że kłamie. Z pewnością Ray wyjął magazynek i schował bezpiecznie do kieszeni.

- Nie potrzebuję go - oznajmił głośno. - Całe to miejsce jest pod obserwacją. Mam do dyspozycji broń znacznie potężniejszą niż twoja spluwa. Wierz mi, Joe.

Ray przytaknął i wyprostował się.

- Nie zapominaj o laserach - dodał Reacher. - Jeśli wyjdiesz z chaty, jesteś trupem. W tej chwili nic na to nie poradzę. Vous comprenez, mon ami?

Ray ponownie skinął głową. Reacher wysliznął się w mrok, a tamten zamknął za nim drzwi. Reacher cofnął się powoli, i poczekał za rogiem. Ukląkł, znalazł niewielki kamień. Uniósł go w dłoni, czekając, czy Ray pójdzie za nim.

Nie poszedł. Reacher czekał osiem minut. Długie doświadczenie nauczyło go, że jeśli przeciwnik nie pojawi się po sześciu minutach, nie zjawi się w ogóle. Ludzie myślą w segmentach pięciominutowych. Sprawia to układ zegarków. Mówią: zaczekam pięć minut. A potem, ponieważ są ostrożni, dodają kolejną minutę. Myślą, że to sprytne. Reacher przeczekał, pierwszych pięć, potem dodatkową, potem dla bezpieczeństwa dodał jeszcze dwie. Ale Ray się nie zjawił, co znaczyło, że już nie przyjdzie.

Reacher unikał otwartej przestrzeni. Trzymał się lasu, okrążając polanę, wymijał ścieżki. Nie przejmował się psami - z pewnością były zamknięte. Fowler wspominał, że w okolicy polują pumy. Nikt nie wypuszcza nocą psa, jeśli w pobliżu krążą pumy. To najszybszy sposób pozbycia się psów.

Dokładnie okrążył Bastion ukryty wśród drzew. Zgaszono już światła. Wszędzie wokół panowała cisza i bezruch. Reacher czekał w lesie za kantyną. Kuchnia mieściła się w kwadratowej chacie, niezgrabnie połączonej z tyłem głównego budynku. Mimo zgaszonych świateł drzwi stały otworem. Kobieta, która podała mu śniadanie, czekała w cieniu.

Obserwował ją ze swej kryjówki. Odczekał pięć minut, potem sześć. Brak jakiegokolwiek ruchu. Cisnął kamieniem na ścieżkę po lewej. Kobieta podskoczyła, słysząc nagły szelest. Zawołał cicho i wyszła z cienia, sama. Gdy się zbliżyła, ujął ją za łokieć i pociągnął w ciemność.

- Jak tu dotarłeś? - szepnęła.

Nie dało się określić jej wieku. Równie dobrze mogła mieć dwadzieścia pięć, jak i czterdzieści pięć

lat. Była ładna, szczupła, miała długie proste włosy, lecz troska i niepokój wryły piętno na jej twarzy. Ale gdzieś tam w środku wciąż krył się ognisty duch i siła. Doskonale radziłaby sobie sto lat wcześniej na szlaku do Oregonu.

- Jak się wydostałaś?

- Wyszedłem drzwiami - odparł Reacher. Kobieta spojrzała na niego, nic nie pojmując.

- Musisz nam pomóc.

Nagle umilkła, tylko wykręcała palce i rozglądała się wokół przerażonym wzrokiem.

- Pomóc? Jak? - spytał. - Dlaczego?

- To szaleńcy - odparła kobieta. - Musisz nam pomóc.

- Jak? - powtórzył.

Jedynie skrzywiła się w odpowiedzi, szeroko rozkładając ręce, jakby odpowiedź była oczywista albo jakby sama nie wiedziała, od czego zacząć.

- Od początku - odpowiedział.

Dwukrotnie skinęła głową. Przełknęła ślinę, zbierając myśli.

- Ludzie zniknęli - oznajmiła.

- Jacy ludzie? - naciskał. - Jak zniknęli?

- Po prostu zniknęli. Borken przejął wszystko. To długa historia. Większość nas trafiła tu z innymi grupami. Po prostu tu żyliśmy, radziliśmy sobie sami, my i nasze rodziny.

Rozumiesz? Ja należałam do Wolnych Ludzi - Grupy Pół-nocno-Zachodniej. Potem zjawił się Borken, zaczął mówić o jedności. Spierał się, kłócił. Inni przywódcy nie zgadzali się z nim. A potem zaczęli znikać. Po prostu odeszli. Borken twierdził, że nie potrafili znieść tempa zmian. Zniknęli bez śladu, a on oświadczył, że musimy dołączyć do niego. Mówił, że nie mamy wyboru. Część z nas jest tu więźniami. Reacher skinął głową.

- A teraz coś się dzieje w kopalniach - dodała.

- Co takiego?

- Nie wiem. Chyba coś złego. Nie wolno nam tam chodzić. To zaledwie półtora kilometra stąd, ale wstęp jest surowo wzbroniony. Dzisiaj też coś się tam działo. Mówili, że wszyscy pracują na południu, na granicy. Potem jednak wrócili na lunch z północy. Widziałam z okna kuchni. Uśmiechali się i śmiali głośno.

- Kto? - spytał Reacher.

- Borken i ci, którym ufa - wyjaśniła. - To szaleniec. Mówi, że kiedy ogłosimy niepodległość, zaatakują nas i będziemy musieli walczyć. Od jutra. Wszyscy jesteśmy przerażeni. Mamy rodziny, rozumiesz. Ale nic nie możemy zrobić. Kiedy ktoś się sprzeciwia, Borken go wygania albo wrzeszczy tak długo, aż zaczynasz się z nim zgadzać. Nikt nie może mu się sprzeciwić. Całkowicie nad nami panuje.

Reacher raz jeszcze skinął głową. Kobieta oparła się o niego, opadła z sił. Na jej policzkach załśniły łzy.

- A przecież nie możemy wygrać, prawda? - dodała. - Jeśli nas zaatakują. Jest nas tylko setka. A setka ludzi nie pokona armii. Wszyscy zginiemy.

W jej szeroko otwartych, jasnych oczach dostrzegł desperację. Wzruszył ramionami, pokręcił głową, starając się, by w jego głosie zabrzmiała spokojna, dodająca otuchy nuta.

- Dojdzie do oblężenia - rzekł. - To wszystko. Próba sił. Zaczną negocjować. Już się tak zdarzało. Sprawą zajmie się FBI, nie wojsko. FBI wie, jak postępować w takich sytuacjach. Nic wam nie grozi, nie zabiją was. Nie przybędą tu, żeby kogokolwiek zabić. To tylko propaganda Borkena.

- Żyj wolno albo umrzyj - dodała kobieta. - Cały czas to powtarza.

- FBI się tym zajmie - uspokajał Reacher. - Nikt nie chce was zabić.

Kobieta zacisnęła wargi, zamknęła wilgotne oczy i gwałtownie pokręciła głową.

- Nie, Borken nas zabije. On to robi, nie oni. Żyj wolno albo umrzyj. Jeśli się zjawia, zabije nas

wszystkich albo każe nam się zabić. Masowe samobójstwo. Zmusi nas do tego, ja to wiem.

Reacher patrzył na nią bez słowa.

- Słyszałam, jak rozmawiali - dodała. - Cały czas o tym szepczą. Snują tajne plany. Mówią, że kobiety i dzieci zginą, że to usprawiedliwione, że cel uświęca środki, że to ważne, historyczne, że okoliczności tego wymagają.

- Słyszałaś? - spytał Reacher. - Kiedy?

- Cały czas to mówią. Stale planują. Borken i ci, którym ufa. Kobiety i dzieci muszą umrzeć, tak powiedzieli. Każą nam się zabić. Masowe samobójstwo. Nasze rodziny, nasze dzieci. W kopalni. Myślę, że zmuszą nas, abyśmy poszli do kopalni i zabili się.

\* \* \*

Trzymał się lasu, póki nie znalazł się spory kawałek na północ od placu apelowego. Wówczas skręcił na wschód. W końcu ujrzał drogę wybiegającą z Yorke. Była nierówna, wyboista, połyskiwała szaro w promieniach księżyca. Trzymając się w cieniu drzew, podążył nią na północ.

Droga wspiwała się na zbocze, zataczając ciasne zakręty. Świadczyło to wyraźnie o tym, że prowadziła do ważnego miejsca - w przeciwnym razie nie opłacałoby się budować czegoś podobnego. Po półtora kilometra zakrętów i trzystu metrach wspinaczki Reacher dotarł do płaskiego zagłębienia wielkości stadionu. Częściowo było ono naturalne, częściowo poszerzone ludzką ręką, zawieszona pomiędzy olbrzymimi szczytami. Tylne ściany zagłębienia tworzyły gładkie skały. W równych odstępach wysadzono w nich półokrągłe otwory, przypominające olbrzymie mysie nory. Część z nich obudowano odłamkami skalnymi, tak by osłonić wejście. Dwa otaczały olbrzymie kamienne ściany, pokryte drewnianym dachem.

Nieckę starannie wysypano łupkiem. Wszędzie piętrzyły się stosy ziemi i skalnych odłamków. Między kamieniami przebijały się wątłe pędy chwastów i młode drzewa. Reacher dostrzegł zardzewiałe resztki szyn, zaczynających się nagle i biegnących kilka metrów donikąd. Przycupnął pod drzewem w lesie i patrzył.

Nic się nie działo. Miejsce było puste, milczące. Wokół panowała martwa cisza, żadnych odgłosów, jak zawsze w opuszczonych konstrukcjach przemysłowych. Naturalne dźwięki już dawno odeszły. Szumiące drzewa wykarczowa-no, szemrzące strumienie skierowano gdzie indziej. Roślinność wypalono. Zastąpiły ją hałaśliwe maszyny i krzyczący ludzie. Kiedy jednak ludzie i maszyny odchodzą, nie ma nic, co zastąpiłoby ich kakofonię. Reacher natężył słuch, lecz niczego nie słyszał. Było cicho jak na księżycu.

Pozostał w lesie. Podejście z południa oznaczałoby konieczność wdrapania się na górę. Okrążył nieckę od zachodu, zyskując dodatkowych trzydzieści metrów wysokości. Przystanął i spojrzał w dół z nowego miejsca.

Wciąż nic. Ale niedawno coś się tu działo. Bardzo niedawno. W blasku księżyca ujrzał ślady opon w łupku. Mnóstwo kolein biegnących do jednej z kamiennych szop. Dziesiątki śladów, starych i nowych. Garaż. Do drugiej wiodły nowsze koleiny. Ta budowla była większa; większe ślady. Ktoś wprowadził do niej kilka dużych pojazdów. Niewiele czasu minęło od tamtej pory.

Reacher wybiegł z lasu i znalazł się na łupku. Jego kroki na niewielkich płaskich kamykach rozbrzmiewały niczym wystrzały ze strzelby. Każdy odbijał się gromkim echem od kamiennych ścian. Reacher czuł się mały i nagi niczym w złym śnie, w którym biegnie goły przez boisko futbolowe. Miał wrażenie, że otaczające go góry to olbrzymi tłum zebrany na trybunach, patrzący na niego w milczeniu. Zatrzymał się za stosem kamieni, przykucnął i zaczął nasłuchiwać. Echo kroków zamarło w ciszy. Nie usłyszał niczego. Całkowity brak dźwięków.

Podkraść się hałaśliwie do drzwi mniejszej budowli. Z bliska okazała się bardzo wielka. Prawdopodobnie niegdyś przechowywano w niej olbrzymie maszyny i pompy. Same drzwi miały trzy i pół metra wysokości. Zbudowano je z okorowanych pni, połączonych żelaznymi listwami. Wyglądały jak ściany drewnianego domu, przymocowane do zbocza góry.

Nie dostrzegł zamka. Nic zresztą dziwnego. Żaden zamek, jaki zdarzyło mu się oglądać, nie pasowałby do tak olbrzymich drzwi. Oparł się plecami o prawe skrzydło i napał na lewe. Drzwi przesunęły się lekko na grubo nasmarowanych zawiasach. Przepchnął się przez szparę i wszedł do środka.

Wewnątrz panowała nieprzenikniona ciemność. Nic nie widział. Stał i czekał, by wzrok przyzwyczaił się do czerni. Ale nie. Oczy otwierały się coraz szerzej i szerzej. Jeśli jednak w ogóle nie ma światła, człowiek i tak niczego nie ^ <zobaczy. W powietrzu czuł silną woń wilgoci i zgnilizny. Słyszał ciszę, znikającą gdzieś w głębi góry, jakby miał przed sobą długą komorę albo tunel. Ruszył naprzód, wyciągając przed siebie ręce jak ślepiec.

Po chwili natknął się na samochód. Zanim dotknął rękami maski, tydką uderzył w przedni błotnik. Wysoki. Ciężarówka albo furgonetka, cywilna, gładki, błyszczący lakier, nie matowy, wojskowy. Przesunął palcami po skraju maski i w dół. Furgonetka. Zaczął macać dookoła, szukając drzwi kierowcy. Były otwarte. Uchylił je. Światło wewnątrz rozświetliło blaskiem miliona reflektorów, rzucając wokół niesamowite, roztańczone cienie. Znajdował się w olbrzymiej jaskini pozbawionej tylnej ściany i zagłębiającej się w zbocze góry. Skalny dach opadał i zwężał się, znikając w mroku. Reacher sięgnął do kabiny, włączył reflektory. Ich promienie odbiły się od skał. Wokół, w równych szeregach parkowało kilkanaście pojazdów - stare samochody osobowe i furgonetki, dzipy z demobilu pokryte prymitywną farbą maskującą. A także biały ford econoline z dziurami w dachu. Wyglądał ponuro i żałośnie, porzucony po epickiej podróży z Chicago, zużyty, opadający nisko na resorach. Po bokach stały warsztaty, nad nimi wisiały stare narzędzia. Reacher dostrzegł puszki farby, beczki oleju, stosy łysych opon, porzewiałe aparaty spawalnicze.

Przeszukał najbliższe pojazdy. We wszystkich stacyjkach tkwiły kluczyki. W schowku trzeciego samochodu znalazł latarkę. Zabrał ją, wrócił do furgonetki i wyłączył reflektory. Cofnął się do wielkich drewnianych drzwi i wyszedł na zewnątrz, w noc.

Odczekał chwilę, nasłuchując. Nic. Powoli zamknął drzwi wielkiego garażu i ruszył w stronę drugiej, większej budowli - sto metrów po hałaśliwym łupku. Druga szopa miała takie same drzwi z okorowanych pni, jeszcze większe niż poprzednie - i tym razem zamknięte. Reacher w życiu nie widział bardziej prymitywnego zamka. Stary, spaczony pień położono na dwóch żelaznych uchwytych i zamocowano łańcuchami spiętymi dwiema wielkimi kłódkami. Zignorował je. Nie musiał majstrować przy kłódkach. Widział, że zakrzywiony stary pień pozwoli mu wejść do środka.

Mocno napał na jedno skrzydło drzwi w miejscu, gdzie schodziły się na dole. Zakrzywienie pnia pozwalało drzwiom rozsunąć się na jakieś trzydzieści centymetrów. Reacher przepchnął przez szczelinę ręce, potem głowę, ramiona, zaparł się stopami i wpełznął do środka. Stał, włączył latarkę.

Znajdował się w kolejnej olbrzymiej jaskini. Ta sama ciemność, identyczna woń wilgoci i rozkładu. To samo stromo opadające sklepienie. Ta sama cisza, jakby wnętrze góry wsysało w siebie wszystkie dźwięki. I to samo przeznaczenie - kryjówka dla pojazdów. Lecz te pojazdy były identyczne - pięć wojskowych ciężarówek, oznaczonych białymi symbolami wojsk rakietowych. Ciężarówki nie były nowe, ale doskonale utrzymane, łącznie z brezentowymi plandekami.

Reacher okrążył pierwszą ciężarówkę. Podciągnął się i zajrzał do środka. Była pusta. Po obu bokach ujrzał ławki z drewnianych listewek, biegnące na całej długości przyczepy. Ciężarówka do transportu żołnierzy. Nie potrafiłby zliczyć kilometrów, które spędził na podobnych ławkach, kołysząc się, podskakując, patrząc w stalową podłogę, czekając, aż dotrze do celu.

Na podłodze dostrzegł plamy, które nie pasowały do czystego brezentu i maski. Czarne plamy na stali. Gęsta, zaschnięta ciecz. Reacher przyglądał się im. Nie potrafił zliczyć, ile podobnych plam oglądał w życiu. Zeskoczył na ziemię, podbiegł do sąsiedniej ciężarówki. Zajrzał do środka, zapalając latarkę. Z tyłu nie było ławek, lecz przykręcone do obu ścian stojaki, starannie

zbudowane, zespane z kątowników, wyposażone w stalowe zatraski i grubą gumową wyściółkę, podtrzymującą delikatny ładunek. W stojaku ) po lewej stało pięć wyrzutni raketowych - smukłych stalowych rur, długich na metr osiemdziesiąt, z matowego, czarnego metalu. Do końca każdej zamocowano dużą skrzynkę ze sprzętem elektronicznym, celownik i uchwyt. Pięć wyrzutni, starannie ustawionych równoległe do siebie.

Po prawej stronie zamocowano dwadzieścia pięć pocisków Stinger. Stały w równym szeregu, otoczone gumową wyściółką, ze złożonymi pulpitemi kontrolnymi, gotowe do załadowania. Ciemny metal, z ręcznie wypisanym numerem seryjnym. Szeroki pas jaskrawopomarańczowej farby, oznaczający segment z paliwem.

Reacher pobiegł do pozostałych trzech ciężarówek. Każda z nich wyglądała tak samo: pięć wyrzutni, dwadzieścia pięć pocisków. W sumie dwadzieścia wyrzutni i sto pocisków. Pełne wyposażenie ruchomej jednostki przeciwlotniczej. Jednostki liczącej dwadzieścia osób. Wrócił do pierwszego samochodu. Przez chwilę patrzył na plamy krwi na podłodze - i wtedy usłyszał szczury. Z początku myślał, że to kroki na zewnątrz. Pospieszenie zgasił latarkę. Potem jednak uświadomił sobie, iż dźwięki dobiegają z bliska, zza jego pleców. Gdzieś w głębi jaskini grasowały szczury. Reacher zaświecił latarkę, pobiegł w tamtą stronę i znalazł dwudziestu ludzi.

Zwłoki leżały ułożone w stos w miejscu, w którym sklepienie obniżało się tak, że Reacher musiał schylić głowę. Dwudziestu martwych żołnierzy. Prawdziwa jatka. Wszystkim strzelono w plecy. Reacher dostrzegł to natychmiast. Stali razem w grupie, gdy napastnicy skosili ich ogniem ciężkich karabinów maszynowych. Pochylił się, sapnął i odwrócił kilka zwłok. Nie byli to najtwardsi żołnierze: spokojni, typ rezerwistów. Personel samotnej bazy, która nie spodziewa się ataku. Schwytani w pułapkę i zamordowani dla ich broni.

Ale jak? Wiedział jak. Stara jednostka raketowa, stacjonująca na północy Montany, pozostałość zimnowojennej paranoi. Z pewnością wkrótce czekała ją likwidacja. Prawdopodobnie właśnie się zaczęła. Zapewne żołnierze zmierzali na południe do Peterson. Dowódcy przez radio przekazali im ostatni rozkaz. Przypomniał sobie skaner radiowy w chacie łączności i operatora cierpliwie poruszającego pokrętkę. Wyobraził sobie przypadkowo przechwycony rozkaz, operatora biegnącego do Borkena, nalaną twarz człowieka pozbawionego wszelkich zasad rozjaśnioną uśmiechem. Potem pośpieszne planowanie i brutalną zasadzkę gdzieś na wzgórzach. Dwudziestu ludzi - zastrzelonych, wrzuconych do własnej ciężarówki i ukrytych w jaskini. Stał i patrzył na upiorny stos trupów. A potem znów zgasił latarkę.

Bo miał rację co do hałasu. Z zewnątrz dobiegał coraz głośniejszy dźwięk kroków na łupku. Usłyszał je ponownie, zbliżały się. W nocnej ciszy dźwięk narastał ogłuszającą falą. Kroki zmierzały wprost do jaskini. Łupek nie pozwalał stwierdzić, ile osób się zbliża.

Usłyszał, jak zatrzymują się przed masywnymi drzwiami. Zabrzęczały klucze, zaszczękały kłódki. Czyjeś ręce zdjęły łańcuchy i ściągnęły kłodę z uchwytów. Drzwi się otworzyły. Reacher padł na ziemię, twarzą w dół, przywierając do stosu zimnych, mokrych trupów.

Cztery stopy, dwa głosy. Doskonale je znał. Fowler i Borken. Rozmawiali cicho, idąc naprzód niespiesznym krokiem. Reacher mocniej przywarł do stosu. Po jego dłoni przebiegł szczur.

- Mówił kiedy? - spytał Fowler.

Jego głos odbił się donośnym echem pośród skalnych ścian.

- Jutro, wcześniej rano - odparł Borken. - O której firma telefoniczna wysyła swoich techników? Koło ósmej, wpół do ósmej?

- Nie ryzykujemy - mruknął Fowler. - Powiedzmy wpół do ósmej. Na samym początku przetrną linię. Mieli latarki. Promienie światła tańczyły wokół, przecinając mrok.

- To nie problem - powiedział Borken. - Tutejsza siódma rano, to dziewiąta na wschodnim wybrzeżu. Idealnie. Zrobimy to o siódmej. Najpierw Waszyngton, potem Nowy Jork, w końcu Atlanta. Zajmie nam to dziesięć minut. Dziesięć minut, które wstrząsnęły światem, co? Dwadzieścia minut zapasu.

Przystanęli przy drugiej ciężarówce. Odsunęli rygle mocujące tylną klapę, która opadła z

metalicznym brzękiem.

- A potem co? - chciał wiedzieć Fowler.

- Potem będziemy czekać i zobaczymy - odrzekł Borken. - W tej chwili mają tu tylko ośmiu marines. Nie wiedzą, co robić. Nie są pewni lasu. Biały Dom gra na zwłokę, tak jak przypuszczaliśmy. Daję im dwanaście godzin na podjęcie decyzji. Nie zrobią nic przed jutrzejszym wieczorem, a do tej pory to miejsce znajdzie się daleko poza listą ich priorytetów.

Zagląдали do ciężarówki. Gruby brezent tłumił głosy.

- Potrzebuję też pocisku? - dopytywał się Fowler.

- Tylko wyrzutni - zdecydował Borken. - Chodzi o elektronikę.

Reacher leżał pośród szczurów. Do jego uszu dobiegł szcęk odpinanych zatrzasków. Potem pisk metalu przesuwanego po gumie. Następnie brzęk ponownie zasuwanych rygli klapy. Kroki się oddaliły. Promienie latarek zaświeciły w stronę drzwi.

Zaskrzypiały zawiasy i ciężkie drewniane wrota zatrzaskały się z hukiem. Reacher usłyszał, jak któryś z nich kładzie ostrożnie wyrzutnię na łupku. Dwaj mężczyźni z głośnym sapnięciem dźwignęli starą kłodę i umieścili ją z powrotem w uchwytach. Zadźwięczał łańcuch, szcęknięły kłódki. Kroki zaczęły się oddalać.

Reacher odturlał się od stosu trupów i ręką natrafił na szczura. Odrzucił go gniewnym uderzeniem dłoni. Szczur z piskiem poleciał w ciemność. Reacher usiadł i czekał. Powoli podszedł do drzwi, wyęzając słuch. Odczekał sześć minut. Przycisnął dłonie do szpary na dole i pociągnął.

Drzwi nawet nie drgnęły. Oparł obie dłonie płasko o gładkie drewno, zgarbił się i pchnął z całych sił. Nic z tego, twarde jak skała. Zupełnie jakby próbował popchnąć drzewo. Natężył się jeszcze przez minutę, ze wszystkich sił, jak ciężarowiec. Drzwi pozostały zablokowane. I nagle Reacher zrozumiał dlaczego. Fowler i Borken umieścili wygiętą starą kłodę odwrotnie, krzywizną w stronę drzwi, nie na zewnątrz. Zamiast dawać trzydzieści centymetrów luzu, jeszcze mocniej zablokowała oba skrzydła.

Przywołał w pamięci obraz kłody. Gruba na ponad trzydzieści centymetrów. Wygięta, lecz wyschnięta i twarda jak stal. Przy odwrotnym położeniu nie było problemu, lecz teraz nie da się jej ruszyć. Zerknął na wojskowe ciężarówki. Nie, w jaskini nie było dość miejsca, by się rozpędzić.

Ciężarówka po prostu naparłaby na drzwi z całą mocą wielkiego silnika Diesla. Ale to by nie wystarczyło. Nie potrafił sobie wyobrazić, ile mocy trzeba, by strzaskać tę starą kłodę.

Zastanawiał się, czy użyć stingera, ale zrezygnował. To zbyt hałaśliwe. A poza tym i tak by nie zadziało. Pociski uzbierały się dopiero po dziesięciu metrach lotu. Każdy z nich miał też ładunek zaledwie trzech kilogramów środków wybuchowych. Dość, by rozwalić silnik odrzutowca, ale trzy kilo materiału wybuchowego nic by nie zrobiło starym drewnianym drzwiom, to byłoby jak podrapanie ich pilnikiem do paznokci. Był uwięziony. AHolly czekała.

Reacher z natury nie wpadał w panikę. Nigdy nie przejawiał podobnych skłonności. Był człowiekiem spokojnym, a długie szkolenie jeszcze tę cechę utrwaliło. Nauczono go starannie oceniać sytuację i zwyciężać dzięki sile własnej woli. Jesteś Jack Reacher, mówiono mu, potrafisz dokonać wszystkiego. Najpierw powtarzała to matka, potem ojciec, później spokojni, śmiertelnie groźni nauczyciele w kolejnych szkołach. A on im wierzył.

Jednocześnie jednak nie wierzył. Część jego umysłu stale szeptała: po prostu miałeś szczęście. Czasami, gdy sytuacja wyglądała naprawdę źle, siadał i czekał, czy szczęście go opuści. Teraz także usiadł na kamiennym podłożu, plecami oparty o drewniane drzwi, pytając samego siebie: czy szczęście w końcu się odwróciło?

Omiótł promieniem latarki wewnątrz jaskini. Szczury trzymały się z daleka, interesowała je ciemność w głębi. Opuszczają mnie, pomyślał. Opuszczają tonący okręt. Nagle jego umysł znów zaczął pracować na wysokich obrotach. Nie, myszkują w tunelach, pomyślał. Bo tunele dokądś prowadzą. Przypomniał sobie olbrzymie nory,

wykute w północnej ścianie skalnej niecki. Może wszystkie łączą się z tyłu?

Pobiegł w głąb jaskini, mijając ciężarówkę i groteskowy stos trupów, do miejsca, gdzie nie mógł

już stać. Szczur zniknął w korytarzu po lewej. Reacher położył się na brzuchu, zapalił latarkę i poczołgał się za nim.

Niemal natychmiast natrafił na szkielet. Gramoląc się naprzód, ujrzał uśmiechniętą szyderczo czaszkę. I kolejną. W tunelu leżało cztery, może pięć szkieletów, bezładny stos kości. Reacher zachłysnął się gwałtownie i cofnął. Po chwili uspokoił się i dokładnie, z bliska obejrzał szczątki.

Wszystkie należały do mężczyzn. Poznał to po budowie miednic. W czaszkach widniały otwory po kulach, wszystkie na skroniach. Niewielkie rany wlotowe i wylotowe. Pozostawiły je pociski z pistoletu, w stalowym płaszczu. Ci ludzie zginęli niedawno, z pewnością w ciągu ostatniego roku. Ciała nie zgniły, zostały zjedzone. Reacher widział mnóstwo równoległych zadrapań, pozostałości zębów gryzoni.

Kości leżały bezładnie. Szczury rozciągały je, pożerając mięso. Tu i ówdzie pozostały resztki ubrań. Niektóre klatki piersiowe wciąż jeszcze okrywał materiał. Szczury zostawiły go w spokoju, nie miały po co przegryzać materiału na korpucie. Wgryzały się od tyłu i oczyszczały żebra od spodu.

Resztki materiału miały barwę khaki i oliwkowej zieleni, z czarnymi i szarymi plamami maskującymi. Reacher dostrzegł barwną nitkę. Podążył za nią do naramiennika, ukrytego pod nadgryzioną kością ramieniową. Na półkolistej filcowej naszywce srebrną nicią wyhaftowano napis: Ruch Wolności Pomocnego Zachodu. Reacher pociągnął kurtkę szkieletu i żebra się zapadły. Kieszeń na piersi ozdobiono trzema chromowanymi gwiazdkami.

Leżąc na brzuchu, wśród kości, Reacher zaczął dokładnie przeszukiwać szczątki. W sumie znalazł pięć różnych mundurów i dwie naszywki, jedną z napisem: Biała Chrześcijańska Jedność, drugą: Konstytucyjna Milicja Montany. Ułożył w szeregu pięć przedziurawionych czaszek. Sprawdził zęby. Pięciu mężczyzn w średnim wieku, pomiędzy czterdziestką a pięćdziesiątką. Pięciu przywódców. Przywódców, którzy zniknęli, którzy nie zdołali znieść tempa przemian. Przywódców, którzy porzucili swych ludzi, pozostawiając ich Beau Borkenowi.

Sklepienie było zbyt niskie, by Reacher mógł przeczołgać się po kościach. Musiał rozepchnąć je na boki i precyzyjnie się środkiem. Szczury nie interesowały się tym, co robi. Oczyszczyły już szkielety. Nowa uczta czekała na nie w jaskini. Pobiegły w tamtą stronę. Reacher, przytrzymując przed sobą latarkę, czołgał się w głąb góry, brnąc pod prąd w piszczącej rzece gryzoni.

Wkrótce stracił poczucie kierunku. Miał nadzieję, że zmierza mniej więcej na zachód, ale nie potrafił tego stwierdzić. Sklepienie obniżyło się jeszcze bardziej. Czołgał się starym tunelem geologicznym, wykutym podczas poszukiwań rudy. Sklepienie opadło niżej, pozostawiając czterdzieści pięć centymetrów przestrzeni. Było zimno. Tunel się zwężał. Reacher pełzł naprzód z wyciągniętymi przed siebie rękami. Po chwili tunel stał się tak wąski, że nie zdołałby ich już cofnąć. Czołgał się wąską dziurą w skale. Nad jego głową piętrzyły się miliardy ton kamienia. Nie miał pojęcia, dokąd zmierza. A do tego latarka zaczęła przygasać. Powoli wyczerpywała się bateria, żarówka świeciła już słabym, ciemnopomarańczowym blaskiem.

Oddychał ciężko i trząsł się, nie z wysiłku, tylko ze strachu, z przerażenia. Nie tego oczekiwał. Wyobrażał sobie

spacerek pustym, przestronnym korytarzem, nie wędrowkę; w wąską szczeliną w skale. Czołgał się teraz wprost w objęcia najgorszego koszmaru z najmłodszych lat. Wiele w życiu przeżył i rzadko się bał, ale od wczesnych lat wiedział, iż przeraża go wizja uwięzienia w ciemności, w ciasnej przestrzeni, zbyt ciasnej, by mógł się obrócić. Wszystkie koszmarnie sny, jakie nawiedzały go w dzieciństwie, dotyczyły zamknięcia w ciasnej przestrzeni. Leżąc na brzuchu, zacisnął powieki. Przez chwilę dyszał, powstrzymując wymioty. Zmuszał się do wciągania powietrza przez zaciśnięte gardło. Potem powoli ruszył naprzód, w grozę.

Po stu metrach wędrowki latarka w końcu zgasła i Re-achera otoczyła absolutna ciemność. Tunel wciąż się zwężał. Skalne ściany napierały na jego ramiona, a on próbował wcisnąć się w przestrzeń zdecydowanie dla niego za małą. Przekrzywił twarz na bok, walcząc z ogarniającą go paniką. Przypomniawszy sobie własne słowa, skierowane do Borkena: kiedyś ludzie byli mniejsi. Drobn



mężczyźni, imigranci, szukający szczęścia we wnętrznościach góry. Dwa razy drobniejsi od Reachera, posuwający się na plecach i odkuwający lśniący metal z kamiennego sklepienia.

Używał teraz latarki niczym ślepiec białej laski. Nagle, pół metra przed nosem, natrafił na solidną kamienną ścianę. Usłyszał brzęk tłuczonego szkła, własny chrapliwy oddech. Podczołgał się kawałek i zaczął macać dłońmi. Ściana. Tunel kończył się ślepo. Reacher próbował się cofnąć, ale w ogóle nie mógł się poruszyć. Aby odepchnąć się dłońmi, musiałby podnieść pierś, znaleźć punkt podparcia. Niskie sklepienie jednak na to nie pozwalało. Ramionami opierał się o skałę, stopami mógł posuwać się naprzód, ale nie zdołałby podciągnąć się do tyłu. Zesztywniał ze strachu, gardło zacisnęło mu się nagle, głowa uderzyła o skałę, policzek

o żwir na ziemi. Oddychał szybko, usiłując stłumić wzbierający w gardle krzyk.

Musiał się cofnąć. Wygiął palce u stóp, wbijając je w żwir. Odwrócił dłonie, opierając kciuki o ziemię. Podciągnął się na palcach u stóp, naciskając kciukami. Odrobinę przesunął się w tył - a potem kamienne ściany boleśnie napały na jego boki. Aby przesunąć ciężar do tyłu, musiał napiąć mięśnie ramion, które zakleszczyły się w skałę. Wypuścił z płuc powietrze, pozwalając, by ręce opadły bezwładnie. Podciągnął się palcami stóp, które osunęły się jedynie po żwirze. Pomagał sobie kciukami. Ramiona napięły się i znów zakleszczyły. Szarpnął biodrami z boku na bok, miał kilka centymetrów luzu. Uderzył dłońmi o łupek i pchnął do tyłu. Jego ciało ugrzęzło niczym klin w drzwiach. Przechylił się na bok

i uderzył policzkiem w sklepienie. Szarpnął się w dół, drugim policzkiem rąbnął o ziemię. Skała napierała mu na zębra. Tym razem nie zdołał stłumić krzyku, musiał wyrzucić go z siebie. Otworzył usta i wrzasnął ze zgrozy. Nabrał powietrza, jego pierś napała na skalne podłoże, plecy uderzyły o sklepienie.

Nie potrafił stwierdzić, czy ma oczy otwarte, czy zamknięte. Odepchnął się stopami i cofnął o parę centymetrów. Wyciągnął ręce, znów macając przed sobą. Ramiona zakleszczyły mu się tak mocno, że nie mógł nawet manewrować dłońmi. Rozcapierył palce, przesuwał je w lewo i w prawo, w górę i w dół. Przed sobą miał skałę. Nie mógł pójść naprzód ani się cofnąć.

Zrozumiał, że zginie uwięziony we wnętrzu góry. Zdał sobie z tego sprawę, szczury także to wiedziały. Słyszał, jak węższą z tyłu, zbliżają się. Wyczuł je u swych stóp. Kopniakiem odrzucił parę z nich, ale wróciły. Poczul ich ciężar na nogach. Biegły po nim, przeciskały się wokół ramion, prześlizgiwały pod pachami. Wzdrygnął się, czując na twarzy dotyk zimnego futerka, gdy przebiegały obok niego. Potem muśnięcie ogonów. Szczury pobiegły.

Ale dokąd? Pozwolił, by przeszły mu po rękach, by ocenić kierunek. Zmierzały naprzód, w ciemność. Pomacał przed sobą i wyczuł, że skręcają w lewo. Fala biegnących gryzoni poruszyła zastaje powietrze. Leciutki zimny wietrzyk mu szał spoconą twarz. Wiał z lewej strony. Reacher oparł się mocno o prawą ścianę i przesunął w bok lewą rękę, macając na oślep. Lewej ściany nie było. Ugrzął w miejscu połączenia tuneli. Nowy tunel biegł prostopadłe do poprzedniego, w którym tkwił Reacher. Wąski, ciasny skręt. Reacher cofnął się tak daleko, jak pozwoliły kciuki, otarł policzek o ścianę i napierając na nią, zdołał wykręcić. Jego ręce znalazły się w nowym tunelu, pociągnęły go naprzód.

Nowy tunel nie był wcale lepszy ani szerszy. Sklepienie nadal napierało mu na ramiona. Czołgał się naprzód, zdyszany, spocony, roztrzęsiony. Przesuwał się stopami po kilka centymetrów. Szczury przeciskały się obok niego. Kamienne ściany kaleczyły ramiona, plecy. Ale wciąż czuł na twarzy leciutki powiew. Tunel dokądś prowadził. Reacher dyszał, łączywie chwytając powietrze. Pełzł naprzód. A potem szyb zaczął się rozszerzać. Wciąż pozostawał bardzo niski - płaska szczelina w skałe. Reacher brnął naprzód, wyczerpany. Pięćdziesiąt metrów, sto. Nagle poczuł, że sklepienie wznosi się gwałtownie. Napał stopami i otoczyło go powietrze. Odkrył, że leży w głębi skalnego garażu. Oczy miał otwarte. Przed sobą w mroku widział zarys białego forda econoline.

Przekręcił się na plecy i leżał tak, oddychając ciężko. Przez chwilę trząsał się i dygotał, łapiąc spazmatycznie powietrze. W końcu dźwignął się na nogi i obejrzał. Nie dostrzegł tunelu, skrywały go cienie. Dotarł do białej ciężarówki i oparł się o nią ciężko. Świecące cyfry zegarka

poinformowały go, że spędził w tunelach niemal trzy godziny, większość czasu uwięziony wśród skał, spocony, wystraszony. Trzy godziny koszmaru na jawie. Spodnie i kurtkę miał w strzępach, każdy mięsień jego ciała płonął, twarz, dłonie, łokcie i kolana krwawiły. Ale to strach niemal go pokonał - strach, że nie zdoła się uwolnić. Wciąż czuł na plecach i piersi ciężar skał, kamienne kleszcze zaciskające się na żebrach. Wyprostował się i pokuśtykał do drzwi. Otworzył je, stanął w blasku księżyca, wyciągnął ręce i patrzył przed siebie. Otwierając szeroko usta, wciągnął w płuca potężny haust słodkiego, nocnego powietrza.

\* \* \*

Zanim znów zaczął myśleć logicznie, zdążył pokonać połowę niecki. Zawrócił, podbiegł z powrotem do kamiennej budowli. Znalazł to, czego potrzebował. W zestawie holowniczym jednego z dziupów natrafił na gruby, sztywny drut, służący do podłączenia przewodów elektrycznych przyczepy. Wyciągnął go, zębami zdjął izolację. Wybiegł z powrotem na zewnątrz. Wracając do Yorke, cały czas trzymał się blisko drogi. Trzy i pół kilometra, dwadzieścia minut wolnego, bolesnego biegu między drzewami. Szerokim łukiem okrążył zrujnowany północno-wschodni kwartał i od tyłu zbliżył się do gmachu sądu. Przekradł się naprzód wśród cieni. Chwilę odczekał, nasłuchując.

Usiłował myśleć jak Borken - zadowolony z siebie, pewny swoich umocnień, ktoś, kto cały czas otrzymuje najnowsze informacje wprost od FBI. Reacher zamknięty w chacie kar, Holly w swojej celi. Czy wystawiliby wartownika? Nie dziś. W końcu jutro spodziewał się wzmożonych działań.

Wolałby zatem, by dziś jego ludzie odpoczęli. Reacher skinął głową. Oby miał rację.

Podkradł się do schodów sądu. Pusto. Sprawdził drzwi. Zamknięte na klucz. Uśmiechnął się. Nikt nie wystawia wartownika za zamkniętymi drzwiami. Szybko wygiął drut, tworząc haczyk. Wsunął go do zamka, sprawdzając mechanizm. Stary zamek dwuzapadkowy. Osiem sekund. Wszedł do środka, odczekał, wyteżając słuch. Nic. Wspiął się po schodach. Zamek w drzwiach Holly był nowy, ale tani. Reacher pracował cicho, a przez to wolniej. Minęło trzydzieści sekund, nim ostatnia zapadka wskoczyła na miejsce. Powoli otworzył drzwi i postawił stopę na podniesionej podłodze. Z obawą zerknął na nowe ściany. Holly leżała na podłodze, na materacu, ubrana i gotowa. Patrzyła na niego. Jej wielkie oczy lśniły w mroku. Gestem wezwał ją na zewnątrz, odwrócił się i zaczął na korytarzu. Dziewczyna podniosła kulę i pokuśtykała do drzwi. Ostrożnie zeszła na dół. Stała obok niego.

- Cześć, Reacher - szepnęła. - Co u ciebie?

- Bywało lepiej. Od czasu do czasu.

Odwróciła się i zajrzała do pokoju. Podążył za jej wzrokiem i dostrzegł ciemną plamę na podłodze.

- Kobieta, która przyniosła mi lunch - wyjaśniła szeptem Holly.

Skinął głową.

- Czym? - spytał.

- Kawałkiem ramy łóżka.

Ujrzał na jej twarzy wyraz satysfakcji. Uśmiechnął się.

- Jak widać, wystarczyła - rzekł cicho. - Ramy łóżek świetnie nadają się do takich rzeczy.

Holly po raz ostatni omiotła wzrokiem pokój i delikatnie zamknęła drzwi. Ruszyła za nim w ciemności, powoli pokonując kolejne stopnie. Po chwili zostawili już za sobą hol « i podwójne drzwi i znaleźli się na zewnątrz w jasnym blasku księżyca.

- Chryste - westchnęła. - Co ci się stało?

Reacher spojrzął po sobie, sprawdzając, jak wygląda. Od stóp do głów pokrywała go szara warstwa kurzu i brudu. Ubranie miał w strzępach, poplamione krwią i potem. Wciąż się trząsał.

- To długa historia - stwierdził. - Masz w Chicago kogoś, komu możesz ufać?

- McGratha - odparła bez namysłu. - To mój szef. Czemu pytasz?

Razem przeszli na drugą stronę szerokiej ulicy, oglądając się w prawo i w lewo. Minęli pagórek przed budynkiem rady i znaleźli ścieżkę biegnącą na północny zachód.

- Musisz wysłać mu faks. Mają rakiety. Trzeba ich ostrzec jeszcze dziś, bo rano przetną im linię telefoniczną.

- Kret ich zawiadomił? - spytała. Przytaknął.

; < - Jak? Jak się z nimi komunikuje? - Przez krótkofalówkę - odrzekł Reacher - Musi tak być. Wszystko inne dałoby się wysledzić. Nogi ugięły się pod nim. Oparł się o drzewo i opowiedział wszystko od początku do końca. - Cholera - mruknęła. - Pociski ziemia-powietrze, masowe samobójstwo. Koszmar.

- Nie nasz koszmar - oznajmił. - Wynosimy się stąd.

- Powinniśmy zostać i pomóc tym rodzinom. Pokręcił głową.

- Najlepiej pomożemy im, uciekając. Niewykluczone, że twoje zniknięcie zmusi ich do zmiany planów. Możemy też przekazać dokładne informacje o tym, jak się tu urządzili.

- No nie wiem.

- Ale ja wiem - uciał. - Pierwsza zasada brzmi: trzymać się priorytetów. A priorytetem jesteś ty. Wynosimy się stąd.

Wzruszyła ramionami, przytaknęła.

- Teraz? - spytała.

- Natychmiast.

- Jak?

- Dżipem przez las. Wiem, gdzie trzymają samochody. Pójdziemy tam, ukradniemy dżipa. Do tej pory powinno już być wystarczająco jasno, żebyśmy sobie poradzili. U Bor-kena widziałem mapę, przez las biegnie mnóstwo szlaków.

Holly przytaknęła i Reacher odepchnął się od drzewa. Pomaszerowali krętą ścieżką do Bastionu - półtora kilometra w ciemności. Potykali się o kamienie, oszczędzali siły, milczeli. Na polanie panował mrok i cisza. Przedarli się lasem wokół kantyny, na tyły chaty łączności. Tam wynurzyli się spomiędzy drzew. Reacher podszedł bliżej, przycisnął ucho do drewnianej ściany. Ze środka nie dobiegał żaden odgłos.

Znów posłużył się drutem. Po dziesięciu sekundach znaleźli się w środku. Holly znalazła kartkę i długopis. Napisała wiadomość, wybrała numer faksu w Chicago, wsunęła kartkę do maszyny. Mechanizm posłusznie wciągnął papier i wypuścił z tyłu do czekającej dłoni Holly. Nacisnęła przycisk potwierdzenia. Nie chciała zostawiać żadnych śladów. Kolejna kartka z właściwym numerem docelowym. Podała też czas, za dziesięć piąta, w piątek, czwartego lipca. Holly podarła na strzępki obie kartki i ukryła na dnie kosza ze śmieciami.

Reacher przeszukał długie biurko, znalazł spinacz. W ślad za Holly wyszedł na dwór, ponownie zamknął drzwi. Pobiegł na tyły i odszukał przewód łączący antenę krótkofalową z chatą. Wyjął z kieszeni spinacz i zaczął rozginać go,

i drut nie pękł. Reacher wcisnął w kabel odłamek metalu, przebijając go niczym szpilką. Po obu stronach pozostały króciutkie końcówki. Drut łączący przewód wewnątrz z metalową osłoną powodował spięcie w antenie. Sygnał wychwycony z eteru popłynął przewodem, wypłynął na zewnątrz i zniknął w ziemi, nie docierając do odbiornika. To najlepsza metoda unieszkodliwienia radia. Jeśli zniszczy się (Odbiornik, wróg może go naprawić. W ten sposób nie widać Uszkodzenia, póki zmęczony technik nie pomyśli w końcu o tym, by sprawdzić przewód. - Potrzebna nam broń - szepnęła Holly

Reacher przytaknął. Razem przekradli się do drzwi zbrojowni. Spojrzał na zamek i natychmiast zrezygnował. Był wielki i skomplikowany, w żaden sposób nie zdołałby go pokonać.

- Wezmę glocka od mojego strażnika - wyszeptał. Przytaknęła. Wrócili między drzewa i powędrowali na następną polanę. Reacher usiłował wymyślić jakąś historyjkę, która wytłumaczyłaby jego wygląd Josephowi Rayowi. Uznał, że wspomni o tym, jak to przesłano go wprost do ONZ. Błyskawiczne przemieszczanie może nieco sponiewierać człowieka. Zakradli się na tyły chaty kar, nasłuchiwali. Cisza. Okrążyli narożnik i Reacher otworzył drzwi. Przed sobą ujrzał lufę. Tym razem nie był to glock, lecz sig-sauer. Nie należał do Josepha Raya, tylko do Beau

Borkena. Sam Borken stał za progiem z Małym Steviem u boku i uśmiechał się szeroko.

37

O czwartej trzydzięci rano Webster nie mógł się już doczekać zmiany. Johnson, Garber i adiutant generała drzemali na swych krzesłach. McGrath był na zewnątrz z technikami od telefonów. Właśnie kończyli. Robota potrwała znacznie dłużej niż oczekiwali, bo pojawiły się problemy. Szybko przecięli linię telefoniczną z Yorke i podłączyli sztywne miedziane przewody do tymczasowej centralki umieszczonej u podstawy słupa. Potem przeciągnęli kabel od centralki do pojazdu dowodzenia i podłączyli do jednego z portów komunikacyjnych.

Połączenie jednak nie zadziało. Nie od razu. Technicy zaczęli majstrować przy miernikach, mamrocząc coś pod nosem o pojemności i impedancji. Pracowali bite trzy godziny. Byli już gotowi zrzucić winę na sprzęt wojskowy, gdy przyszło im do głowy sprawdzić własną tymczasową centralkę. Jak się okazało, tam właśnie krył się problem - uszkodzony element. Wymienili go i obwód zadziałał idealnie. Była czwarta trzydzięci pięć rano.

McGrath ścisnął właśnie ręce techników, zaprzysięgając ich, by zachowali dyskrecję, gdy z przyczepy wynurzył się Webster. Dwaj mężczyźni odprowadzili wzrokiem samochód firmy telefonicznej. Szum silnika ucichł, wóz zniknął za zakrętem. Webster i McGrath stali w bezruchu w jasnych promieniach księżyca. Przez pięć minut milczeli. McGrath palił papierosa. Patrzyli na północ, w dal, zatopieni w myślach.

- Idź, obudź swoich chłopaków - polecił Webster. - Zmienią nas na trochę. McGrath przytaknął i ruszył do przyczepy mieszkalnej. Milošević i Brogan leżeli na składanych łóżkach, kompletnie ubrani. Wstali, ziewając, zeszli po drabince i zastali czekającego na zewnątrz Webstera wraz z Johnsonem i jego adiutantem. Za ich plecami zatrzymał się Garber. \* - Linia telefoniczna już załatwiona - oznajmił Webster. - Tak wcześnie? - zdziwił się Brogan. - Zdawało mi się, że mieli to zrobić rano.

- Uznaliśmy, że im wcześniej, tym lepiej - odparł Webster, lekko kiwając głową w stronę generała Johnsona, w geście mówiącym: martwił się, rozumiesz?

- Jasne-powiedział Milošević. - Zajmiemy się wszystkim. - Obudźcie nas o ósmej - polecił Webster. - Albo wcześniej, w razie konieczności. Dobra?

Brogan przytaknął i ruszył na północ w stronę centrum dowodzenia. Milošević podążył jego śladem. Przystanąli patrząc na góry skąpane w promieniach księżyca. W tym momencie faks w pustej przyczepie ożył i wyrzucił z siebie pierwszą wiadomość. Była za dziesięć piąta rano w piątek, czwartego lipca.

Brogan obudził generała Johnsona godzinę i dziesięć minut później, dokładnie o szóstej. Zapukał głośno do drzwi przyczepy mieszkalnej. Nie usłyszawszy odpowiedzi, wszedł do środka i potrząsnął ramieniem wojskowego.

- Dzwonią z bazy Peterson, chcą z panem mówić -oznajmił.

Johnson wgramolił się do pojazdu dowodzenia ubrany w spodnie i koszulę. Milošević dołączył do Brogana na zewnątrz. Czekali w chłodzie przedświt, zapewniając generałowi prywatność. Johnson pojawił się po pięciu minutach.

- Musimy się naradzić - zawołał.

Wrócił do przyczepy. Milošević poszedł zbudzić pozostałych. Zjawili się wkrótce - Webster i adiutant generała przeciągali się i ziewali, Garber maszerował spokojnie, prosty jak drut. McGrath był już ubrany, palił. Może w ogóle nie próbował zasnąć. Wspięli się po drabince i zajęli miejsca wokół stołu, mrugając przekrwionymi oczami, rozczochrani po krótkiej drzemce.

- Dzwonili z Peterson - poinformował ich Johnson. -O świcie wysyłają helikopter ratowniczy. Będą szukali jednostki raketowej.

Jego adiutant przytaknął.

- Taka jest standardowa procedura.

- Zakładają - ciągnął Johnson - że doszło do awarii mechanicznej bądź elektrycznej.
- Co nie jest wcale takie rzadkie - uzupełnił adiutant.
- Kiedy psuje się radio, procedura nakazuje je naprawić. Jeśli jednocześnie zepsuje się ciężarówka, procedura każe całej grupie poczekać na pomoc.
- Zająć pozycję obronną? - spytał McGrath. Adiutant ponownie skinął głową.
- Właśnie. Zjadą z drogi i będą czekać na helikopter.
- Co im powiemy? - spytał McGrath. Adiutant pochylił się naprzód.
- Oto jest pytanie - rzekł. - Co dokładnie możemy im powiedzieć? Nie wiemy nawet z całą pewnością, czy ci wariaci faktycznie ukradli rakiety. Wciąż możliwe, że to istotnie awaria radia i ciężarówki jednocześnie.
- Śnij dalej - mruknął Johnson.

Webster wzruszył ramionami. Wiedział, jak sobie radzić w takich sytuacjach.

- Jakie są plusy takiego rozwiązania? - spytał.
- Nie ma plusów - odparł Johnson. - Jeśli zawiadomimy Peterson, że pociski zostały skradzione, wszystko się wyda. Stracimy kontrolę nad sytuacją, złamiemy bezpośredni rozkaz Waszyngtonu, doprowadzając do starcia przed poniedziałkiem.
- No dobra, a jakie są minusy?
- Czysto teoretyczne. Musimy założyć, że rakiety zostały przechwycone. W takim razie z pewnością dobrze ukryli. Czyli lotnictwo nigdy ich nie znajdzie. Po prostu trochę sobie polatają i wrócą do domu.

Webster skinął głową.

- W porządku - zdecydował. - Nie ma plusów, nie ma minusów. Nie ma problemu.

W przyczepie zapadła cisza.

- Zatem nic nie mówimy. Niech helikopter startuje -podsumował Johnson.

McGrath z niedowierzaniem pokręcił głową.

- A jeśli użyją rakiety, by go zestrzelić? - spytał. Adiutant generała uśmiechnął się pobłaźliwie.
- To niemożliwe - zapewnił. - IFF na to nie pozwoli.
- IFF? - powtórzył McGrath.

- Identify Friend or Foe - wyjaśnił adiutant. - Identyfikacja wrogów i przyjaciół. To system elektroniczny. Helikopter nadaje sygnał, pocisk odczytuje go, identyfikuje jako przyjaciela i nie daje się odpalić.

- To gwarantowane? - naciskał McGrath. Adiutant przytaknął.

- Stuprocentowo.

Garber spojrzął na niego przeciągle, nic jednak nie powiedział. Nie jego specjalność.

- No dobra - rzucił Webster. - Wracamy do łóżek. Obudź nas o ósmej, Brogan.

\* \* \*

Na lotnisku w Peterson boeing CH-470 chinook rozgrzewał silniki i pociągał pierwszy łyk z trzech tysięcy dwustu pięćdziesięciu litrów paliwa. Chinook to olbrzymi helikopter, jego bliźniacze rotory młóć powietrze w obrębie owalu liczącego sto metrów długości i sześćdziesiąt szerokości. Pusty waży ponad dziesięć ton, może udźwignąć kolejnych jedenaście. To olbrzymia latająca skrzynia z silnikami i zbiornikami paliwa zamocowanymi od góry i z boków, i kabiną załogi wysoko z przodu. Każdy helikopter może uczestniczyć w poszukiwaniach, kiedy jednak w grę wchodzi ciężki sprzęt, tylko chinook może go uratować.

Z powodu świąt kontroler w Peterson wyznaczył do tej misji jedynie podstawową, dwuosobową załogę. Nie wezwał dodatkowego obserwatora. Uznał, że go nie potrzebuje. W końcu znalezienie pięciu wojskowych ciężarówek na drodze w Montanie nie może być aż tak trudne.

\* \* \*

- Powinieneś być tu zostać - oznajmił Borken. - Prawda, Joe?

Reacher spojrzął w głąb mrocznej chaty kar. Joseph Ray stał na baczność na żółtym kwadracie. Patrzył wprost przed siebie. Był nagi, krwawił z nosa i ust.

- Prawda, Joe? - powtórzył Borken.

Ray nie odpowiedział. Borken podszedł do niego i uderzył pięścią w twarz. Ray zachwiał się, upadł na plecy. Dźwignął się, oparty o ścianę, i ponownie zajął miejsce na kwadracie.

- Zadałem ci pytanie - warknął Borken.

Ray skinął głową. Po jego brodzie spływała krew.

- Reacher powinien być tu zostać - odparł.

Borken znów go uderzył, mocnym prawym prostym twarz. Głowa Raya odskoczyła do tyłu, trysnęła krew. Borken się uśmiechnął. ! - Nie odzywasz się, kiedy jesteś na kwadracie, Joe. Znasz zasady.

Wrócił do wejścia i wepchnął lufę sig-sauera Reacherowi w ucho. Wyprowadził go na polanę, gestem wezwał Steviego. - Ty zostań na kwadracie, Joe - zawołał przez ramię.

Stevie zatrzasnął drzwi. Borken odwrócił się i sig-sauerem pchnął Reachera w jego stronę.

- Powiedz Fowlerowi, żeby się go pozbył - polecił. - Na nic nam się już nie przyda. Zaprowadź sukę z powrotem do celi, otocz budynek pierścieniem strażników. Mamy mnóstwo rzeczy do załatwienia. Szkoda czasu na bzdury. Wszyscy mają być na placu apelowym o wpół do siódmej. Przeczytam im proklamację, zanim wyślemy ją faksem.

\* \* \*

McGrath nie mógł spać. Wraz z pozostałymi wrócił do przyczepy mieszkalnej. Położył się na łóżku, lecz po dziesięciu minutach zrezygnował. Za kwadrans siódma był już z powrotem w pojeździe dowodzenia, wraz z Broganem i Miloševiczem.

- Jeśli chcecie, zróbcie sobie przerwę - rzekł. - Zajmę się wszystkim.

- Moglibyśmy zorganizować jakieś śniadanie - mruknął Brogan. - Powinni już otworzyć bary w Kalispell.

McGrath skinął głową. Zaczął grzebać w kieszeni w poszukiwaniu portfela.

- Nie przejmuj się - powiedział Brogan. - Ja zapłacę. Stawiam wszystkim.

- Dobra, dzięki - rzekł McGrath. - Przywieźcie kawę, mnóstwo kawy.

Brogan i Milošević wstali i wyszli. McGrath, stojąc w drzwiach, odprowadził wzrokiem znikający na południu wojskowy samochód. Dźwięk silnika umilkł w dali, pozostawiając jedynie cichy pomruk sprzętu elektronicznego. McGrath odwrócił się, usiadł. Wskazówka zegara przeskoczyła na siódmą. Zaszumiał faks.

\* \* \*

Holly pogładziła dłońmi stary materac, jakby leżał na nim Reacher. Jakby naprawdę czuła pod sobą jego ciało - pokryte bliznami, poobijane, gorące, twarde i umięśnione, a nie stary, pasiasty, bawełniany materac wypchany końskim włosiem. Zamrugła, próbując powstrzymać łzy. Odetchnęła głęboko, koncentrując się na tym, co dalej. Nie ma już Re-achera, Jacksona, broni, narzędzi. Na ulicy stoi sześciu wartowników. Po raz tysięczny rozejrzała się po pokoju i znów zaczęła rozmyślać.

\* \* \*

McGrath obudził pozostałych, waląc pięściami w ścianę przyczepy. Biegiem wrócił do wozu dowodzenia. Z faksu wysunął się właśnie trzeci egzemplarz wiadomości. Miał już dwa. Teraz dostał kolejny.

Pierwszy pojawił się Webster. Potem, w minutę później, Johnson, następnie Garber i wreszcie adiutant generała. Kolejno wbiegli po drabince i usiedli przy stole. McGrath czekał, zatopiony w lekturze.

- Co się dzieje, Mack? - spytał Webster.

- Ogłosili niepodległość - odparł McGrath. - Posłuchajcie.

Powiódł wzrokiem po czterech twarzach. Zaczął głośno czytać:

- „Ludzie ustalają własne rządy, czerpiące sprawiedliwą władzę z woli rządzonych. Jeśli zatem dochodzi do nadużyć, uzurpacji władzy, ten sam lud ma prawo obalić rząd”.

- Cytują oryginał - zauważył Webster.

- Raczej parafrazują - nie zgodził się Garber. McGrath przytaknął.  
- Posłuchajcie tego - powtórzył. - „Historia obecnego rządu Stanów Zjednoczonych to historia stale powtarzających się niesprawiedliwości i uzurpacji praw, zmierzających do ustanowienia absolutnej tyranii”.

- Co to, do diabła, jest? - wtrącił Webster. - Powtórka roku tysiąc siedemset siedemdziesiątego szóstego?

- Dalej jest gorzej - odparł McGrath. - „My, przedstawiciele Wolnych Stanów Ameryki, przebywający obecnie w dawnym okręgu Yorke, dawnego stanu Montana, uroczycie informujemy i ogłaszamy, że teren ten jest obecnie wolnym, niezależnym państwem, zwolnionym od wszelkich zobowiązań wobec Stanów Zjednoczonych i pozbawionym powiązań politycznych, i że państwo to, jako wolne i niezależne, ma pełne prawo wypowiedzieć wojnę, ogłosić pokój, bronić swych granic i przestrzeni powietrznej, nawiązywać sojusze i kontakty handlowe oraz czynić wszystko, co wolno innym niezależnym państwom”.

Uniósł wzrok, złożył razem trzy faksy i w milczeniu ułożył na stole.

- Dlaczego trzy? - spytał Garber.

- Trzy różne miejsca przeznaczenia - wyjaśnił McGrath. - Gdybyśmy ich nie przechwycili, już by tam były.

- Gdzie? - spytał Webster.

- Pierwszy to numer w Waszyngtonie - oznajmił McGrath.

- Przypuszczam, że Biały Dom.

Adiutant Johnsona przysunął krzesło do terminala komputera. McGrath przeczytał mu numer. Adiutant postukał w klawisze. Na ekranie pojawiły się napisy. Skinął głową.

- Biały Dom - potwierdził. - Następny?

- Gdzieś w Nowym Jorku. - McGrath odczytał numer z drugiej kartki.

- Siedziba ONZ - oświadczył adiutant. - Chcą mieć świadków.

- Co do trzeciego, nie mam pojęcia - przyznał McGrath.

- Kierunkowy czterysta cztery.

- Atlanta, w stanie Georgia - wtrącił Garber.

- Co jest w Atlancie w stanie Georgia? - spytał Webster. Palce adiutanta przebiegały po klawiaturze.

- CNN - powiedział. - Chcą rozgłosu. Johnson skinął głową.

- Sprytnie posunięcie - rzekł. - Chcą, by wszystko trafiło do telewizji. Chryste, wyobrażacie sobie? ONZ w roli sędziów i dwudziestoczęterogodzinny przekaz na żywo w kablówce. Oglądałby ich cały świat.

- Co teraz zrobimy? - spytał Webster. W przyczepie zapadła cisza.

- Czemu wspominali o przestrzeni powietrznej? - spytał głośno Garber.

- To parafraza - wyjaśnił Webster. - W tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym roku nie było żadnej przestrzeni powietrznej.

- Pociski - przypomniał Garber. - Czy to możliwe, że wyłączyli IFF?

Odpowiedziała mu kolejna długa cisza. Usłyszeli odgłos silnika. Trzasnęły drzwi. Brogan i Milošević wbiegli po drabince i wkroczyli do środka. Obaj nieśli brązowe papierowe torby i styropianowe kubki z plastikowymi pokrywkami.

\* \* \*

Olbrzymi ratowniczy chinook bez problemu dotarł z Peterson w Kolorado do bazy lotniczej Malmstrom nieopodal Great Falls w Montanie. Wylądował. Na spotkanie wyjechały mu cysterny. Załoga pomaszerowała do kantyny na kawę. Wróciła dwadzieścia minut później. Ponownie wystartowali i zatoczyli łagodny krąg w porannym powietrzu, kierując się na północny zachód.

Nikt nie zareagował na nasze wieści - oznajmił Fowler. - Zastanawiamy się dlaczego. Reacher wzruszył ramionami. Byli w chacie dowodzenia. Stevie zawlókł go poprzez las do Bastionu, a potem Fowler zabrał z powrotem w asyście dwóch uzbrojonych strażników. Chata kar była zajęta, wciąż przebywał tam Joseph Ray, toteż skorzystali z chaty dowodzenia. Posadzili Reachera na krześle, Fowler przykuł mu lewy przegub do poręczy. Strażnicy zajęli pozycje po obu stronach, czujnie unosząc broń. Po chwili Fowler odszedł, dołączając do Borkena i Stevie-go. Razem udali się na uroczysty apel na placu. Reacher słyszał dobiegające z dala słabe okrzyki i wiwaty towarzyszące odczytaniu proklamacji. A potem nic. Półtorej godziny później Fowler samotnie wrócił do chaty. Usiadł za biurkiem Borkena, zapalił papierosa. Uzbrojeni strażnicy pozostali na miejscach.

- Wysłaliśmy ją faksem godzinę temu - oznajmił Fowler. - Zero reakcji.

Reacher czuł w nozdrzach woń dymu. Uniósł wzrok, zerkając na flagi na ścianach. Ciemne czerwienie i mętne biele, wyraźne, kanciaste, czarne symbole.

- Wiesz, czemu nie reagują? - spytał Fowler. Reacher jedynie pokręcił głową.

- Wiesz, co myślę? - rzucił Fowler. - Przecięli linię. Firma telefoniczna współpracuje z agentami federalnymi. Powiedziano nam, że zrobią to o wpół do ósmej. Najwyraźniej jednak się pośpieszyli. Reacher ponownie wzruszył ramionami. Nie odpowiedział.

- Oczekujemy, że będziemy informowani o podobnych zmianach - dodał Fowler.

Podniósł glocka i oparł przed sobą kolbę o blat, kręcąc w prawo i w lewo niczym działem na okręcie.

- A nie zostaliśmy - dodał.

- Może wasz kumpel w Chicago się zwinął? - podsunął Reacher.

Fowler pokręcił głową. Glock zatrzymał się, celując w pierś Reachera.

- Cały czas dostawaliśmy informacje. Wiemy, gdzie są, ilu ich jest, jakie mają zamiary. Ale teraz, gdy najbardziej potrzebujemy świeżych wieści, nic. Przerwa w łączności.

Reacher milczał.

- Prowadzimy dochodzenie - ciągnął Fowler. - W tej chwili sprawdzamy radio.

Reacher milczał.

- Chcesz coś powiedzieć na temat radia?

- Jakiego radia? - spytał Reacher.

- Wczoraj działało świetnie - wyjaśnił Fowler. - Teraz nie działa. A ty całą noc włóczyłeś się po okolicy.

Pochylił głowę i otworzył szufladę, w której Borken przechowywał colta marshalla. Nie wyjął z niej jednak rewolweru, lecz mały czarny nadajnik.

- Należał do Jacksona - rzekł. - Jackson bardzo chciał nam pokazać, gdzie go ukrył. Prawdę mówiąc, błagał o możliwość pokazania. Wrzeszczał, płakał i błagał. Tak mu zależało, że kopiąc, o mało nie zdarł sobie paznokci.

Uśmiechnął się i schował nadajnik do kieszeni.

- Pomyśleliśmy, że po prostu go włączymy - oznajmił. - W ten sposób nawiążemy bezpośrednią łączność z tymi federalnymi śmieciami. Na tym etapie musimy rozmawiać bez pośredników. Przekonać się, czy zdołamy ich namówić, aby przywrócili nam łączność.

- Świetny plan - mruknął Reacher.

- Widzisz, faks jest dla nas bardzo ważny, wręcz kluczowy. Świat musi wiedzieć, co tu robimy. Świat musi być tego świadkiem. Tworzymy tu historię. Rozumiesz to, prawda?

Reacher wbił wzrok w ścianę.

- Oni mają kamery - ciągnął Fowler. - W tej chwili w górze krążą samoloty szpiegowskie. Znow jest dzień, więc widzą, co robimy. Jak możemy to wykorzystać?

Reacher pokręcił głową.

- Mnie do tego nie mieszaj. Fowler się uśmiechnął.

- Oczywiście, że nie będziemy cię do tego mieszać. Czemu miałby ich obchodzić widok tego, jak



przybijamy cię do drzewa? Jesteś niczym, zwykłym gównem, dla nas i dla nich. Ale Holly Johnson? O, to inna sprawa. Może wezwiemy ich przez ich mały nadajnik i powiemy, żeby patrzyli na monitory swoich kamer szpiegowskich. Może to da im do myślenia. Może wymienią linię faksową za jej lewą pierś.

Zgasił papierosa w popielniczce, pochylił się naprzód i przemówił cicho:

- Jesteśmy bardzo poważni, Reacher. Widziałeś, co zrobiliśmy z Jacksonem. Z nią możemy zrobić to samo. Z tobą także. Musimy mieć łączność ze światem. Potrzebujemy fak-su. I radia, żeby dowiedzieć się, co, do diabła, z nim zrobili.

Potrzebujemy ich bardzo pilnie. Rozumiesz to, prawda? Dlatego jeśli nie chcesz, byćście cierpieli - ty i Holly - lepiej powiedz, co zrobiłeś z radiem.

Reacher odwrócił głowę, uważnie oglądając biblioteczkę. Próbował sobie przypomnieć szczegóły czytanych niegdyś japońskich tekstów o Pearl Harbor w bardzo kiepskim tłumaczeniu.

- Jeśli powiesz mi teraz - ciągnął cicho Fowler - nie dopuszczę ich do ciebie i do niej. Nie zaznacie bólu. W przeciwnym razie nic nie zdołam zrobić.

Położył glocka na biurku.

- Papierosa? - spytał.

Wyciągnął paczkę z uśmiechem. Dobry glina, przyjaciel, sojusznik, obrońca. Najstarsza z możliwych technik, wymagająca najstarszej reakcji. Reacher rozejrzał się dyskretnie. Dwaj strażnicy po obu stronach. Ten z prawej stał bliżej, ten z lewej cofnął się niemal pod ścianę. Niedbale trzymali karabiny. Fowler siedział za biurkiem, wyciągał paczkę. Reacher wzruszył ramionami, skinął głową. Wolną ręką wziął papierosa. Nie palił od dziesięciu lat. Ale gdy ktoś proponuje ci śmiercionośną broń, to ją bierzesz.

- Powiedz mi zatem - rzekł Fowler - i to szybko. Podsunął Reacherowi zapalniczkę. Reacher pochylił się,

zapałił papierosa, zaciągnął się mocno i odsunął. Dym wypełnił mu płuca. Miłe uczucie. Minęło dziesięć lat, a on wciąż to lubił. Odetchnął głęboko i znów się zaciągnął.

- W jaki sposób uszkodziłeś nasze radio? - naciskał Fowler.

Reacher zaciągnął się po raz trzeci. Wypuścił dym z nosa, trzymając papierosa tak, jak to czynią wartownicy, między kciukiem i palcem wskazującym, osłoniętego dłonią. Po szybkim, głębokim zaciągnięciu koniuszek papierosa

rozgrzewa się do temperatury kilkuset stopni i wydłuża. Obrócił dłoń, jakby przyglądał się uważnie rozżarzonej końcówce. Po sekundzie papieros celował już prosto, niczym strzała.

- Jak uszkodziłeś nasze radio? - powtórzył Fowler.

- Jeśli nie powiem, zrobicie krzywdę Holly?

Fowler przytaknął, jego wąskie wargi wygięły się w uśmiechu.

- Masz to jak w banku. Zadam jej taki ból, że będzie błagała o śmierć.

Reacher z nieszczęśliwą miną wzruszył ramionami. Machnął ręką, przywołując go bliżej. Fowler skinął głową, przesunął się na krześle, pochylił. Reacher szarpnął się w przód i wbił papierosa prosto w oko Fowlera. Tamten wrzasnął, a Reacher zerwał się na nogi, ciągnąc za sobą przykute do przegubu krzesło. Gwałtownie zamachnął się w prawo, krzesło zatoczyło szeroki łuk i rąbnęło w głowę bliższego strażnika. Pękło z trzaskiem. Reacher odskoczył w lewo. Stojącego dalej strażnika walnął przedramieniem w gardło. Tamten właśnie unosił broń. Reacher odskoczył, uderzył Fowlera szczątkami krzesła. Wykorzystał rozpęd, atakując ponownie pierwszego strażnika. Załatwił go ciosem łokcia w głowę. Mężczyzna runął na ziemię. Reacher chwycił jego karabin za lufę i uderzył drugiego strażnika. Poczul, jak pod kolbą pękają kości czaszki. Upuścił karabin, odwrócił się na pięcie i roztrzaskał krzesło na kawałki o ramiona Fowlera. Chwycił go za uszy i uderzył twarzą w blat - raz, drugi, trzeci. Wziął nogę połamanego krzesła, wepchnął pod gardło przeciwnika, ugiął łokcie, chwycił oba końce, sprawdził uchwyt, napiął ramiona i szarpnął mocno. Kark Fowlera pękł z donośnym trzaskiem.

Reacher zabrał oba karabiny, glocka i kluczyk do kajdanek. Wypadł z chaty, kierując się wprost ku

drzewom. Glocka wsunął do kieszeni. Karabiny niósł w obu rękach, dysząc ciężko. Otworzył kajdanki. Bolało - zamach ciężkim, drewnianym krzesłem sprawił, że czerwona pręga odcisnięta przez metalową bransoletę zamieniła się w głęboką ranę. Uniósł do ust przegub, possał chwilę, po czym zasłonił mankietem koszuli.

I wtedy usłyszał helikopter - słaby, niski łoskot podwójnego rotora. Boeing, sea knight albo chinook, daleko na południowym wschodzie. Poprzedniego wieczora Borken wspominał o ośmiu marines. Mają tylko ośmiu marines, powiedział. Piechota morska używa sea knightów. Zamierzają zaatakować, pomyślał. Przed oczami ujrzał ściany celi Holly i rzucił się biegiem przez las.

Po chwili dotarł do Bastionu. Łoskot stawał się coraz głośniejszy. Reacher zaryzykował wyjście na kamienistą ścieżkę. To był chinook, nie sea knight. Oznaczenia ratownictwa, nie piechoty morskiej. Podążał wzdłuż drogi z południowego wschodu, półtora kilometra dalej, trzydzieści metrów w górze, wykorzystując gwałtowny podmuch z łopat do poruszenia gałęzi drzew i uzyskania lepszej widoczności. Powolnie, uroczyście zbliżał się coraz bardziej, lecąc dziobem w dół i kołysząc się lekko z boku na bok. Reacher ocenił, że musi już być całkiem blisko Yorke.

A potem spojrział na polanę i ujrzał stojącego pięćdziesiąt metrów dalej mężczyznę. Zwykły żołnierz w stroju maskującym, na ramieniu trzymał stingera. Obrócił się i wycelował, ustawiając wyrzutnię. Odnalazł cel. Mocno zaparł się na nogach, stanął w rozkroku. Ręką sięgnął do włącznika, uruchamiającego czujnik podczerwieni. Reacher czekał, aż IFF wyłączy stingera. Nic takiego jednak się nie stało. Silnik rakiety zaskoczył z donośnym gwizdem. Namierzała się na ciepło silników chinooka. Palec mężczyzny zacisnął się na spuście.

Reacher upuścił trzymany w lewej ręce karabin, uniósł drugi, odbezpieczając go kciukiem, cofnął się lewo, oparł ramię o pień drzewa, wycelował w głowę żołnierza i wypalił.

Tamten jednak wypalił pierwszy. Ułamek sekundy przedtem, nim zabiła go kula Reachera, nacisnął spust. Dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie. Silnik stingera wystartował z pełną mocą, rakietą wystrzeliła z wyrzutni. W tym samym momencie pocisk uderzył strzelającego w głowę. Siła uderzenia odrzuciła go na bok. Wyrzutnia trąciła rakieta, która zawisła w powietrzu ogonem w dół niczym oszczep, zawieszona siłą własnego odrzutu, praktycznie nieruchoma.

A potem skorygowała kurs. Reacher patrzył ze zgrozą, jak pocisk robi dokładnie to, do czego go zaprojektowano. Osiem niewielkich stateczników wysunęło się jednocześnie. Rakietę wisiałą niemal pionowo, aż ponownie namierzyła helikopter. Wówczas odpalił drugi silnik, wyrzucając ją w niebo. Nim zwłoki strzelającego zdążyły opaść na ziemię, stinger namierzył już chinooka i leciał w jego stronę z prędkością półtora tysiąca kilometrów na godzinę.

Chinook przemieszczał się powoli na północny zachód, półtora kilometra dalej, wzdłuż drogi, która przebiegała wprost przez miasto, pomiędzy opuszczonymi budynkami. Na południowo-wschodnim skraju minął budynek sądu. Zbliżał się z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Stinger zmierzał mu na spotkanie z prędkością półtora tysiąca kilometrów na godzinę.

Półtora kilometra z prędkością półtora tysiąca kilometrów na godzinę. Jedna tysięczna godziny, nieco ponad trzy i pół sekundy. Reacherowi wydawało się, że to trwa całe wieki, Ani na moment nie spuszczał wzroku z rakiety. Wspaniała, brutalna broń. Prosta, jasno zaprojektowana. Cel: rozpoznać sygnaturę ciepłą samolotu bądź helikoptera i podążyć za nią, póki nie dotrze na miejsce bądź nie zabraknie jej paliwa. Prosta, trzyipółsekundowa misja.

Pilot chinooka bardzo szybko się zorientował. Pierwszą sekundę zmarnował, zamierając za sterami - nie ze zgrozy czy strachu. Sprawilo to niedowierzanie, że z niewielkiej polany w Montanie ktoś mógł wystrzelić ku niemu rakieta. Potem do gry wkroczyły instynkt i szkolenie. Ucieczka i unik - ucieczka przed pociskiem, unik pozwalający nie rozbić się na budynkach w dole. Reacher ujrzał, jak pilot gwałtownie obniża lot. Wielki ehinook skręcił, wyrzucając w atmosferę potężną chmurę spalin. Następnie ogon odbił w drugą stronę. Silniki zaskowyczały ogłuszająco. Rozgrzane spaliny zakreśliły w powietrzu kolejny, przypadkowy łuk. Rakietę cierpliwie podążała wzdłuż pierwszego. Zmniejszyła promień poszukiwań. Chinook opadł powoli, po czym gwałtownie uniósł się w powietrze, zataczając spirale, oddalając się od miasta. Rakietę zawróciła, podążając drugim śladem.

Dotarła w miejsce, gdzie ułamek sekundy wcześniej było ciepło. Nic nie znalazła. Zatoczyła pełny, powolny krąg dokładnie pod helikopterem. Wychwyciła echo nowego manewru i rozpoczęła wspinaczkę po spirali.

Pilot zyskał sekundę, ale to wszystko. Stinger doścignął go podczas rozpaczliwego wznoszenia. Ślad ciepła doprowadził go wprost do prawego silnika. Rakieta uderzyła w kadłub i eksplodowała. Nieco ponad trzy kilogramy środka

wybuchowego przeciwko dziesięciu tonom helikoptera, lecz środek wybuchowy zawsze wygrywa. Reacher ujrzał eksplodujący prawy silnik. Zawieszenie tylnego rotora pękło. Fragmenty metalu wystrzeliły na zewnątrz niczym odłamki szrapnela. Oderwany rotor runął w dół w upiornym, zwolnionym tempie. Chinook na moment zawisł w powietrzu, po czym poleciał ogonem w dół, powstrzymywany tylko wysiłkiem wyjącego potępieńczo przedniego śmigła. Powoli opadł na ziemię, niczym przedziurawiony statek znikający pod powierzchnią morza.

\* \* \*

Holly usłyszała helikopter - niskie, pulsujące uderzenia łopat, przenikające przez ściany. Słyszała, jak stają się coraz głośniejsze. Potem do jej uszu dobiegł wybuch i ryk przedniego rotora, rozpaczliwie chwytającego powietrze. Później zapadła cisza.

Wsparła się na kuli i pokuśtykała w stronę przepierzenia. W celi znajdował się tylko materac. Musiała zatem zacząć

nowe poszukiwania. W łazience.

\* \* \*

- Jedno pytanie - rzekł Webster. - Jak długo możemy to ukrywać?

Generał Johnson nie odpowiedział, podobnie jego adiutant. Webster obejrzał się na Garbera słuchającego z ponurą miną.

- Niezbyt długo - odparł generał.

- Ale ile? - dopytywał się Webster. - Dzień, godzinę?

- Sześć godzin.

- Dlaczego? - wtrącił McGrath.

- Standardowa procedura - wyjaśnił Garber. - Oczywiście zbadają przyczyny rozbicia helikoptera.

W zwykłych okolicznościach wysłaliby następnego. Ale nie, jeśli istnieje podejrzenie ostrzału z ziemi. Przyjadą zatem drogą z Malmistrom. Sześć godzin.

Webster skinął głową. Odwrócił się do Johnsona.

- Może ich pan opóźnić, generale?

Johnson zaprzeczył.

- Raczej nie. - W jego głosie brzmiała rezygnacja. - Właśnie stracili chinooka i dwóch ludzi załogi. Nie mogę poprostu zadzwonić i powiedzieć: zróbcie mi tę grzeczność i nie badajcie tego. Owszem, mógłbym spróbować, a oni z początku nawet by się zgodzili, ale w końcu by się wydało i wróciłibyśmy do punktu wyjścia. Zyskalibyśmy jakąś godzinę.

Webster przytaknął.

- Siedem godzin, sześć godzin, co za różnica - mruknął.

Nikt nie odpowiedział.

, - Musimy zacząć działać - zdecydował McGrath. - Zapomnijmy o Białym Domu, nie możemy dłużej czekać. Trzeba coś zrobić i to natychmiast. Za sześć godzin wszystko wymknie się spod kontroli. Stracimy ją.

Sześć godzin to trzysta sześćdziesiąt minut. Pierwsze dwie zmarnowali, siedząc w milczeniu. Johnson patrzył w przestrzeń, Webster bębnił palcami w stół, Garber patrzył na McGratha z cierpkim wyrazem twarzy, McGrath oglądał mapy. Milošević i Brogan stali w ciszy, trzymając brązowe papierowe torby ze śniadaniem i styropianowe kubki. - Jest kawa, gdyby ktoś chciał - rzucił Brogan.

Garber wezwał go gestem.

- Możemy jeść i planować jednocześnie - rzekł. - Mapa - polecił Johnson.  
McGrath przesunął mapę po blacie. Wszyscy pochylili się naprzód. Szok minął. Trzysta pięćdziesiąt osiem minut. - Siedem kilometrów od nas jest wąwóz - oznajmił adiutant. - Dysponujemy tylko ośmioma marines i LAV-em-25  
- To taki czołg? - spytał McGrath. Adiutant pokręcił głową.  
- Lekki pojazd opancerzony, Light Armored Vehicle -powiedział. - LAV. Osiem kół, nie ma gąsienic.  
- Kuloodporny? - wtrącił Webster.  
- O tak - odrzekł adiutant. - Mogą nim dojechać aż do Yorke.  
- Jeśli zdoła pokonać wąwóz - uzupełnił Garber. Johnson przytaknął.  
- To najważniejsze pytanie - dodał. - Musimy sprawdzić sami.

\* \* \*

Dla cywila McGratha lekki pojazd opancerzony niczym nie różnił się od czołgu, poza tym, że zamiast gąsienic miał osiem kół. Korpus zbudowano z grubych metalowych płyt. Wieńczyła go wieżyczka z działkiem. Kierowca siedział z przodu, dowódca w wieżyczce. Z tyłu zajęli miejsca żołnierze, którzy siedzieli w dwóch rzędach po trzech, zwróceniem plecami do siebie, przed stanowiskami strzeleckimi. Każde z nich wyposażono w peryskop. McGrath wyobraził sobie pojazd wpadający w wir bitwy, niewrażliwy na wszelkie ciosy, najeżony bronią. W dół wąwozu, w górę i drogą do Yorke, aż do budynku sądu. Odciągnął na bok Webstera.

-Nie powiedzieliśmy im o dynamicie w ścianach. - szepnął zdenerwowany.  
- I nie powiemy - odparł cicho Webster. - Stary dostałby świra. Już w tej chwili jest bliski załamania. Uprzedzę ich bezpośrednio. To żołnierze tam jadą i oni będą z nim mieli do czynienia. Johnson nie musi o niczym wiedzieć.

McGrath zaczął Johnsona, a Webster podbiegł do po jazdu opancerzonego. McGrath zobaczył, jak dowódca wychyla się z wieżyczki, kiwa głową i krzywi się na słowa Webstera. A potem adiutant generała uruchomił silnik wojskowego chevroleta. Johnson i Garber stłoczyli się z przodu. McGrath wskoczył na tylne siedzenie, obok niego usadowili się Brogan i Milošević.

Webster skończył rozmowę, wrócił biegiem do chevrole-ta, wcisnął się obok Miloševicza. LAV odpalił wielki silnik Diesla i ruszył naprzód w obłoku czarnego dymu, tocząc się ciężko. Chevrolet pośpieszył za nim.

\* \* \*

Po siedmiu kilometrach pokonali niewielkie wzniesienie i dotarli do zakrętu. Zwolnili i zatrzymali się pod skałą. Dowódca marines zeskoczył z wieżyczki i pobiegł drogą na północ. Webster, Johnson i McGrath wysiedli i pośpieszyli za nim. Zatrzymali się razem za skałą i ostrożnie przekradli naprzód. Przed sobą ujrzeni wąwóz - imponujący widok.

Rozciągał się tuż przed nimi, mniej więcej prosty, biegnący z prawa na lewo. Nie był to zwykły rów w ziemi, lecz rów i stopień. Cała skorupa ziemską pękła. Południowa płyta się osunęła. Przypominało to sąsiadujące fragmenty starej betonowej autostrady w miejscu, gdzie ciężki samochód naruszył łączące je spoiwo. Tyle że w skali geologicznej centymetrowy uskok urósł do dwudziestu metrów.

Tam, gdzie pękła ziemia, boki pokruszyły się, tworząc olbrzymie głązy. Wędrujący lodowiec przesunął je na południe. Lód, wstrząsy i milion lat erozji pogłębiły jeszcze szczelinę w ziemi, niszcząc płyty aż do miejsc, w których skała stawała się twardsza. Miejscami wąwóz miał sto metrów szerokości. W innych, twardszych, zaledwie dwadzieścia.

Korzenie tysięcy pokoleń drzew i zimowe mrozy odcisnęły też swoje piętno na krawędziach, zamieniając je w dwa

stromie zbocza. Północne zbocze nadal wznosiło się dwadzieścia metrów ponad południowe. I jedno, i drugie porastał gęszcz krzewów, pomiędzy których przebijały się karłowate drzewka i skalne rumowiska. Droga wznosiła się stopniowo na betonowych filarach i docierała do mostu. Po

północnej stronie następne filary stopniowo obniżały ją do poziomu gruntu, potem zniknęła w lesie. Tyle że most wysadzono. Założono ładunki na dwóch środkowych filarach. Siedmiometrowy, środkowy fragment mostu runął trzydzieści metrów w głąb wąwozu. Czterej mężczyźni przycupnięci pod skałą widzieli fragmenty drogi w dole.

- I co pan myśli? - spytał nerwowo Johnson.

Dowódca marines dokładnie oglądał teren przez lornetkę, w prawo i w lewo, w górę i w dół, sprawdzając każdy szczegół.

- Do dupy, generale - odparł.

- Przedostaniecie się?

Tamten odłożył lornetkę i pokręcił głową.

- Nie ma szans.

Cofnął się na bok, tak by generał widział dokładnie, co pokazuje. Zaczął szybko mówić, gestykulując.

- Moglibyśmy zjechać na dół, rumowisko zapewnia całkiem niezły zjazd, ale problem w tym, jak dostać się potem na górę. LAV pokonuje wzniesienia najwyżej do czterdziestu pięciu stopni. Północne zbocze jest znacznie bardziej strome, w niektórych miejscach prawie pionowe. Wszystkie łagodniejsze miejsca zarosły krzaki. A oni pościnali drzewa. Widzi pan?

Wskazał las po drugiej stronie. Między drzewami pozostawiono zwalone pnie. Widzieli wyraźnie świeżo ścięte końcówki.

- Zasięki opóźniłyby przejazd. Przy wolnym podjeździe w górę zatrzymają nawet czołg. Jeśli nawet tam dotrzemy, ugrzęźniemy na dobre.

- Co więc mamy robić, do diabła? - spytał Johnson. Oficer piechoty morskiej wzruszył ramionami.

- Proszę sprowadzić inżynierów. Wyrwa w moście ma tylko siedem metrów szerokości. Możemy to załatać.

- Ile to potrwa? - spytał Webster. Ponowne wzruszenie ramion.

- Do końca? Sześć godzin, może osiem.

- Zdecydowanie za długo - mruknął Webster.

W tym momencie odbiornik w kieszeni McGratha zatrzeszczał głośno.

39

Reacher ukrywał się w lesie i martwił o psy. Tylko ich nie był pewien, z ludźmi umiał sobie radzić. Nie bardzo jednak wiedział, jak powinno się postępować z psami.

Przycupnął się w lesie, na północ od Bastionu, na południe od strzelnicy. Słyszał, jak półtora kilometra dalej chinook uderza o ziemię. Runął ogonem naprzód, waląc pokotem drzewa. Najwyraźniej w ostatniej chwili poleciał w bok i szczęśliwie nie trafił w budynek sądu. Nie doszło do wybuchu - ani dynamitu, ani helikoptera i jego zbiorników z paliwem. Reacher optymistycznie oceniał szanse załogi. Drzewa i potężny korpus helikoptera mogły znacznie złagodzić upadek. Znał pilotów, którzy wychodzili cało z gorszych katastrof.

W dłoni trzymał karabin M-16, w kieszeni glocka. Glock miał pełen magazynek, siedemnaście pocisków. W małym magazynku M-16 mieściło się dwadzieścia pocisków, a jednym zabił faceta ze stingerem. Drugi M-16 miał pełny, duży magazynek, trzydzieści pocisków. Pozostał jednak w lesie, bo Reacher kierował się zawsze podstawową zasadą: wybieraj broń, która na pewno działa.

Czuł instynktownie, że uwaga ludzi Borkena skupi się na południowym wschodzie. Tam właśnie przetrzymywali Holly, tam rozbił się chinook. Tam zatem zbiorą się siły nieprzyjaciela. Czuł, że ludzie będą odwracać się na południowy

wschód, z lękiem spoglądając w stronę reszty Stanów Zjednoczonych i czekając. Dlatego wykonał w tył zwrot i pomaszerował na północny zachód

Poruszał się ostrożnie. Główne siły nieprzyjaciela zbierają się gdzie indziej, wiedział jednak, że wysłali oddziały, które miały go odszukać. Z pewnością znaleźli już ciało fowlera. Dostrzegł dwa

patrole przeszukujące las. Oba liczyły po sześciu ludzi, uzbrojonych po zęby, przeciskających się przez poszycie. Nietrudno ich było uniknąć. Psy to jednak zupełnie inna sprawa. Dlatego właśnie się niepokoił. Dlatego poruszał się ostrożnie.

Cały czas trzymał się lasu, okrążając zachodni kraniec strzelnicy. Potem podążył na wschód, wokół placu apelowego. Pięćdziesiąt metrów na północ znów skręcił i równoległe do drogi ruszył w stronę kopalni. Biegł naprzód, wymijając kolejne pnie. Cały czas rozmyślał o priorytetach i o czasie. Uznał, że ma jakieś trzy godziny. Zestrzelenie chinooka z pewnością spowoduje gwałtowną reakcję. Lecz lata służby nauczyły go, że nic nie dzieje się szybciej niż w trzy godziny. Miał zatem trzy godziny i mnóstwo do zrobienia.

Kiedy grunt zaczął się podnosić, zwolnił do szybkiego marszu. Zatoczył szeroki łuk na zachód i dotarł do krawędzi niecki, w której mieściły się wejścia do kopalni. Usłyszał silniki Diesla pracujące na jałowym biegu. Pochylił się i pod-kraść bliżej pod osłoną skał. Spojrzał w dół.

Znajdował się w połowie zbocza otaczającego nieckę i patrzył mniej więcej na wschód. Wrota dalszej budowli stały otworem. Cztery ciężarówki jednostki raketowej wyprowadzono na zewnątrz. Te wyposażone w stelaże na broń. Transporter przewozu wojska pozostał w środku.

W niecce czekała garstka ludzi, ustawionych w pierścień wokół ciężarówek. Reacher policzył ich szybko, ośmiu. Stroje

maskujące, karabiny, postawa zdradzająca napięcie. Co mówiła kobieta z kuchni? Nikt nie ma wstępu do kopalni poza najbardziej zaufanymi ludźmi Borkena. A więc ośmiu zaufanych żołnierzy pełniących wartę.

Przez kilka minut obserwował całą scenę. Przesunął karabin na ramię. Stali niecałe sto metrów od niego. Słyszał zgrzyt łupku, gdy wartownicy przestępowali z nogi na nogę. Przełączył broń na pojedyncze strzały. Miał w magazynku dziewiętnaście nabojów, a musiał wystrzelić co najmniej osiem. Należało oszczędzać amunicję.

M-16 to dobry karabin, łatwy w użyciu i w konserwacji. Wygodnie się z niego celuje. Na górze kolby wyżłobiono rowek w jednej linii z identycznym rowkiem na celowniku. Z odległości stu metrów wystarczy spojrzeć ponad rowkiem w kolbie, pozwolić, by złał się z tym z przodu, i strzelać. Trafia się w to, co się widzi. Reacher oparł się na kamieniu i odnalazł pierwszy cel. Wypróbował ruchy niezbędne do przejścia do drugiego i trzeciego. Przećwiczył pełną sekwencję ośmiu strzałów. Nie chciał w trakcie zahaczyć o coś łokciem.

Powrócił do pierwszego celu. Odczekał jedno uderzenie serca, po czym wypalił. Huk strzału odbił się echem od górskich zboczy. Prawa przednia opona pierwszej ciężarówki eksplodowała. Przesunął celownik na lewo. Wystrzelił. Ciężarówka opadła na obręcz, niczym ogłuszony wół, padający na kolana.

Reacher strzelał dalej. Wypalił pięć razy i trafił w pięć opon, nim ktokolwiek zareagował. Przy szóstym strzale dostrzegł kątem oka wartowników uskakujących w panice. Niektórzy padali na ziemię, inni biegli w stronę budynków. Wystrzelił siódmą kulę. Zawahał się przed ósmą. Najdalsza opona była najtrudniejsza. Ostry kąt, nie mógł strzelać z boku, musiał celować w bieżnik. Możliwe, że pocisk się odbije. Wystrzelił, trafił, opona wybuchła. Przód ostatniej ciężarówki opadł gwałtownie.

Najbliższy wartownik stał nadal, nie skierował się w stronę osłony. Po prostu stał, patrząc w kierunku skały, za którą ukrywał się Reacher. Podniósł karabin, M-16, taki sam jak Reachera. Tyle że z dużym magazynkiem na trzydzieści pocisków. Wymierzył w skałę. Odważny facet albo idiota. Reacher przykucnął, czekał. Tamten wystrzelił. Broń miał nastawioną na ogień ciągły. Wystrzelił trzy pociski, trzy w czasie jednej piątej sekundy. Uderzyły o drzewa pięć metrów nad głową Reachera. Z góry posypały się liście i gałązki, lądując obok niego. Wartownik podbiegł dziesięć metrów bliżej, wystrzelił ponownie kolejne trzy pociski. Daleko po lewej. Nim do jego uszu dobiegł huk strzałów, Reacher usłyszał świst pocisków i odgłos uderzeń o pnie. Kule poruszają się szybciej niż dźwięk, toteż słyszy się je w odwrotnej kolejności. Docierają do celu, wyprzedzając odgłos strzału.

Reacher musiał podjąć decyzję, na jaką odległość dopuści wartownika. I czy odda strzał ostrzegawczy. Następne trzy pociski trafiły bliżej. Nisko, ale bliżej. Niecałe dwa metry od niego. Reacher zadecydował. Niezbyt blisko i obejdzie się bez strzałów ostrzegawczych. Tamten był cały nabuzowany, nie ma sensu próbować go ostrzec. W żaden sposób nie da się go uspokoić.

Położył się na boku, wyprostował nogi i wychylił spoza podstawy skały. Wystrzelił raz, trafiając wartownika w pierś. Mężczyzna runął na ziemię, karabin wyleciał mu z ręki i potoczył się w prawo. Reacher został na miejscu, patrzył uważnie. Tamten wciąż żył, toteż Reacher wystrzelił ponownie, trafiając go w czubek głowy. Kierowała nim litość, lepiej zginąć od razu, niż przez ostatnich dziesięć minut życia męczyć się z raną w piersi.

Echa krótkiej wymiany strzałów ucichły wśród gór. Powietrze znieruchomiło. Pozostała siódemka strażników gdzieś zniknęła. Ciężarówki stały pochylone, oparte na obręczach, unieszkodliwione. Może dałoby się je wyprowadzić z niecki, ale pierwszy ostry górski zakręt ostatecznie pozbawiłby je opon. Zostały zneutralizowane, bez dwóch zdań.

Reacher odczołgał się dziesięć metrów w tył i wstał pod osłoną drzew. Zbiegł w dół zbocza, kierując się w stronę Bastionu. Siedemnaście pocisków w glocku, dziewięć w karabinie. Czynił postępy, ale nic za darmo.

\* \* \*

Psy znalazły go w połowie drogi. Dwa wielkie, kudłate owczarki niemieckie. Ujrzał je w tym samym momencie, w którym one dostrzegły jego. Biegły wolno, z niespożytą energią właściwą wszystkim wielkim psom. Długie kroki, rozchylone wilgotne pyski, czujność w oczach. Na jego widok zatrzymały się gwałtownie na sztywnych przednich łapach i jednocześnie skręciły. Trzydzieści metrów, potem dwadzieścia, dziesięć, przyspieszyły. Nowa energia w ich susach, w gardłach wzbierała warkot.

Co do ludzi Reacher nie miał wątpliwości, ale psy to co innego. Ludzie mają swobodę wyboru. Jeśli ktoś rzuca się na niego, robi to, ponieważ musi, i zasługuje na to, co go spotka. Jego reakcja to wyłącznie problem tego kogoś. Ale psy nie miały wolnej woli, łatwo je oszukać. Stanowiły problem natury etycznej. Reacher nie miał ochoty zastrzelić psa tylko dlatego, że kazano mu zrobić coś głupiego.

Pozostawił glocka w kieszeni. Karabin był lepszy, o ponad pół metra dłuższy. Dodatkowe pół metra dystansu wydawało się dobrym pomysłem. Psy zatrzymały się tuż przed nim, jeżąc sierść na grzbietach, wzdłuż kręgosłupów. Przycupnęły, zniżając głowy i warcząc donośnie. Miały żółte zęby, mnóstwo żółtych zębów, i brązowe oczy. Reacher dostrzegł cienkie, ciemne rzęsy, jak u dziewcząt.

Jeden z nich wysunął się nieco naprzód. Przywódca stada. Reacher wiedział, że wśród psów obowiązuje ścisła hierarchia. Jeden z nich zawsze musiał być przywódcą, jak u ludzi. Nie miał pojęcia, w jaki sposób psy ustalają to między sobą. Może postawą, może zapachem, może walczą. Popatrzył pierwszemu psu prosto w oczy. Od czasu do czasu słyszał opowieści o psach. Stale powtarzało się w nich ostrzeżenie: nigdy nie okazuj strachu, poskrom go wzrokiem. Nie daj po sobie znać, że się boisz. Reacher się nie bał. Stał tam z M-16 w rękach, martwiąc się jedynie tym, że będzie musiał go użyć.

Patrzył w milczeniu na psa, tak jak wiele razy podczas służby patrzył na żołnierzy, których musiał aresztować. Twardo, w milczeniu. Spojrzenie to było chłodne, ciężkie, miażdżące. Ponure, zimne oczy. Na ludziach sprawdziło się setki razy, teraz działało także na psa.

Pies był tylko częściowo przeszkolony, Reacher dostrzegł to niemal natychmiast. Wiedział, co powinien zrobić, ale nie potrafił tego dokonać, bo nie nauczono go ignorowania reakcji ofiary. Patrzył Reacherowi w oczy i cofał się powoli, jakby spojrzenie to ciążyło mu boleśnie, napierając na wąskie czoło. Reacher podgrzał atmosferę, zmrużył oczy, odsłaniając zęby. Warknął niczym twardziel w kiepskim filmie. Głowa psa opadła, jego oczy uniosły się, utrzymując kontakt wzrokowy. Podkulił ogon.

- Siad! - polecił Reacher. Wymówił to słowo spokojnie, lecz stanowczo, z naciskiem na ostatnią

dźwięczną głoskę. Pies zareagował odruchowo, ugiął tylne nogi i usiadł. Drugi naśladował go niczym cień. Siedziały obok siebie, patrząc na Reachera.

- Pad!- polecił Reacher.

Psy nawet nie drgnęły, siedziały nadal, patrząc pytająco. Może wybrał niewłaściwe słowo. Komendę, której nie znały.

- Leżeć! - powiedział.

Wysunęły przednie łapy i opadły na brzuchy na ściółkę. Cały czas patrzyły na niego.

- Waruj!- warknął Reacher.

Spojrzał na nie z naciskiem i ruszył na południe, zmuszając się do powolnego marszu. Po pięciu metrach odwrócił głowę. Psy nadal leżały na ziemi. Wyginały szyje, odprowadzając go wzrokiem.

- Waruj! - powtórzył.

> Nie poruszyły się. Reacher odszedł. \* \*

\*

Słyszał ludzi w Bastionie. Odgłosy sporego tłumu usiłującego zachować ciszę. Usłyszał je, gdy wciąż był po północnej stronie placu apelowego. Okrążył go, nie wychodząc z lasu. Przekradł się obok strzelnicy i znalazł wśród drzew za kantyną. Zatoczył łuk głęboko w lesie, po czym podkradł się naprzód.

W Bastionie zebrało się może trzydziestu ludzi. Stali stłoczeni, powoli przesuując się naprzód. Sami mężczyźni, w strojach maskujących, uzbrojeni. Karabiny, karabiny maszynowe, granatniki, kieszenie pełne zapasowych magazynków. Tłum kołysał się i falował, ramiona dotykały i rozłączały. Reacher dostrzegł pośrodku Beau Borkena, który trzymał w dłoni mały, czarny nadajnik. Rozpoznał go, należał do Jacksona. Borken musiał go zabrać z kieszeni Fowlera. Unosił go do ucha, patrząc w przestrzeń, jakby właśnie włączył radio i czekał na odpowiedź.

40

McGrath wyszarpnął z kieszeni radio. Trzeszczało mu głośno w dłoni. Webster wystąpił naprzód, wziął odbiornik. Z powrotem ukrył się za skałą i nacisnął przycisk.

- Jackson? - rzekł. - Mówi Harland Webster.

McGrath i Johnson przysunęli się bliżej. Cała trójka przykucnęła pod skałą. Webster odsunął odbiornik od ucha, tak by jego towarzysze również mogli słuchać. Pod osłoną skały, w górskiej ciszy słyszeli trzaski i syki oraz szybki oddech człowieka po drugiej stronie. A potem odezwał się głos.

- Harland Webster? Proszę, proszę, sam wielki szef.

- Jackson? - powtórzył Webster.

- Nie - odparł głos. - To nie Jackson. Webster zerknął na McGratha.

- Zatem kto? - spytał.

- Beau Borken. Od dzisiaj mogę chyba mówić prezydent Borken. Prezydent Wolnych Stanów Ameryki. Ale proszę zwracać się do mnie nieoficjalnie.

- Gdzie jest Jackson? - spytał Webster.

Po drugiej stronie zapadła cisza. Słyszeli jedynie cichy szum elektroniczny. Satelity i fale radiowe.

- Gdzie jest Jackson? - powtórzył Webster.

- Umarł - odparł głos.

Webster ponownie spojrzał na McGratha.

- Jak?

- Po prostu umarł - odparł Borken. - W sumie dość szybko.

- Był chory? - naciskał Webster.

W odbiorniku znów zapadła cisza, a potem usłyszeli śmiech. Wysoki, metaliczny śmiech. Głośny, rozdzierający. Głośniczek słuchawki nie wytrzymał natężenia dźwięku i zniekształcony śmiech odbił się echem od skały.

- Nie, nie był chory, panie Webster - wyjaśnił Borken. - Był zupełnie zdrowy, aż do ostatnich



dziesięciu minut.

- Co z nim zrobiliście?

- To samo, co zrobimy z córeczką generała. Posłuchaj, a podam najdrobniejsze szczegóły. Musisz bardzo uważać, bo chcę, żebyś wiedział dokładnie, z kim masz do czynienia. Jesteśmy poważnymi ludźmi, nie rzucamy słów na wiatr. Rozumiesz? Słuchasz mnie?

Johnson przepchnął się bliżej, blady, zlany potem.

- Ty pieprzony wariacie! - krzyknął.

- Kto to? - spytał Borken. - Generał we własnej osobie?

- Generał Johnson - potwierdził Webster.

Z głośnika dobiegł chichot - krótki, pełen satysfakcji.

- Same asy - mruknął Borken. - Dyrektor FBI i szef połączonych sztabów. Wierzcie mi, bardzo nam to pochlebia. Przypuszczam jednak, że narodziny nowego narodu zasługują na podobną uwagę.

- Czego chcesz? - spytał Webster.

- Ukrzyżowaliśmy go - ciągnął Borken. - Znaleźliśmy parę drzew odległych od siebie o metr i przybiliśmy go do nich. To samo zrobimy z pańską córką, generale, jeśli nie będziecie słuchać. Potem obcieliśmy mu jaja. Krzyczał i błagał, żebyśmy tego nie robili. Ale na próżno. Pańska córeczka jest kobietą, więc to jej nie grozi. Ale z pewnością znajdziemy coś w zastępstwie. Rozumie pan? Myśli pan, że będzie krzyczała i błagała, generale? Zna pan ją lepiej niż ja. Osobiście założę się, że tak. Myśli sobie, że jest twardzielką, ale gdy zobaczy zbliżające się noże, szybko zaśpiewa inaczej. Jestem tego pewien.

« Johnson zbladł jeszcze bardziej. Cała krew odpłynęła mu z twarzy. Nogi ugięły się pod nim, usiadł ciężko, oparty o skałę. Jego usta poruszały się bezdźwięcznie.

- Czego, do diabła, chcecie, sukinsyny? - krzyknął Webster.

Odpowiedziała mu cisza, a potem głos powrócił, spokojny, stanowczy.

- Chcę, żebyście przestali krzyczeć. Chcę, żebyście przeprosili za to, że na mnie krzyczeliście. Przeprosili za wyzwiska. Jestem prezydentem Wolnych Stanów, należy mi się szacunek i uprzejmość. Nieprawdaż? Głos miał cichy, lecz McGrath słyszał go wyraźnie. W panice spojrzał na Webstera. Byli bliscy przegranej, choć jeszcze nie zaczęli rozgrywki. Pierwsza zasada brzmi: negocjować. Sprawić, by nie przestawali mówić, i powoli zyskiwać przewagę. Ustalić dominację. Klasyczna teoria negocjacji. Rozpoczęcie od przeprosin za krzyki oznaczało pożegnanie z wszelką nadzieją zdobycia przewagi. Całkowite i bezwarunkowe poddanie. Od tej chwili byłoby tylko zabawką w rękach Borkena. McGrath gwałtownie pokręcił głową. Webster przytaknął, milczał, trzymając w dłoni radio. Wiedział, co ma robić. Bywał już w podobnych sytuacjach. Znał zasady. Kto odezwie się pierwszy, zdradzi swoją słabość. Nie zamierzał być tą stroną. Wraz z McGrathem wbijali wzrok w ziemię. Czekali.

- Jesteś tam jeszcze? - rzucił Borken.

Webster nadal nie odpowiadał, patrzył w dół.

- Jesteś? - powtórzył Borken.

- O co ci chodzi, Beau? - spytał spokojnie Webster. Z głośnika dobiegł gniewny oddech.

- Przecieliście mi linię telefoniczną - powiedział Borken. - Chcę, żebyście ją naprawili.

- Nie zrobiliśmy tego - odparł Webster. - Twój telefon nie działa?

- Mój faks - poprawił Borken. - Nie dostałem odpowiedzi.

- Jakiej odpowiedzi?

- Nie próbuj mnie nabierać - warknął Borken. - Wiem, że przecieliście linię. Chcę, żeby ją naprawiono.

Webster mrugnął do McGratha.

- W porządku - stwierdził. - Możemy to zrobić. Ale najpierw ty musisz zrobić coś dla nas.

- Co takiego?

- Holly - zaczął Webster. - Przyprowadź ją na most i zostaw.

Odpowiedziała mu cisza, a potem znów usłyszeli śmiech. Wysoki, donośny śmiech.

- Żadnych warunków - rzucił Borken. - Żadnych umów. Webster pokiwał głową, zniżył głos. Przemawiał teraz jak najrozsądniejszy człowiek na świecie.

- Panie Borken, proszę posłuchać. Skoro nie możemy się układać, to w jaki sposób mamy pomóc sobie nawzajem?

Kolejna cisza. McGrath patrzył na Webstera. Następna odpowiedź była kluczowa. Zwycięstwo bądź przegrana.

- To ty mnie posłuchaj, Webster - odparł głos. - Żadnych układów. Jeśli nie zrobicie dokładnie tego, co powiem, Holly umrze, i to w męczarniach. Mam w ręku wszystkie atuty i nie zamierzam się układać. Zrozumieliście?

Ramiona Webstera opadły, McGrath odwrócił wzrok.

- Naprawcie linię telefoniczną - ciągnął Borken. - Potrzebuję łączności. Świat musi wiedzieć, co tu robimy. To wielkie wydarzenie historyczne, Webster, i twoje głupie gierki tego nie zmienią. Świat musi oglądać pierwsze ciosy wymierzone w gmach waszej tyranii.

Webster spuścił głowę.

- Ta decyzja jest zbyt poważna, abyś miał podjąć ją sam - dodał Borken. - Musisz się skonsultować z Białym Domem. Przecież oni także są zainteresowani.

Mimo niewielkich rozmiarów krótkofalówki, wszyscy obecni wyczuwali potęgę głosu Borkena. Webster krzywił się, jakby na jego ucho naciskał wielki ciężar. Krzywił się i dyszał, serce i płuca toczyły walkę o przestrzeń w jego piersi.

- Decydujcie - rzucił Borken. - Odezwę się za dwie minuty.

Łączność została przerwana. Webster patrzył na radio, jakby nigdy wcześniej nie oglądał podobnego sprzętu. McGrath pochylił się i nacisnął wyłącznik.

- W porządku - rzekł. - Gramy na zwłokę, tak? Powiemy, że naprawiamy linię, że to potrwa godzinę, może dwie. Powiemy, że mamy kontakt z Białym Domem, ONZ, CNN, kimkolwiek zechce. Wszystko, co chce usłyszeć.

- Dlaczego on to robi? - spytał Webster, patrząc w przestrzeń. - Doprowadza do eskalacji. Praktycznie zmusza nas do ataku. Jakby chciał, żebyśmy to zrobili. Nie daje nam wyboru, prowokuje.

- Robi to, bo jest szalony - odparł McGrath.

- Chyba tak - przytaknął Webster. - To wariat. W przeciwnym razie nie rozumiem, czemu chce przyciągnąć uwagę. Bo przecież ma rację. I tak trzyma w dłoni wszystkie asy.

- Będziemy się o to martwić później, szefie. W tej chwili musimy grać na zwłokę.

Webster przytaknął, zmusił się do przeanalizowania problemu.

- Potrzebujemy więcej czasu niż dwie godziny. Jednostka antyterrorystyczna dotrze tu najwcześniej za cztery, może nawet pięć czy sześć.

- W porządku, mamy dziś czwartego lipca - przypomniał McGrath. - Powiemy, że technicy mają wolne, że ich ściągnięcie może zabrać cały dzień.

Popatrzyli po sobie, zerknęli na Johnsona. Generał praktycznie wypadł z gry. Siedział pod skałą błady, nieruchomy, z trudem oddychał. Dziewięćdziesiąt godzin śmiertelnego napięcia i emocji w końcu zrobiło swoje. W tym momencie radio w dłoni Webstera ożyło.

- I co? - spytał Borken, gdy szumy ucichły.

- Dobra, zgadzamy się - odparł Webster. - Naprawimy linię, ale potrzebujemy trochę czasu. Technicy mają wolne, dziś jest święto.

Odpowiedziała mu chwila ciszy, a potem chichot.

- Dzień Niepodległości - powiedział Borken. - Może powinienem był wybrać inną datę.

Webster nie zareagował.

- Chcę, żeby wasi marines stanęli na widoku - oznajmił Borken.

- Jacy marines? - spytał Webster.

Borken znów się zaśmiał, krótko, wzgardliwie.

- Macie ośmiu marines - wyjaśnił - i samochód opancerzony. Wszędzie wokół rozstawiliśmy czujki. Obserwujemy was, tak jak wy nas przez swoje pieprzone samoloty. Macie szczęście, że stingery nie dolatują tak wysoko. Inaczej stracilibyście więcej niż jeden cholerny helikopter.

Webster nie odpowiedział. Przebiegł jedynie wzrokiem horyzont. McGrath robił to samo, szukając odbłyску słońca w szklach lornetki.

- Przypuszczam, że jesteście teraz blisko mostu - ciągnął Borken. - Mam rację?

Webster wzruszył ramionami, McGrath skinął nagle głową.

- Jesteśmy blisko mostu - przyznał Webster.

- Chcę, żeby żołnierze weszli na most - powiedział Borken. - Usiedli na krawędzi, w rzędku i zabrali ze sobą samochód. Mają to zrobić już, rozumiesz? Albo weźmiemy się za Holly. Twój wybór, Webster. A może wybór generała? To w końcu jego córka i jego żołnierze.

Johnson podniósł się i uniosł głowę. W pięć minut później wszyscy marines siedzieli na brzegu wyrwy w moście, z nogami spuszczone w przepaść. Tuż za plecami mieli LAV-a. Webster wciąż krył się za skałą, wraz z McGrathem i Johnsonem. Cały czas przyciskał do ucha radio. Z głośnika dobiegały stłumione dźwięki, jakby Borken zakrył ręką mikrofon i używał walkie-talkie. Webster słyszał niewyraźne polecenia i trzeszczące odpowiedzi. Potem ręka odsunęła się i głos powrócił, wyraźny i donośny.

- W porządku Webster, dobra robota. Nasi zwiadowcy widzą wszystkich ośmiu, podobnie nasi strzelcy. Jeśli się ruszą, zginą. Kogo jeszcze tam macie?

Webster zawahał się. McGrath gwałtownie pokręcił głową.

- Nie widzicie? - spytał Webster. - Sądziłem, że nas obserwujecie.

- Nie w tej chwili - odparł Borken. - Kazałem ludziom się cofnąć, zająć pozycje obronne.

- Nie ma tu nikogo - rzekł Webster. - Tylko ja i generał. W głośniku zapadła cisza.

- Okay - rzucił w końcu Borken. - Macie dołączyć do żołnierzy na moście. Do szeregu.

Webster odczekał długą chwilę. Jego twarz nie zdradzała niczego. W końcu wstał, skinął głową na Johnsona. Johnson podniósł się chwiejnie i obaj okrążyli skałę, pozostawiając McGratha samotnego, przycupniętego pod kamienną ścianą.

\* \*

McGrath odczekał dwie minuty, po czym poczołgał się na południe do chevroleta. Z przodu siedzieli Garber i adiutant Johnsona, z tyłu Milošević i Brogan. Wszyscy patrzyli na niego.

- Co się dzieje, do diabła? - spytał Brogan.

- Tkwimy po uszy w gównie - odparł McGrath.

Po dwóch minutach pośpiesznych wyjaśnień pozostali się z nim zgodzili.

- I co teraz? - spytał Garber.

- Musimy wyciągnąć Holly - odparł McGrath. - Zanim Borken się zorientuje, że go nabieramy.

- Ale jak? - wtrącił Brogan.

McGrath zerknął na niego, potem na Miloševicza.

- My trzej - oznajmił. - Koniec końców to sprawa FBI. Nieważne, jak ją nazwiemy: terroryzmem, porwaniem, działalnością antypaństwową, wszystko należy do FBI.

- My to zrobimy? - spytał Milošević. - Tylko my trzej? W tej chwili?

- A znasz lepsze wyjście? - odpowiedział pytaniem McGrath. - Jeśli coś ma być zrobione dobrze, trzeba to zrobić samemu. Zgadza się?

Garber przekręcił się w fotelu, przebiegając wzrokiem po twarzach trzech mężczyzn siedzących z tyłu.

- To do roboty - ponaglił.

McGrath skinął głową, podniósł prawą rękę, wystawiając kciuk i pierwsze dwa palce.

- Ja jestem kciukiem - rzekł. - Wchodzę po wschodniej stronie drogi. Brogan, ty jesteś palcem wskazującym. Przechodzisz półtora kilometra na zachód od drogi i ruszasz naprzód. Milo, kolejny palec, trzy kilometry na zachód i dalej na północ. Przenikamy do środka osobno, co półtora

kilometra. Spotykamy się na drodze, pół kilometra przed miastem. Jasne?

Brogan skrzywił się, potem przytaknął. Milošević wzruszył ramionami. Garber zerknął na McGratha. Adiutant generała uruchomił silnik i chevrolet potoczył się łagodnie na południe, przystając po czterystu metrach w miejscu, gdzie droga wynurzała się spośród skał, dając swobodny dostęp do terenów po obu stronach. Trzej agenci FBI sprawdzili broń. Każdy z nich miał rządową trzydziestkęósemkę w błyszczącej, skórzanej kaburze pod pachą. Sześć naboí w magazynku, dodatkowe sześć w zapasowym, schowanym w kieszeni.

- Starajcie się przechwycić parę karabinów - polecił McGrath. - Nie zawracajcie sobie głowy braniem jeńców. Jeśli kogoś spotkacie, załatwcie go, jasne?

Miloševicza czekał najdłuższy marsz, toteż wyruszył pierwszy. Przebiegł przez drogę i skierował się prosto na zachód, przeciskając się przez górskie poszycie. McGrath zapalił papierosa. Po chwili wysłał Brogana. Garber odczekał, aż tamten zniknął wśród drzew, potem zwrócił się do McGratha.

- Niech pan pamięta, co mówiłem o Reacherze. Nie myślę się. Proszę mi wierzyć, on jest po naszej stronie.

McGrath wzruszył ramionami. Nie odpowiedział. Palił w milczeniu. Kiedy skończył, otworzył drzwi samochodu

i wysliznął się na zewnątrz. Zmiażdżył niedopałek obcasem i pomaszerował na wschód, przez porośniętą trawą pobocze

i dalej w las.

\* \* \*

McGrath zbliżał się do pięćdziesiątki, był nałogowym palaczem, ale zachował sprawność. Należał do tego typu twardych ludzi, którym nie szkodzi wiek ani palenie. Choć niski, około metra siedemdziesięciu, był mocno zbudowany - siedemdziesiąt pięć kilo twardych mięśni, niepotrzebujących ćwiczeń i nigdy niezarastających tłuszczem. Czuł się tak samo jak w dzieciństwie, ani lepiej, ani gorzej. Bardzo dawno temu przeszedł szkolenie FBI, dość prymitywne w porównaniu z tym, które teraz musieli zaliczyć nowi agenci, był jednak najlepszy, praktycznie nie do zdarcia. Nie najszybszy w klasie, lecz z pewnością najwytrwalszy. W dawnych czasach biegi treningowe w Quantico odbywały się w lasach Wirginii. Kandydaci na agentów pokonywali w kółko ten sam tor pełen naturalnych przeszkód. Po pierwszym okrążeniu McGrath przybywał na metę trzeci albo czwarty. Jeśli jednak wysłano ich ponownie, kończył z tym samym czasem, co do sekundy. Najszybsi z trudem dotrzymywali mu kroku, gdy niestrudzenie parł naprzód, a potem zostawali w tyle. Po drugim okrążeniu McGrath był już pierwszy. Po trzecim jedyny docierał do mety.

Teraz zatem biegł lekko, aż do południowego krańca wąwozu. Trzysta metrów na wschód zbocza stały się łagodniejsze. Zniknęły z oczu obserwatorów. Nie zwalniając tempa, ruszył na dół, stawiając krótkie, sztywne kroki. Spod jego stóp sypał się żwir i kamienie. Ześlizgiwał się, wywołując niewielkie lawiny. Po drodze przytrzymywał się karłowatych drzew. Wyminął stopy skalnych odłamków na dnie i ruszył w górę północnego zbocza.

Ta część trasy okazała się trudniejsza. McGrath wbijał palce nóg w żwir i podciągał się, chwytając kępy trawy. Lawirował pomiędzy drzewkami i krzakami w poszukiwaniu pewnego podparcia. Ostatnich dwadzieścia metrów północnego zbocza okazało się torturą. W końcu skręcił w prawo i dotarł do miejsca, w którym osuwająca się ziemia pozostawiła prostą ścieżkę pod łagodniejszym kątem. Osuwając się i zjeżdżając, dobrnął w końcu do szczytu skalnego urwiska.

Na chwilę zatrzymał się tuż pod nim, w miejscu, gdzie ziemia runęła w dół pod naporem korzeni. Wyteżył słuch, ale wokół panowała cisza. Dźwignął się w górę i znieruchomiał z piersią opartą o ziemię, odsłoniętą głową i ramionami, patrząc na północ w głąb terenów wroga. Nie dostrzegł niczego, jedynie łagodne wzniesienia, potem wzgórze i w końcu olbrzymie szczyty w oddali. Błękitne niebo, milion drzew, czyste powietrze, absolutna cisza. Jesteś daleko od Chicago, Mack, pomyślał.

Przed sobą widział pasmo niskich krzewów. W tym miejscu stare skały były zbyt blisko

powierzchni, by drzewa mogły zapuścić korzenie. Dalej las, z początku rzadszy, potem coraz gęściejszy. McGrath widział przerwę pośród koron drzew - drogę, trzysta metrów po lewej. Przeturlał się po trawie i pobiegł w stronę drzew. Skręcił w lewo ku drodze i podążył wzdłuż niej lasem na północ.

Biegł naprzód, wymijając pnie niczym poruszający się w zwolnionym tempie futbolista lawirujący wśród przeciwników. Co chwila przywoływał w umyśle mapę. Miał do pokonania jakieś pięć kilometrów. Pięć kilometrów wolnym biegiem, niewiele szybszym od marszu, oznaczało czterdzieści pięć, może pięćdziesiąt minut. Ziemia pod jego stopami wznosiła się łagodnie. Co czwarty bądź piąty krok stopa lądowała nieco szybciej niż na płaskim terenie. Parę razy potknął się o korzeń, raz wpadł na pień sosny. Cały czas jednak parł niestrudzenie naprzód.

Po czterdziestu minutach zatrzymał się. Brogan i Milošević mieli do pokonania podobny teren, ale też dodatkowy dystans, bo na starcie odbili na zachód. Z pewnością zjawia się później o jakieś dwadzieścia minut, jeśli dopisze im szczęście. McGrath skręcił w las, usiadł pod pnem, zapalił papierosa. Oceniał, że do miejsca spotkania pozostało mu jakieś siedemset metrów. Mapa w głowie informowała, że droga zbliża się do miasta.

Odczekał piętnaście minut, dwa papierosy. Potem wstał i ruszył naprzód. Szedł ostrożnie, zbliżał się do celu. Dwa razy odbił w lewo i odszukał drogę, skradając się wśród drzew, póki nie dostrzegł promieni słońca odbijających się w szarym betonie. Następnie skręcił z powrotem i dalej maszerował na północ. W końcu las przed nim zaczął rzednąć. McGrath ujrzał skąpaną w słońcu otwartą przestrzeń. Zatrzymał się, cofnął w lewo, potem w prawo w poszukiwaniu najlepszego widoku. Ujrzał drogę prowadzącą do miasta i budynki. Szarą ruinę na wzgórzu po lewej. Budynek sądu po prawej, lepiej zachowany, połyskujący biało w promieniach słonecznych. Długą chwilę wpatrywał się w niego spomiędzy drzew, potem zawrócił, cofając się o pięćset metrów. Skręcił w stronę drogi, ujrzał między drzewami jej nawierzchnię. A potem oparł się o pień i zaczął czekać na Brogana i Miloševicza.

\* \* \*

Tym razem nie wyjął kolejnego papierosa. Już dawno temu nauczył się, że palenie w ukryciu to nienajlepszy pomysł. Zapach rozchodzi się w powietrzu, wrażliwy nos może go wyczuć. Oparł się zatem o drzewo i podenerwowany spojrzał w dół na własne buty. Wyglądały fatalnie po wspinaczce północnym zboczem wąwozu. Wbijał mocno stopy w ostry żwir, więc całą skórę pokrywały nierówne zadrapania. Wpatrując się w zniszczone obuwie, zrozumiał nagle, że go zdradzono. W gardle wezbrała mu panika, pierś uniosła się gwałtownie. Świadomość ta uderzyła go niczym drzwi więzienia zamykające się powoli. Bezdźwięcznie opadła ku niemu na naoliwionych zawiasach i zatrzasnęła się tuż przed twarzą.

Co powiedział Borken? Tak jak wy obserwujecie nas przez swoje pieprzone samoloty. Ale co wcześniej w Butte mówił adiutant generała? Człowiek podnosi wzrok, widzi na niebie ślad pary i myśli, że to lot pasażerski. Nie lotnictwo wojskowe, sprawdzające, czy dziś rano wyczyścił buty. Skąd w takim razie Borken wiedział, że z góry śledzą go samoloty szpiegowskie? Wiedział, bo mu powiedziano. Ale kto? Kto, do diabła?

McGrath rozejrzył się gorączkowo. Od razu ujrzał zbliżającego się psa, potem drugiego. Biegły ku niemu wśród drzew. Nagle usłyszał dźwięk z tyłu, szelest kroków, trzask gałęzi. Podobny dźwięk dobiegł z prawej, z lewej. Szczęknęła broń. Czyjaś dłoń uderzyła o kolbę. Psy zatrzymały się u jego stóp. Odwrócił się gwałtownie w panice - wszędzie wokół spomiędzy drzew wynurzali się ludzie: chudzi, brodaci mężczyźni w strojach maskujących, trzymający w dłoniach karabiny i pistolety maszynowe, u ich pasów wisiały granaty. W sumie było ich piętnastu, może dwudziestu. Maszerowali naprzód, spokojnie, zdecydowanie. Otaczali go pierścieniem. McGrath odwrócił się w jedną, potem w drugą stronę. Był otoczony. Mężczyźni podnieśli broń. Po sekundzie celowało w

niego piętnaście, dwadzieścia karabinów maszynowych. Stał się osią koła najeżonego śmiercionośnymi szprychami.

Stali w milczeniu, z bronią gotową do strzału. McGrath, oszołomiony, przyglądał im się kolejno. A potem jeden wystąpił naprzód, zapewne oficer. Jego dłoń powędrowała prosto pod marynarkę McGratha. Wyrwała trzydziestkęosemkę z kabury. Drugą ręką sięgnął do kieszeni McGratha, zacisnął palce na magazynku i wyciągnął go. Wsunął obie rzeczy do własnej kieszeni i uśmiechnął się, po czym zamachnął się pięścią i uderzył McGratha w twarz. McGrath zachwiał się na nogach. Lufa karabinu dźgnęła go w plecy, usłyszał na drodze pisk opon, warkot silnika. Zerknął w lewo i w promieniach słońca dostrzegł błysk oliwkowozielonej farby. Dżip. W środku siedzieli dwaj mężczyźni. Żołnierze zmusili go do wyjścia z lasu. Wyprowadzili go na pobocze, zamrugał osłepiony słońcem. Czuł, że z nosa płynie mu krew. Dżip potoczył się naprzód i zatrzymał obok niego. Kierowca patrzył z ciekawością. Kolejny chudy, brodaty mężczyzna w mundurze. W fotelu pasażera siedział wielki, nalany mężczyzna w czerni. Beau Borken. McGrath rozpoznał go ze zdjęcia w aktach. Spojrzał na niego. Borken wychylił się i uśmiechnął szeroko.

- Witam, panie McGrath - rzekł. - Szybko panu poszło.

41

Reacher obserwował całe zajście. Tkwił sto pięćdziesiąt metrów dalej wśród drzew, na północny zachód od miejsca zasadzki, wysoko na zboczu po drugiej stronie drogi. U jego stóp leżał martwy wartownik, rzucony na ziemię, z głową pod kątem prostym w stosunku do szyi. Reacher używał jego lornetki. Obserwował. Nie wiedział tylko do końca, na co patrzy.

Podслуchał rozmowę radiową prowadzoną w Bastionie. Słyszał słowa Borkena, z łatwością odgadł odpowiedzi. Słyszał też wartowników z południa meldujących się przez walkie-talkie. Wiedział o żołnierzach na moście, o Websterze i Johnsonie siedzących obok nich na końcu szeregu.

Zastanawiał się, kto jeszcze tam jest. Może więcej wojska, może FBI. Wojsko się nie zjawi, Johnson z pewnością rozkazał im siedzieć i czekać. Jeśli ktokolwiek przybędzie, to FBI. Reacher oceniał, że agentów może być całkiem sporo. Z pewnością wcześniej czy później wkroczą do akcji. Odciągną uwagę milicji, a on w tym czasie dotrze do Holly. Ruszył zatem na południowy wschód, by na nich zaczekać. Teraz, godzinę później, patrzył na niskiego, przysadzistego mężczyznę, wsadzanego do dżipa. Ciemny garnitur, biała koszula, miejskie buty. FBI, bez dwóch zdań.

Ale nie jednostka antyterrorystyczna. Nie miał ze sobą sprzętu. Jednostka antyterrorystyczna jest wyposażona niczym oddział paramilitarny. Reacher dobrze znał ich procedury, czytał podręczniki, słyszał o szkoleniu. Znał paru gości, którzy skończyli akademię w Quantico. Wiedział, jak działają antyterrorysty. Supersprzęt, najnowsza technika, wyglądali jak żołnierze, tyle że w niebieskich mundurach. Mieli własne pojazdy. Ten gość przybył pieszo przez las, ubrany jakby właśnie skończył naradę w biurze.

Zagadka, pomyślał Reacher. Ośmiu marines, brak jednostki antyterrorystycznej, nieuzbrojony ratowniczy chinook. I nagle wydało mu się, że rozumie. Może cała operacja była skromna i utajniona, dyskretna, niewidoczna? Podążyli tropem Holly z Chicago, lecz z jakichś przyczyn nie zebrali znaczących sił. Sami zajmowali się całą sprawą. Z powodów taktycznych bądź politycznych. Może miało to coś wspólnego z powiązaniem Holly z Białym Domem. Niewykluczone, że władze postanowiły załatwić całą sprawę po cichu. Szybko, z wykorzystaniem niewielkiej grupy ludzi -tak małej, że prawica nie wiedziała, co czyni lewica. Stąd nieuzbrojony helikopter ratowniczy. Przybył tu na ślepo, nie wiedział, w co się pakuje.

W takim wypadku schwytyany w pułapkę przybysz musiał przyjechać wprost z Chicago i stanowić część pierwotnej operacji, rozpoczętej jeszcze w poniedziałek. Starszy facet, koło pięćdziesiątki. Może to Brogan, szef sekcji Holly. Może nawet McGrath, szef tamtejszego biura. Tak czy inaczej oznaczałoby to, że kretem jest Milošević. Pytanie brzmi: czy on także jest tutaj, czy też pozostał w Chicago?

Dżip zawrócił wolno na drodze. Agent FBI w garniturze siedział z tyłu, wciśnięty pomiędzy dwóch uzbrojonych mężczyzn. Z nosa ciekła mu krew. Reacher widział początki opuchlizny. Borken obrócił się w fotelu i mówił coś do niego. Reszta oddziału zbierała się na drodze. Dżip wyminął ich, kierując się na północ w stronę miasta. Przejechał trzydzieści metrów od miejsca, w którym Reacher ukrywał się wśród drzew. Reacher odprowadził go wzrokiem. Odwrócił się, podniósł karabin. Zamyślony, pomaszerował naprzód.

Podstawowym problemem były priorytety. Miał zasadę: trzymaj się wyznaczonego zadania. Wyznaczone zadanie to bezpieczne uwolnienie Holly. Nic poza tym. Ale facetowi z Biura groziło niebezpieczeństwo. Pomyślał o Jackso-nie, ostatnim agencie, jakiego schwytali. Może tego czekał podobny los? W takim wypadku musiał interweniować. Poza tym gość spodobał mu się, wyglądał na twardziela -niski, ale silny, mnóstwo energii plus charyzma. Może przydałby mi się sojusznik, pomyślał Reacher Co dwie głowy, to nie jedna. Dwie pary rąk, cztery palce naciskające spusty. Mógłby się przydać. Ale zasada brzmiała: trzymać się Wyznaczonego zadania. W przeszłości wiele razy okazała się słuszna. Czy teraz powinien ją nagiąć, czy nie? Zatrzymał się i czekał ukryty w lesie, podczas gdy oddział nieprzyjaciół maszerował drogą. Słuchał oddalających się kroków. Stał tak, myśląc o przybytku. Wiedział, że musi podjąć trudną decyzję.

\* \* \*

Generał Garber także obserwował całe zdarzenie. Ukrywał się sto pięćdziesiąt metrów na południe od miejsca zasadzki, po zachodniej stronie drogi, za skałą, dokładnie trzysta metrów na południe od kryjówki Reachera. Odczekał trzy minuty, a potem podążył w ślad za McGrathem, na drugą stronę wąwozu. Garber także zachował sprawność, był jednak znacznie starszy i dotrzymanie McGrathowi kroku wiele go kosztowało. Dotarł do skały i padł na ziemię bez tchu, szacując, że ma przed sobą piętnaście, może dwadzieścia minut odpoczynku, nim dojdzie do spotkania. Następnie zamierzał ruszyć za trójką agentów i patrzeć, co się stanie. Nie chciał, by ktokolwiek podjął działania przeciwko Reacherowi.

Do spotkania jednakże nie doszło. Garber obserwował zasadzkę i zrozumiał, że popełniono wiele różnorodnych błędów.

\* \* \*

- Umrzesz - oznajmił Borken.

McGrath siedział wciśnięty pomiędzy dwóch żołnierzy na tylnym siedzeniu dżipa. Podskakiwał bezwładnie; droga była wyboista. Nie mógł nawet wzruszyć ramionami, bo brakowało miejsca. Wykrzywił tylko zranioną twarz.

- Wszyscy umrzemy - odparł. - Wcześniej czy później.

- Zgadza się, wcześniej czy później - przytaknął Borken. - Ale dla ciebie będzie to znacznie wcześniej.

Borken siedział obrócony w przednim fotelu. McGrath spojrzał ponad nim na rozległe błękitne niebo. Wpatrując się w małe białe obłoczki, myślał: kto to był? Kto wiedział? Pewnie ktoś z lotnictwa. Ale nie, to śmieszne. To musiał być ktoś bardziej zaangażowany w całą sprawę. Jedyni kandydaci to Johnson bądź jego adiutant, sam Webster, Brogan albo Milošević. Może też Garber; bardzo się upierał, próbując oczyścić Reachera. Czyżby chodziło o spisek żandarmerii wojskowej, mający na celu pozbycie się szefa połączonych sztabów?

- Kto to był, Borken? - spytał.

- O kogo pytasz, trupie?

- Kto cię informował?

Borken uśmiechnął się, popukał palcem w czoło.

- Wspólny cel - oznajmił. - Mamy po swojej stronie znacznie więcej ludzi, niż mógłbyś przypuszczać.

McGrath spojrzał w niebo. Pomyślał o Dexterze, bezpiecznym w Białym Domu. Co mówił Webster? Dwanaście milionów ludzi? Czy sześćdziesiąt sześć milionów?

- Umrzesz - powtórzył Borken.

McGrath powrócił myślami do bieżącej sytuacji.

- Więc powiedz mi, kto to był. Borken uśmiechnął się szeroko.

- Dowiesz się - rzekł. - Czekaj cię wielka niespodzianka.

Dżip zatrzymał się przed budynkiem sądu. McGrath obrócił głowę, spojrział na niego. Na trawniku stało sześciu żołnierzy, tworzyli łuk i spoglądali na południe oraz wschód.

- Ona tam jest? - spytał. Borken przytaknął z uśmiechem.

- W tej chwili owszem. Później może ją wyprowadzę. Krótkofalówka u jego pasa nagle ożyła - głośny wybuch

szumów, szybka, zniekształcona wiadomość. Borken nacisnął przycisk, pochylił głowę, nie odpinając radia, potwierdził odbiór informacji. Potem wyciągnął z kieszeni nadajnik, otworzył, wysunął krótką antenę. Nacisnął guzik.

- Webster? - powiedział. - Okłamałeś mnie, dwukrotnie. Po pierwsze, miałeś ze sobą trzech swoich agentów. Właśnie ich zgarnęliśmy.

Wysłuchał odpowiedzi, przyciskając radio do ucha. McGrath nie słyszał słów Webstera.

- Teraz to już nieważne - odparł Borken. - Nie wszyscy grali po twojej stronie. Niektórzy ludzie na tym świecie zrobią wiele dla forsy.

Zaczekał na odpowiedź. Najwyraźniej nie doczekał się.

- W dodatku mnie nabrałeś - podjął. - Wcale nie zamierzaliście naprawić linii, po prostu grałeś na zwłokę.

Webster zaczął coś mówić, lecz Borken mu przerwał.

- Ty i Johnson - stwierdził - możecie zejść z mostu. Żołnierze zostają. Obserwujemy was. Wróćcie z Johnsonem do ciężarówek, usiądźcie przed telewizorami. Wkrótce zobaczycie coś ciekawego.

Wyłączył radio, złożył i wsunął do kieszeni. Jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Umrzesz - powiedział po raz trzeci do McGratha.

- Który z nich? - spytał McGrath. - Brogan czy Milošević? Borken się uśmiechnął.

- Zgadnij. Sam się domyśl. Jesteś przecież wielkim detektywem federalnym, szefem agentów. Zgadza się?

Kierowca wyskoczył z samochodu, wyciągnął pistolet z kabury, wycelował oburącz w głowę McGratha. Strażnik po lewej także wysiadł, zdjął z ramienia karabin i trzymał go w gotowości. Podobnie ten z prawej. Borken dźwignął z fotela masywne cielsko.

- Wysiadaj - polecił. - Dalej pójdziemy pieszo. McGrath wzruszył ramionami i zeskoczył na ziemię,

w sam środek kręgu broni. Borken stanął za nim, chwycił go za ręce. Skuł mu je za plecami. Potem pchnął go naprzód, wskazując teren poza zrujnowanym budynkiem rady miejskiej.

- Na górę, trupie - rzucił.

Zostawili dżipa zaparkowanego obok sądu. Dwaj strażnicy zajęli pozycje. McGrath, potykając się, przeszedł przez jezdnię i wspinał się na pagórek. Poprowadzono go wokół uschniętego drzewa i dalej do ścieżki. Okrążyli stary budynek. Przez cienkie podeszwy zniszczonych miejskich butów wyczuwał każdą nierówność powierzchni. Równie dobrze mógł iść boso.

- Szybciej, dupku - warknął Borken.

Strażnicy szli tuż za nim, popychając go lufami karabinów. McGrath przyspieszył kroku. Szedł naprzód, czuł krew zasychającą na wardze i nosie. Po półtora kilometra dotarli na polanę. McGrath rozpoznał ją ze zdjęć lotniczych. Teraz wydawała się większa. Z wysokości jedenastu kilometrów przypominała maleńką wyrwę wśród drzew, ozdobioną kręgiem budynków. Z ziemi dorównywała rozmiarami stadionowi. Polanę wysypano skalnym łupkiem. Wokół stały wielkie drewniane chaty wsparte fachowo na solidnych filarach.

- Zaczekaj tutaj - polecił Borken.

Odszedł. Dwaj strażnicy zajęli miejsca po obu stronach McGratha, który rozglądał się wokół. Ujrzał chatę łączności, antenę na dachu, drut telefoniczny. Przyglądał się innym budynkom.



Wyczuł dobiegającą z największego woń starego stołówkowego jedzenia. Skoncentrował wzrok na najdalszej chacie, stojącej samotnie. Pewnie to zbrojownia, pomyślał.

Uniósł wzrok i ujrzał ślady pary na niebie. Białe szlaki na niebieskim tle podkreślały wagę sytuacji. Samoloty zaniechały z pozoru niewinnych lotów ze wschodu na zachód, zataczały teraz ciągle kręgi, jeden wewnątrz drugiego. Latały dookoła, jednaście kilometrów nad jego głową. Podniósł ją i bezdźwięcznie wymówił: pomocy. Zastanawiał się, czy mają dość czułe obiektywy, by to wychwycić. Czy Webster, Johnson, Garber bądź przydupas Johnsona potrafi czytać z ruchu warg. Podejrzewał, że odpowiedzi na te pytania

brzmiały kolejno: tak i nie.

\* \*

Reacher miał poważny problem. O ironio, po raz pierwszy w życiu żałował, że jego przeciwnicy nie są lepszymi strzelcami. Ukrywał się wśród drzew, sto metrów na północny zachód od budynku sądu. Patrzył w dół na sześciu wartowników, ustawionych w łuk, twarzami na południe i wschód, za wielkim białym budynkiem. Celował do najbliższego z nich, ale nie strzelał. Bo gdyby to zrobił, sześciu strażników odpowiedziałoby ogniem i chybiło.

Bardzo odpowiadał mu M-16 i dystans stu metrów. Mógł zagwarantować, że z tej broni na taką odległość trafi, w co tylko zechce. Położyłby na szalę swoje życie. W istocie wiele razy właśnie to czynił. I zazwyczaj im gorszymi strzelcami byli jego przeciwnicy, tym bardziej się cieszył. Lecz nie w tej sytuacji.

Strzelałby do nich z północnego zachodu, przeciwnicy odpowiedzieliby ogniem z południowego wschodu. Usłyszeli by jego strzały, może dostrzegliby błysk, wycelowaliby i zaczęli strzelać. I spudłowałiby. Strzelaliby wszędzie naokoło, świadczyły o tym wyraźnie tarcze na strzelnicy. Widział tam ślady całkiem niezłych strzałów z odległości trzystu i czterystu metrów, lecz wiedział z doświadczenia, że ludzie radzący sobie nieźle na strzelnicy zupełnie nie potrafią strzelać w warunkach bojowych. Nieruchome celowanie do tarczy to jedno, strzelanie pośród gradu pocisków to zupełnie inna sprawa. Całkiem inna. Dowiódł tego mężczyzna broniący ciężarówek z raketami. Jego salwy trafiały wszędzie naokoło. Na tym właśnie polegał problem. Strażnicy odpowiadający ogniem z południowego wschodu zasypią pociskami całą okolicę; pociski będą padały wyżej i niżej, na lewo i na prawo. Na lewo i niżej nie będą stanowiły problemu. Uszkodzą jedynie drzewa i krzaki. Ale te skierowane wyżej i w prawo trafiłyby w budynek sądu.

M-16 wykorzystuje pociski M-855, zwykłą amunicję natowską, 5,56 mm, dość ciężkie jak na ten rozmiar. Pociski stanowią przekładaniec ołowiu i stali wewnątrz miedzianego płaszcza. Zaprojektowano je tak, by były zdolne przebić większość przeszkód. Te, które trafiłyby w budynek, uderzyłyby o drewno z prędkością trzech i pół tysiąca kilometrów na godzinę. I przebiłyby stare deski, jakby w ogóle ich tam nie było. A gdyby dotarły do niestabilnego dynamitu... Energia uderzenia zadziałałaby jak najlepszy zapalnik świata. Do tego właśnie przeznaczono te pociski. Jakiś komitet zażądał kul zdolnych przebić karoserię ciężarówek z amunicją. Producenci posłuchali.

Zatem Reacher nie strzelał. Przy trzech wartownikach mógłby zaryzykować. Oceniał, że zdołałby oddać trzy celne strzały w ciągu trzech sekund. Za szybko na jakąkolwiek reakcję. Ale sześciu to zbyt wielu. Byli za bardzo rozrzucony, kolejne strzały wymagały wiele ruchu. Ostatni zdążyłby zareagować. Nie mieliby jednak wiele czasu, nie dość, by wycelować. W tym właśnie problem.

Odwrócenie geometrii także nic by nie dało. Mógł okrążyć budynek i podkraść się od południa. Przeprawa przez las i wyjście z przeciwnej strony zabrałyby mu jakieś dwadzieścia minut. Ale co wtedy? Widziałby swoje cele z dołu, a tuż za nimi budynek sądu. Bez problemów mógłby trafić każdego w głowę, ale kule nie zatrzymują się w powietrzu. Pociski w miedzianych płaszczech przebiłyby czaszki strażników i podążyły dalej swym kursem, w górę, wprost w stronę pierwszego piętra sądu. Reacher pokręcił głową i opuścił

broń.

\* \* \*

McGrath ujrzał Borkena naradzającego się z kimś na skraju polany. Był to dowódca oddziału, który urządził zasadzkę, ten sam, który odebrał mu broń i magazynek, i uderzył go w twarz. Obaj zerkali na zegarki i spoglądali w niebo. Kiwali głowami. Borken klepnął rozmówcę w ramię i odwrócił się. Zniknął między drzewami, kierując się w stronę miasta. Dowódca zbliżył się do McGratha, uśmiechał się. Zdjął z ramienia karabin.

- Zaczynamy zabawę! - krzyknął.

Podszedł bliżej, odwracając w rękach broń. Z całej siły zamachnął się kolbą, uderzając McGratha w brzuch. McGrath runął na ziemię. Jeden ze strażników wepchnął mu lufę do gardła, drugi wbił broń w brzuch, dokładnie w miejsce, w które trafił cios.

- Nie ruszaj się, dupku - polecił dowódca. - Zaraz wracam. McGrath nie mógł poruszyć głową, uniemożliwiła to

lufa w gardle, odprowadził go zatem wzrokiem. Mężczyzna zmierzał do przedostatniej chaty - nie stojącej samotnie zbrojowni, zapewne magazynu. Po chwili pojawił się, w rękę trzymał młotek, liny i cztery metalowe przedmioty, ciemnozielone, wojskowe. Gdy się zbliżył, McGrath je rozpoznał - śledzie namiotów. Ponad czterdzieści centymetrów, przeznaczone do podtrzymania wielkich namiotów wojskowych.

Dowódca rzucił wszystko na ziemię. Metal zadźwięczał, uderzając w łupek. Tamten skinął głową na żołnierza celującego w brzuch McGratha. Wartownik wyprostował się i cofnął. Jego miejsce zajął dowódca, przytrzymując McGratha własną bronią.

Żołnierz tymczasem zabrał się do roboty. Dokładnie znał swoje zadanie. Zamachnął się młotkiem, wbijając w ziemię pierwszy kołek. Grunt był kamienisty, wykonanie polecenia wymagało wiele pracy. Strażnik, wkładając całą siłę ręki, walił młotkiem, póki kołek nie zagłębił się na dwie trzecie w ziemi. Później przeszedł dwa i pół metra i zaczął wbijać kolejny. McGrath nie odrywał od niego wzroku. Umocowawszy drugi kołek, strażnik skrzył pod kątem prostym, przeszedł kolejne dwa i pół metra, i wbił trzeci kołek. Potem czwarty, tworząc idealny kwadrat o boku długości dwóch i pół metra. McGrath bez trudu domyślił się, do czego ma służyć.

- Zwykle robimy to w lesie - oznajmił dowódca. - i pionowo, między drzewami.

Uniósł rękę, wskazując niebo.

- Ale chcemy, żeby widzieli - dodał. - W lesie nic nie zobaczą. O tej porze roku wszystko zasłaniają liście.

: Strażnik, który wbił kołki, dyszał z wysiłku. Ponownie zamienił się miejscami z dowódcą. Wcisnął lufę karabinu w brzuch McGratha i oparł się na niej, odzyskując siły. McGrath jęknął i poruszył się, czując nagły ból. Dowódca przykucnął, zaczął grzebać wśród lin. Odplątał jedną. Chwył McGratha za kostkę, owinał ją liną i związał, mocno ,, zaciskając węzeł. Ciągnąc za nią, zawłókł McGratha na środek kwadratu. Następnie przywiązał luźny koniec liny do czwartego kołka. Szarpnął, sprawdzając węzeł. Drugim kawałkiem liny oplótł drugą kostkę McGratha oraz trzeci kołek. McGrath leżał z nogami rozłożonymi pod kątem prostym. Ręce wciąż miał skute za plecami, przyciśnięte do kamienistej ziemi. Dowódca obrócił go nogą, przykucnął, rozpiął kajdanki. Chwył McGratha za rękę i obwiązał mu przegub. Zacisnął linę i pociągnął ] w stronę drugiego kołka. Po chwili ręka McGratha leżała wyciągnięta do granic możliwości w jednej linii z przeciwległą nogą. Dowódca przywiązał linę do kołka. Sięgnął po drugą rękę agenta. Żołnierze mocniej napaarli na karabiny. McGrath uniósł wzrok ku białym szlakom na niebie. Jęknął z bólu, gdy tamten szarpnął go mocno, przywiązując ostatni sznur. Leżał teraz rozciągnięty na ziemi, tworząc krzyż.

Dwaj żołnierze cofnęli karabiny i odstępili, stając obok dowódcy. Patrzyli w dół. McGrath uniósł głowę i rozejrzał się wokół w panice. Szarpnął liny, uświadomił sobie jednak, że jedynie mocniej zaciąga węzły. Trzej mężczyźni cofnęli się dalej, zerkając w niebo. Zrozumiał, iż upewniają się, sprawdzają, czy kamery na pewno dobrze go widzą.

\* \* \*

Kamery widziały go dobrze. Jedenaście kilometrów wyżej piloci zataczali ciasne kręgi na niebie,

jeden w promieniu kilku kilometrów, drugi niewiele dalej, szerszy. Sterowane komputerami kamery cały czas celowały w ziemię. Wewnętrzny samolot skupiał się na polanie, na której leżał rozkrzyżowany McGrath. Zewnętrzna maszyna filmowała cały teren, od budynku sądu na południu po opuszczone kopalnie na północy. Nadajniki na bieżąco przesyłały sygnał wideo w dół, do anteny na ciężarówce zaparkowanej obok centrum dowodzenia. Antena zbierała strumień danych i przesyłała go grubym, zbrojonym kablem do ciężarówki obserwacyjnej. Tamtejsze komputery rozkodowywały sygnał i przekazywały obraz na wielkie, kolorowe monitory. Błyszczące ekrany pokazywały straszną prawdę. Generał Johnson, jego adiutant i Webster siedzieli przed nimi bez ruchu, w milczeniu, zapatrzeni. Magnetowidy szumiały, beznamietnie rejestrując każdą sekundę tego, co działo się dziesięć kilometrów dalej. W ciężarówce panowała grobowa cisza, zakłócana jedynie nieustannym pomrukiem sprzętu.

- Może pan skupić obraz na McGrathie? - spytał Webster.

Adiutant generała przekręcił czarne, gumowe pokrętło, wpatrując się w ekran. Powiększył obraz, aż na ekranie pojawiły się pojedyncze piksele. Następnie cofnął.

- Blżej się nie da - oznajmił.

Było jednak dostatecznie blisko. Rozkrzyżowana postać McGratha wypełniała ekran. Z boku, dokładnie z góry widać było dowódcę grupy, przekraczającego kolejne liny, krążącego dookoła. W rękę trzymał nóż, czarna rękojeść, lśniącą klinga długa na jakieś ćwierć metra. Wyglądał jak wielki nóż kuchenny. Narzędzie wytrawnego kucharza, świetnie nadające się do pocięcia twardego steku na kawałki. Idealny do przyrządzenia gulaszu bądź strogonowa.

Ujrzeni, jak mężczyzna kładzie nóż płasko na piersi agenta. Następnie oburącz rozchyła połę marynarki, rozluźnia mu krawat i przekręca niemal pod ucho. Potem chwyta koszulę i rozdzierają. Bawełna rozstąpiła się pod nożem, który dotknął nagiej skóry. Dowódca wyciągnął koszulę zza paska i poupychał po bokach. Ostrożnie, starannie, niczym chirurg szykujący się do trudnej operacji.

Zobaczyli, jak znów podnosi nóż. Kucnął teraz po prawej stronie McGratha, lekko nachylony z nożem w dłoni. Trzymał go ostrzem w dół, tuż przy brzuchu ofiary. Elektroniczny róż nagiej skóry odbijał się na twarzach widzów wewnątrz ciężarówki obserwacyjnej.

Ujrzeni, jak tamten odrobinę podnosi nóż. Jego palec wskazujący przesunął się po tępej krawędzi klingi, jakby dla lepszego uchwytu. A potem ostrze opadło. Jasne promienie słońca załśniły w błyszczącej stali. Nagle coś przesłoniło im widok. Obłok różowej mgiełki zakrył wszystko. Kiedy się rozwiął, nóż nadal tkwił w ręce mężczyzny, sam mężczyzna jednak nie miał głowy. W jej miejscu pozostała ziejąca różowa rana. Trup powoli osunął się na bok.

42

Wartownik z lewej strony także zginął szybko. Reacher strzelił mu w bok głowy, tuż nad uchem i żołnierz upadł ciężko wprost na skępowanego agenta. Lecz ten z prawej strony zareagował. Odwrócił się gwałtownie i przeskoczył nad napiętymi linami, pędząc w stronę drzew. Reacher odczekał ułamek sekundy i wystrzelił z odległości kilku metrów. Mężczyzna runął na ziemię i prześliznął się z rozpędu hałaśliwie po łupku, wzbijając w powietrze tuman pyłu. Zadrzał i umarł.

Reacher znieruchomiał. Ostatnie urywane echo trzech strzałów powróciło odbite od najdalszych gór i rozpląnęło się w ciszy. Obserwował drzewa wokół Bastionu w poszukiwaniu śladów ruchu. Słońce świeciło jasno, zbyt jasno, by mógł być pewien. Zalana jego promieniami polana za bardzo kontrastowała z mrokiem lasu. Toteż czekał.

W końcu wynurzył się z chaty radiowej i rzucił naprzód rozpaczliwym biegiem. Popędził wprost przez polanę na jej środek. Szarpnięciem odrzucił trupy. Strażnik leżał dokładnie na agencie, dowódca na jego nogach. Reacher odsunął ich na bok, znalazł nóż. Przeciął cztery szorstkie liny, szarpnięciem postawił więźnia do pionu i pchnął w stronę, z której przybył. Chwył dwa najbliższe karabiny, pobiegł za nim, doganiając go w pół drogi. Tamten, chwając się, szedł

naprzód, toteż Reacher złapał do pod pachy i pociągnął w bezpieczne miejsce. Wrzucił między drzewa za chatami i stanął pochylony, dysząc. Następnie wyjął magazynki z nowych karabinów. Jeden wsunął do kieszeni, drugi - we własną broń. Oba były przedłużone i mieściły trzydzieści pocisków. Jeszcze przed chwilą miał sześć kul, teraz sześćdziesiąt. Dziesięć razy więcej i parę rąk do pomocy.

- Jesteś Brogan? - spytał. - Czy McGrath?

Agent odpowiedział sztywno, neutralnie. Na jego twarzy odbijały się strach, panika i zamęt.

- McGrath. FBI.

Reacher przytaknął. Gość był wstrząśnięty, ale mimo wszystko to sojusznik. Wyjął z kieszeni należącego do Fowlera glocka i wręczył mu go kolbą naprzód. McGrath dyszał cicho i patrzył dzikim wzrokiem w głąb lasu. Jego postawa zdradzała agresję, dłonie zwijały się w pięści.

- O co chodzi? - spytał zaskoczony Reacher. McGrath śmignął naprzód, chwycił glocka i cofnął się. Podniósł broń, przyjął postawę strzelecką i wycelował oburącz w głowę Reachera. Odcięte kawałki lin kołysały mu się u nadgarstków. Reacher patrzył na niego nic nie pojmującym wzrokiem.

- Co ty, do diabła, robisz? - rzucił.

- Jesteś jednym z nich - warknął McGrath. - Rzuć karabin. Okay?

-Co?

- Po prostu to zrób.

Reacher patrzył na niego z niedowierzaniem. Wskazał za siebie, na rozrzucone trupy pośrodku Bastionu.

- A tamto? - spytał. - To dla ciebie nic nie znaczy? Glock nawet nie drgnął, tkwił nieruchomo, celując

wprost w głowę Reachera. Idealna pozycja strzelecka.

McGrath wyglądał jak ilustracja z podręcznika. Doskonały obraz psuły jedynie kawałki lin, zwisające z przegubów i kostek.

- Czy to się w ogóle nie liczy? - naciskał Reacher.

- Niekoniecznie - burknął McGrath. - Petera Bella też zabiłeś, wiemy o tym. Fakt, że nie pozwalasz swoim ludziom gwałcić i torturować zakładników, nie oznacza, że grasz po naszej stronie.

Reacher długą chwilę patrzył na niego zdumiony. Zastanawiał się gorączkowo. W końcu ostrożnie skinął głową i odrzucił karabin dokładnie pomiędzy nich. Gdyby upuścił go u swych stóp, McGrath kazałby mu kopnąć broń. Za blisko McGratha - też niedobrze. Miał do czynienia z doświadczonym agentem. Oczekiwał po nim przynajmniej odrobiny fachowości.

McGrath zerknął na ziemię. Zawahał się. Wyraźnie nie chciał, by Reacher się do niego zbliżył. Nie chciał, by podszedł i przysunął mu karabin. Wysunął zatem naprzód stopę, aby przyciągnąć do siebie broń. Był w sumie jakieś ćwierć metra niższy od Reachera, celował mu w głowę z odległości niecałych dwóch metrów, w górę, pod dość ostrym kątem. W tej pozycji znalazł się jeszcze niżej o parę centymetrów, co automatycznie zwiększyło kąt uniesienia rąk. Stopniowo zbliżał się do Reachera, cały czas powiększając kąt celowania. Gdy palcem u nogi dotknął karabinu, ręce miał na poziomie twarzy, zasłaniały mu widok. Reacher czekał, by agent znów na niego spojrział.

McGrath zerknął w dół. Reacher ugiął kolana i padł pionowo na ziemię. Jego ręka wystrzeliła naprzód, odpychając na bok glocka. Drugą zatoczył szeroki łuk za kolana McGratha i powalił go na plecy. Zacisnął dłoń na przegubie agenta, naciskając łagodnie, póki glock nie wysunął się spomiędzy

odrętwiających palców. Podniósł go za lufę i uniósł niewłaściwym końcem naprzód.

- Popatrz - rzekł.

Podwinął mankiet, odsłaniając krwawą, pokrytą strupami pręgę na lewym nadgarstku.

- Nie jestem jednym z nich. Przez większość czasu byłem skuty.

Wysunął glocka kolbą naprzód, podając go McGrathowi, który przez chwilę patrzył bez słowa, potem odwrócił się, zlustrował polanę. Przechylił głowę w prawo i w lewo, mierząc wzrokiem trupy. W końcu oszołomiony spojrział na Reachera.

- Uznaliśmy cię za jednego z nich - powiedział. Reacher przytaknął.

- Najwyraźniej. Ale dlaczego?

• - Kamera w pralni chemicznej - wyjaśnił McGrath. - Wyglądało, jakbyś porwał Holly. Reacher pokręcił głową.

- Byłem niewinnym przechodniem.

McGrath nadal przyglądał mu się z napięciem. W jego wzroku kryło się pytanie. W końcu Reacher dostrzegł, że

i tamten podjął decyzję. Skinął głową, przyjął glocka i położył na ściółce dokładnie między nimi, jakby broń stanowiła symbol rozejmu. Zaczął majstrować przy guzikach. Odciał

; kawałki liny dyndające z przegubów i kostek.

- No dobra, możemy zacząć jeszcze raz od początku? - poprosił zawstydzony.

; Reacher skinął głową i wyciągnął rękę.

- Jasne - rzekł. - Jestem Reacher, a ty McGrath, szef Holly. Miło mi cię poznać.

McGrath uśmiechnął się ze smutkiem i słabo uściśnął mu dłoń. Potem zaczął jedną ręką majstrować przy węzłach na / nadgarstkach.

- Znasz faceta nazwiskiem Garber? - spytał. Reacher przytaknął.

- Kiedyś dla niego pracowałem.

- Garber mówił nam, że jesteś czysty. Nie wierzyliśmy mu.

- Naturalnie. - Reacher się uśmiechnął. - Garber zawsze mówi prawdę, toteż nikt nigdy mu nie wierzy.

- Przepraszam - powiedział McGrath. - Przykro mi, okay. Ale spróbuj spojrzeć na to z mojej strony. Od pięciu dni byłeś wrogiem publicznym numer jeden.

Reacher machnął lekceważąco ręką. Wstał i pomógł McGrathowi dźwignąć się na nogi. Schylił się, podniósł glocka i wręczył go agentowi.

- Jak twój nos? - zagadnął.

McGrath wsunął pistolet do kieszeni marynarki. Delikatnie dotknął nosa i skrzywił się.

- Ale mnie sukinyś wałnął. Chyba jest złamany. Po prostu odwrócił się i przywalił mi, jakby nie mógł się doczekać.

Z lasu, daleko po lewej dobiegł jakiś dźwięk. Reacher chwycił McGratha pod ramię i pociągnął głębiej między drzewa. Przecisnęli się przez krzaki i zatrzymali, popatrzeli na wschód. Reacher stał w milczeniu, nasłuchując. McGrath zdejmował kawałki sznurów z kostek i zbierał siły, by zadać pytanie.

- Czy z Holly wszystko w porządku? - spytał w końcu. Reacher przytaknął z ponurą miną.

- Jak dotąd. Ale wydostanie jej to prawdziwy problem.

- Wiem o dynamicie - wtrącił McGrath. - To była ostatnia rzecz, jaką zgłosił Jackson w poniedziałek wieczorem.

- To jest właśnie problem - powtórzył Reacher. - Jeden zbłąkany pocisk i koniec. A w okolicy kręci się setka

ludzi z bronią. Cokolwiek zrobimy, musimy działać ostrożnie. Spodziewasz się wsparcia oddziałów antyterrorystycznych?

McGrath pokręcił głową.

- Jeszcze nie - rzekł. - Polityka.

- Może i dobrze - mruknął Reacher. - Tutejsi wspominali, że jeśli sytuacja się pogorszy, mogą popełnić zbiorowe samobójstwo. Żyj wolno albo umrzyj. Słyszałeś?

- Jak sobie chcą - rzucił McGrath. - Ich wybór. Oni mnie nie obchodzą, interesuje mnie wyłącznie Holly.

Umilkli, przekradając się razem przez drzewa. Przystanęli ponownie, głęboko w lesie, mniej więcej na poziomie kantyny. Teraz Reacher chciał zadać pytanie. Zaczekał jednak, tylko unióś palec do ust. Z lewej strony dobiegał hałas - patrol przeczesywał skraj lasu. McGrath chciał ruszyć naprzód,

lecz Reacher chwycił go za rękę i zatrzymał. Lepiej stać nieruchomo, niż ryzykować, że sami także narobią hałasu. Patrol się zbliżył. Reacher uniósł karabin, przełączył na ogień ciągły. Stłumił szcęk przełącznika dłonią. McGrath wstrzymał oddech. Widzieli już tamtych trzy metry dalej wśród drzew. Sześciu ludzi, sześć karabinów. Podczas marszu rytmicznie rozglądali się na boki. W lewo i w prawo, w lewo i w prawo, na skraj słonecznej polany i w zielony mrok lasu. Reacher powoli wypuścił powietrze z płuc. Amatorzy, kiepsko wyszkoleni i marni taktycznie. Jaskrawe słońce, świecące co sekunda w oczy całkowicie niweczyło jakiegokolwiek szansę przeniknięcia leśnego mroku. Byli ślepi. Minęli ich, nie zwalniając kroku. Reacher odczekał, póki się nie oddalili, i odwrócił się do McGratha.

- A co z Broganem i Miloševiczem? - wyszeptał. McGrath z grobową miną skinął głową.  
- Już o nich wiem - odparł cicho. - Jednego z nich kupili. W końcu się tego domyśliłem. Pół sekundy przedtem, nim mnie złapali.

- Gdzie oni są?

- Gdzieś tam - machnął ręką. - Razem przeszliśmy przez wąwóz, co półtora kilometra.

- Który z nich? - dopytywał się Reacher. McGrath wzruszył ramionami.

- Nie wiem - przyznał. - Nie potrafię zgadnąć. Cały czas o tym myślę. Obaj odwalili kawał dobrej roboty. Milošević znalazł pralnię chemiczną, przyniósł kasetę. Brogan wysledził ciężarówkę aż do Montany. Znalazł ją. Był naszym łącznikiem z Quantico. Instynkt podpowiada mi, że to żaden z nich.

- Kiedy mnie zidentyfikowaliście? - spytał Reacher.

- W czwartek rano. Dostaliśmy całą twoją historię służby. Reacher skinął głową.

- Natychmiast ich powiadomił. W czwartek rano nagle odkryli, kim jestem.

McGrath ponownie wzruszył ramionami.

- Obaj tam byli - rzekł. - Ze mną, w Peterson.

- Dostaliście faks Holly? - spytał Reacher.

- Jaki faks? Kiedy?

- Dziś rano. Wcześniej, jakieś za dziesięć piąta. Przesłała wam faksem ostrzeżenie.

- Przecieliśmy linię telefoniczną i przechwytywaliśmy wiadomości w ciężarówce na drodze. Ale za dziesięć piąta leżałem w łóżku.

- Kto pilnował interesu? McGrath skinął głową.

- Milošević i Brogan - stwierdził kwaśno. - Obydwaj. Za dziesięć piąta właśnie objęli służbę. Którykolwiek to

był, musiał zobaczyć faks i ukryć go. Ale który, nie mam pojęcia.

Reacher przytaknął z namysłem.

- W końcu to ustalimy. Albo po prostu zobaczymy. Jeden z nich będzie chodzić swobodnie, jak przyjaciel. Drugi pozostanie skuty bądź martwy. Z łatwością ich odróżnimy.

McGrath z ponurą miną skinął głową.

- Nie mogę się już doczekać.

Nagle Reacher zeszywniał i pociągnął go dziesięć metrów głębiej w las. Usłyszał patrol powracający wśród drzew.

\* \* \*

Siedzący w budynku sądu Borken usłyszał trzy strzały. Wyraźnie dobiegły do jego uszu. Zasiadał akurat w fotelu sędziowskim, gdy... Trzask, trzask... trzask, następnie powtórzone dziesiątki razy, gdy każde z odległych zboczy odbiło falę dźwiękową w jego stronę. Posłał biegacza do Bastionu - półtora kilometra w jedną stronę, półtora kilometra w drugą, krętą ścieżką przez las. Zmarnowanych dwadzieścia minut. W końcu goniec zjawił się zdyszany, przynosząc wieści. Trzy trupy, cztery przecięte liny.

- Reacher - mruknął Borken. - Powinienem być załatwić go od razu.

Milošević przytaknął zdecydowanie.

- Trzymajcie go z dala ode mnie - rzucił. - Czytałem raport z sekcji twojego kumpla Petera Bella.

Chcę forszę i zmywam się stąd jak najszybciej. Okay?

Borken potwierdził, potem zaśmiał się krótko, nerwowo, z podnieceniem i napięciem. Wstał, wyszedł zza ławy, ze śmiechem klepnął Miloševicza w ramię.

\* \* \*

Holly Johnson nie znała się na dynamicie, nie pamiętała jego składu chemicznego. Wiedziała, że jest w nim azotan

amonowy i nitroceluloza. Zastanawiała się, czy także nitrogliceryna. Ona też wchodziła w jego skład czy zastąpił ją inny środek wybuchowy? Tak czy inaczej Holly przypuszczała, że dynamit to lepka, gęsta ciecz wlewana we wsiąkliwy materiał, z którego następnie formowano laski. Ciężkie, masywne laski. Jeśli ściany jej pokoju wypełniono ciężkimi, masywnymi laskami, to pochłaniały większość odgłosów niczym dźwiękoszczelna ścianka w mieszkaniu. Co oznaczało, że strzały musiały pochodzić z bliska.

Usłyszała je: trzask, trzask... trzask. Nie wiedziała jednak, kto strzela, do kogo, dlaczego. Nie były to strzały z pistoletu. Dobrze znała ich odgłos z Quantico. Pochodziły z długiej broni. Nie z wielkich karabinów Barrett, znanych ze strzelnicy, z czegoś lżejszego. Ktoś strzelał z broni średniokalibrowej, trzy razy, albo trzy osoby strzeliły niemal jednocześnie. Lecz ktokolwiek to był, coś się działo. Musiała być przygotowana na wszystko.

\* \* \*

Garber także usłyszał strzały. Trzask, trzask... trzask. Jakies tysiąc metrów na północny zachód od niego, może tysiąc dwieście. Następnie dziesiątki ech powracających falą pomiędzy gór. Nie wątpił, co oznaczały strzały. M-16, ogień pojedynczy, pierwsza para bardzo blisko. Wojskowi nazywają to dwutaktem. Fachowy strzelec. Chodzi o to, by wystrzelić drugi pocisk, nim pierwszy uderzy w cel. Potem trzeci cel albo może strzał ubezpieczający drugi. Rytm, którego nie da się pomylić z niczym innym. To coś jak podpis, dźwiękowy podpis kogoś, kto ma za sobą setki godzin szkolenia. Garber pokiwał głową i ruszył naprzód wśród drzew.

- To musi być Brogan - szepnął Reacher.

McGrath spojrział na niego ze zdumieniem.

- Dlaczego Brogan?

Siedzieli w kucki pod sąsiadującymi pniami, trzydzieści metrów w głębi lasu. Niewidoczni. Patrol raz jeszcze przeszedł obok, nie dostrzegając ich. McGrath opowiedział mu wszystko, najważniejsze elementy śledztwa, jak zawodowiec zawodowcowi, posługując się fachowymi skrótami myślowymi. Reacher zadawał przenikliwe pytania, McGrath udzielał krótkich odpowiedzi.

- Czas i odległość - wyjaśnił Reacher. - To kluczowe elementy. Spójrz na to z ich punktu widzenia. Wsadzili nas do ciężarówki i powieźli wprost do Montany. Ile to jest? Trzy tysiące kilometrów, trzy tysiące dwieście?

- Mniej więcej - przyznał McGrath.

- A Brogan nie jest głupi - ciągnął Reacher. - Wie też, że ty nie jesteś głupi. Wie, że zdajesz sobie sprawę, iż nie jest durniem. Nie może całkiem zawalić sprawy. Mógł jednak sprawić, żebyście zostali tak bardzo z tyłu, że nie stanowilibyście problemu. I tak właśnie postąpił. Sterował przepływem informacji, zgadza się? Łączność musi być dwustronna. Już w poniedziałek wiedział, że wynajęli ciężarówkę, ale aż do środy skupiał waszą uwagę na skradzionych wozach. Mam rację? Mnóstwo czasu zmarnował na niewypał w Arizonie. I w końcu dokonał wielkiego odkrycia. Znalazł wypożyczalnię i błoto. Wielki bohater. W rzeczywistości jednak tylko was opóźnił. Dał im dość czasu, by bezpiecznie dowieźli nas tutaj.

- No, ale przecież w końcu nas tu doprowadził - nie zgodził się McGrath. - Jasne, dużo później, ale mimo wszystko.

- Dla niego żadna strata - wyjaśnił Reacher. - Borken nie mógł się doczekać, by powiedzieć wam, gdzie jest Holly,

gdy tylko umieścił ją tu bezpiecznie. Cel ich podróży nie miał wcale pozostać tajemnicą. O to

właśnie chodziło. Holly miała was powstrzymać przed atakiem. W tym celu musieli właśnie powiedzieć, gdzie jest.

McGrath mruknął. Zastanawiał się chwilę, wciąż nie wydawał się przekonany.

- Przekupili go - ciągnął Reacher. - Lepiej w to uwierz. Mają mnóstwo środków, McGrath. Dwadzieścia milionów dolarów w skradzionych obligacjach na okaziciela.

- Napad na samochód pancerny? - spytał McGrath. - Gdzieś w północnej Kalifornii. To ich sprawka?

- Przechwalają się tym.

McGrath uporządkował w głowie wszystkie informacje. Zbladł. Reacher dostrzegł to i przytaknął.

- No właśnie - rzekł. - Niech zgadnę. Broganowi nigdy nie brakowało pieniędzy, zgadza się? Nigdy nie narzekał na pensję.

- Cholera - mruknął McGrath. - Co miesiąc podwójne alimenty, dziewczyna, jedwabne marynarki. A ja nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Po prostu cieszyłem się, że nie marudzi.

- W tej chwili odbiera następną ratę - uzupełnił Reacher. - A Milošević nie żyje albo siedzi gdzieś zamknięty.

McGrath powoli skinął głową.

- I Brogan, zanim przeniósł się do mnie, pracował w Kalifornii. Cholera, nigdy o tym nie pomyślałem. Stawiam dziesięć do jednego, że to właśnie on zajmował się Borkenem. Mówił, że w Sacramento nie zdołali sklecić aktu oskarżenia, że w aktach nie wyjaśniają dlaczego. Oto dlaczego: Borken dawał mu forszę garściami, a Brogan miał dopilnować, żeby go nie oskarżyli. I sukinsyn to zrobił.

Reacher przytaknął, milczał.

- Cholera - powtórzył McGrath. - Szlag by to, szlag, szlag, szlag. Moja wina.

Reacher nadal się nie odzywał. Uznał, że taktownie będzie zachować milczenie. Doskonale rozumiał, co czuje McGrath, znał to. W przeszłości od czasu do czasu czuł coś podobnego. Ostrze noża wbijanego między łopatki.

- Zajmę się Broganem później - oznajmił w końcu McGrath. - Kiedy uwolnimy Holly. Mówiła coś o mnie? Wie,

że po nią przyjdę? Wspominała o tym? Reacher przytaknął.

- Mówiła, że ufa swoim ludziom - rzekł.

43

Po raz pierwszy od dwudziestu lat generał Garber zabił człowieka. Nie zamierzał tego robić, chciał jedynie ogłuszyć go i odebrać mu broń, to wszystko. Człowiek ów należał do wewnętrznej warty, rozstawionej dość chaotycznie w linii sto metrów na południe od budynku sądu. Garber skradał się po lesie i kolejno wyszukiwał wartowników. Stali w odległości czterdziestu, pięćdziesięciu metrów od siebie, dwóch na poboczach drogi, reszta w lesie. -

Garber wybrał najbliższego w prostej linii łączącej go z wielkim białym budynkiem. Musiał się go pozbyć, potrzebował bezpośredniego dostępu do sądu, a także broni. Wybrał go i powoli podkraśli się bliżej. Podniósł z wilgotnej leśnej ziemi kamień wielkości pięści. Zaczął okrążyć wartownika.

Brak wyszkolenia przeciwników bardzo ułatwiał mu zadanie. Warty powinny być ruchome, żołnierze powinni krążyć tam i z powrotem po wyznaczonej linii. W ten sposób sprawdzają każdy centymetr terenu i szybko dowiadują się, czy sąsiad nie został schwytany w pułapkę i ogłuszony. Lecz ci ludzie stali bez ruchu, nasłuchując i obserwując. Kiepska taktyka.

Wybrany mężczyzna miał na głowie czapkę pokrytą wzorem maskującym - tyle że niewłaściwym, bo w szaro-czar-ne plamy, zaprojektowanym do środowiska miejskiego, nie do oświetlonego słońcem lasu. Garber zbliżył się z tyłu i zamachnął kamieniem, uderzając go w tył głowy.

I zrobił to za mocno. Problem w tym, że ludzie są różni. Nie ma określonej siły uderzenia, które na



pewno odbierze przytomność. To nie gra w bilard. Jeśli chcemy wrzucić kulę do narożnej łuzi, zwykle dokładnie wiemy, jak mocno stuknąć kijem. Czaszki jednak są różne, niektóre twarde, inne nie. Ta nie była twarda, pękła niczym skorupka jajka. Rdzeń kręgowy także. Mężczyzna zginął, nim jego ciało runęło na ziemię.

- Cholera - mruknął Garber.

Nie przejmował się etyką sytuacji. Ani trochę. Czterdzieści lat kontaktów z twardymi ludźmi, którzy zeszli na złą drogę, całkowicie przeddefiniowało jego osobistą etykę. Martwił się natomiast padlinożernymi ptakami. Nieprzytomni ludzie ich nie przyciągają, martwi owszem. Krążące w górze ptaki przekazują informacje. Mówią innym wartownikom: jeden z was nie żyje.

Toteż Garber odrobinę zmodyfikował swój plan. Odebrał nieboszczykowi M-16 i ruszył naprzód, dalej niż zamierzał. Wkrótce znalazł się dwadzieścia metrów od granicy lasu. Przesuwając się w prawo i w lewo, dostrzegł w końcu skałę wystającą z ziemi dziesięć metrów poza linią drzew. Tam właśnie zamierzał się przekraść. Ukryty za drzewem przykucnął, rozebrał karabin, sprawdził, w jakim jest stanie. Potem złożył z powrotem i czekał.

\* \* \*

Harland Webster po raz czwarty cofnął taśmę, oglądając całą akcję. Obłok różowej mgielki, padający strażnik, drugi rzucający się biegiem, gwałtowny odjazd kamery, tak by pokazała całą polanę. Cichy upadek drugiego mężczyzny. Druga przerwa. Potem szaleńczy bieg Reachera.

Reacher odrzucający na bok trupy, przecinający liny, ciągnący McGra-tha w bezpieczne miejsce.

- Pomyliliśmy się co do niego - powiedział Webster. Generał Johnson przytaknął.

- Szkoda, że nie ma tu Garbera. Jestem mu winien przeprosiny.

- Samolotom kończy się paliwo - oznajmił w ciszy adiutant.

Johnson ponownie skinął głową.

- Odeślij jeden, nie potrzebujemy już dwóch. Niech się wymieniają.

Adiutant zadzwonił do Peterson. Po pół minuty trzy z sześciu ekranów w pojeździe zgasły. Zewnętrzny samolot skręcił i odleciał na południe. Wewnętrzny zwiększył nieco promień kręgu i ustawił kamerę tak, by filmowała cały obszar. Zbliżenie polany zniknęło. Teraz miała ona wielkość ćwierćdola-rówki. Na ekranie w dolnym prawym rogu pojawił się biały budynek sądu. Trzy identyczne obrazy na trzech świecących ekranach. Po jednym dla każdego. Pochylili się na krzesłach zapatrzeni. Radio w kieszeni Webstera zatrzeszczało.

- Webster? - odezwał się głos Borkena. - Jesteś tam?

- Jestem - odparł Webster.

- Co z samolotem? - spytał Borken. - Przestaliśmy was interesować czy co?

Przez sekundę Webster zastanawiał się, skąd tamten wie. Potem przypomniał sobie ślady na niebie, doskonały sygnał dokładnie nad głowami.

- Który to był? - zagadnął. - Brogan czy Milošević?

- Co z samolotem? - powtórzył Borken.

- Kończy mu się paliwo - wyjaśnił Webster. - Wróci. Po chwili ciszy Borken odezwał się ponownie.

- W porządku - rzucił.

- No to który to był? - naciskał Webster. - Brogan czy Milošević?

Radio jednak zamilkło. Wyłączył nadajnik i kątem oka dostrzegł wyraz twarzy Johnsona. Mówił on wyraźnie: wojskowy okazał się dobry, a wasz agent zły. Webster wzruszył ramionami, starając się przekazać tym gestem żal. Próbując powiedzieć: obaj popełniliśmy błędy. Ale twarz Johnsona mówiła: powinieneś być wiedzieć.

- To może być problem, prawda? - odezwał się adiutant. - Brogan i Milošević. Którykolwiek z nich jest czysty, nadal uważa Reachera za wroga. A ten drugi wie, że Reacher jest jego wrogiem.

Webster odwrócił wzrok i znów spojrzął na ekrany.

\* \* \*

Borken wsunął radio z powrotem do kieszeni czarnego munduru. Zabębnił palcami w stół sędziego. Powiódł wzrokiem po zapatrzonych w niego ludziach.

- Jedna kamera wystarczy - rzekł.

- Jasne - przytaknął Milošević. - Jedna jest równie dobra jak dwie.

- W tej chwili nie potrzebujemy tu nikogo - oznajmił Borken. - Zanim cokolwiek zrobimy, musimy przygwoździć Reachera.

Milošević rozejrzał się nerwowo.

- Nie patrz na mnie. Ja zostaję tutaj, chcę tylko dostać pieniądze.

Borken przyjrzał mu się z namysłem.

- Wiesz, jak zwabić tygrysa? - spytał. - Albo lamparta czy innego drapieżnika z dżungli?

- Co? - spytał Milošević.

- Przywiązujesz kożę do palika - oznajmił Borken. - I czekasz.

- Co?.

- Reacher zaryzykował, ratując McGratha. Zgadza się? Może więc zechce uratować twojego kumpla Brogana.

\* \* \*

Generał Garber usłyszał poruszenie i zaryzykował przesunięcie się o kilka metrów. Dotarł do miejsca, w którym drzewa rosły rzadziej, i przykucnął. Przesunął się w lewo, by lepiej zobaczyć, co się dzieje. Naprzeciwko miał budynek sądu na wzgórzu. Najlepiej widział południową ścianę, ale dostrzegał też front wraz z głównym wejściem i wiodącymi do niego stopniami. Ujrzał, że z drzwi wynurza się grupka ludzi. Sześciu mężczyzn, dwóch po bokach, czujnych, rozglądających się wokół z uniesioną bronią. Pozostali czterej nieśli kogoś rozkrzyżowanego, twarzą w dół, trzymając go za przeguby i kostki. To był mężczyzna. Garber rozpoznał po głosie. Szarpał, wrywał się, krzyczał. Brogan.

Garbera ogarnął nagły chłód. Wiedział dokładnie, co się stało z Jacksonem. McGrath mu powiedział. Uniósł karabin, mierząc do bliższego wartownika. Podążał za nim bezszelestnie, gdy tamten maszerował naprzód z prawej w lewo. Kątem oka dostrzegał pozostałą piątkę. Nagle przypomniał sobie o wartownikach za plecami. Skrzywił się i opuścił broń. Niemożliwe. Miał pewną zasadę: trzymać się wyznaczonego zadania. Od czterdziestu lat głosił ją niczym ewangelię. A jego zadaniem było wydostanie Holly Johnson, żywej. Cofnął się w głąb lasu i machnięciem ręki przywołał dwóch czekających obok mężczyzn.

Załoga chinooka wygramoliła się z wraku i niepewnym krokiem ruszyła w las. Jej członkowie sądzili, że zmierzają na południe, lecz zdezorientowani zamiast tego ruszyli wprost na północ. Przeszli przez linię wart, nawet ich nie dostrzegając. I nagle natknęli się na siedzącego pod sosną trzygwiazdkowego generała. Generał wezwał ich i kazał im się ukryć. Mieli wrażenie, że śnią, i nie mogli doczekać się chwili, gdy się ockną. Milczeli, słuchając cichnących w dali krzyków.

\* \* \*

Reacher i McGrath usłyszeli je kilka minut później - z początku słabe, dobiegające z lasu po lewej, stopniowo coraz głośniejsze. Razem ruszyli w stronę przerwy między dwiema chatami, z której widzieli cały Bastion, łącznie z wylotem ścieżki naprzeciwko. Zatrzymali się trzy metry od skraju lasu. Dość, by się ukryć i widzieć wszystko, co działo się na polanie.

Ujrzeni dwóch mężczyzn, którzy wypadli z mroku w słońce. Następnie czterech kolejnych, maszerujących razem z bronią na ramionach. Pochylonych na bok, balansujących, by utrzymać coś ciężkiego. Coś, co szarpało się, wrywało i krzyczało.

- Chryste - szepnął McGrath. - To Brogan.

Reacher patrzył długą chwilę w milczeniu. W końcu skinął głową.

- Pomyliłem się - rzekł. - To Milošević zdradził. McGrath szcęknął spustem glocka, odbezpieczając broń.

- Zaczekaj - polecił cicho Reacher.

Ruszył w prawo, wzywając gestem McGratha. Trzymając się drzew, ruszyli równolegle do sześciu mężczyzn i Bro-gana. Tamci maszerowali wolno po łupku. Brogan krzyczał coraz głośniej. Ominęli trupy, kołki namiotowe i przecięte liny, nie zwalniając nawet kroku.

- Idą do chaty kar - wyszeptał Reacher.

Wkrótce stracili ich z oczu, gdy drzewa przysłoniły ścieżkę wiodącą na następną polanę. Wciąż jednak słyszeli krzyki. Wyglądało na to, że Brogan wie dokładnie, co go czeka.

McGrath przypomniał sobie słowa Borkena usłyszane przez radio. Reacher wspominał skatowane ciało Jacksona.

Zaryzykowali zbliżenie do kolejnej polany. Ujrzeni sześciu mężczyzn zmierzających do pozbawionej okien chaty i przystających przy drzwiach. Pierwsi dwaj obrócili się, unosząc karabiny. Facet trzymający prawą rękę Brogana wyłowił wolną ręką z kieszeni klucz. Brogan wrzasnął, błagając o pomoc, o litość. Tamten przekreślił klucz i szarpnięciem otworzył drzwi. Przystanął na progu zaskoczony i krzyknął. Ze środka wynurzył się Joseph Ray, wciąż nagi, trzymający w ramionach kłęb ubrań. Dolną część jego twarzy pokrywała maska zaschniętej krwi. Tańczył i podskakiwał na łupku, bosy. Szóstka towarzyszy odprowadziła go wzrokiem.

- Kto to był, do diabła? - szepnął McGrath.

- Pewien dupek - odpowiedział cicho Reacher. Mężczyźni rzucili Brogana na ziemię i podnieśli siłą za

kołnierz. Agent rozglądał się śmiertelnie wystraszony, krzyczał. Reacher ujrzał jego twarz, białą i przerażoną, z otwartymi ustami. Sześciu mężczyzn wrzuciło go do chaty, weszli za nim. Trzasnęły drzwi. McGrath i Reacher podkradli się bliżej. Usłyszeli krzyki, łomot ciała uderzającego o ściany. Trwało to kilkanaście minut. Potem zapadła cisza. Drzwi się otwarły. Sześciu mężczyzn wyszło na zewnątrz. Uśmiechali się i otrzepywali ręce. Ostatni cofnął się, by wymierzyć jeszcze jednego kopniaka. Reacher usłyszał odgłos uderzenia i krzyk Brogana. A potem tamten zamknął drzwi i pośpieszył za pozostałymi. Odmaszerowali głośno, miażdżąc stopami łupkę. I zniknęli. Na polanie zapadła cisza.

\* \* \*

Holly pokuśtykała powoli do drzwi. Przycisnęła do nich ucho i wyteżyła słuch. Cisza, żadnego dźwięku. Wróciła do

materaca, podniosła zapasową parę spodni. Zębami szarpała szwy i rozdierała materiał, aż udało jej się oddzielić przednią część jednej z nogawek. Dzięki temu dysponowała kawałkiem płótna, długim na siedemdziesiąt centymetrów, szerokim na piętnaście. Zaniosiła go do łazienki, nałła do zlewu gorącej wody. Starannie namoczyła materiał. Potem zdjęła spodnie, wykręciła namoczone płótno i okręciła je możliwie najciaśniej wokół kolana. Zawiązała, z powrotem się ubrała. Miała nadzieję, że gorący, mokry materiał skurczy się lekko po wyschnięciu i jeszcze mocniej zaciśnie. Tylko w ten sposób mogła rozwiązać swój problem. Usztywnienie stawu zmniejszało ból.

A potem zrobiła to, co wcześniej ćwiczyła w myślach. Ściągnęła gumową końcówkę z kuli i rąbnęła metalową rurką w jeden z kafelków. Płytkę pękła. Holly odwróciła kulę. Zakrzywionym uchwytem odłupała od ściany odłamki. Wybrała dwa, mniej więcej trójkątne, wąskie u podstawy, ostre. Krawędzią kuli zdrapała cement, pozostawiając wyłącznie goły fragment kafelka, ostry niczym nóż. Schowała broń do dwóch kieszeni, zaciągnęła zasłonkę prysznica, by ukryć poczynione szkody. Z powrotem założyła końcówkę na kulę, pokuśtykała do materaca i usiadła. Teraz pozostało jej tylko

czekać.

\* \* \*

Używanie tylko jednej kamery miało podstawową wadę-brak zbliżeń. Tylko w ten sposób mogli oglądać cały teren. Na ekranie wszystko było małe. Grupa mężczyzn niosących coś przez polanę przypominała wielkiego, pełznącego po szkle owada.

- Czy to był Brogan? - spytał głośno Webster. Asystent cofnął taśmę i obejrzał ponownie.

- Niosą go twarzą w dół - rzekł. - Trudno powiedzieć.

Zatrzymał obraz i powiększył go cyfrowo, przesuwając joy-stick tak, by rozkrzyżowany mężczyzna znalazł się pośrodku ekranu. Najechał tak daleko, jak pozwalała rozdzielczość.

- Trudno powiedzieć - powtórzył. - Z całą pewnością jeden z nich.

- Myślę, że to Brogan - stwierdził Webster.

Johnson przyglądał się uważnie. Kciukiem i palcem wskazującym ocenił wzrost mężczyzny od głowy aż po stopy.

- Ile ma wzrostu? - spytał.

\* \* \*

- Ile ma wzrostu? - chciał wiedzieć Reacher.

- Co takiego? - zdziwił się McGrath.

Reacher stał za nim pośród drzew, patrząc na chatę kar. Obserwował przednią ścianę długą na cztery metry, wysoką na ponad trzy. Od prawej do lewej składały się na nią sześćdziesięciocentymetrowa płyta, następnie drzwi szerokie na jakieś siedemdziesiąt centymetrów z zawiasem po prawej, klamką po lewej i znów płyta, ponad dwumetrowa, biegnąca do końca budynku.

- Ile ma wzrostu? - powtórzył Reacher.

- Chryste, jakie to ma znaczenie?

- Myślę, że ma - odparł Reacher. McGrath odwrócił się, patrząc na niego.

- Metr siedemdziesiąt, siedemdziesiąt pięć - rzekł. - Nie jest specjalnie wysoki.

Ścianę wewnętrzną obito poziomymi deskami, dwadzieścia na dziesięć centymetrów, przybitymi gwoździami do szkieletu budynku. W połowie widział belkę łączącą. Podłogę prawdopodobnie zrobiono z desek trzy czwarte o przekroju pięć na dziesięć centymetrów. Zaczynała się zatem niemal dziesięć centymetrów ponad granicą ściany zewnętrznej, jakieś trzy i pół centymetra poniżej drzwi.

- Jest chudy? - spytał Reacher.

McGrath cały czas patrzył na niego ze zdumieniem.

- Owszem, raczej szczupły. Na oko rozmiar trzydzieści osiem.

Reacher skinął głową. Ściany od wewnątrz zrobiono z desek, na zewnątrz z dykty. W sumie miały dwanaście centymetrów grubości, może mniej, jeśli wewnętrzne deski są cieńsze. Powiedzmy, że wewnątrz ściana zaczynała się dwanaście centymetrów od narożnika, a podłoga dwanaście centymetrów od poziomu gruntu.

- Prawo- czy leworęczny?

- Co za bzdury...-syknął McGrath.

- Odpowiadaj - warknął Reacher.

- Praworęczny. Jestem niemal pewny.

Deski zamocowano na czterdziestocentymetrowych krą-żynach. Taki był standardowy rozmiar. Lecz drzwi od rogu chaty dzieliło zaledwie sześćdziesiąt centymetrów. Sześćdziesiąt minus dwanaście, uwzględniając grubość ściany, to czterdzieści osiem centymetrów. Prawdopodobnie umieszczono tam tylko jedną deskę, chyba że ją przecięli. To nie problem. Przestrzeń między ścianami wypełniono zapewne watą szklaną dla lepszej izolacji.

- Cofnij się.

- Czemu? - spytał McGrath.

- Po prostu to zrób.

McGrath odsunął się na bok. Reacher skupił wzrok na punkcie dwadzieścia pięć centymetrów od końca chaty i niecałe półtora metra od ziemi. Zakołysał się w lewo, oparł ramię o pień drzewa. Podniósł M-16 i wycelował.

- Co ty robisz, do diabła? - syknął McGrath. Reacher nie odpowiedział. Poczekał, aż uderzy serce, i wystrzelił. Karabin huknął, kula przebiła ścianę budynku sto metrów dalej - dwadzieścia pięć centymetrów od narożnika, półtora metra od ziemi.

- Co ty wyprawiasz? - dopytywał się McGrath. Reacher jedynie złapał go za ramię i pociągnął

głębiej

w las na północ. Odczekał chwilę. Nagle dwie rzeczy zdarzyły się jednocześnie. Sześciu mężczyzn wypadło na polanę i otwarły się drzwi chaty kar. Stał w nich Brogan. Prawa ręka zwisała mu bezwładnie, ze strzaskanego prawego ramienia płynęła krew. W prawej dłoni trzymał służbową trzy-dziesiątkę z odciągniętym kurkiem. Jego palec spoczywał na spuście.

Reacher przełączył M-16 na krótkie serie. Posłał w ziemię pośrodku polany pięć serii po trzy pociski. Szóstka mężczyzn rozbiegła się na boki, jakby nagle natknęli się na niewidoczną barierę albo krawędź wysokiego urwiska. Rzucili się biegiem w stronę drzew. Brogan wyszedł z chaty. Stał w słońcu, próbując podnieść broń, ale ręka nie chciała go słuchać, zwisała bezużytecznie.

- To był podstęp - powiedział Reacher. - Myśleli, że pójde za nim. Czekał za drzwiami z bronią. Wiedziałem, że go kupili, ale na moment mnie nabrali.

McGrath przytaknął powoli, patrząc na służbową trzy-dziesiątkę w dłoni Brogana. Przypomniał sobie własną skonfiskowaną broń. Podniósł glocka, oparł przegub o drzewo. Zaczął mierzyć.

- Zapomnij - mruknął Reacher.

Nie spuszczać wzroku z Brogana, McGrath pokręcił głową.

-Nie, nie zapomnę- odparł cicho. - Sukinsyn sprzedał Holly.

- Chodziło mi o glocka - wyjaśnił Reacher. - To sto metrów, nie ma mowy, żebyś trafił. Z tej odległości miałbyś szczęście, gdybyś wcelował w chatę.

McGrath opuścił glocka. Reacher wręczył mu M-16. Patrzył z ciekawością, jak tamten mierzy.

- Gdzie? - spytał.

- W pierś - odparł McGrath. Reacher skinął głową z aprobatą.

- Pierś jest niezła - rzekł.

McGrath znieruchomiał i wystrzelił. Był dobry, ale nie aż tak dobry. Karabin, nadal nastawiony na krótkie serie, wyrzucił z siebie trzy pociski. Pierwszy trafił Brogana w lewą skroń, pozostałe dwa poleciały wyżej, odlupując kawałki framugi. Niezłe, ale nie wybitnie. Lecz dość dobrze, by załatwić sprawę.

Brogan runął na ziemię niczym marionetka z przeciętymi sznurkami. Złożył się wpół i upadł przed progiem. Reacher odebrał McGrathowi M-16 i zasypał kulami drzewa na skraju polany, aż opróżnił magazynek. Przeładował. Oddał agentowi glocka. Skinieniem głowy wskazał na wschód przez las. Odwrócili się i weszli prosto na Josepha Raya, bezbronno, do połowy ubranego. Zaschnięta krew na jego twarzy przypominała brązową farbę. Manipulował właśnie przy guzikach koszuli, trafiając w niewłaściwe dziurki.

- Zginą kobiety i dzieci - oznajmił.

- Macie wszyscy godzinę, Joe - powiedział Reacher. -Zawiadom innych. Jeśli chcą zostać przy życiu, niech uciekają na wzgórze.

Jego rozmówca pokręcił głową.

- Nie. Musimy się zebrać na placu apelowym. Tak brzmią rozkazy. Musimy tam czekać na Beau.

- Beau nie przyjdzie - oznajmił Reacher. Ray ponownie pokręcił głową.

- Przyjdzie - upierał się. - Nie pokonasz Beau, kimkolwiek jesteś. To niemożliwe. Musimy na niego czekać, powie nam, co mamy robić.

- Uciekaj, Joe. Na miłość boską, zabierz stąd dzieci!

- Beau mówi, że muszą tu zostać - odparł Ray. - Albo napawać się owocami zwycięstwa albo też ponieść konsekwencje porażki.

Reacher patrzył na niego bez słowa. Jasne oczy Raya lśniły, jego zęby błysnęły w krótkim uśmiechu. Pochylił głowę i odbiegł.

- Zginą kobiety i dzieci? - powtórzył McGrath.

- Propaganda Borkena - wyjaśnił Reacher. - Przekonał ich wszystkich, że karą za przegraną jest przymusowe samobójstwo.

- A oni na to pozwalają?

- Kontroluje ich. Nawet sobie nie wyobrażasz jak bardzo.  
- Nie interesuje mnie pokonanie ich - stwierdził McGrath. - W tej chwili chcę tylko wyciągnąć stamtąd Holly.

- Ja też - rzekł Reacher.

Szli razem w milczeniu przez las w stronę Bastionu.

- Skąd wiedziałeś? - spytał McGrath. - O Broganie? Reacher wzruszył ramionami.

- Po prostu to czułem. Chyba przez jego twarz. Lubią bić ludzi w twarz. Zrobili to z tobą, ale Brogan pozostał nietknięty. Widziałem jego twarz. Nie było żadnych śladów ani krwi. Pomyślałem, że coś jest nie tak. W podnieceniu towarzyszącym zasadzce, w napięciu, z pewnością trochę by go uszkodzili, tak jak ciebie. Ale należał do nich, więc tylko podeszli i uścisnęli mu rękę.

McGrath przytaknął. Uniósł dłoń, obmacując własny nos.

- A gdybyś się mylił? - spytał.

- To nie miałyby znaczenia - odparł Reacher. - Gdybym się mylił, Brogan nie stałby za drzwiami, lecz leżał na podłodze z połamanymi żebrami, bo wszystkie te łomoty oznaczałyby prawdziwe ciosy.

McGrath raz jeszcze skinął głową.

- I te krzyki - dodał Reacher. - Paradowali przed nami powoli, a on wrzeszczał, aż echo niesło. Próbowali przyciągnąć moją uwagę.

- Nieźle im idzie - przyznał McGrath. - Webster się tym martwi. Nie rozumie, czemu Borken tak bardzo stara się zwrócić uwagę wszystkich. Doprowadza do eskalacji wydarzeń.

Znajdowali się w lesie, w połowie drogi pomiędzy niewielką polaną i Bastionem. Reacher zatrzymał się nagle, jakby nagle zabrakło mu tchu. Uniósł dłoń do ust. Stał oszołomiony, chwytając powietrze, jakby w jednej sekundzie z okolicy zniknął tlen.

- Chryste, już wiem dlaczego - rzekł. - To podstęp.

- Co takiego? - spytał McGrath.

- Mam złe przeczucie.

- Dotyczące czego? - dopytywał się McGrath nagle.

- Borkena. Coś nie trzyma się kupy. Jego zamiary. Zadać pierwszy cios. Ale gdzie jest Stevie? Wiesz co, McGrath? Myślę, że będą dwa ciosy. To, co dzieje się tutaj i coś jeszcze, gdzie indziej. Atak z zaskoczenia, jak Pearl Harbor, jak w jego cholernych podręcznikach sztuki wojennej. To dlatego wszystko komplikuje. Holly, masowe samobójstwo... Chce, żeby cała uwaga skupiła się tutaj.

44

Kiedy po nią przyszli, Holly stała prosto, patrząc na drzwi. Ciasny opatrunek na kolanie zasychał, toteż musiała stać, bo nie mogła już zgiąć nogi. Poza tym chciała stać, tak było najlepiej.

Usłyszała kroki w holu, potem na schodach. Dwóch mężczyzn, oceniła. Zatrzymali się przed drzwiami. Szczęknął klucz, potem zamek. Zamrugła i odetchnęła głęboko. Drzwi się otworzyły, do środka wcisnęło się dwóch ludzi, dwa karabiny. Holly czekała wyprostowana, patrząc na nich. Jeden z nich wystąpił naprzód.

- Wychodź, suko - polecił.

Chwyciła kulę, wsparła się na niej ciężko i pokuśtykała w stronę drzwi. Powoli. Chciała znaleźć się na zewnątrz, nim ktokolwiek zorientuje się, że potrafi poruszać się szybciej, niż sądzą. Zanim pojma, że jest uzbrojona i niebezpieczna.

\* \* \*

- Zadać pierwszy cios - powiedział Reacher. - Źle to zinterpretowałem.

- Dlaczego? - spytał ostro McGrath.

- Bo nie widziałem Stewiego - odparł Reacher. - Od wczesnego rana. Stewiego już tu nie ma. Jest teraz gdzie indziej.

- Gadasz bez sensu, Reacher - mruknął McGrath.

Reacher pokręcił głową, jakby próbował pozbierać myśli. Otrząsnął się gwałtownie i ruszył biegiem na wschód przez las. Zaczął mówić cicho, z napięciem.

- Myliłem się. Borken powiedział, że zadadzą pierwszy cios. Uderzą w system. Myślałem, że chodziło mu o deklarację niepodległości. Że to jest ów pierwszy cios. Deklaracja i walka o zdobyte terytorium. Sądziłem, że to wszystko. Tylko to. Ale oni robią coś jeszcze, gdzie indziej. Robią dwie rzeczy na raz, jednocześnie.

- Co ty mówisz?

- Uwaga - wyjaśnił Reacher. - Deklaracja niepodległości skupia uwagę tutaj, w Montanie. Zgadza się?

- Jasne - odparł McGrath. - Zamierzali zainteresować całą sprawą ONZ i CNN. To oznacza mnóstwo uwagi.

- Tyle że skupionej w niewłaściwym miejscu - podjął Reacher. - Borken ma biblioteczkę pełną książek z teorii wojskowości, nakazującej robić to, czego nikt nie oczekuje. Całą półkę na temat Pearl Harbor. Słyszałem też, jak rozmawiali w kopalni, kiedy zabierał stamtąd stingera. Towarzyszył mu Fowler. Borken powiedział mu, że do dzisiejszego wieczoru to miejsce znajdzie się daleko w dole listy priorytetów. Co oznacza, że robią coś jeszcze, gdzie indziej. Coś innego, może nawet większego. Dwa uderzenia w system.

- Ale co to jest? - spytał McGrath. - I gdzie? W pobliżu?

- Nie - nie zgodził się Reacher. - Pewnie daleko stąd. Tak jak Pearl Harbor. Wyciągają ręce, próbując zadać gdzieś śmiertelny cios. Bo w grę wchodzi jeszcze czas. Wszystko zostało skoordynowane.

McGrath patrzył na niego w milczeniu.

- Dobrze to zaplanowali - ciągnął Reacher. - Ściągnęli tu uwagę wszystkich. Niepodległość, to co zamierzali zrobić z tobą - chcieli cię zabić powoli, pod okiem kamer -

potem groźba masowego samobójstwa, śmierć kobiet i dzieci. Ważna zakładniczka. Wszystko po to, by nikt nie patrzył gdzie indziej. Borken jest sprytniejszy, niż sądziłem. Dwa uderzenia. Oba skoordynowane. Wszyscy patrzą tutaj, coś ważnego dzieje się gdzie indziej. Wszyscy patrzą gdzie indziej, a on konsoliduje tu swój nowy naród.

- Ale gdzie to się stanie, na miłość boską? - spytał McGrath. - I co, do diabła?

Reacher zatrzymał się, pokręcił głową.

- Po prostu nie wiem - rzekł.

Nagle zastygł. Tuż przed nimi rozległ się trzask i z gęstego zagajnika sosen wypadł sześciuosobowy patrol, który zatrzymał się tuż przed nimi. Cała szóstka miała w rękach M-16, u pasów granaty. Ich twarze rozjaśniły radosne uśmiechy.

\* \* \*

Borken posłał na poszukiwanie Reachera wszystkich swoich ludzi, poza dwoma, których zatrzymał, by zająć się Holly. Usłyszał, jak schodzą po stopniach sądu. Wyciągnął z kieszeni radio, otworzył je, wysunął krótką antenę i nacisnął przycisk.

- Webster? - powiedział. - Skup się, dobra? Porozmawiamy za minutę.

Nie czekał na odpowiedź. Wyłączył radio i odwrócił głowę, nasłuchując odgłosu kroków zmierzających ku wyjściu.

\* \* \*

Z odległości siedemdziesięciu pięciu metrów Garber ujrzał, jak cała trójka wynurza się ze środka i schodzi po schodach. Generał opuścił już las. Teraz ukrywał się za skałą. Uznał, że jest bezpieczny, miał przecież wsparcie. Załoga chinooka czekała trzydzieści metrów dalej, rozdzielona, doskonale ukryta. Mieli rozkaz krzyczeć, gdyby ktoś podszedł z tyłu. Toteż Garber leżał spokojnie, patrząc w górę na wielki biały budynek.

Ujrzał dwóch uzbrojonych brodatych mężczyzn, maszerujących po stopniach. Ciągnęli za sobą drobniejszą postać z kulą. Aureola ciemnych włosów, czysty zielony mundur. Holly Johnson. Nigdy wcześniej jej nie widział, tylko na zdjęciach, które pokazał mu agent FBI. Zdjęcia nawet w części nie oddawały jej uroku. Mimo dystansu generał wyczuwał energię i charakter Holly. Cała zdawała się lśnić. Poczul to i przysunął bliżej karabin.

\* \* \*

M-16, który Reacher trzymał w rękach, to pochodzący z 1987 roku produkt firmy Colt Firearms z Hartford w stanie Connecticut, wersja A-2, różniąca się od poprzednich przede wszystkim zastąpieniem ognia ciągłego krótkimi seriami. Ze względów oszczędnościowych, spust blokował się po wystrzeleniu trzech pocisków. Dzięki temu nie marnował amunicji.

Sześć celów, trzy pociski po każdym naciśnięciu spustu. W sumie osiemnaście kul i sześć pociągnięć. Każda potrójna seria trwała jedną piątą sekundy, toteż cała sekwencja strzałów oznaczała jedną i jedną piątą sekundy. To kolejne naciskanie spustu kosztowało najwięcej czasu. Tak wiele, że po zastrzeleniu czwartego napastnika Reacher zrozumiał, że ma kłopot. Nie celował, zataczał jedynie łuk bronią z lewej do prawej, strzelając z bliska do przeciwników, którzy jednocześnie podnosili broń. Pierwszym czterem się to nie udało, lecz piąty i szósty trzymali już karabiny poziomo, gotowe do strzału. Zdążyli to zrobić w ciągu dwóch i jednej czwartej sekundy po pierwszym strzale.

Toteż Reacher zaryzykował. Było to instynktowne ryzyko, które podejmuje się tak szybko, że nazwanie tego czasu

ułamkiem sekundy jest zdecydowanym niedocenieniem krótkości jego trwania. Przesunął M-16 wprost do szóstego mężczyzny, absolutnie pewien, że McGrath załatwi piątego ze swego glocka. Ryzyko pozbawione podstaw poza przecuciem, które z kolei także nie ma żadnych podstaw poza wyglądem towarzysza i tym, jak bardzo podobny jest do ludzi, którym ufało się w przeszłości.

Huk M-16 zagłuszył tępy trzask glocka, lecz piąty napastnik runął na ziemię jednocześnie z szóstym. Reacher i McGrath razem śmignęli na bok w gąszcz i przypadli do ziemi. W nagłej, ogłuszającej ciszy patrzyli, jak kordyto-wy dym wznosi się łagodnie ku niebu, widoczny w przenikających przez liście promieniach słońca. Ani śladu ruchu. Nikt nie przeżył. McGrath westchnął głęboko i uniósł rękę. Reacher przekręcił się lekko i uściśnął mu dłoń.

- Szybki jesteś, mimo starości.

- Dzięki temu jej dożyłem - odparł McGrath.

Wstali powoli i zanurkowali głębiej między drzewa. Usłyszeli ludzi zbliżających się przez las. Rzeka ludzi płynęła z północnego zachodu, z Bastionu. McGrath znów podniósł glocka, Reacher przełączył M-16 na strzały pojedyncze. Zostało mu dwanaście pocisków - za mało, by je marnować, nawet na oszczędnościowe serie A-2. wtedy ujrzeli pomiędzy drzewami kobiety i dzieci. Towarzyszyło im kilku mężczyzn; grupy rodzinne maszerowały w kolumnie, parami. Reacher dostrzegł Josepha Raya z kobietą u boku. Przed nimi maszerowali dwaj chłopcy. Ujrzał kobietę z kantyny obok mężczyzny, prowadzili trójkę dzieci.

- Dokąd oni idą? - wyszeptał McGrath.

- Na plac apelowy - odparł Reacher. - Borken im kazał. Pamiętasz?

- Czemu po prostu nie uciekną?

Reacher wzruszył ramionami. Nie odpowiedział, nie znał wyjaśnienia. Stał w ukryciu, odprowadzając wzrokiem obojętnych ludzi, wędrujących przez zalany słońcem las. Potem dotknął ramienia McGratha i pobiegli naprzód, by po chwili wynurzyć się spomiędzy drzew za budynkiem kantyny. Reacher rozejrzał się ostrożnie, wyprostował i chwycił krawędź dachu. Postawił stopę na framudze okna i podciągnął się na dachówki. Czołgał się w górę. Po minucie leżał już przy błyszczącym metalowym kominie. Podniósł do oczu skradzioną lornetkę, kierując szkła na południowy wschód, w dół, w stronę miasta. W porządku, pomyślał, co jeszcze się dzieje, do diabła, i gdzie?



\* \* \*

Adiutant generała Johnsona najlepiej z nich wszystkich radził sobie z komputerem. Nie wiadomo, czy sprawiła to znajomość podobnego sprzętu, czy raczej fakt, że był młody. Manipulując pokrętkami i joystickiem, skupił obraz na obszarze przed stopniami budynku sądu. Następnie odrobinę cofnął. Po prawej stronie ekranu widniała zachodnia ściana sądu, po lewej wschodnia zrujnowanego budynku rady miejskiej. Pomiedzy nimi rozciągały się dwa trawniki - jeden zarośnięty i zaniedbany, drugi wciąż prawie płaski. Droga biegła pionowo, środkiem obrazu, jak na mapie. Dżip, który przywiózł McGratha wciąż stał w miejscu, gdzie go zostawili. Adiutant wykorzystał go, aby sprawdzić ostrość. Ujrzeni go wyraźnie, ze szczegółami. Wóz z demobilu, lekko rozmazane białe napisy. Widzieli złożoną przednią szybę, brezentowy mapnik, zapasowy kanister i przypiętą z tyłu saperkę.

A potem ujrzeni dwóch mężczyzn wyprowadzających Holly. Z góry tworzyli idealną ukośną linię prostą z Holly pośrodku, niczym trójka na ścianie kostki do gry. Po chwili zatrzymali się i czekali. Nagle zjawił się ktoś jeszcze. Potężna postać schodząca za nimi po stopniach. Borken. Wyszedł na drogę, uniósł głowę, patrząc wprost w niewidzialną kamerę, która krążyła jednaście kilometrów wyżej. Pomachał do nich. Uniósł wysoko prawą rękę z czarnym pistoletem. Potem spuścił wzrok, pogrzebał przy czymś lewą ręką, podniósł do ucha. Radio na biurku przed Websterem zatrzeszczało. Webster podniósł je i otworzył.

-Tak?

Zobaczyli, jak Borken ponownie macha do kamery.

- Widzicie mnie? - spytał.

- Widzimy - odparł cicho Webster.

- Widzicie to?

Borken znów podniósł broń. Adiutant najechał na nią. Masywne cielsko Borkena wypełniło ekran. Podniesiona różowa twarz, czarny pistolet.

- Widzimy - przytaknął Webster. Adiutant cofnął obraz. Borken zmałał.

- Sig-sauer P-226 - oznajmił. - Znacie tę broń? Webster zawahał się, rozejrzał dookoła.

- Tak - rzekł.

- Dziewięć milimetrów - ciągnął Borken - piętnaście kul w magazynku.

- I co? - spytał Webster.

Borken się roześmiał. Jego śmiech uderzył boleśnie ucho Webstera.

- Czas na strzelanie do celu - oznajmił Borken. - I zgadnijcie, co będzie celem.

Ujrzeni, jak dwaj mężczyźni ruszają w stronę Holly. Nagle dziewczyna podniosła kulę, przytrzymała poziomo oburącz i rąbnęła z całych sił w brzuch pierwszego mężczyzny. Potem odwróciła ją i zamachnęła się, wymierzając cios

w głowę drugiego. Lecz kulę zrobiono z lekkiego aluminium i ciosowi zabrakło siły. Holly odrzuciła ją więc, sięgnęła rękami do kieszeni. W jej dłoniach pojawiło się coś lśniącego w słońcu. Rzuciła się naprzód i desperacko ciachnęła pierwszą twarz. Odskoczyła, obróciła się i uniosła błyszczącą broń.

Adiutant szarpnął pokrętko. Pierwszy mężczyzna leżał na ziemi, ściskając rękami gardło i twarz. Spomiędzy jego palców płynęła krew. Holly obracała się szybko, tnąc powietrze niczym pantera w klatce. Podskakiwała na sztywnej nodze, druga tańczyła wokół, gdy dziewczyna kołysała się w prawo i w lewo. Webster słyszał w słuchawce szybki oddech i sapanie. A także krzyki, wrzaski. Patrzył na ekran, błagając w ciszy: uciekaj w lewo, Holly, do dżipa. Holly ruszyła w prawo, wymachując wysoko lewą ręką i trzymając prawą nisko niczym bokser. Śmignęła w stronę drugiego mężczyzny, który podniósł karabin, ale bokiem, w panicznej próbie zablokowania ciosu. Pchnął karabin naprzód i przegub Holly uderzył o lufę. Broń wyleciała jej z ręki. Holly wymierzyła mocnego kopniaka, trafiła przeciwnika w krocze. Mężczyzna skulił się i runął na ziemię. A ona

skoczyła w stronę Borke-na. Jej błyszcząca dłoń zatoczyła gwałtowny łuk. Webster usłyszał wysoki wrzask. Kamera pokazała, jak Borken uskakuje. Holly ruszyła za nim.

Lecz pierwszy mężczyzna dźwignął się z ziemi za jej plecami. Chwilę się wahał, a potem zamachnął karabinem niczym pałąk. Trafiał ją kolbą w tył głowy. Holly znieruchomiała. Jej noga pozostała sztywna. Dziewczyna pochyliła się i upadła, jakby przelatująca przez płot, osuwając się na

drogę u stóp Borkena.

\* \* \*

Dwie osoby wyłączone z gry. Jedna z nich to Holly. Re-acher poprawił ostrość lornetki i spojrzał na nią. Zostało

dwóch. Żołnierz z karabinem i Borken z pistoletem i radiem. Wszyscy stali obok siebie, widoczni pomiędzy drzewami, tysiąc dwieście metrów na południowy wschód, sto metrów w dole. Reacher patrzył na leżącą nieruchomo Holly. Pragnął jej. Kochał ją za jej odwagę. Dwaj uzbrojeni mężczyźni i Borken, a ona zaatakowała. Beznadziejne, ale zaatakowała. Opuścił lornetkę, oplótł nogami komin, zupełnie jakby dosiadał metalowego konia. Komin był ciepły. Tułów Reachera spoczywał płasko na dachu, głowa i ramiona ledwie wysuwały się poza krawędź. Ponownie podniósł lornetkę i czekał, wstrzymując oddech.

\* \* \*

Ujrzeni nerwowe gesty Borkena. Ranny mężczyzna wstał i podszedł bliżej wraz z drugim, który ją uderzył. Wykręcili jej ręce do tyłu i dźwignęli z ziemi. Głowa Holly zwieszała się bezładnie, jedna noga była zgięta, druga sztywna. Oparli ją na niej i stanęli bez ruchu. Borken gestem polecił im ruszyć naprzód. Pociągnęli ją na drugą stronę drogi. A potem w uchu Webstera zabrzmiał głos Borkena, wyraźny, zdyszany.

- W porządku. Koniec zabawy. Daj mi jej starego. Webster wręczył radio Johnsonowi, który spojrzał na nie i podniósł do ucha.

- Zrobię wszystko, co zechcesz - rzekł. - Wszystko, co tylko mogę. Tylko nie rób jej krzywdy.

Borken zaśmiał się głośno, z ulgą.

- Takie podejście mi się podoba - oznajmił. - A»teraz patrz.

Dwaj mężczyźni zawlekli Holly na pagórek przed-zrujnowanym budynkiem biurowym, aż do pnia uschniętego martwego drzewa. Odwrócili ją i pchnęli tak, że plecami oparła się o pień. Pociągnęli jej ręce do tyłu. Holly uniosła

głowę, otrząsnęła się, oszołomiona. Jeden z mężczyzn trzymał oba przeguby, drugi przy czymś majstrował. Przy kajdankach. Skuł jej ręce za drzewem. Potem obaj cofnęli się w stronę Borkena. Holly upadła, osunęła się na ziemię. Potem wstała z trudem, ponownie potrząsnęła głową i rozejrzała się.

- Strzelanie do celu - powiedział w radiu Borken.

Adiutant Johnsona znów zaczął kręcić gałkami, powiększając obraz. Borken oddalał się. Przeszedł dwadzieścia metrów na południe i obrócił się na pięcie, unosząc radio do twarzy. Sig-sauer celował w ziemię.

- Zaczynamy - obwieścił.

Stanął bokiem, podnosząc rękę. Trzymał ją absolutnie prosto, obrócony niczym uczestnik pojedynku w starym filmie. Pochylił głowę, mrużąc oczy, i wystrzelił. Pistolet podskoczył w ciszy i z ziemi metr od Holly wzbil się obłoczek kurzu.

Borken roześmiał się ponownie.

- Kiepski strzał - rzucił. - Muszę poćwiczyć. To może trochę potrwać, ale mam przecież jeszcze czternaście pocisków.

Wystrzelił ponownie. Kolejny obłoczek pyłu, metr po drugiej stronie pnia.

- Jeszcze trzynaście - oznajmił Borken. - Myślę, że najlepiej zdać się na CNN. Proszę do nich

zadzwoić, powtórzyć całą historię, tak by zabrzmiała oficjalnie. Niech Webster ją potwierdzi. Potem dajcie im radio. Nie chcecie naprawić linii, więc muszę nawiązać bezpośrednią łączność.

- Jesteś szaleńcem - rzucił Johnson.

- Nie, to wy jesteście szaleni - odparł Borken. - Ja jestem siłą historii, nie da się mnie powstrzymać. Strzelam do twojej córki, chrześnicy prezydenta. Nic nie rozumiesz, Johnson. Świat się zmienia ja go zmieniam. Świat musi być moim świadkiem.

Johnson umilkł, oszołomiony.

- W porządku - oznajmił Borken. - Teraz się rozłączę. Zaczniście dzwonić. Zostało trzynaście kul. Jeśli CNN się nie odezwie, ostatnia ją zabije.

Johnson usłyszał głuchą ciszę w radiu. Uniósł wzrok ku ekranom. Borken rzucił nadajnik na ziemię i oburącz podniósł sig-sauera, wycelował. Generał patrzył, jak tamten umieszcza trzeci pocisk pomiędzy stopami jego córki.

\* \* \*

Reacher oparł się mocniej o ciepły komin i opuścił lornetkę. Dokonał w głowie rozpaczliwych obliczeń, dotyczących czasu i odległości. Od sądu dzieliło go tysiąc dwieście metrów. Nie zdołałby dotrzeć na czas, i na pewno nie cicho. Wyciągnął głowę, opierając pierś o dach i zawołał McGratha. Jego głos brzmiał spokojnie, nie nerwowo, jakby składał zamówienie w restauracji.

- McGrath, idź, włam się do zbrojowni. To chata na końcu, stojąca osobno.

- W porządku - odkrzyknął McGrath. - Co mam zabrać?

- Wiesz, jak wygląda barrett? - spytał Reacher. - Wielki czarny karabin, lunetka, duży tłumik odrzutu. Znajdź pełny magazynek, pewnie leżą obok.

- W porządku - powtórzył McGrath. - I pośpiesz się - ponaglił go Reacher.

\* \* \*

Garber znów widział wszystko wyraźnie, bo oBaj żołnierze wrócili i stanęli za plecami Beau Borkena. Zachowali dystans, jakby nie chcieli mu przeszkadzać. Borken zatrzymał się jakieś dwadzieścia metrów od Holly, strzelając w górę. Garber ukrywał się siedemdziesiąt metrów dalej, w dole.

Holly stała niemal naprzeciwko, odrobinę po lewej. Borken tuż po prawej. Generał dokładnie widział potężne czarne cielsko na tle białego południowego muru budynku sądu. Dostrzegł, że ktoś zabił okna na piętrze nowymi białymi deskami. Głowa Borkena rysowała się wyraźnie na tle świeżych prostokątów. Garber się uśmiechnął. Zupełnie jak strzelanie do małego różowego celu na kartce białego papieru. Przełączył M-16 na krótkie serie i sprawdził. Potem uniósł go do ramienia.

\* \* \*

McGrath wspiął się na palce i podał Reacherowi barretta. Reacher wyciągnął rękę, odebrał mu karabin, Zerknął na niego i oddał z powrotem.

- Nie ten - rzekł. - Znajdź inny, z numerem seryjnym kończącym się na 5004. Dobra?

- Dlaczego? - zawołał McGrath.

- Bo wiem na pewno, że celnie strzela - wyjaśnił Reacher. - Już go używałem.

- Chryste. - McGrath westchnął i biegiem rzucił się w stronę zbrojowni.

Reacher z powrotem legł na dachu, próbując opanować bicie serca.

\* \* \*

Dziesiąty strzał Borkena też poszedł bokiem, ale niedaleko. Holly podskoczyła tak wysoko, jak tylko pozwoliły kajdanki. Borken zaczął przechadzać się tam i z powrotem, wyraźnie ucieszony. Co chwila wybuchał śmiechem, zatrzymywał się i strzelał. Garber podążał za nim, śledząc czarną postać na tle białego budynku. Czekał, aby tamten zatrzymał się choćby na moment. Bo Garber miał pewną zasadę - pierwszy strzał się liczy.

McGrath znalazł karabin, z którego wcześniej strzelał Reacher, i podał go na dach. Reacher sprawdził numer, skinął głową. McGrath rzucił się szaleńczym biegiem w stronę kamienistej ścieżki. Zniknął za drzewami. Reacher odprowadził go wzrokiem. Wsunął wielkie pociski do

magazynek, sprawdził sprężynę. Łagodnie, całą dłonią, wcisnął go na miejsce. Podniósł barretta do ramienia i oparł ostrożnie o skraj dachu. Przyciągnął bliżej kolbę, przysunął oko do lunety. Lewym kciukiem nastawił ostrość na tysiąc dwieście metrów. Soczewka wysunęła się aż do granicy. Lewą dłoń położył na lufie. Ostrożnie wsunął pocisk do komory i spojrzął w dół, na rozgrywającą się tam scenę.

Luneta karabinu nieco zanadto skupiła obraz, lecz geometria była w porządku. Holly stała na wzgórzu nieco po prawej, przykuta do uschniętego drzewa. Długą chwilę patrzył jej w twarz. Potem poruszył lunetę. Borken stał niżej, jakieś dwadzieścia metrów dalej, strzelając w górę, odrobinę w lewo. Przechadzał się tam i z powrotem, zataczając krótkie łuki. Lecz niezależnie od tego, gdzie się zatrzymywał, za jego głową rozciągały się setki kilometrów pustej przestrzeni. Sąd stał daleko poza trajektorią Reachera. Bezpiecznie. Bezpiecznie, lecz niełatwo. Tysiąc dwieście metrów to bardzo dużo. Powoli wypuścił powietrze, czekając, by Borken się zatrzymał.

Nagle zamarł. Kątem oka dostrzegł błysk słońca na matowym metalu. Jakies siedemdziesiąt metrów dalej w dół zbocza. Skała, a za nią mężczyzna. Karabin, znajoma głowa, częściowo porośnięta siwiejącymi włosami. Generał Garber. Garber z M-16 za skałą, poruszający lufą w ślad za celem, który krążył tam i z powrotem siedemdziesiąt metrów przed nim. Reacher wypuścił powietrze. Uśmiechnął się. Ogarnęła go gwałtowna fala wdzięczności. Garber. A zatem miał wsparcie. Garber, strzelający zaledwie z siedemdziesięciu metrów. W tym ułamku sekundy zrozumiał, że Holly jest bezpieczna. Odprężające ciepło zalało jego ciało.

I nagle zmieniło się w lodowaty powiew paniki. Do akcji wkroczył mózg, ukazując koszarne skutki zmienionej geometrii. Zupełnie jak wykres w podręczniku wyjaśniający przyczyny katastrofy. Z miejsca, w którym tkwił Garber, budynek sądu znajdował się dokładnie za Borkenem. Gdy Borken się zatrzyma, Garber wystrzeli. Może trafi, może nie. Tak czy inaczej pocisk uderzy w ścianę sądu, prawdopodobnie dokładnie w południowo-wschodni narożnik na pierwszym piętrze. Tona starego dynamitu eksploduje, tworząc kulę ognia o promieniu pół kilometra, zmieniając Holly w parę, zabijając Garbera. Fala uderzeniowa prawdopodobnie zrzuci Reachera z dachu budynku tysiąc dwieście metrów dalej. Jakim cudem Garber o tym nie wie?

Borken się zatrzymał. Stał bokiem, znieruchomiał. Reacher wypuścił z płuc powietrze. Przesunął barretta, naprowadził skrzyżowane linie dokładnie na skroń Holly Johnson, w miejscu gdzie miękkie ciemne włosy opadały ku oczom. Nie oddychając, zczekał na następne uderzenie serca. A potem nacisnął spust.

\* \* \*

Garber patrzył, jak ręka Borkena się unosi. Zczekał, aż znieruchomieje. Mrużąc oczy, spojrzął tuż nad lufą M-16, celując dokładnie w różową głowę na tle białej ściany. Tkwiła wyraźnie bez ruchu, odcinając się od rozświetlonej bieli. Odczekał chwilę, tak jak go uczono całe życie. Zczekał, aż wypuścił powietrze z płuc i uderzyło serce. Potem nacisnął spust.

\* \* \*

Generał Johnson zamknął oczy. Jego adiutant wpatrywał się w ekran. Webster siedział z otwartymi ustami i patrzył między palcami, zasłaniając oczy niczym dziecko oglądające w telewizji pierwszy w życiu horror.

\* \* \*

Pierwszy lufę barretta Reachera opuścił gorący gaz. W ciągu ułamka milionowej części sekundy proch w pocisku eksplodował, tworząc przegrzany pęcherz gazu, który pchnął pocisk w głąb lufy. Przecisnął się wokół niego i eksplodował w atmosferę. Niemal cały został odchylony na boki przez tłumik odrzutu, tworząc idealny pierścień. Toteż odrzut pchnął karabin wprost na ramię Reachera, a nie w bok ani w górę czy w dół. Tymczasem tuż za obłokiem gazu pocisk zaczynał się obracać wewnątrz lufy, podążając śladem gwintów.

Przegrzany gaz po zetknięciu z tlenem doprowadził do zapłonu. Błysnął płomień, pocisk przeleciał przez sam środek, pędząc przez spalone powietrze z prędkością trzech tysięcy dwustu kilometrów na godzinę. Po upływie jednej tysięcznej sekundy znalazł się o metr dalej. Jego śladem podążał

stożek cząsteczek prochu i obłok sadzy. Kolejna tysięczna sekundy, kolejny metr. Odgłos strzału podążał w ślad za kulą, ścigając ją trzy razy wolniej.

Przebycie Bastionu zabrało pociskowi pięć setnych sekundy. W tym momencie odgłos strzału minął właśnie uszy Reachera i dotarł do krawędzi dachu. Pocisk w ręcznie polerowanym płaszczu z miedzi leciał prosto, lecz do czasu gdy minął bezdźwięcznie McGratha, odrobinę zwolnił. Tarcie powietrza rozgrzało go i spowolniło jego lot. Powietrze zaczęło go także przesuwac, z prawej na lewo zgodnie z powiewami łagodnego górskiego wiatru. Po pół sekundy pocisk pokonał czterysta trzydzieści metrów i przesunął się

o siedemnaście centymetrów w lewo.

Opadł też siedemnaście centymetrów. Sprawiała to siła grawitacji. Im mocniej działała, tym bardziej zwalniał pocisk. Im bardziej zwalniał, tym mocniej przyciągała go ziemia. Pędził naprzód, zataczając wdzięczny łuk. Po sekundzie od opuszczenia lufy pokonał już dziewięćset metrów, zostawiając z tyłu biegnącego McGratha. Nadal jednak przelatywał nad drzewami. Od celu wciąż dzieliło go trzysta metrów. Po kolejnej szóstej części sekundy zostawił za sobą las, przelatując obok zrujnowanego budynku biurowego. Teraz był już bardzo wolny. Wiatr i ciężenie ściągnęły go metr dwadzieścia w lewo i półtora metra w dół. Wyminął Holly i zdążył dotrzeć siedem metrów dalej, nim usłyszała świst powietrza. Sam odgłos strzału miał dotrzeć na miejsce dopiero za jakiś czas. Na razie usłyszał go jedynie biegnący wśród drzew McGrath.

Nagle w powietrzu znalazł się drugi pocisk, a także trzeci

i czwarty. Garber wystrzelił sekundę i jedną czwartą po Re-acherze. Karabin miał nastawiony na automat, toteż posłał do celu trzy pociski. Trzy pociski w ciągu jednej piątej sekundy. Jego kule były mniejsze i lżejsze, i dlatego poruszały się szybciej, z prędkością niemal trzech i pół tysiąca kilometrów na godzinę. Był też bliżej celu, a ponieważ miał szybsze, lżejsze kule i znajdował się bliżej, siły tarcia i grawitacji nie zdążyły zadziałać. Jego trzy pociski poruszały się niemal po linii prostej.

Kula Reachera trafiła Borkena w głowę po sekundzie i jednej trzeciej po wystrzeleniu. Przebiła czoło i opuściła czaszkę z drugiej strony w trzy dziesięciotysięczne sekundy później. Niemal nie zwolniła, ponieważ czaszka i mózg Borkena nie stanowiły żadnej przeszkody dla pięćdziesięciosiedmiogramowego ołowianego pocisku o zaostrej końcówce, zamkniętego w wypolerowanym miedzianym płaszczu. Kula zdążyła zagłębić się w niekończący się las za miastem, nim ciśnienie wzbierające w czaszce Borkena doprowadziło do eksplozji.

Efekt jest czysto matematyczny, wiąże się z energią kinetyczną. Dawno temu ktoś wyjaśnił Reacherowi, że wszystko można wyjaśnić za pomocą ekwiwalentów. Pocisk waży jedynie pięćdziesiąt siedem gramów, ale porusza się szybko. To odpowiednik czegoś ciężkiego, lecz wolnego. Pięćdziesiąt siedem gramów lecących z prędkością tysiąca siedmiuset kilometrów na godzinę odpowiada mniej więcej czemuś o ciężarze pięciu kilogramów, poruszającemu się z prędkością pięciu kilometrów na godzinę. Na przykład młotowi kowalskiemu, z całej siły uderzającemu w głowę. W każdym razie efekt był podobny. Reacher obserwował go przez lunetę z sercem w gardle. Sekunda i jedna trzecia to bardzo długo. Patrzył, jak czaszka Borkena eksploduje niczym rozsadzona od wewnątrz uderzeniem młota. Rozpryskuje się na kawałki. Reacher ujrzał zakrzywione odłamki kości i czerwony obłok w powietrzu.

Nie dostrzegł jednak trzech pocisków Garbera przelatujących spokojnie przez ślad po głowie Borkena i zmierzających wprost w stronę ściany sądu.

Klasyczny błąd podczas strzelania z broni automatycznej polega na tym, iż pozwala się, by odrzut po pierwszym pocisku szarpnął lufę w górę, tak że drugi strzał przelatuje wyżej, a trzeci jeszcze wyżej. Lecz Garber nie popełnił tego błędu. Miał za sobą dość godzin szkolenia na strzelnicy, by trafić do celu z odległości siedemdziesięciu metrów. Przeżył też wystarczająco wiele trudnych

sytuacji i umiał zachować spokój i skupienie. Wszystkie trzy pociski posłał dokładnie w środek różowego obłoku, który jeszcze niedawno był głową Borkena.

Kule przeleciały przez obłok w ciągu dwóch dziesięcio-tysięcznych sekundy i popędziły naprzód. Uderzyły w nowe deski, którymi zabito okno. Pierwszy pocisk odkształcił się lekko podczas zderzenia i skręcił w lewo, pięćdziesiąt trzy centymetry później przebijając wewnętrzne sosnowe deski. Następnie przeciął pokój Holly i ponownie wbił się w ścianę na lewo od drzwi, by w końcu ugrzęznąć w drugiej ścianie korytarza.

Drugi pocisk przeleciał przez otwór, jaki zostawił pierwszy, toteż pokonał pięćdziesięciotrzycentymetrową przestrzeń w linii prostej. Przebijając wewnętrzną ściankę, zboczył w prawo, przeciął pokój, roztrzaskał kawałek ścianki działowej łazienki i tanią białą ceramiczną muszlę klozetową.

Trzecia kula leciała odrobinę wyżej. Trafiła w gwóźdź w ścianie wewnętrznej i skręciła pod kątem prostym. Nim zabrakło jej energii, zdołała wywiercić korytarz w ośmiu nowych deskach, zagłębiając się w nie niczym oszalały ter-mit. Po chwili pozostał z niej tylko kleks ołowiu przyczepiony do nowej sosnowej ścianki.

\* \* \*

Reacher przez lunetkę dostrzegł błysk ognia z lufy Gar-bera. Wiedział, że generał musi strzelać seriami po trzy. Wiedział, że musi trafić w ścianę sądu. Przez sekundę patrzył w dół z odległości tysiąca dwustu metrów, po czym zacisnął ręce na krawędzi dachu i zamknął oczy. Czekał na wybuch.

\* \* \*

Garber wiedział, że jego strzały nie zabiły Borkena. Nie zdążyły. Nawet kiedy ma się do czynienia z ułamkami sekund, wszystko zachowuje rytm. Strzał... trafienie. Borken został trafiony, nim dotarły do niego pociski. Zatem ktoś jeszcze strzelał. Do akcji włączyło się wsparcie. Garber uśmiechnął się, wypalił ponownie. Jeszcze dziewięć razy nacisnął spust, zasypując dwudziestoma siedmioma kulami dwóch żołnierzy Borkena, wyraźnie widocznych na tle ściany sądu.

\* \* \*

Milošević wybiegł z sądowego holu i błyskawicznie pokonał schody. W prawej ręce trzymał uniesioną służbową trzydziestkęósemkę, w lewej złotą odznakę.

- Agent FBI! - krzyknął. - Niech nikt się nie rusza.

Zerknął w prawo na Holly, potem na Garbera idącego w jego stronę i McGratha, wybiegającego zza budynku rady. McGrath ruszył prosto w stronę Holly, uściskał ją mocno tuż pod uschniętym drzewem. Holly śmiała się głośno. Nie mogła odpowiedzieć uściskiem, bo wciąż miała skute ręce.

McGrath wypuścił ją i zbiegł w dół. Przybił Miloševiczowi piątkę.

- Kto ma kluczyki? - krzyknął.

Garber wskazał dwóch martwych żołnierzy. McGrath podbiegł do nich, przeszukał mokre od krwi kieszenie. Znalazł klucz, wrócił biegiem na wzgórek. Zniknął za wyschniętym pniem i odpiął kajdanki Holly. Dziewczyna zachwiała się na nogach. McGrath śmignął naprzód, chwycił ją za rękę. Milošević znalazł na drodze kulę i cisnął szefowi. McGrath chwycił ją i podał Holly, która stanęła pewnie na nogach i ruszyła naprzód, ramię w ramię z McGrathem. Po chwili dotarli na dół i stanęli razem, rozglądając się wokół w ogłuszającej ciszy.

- Komu mam podziękować? - spytała Holly.

Wciąż trzymała McGratha za rękę, patrząc na leżące dwadzieścia metrów dalej zwłoki Borkena. Trup upadł na wznak z rozrzuconymi rękami. Nie miał głowy.

- To jest generał Garber - przedstawił McGrath. - Szef żandarmerii wojskowej.

Garber pokręcił głową.

- To nie ja - powiedział. - Ktoś mnie wyprzedził. - Nie ja - wtrącił Milošević.

Nagle Garber skinieniem głowy wskazał coś za ich plecami.

- Pewnie więc on - rzucił.

Reacher schodził właśnie ze wzgórza, zdyszany. Sto dziewięćdziesiąt dwa centymetry i sto dziesięć

kilo to świetna budowa do najróżniejszych zadań, ale nie do półtorakilometrowego sprintu.

- Reacher - westchnęła Holly.

On jednak ją zignorował. Biegł dalej, nie zauważając nikogo. W końcu zatrzymał się, patrząc w górę na białą ścianę. Ujrzał dziury po pociskach, mnóstwo dziur, na oko trzydzieści, większość rozrzuconą na poziomie pierwszego piętra w południowo-wschodnim narożniku. Przyglądał im się przez sekundę, po czym pobiegł do zaparkowanego przy drodze dżipa. Wyrwał saperkę z uchwytu pod zapasowym kanistrem, popędził na górę schodami, przez drzwi i wyżej, do celi Holly. Rzucił się do ściany.

Widział przed sobą co najmniej dwadzieścia otworów wylotowych zięjących w drewnie. Dużych, nierównych otworów. Wbił w jeden z nich ostrze saperki, rozszczylił sosnową deskę i podważył ją. Wbił łopatkę za drugą i wyrwał wraz z gwoździami. Nim dołączył do niego McGrath, Reacher zdołał już odsłonić półtora metra ściany. Kiedy w pokoju znalazła się też Holly, obaj patrzyli w pustą przestrzeń.

- Ani śladu dynamitu - powiedziała cicho.

Reacher podbiegł do sąsiedniej ściany. Oderwał dość desek, by się upewnić.

- Nigdy go nie było - dodała Holly. - Cholera, nie mogę uwierzyć.

- Nie, był - nie zgodził się McGrath. - Jackson o nim zameldował. Opisał wszystko. Widziałem jego raport. Rozładowywał ciężarówkę wraz z siedmioma innymi facetami. Przyniósł go na górę. Na miłość boską, widział, jak umieszczają go między ścianami. Tonę dynamitu. Trudno się raczej pomylić.

- Zatem wsadzili go tutaj - powiedział Reacher. - A potem wyjęli. Pozwolili, by ludzie widzieli umieszczanie dynamitu, a potem usunęli go w sekrecie, aby wykorzystać gdzie indziej.

- Wyjęli? - powtórzyła Holly.

- Kobiety i dzieci muszą umrzeć... - zaczął wolno Reacher.

- Co takiego? - wtrąciła Holly. - Co ty mówisz?

- Ale nie tutaj -- dodał. - Nie te kobiety i dzieci.

- Co? - naciskała Holly.

- Nie masowe samobójstwo - rzekł Reacher. - Masowe morderstwo.

Nagle jego twarz znieruchomiała. Umilkł. Usłyszał jednak coś w głowie - ten sam potworny wybuch, jaki rozległ się trzynaście lat temu w Bejrucie, w koszarach piechoty morskiej nieopodal lotniska. Słyszał go ponownie, straszny ogłuszający dźwięk.

- Teraz wiemy, o co chodzi - mruknął, nadal słysząc w głowie potworny huk.

- O co? - spytał McGrath.

- Nisko na resorach - burknął Reacher. - Ale nie wiemy dokąd.

- Co takiego? - dopytywała się Holly.

- Kobiety i dzieci muszą umrzeć - powtórzył Reacher. - Borken tak powiedział. Mówił, że usprawiedliwiają to okoliczności historyczne. Nie miał jednak na myśli tutejszych kobiet i dzieci.

- O czym ty mówisz, do diabła? - krzyknął McGrath. Reacher zerknął na niego, a potem na Holly, zaskoczony,

jakby ujrzał ich po raz pierwszy w życiu.

- Byłem dziś w garażu - oznajmił. - Widziałem ciężarówkę, naszą ciężarówkę. Stała zaparkowana, wisząca nisko na resorach, jakby do środka załadowano duży ciężar.

- Co takiego? - spytała raz jeszcze Holly.

- Zrobili sobie bombę - wyjaśnił Reacher. - Stevie gdzieś ją dostarcza, w miejsce publiczne. To jest ten drugi atak. Zamierzają odpalić bombę w tłumie. W środku jest tona dynamitu. A on ma nad nami sześć godzin przewagi.

McGrath pierwszy zbiegł po schodach.

- Do dżipa! - wrzasnął.

Garber rzucił się do dżipa, lecz Milošević stał znacznie bliżej. Wskoczył do środka, uruchomił silnik. A potem McGrath pomógł Holly usiąść z przodu. Reacher stał na chodniku, patrząc na

południe, zatopiony w myślach. Milošević wyciągnął rewolwer, odbezpieczył. Garber zamarł, podniósł karabin, wycelował. Milošević pochylił się szybko przed Holly. McGrath odskoczył, Milošević nadepnął pedał gazu i odjechał, prowadząc jedną ręką, wbijając lufę w bok Holly. Kierowany jedną ręką dziup podskakiwał na wyboistej drodze. Nie mieli szans trafić w Miloševicza, Garber widział to wyraźnie. Opuścił karabin i odprowadził wzrokiem samochód.

\* \* \*

- Obaj? - rzekł do siebie Webster. - Boże, proszę, nie.

- Przydałby nam się jeszcze jeden helikopter - podsunął adiutant. - Chyba nie musimy się już przejmować raketami.

Przesunął obraz na północ i zachód i najechał na nieckę między górami i wejścia do kopalni. Cztery ciężarówki wojskowe tkwiły nieruchomo przed nimi. W pobliżu leżały zwłoki martwego wartownika.

- Dobrze, wezwij helikopter - powiedział Johnson.

- Lepiej, żeby pan sam to zrobił, generale.

Johnson obrócił się na bok, aby skorzystać z telefonu. Nagle szybko spojrzął na ekran, na którym pojawił się dziup. Podskakując, pokonał ostatni zakręt i znalazł się w niecce, okrążając uszkodzone ciężarówki. Zatrzymał się przed magazynem po lewej. Milošević wyskoczył z wozu i popędził na drugą stronę, cały czas celując do Holly. Wyciągnął ją za rękę i powlókł do wielkich drewnianych drzwi. Otworzył je stopą, pchnął Holly do środka, potem podążył za nią. Wielkie wrota się zamknęły. Webster odwrócił wzrok od ekranu.

- Proszę wezwać helikopter, generale - przypomniał adiutant.

- Jak najszybszy - dodał Webster.

\* \* \*

Najkrótszą drogą do kopalni był skrót przez Bastion, cichy i opuszczony. Przebiegli przez niego i skierowali się na północ, przecinając strzelnicę, w stronę placu apelowego. I nagle zatrzymali się gwałtownie. Cała reszta milicji stała w milczeniu w równych szeregach, patrząc z lękiem na skrzynkę Borkena, wciąż czekającą na jego przybycie.

Reacher całkowicie ich zignorował. Poprowadził pozostałych naokoło, lasem, a potem prosto do drogi. Zmierzała

na północ. Reacher niósł w ręku wielkiego barretta. Zabrał

go z dachu kantyny, bo go polubił. Garber biegł obok.

McGrath szybko parł naprzód, myśląc wyłącznie o Holly.

Przed ostatnim zakrętem z powrotem zanurkowali między drzewa. Reacher pierwszy ruszył na zwiad. Ukrył się za skałą, tą samą co poprzednio, i sprawdził każdy centymetr niecki, przez lunetę barretta. Potem wezwał do siebie gestem pozostałą dwójkę.

- Są w garażu - oznajmił. - Tym po lewej. Wskazał, unosząc grubą lufę karabinu snajperskiego.

Jego towarzysze ujrzeni porzuconego dziupa i przytaknęli. Reacher przebiegł po łupku. Przykucnął za maską pierwszej wojskowej ciężarówki. Garber posłał za nim McGratha, potem sam pobiegł naprzód. Razem przykucnęli za ciężarówką i patrzyli na wielkie drewniane drzwi.

- Co teraz? - spytał Garber. - Frontalny atak?

- Trzyma spluwę przy jej głowie - powiedział McGrath. - Nie chcę, żeby coś jej się stało, Reacher. Jest dla mnie bardzo ważna. Okay?

- Jest tam inne wejście? - chciał wiedzieć Garber. Reacher wpatrywał się w drewniane wrota. Huk bomby

z Bejrutu rozbrzmiewający w jego głowie cichł powoli, zastępowały go ciche jęki niedawnego koszmaru. Przez minutę rozpaczliwie poszukiwał innego sposobu. Myślał o karabinach, raketach i ciężarówkach. W końcu się poddał.

- Zajmijcie go czymś - polecił. - Rozmową, czymkolwiek.

Zostawił barretta, zabrał McGrathowi glocka. Podbiegł do następnej ciężarówki, i kolejnej, zmierzając w stronę wejścia do drugiej jaskini, rzeźni pełnej trupów, szkieletów i szczurów. Za



plecami usłyszał McGratha wołającego cicho do Miloševicza. Rzucił się pędem do drewnianych drzwi. Prześliznął przez szczelinę i zagłębił w ciemność.

Nie miał latarki. Zaczął wymacywać sobie drogę wokół ciężarówki i dalej w głąb góry. Cały czas trzymał rękę nad głową. Poczul, jak sklepienie opada. Przykucnął, skierował się w lewo, w stronę szkieletów. Szczury usłyszały go i wyczuły. Zaczęły piszczeć gniewnie, ostrzegając swych pobratymców. Reacher osunął się na kolana, położył na ziemi i przecisnął przez stos wilgotnych kości. Sklepienie korytarza opadło niżej, ściany naparły na niego. Odetchnął głęboko, czując, jak strach powraca.

\* \* \*

Najszybszym helikopterem dostępnym tego dnia był należący do piechoty morskiej night hawk stacjonujący w Malmstrom - długa, ciężka, garbata, lecz szybka maszyna. Po kilku minutach od telefonu Johnsona silnik już pracował, a pilot dostał rozkaz, by skierować się na zachód i północ, do ostatniego zakrętu ostatniej drogi w Montanie. Potem helikopter wystartował. Pilot piechoty morskiej odnalazł drogę i podążył wzdłuż niej na północ, szybko i nisko. W końcu dostrzegł grupkę wojskowych pojazdów zaparkowanych ciasno obok siebie pod skałami. Wylądował na poboczu i odczekał chwilę. Ujrzał trzech mężczyzn pędzących ku niemu: jednego cywila, dwóch wojskowych. Jeden z nich był pułkownikiem, drugi szefem połączonych sztabów. Pilot wzruszył ramionami, tymczasem drugi członek załogi wskazał ręką w górę. Przez plastikowy przejrzysty dach widać było samotny ślad pary mniej więcej jednaście kilometrów wyżej. Jakiś ogromny odrzutowiec zataczał coraz większe kręgi, kierując się na południe. Pilot ponownie wzruszył ramionami. Pomyślał, że cokolwiek się dzieje, dzieje się właśnie tam. Szybko zatem przeliczył kurs i zdumiał się, gdy grube szczyty wsiadły na pokład i rozkazały mu, by kierował się na północ, w góry.

\* \* \*

Reacher się śmiał. Przeciskał się przez tunel i śmiał głośno, trząsł się i płakał ze śmiechu. Już się nie bał. Napór skał na ciało przypominał mu pieszczotę. Już raz to zrobił i przeżył. To możliwe. Wiedział, że mu się uda. \* Strach zniknął równie nagle, jak się pojawił. Reacher przecisnął się przez stos kości w mroku i poczul na plecach dotyk skały. Serce zabiło mu mocno, gardło zacisnęło się w panice. Gorąca wilgotna fala strachu przygniotła go do ziemi. Poczul, jak opuszczają go siły. A potem się otrząsnął. Musiał pamiętać o pierwotnym zadaniu. Holly. Ujrzał rewolwer Miloševicza przyciśnięty do ciemnej chmury włosów, bajeczne oczy, z których wyzierała rozpacz. Widział ją oczyma duszy, czekającą na końcu tunelu. Holly. Nagle wydało mu się, że tunel wyprostował się i zamienił w ciepłą, gładką, masywną rurę, idealnie pasującą do jego ramion. Jakby przygotowano go dla niego, i tylko dla niego. Zwykły spacer w poziomie. Reacher już dawno temu nauczył się, że niektórych rzeczy warto się bać. Innych nie. Już raz to zrobił i przeżył. Obawa przed takim zadaniem stawała się nieracjonalna. A Reacher wiedział, że zazwyczaj działa racjonalnie. W ułamku sekundy strach zniknął. Reacher się odprężył. Był wojownikiem, mścicielem, a Holly na niego czekała. Wyciągnął przed siebie ręce niczym pływak nurkujący w basenie i zaczął pełznąć ku niej przez górę.

Parł naprzód, zachowując stały rytm. Przypominało to nieco marsz na otwartej przestrzeni, tyle że odbywało się na brzuchu w ciemności. Krótkie zręczne poruszenia dłoni i stóp. Pochylona głowa. Śmiech ulgi. Czul, jak korytarz zwęża się, obejmuje go ciasno. Pełzł naprzód. Wyczul ścianę naprzeciwko i zgrabnie skrzył w nowy korytarz. Oddychał spokojnie. Przestał się śmiać, mówiąc sobie, że teraz musi już zachować ciszę. Czołgał się najszybciej, jak potrafił. Zwolnił, gdy poczul, że sklepienie unosi się gwałtownie. Skradał się dalej. W końcu rozchodzący się w powietrzu zapach powiedział mu, że niemal dotarł na miejsce.

I wtedy usłyszał helikopter - cichy łoskot rotora dobiegający z daleka. Usłyszał tupot stóp czterdzieści metrów dalej. Nieartykułowany okrzyk zdumienia i paniki. Głos Miloševicza, wysoki. Akcent z zachodniego wybrzeża.

- Zabierzcie ten helikopter! - wrzasnął przez drzwi. Odgłos przybrał na sile.

- Nie zbliżajcie się, słyszycie? - krzyknął Milošević. - Zabiję ją, McGrath. Daję słowo.

Wokół panowała absolutna ciemność. Pomiedzy Reache-rem i wąskim pasmem światła okalającym drzwi stały pojazdy. Ale nie biała ciężarówka. Ona zniknęła. Reacher przeturlał się w stronę miejsca, w którym stała. Wyciągnął z kieszeni glocka. Łoskot łopat helikoptera dobiegał z całkiem bliska. Fale hałasu atakowały drewniane drzwi i wypełniały jaskinię.

- Zawrzyjmy układ - krzyczał Milošević. - Jeśli wydobstanę się stąd bez szwanku, odzyskasz ją. Okay, McGrath? Słyszysz mnie?

Jeśli nawet padła jakaś odpowiedź, nie dotarła do uszu Reachera.

- Nie jestem jednym z tych gości! Nie mam z tym nic wspólnego! To Brogan mnie wciągnął. On mi kazał.

Hałas stał się ogłuszający. Masywne drzwi drżały w posadach.

- Robiłem to dla pieniędzy, i tyle - ciągnął Milošević. - Brogan dawał mi kasę. Setki tysięcy dolarów, McGrath. Na moim miejscu postąpiłbyś tak samo. Brogan zasypywał mnie forszą. Kupił mi fordę explorera. Z limitowanej serii! Trzydzieści pięć tysięcy. Jak, do diabła, mógłbym go inaczej zdobyć?

Reacher słuchał krzyków w ciemności. Nie chciał strzelać. Przejedną szaloną sekundę poczuł absurdalną wdzięczność do Miloševicza, bo dzięki niemu pozbył się koszmaru z dzieciństwa. Agent zmusił go, by stawiał mu czoła i pokonał, co uczyniło z niego lepszego człowieka. Pragnął do niego podbiec, ucisnąć mu dłoń. Wyobraził sobie, jak to robi, nagle jednak myślowy obraz uległ zmianie. Musiał postąpić inaczej. Powinien podbiec do niego, złapać go za gardło i spytać, czy wie, dokąd Stevie zabrał białą ciężarówkę. Tego właśnie wymagała sytuacja. Dlatego Reacher nie chciał strzelać. W ogłuszającym łoskocie skradał się naprzód, wymijając kolejne pojazdy.

Działał w świetle jednowymiarowym. W ciemności nie widział niczego i niczego nie słyszał. Ciemność i helikopter. Wyczuł ruch w pobliżu drzwi. Wynurzył się zza furgonetki i spostrzegł postać widoczną na tle plamy światła. Postać, która w istocie powinna być dwiema - szeroka u góry, cztery nogi. Milošević oplatał ręką gardło Holly. W dłoni trzymał pistolet. Reacher czekał, starając się przyzwyczaić wzrok do ciemności. Dwie twarze wynurzyły się z jaśniejącej czerni. Holly, za nią Milošević. Reacher sięgnął po glocka. Ruszył w lewo, by móc strzelić pod kątem. Łydka natrafił na bagażnik, zachwiał się i wpadł tyłem w stos puszek po farbie, które posypały się na ziemię. Hałas z zewnątrz zagłuszał wszystko. Reacher podbiegł bliżej ku światki.

Milošević wyczuł to i odwrócił się gwałtownie. Reacher dostrzegł usta, otwarte w niemym krzyku. Zobaczył, jak tamten szarpie Holly i pociąga ją przed siebie niczym tarczę, a potem zamiera niezdecydowany, unosząc broń. Reacher zanurkował w prawo, potem odskoczył w lewo. Milošević nie spuszczał go z oka. Holly wykorzystwała sposobność i wyrwała mu się. Huk rotora przeszywał im czaszki. Milošević rozglądał się w lewo i w prawo, w końcu podjął decyzję. Reacher był uzbrojony, Holly nie. Skoczył naprzód. Trzydziestkąósemką błysnęła bezdźwięcznie. W ciemności pojawił się oślepiający biały płomień. Lekko oszołomiony Reacher zapomniał, gdzie jest Holly. Zaklął, nie naciskając spustu. Zobaczył, jak Milošević znów celuje. Za jego plecami ujrzał Holly. Jej ręka uniosła się, wyciągnęła w górę nad głowę tamtego, a potem, z delikatną precyzją dotknęła jego twarzy. Milošević runął na ziemię. Drzwi się otwały. Holly zachwiała się, zaatakowana falą hałasu i słonecznego blasku i wpadła mu prosto w ramiona.

Promienie słońca oświetliły Miloševicza. Leżał na ziemi na wznak. Nadal trzymał w dłoni trzydziestkąósemkę z odciągniętym kurkiem. Z jego głowy, z miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą było lewe oko, sterczał odłamek łazienkowego kafelka. Piętnastocentymetrowy kawałek glazury do połowy wbił się w oczodół. Po policzku spływała cienka strużka krwi.

Nagle w otwartych drzwiach zaroilo się od ludzi. Reacher ujrzał McGratha i Garbera, stojących pośród kurzawy. Za nimi, na łupku, lądował night hawk. Wyskoczyła z niego trójka mężczyzn i popędziła w ich stronę. Cywil i pułkownik. Oraz generał Johnson. Holly obróciła się, ujrzała ich i znów przywarła do piersi Reachera.

Garber dotarł do nich pierwszy. Pociągnął ich za sobą wprost w hałas i słońce. Poruszali się

niezgrabnie, niemal zespoleni. Uderzył w nich gwałtowny podmuch powietrza. McGrath podszedł bliżej. Holly wyzwoiliła się z objęć Reachera, rzuciła na agenta i uściśliła go mocno. A potem generał Johnson ruszył w jej stronę.

- Holly - jego usta poruszyły się bezdźwięcznie. Dziewczyna wyprostowała się. Z szerokim uśmiechem

odgarnęła włosy za uszy. Odsunęła się od McGratha i mocno objęła ojca.

- Mam jeszcze coś do załatwienia, tato - zawołała, przekrzykując silniki. - Wszystko ci później opowiem, dobrze?

46

Reacher zakręcił ręką w powietrzu, dając znać pilotowi helikoptera, by nie wyłączał silników, i w kłębach wzbijanego przez rotor kurzu rzucił się biegiem, aby odebrać Garberowi barretta. Wezwał pozostałych do maszyny, odczekał, aż wdrapią się na drabinę, i sam podążył ich śladem przez przesuwne drzwi. Położył barretta na metalowej podłodze, rzucił się na brezentowe krzesło, naciągnął słuchawki z mikrofonem, nacisnął guzik i wywołał pilota.

- Proszę czekać, dobrze? - rzekł. - Podam kurs, gdy tylko go poznam. Pilot potwierdził i podkręcił silniki, wychodząc z biegu jałowego. Rotor zawirował szybciej, dobiegający z góry hałas stał się głośniejszy. Helikopter uniósł się na kołach.

- Gdzie, do diabła, lecimy? - krzyknął Webster.

- Ścigamy Steviego, szefie - odkrzyknął McGrath. - Kieruje ciężarówką. Ciężarówką pełną dynamitu. Zamierza gdzieś go wysadzić. Pamiętasz, co mówił szeryf z Kendall? Najgorszą robotę zawsze wlepiali Steviemu. Mam ci to narysować?

- Ale przecież nie mógł się stąd wydostać! - wrzasnął Webster. - Wysadzili most, a przez las nie prowadzi żaden szlak. Wszystkie zamknęli!

- Gość ze służby leśnej tego nie powiedział - wyjaśnił McGrath. - Zamknęli część z nich. Nie był pewien które, i tyle. Mówił, że może istnieje przejazd, a może nie.

- Mieli dwa lata, by to sprawdzić! - huknął Reacher. - Sami mówiliście, że furgonetka spędziła wiele czasu na szlakach służby leśnej. Pod podwoziem znaleźli mnóstwo zmiażdżonego piaskowca. Dwa lata na znalezienie wyjścia z labiryntu.

Webster zerknął w lewo, na wschód, na lasy rozciągające się za wielką górą. Gwałtownie pokiwał głową, rozgorączkowany.

- No dobra, musimy go zatrzymać - zdecydował. - Ale dokąd pojechał?

- Ma sześć godzin przewagi - stwierdził Reacher. - Możemy założyć, że jazda przez las była wolna. Powiedzmy dwie godziny. Potem cztery na otwartej drodze. W sumie około trzystu pięćdziesięciu kilometrów, zgadza się? Diesel econoline, tona ładunku, nie dałby rady jechać szybciej niż osiemdziesiąt pięć na godzinę.

- Ale w którym kierunku, cholera? - wrzasnął Webster, przekrzykując hałas.

Holly spojrzała na Reachera. Sami wiele razy zadawali podobne pytanie, gdy wieziono ich tu ciężarówką. Reacher przywołał w głowie mapę i raz jeszcze zatoczył na niej krąg zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara.

- Mógł pojechać na wschód! - zawołał. - Wtedy wciąż byłby w Montanie, za Great Falls. Może być w Idaho bądź w Oregonie, w połowie drogi do Seattle.

- Nie - wtrącił Garber. - Spójrz na to z drugiej strony. W tym kryje się klucz. Gdzie kazali mu jechać? Jaki byłby cel?

Reacher przytaknął powoli. Garber mówił z sensem. Cel.

- Co chce zaatakować Borken? - krzyknął Johnson.

Borken powiedział: studiuje się system i uczy go nienawidzić. Reacher rozmyślał przez chwilę, ponownie skinął głową, włączył mikrofon i wezwał pilota.

- Dobra, ruszajmy - nakazał. - Prosto na południe. Hałas stał się jeszcze głośniejszy i night hawk

wystartował

ciężko. Zatoczył w powietrzu łuk, zostawiając za sobą urwiska. Skreślił na południe i ruszył naprzód, opuszczając nos i ostro przyspieszając. Hałas panujący w kabinie zelżał, ograniczył się do niskiego ryku silników. Grunt pod nimi pochylił się i zaczął znikać w tyle. Reacher ujrzał górskie serpentyny i przesuwający się w dole plac apelowy. Grupa maleńkich ludzi właśnie się rozpraszala, odpływali między drzewa i znikali pod zielonym leśnym sklepieniem. Nagle w dole pojawiło się wąskie pasmo strzelnicy, potem szeroki kamienny krąg Bastionu. A później helikopter gwałtownie wzniósł się i ziemia pod nimi oddaliła się tak bardzo, że wielki biały budynek sądu prześliznął się w dole niczym domek dla lalek.

Reacher poszturczał pilota w ramię i przemówił przez interkom.

- Jaką szybkość rozwijamy?

- Dwieście siedemdziesiąt na godzinę - odparł pilot.

- Kurs?

- Prosto na południe.

Reacher przytaknął. Zamknął oczy i zaczął liczyć. Czuł się, jakby wrócił do liceum. Stevie ma trzysta pięćdziesiąt kilometrów przewagi, jedzie z prędkością osiemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Ty ścigasz go z prędkością dwustu siedemdziesięciu. Ile potrzeba czasu, byś go dogonił? W podstawówce Reacher nie przejmował się zbyt matematyką, podobnie bójkami na boisku. I oczywiście, bójki zapamiętał lepiej niż rachunki. Był pewien, że istnieje jakiś wzór, coś z  $x$  i  $y$ , zajmujący całą stronę, jakieś równanie czy coś w tym stylu.

Ale jeśli nawet istniało, to on dawno je zapomniał. Musiał zatem liczyć metodą prób i błędów. Za następną godzinę Stevie znajdzie się czterysta dwadzieścia kilometrów od domu. Night hawk pokona w tym czasie dwieście siedemdziesiąt kilometrów. Znacznie mniej. Po następnej godzinie Stevie będzie już pięćset dziesięć kilometrów od domu. Night hawk pokona kolejnych dwieście siedemdziesiąt. W sumie pięćset czterdzieści. Za daleko. Oznacza to, że dościgną ciężarówkę przed upływem drugiej godziny. Jeśli skierują się we właściwą stronę.

Daleko przed nimi pojawiło się Flathead Lake, migoczące w słońcu. Reacher widział drogi biegnące między wzniesieniami. Znów włączył mikrofon.

- Wciąż lecimy na południe? - spytał.

- Dokładnie - odparł pilot.

- Nadal z prędkością dwustu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę?

- Zgadza się.

- Dobra, proszę nie schodzić z kursu. Mamy godzinę i pięćdziesiąt minut.

- Dokąd on jedzie? - wtrącił się Webster.

- Do San Francisco - oznajmił Reacher.

- Czemu? - rzucił McGrath.

- Albo Minneapolis - ciągnął Reacher. - Ale założę się, że to będzie San Francisco.

- Czemu?

- San Francisco albo Minneapolis. Zastanów się nad tym. Inne możliwe cele to Boston, Nowy Jork, Filadelfia, Cleveland, Richmond w Wirginii, Atlanta, Chicago, St. Louis lub Kansas City w Missouri czy Dallas w Teksasie.

McGrath jedynie wzruszył ramionami. Webster sprawiał wrażenie zaskoczonego. Johnson zerknął na swego adiutanta. Garber siedział bez ruchu, ale Holly się uśmiechała. Mrugnęła do Reachera, a on do niej. Night hawk pędził z łoskotem na południe nad Missouri z prędkością dwustu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

\* \* \*

- Chryste, dziś jest czwarty lipca - rzekł nagle Webster.

- Mów do mnie jeszcze - odparł Reacher. - Mnóstwo ludzi zebranych w miejscach publicznych. Rodziny, dzieci i tak dalej.

Webster przytaknął ponuro.

- Gdzie dokładnie w San Francisco? - spytał.

- Nie jestem pewien.

- Na północnym skraju targu - wtrąciła Holly. - Tuż przy Embarcadero Plaża. Właśnie tam, szefie. Byłam tam czwartego. Po południu odbywa się wielka parada, nadrzeczny pokaz fajerwerków. Przez cały dzień mają tam być tłumy.

- Czwartego lipca zawsze wszędzie są tłumy - odparł Webster. - Lepiej, żebyście się nie pomylili.

McGrath uniósł głowę, jego posiniaczoną twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

- Nie mylimy się - stwierdził. - To z pewnością San Francisco. Nie Minneapolis ani żadne inne miasto.

Reacher odpowiedział mu uśmiechem i mrugnął. McGrath już zrozumiał.

- Zechcecie powiedzieć mi dlaczego? - wtrącił Webster. McGrath nadal się uśmiechał.

- Niech pan zgadnie - rzucił. - W końcu to pan jest dyrektorem.

- Bo tam jest najbliżej? - podsunął Webster. McGrath przytaknął.

- W obu znaczeniach tego słowa - odparł i uśmiechnął się ponownie.

- To znaczy jakich? - dopytywał się Webster. - O czym my mówimy?

Nikt nie odpowiedział. Wojskowi milczeli. Holly i McGrath patrzyli przez okna na ziemię siedemset metrów niżej. Reacher wyciągał szyję, spoglądając naprzód przez pleksiglasową szybę pilota.

- Gdzie jesteśmy? - spytał.

Pilot wskazał betonowe pasmo w dole.

- To jest autostrada numer 93 - oznajmił. - Docieramy do granicy Montany i Idaho. Wciąż lecimy na południe.

Reacher przytaknął.

- Świetnie - pochwalił. - Proszę lecieć wzdłuż autostrady. To jedyna droga zmierzająca na południe, zgadza się?

Złapiemy go gdzieś przed Nevadą.

\* \* \*

Pod koniec drugiej godziny zaczął się denerwować. Bardzo. Raz jeszcze desperacko sprawdził swoje rachunki. Może Stevie jechał szybciej niż osiemdziesiąt pięć na godzinę? Lubił szybko prowadzić, szybciej niż Bell. Może nawet jechał setką? Gdzie byłby wtedy? Sześćset dziesięć kilometrów. W takim przypadku dościgną go dopiero po upływie dwóch godzin i piętnastu minut. A jeśli jechał sto dwadzieścia? Czy econoline zniósłby stałą prędkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę przy tonowym ładunku? Być może. W takim wypadku pokonałby już siedemset piętnaście kilometrów. W sumie dwie godziny i czterdzieści minut, nim go wyprzedzą. To wszystko. Gdzieś pomiędzy godziną piętnaście i dwiema godzinami czterdzieści, pomiędzy Montaną i Nevadą. Pięćdziesiąt minut narastającej paniki. Ponad sto siedemdziesiąt kilometrów betonowej wstęgi, nim dowie się na pewno, że się pomylił, i będą musieli zawrócić na północny wschód w kierunku Minnesoty.

Helikopter leciał dziobem w dół, z największą prędkością, dokładnie nad autostradą numer 93. Siódemka pasażerów

wyciągała szyję, patrząc w dół, na drogę. Przelatywali nad miastem Salmon. Pilot wykrzykiwał kolejne informacje niczym przewodnik. Daleko z prawej widzieli olbrzymi szczyt Mount McGuire, trzy tysiące trzysta metrów. Twin Peaks, bliźniacze szczyty, trzy i pół tysiąca metrów, z przodu po prawej. I najwyższy z nich, Borah Peak, prawie cztery tysiące metrów, daleko z przodu po lewej. Helikopter podnosił się i opadał siedemset metrów nad ziemią, pędził naprzód, wznosząc się ponad otaczające go szczyty, dziobem w dół, w stronę autostrady, niczym wężący ogar.

Czas płynął. Dwadzieścia minut. Trzydzieści. Droga była niemal pusta. Łączyła Missoulę na północy z Twin Falls w Idaho, pięćset kilometrów na południe. Żadnego z tych miast nie można nazwać metropolią. Poza tym było święto, wszyscy dotarli już tam, gdzie się wybierali. Od czasu do czasu w dole pojawiał się samotny samochód bądź ciężarówka wyrabiająca nadgodziny. Ani

śladu białego econoline. Minęli dwa białe pojazdy, obie furgonetki. A także jedną ciężarówkę, ciemnozieloną. To wszystko. Nic więcej, ani śladu białej ciężarówki. Czasami droga była pusta od horyzontu aż po horyzont. Czas płynął miarowo niczym cykanie bomby. Czterdzieści minut. Pięćdziesiąt.

- Zadzwoń do Minneapolis - oznajmił Webster. - Spieprzyliśmy sprawę.

McGrath czekał z nadzieją. Pokręcił głową.

- Jeszcze nie - rzekł. - To desperackie posunięcie. Masowa panika. Wyobrażasz sobie te tłumy? Ewakuację? Ile osób stratuja?

Webster wyjrzał na zewnątrz. Długą chwilę przyglądał się drodze. Pięćdziesiąt cztery minuty z pięćdziesięciopięć-minutowego marginesu błędu.

- Jeśli ciężarówka dotrze do celu, będzie więcej ofiar - powiedział. - Wyobrażasz sobie?

Czas płynął. Pięćdziesiąt osiem minut. Godzina. Droga pozostała pusta.

- Wciąż mamy czas - oznajmił Garber. - San Francisco bądź Minneapolis. Stevie musi jeszcze dotrzeć na miejsce.

Generał zerknął na Reachera. Widać było, że zmagają się w nim obawa z zaufaniem, nic nie przeważało. Czas mijał. Godzina i pięć minut. Droga wciąż była pusta aż po odległy horyzont. Rozpędzony helikopter leciał naprzód. Nadal nic.

- On może być wszędzie - stwierdził Webster. - Jeśli to nie San Francisco, może też nie Minneapolis. Może już dotarł do Seattle. Albo gdziekolwiek indziej.

- Nie do Seattle - nie zgodził się Reacher.

Patrzył naprzód, nie odrywając wzroku od drogi. Gardło ścisnął mu paniczny strach. Raz po raz zerkał na zegarek. Godzina i dziesięć minut. Jedenaście. Dwanaście. Trzynaście. Czternaście. Godzina piętnaście. Spojrzał na zegarek i znów na pustą wstęgę szosy w dole. W końcu wyprostował się i znieruchomiał, ogarnięty grozą. Opóźniał to, jak długo mógł, osiągnęli jednak punkt, w którym obliczenia stawały się absurdalne. Aby dotrzeć tak daleko na południe, Stevie musiałby jechać z prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę albo nawet dwustu, dwustu pięćdziesięciu. Reacher powiódł wzrokiem po twarzach pozostałych i przemówił ochrypłym, obcym głosem.

- Schrzanilem sprawę. To musi być Minneapolis.

Łoskot silników w jego uszach ucichł i po raz drugi Reacher usłyszał w głowie ogłuszający basowy ryk bomby. Nie zamykał oczu, by nie widzieć wydarzeń z przeszłości, ale i tak obrazy powróciły - tym razem nie żołnierze, nie twardzi ludzie w niebezpiecznym kraju, mający zadanie do wykonania,

lecz inni, bezbroni, kobiety i dzieci, małe, coraz mniejsze, zebrane w miejskim parku, by pooglądać fajerwerki. Kolejno zamieniały się w parę i eksplodowały, pozostawiając po sobie różową mgiełkę, tak jak jego przyjaciele trzynaście lat wcześniej. Odłamki kości rozpryskiwały się na boki i z sykiem przelatywały przez płonące powietrze, by trafić w inne dzieci sto metrów dalej. Trafić i przebić miękkie ciało niczym kawałek szrapnela, tak że te, którym najbardziej dopisze szczęście, trafią do szpitala na rok, który wypełni ból.

Wszyscy w helikopterze patrzyli na niego. Uświadomił sobie, że po policzkach spływają mu łzy, ściekają na koszulę.

- Przepraszam - szepnął. Odwrócili wzrok.

- Muszę zadzwonić - oznajmił Webster. - Czemu Minneapolis, czemu wcześniej myślałeś o San Francisco?

- Oddziały Banku Rezerw Federalnych - wyjaśnił cicho Reacher. - Jest ich dwanaście. Dwa najbliższe Montany są w San Francisco i Minneapolis. Borken nienawidził tego banku. Uważał, że stanowi on podstawowe narzędzie rządu światowego, jest częścią wielkiego spisku zmierzającego do wyeliminowania klasy średniej. Stworzył specjalną teorię. Twierdził, że dzięki niej lepiej rozumie to, co się dzieje. I wierzył, że BRF polecił bankowi jego ojca namówić starszka na pożyczkę, aby móc go potem zlicytować.

- Zatem Borken zaatakował BRF? - spytał nagle Johnson.

Reacher przytaknął.

- Dwa ciosy - rzekł - w wojnie z rządem światowym. Atak na stary system, z zaskoczenia, niczym w Pearl Harbor. I jednocześnie stworzenie całkiem nowego systemu, do którego mogliby zwrócić się niezadowoleni. Dwie pieczenie przy jednym ogniu.

Umilkł, zbyt zmęczony, by mówić dalej. Zbyt przygnębiony. Garber patrzył na niego. Jego twarz wyrażała głęboki ból. Uderzenia silnika były tak głośne, że brzmiały niczym przejmująca cisza.

- Deklaracja niepodległości stanowiła tylko połowę planu - powiedział McGrath. - Podwójny podstęp. Mieliśmy skupić uwagę na Montanie. Martwić się o Holly, o plany masowego samobójstwa, szaleć ze zdenerwowania. A tymczasem oni za naszymi plecami zbombardowali BRF. Pomyślałem o San Francisco z powodu Kendall. Pamiętacie? Uznałem, że Borken wybierze bank najbliższy dawnej farmy staruszka.

Webster przytaknął.

- Świetny plan - rzucił. - Świąteczny weekend, agenci na urlopie, wielkie strategiczne decyzje czekające na rozstrzygnięcie. Wszyscy skoncentrowani na niewłaściwym miejscu. A potem cały świat skupiony na miejscu zamachu, podczas gdy Borken bezpiecznie umocniłby swoje panowanie.

- Gdzie jest BRF w Minneapolis? - spytał niecierpliwie Johnson.

Webster wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Nigdy nie byłem w Minneapolis. Przypuszczam, że to wielki publiczny budynek. Prawdopodobnie w ładnym miejscu, otoczony parkami, może nad rzeką. W Minneapolis jest jakaś rzeka, prawda?

Holly przytaknęła.

- Nazywa się Missisipi - podpowiedziała.

- Nie - rzucił Reacher.

- Ależ tak - nie zgodziła się Holly. - Wszyscy to wiedzą.

- Nie - powtórzył Reacher. - To nie Minneapolis. To San Francisco.

- Missisipi nie płynie przez San Francisco - wtrąciła Holly.

I wtedy ujrzała olbrzymi uśmiech na twarzy Reachera. Błysk triumfu w jego znużonych oczach.

- O co chodzi?

- Miałem rację z San Francisco - rzekł. Webster mruknął z rozdrażnieniem.

- Już byśmy go wyprzedzili. Wiele kilometrów temu. Reacher włączył mikrofon.

- Zawróć! - krzyknął do pilota. - Zatocz szeroki łuk. Znow się uśmiechnął. Zamknął oczy.

- Faktycznie go wyprzedziliśmy - oznajmił. - Wiele kilometrów temu. Przelecieliśmy mu tuż nad głową. Pomalowali ciężarówkę na zielono.

Night hawk zawrócił, pochylając się lekko. Pasażerowie wodzili wzrokiem od okna do okna, patrząc na zmieniający się w dole krajobraz.

- W garażu mieli farbę - wyjaśnił Reacher. - Potknąłem się o puszkę. Pewnie podkład maskujący. Załatwili to dziś rano, cholera, zapewne jeszcze nie wyschło.

Ujrzała kenwortha, którego wyprzedzili kilka minut wcześniej. Jechał przed siebie, trzysta metrów w dole. Potem długi fragment pustej jezdni. Białą furgonetkę. Znow pustkę. Ciemnozieloną ciężarówkę, pędzącą na południe.

- W dół, w dół! - zawołał Reacher.

- To ona? - spytał McGrath.

Odległość między ciężarówką i furgonetką stale rosła. Ciężarówka zostawała z tyłu, za nią nie jechało nic, aż po horyzont. Night hawk obniżał lot, opadał ku ciężarówce niczym orzeł polujący na młodego królika.

- To ona? - powtórzył McGrath.

- Tak - odparł Reacher.

- Jasne - wtrąciła radośnie Holly.

- Na pewno? - dopytywał się McGrath.

- Spójrz na dach - rzuciła Holly.

McGrath spojrział. Blachę pokrywała ciemnozielona farba, dostrzegł jednak mnóstwo maleńkich otworów, jakby ktoś wystrzelił w niego śrutem z dubeltówki.

- Przez dwa dni patrzyliśmy w te cholerne dziury - wyjaśniła Holly. - Będę je pamiętać do końca życia.

- Jest ich sto trzysta - uzupełnił Reacher. - Policzyłem. To liczba pierwsza.

Holly roześmiała się i pochyliła. Oboje przybili piątkę.

- To nasza ciężarówka. Nie ma wątpliwości.

- Widzicie kierowcę? - spytał McGrath.

Pilot pochylił helikopter i zakołysał, aby mogli się przyjrzeć.

- To Stevie! - krzyknęła Holly. - Na pewno. Mamy go.

- Mamy jakąś broń? - spytał Webster.

- Dwa wielkie karabiny maszynowe - odparł pilot. - Ale ich nie użyję, nie mogę. Wojsko nie może się mieszać w sprawy policyjne.

- Mógłbyś lecieć chwilę prosto i równo? - zaproponował Reacher. - Osiemdziesiąt pięć kilometrów na godzinę? Może dziewięćdziesiąt? Nie zadając zbyt wielu pytań?

Pilot się roześmiał. Usłyszeli w słuchawkach jego głos, zniekształcony i metaliczny.

- Mogę lecieć, jak tylko zechcecie - zapewnił. - Oczywiście, za zgodą pana generała.

Johnson przytaknął ostrożnie. Reacher schylił się, podniósł z podłogi barretta, rozpiął pasy i stanął pochyłony. Gestem polecił Holly, by zamieniła się z nim na miejsca. Dziewczyna przeczołgała się przed McGrathem. Reacher zajął jej fotel. Czuł, jak helikopter zwalnia i opada coraz niżej. Wyciągnął pas Holly i obwiązał się nim luźno. Sięgnął ku klamce blokującej drzwi. Szarpnął mocno i drzwi przesunęły się na prowadnicy.

Do środka wpadł istny huragan. Powietrze wdzierало się otwartymi drzwiami. Pilot obrócił helikopter w bok, opadając w długim ślizgu niczym samochód jadący po śniegu. Zielona ciężarówka pozostała w dole i za nimi. Dzielilo ich od niej jakieś siedemdziesiąt metrów. Pilot ustabilizował helikopter, dopasowując jego prędkość do prędkości pojazdu w dole i przechylając tak, by Reacher widział pod sobą drogę.

- I jak?-spytał.

Reacher włączył mikrofon.

- Doskonale - rzekł. - Widzisz coś przed nami?

- Coś nadjeżdża z południa - odparł drugi pilot. - Poza tym nic w promieniu piętnastu kilometrów.

- A z tyłu? - dopytywał się Reacher. Ujrzał w dole rozpedzony samochód, zmierzający na północ.

McGrath wysunął głowę na zewnątrz, nie zważając na porywy wiatru. Cofnął się szybko i machnął ręką.

- Czysto.

Reacher uniósł barretta, opierając go o ramię. Wsunął pocisk do komory. Strzał do poruszającego się pojazdu z drugiego poruszającego się pojazdu rzadko kiedy kończy się trafieniem. Ponieważ jednak miał do czynienia z odległością siedemdziesięciu metrów i celem mającym siedem metrów długości i ponad dwa szerokości, nie martwił się zbyt wiele. Wycelował w miejsce w dwóch trzecich długości dachu. Szacował, że połączenie ruchu ciężarówki i oporu powietrza przesunie pocisk tak, iż trafi w sam środek przyczepy. Zastanowił się przelotnie, czy wewnątrz wciąż jeszcze leży materac.

- Chwileczkę! - krzyknął Webster. - A jeśli się mylisz? Jeśli jest pusta? To tylko domysły, prawda? Wyłącznie zgadywanki. Potrzebujemy dowodów, Reacher. Jakiegoś potwierdzenia.

Reacher nie odwrócił wzroku; całą uwagę skupił na celowniku.

- Bzdura - rzucił cicho, koncentrując się. - Nie potrzebujemy żadnego potwierdzenia.

Webster chwycił go za rękę.

- Nie możesz tego zrobić - rzekł. - Możesz zabić niewinnego człowieka.

- Bzdura - powtórzył Reacher. - Jeśli jest niewinny, to go nie zabiję. Prawda?



Uwolnił się od uchwytu Webstera i odwrócił, patrząc wprost na niego.

- Zastanów się, Webster - poprosił. - Spokojnie, myśl logicznie. Dostaniemy dowód po tym, jak strzełę. Jeśli wiezie bombę, sami to zobaczymy. Jeśli nie, nic się nie stanie. W dachu pojawi się jeszcze jedna dziura i tyle. Dziura numer sto czternaście.

Z powrotem odwrócił się ku drzwiom, podniósł karabin, wycelował. Z przyzwyczajenia wypuścił z płuc powietrze i zaczął na uderzenie serca. A potem nacisnął spust. Po jednej tysięcznej sekundy dźwięk strzału dotarł do jego uszu. Osiągnięcie celu zajęło wielkiemu, ciężkiemu pociskowi siedemdziesiąt razy dłużej. Przez sekundę nic się nie stało. A potem ciężarówka przestała istnieć. Nagle zamieniła się w oślepiającą kulę ognia, toczącą się autostradą. Olbrzymi pierścień gazów wystrzelił na zewnątrz, fala uderzeniowa rąbnęła w helikopter, odrzucając go na bok oraz sto pięćdziesiąt metrów w górę. Pilot szybko opanował stery, ustabilizował helikopter i zawrócił. Zniżył pułap. Na drodze nie pozostało nic poza chmurą gęstego dymu, zwalniającą, rozciągającą się na kształt łyzy, długiej na trzysta metrów. Nie było szczątków, kawałków metalu, toczących się opon, resztek wraku. Zupełnie nic, poza mikroskopijnymi niewidzialnymi cząsteczkami pary ulatującymi w atmosferę z prędkością znacznie większą niż prędkość dźwięku.

\* \* \*

Pilot długą chwilę wisiał w powietrzu, potem skierował się na wschód. Posadził swój pojazd łagodnie na polu, sto metrów od pobocza. Wyłączył silniki. Reacher przez chwilę siedział w ogłuszającej ciszy. Potem odpiął pas, położył na podłodze karabin i wyskoczył przez otwarte drzwi. Wolnym krokiem ruszył w stronę autostrady.

Tona dynamitu. Cała tona. Potężny wybuch. Po ciężarówce nie zostało ani śladu. Domyślał się, że siła wybuchu połamała trawę w promieniu kilometra, ale to wszystko. Cała potężna energia wystrzeliła na zewnątrz, nie napotykając nic na swej drodze - nic miękkiego, kruchego, żywego. Rozproszyła się, osłabła i zgasła, pozostawiając po sobie jedynie słaby powiew wiele kilometrów dalej. Nie wyrządziła żadnych szkód. Absolutnie żadnych. Zatrzymał się w ciszy i zamknął oczy.

A potem usłyszał kroki. To była Holly. Zdradziło jąkuśtyka-nie. Zdrowa noga, chora, zdrowa, chora. Długie kroki, potem szuranie stóp. Otworzył oczy i spojrzał na drogę. Holly minęła go, zatrzymała się, położyła mu głowę na piersi i przytuliła go mocno. Uniósł rękę i przyglądał jej włosy, odgarniając je za ucho, powtarzając dostrzeżony wcześniej gest dziewczyny.

- Skończone - powiedziała.

- Jeśli jest problem, trzeba go rozwiązać - odparł. - Taką mam zasadę.

Długą chwilę Holly milczała.

- Chciałabym, żeby zawsze było to takie łatwe - rzekła w końcu.

Reacher miał wrażenie, jakby wygłosiła długą przemowę, podając dobrze przemyślane, rozsądne argumenty. Udał jednak, że nie wie, o jaki problem jej chodzi.

- Masz na myśli twojego ojca? - spytał. - Już dawno wyszłaś z jego cienia.

Pokręciła głową, nie odrywając jej od piersi Reachera.

- No nie wiem - zaprotestowała.

- Lepiej w to uwierz. To, co zrobiłaś na placu apelowym, było najmądrzejszą, najmocniejszą, najodważniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem, nieważne - u mężczyzny, kobiety, młodych, starych. Sam nie dokonałem nic porównywalnego. Twój ojciec także. Oddałby przednie zęby, żeby tylko mieć takie jaja. Ja też. Wyszłaś z cienia, Holly. Wierz mi.

- Tak sądziłam - przyznała. - Tak myślałam, naprawdę. Jakiś czas. Ale gdy znów go ujrzałam, poczułam się tak jak zawsze. Nazwałam go tatą.

- Bo jest twoim tatą - przypomniał Reacher.

- Wiem - odparła. - W tym właśnie problem. Reacher milczał długą chwilę.

- A zatem zmień nazwisko - doradził. - To mogłoby pomóc.

Poczuł, jak Holly wstrzymuje oddech.

- To oświadczyzny? - spytała.

- Rada.

- Myślisz, że Holly Reacher brzmi dobrze?

Tym razem to on milczał długą chwilę, wstrzymując oddech. W końcu się odezwał. Czas poruszyć prawdziwy problem.

- Brzmi cudownie - odparł. - Ale Holly McGrath brzmi jeszcze lepiej.

Nie odpowiedziała.

- To on jest tym szczęściarzem, prawda? Przytaknęła lekko, poczuł ten ruch na swojej piersi.

- No to mu powiedz. Wzruszyła ramionami.

- Nie mogę - odparła. - Boję się.

- Niepotrzebnie. Możliwe, że on też ma ci coś podobnego do powiedzenia.

Uniosła wzrok. Reacher spojrzał na nią, mrużąc oczy.

- Tak myślisz?

- Ty się boisz, on się boi. Ktoś powinien coś powiedzieć, ale ja nie załatwię tego za was.

Ucisnęła go mocniej. Potem wspięła się na palce i pocałowała go, długo, mocno, w usta.

- Dziękuję - szepnęła.

- Za co?

- Za to, że rozumiesz.

Reacher wzruszył ramionami. To nie był koniec świata, chociaż tak właśnie się czuł.

- Idziesz? - spytała. Pokręcił głową. -Nie.

Zostawiła go na poboczu autostrady US-93, pośrodku stanu Idaho. Reacher odprowadził ją wzrokiem aż do helikoptera. Patrzył, jak wspina się na krótką drabinę. W wejściu zatrzymała się i odwróciła. Popatrzyła na niego, potem zniknęła w środku. Drzwi się zamknęły, zaszumił silnik. Reacher wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczy. Pęd powietrza szarpał mu ubranie. Śmigłowiec wystartował, wzbijając potężny obłok kurzu. Reacher pomachał na pożegnanie i odprowadził maszynę wzrokiem, póki nie zniknęła w dali. Potem odetchnął głęboko, obejrzał się w prawo, w lewo na pustej autostradzie. Był piątek, czwarty lipca, Dzień Niepodległości.

\* \* \*

W sobotę - piątego i niedzielę - szóstego, tajne jednostki wojskowe zablokowały całkowicie okręg Yorke. Oddziały

artyleryjskie zabrały sprzęt zaginionej jednostki raketowej. Zawiozły go na południe czterema chynookami. Potem na teren wkroczyli kwatermistrzowie, gromadzący wszystkie pozostawione na miejscu zapasy. Znaleźli dość do przeprowadzenia niewielkiej wojny.

Służby medyczne usunęły ciała. Sanitariusze znaleźli dwudziestu żołnierzy z jednostki raketowej ukrytych w jaskini, szkielety, przez które czołgał się Reacher, oraz pięć okaleczonych zwłok w drugiej jaskini. Trupy miały na sobie robocze stroje murarzy bądź cieśli. Zabrali Fowlera z chaty dowodzenia i Borkena z drogi przed budynkiem sądu, Miloševicza z górskiej niecki i Brogana z niewielkiej polany na zachód od Bastionu. Odszukali prowizoryczny grób Jack-sona w lesie i wykopali go. Ułożyli na strzelnicy osiemnastu martwych członków milicji i jedną kobietę. Po czym wywieźli zwłoki helikopterami.

Jeden z wojskowych śledczych Garbera przyleciał samotnie i zabrał z komputera twardy dysk z danymi finansowymi, po czym wysłał go helikopterem do Chicago. Do akcji wkroczyli inżynierowie. Wyszli do kopalni. Saperzy zniszczyli wodociąg w Bastionie i zerwali sieci elektryczne. Potem podpalili chaty i odczekali, aż spłoną. Późnym wieczorem w niedzielę, gdy wokół pozostały tylko dymiące zgliszcza, odmaszerowali do helikopterów i odlecieli na południe.

Wczesnym rankiem w poniedziałek Harland Webster znalazł się z powrotem w białym saloniku w Białym Domu. Ruth Rosen uśmiechała się do niego, pytając, jak minął mu świąteczny weekend. On także się uśmiechał. Nie odpowiedział. W godzinę później słońce przesunęło się na zachód, w stronę Chicago. Trzej agenci aresztowali właśnie dziewczynę Brogana. Przesłuchiwali ją przez pół godziny, w końcu poradzili, by wyniosła się z miasta, pozostawiając wszystko, co jej kupił. Potem ci sami agenci zabrali z parkingu przed siedzibą FBI nowiutkiego forda explorera Miloševicza i

pojechali nim osiem kilometrów dalej, po czym zostawili na cichej uliczce z otwartymi drzwiami i kluczykami w stacyjce. Nim go skradziono, Holly Johnson zdążyła zjawić się w klinice ortopedycznej. Godzinę później wróciła za biurko. Jeszcze przed lunchem pieniądze z napadu na samochód pancerny ukryte na koncie na Kajmanach podały do kraju, zgodnie z poleceniami Holly. O szóstej wieczór w poniedziałek Holly wróciła do domu, spakowała rzeczy, zaniósła torby do samochodu i pojechała na północ. Tego samego wieczoru wprowadziła się do domu McGratha w Evanston.

We wtorek rano w Wolnym Internecie pojawiły się trzy historie. Uciekinierzy z doliny w Montanie dotarli na południe i zachód do nowych osad, przynosząc wieści o niedawnych manewrach rządu światowego. Obce wojska wymordowały grupkę bohaterów z milicji. Dowodził nimi francuski najemnik. Udało mu się ich pokonać tylko dzięki tajnej technologii kosmicznej, satelitom, laserom i mikrochipom. Dziennikarze podchwycili te rewelacje i zadzwonili do Budynku Hoovera. We wtorek wieczorem FBI wydało oświadczenie zaprzeczające, by Biuro wiedziało cokolwiek na ten temat.

W środę rano, po pięciu przesiadkach autostopem i czterech autobusowych Reacher dotarł w końcu do Wisconsin. Tam właśnie zamierzał trafić dokładnie tydzień wcześniej. Spodobało mu się. Uznał, że to miłe miejsce. Został aż do piątku.

Margrave to małe, senne miasteczko w Georgii, które ożywa tylko popołudniami, gdy dzieci wychodzą ze szkoły. Sprawia jednak dziwne wrażenie - jest zbyt idealne. Tak idealne, że aż budzi grozę. Trawniki są tu równo przystrzyżone i gładkie niczym aksamit, drzewa wyglądają, jakby przed chwilą zrobiono im manicure. JCo więcej, lokalny biznes - od położonego na uboczu zakładu fryzjerskiego po lśniący nowością bar Ena - znakomicie prosperuje bez klientów.

Nagle w miasteczku zjawia się przybysz, włóczykij i były żandarm, Jack Reacher. Zamierza spędzić tu weekend. W tym samym czasie w Margrave, po raz pierwszy od trzydziestu lat, popełnione zostaje morderstwo. Podejrzenie natychmiast pada na jedyne go obcego - Jacka Reachera. I tak rozpoczyna się koszmar... Na początek: więzienie. Reacher musi przeżyć na poziomie śmierci wśród skazanych na dożywocie.

Gdyby jego zaginiony krewny oraz zmarły wiele lat temu gitarzysta mogli przemówić, być może Jack dowiedziałby się, w jak wielką aferę niechcący wdepnął. Nagle jednak wychodzą na jaw sekrety śmiertelnie groźnej organizacji, a trup zaczyna ścielić się gęsto. Zabijanie przybiera rozmiary epidemii.

Lee Child urodził się w jednym z przemysłowych miasteczek Środkowej Anglii. Studiował prawo, potem przez dwadzieścia lat pracował dla telewizji. Jest autorem następujących powieści: Poziom Śmierci - uznanej za bestseller przez Sunday Times - oraz Umrzeć Próbując, Tripwire, The Yisitor, Echo Burning, Without Fail i Persuader. Mieszka wraz z żoną i córką w stanie Nowy Jork. Czytelnicy mogą się z nim skontaktować za pośrednictwem internetu: [www.leechild.com](http://www.leechild.com).